

Klasyka military thrillers zekranizowana z Seanem Connerym i Alekiem Baldwinem

TOM CLANCY



POLOWANIE
NA „CZERWONY PAŹDZIERNIK”

Tom Clancy

Polowanie na „Czerwony Październik”

(The hunt for Red Oktober)

Przekład Dorota i Krzysztof Murawscy

Data wydania oryginalnego 1984

Data wydania polskiego 2003

Ralphowi Chathamowi,

Kapitanowi okrętów podwodnych, który powiedział prawdę, oraz wszystkim marynarzom spod znaku delfina.

Wszystkie postaci w tej książce, z wyjątkiem Siergieja Gorszkowa, Jurija Padorina, Olega Pieńkowskiego, Walerego Sablina, Hansa Toftego i Grenville’a Wynne’a, są fikcyjne, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących bądź zmarłych jest wyłącznie przypadkowe.

Nazwiska, wydarzenia, dialogi i opinie są wytworem wyobraźni autora, który nie zamierzał

prezentować poglądów Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych ani żadnej innej organizacji czy agendy jakiegokolwiek rządu.

Dzień pierwszy

PIĄTEK, 3 GRUDNIA

„Czerwony Październik”

Kapitan pierwszej rangi radzieckiej marynarki Marko Ramius ubrany był odpowiednio do arktycznych warunków, jakie panują zwykle w Polarnym - bazie okrętów podwodnych Floty Północnej. Miał na sobie pięć warstw wełnianej odzieży i sztormiak. Brudny holownik obrócił okręt na północ, dziobem do wyjścia. Hangar skrywający „Czerwony Październik” nie różnił się teraz niczym od wielu innych wypełnionych wodą betonowych gniazd, zbudowanych specjalnie po to, żeby zapewnić schronienie okrętom podwodnym wyposażonym w rakiety strategiczne. Na nabrzeżu grupa marynarzy i dokerów żegnała odpływających z typowo rosyjską powściągliwością - bez zbędnych gestów i wiwatów.

- Kamarow, mała naprzód! - polecił Ramius.

Holownik zszedł im z drogi i kapitan obejrzał się, by rzucić okiem na spienioną wodę, którą wprawiały w ruch dwie śruby z brązu. Dowódca holownika pomachał na pożegnanie.

Ramius odpowiedział tym samym gestem. Holownik miał proste zadanie; wykonał je szybko i sprawnie. „Czerwony Październik”, okręt klasy *Typhoon*, o własnych siłach ruszył

farwaterem w stronę Zatoki Kolskiej.

- Jest „Purga”, towarzyszu kapitanie.

Grigorij Kamarow wskazał na lodołamacz, który miał wyprowadzić ich na pełne morze. Ramius skinął głową. Dwie godziny potrzebne na przebycie zatoki wystawiały na próbę nie tyle jego umiejętności, co cierpliwość. Wiał zimny północny wiatr, jedyny rodzaj wiatru spotykany w tej części świata. Późna jesień okazała się zadziwiająco łagodna i w rejonie, gdzie pokrywą śnieżną zwykle mierzy się na metry, prawie nie padało. Jednakże przed tygodniem u wybrzeży Murmańska rozszalał się sztorm, który przyniósł krę z arktycznego paku. Obecność lodołamacza nie była więc tylko czczą formalnością. „Purga”

miała oczyścić drogę z lodu, który mógł wpłynąć nocą do zatoki. Flocie radzieckiej nie wyszłoby na dobre, gdyby jej najnowszy raketowy okręt podwodny został uszkodzony przez dryfującą bryłę zamarznętej wody.

Chłostana przez wiatr woda przelewała się przez obły dziób okrętu, wdzierając na płaski pokład raketowy przed strzelistym czarnym kioskiem. Powierzchnię morza pokrywała warstwa ścieków okrętowych, które nie mogąc wyparować w tak niskiej temperaturze, tworzyły czarny pierścień na skalnych ścianach zatoki przypominający ślad po kąpieli niechlujnego olbrzyma. Trafne porównanie, pomyślał Ramius. Radzieckiego olbrzyma też nie obchodzi, że kała powierzchnię ziemi. Ramius już jako chłopiec wyuczył się żeglarskiego fachu na przybrzeżnych łodziach rybackich i dobrze wiedział, na czym polega życie w harmonii z przyrodą.

- Jedna trzecia naprzód - polecił. Kamarow powtórzył rozkaz przez telefon na mostku.

„Październik” zbliżył się do rufy „Purgi”, jeszcze bardziej wzburzając powierzchnię wody.

Kapitan - porucznik Kamarow, nawigator, poprzednio służył jako pilot portowy, obsługując duże okręty cumujące po obu stronach zatoki. Dwaj oficerowie czujnie się przyglądali potężnemu lodołamaczowi trzysta metrów przed nimi. Na rufie „Purgi” stało kilku marynarzy, wśród nich nawet kuk w białym fartuchu. Przytupywali z zimna, ale chcieli zobaczyć, jak „Czerwony Październik” wypływa w swój pierwszy rejs bojowy. Zresztą marynarze zdobędą się na wszystko, byleby przerwać monotonię służby.

W normalnych warunkach Ramius byłby wściekły na taką eskortę - zatoka była dostatecznie głęboka i szeroka - ale nie dzisiaj. Lodu nigdy nie można bagatelizować, a tym razem musiał pamiętać o ważniejszych sprawach.

- A więc, kapitanie, znów wypływamy w morze, by służyć *rodinie* i bronić jej przed wrogiem! - odezwał się kapitan drugiej rangi Iwan Jurijewicz Putin, jak zwykle bez pozwolenia wychylając głowę z włazu i niezgrabnie, niczym szczur lądowy, wspinając się po szczeblach.

Na mikroskopijnym mostku i tak ledwo starczało miejsca dla kapitana, nawigatora i milczącego obserwatora. Putin był zampolitem, oficerem politycznym. Wszystko, co robił, służyło *rodinie*, które to słowo ma dla każdego Rosjanina znaczenie mistyczne i, na równi z W. I. Leninem, zastępuje członkom partii komunistycznej Boga.

- Właśnie - odparł Ramius z udawanym entuzjazmem. - Dwa tygodnie na morzu. Jak dobrze nareszcie wyjść z doku. Miejsce marynarza jest tu, a nie na lądzie, wśród chmar biurokratów i robotników w brudnych buciorach. No i będzie nam ciepło.

- A jest wam zimno? - zapytał Putin z niedowierzaniem.

Ramius po raz setny pomyślał, że Putin to ideał oficera politycznego. Zawsze mówił

za głośno, śmiał się zbyt sztucznie. Ani przez chwilę nie pozwalał nikomu zapomnieć, kim jest. Jako doskonały oficer polityczny łatwo wzbudzał strach.

- Zbyt długo pływam na okrętach podwodnych, przyjacielu. Przyzwyczaiałem się już do umiarkowanych temperatur i nieruchomego pokładu pod nogami.

Putin nie zauważył ukrytej ironii. Skierowano go do okrętów podwodnych po służbie na niszczycielach, skróconej ze względu na ciągłe napady choroby morskiej. No i pewnie dlatego, że nie przeszkadzała mu ciasnota panująca na okrętach podwodnych, której wielu nie wytrzymuje.

- Ależ Marku Aleksandrowiczu, w taki dzień jak dzisiaj w Gorkim kwitną kwiaty.

- Niby jakie, towarzyszu oficerze polityczny? - spytał Ramius, lustrując zatokę przez lornetkę.

Choć minęło południe, na południowym wschodzie słońce ledwo wystawało ponad horyzont, rzucając pomarańczowe światło i kładąc na wysokich skałach purpurowe cienie.

- Jak to jakie, te na szybach, malowane przez mróz - zarechotał Putin. - W taki dzień jak dzisiaj kobiety i dzieci mają rumiane twarze, para z ust ciągnie się za wami niby cień, a wódka smakuje jak

nigdy. Ech, żeby tak być teraz w Gorkim!

Ten skurwiel powinien pracować w „Inturiscie”, pomyślał Ramius, tyle że Gorki jest zamknięte dla cudzoziemców. Był tam dwukrotnie. Wydało mu się typowym radzieckim miastem, pełnym ruder, brudnych ulic i nędznie ubranych ludzi. I jak w większości miast, w tym kraju zima była najładniejszą porą roku. Śnieg przykrywał cały brud. Ramius, na wpół

Litwin, pamiętał z dzieciństwa lepsze miejsce - nadmorską wioskę, której hanzeatycka przeszłość pozostawiła w spadku rzędy okazałych domów.

W zasadzie nie zdarzało się, by ktoś innej narodowości niż rosyjska znalazł się na pokładzie okrętu podwodnego, a co więcej, by nim dowodził. Jednakże ojciec Marka, Aleksander Ramius, był prawdziwym, oddanym sprawie starym komunistą, który wiernie i sumiennie służył Stalinowi. Kiedy Rosjanie po raz pierwszy zajęli Litwę w 1940 roku, stary Ramius miał swój udział w obławach na opozycjonistów, sklepikarzy, księży i innych, którzy mogli okazać się kłopotliwi dla nowego reżimu. Wszyscy zostali wywiezieni, a ich los nawet dla dzisiejszej Moskwy pozostaje tajemnicą. Rok później, w trakcie inwazji niemieckiej, Aleksander walczył bohatersko jako komisarz ludowy i wstąpił się w bitwie pod Leningradem. W 1944 roku wrócił na ziemie rodzinne w awangardzie Jedenastej Armii Gwardyjskiej, by wziąć krwawy odwet na tych, którzy kolaborowali z Niemcami lub byli o to podejrzani. Aleksander był prawdziwym bohaterem Związku Radzieckiego, a Marko ogromnie wstydził się takiego ojca. Podczas koszmarnie długiego oblężenia Leningradu żona Aleksandra podupała na zdrowiu i zmarła przy porodzie Marka. Chłopiec wychowywał się na Litwie u babki ze strony ojca, który tymczasem przechadzał się dumnie po wileńskim Komitecie Centralnym, czekając na przeniesienie do Moskwy. W końcu otrzymał upragniony awans, był nawet zastępcą członka Biura Politycznego, zmarł jednak przedwcześnie na atak serca.

Poczucie wstydu nie zawładnęło wszakże Markiem całkowicie. To dzięki pozycji ojca realizacja obecnego planu stała się możliwa, a Marko zamierzał zemścić się na tym kraju za śmierć tysięcy rodaków, którzy zginęli, zanim jeszcze się urodził.

- Tam, gdzie płyniemy, będzie jeszcze zimniej, Iwanie Jurijewiczu.

Putin poklepał kapitana po ramieniu. Czy ten gest jest szczerzy? - pomyślał Marko.

Pewnie tak. Ramius był z gruntu uczciwy i uznał, że ten niski, hałaśliwy idiota miewał także ludzkie odruchy.

- Jak to jest, towarzyszu kapitanie, że za każdym razem wydajecie się szczęśliwi, wypływając w morze i rozstając się z *rodiną*?

Ramius uśmiechnął się zza lornetki.

- Marynarz, Iwanie Jurijewiczu, ma jedną ojczyznę, ale dwie żony. Nigdy tego nie zrozumiecie. Teraz płynę do drugiej, tej zimnej, bez serca, do której należy moja dusza -

Ramius na chwilę zawiesił głos, a uśmiech znikł z jego twarzy. - Teraz jest to moja jedyna żona.

Zauważył, że tym razem Putin nie odpowiedział. W ów dzień, gdy trumna z lśniącego sosnowego drewna znikła w komorze kremacyjnej, oficer polityczny ronił prawdziwe łzy.

Śmierć Natalii Bogdanowej Ramius była w jego oczach nie tylko powodem do smutku, lecz także dziełem bezdusznego Boga, którego istnienie przez cały czas negował.

Dla Ramiusa była to jednak zbrodnia dokonana przez państwo, a nie przez Boga.

Niepotrzebna, straszliwa zbrodnia, która wymaga odwetu.

- Lód. - Obserwator wskazał palcem.

- Z prawej burty zleń kry albo bryła oderwana ze wschodniego lodowca.

Miniemy go z daleka - powiedział Kamarow.

- Towarzyszu kapitanie! - odezwał się metalicznie głośnik na mostku. - Wiadomość z dowództwa floty.

- Odczytajcie.

- *Rejon manewrów czysty. Żadnych jednostek nieprzyjacielskich. Działać według rozkazów. Podpisane Korow, dowódca floty.*

- Zrozumiałem - odparł Ramius. Rozległ się suchy szcęk odkładanej słuchawki. -

Więc nie kręcą się tam żadni *Amerikancy*?

- Wątpicie w słowa dowódcy floty? - zdziwił się Putin.

- Mam nadzieję, że się nie myli - odparł Ramius. Oficer polityczny pewnie nie pochwalał jego szczerości. - Ale przypomnijcie sobie ostatnie szkolenia.

Putin przestąpił z nogi na nogę. Widać zrobiło mu się zimno.

- Amerykańskie okręty podwodne Los Angeles klasy 688. Pamiętacie, czego dowiedział się nasz agent od amerykańskiego oficera? Mogą podkraść się do wieloryba i wypieprzyć go, zanim ten zauważy, co się dzieje. Swoją drogą, ciekaw jestem, jak KGB

zdobyło tę informację? Piękna agentka radzieckiego wywiadu, zachowująca się zgodnie z obyczajami zgniłego Zachodu, chuda, w guście imperialistów, blondynka... - kapitan chrząknął, rozbawiony. - Pewnie amerykański oficer lubił się przechwalać i chciał zrobić z nią to, co ich okręt z wielorybem, i pewnie był na bani, jak to marynarze. A teraz poważnie, musimy wystrzegać się amerykańskich *Los*

Angeles i nowych angielskich *Trafalgarów*. To dla nas poważne zagrożenie.

- Amerykanie nie są źli w produkcji zbrojeniowej, towarzyszu kapitanie - stwierdził

Putin. - Ale też nie jedyni. Ich technika nie jest aż taka znów wspaniała. *Nasza łutsza* -

zakończył triumfalnie. *Nasza lepsza*.

Ramius pokiwał głową w zamyśleniu. Polityczni naprawdę powinni mieć jakieś pojęcie o jednostkach, które nadzorują z ramienia partii.

- Iwanie Jurijewiczu, a nie mówili wam chłopci spod Gorkiego, żeby nie wywoływać wilka z lasu? Ale nie przejmujcie się, myślę, że na tym okręcie damy im nauczkę.

- Jak powiedziałem w Głównym Zarządzie Politycznym - Putin ponownie klepnął

Ramiusa po ramieniu - „Czerwony Październik” jest w najlepszych rękach!

Słyszając to, Ramius i Kamarow pozwolili sobie na uśmiech. Ty sukinsynu, pomyślał

kapitan, masz czelność mówić przy moich ludziach, że od twojej opinii zależy decyzja o tym, czy nadaję się na dowódcę okrętu! Od opinii człowieka, który nie poradziłby sobie nawet w słoneczny dzień na pontonie! Szkoda, że nie dożyjesz chwili, w której musiałbyś odszczekać swoje słowa, towarzyszu oficerze polityczny, i spędzić resztę życia w gułagu za niedocenianie przeciwnika. Tylko dlatego warto by cię zostawić przy życiu.

Kilka minut później fale przybrały na sile, powodując kołysanie okrętu, jeszcze bardziej dokuczliwe ze względu na wysokość kiosku. Putin znalazł pretekst, by zejść pod pokład. Wciąż kiepsko znosił większą falę. Ramius spojrzał znacząco na Kamarowa, który uśmiechem przyznał mu rację. Ich milcząca pogarda dla politruka była w swej naturze ze wszech miar antyradziecka.

Druga godzina od wyjścia z portu minęła szybko. W miarę wychodzenia na otwarte morze, fale rosły i pilotujący ich lodołamacz ciężko zapadał się w bruzdy. Ramius przyglądał

mu się z zainteresowaniem. Nigdy nie pływał na lodołamaczu, zawsze służył tylko na okrętach podwodnych. Były znacznie wygodniejsze, ale też bez porównania mniej bezpieczne. Przywykł jednak do niebezpieczeństwa i wieloletnie doświadczenie okazało się teraz bardzo przydatne.

- Pława, kapitanie. - Kamarow wskazał palcem czerwone światelko poruszające się wśród fal.

- Centrala, podać głębokość - rzucił Ramius przez telefon.

- Pod kilem sto metrów, towarzyszu kapitanie.

- Dwie trzecie naprzód, ster lewo dziesięć. - Ramius spojrzał na Kamarowa. -

Zasygnalizujcie „Purdze” zmianę kursu. Miejmy nadzieję, że nie zawróci w złą stronę.

Kamarow sięgnął pod zrębnicę mostka po małą lampę sygnałową. „Czerwony Październik” nabierał powoli prędkości. Jego masa - całe trzydzieści tysięcy ton - stawiała silnikom duży opór. Fala dziobowa wkrótce wzrosła do trzech metrów, przetaczając przez pokład raketowy spienione grzywacze rozbijające się o kiosk. „Purga” zmieniła kurs w prawo, przepuszczając ich w bezpiecznej odległości.

Ramius obejrzał się na urwiste skały Zatoki Kolskiej zawdzięczające obecą postać bezlitosnym lodowcom sprzed tysięcy lat. Ileż to razy w czasie swej dwudziestoletniej służby w sławetnej Flocie Północnej spoglądał na tę zamkniętą przestrzeń w kształcie litery U? Ale to już po raz ostatni. Tak czy inaczej, nigdy tu nie wróci. Ciekawe, jak się to skończy? Musiał

uczciwie przyznać, że jest mu wszystko jedno. Może opowieści babki były prawdziwe i Bóg naprawdę istnieje, podobnie jak nagroda za uczciwe życie. Miał nadzieję, że tak jest w istocie, że Natalia nie umarła naprawdę. Tak czy inaczej, nie mógł już zawrócić. W ostatniej poczcie, zabranej na ląd przed wypłynięciem w morze, znajdował się jego list. Nie było już odwrotu.

- Kamarow, nadajcie na „Purgę”: zanurzenie - zerknął na zegarek - o trzynastej dwadzieścia. Zaczynamy manewry „Jesienne Mrozy” zgodnie z harmonogramem. Wasze zadanie zakończone. Wracamy według planu.

Kamarow przekazał wiadomość, naciskając spust lampy sygnałowej. „Purga”

odpowiedziała natychmiast i Ramius sam odczytał wiadomość.

- Chyba że was zjedzą wieloryby. Powodzenia.

Znów podniósł słuchawkę i nacisnął guzik łączący z kabiną radiową. Do dowództwa floty w Siewieromorsku polecił nadać depezę tej samej treści, co na „Purgę”, po czym połączył się z centralą.

- Głębokość pod kilem?

- Sto czterdzieści metrów, towarzyszu kapitanie.

- Przygotować się do zanurzenia - polecił Ramius.

Następnie odesłał obserwatora pod pokład. Chłopak szybko ruszył do włazu. Zapewne z radością wracał do ciepłych pomieszczeń, przystanął jednak na chwilę, by po raz ostatni spojrzeć na zasnutę chmurami niebo i oddalające się skaliste brzegi. Wypływanie w morze na okręcie podwodnym jest zawsze ekscytujące, ale zarazem trochę smutne.

- Schodź, Grigorij. Jak zejdziesz pod pokład, przejmij dowodzenie.

Kamarow skinął głową i zniknął w luku, zostawiając kapitana samego.

Ramius po raz ostatni uważnie zlustrował horyzont. Ledwo widoczne słońce za rufą, ołowiane niebo i czarne morze, tu i ówdzie upstrzone białymi plamami grzywaczy.

Zastanawiał się, czy to pożegnanie ze światem. Jeżeli tak, wolałby widzieć coś weselszego.

Schodząc, zatrzasnął pokrywę wjazdu, mocno pociągając za łańcuch, i sprawdził, czy automatyczny mechanizm zaskoczył. Następnie zszedł osiem metrów w dół przez kiosk do kadłuba, a potem jeszcze dwa metry niżej do centrali. Miczman zatrzasnął wewnętrzny wjazd i przekręcił zamek do oporu.

- Grigorij? - Ramius czekał na informacje.

- Włazy zamknięte - zameldował nawigator, wskazując na pulpit sterowania zanurzeniem. Wskaźniki migotały na zielono, wskazując, że kadłub jest hermetycznie zamknięty.

- Wszystkie układy sprawne. Trym wyrównany. Okręt gotowy do zanurzenia.

Kapitan osobiście sprawdził wskaźniki instalacji mechanicznych, elektrycznych i hydraulicznych. Skinął głową i miczman otworzył odpowietrzniki balastów.

- Zanurzenie - rozkazał Ramius, podchodząc do peryskopu, żeby zwolnić starypoma Wasyla Borodina, swego pierwszego oficera.

Kamarow włączył alarm zanurzeniowy i kadłub rozbrzmiał głośnym dźwiękiem syreny.

- Pełny balast. Wyrównać stery głębokości. Dziesięć stopni w dół na sterach -

zarządził nawigator, sprawdzając, czy każdy należycie wykonuje swoje zadanie.

Ramius tylko słuchał z uwagą. Kamarow był najlepszym z młodych oficerów, jakimi kiedykolwiek dowodził, i dawno już zyskał sobie jego pełne zaufanie.

Po otwarciu odpowietrzników w górnej części zbiorników kadłub okrętu wypełniał

szum uchodzącego z nich powietrza, wypychanego przez wodę napływającą dolnymi zaworami. Był to proces powolny, gdyż okręt miał wiele zbiorników balastowych podzielonych na mniejsze części. Ramius przesunął w dół okular peryskopu. Zobaczył czarną, pieniającą się co chwila wodę.

„Czerwony Październik” był największym i najdoskonalszym okrętem, jakim Ramius kiedykolwiek dowodził, miał jednak poważną wadę. Z jednej strony dysponował ogromną mocą silników i nowym systemem napędowym, za pomocą którego kapitan zamierzał

wywieść w pole zarówno amerykańskie, jak i radzieckie okręty, jednak z drugiej strony jego rozmiary sprawiały, że poruszał się w tempie okaleczonego wieloryba, wynurzając się niesłychanie wolno, a zanurzając jeszcze wolniej.

- Peryskop zalany. - Ramius dopiero po dłuższej chwili oderwał wzrok od przyrządu. -

Peryskop w dół.

- Głębokość czterdzieści metrów - powiedział Kamarow.

- Wyrównać na stu. - Ramius przyjrzał się swoim ludziom.

Pierwsze zanurzenie może napędzić stracha nawet doświadczonemu marynarzowi, a cóż dopiero takim świeżo przeszkolonym chłopakom ze wsi, jacy stanowili połowę załogi.

Kadłub trzeszczał i wydawał przeraźliwe dźwięki pod ciśnieniem otaczającej go wody.

Trzeba czasu, żeby się do tego przyzwyczaić. Kilku młodszych marynarzy zbladło, stali jednak twarzo na stanowiskach.

Kamarow zaczął manewr wyrównywania na odpowiedniej głębokości. Precyzyjnie wydawał odpowiednie rozkazy. Patrząc na niego, Ramius czuł taką dumę, jakby obserwował

własnego syna. Kamarow był pierwszym oficerem, którego zwerbował. Załoga centrali błyskawicznie wykonywała jego rozkazy. Pięć minut później, na dziewięćdziesięciu metrach, szybkość zanurzania zmalała, a po kolejnych dziesięciu spadła do zera.

- Dobra robota, towarzyszu poruczniku. Przejmijcie dowodzenie. Zmniejszyć szybkość do jednej trzeciej. Prowadzić nasłuch hydroakustyczny na wszystkich systemach pasywnych. - Ramius skinął na Putina i ruszył do drzwi.

I tak to się zaczęło...

Ramius i Putin poszli w stronę rufy, do mesy oficerskiej. Kapitan otworzył drzwi, przepuścił przodem oficera politycznego, po czym zamknął je za sobą na klucz. Mesa oficerska na „Czerwonym Październiku” była, jak na okręt podwodny, całkiem obszerna i znajdowała się między kambuzem a kajutami oficerów. Dźwiękoszczelne ściany i zamek w drzwiach świadczyły o tym, że konstruktorzy okrętu przewidzieli, że nie wszystko, o czym mówią oficerowie, jest przeznaczone dla uszu załogi. Było to pomieszczenie wystarczająco duże, żeby wszyscy mogli jeść jednocześnie, choć zawsze co najmniej trzech stało w tym czasie na wachcie. Tu też znajdowała się kasa pancerna z rozkazami operacyjnymi.

Widocznie uznano, że to lepsze miejsce niż kabina kapitana, gdzie mógłby skorzystać z tego, że jest sam i dobrać się do zawartości. Kasa pancerna miała dwa zamki szyfrowe. Ramius znał kombinację jednego, a Putin drugiego. Cała ostrożność była właściwie zbędna, gdyż Putin i tak bez wątplenia wiedział, jakie dostali rozkazy. Ramius zresztą też, choć tylko w ogólnych zarysach.

Putin nalał herbatę, a kapitan porównał swój zegarek z zegarem na grodzi. Za piętnaście minut będzie można otworzyć kasę. Uprzejmość Putina wprawiała Ramiusa w zakłopotanie.

- Mamy przed sobą dwa tygodnie odosobnienia - stwierdził zampolit, mieszając herbatę.

- Amerykanie pływają w zanurzeniu przez dwa miesiące. Inna sprawa, Iwanie Jurijewiczu, że ich okręty są bez porównania wygodniejsze.

Mimo ogromu „Października”, pomieszczenia załogi mogłyby zawstydzić nawet strażnika z łagru. Piętnastu oficerów zakwaterowano w dość wygodnych kabinach na rufie, jednakże pozostała stuosobowa załoga gnieździła się we wszystkich możliwych zakamarkach kadłuba na dziobie, przed przedziałem raketowym. Wielkość „Października” była złudna.

Wnętrze podwójnego kadłuba wypełniały szczelnie rakiety, torpedy, reaktor atomowy wraz z oprzyrządowaniem, ogromna zapasowa siłownia. Dziesięć razy większa od amerykańskich bateria niklowo-kadmowych akumulatorów znajdowała się między zewnętrznym a wewnętrznym poszyciem. Obsługa i utrzymanie takiego okrętu wymagało wiele wysiłku ze strony stosunkowo niewielkiej załogi, mimo że „Czerwony Październik” był najbardziej zautomatyzowaną i najnowocześniejszą jednostką w radzieckiej marynarce. Może rzeczywiście marynarzom nie są potrzebne koje z prawdziwego zdarzenia, skoro mogą w nich spędzać jedynie od czterech do sześciu godzin na dobę. To akurat działało na korzyść Ramiusa. Połowę załogi stanowili rekruci płynący po raz pierwszy w rejsie bojowym, a zresztą nawet najbardziej doświadczeni marynarze wiedzieli tylko to, co niezbędne. W

przeciwieństwie do okrętów zachodnich, sprawność załogi zależała od jedenastu miczmanów, którzy zostali tak wyszkoleni, by robić dokładnie to, co rozkażą oficerowie. Tych zaś wybrał

Ramius osobiście.

- Chcielibyście tak pływać przez dwa miesiące? - zapytał Putin.

- Zdarzało mi się na okrętach o napędzie klasycznym. Miejsce okrętu podwodnego jest na morzu, Iwanie Jurijewiczu. Naszym zadaniem jest posiać strach w sercach imperialistów.

Nie osiągniemy tego, tkwiąc w tej budzie w Polarnym, ale też nie możemy zostać na morzu dłużej niż dwa tygodnie, bo załoga straci sprawność bojową. Za czternaście dni ta zbieranina dzieciaków zamieni się w bezmyślne roboty. - Ramius bardzo na to liczył.

- I mamy temu zaradzić, wprowadzając kapitalistyczne luksusy? - zapytał drwiąco Putin.

- Prawdziwy marksista jest obiektywny, towarzyszu oficerze polityczny - odparł z naganą Ramius, delektując się tą ostatnią już dyskusją z Putinem. - Obiektywnie rzecz biorąc, należy uznać, że dobre jest to, co pomaga w wykonaniu naszego zadania, a złe to, co przeszkadza. Przeciwności mają nie tłumić, ale hartować ducha i umiejętności. Czy już sama konieczność służby pod wodą nie stanowi wystarczającej próby?

- Nie dla was - rzekł Putin, uśmiechając się znad herbaty.

- Jestem marynarzem, czego nie można powiedzieć o naszej załodze. Większość z nich nigdy nie będzie ludźmi morza. To zbieranina wiejskich chłopaków, którzy marzą o pracy w fabryce. Musimy

się z tym pogodzić. My w młodości byliśmy zupełnie inni.

- To prawda - przyznał Putin. - Nigdy nie jesteście zadowoleni, towarzyszu kapitanie.

I myślę, że to właśnie tacy, jak wy, wymuszają postęp na nas wszystkich.

Obaj dobrze wiedzieli, dlaczego radzieckie okręty podwodne spędzają na morzu tak mało czasu, zaledwie piętnaście procent, i że nie ma to nic wspólnego z brakiem wygod dla załogi. „Czerwony Październik” miał na pokładzie dwadzieścia sześć rakiet *Seahawk* SS-N-20, a każda z nich zawiera osiem głowic samonaprowadzających. Jedna głowica to ładunek jądrowy o mocy pięciuset kiloton. Całość mogła zniszczyć ponad dwieście miast. Startujące z lądu bombowce mogły latać tylko kilka godzin i musiały wracać do bazy. Lądowe wyrzutnie rakiet balistycznych rozmieszczono wzdłuż głównych radzieckich szlaków kolejowych biegnących ze wschodu na zachód, tak aby oddziały wojsk KGB mogły w porę dotrzeć do jednostki, której dowódca nagle zechciałby wykorzystać pełnię swojej władzy. Okręty podwodne natomiast są z zasady niezależne od jakiegokolwiek kontroli z lądu. Ich zadanie polega właśnie na tym, żeby były nieuchwytnie.

Marko dziwił się, że rząd w ogóle się na nie zdecydował. Załogi takich okrętów muszą cieszyć się pełnym zaufaniem. Dlatego też wypływają o wiele rzadziej niż zachodnie, a jeśli już wychodzą w morze, na pokładzie zawsze znajduje się oficer polityczny, swego rodzaju drugi dowódca, który zatwierdza każdą decyzję kapitana.

- A waszym zdaniem, *Ramius*, można pływać z tymi wieśniakami przez dwa miesiące?

- Wiecie, że wolę tylko częściowo przeszkoloną załogę. Wtedy mniej rzeczy trzeba ich oduczać. I mogę zrobić z nich prawdziwych marynarzy, po swojemu. Czyżbym uprawiał

kult jednostki, to znaczy siebie?

- Padł już kiedyś taki zarzut pod waszym adresem. - Putin uśmiechnął się, zapalając papierosa. - Jesteście jednak naszym najlepszym wychowawcą i dobrze wiadomo, że można wam ufać.

To prawda. Spod ręki *Ramiusa* wyszły setki oficerów i marynarzy, którzy zawsze sprawdzali się na innych okrętach. Jeszcze jeden paradoks. Jak można mówić o zaufaniu w społeczeństwie, które właściwie nie zna tego pojęcia? *Ramius* był oczywiście lojalnym członkiem partii, synem zasłużonego dla partii człowieka, którego trumnę niosło trzech członków Biura Politycznego. Putin pogroził palcem.

- Powinniście kierować jedną z naszych wyższych szkół morskich, towarzyszu kapitanie. Wtedy wasz talent lepiej by służył krajowi.

- Wbrew temu, co o mnie mówią, jestem marynarzem, Iwanie Jurijewiczu. Tylko marynarzem. Mądry człowiek zna swoje miejsce. - A odważny wykorzystuje nadarzające się okazje, dodał w duchu.

Wszyscy oficerowie na pokładzie pływali już pod dowództwem *Ramiusa*, z wyjątkiem trzech

podporuczników, którzy powinni wykonywać rozkazy z równym zapałem, co każdy świeżo upieczony matros, oraz lekarza, który się nie liczył.

Zegar zadzwonił cztery razy.

Ramius wstał i ustawił trzycyfrową kombinację na jednej z dwóch tarcz. Putin zrobił

to samo i kapitan pociągnął za dźwignię, otwierając okrągłe drzwiczki kasy pancernej. W

środku leżała szara koperta, cztery książki szyfrowe oraz współrzędne celów rakiet. Ramius wyjął kopertę, zamknął drzwiczki i zanim usiadł, przekręcił obie tarcze zamków.

- I jak sądzicie, Iwanie Jurijewiczu, co mówią nasze rozkazy? - zapytał teatralnie.

- Żebyśmy wypełnili obowiązek, towarzyszu kapitanie - odparł Putin z uśmiechem.

- Słusznie. - Ramius złamał pieczęć na kopercie i wyjął czterostronicowy rozkaz.

Odczytał go szybko, bo też zadanie nie było skomplikowane.

- Mamy płynąć do kwadratu 54-90, na spotkanie z podwodnym okrętem torpedowym

„W. K. Konowałow” dowodzonym od niedawna przez kapitana Tupolewa. Znacie Wiktora Tupolewa? Nie? Wiktor będzie nas ochraniał przed imperialistycznymi intruzami, a jednocześnie przez cztery dni manewrów sprawdzimy, czy uda mu się nas wykryć. - Ramius roześmiał się. - W zarządzie okrętów podwodnych ciągle jeszcze nie wymyślili, jak wykryć nasz nowy system napędowy. Amerykanie też tego nie rozgryzą. Mamy ograniczyć działania do kwadratu 54-90 i sąsiednich. To powinno ułatwić zadanie Wiktorowi.

- Ale nie pozwolicie, żeby nas wykrył?

- Oczywiście, że nie - prychnął pogardliwie Ramius. - Pozwolić się wykryć? Też coś.

Wiktor jest jednym z moich uczniów, Iwanie Jurijewiczu, a przeciwnikom nie daje się forów nawet w czasie manewrów. Imperialiści też nam nie dadzą! Próbując wykryć nas, Wiktor szkoli się jednocześnie w lokalizowaniu okrętów rakietowych nieprzyjaciela. Moim zdaniem ma szansę, żeby nas złapać. Obszar ćwiczeń jest ograniczony do dziewięciu kwadratów, a więc do powierzchni czterdziestu tysięcy kilometrów kwadratowych. Zobaczymy, czego się nauczył od czasu, gdy z nami służył. Ach prawda, nie pływaliście ze mną, kiedy dowodziłem

„Susłowem”.

- Nie jesteście chyba rozczarowani?

- Nie. Czterodniowe ćwiczenia z „Konowałowem” to ciekawe urozmaicenie.

Ty zakłamanym skurczybyku, pomyślał Marko, znałeś wcześniej rozkazy i oczywiście znasz Wiktora Tupolewa. Już czas. Putin wypalił do końca papierosa, dopił herbatę i dopiero wtedy wstał.

- A więc znów zobaczę naszego znakomitego kapitana w akcji, jak wywodzi w pole chłoptysia. - Putin zwrócił się ku drzwiom. - Myślę, że...

W chwili, gdy polityczny odchodził od stołu, Ramius podciął go kopniakiem. Putin poleciał do tyłu. Kapitan zerwał się z miejsca, silnymi marynarskimi rękami złapał go za głowę i karkiem uderzył prosto w ostry, okuty metalem róg stołu. Jednocześnie przygniół mu klatkę piersiową, ale nie było to konieczne. Kark Putina pękł z koszmarnym trzaskiem.

Kręgosłup został przerwany na wysokości drugiego kręgu szyjnego, tak precyzyjnie, jak u wisielca.

Oficer polityczny nie miał czasu na jakąkolwiek reakcję. Nerwy koordynujące funkcjonowanie organów i mięśni od karku w dół zostały nagle przerwane. Putin usiłował

krzyknąć, powiedzieć coś, lecz tylko otworzył usta i zamknął je bezgłośnie z ostatnim wydechem. Próbował łykać powietrze niczym ryba wyrzucona na brzeg, ale bezskutecznie. W

szeroko otwartych ze zdumienia oczach, zwróconych na Ramiusa, nie było bólu, nie malowało się w nich żadne uczucie poza zdziwieniem. Kapitan ułożył go delikatnie na pokładzie.

Po twarzy Putina przemknął błysk zrozumienia, lecz wkrótce zgasł. Ramius schylił

się, by zbadać puls. Praca serca ustała dopiero po dwóch minutach. Upewniwszy się, że oficer polityczny nie żyje, wziął ze stołu dzbanek z herbatą i wylał na podłogę zawartość mniej więcej dwóch szklanek, celowo ochlapując buty Putina. Następnie podniósł ciało, położył je na stole i gwałtownie otworzył drzwi.

- Doktorze Pietrow, natychmiast do mesy!

Kabina lekarza znajdowała się zaledwie kilka kroków dalej w stronę rufy. Pietrow zjawił się natychmiast, a jednocześnie z centrali nadbiegł Wasyl Borodin.

- Poślizgnął się na pokładzie w miejscu, gdzie rozlała mi się herbata. - Zdyszany Ramius uciskał klatkę piersiową Putina, pozorując masaż serca. - Próbowałem go złapać, ale uderzył głową o kant stołu.

Pietrow odsunął kapitana na bok, obrócił ciało, wskoczył na stół i ukląkł nad zwłokami. Rozerwał koszulę, po czym zbadał oczy zmarłego. Żrenice były rozszerzone i nieruchome. Doktor obmacał głowę i kark. Tu się zatrzymał i powoli potrząsnął głową.

- Towarzysz Putin nie żyje. Ma złamany kark. - Lekarz zamknął oczy zampolita.

- Nie! - krzyknął Ramius. - Jeszcze chwilę temu żył! - Dowódca okrętu szlochał. - To moja wina!

Próbowałem go podtrzymać, ale bez skutku. Moja wina! - Opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.
- Moja wina. - Z wściekłością potrząsnął głową, najwyraźniej próbując odzyskać panowanie nad sobą. Było to znakomite przedstawienie.

- To wypadek, towarzyszu kapitanie. - Pietrow położył mu dłoń na ramieniu. - Takie rzeczy zdarzają się nawet najbardziej doświadczonym marynarzom. Nie ma w tym waszej winy. Naprawdę.

Ramius zaklął pod nosem, wracając do równowagi.

- Czy naprawdę nic nie możecie zrobić?

- Nawet w naszej najlepszej klinice nic by nie poradzili. - Pietrow pokręcił głową. -

Sprawa jest przesądzona w chwili, gdy pęka rdzeń kręgowy. Śmierć następuje właściwie natychmiast... i całkiem bezboleśnie - dodał na pocieszenie.

Ramius wyprostował się i odetchnął głęboko, z zaciętą twarzą.

- Towarzysz Putin był dobrym kolegą, wiernym członkiem partii i świetnym oficerem.

- Kątem oka zauważył grymas na twarzy Borodina. - Towarzysze, pomimo wypadku będziemy kontynuować zadanie! Doktor Pietrow umieści ciało w chłodni. Wiem, że to straszne, ale towarzysz Putin zasługuje na pogrzeb z honorami wojskowymi i udziałem całej załogi, gdy tylko wrócimy do portu.

- Czy powiadomimy dowództwo floty? - zapytał Pietrow.

- Nie możemy. Rozkaz wymaga zachowania całkowitej ciszy radiowej. - Ramius wyciągnął z kieszeni plik rozkazów operacyjnych i wręczył je doktorowi. Innych niż te, które wyjął z kasy pancерnej. - Zobaczcie na stronie trzeciej, towarzyszu doktorze.

W miarę czytania, oczy Pietrowa robiły się coraz większe ze zdziwienia.

- Wolałbym zameldować o wszystkim, ale rozkaz jest wyraźny: żadnych sygnałów radiowych od chwili zanurzenia, bez względu na okoliczności.

Pietrow oddał kapitanowi dokument.

- Szkoda, nasz towarzysz na pewno by się ucieszył. Ale co rozkaz, to rozkaz.

- I musimy go wypełnić.

- Sam Putin nie postąpiłby inaczej - przyznał Pietrow.

- Borodin, proszę uważać: na waszych oczach, zgodnie z regulaminem, zdejmuję z szyi towarzysza

oficera politycznego klucz do odpalania rakiet. - Ramius schował zawieszony na łańcuszku klucz do kieszeni.

- Widzę i odnotuję to w dzienniku okrętowym - oznajmił uroczyście pierwszy oficer.

Pietrow sprowadził sanitariusza. Razem zanieśli ciało do kabiny lekarskiej i umieścili w specjalnym plastikowym worku.

Następnie sanitariusz z pomocą dwóch marynarzy przeniósł je przez centralę do przedziału raketowego. Wejście do chłodni znajdowało się na dolnym pokładzie raketowym.

Tam też wnieśli zwłoki Putina i z szacunkiem złożyli w rogu, a dwaj kucharze zabrali się do przesuwania żywności, by zrobić miejsce dla zmarłego. Na rufie lekarz wraz z pierwszym oficerem sporządzili spis rzeczy osobistych zmarłego. Jedną kopię załączono do raportów służby medycznej, drugą do dziennika okrętowego, a trzecią zapieczętowano w specjalnym pudełku, które zamknięto w gabinecie lekarskim.

Tymczasem Ramius przejął dowodzenie w nienaturalnie cichej centrali. Podał kurs dwieście dziewięćdziesiąt, kierunek zachodni południowo-zachodni. Kwadrat 54-90 leżał na wschodzie...

Dzień drugi

SOBOTA, 4 GRUDNIA

„Czerwony Październik”

W marynarce radzieckiej panuje zwyczaj, że oficer dowodzący ogłasza rozkazy operacyjne i wzywa załogę do ich wypełnienia w prawdziwie radzieckim duchu. Rozkazy wywiesza się następnie przed okrętową Salą Leninowską, tak żeby wszyscy mogli się z nimi osobiście zapoznać i czerpać z nich natchnienie. Na dużych jednostkach nawodnych w Sali Leninowskiej odbywa się szkolenie polityczne. Na „Czerwonym Październiku” była to tylko mała wnęka w pobliżu mesy, gdzie na półce trzymano książki i materiały propagandowe.

Ramius ogłosił rozkazy dopiero następnego dnia po wypłynięciu, dając załodze trochę czasu na złapanie pokładowej rutyny. Wygłosił jednocześnie krótkie przemówienie. Miał dużą wprawę i zawsze robił to dobrze. O ósmej rano, gdy przedpołudniowa wachta objęła służbę, pojawił się w centrali, wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki kilka zapisanych kartek.

- Towarzysze! - zaczął, podnosząc mikrofon. - Mówi kapitan. Jak wiecie, nasz drogi przyjaciel, towarzysz kapitan Iwan Jurijewicz Putin, zginął wczoraj w tragicznym wypadku.

Rozkazy nie pozwalają zawiadomić o tym dowództwa floty. Towarzysze, naszą pracę i wysiłek poświęcimy pamięci naszego drogiego towarzysza Putina, dobrego kolegi, oddanego członka partii i odważnego oficera. Towarzysze! Oficerowie i marynarze „Czerwonego Października”! Dostaliśmy rozkaz z dowództwa Floty Północnej, i jest to rozkaz godny tego okrętu i tej załogi! Towarzysze! Chodzi o ostateczne sprawdzenie naszego nowego, bezgłośnego systemu napędowego. Mamy skierować się na zachód, minąć Przylądek Północny w Norwegii, która, jak wiecie, jest imperialistyczną marionetką Ameryki, a następnie podążać w kierunku południowo-zachodnim na Atlantyk. Miniemy wszystkie sieci hydroakustyczne imperialistów i nie zostaniemy wykryci! Będzie to rzeczywisty sprawdzian okrętu i jego możliwości. Nasze jednostki rozpoczną zakrojone na szeroką skalę manewry, żeby nas zlokalizować, a jednocześnie zdeorientować arogancką imperialistyczną flotę.

Przede wszystkim nie możemy dać się złapać żadnej ze stron. Damy Amerykanom lekcję radzieckiej techniki, którą na długo zapamiętają! Zgodnie z rozkazami, popłyniemy dalej na południowy zachód wzdłuż wybrzeży Ameryki, rzucając wyzwanie ich najnowszym i najlepszym pościgowym okrętom podwodnym. Dotrzemy aż do bratniej, socjalistycznej Kuby i jako pierwszy okręt zawiniemy do nowej, ściśle tajnej bazy okrętów podwodnych, którą przez dwa lata budowaliśmy tuż pod nosem imperialistów na południowym wybrzeżu wyspy.

Okręt zaopatrzeniowy floty jest już w drodze i tam się z nami spotka. Towarzysze! Jeżeli nie wykryci przez imperialistów zdolamy dotrzeć na Kubę - a tak się stanie! - oficerowie oraz załoga „Czerwonego Października” dostaną tygodniową, powtarzam, tygodniową przepustkę, żeby móc odwiedzić naszych socjalistycznych braci na tej pięknej wyspie. Byłem tam kiedyś, towarzysze, i przekonacie się, że jest dokładnie tak, jak piszą w gazetach. Po prostu raj.

Palmy, ciepły wiatr i towarzyska atmosfera. - Ramius miał na myśli towarzystwo kobiet. -

Następnie tą samą drogą wrócimy do kraju. Oczywiście, do tego czasu imperialiści dowiedzą się o nas od węszących szpiegów i z raportów tchórzliwych samolotów rozpoznawczych.

Chcemy, żeby się dowiedzieli, zresztą i tak nie wykryją nas w drodze powrotnej. To ich nauczy, że nie można lekceważyć radzieckiej marynarki wojennej, bo w każdej chwili jest w stanie dotrzeć do ich wybrzeży, i że ze Związkiem Radzieckim trzeba się liczyć! Towarzysze!

Zrobimy wszystko, żeby pierwszy rejs „Czerwonego Października” przeszedł do historii!

Ramius podniósł wzrok znad kartki. Wachta w centrali wymieniała uśmiechy.

Radzieccy marynarze rzadko wyjeżdżają za granicę, a już prawie nie zdarza się, żeby okręt podwodny zawinął do obcego, nawet sojuszniczego portu. Co więcej, kubańskie plaże są dla Rosjan równie egzotycznym, co Tahiti, lądem z białym piaskiem i śniadymi dziewczętami.

Ramius wiedział swoje. W „Czerwonej Gwieździe” i innych gazetach czytywał wprawdzie o przyjemnościach służby na Kubie, tyle że sam niegdyś był w tym kraju. Kapitan przełożył

kartki. Koniec dobrych wiadomości.

- Towarzysze! Oficerowie i marynarze „Czerwonego Października”! - Przyszła pora na złe wieści, na które wszyscy czekali. - Nasze zadanie nie jest łatwe. Musimy dać z siebie wszystko. Trzeba zachować całkowitą ciszę radiową, a wszelkie zadania należy wykonywać bez zarzutu! Nagroda spotyka jedynie tych, którzy na nią zasłużą. Każdy członek załogi, od dowódcy po najmniej doświadczonego marynarza, musi wypełnić socjalistyczny obowiązek!

Zwycięzimy tylko razem, jako towarzysze i prawdziwi komuniści. Zwracam się teraz do najmłodszych marynarzy, którzy po raz pierwszy wypłynęli w morze: wypełniajcie rozkazy oficerów, miczmanów i bosmanów. Musicie nauczyć się swoich obowiązków i wykonywać je sumiennie. Na tym okręcie nie ma drugorzędnych zadań. Życie każdego z was spoczywa w rękach pozostałych. Wypełniajcie obowiązki, wykonujcie rozkazy, a kiedy wrócimy do portu, będziecie prawdziwymi radzieckimi marynarzami! To wszystko.

Ramius zwolnił przycisk mikrofonu i odłożył aparat na miejsce. Nie najgorsze przemówienie, stwierdził w duchu. Długa marchewka i krótki kij.

W kuchni na rufie jeden z podoficerów zamarł z gorącym bochenkiem chleba w rękę, patrząc w zdumieniu na zamontowany w grodzi głośnik. Nie takie przecież miały być rozkazy. Czyżby plan uległ zmianie? Miczman kazał mu wrócić do roboty, uśmiechając się przy tym radośnie na myśl o tygodniu wakacji. Wiele słyszał o Kubie i Kubankach i chciał

sprawdzić, ile w tym prawdy.

W centrali Ramius zastanawiał się głośno:

- Ciekawe, czy kręcą się w pobliżu jakieś amerykańskie okręty?

- Właśnie, towarzyszu kapitanie - odezwał się kapitan drugiej rangi Borodin, który pełnił wachtę. - Czy uruchomić „gąsienicę”?

- Zaczynajcie.

- Maszyna stop! - rozkazał Borodin.

- Rozkaz, maszyna stop! - Sygnalista - bosman - przesunął manetkę telegrafu maszynowego na pozycję STOP. Po chwili maszynownia potwierdziła rozkaz i kilka sekund później głucho dudnienie silników zamarło.

Borodin podniósł słuchawkę i połączył się z maszynownią.

- Towarzyszu główny mechaniku, przygotujcie się do włączenia „gąsienicy”.

Nie była to oficjalna nazwa nowego układu napędowego. Właściwie układ nie miał

żadnej nazwy, tylko numer kodowy. „Gąsienicą” nazwał go jeden z młodych inżynierów biorących

udział w pracach konstrukcyjnych. I jak to czasami bywa, nazwa się przyjęła, choć ani Ramius, ani Borodin nie wiedzieli dlaczego.

- Gotowi, towarzyszu Borodin - zameldował po chwili główny mechanik.

- Otworzyć wrota dziobowe i rufowe - rozkazał Borodin.

Miczman wachtowy sięgnął do tablicy przyrządów i uruchomił kolejno cztery przyciski. Nad każdym zgasło czerwone światło kontrolne i zapaliło się zielone.

- Wrota otwarte.

- Włączyć „gąsienicę”. Zwiększać prędkość stopniowo do trzynastu węzłów.

- Stopniowo zwiększać prędkość do trzynastu węzłów - potwierdził mechanik.

Po chwili ciszy kadłub rozbrzmiał nowym dźwiękiem, o wiele niższym i zupełnie innym od poprzedniego. Szumy reaktora, głównie z pomp obiegów chłodzących, stały się niemal nieuchwytnie. „Gąsienica” nie potrzebuje dużo mocy. Wskaźnik prędkości przy stanowisku miczmana, po zejściu do pięciu węzłów, znów zaczął iść w górę. W przedziale załogi, wciśniętym między przedział rakietowy a instalacje dziobowe, kilku śpiących marynarzy poruszyło się niespokojnie na kojach. Od strony rufy dobiegł ich przerywany łoskot, a zza ściany wewnętrznego kadłuba - szum silników elektrycznych. Spędzili na morzu tylko jeden dzień, ale byli tak zmęczeni, że mimo hałasu nie przerywali skąpo racjonowanego snu.

- „Gąsienica” działa, towarzyszu kapitanie - zameldował Borodin.

- Świetnie. Kurs dwieście sześćdziesiąt - zarządził Ramius.

- Rozkaz, kurs dwieście sześćdziesiąt. - Sternik przekręcił koło sterowe w lewo.

USS „Bremerton”

O pięćdziesiąt pięć kilometrów dalej na północny wschód USS „Bremerton” właśnie wychodził spod paku kursem dwieście dwadzieścia pięć. Był to okręt podwodny klasy 688.

Prowadził zwiad elektroniczny na Morzu Karskim, gdy nagle skierowano go na zachód od Półwyspu Kolskiego. Radziecki okręt rakietowy miał wypłynąć dopiero za tydzień, toteż kapitan „Bremertona” złościł się, że wywiadowi znów najwyraźniej coś się popieprzyło.

Gdyby „Czerwony Październik” wypłynął jak przewidywano, czekali by na niego we właściwym miejscu. Ale i tak, choć płynęli z prędkością czternastu węzłów, ich sonar namierzył przed kilkoma minutami radziecką jednostkę.

- Centrala, tu sonar.

- Słucham, centrala. - Komandor Wilson podniósł słuchawkę.

- Straciliśmy namiar. Parę minut temu wyłączyli śruby i dotychczas ich nie uruchomili. Rejestrujemy jakąś aktywność na wschodzie, ale okręt rakietowy zamilkł.

- W porządku. Rozpoczyna prawdopodobnie powolne dryfowanie. Przykleimy się do niego. Miejcie uszy otwarte. - Komandor Wilson zastanowił się przez chwilę nad tym, co usłyszał, i podszedł do stołu nakresowego. Stało tam dwóch oficerów kierowania ogniem, którzy właśnie ustalali namiary celu. Wyprostowali się, chcąc poznać zdanie kapitana.

- Na jego miejscu zszedłbym prawie na samo dno i krążył powoli mniej więcej w tym rejonie. - Wilson zatoczył na mapie koło wokół pozycji „Czerwonego Października”.

Zacznijmy deptać mu po piętach. Zwolnimy do pięciu węzłów i może uda nam się go zlokalizować po szumach z reaktora. Zmniejszyć prędkość do pięciu węzłów - zwrócił się do oficera wachtowego.

- Tak jest, panie kapitanie.

Siewieromorsk, ZSRR

Mężczyzna sortujący przesyłki na poczcie głównej w Siewieromorsku patrzył spode łba, jak kierowca furgonetki rzuca na jego stół duży brezentowy worek i wychodzi. Znowu się spóźnił, choć właściwie trudno mówić o spóźnieniu, skoro ten idiota ani razu w ciągu ostatnich pięciu lat nie zjawił się punktualnie, pomyślał urzędnik. Była sobota i wcale nie uśmiechało mu się pracować. Dopiero od paru lat obowiązywał w Związku Radzieckim czterdziestogodzinny tydzień pracy. Niestety, nie dotyczyło to nigdy tak ważnych usług jak doręczanie poczty. Nadal więc musiał pracować sześć dni w tygodniu, i to bez dodatkowego wynagrodzenia! To skandal, pomyślał. Powtarzał to zresztą nieraz u siebie w domu, gdzie przy wódce i ogórku grywał z kolegami w karty.

Odwiązał sznurek i obrócił worek do góry dnem. Wypadło kilka mniejszych paczek.

Nie ma pośpiechu. Dopiero początek miesiąca i jest mnóstwo czasu na przerzucenie planowej normy listów i paczek z jednego końca budynku na drugi. W Związku Radzieckim, gdzie państwo jest jedynym pracodawcą, powiada się: oni udają, że nam płacą, a my udajemy, że pracujemy.

Otworzył jeden z mniejszych worków i wyjął list. Wyglądająca na urzędową koperta, zaadresowana była do Głównego Zarządu Politycznego Marynarki Wojennej w Moskwie.

Obracając list w dłoniach, urzędnik zawahał się. Zapewne nadano go z któregoś z okrętów podwodnych cumujących w Polarnym, po drugiej stronie zatoki. Ciekawe, co zawiera? -

myślał, próbując odgadnąć treść listu, co jest ulubionym zajęciem urzędników pocztowych na całym świecie. Czy donosi, że wszystko gotowe do ostatecznego ataku na imperialistyczny Zachód? A może to lista członków partii zalegających ze składkami albo prośba o większy przydział papieru toaletowego? Trudno zgadnąć. Podwodniacy! Wszyscy tam zachowują się jak primadonny. Nawet poborowi ze wsi, którym słoma jeszcze wychodzi z butów, paradują, jakby należeli do samej elity partii.

Urzędnik miał sześćdziesiąt dwa lata. Podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej służył w gwardyjskiej jednostce pancernej wchodzącej w skład Pierwszego Frontu Ukraińskiego marszałka Koniewa. To było przynajmniej zajęcie godne mężczyzny, pomyślał. Wkraczało się do walki, siedząc na wielkim czołgu i zeskakiwało tylko w pogoni za kryjącymi się w okopach niemieckimi piechurami. Jak trzeba było walczyć z tymi łązęgami, to się walczyło.

A co się teraz stało z rosyjskimi żołnierzami? Żyją sobie na pokładach luksusowych okrętów, obżerają się smakołykami i wygrzewają w ciepłych łóżkach. Za jego czasów jedyne ciepłe miejsce do spania można było znaleźć na rurze wydechowej czołgowego diesla, i w dodatku musiał się jeszcze o nie bić! Nie do pomyślenia, jak ten świat się zmienił! Teraz marynarze zachowują się jak księżęta za cara, wysyłają tony listów i nazywają to pracą. Ci rozpieszczeni chłopcy nie wiedzą, co to trud. A ich przywileje! Każde napisane przez nich słowo ma bezwzględne pierwszeństwo. Przeważnie wypisują płaczliwe listy do ukochanych, a on musi je sortować nawet w sobotę, chociaż nie dostaną odpowiedzi wcześniej niż za dwa tygodnie.

Dawniej bywało inaczej.

Urzędnik niedbale rzucił kopertę na worek z pocztą do Moskwy na końcu stołu. Nie trafił i list spadł na betonową podłogę. Nie szkodzi, znajdzie się w pociągu dzień później.

Dziś wieczorem najważniejszy jest mecz hokejowy pierwszej połówki sezonu: Gwardia -

Dynamo. Założył się o pół litra, że wygra Dynamo.

Morrow, Anglia

To, co przysporzyło Halseyowi najwięcej popularności, okazało się jego największym błędem. Otaczający admirała nimb zapalczego bohatera przesłaniał następnym pokoleniom jego chłodny intelekt i instynkt wytrawnego hazardzisty w sprawach...

Jack Ryan z niesmakiem spojrział na ekran komputera. Za bardzo przypominało to pracę doktorską, a tę już miał za sobą. Zastanawiał się, czy nie skasować całego akapitu, ale się rozmyślił. Ta linia rozumowania jest mu potrzebna do napisania wstępu. Nie jest to może najlepsze, ale stanowi dogodny punkt wyjścia. Dlaczego wstępy zawsze są najtrudniejszą częścią pracy nad książką historyczną? Już od trzech lat pracuje nad *Walecznym żeglarzem*, autoryzowaną biografią admirała Williama Halseya. Prawie wszystko mieściło się na kilku dyskietkach leżących obok komputera Apple.

- Tatusiu? - Córka Ryana stała obok, przyglądając mu się uważnie.

- Jak się dzisiaj miewa moja mała Sally?

- Świetnie.

Ryan podniósł ją i posadził sobie na kolanie, odsuwając jednocześnie krzesło od klawiatury. Sally była doskonale obeznana z grami komputerowymi i programami edukacyjnymi, co niekiedy dawało jej poczucie, że poradzi sobie również z pisaniem tekstów.

Raz skończyło się to skasowaniem dwudziestu tysięcy słów zapisanych w pamięci. I laniem.

Oparła głowę na ramieniu ojca.

- Wyglądasz nie najlepiej. Co trapi moją małą dziewczynkę?

- Widzisz, tatusiu, już prawie Boże Narodzenie i... martwię się, czy Święty Mikołaj wie, gdzie jesteśmy. W zeszłym roku byliśmy gdzie indziej.

- Aha, rozumiem. I boisz się, że tu nie przyjdzie?

- Uhm.

- Dlaczego nie zapytałaś mnie o to wcześniej? Oczywiście, że przyjdzie. Obiecuję.

- Obiecujesz?

- Jasne.

- W porządku. - Pocałowała ojca i wybiegła z pokoju, wracając do oglądania kreskówek w „tele”, jak nazywają w Anglii telewizję. Ryan był zadowolony, że mu przerwała. Przed wyjazdem do Waszyngtonu musi pamiętać jeszcze o zrobieniu kilku rzeczy.

Gdzie jest... o właśnie. Z szuflady biurka wyjął dyskietkę i włożył do drugiej stacji dysków.

Oczyścił ekran i zrobił listę świątecznych zakupów. Jedna prosta komenda pozwoliła szybko wydrukować spis na stojącej obok drukarce. Ryan oderwał kartkę i schował ją do portfela.

Sobotni poranek nie nastrajał go do pracy. Postanowił pobawić się z dziećmi. Utkwił przecież w Waszyngtonie prawie na cały tydzień.

„W.K. Konowałow”

Radziecki podwodny okręt torpedowy „W.K. Konowałow” posuwał się wolno nad twardym piaszczystym dnem Morza Barentsa z prędkością trzech węzłów. Znajdował się na południowo-zachodnim skraju kwadratu 54-90 i przez ostatnie dziesięć godzin manewrował

tam i z powrotem na linii północ-południe, czekając na przybycie „Czerwonego Października” i rozpoczęcie manewrów „Jesienne mrozy”. Kapitan drugiej rangi, Wiktor Aleksiejewicz Tupolew, przechadzał się wolnym krokiem wokół peryskopu w centrali dowodzenia niewielkiego, lecz szybkiego okrętu torpedowego. Niecierpliwie czekał na swego dawnego mistrza, chciał mu bowiem sprawić kilka niespodzianek. Przez dwa lata służył pod jego dowództwem. Miło wspominał ten okres i choć uważał, że jego dawny dowódca jest nieco cyniczny, zwłaszcza jeśli chodzi o stosunek do partii, to jednak nie wątpił w wybitne umiejętności Ramiusa.

Ani w swoje. Tupolew, obecnie sam będący już od ponad trzech lat dowódcą, należał

do najlepszych uczniów mistrza. Pływał teraz na nowiutkim okręcie klasy *Alfa*, najszybszym na świecie. Przed miesiącem, gdy Ramius po rejsie próbnym zajmował się wyposażaniem

„Czerwonego Października”, Tupolew poleciał z trzema swoimi oficerami przyjrzeć się jednostce, na której testowano prototyp nowego systemu napędowego.

Okręt miał trzydzieści dwa metry długości i napęd spalinowo-elektryczny. Cumował z dala od imperialistycznych agentów, w krytym doku na Morzu Kaspijskim, niewidoczny dla satelitów szpiegowskich. Ramius również wniósł pewien wkład w konstrukcję „gąsienicy” i Tupolew rozpoznał rękę mistrza. Wykrycie okrętu będzie cholernie trudne. Ale możliwe.

Przez tydzień w północnej części Morza Kaspijskiego pływał za prototypem, motorówką napędzaną silnikiem elektrycznym i wyposażoną w najlepszy zestaw sonarowy, jaki kiedykolwiek zbudowano w Związku Radzieckim. W końcu uznał, że odnalazł słaby punkt nowego napędu. Niewielki, ale wystarczający na jego potrzeby.

Oczywiście, nie można ręczyć za powodzenie. Przeciwnikiem jest nie tylko okręt, lecz także dowodzący nim kapitan. Tupolew świetnie znał obszar manewrów. Woda była niemal całkowicie izotermiczna, pozbawiona termokliny, pod którą może się ukryć okręt podwodny.

Znajdowali się wystarczająco daleko od ujść rzek na północnym wybrzeżu, by nie przejmować się obszarami o zróżnicowanym zasoleniu, które utrudniają namiary hydroakustyczne. „Konowałow” został wyposażony w najlepsze radzieckie systemy sonarowe, skopiowane dokładnie z francuskich

DUUV-23 i, jak twierdzili inżynierowie z zakładów, nieco udoskonalone.

Tupolew zamierzał obrać amerykańską taktykę dryfowania z minimalną prędkością wystarczającą, by zachować kontrolę nad sterami, i czekać w absolutnej ciszy, aż „Czerwony Październik” przetnie jego kurs. A wtedy ruszy za zdobyczą, zapisując w dzienniku okrętowym każdą zmianę kursu i prędkości. Gdy później porównają dzienniki, nauczyciel przekona się, że dawny uczeń zwyciężył. Najwyższy czas, by się to komuś udało.

- Coś nowego na sonarze? - Napięcie dawało mu się coraz bardziej we znaki.

Cierpliwość nie była mocną stroną Tupolewa.

- Nic nowego, towarzyszu kapitanie. - Starpom stuknął palcem w krzyżyk na mapie, oznaczający położenie „Rokossowskiego”, okrętu raketowego klasy *Delta*, który od kilku godzin śledzili w granicach przydzielonego obszaru ćwiczeń. - Nasz przyjaciel nadal zatacza koło. Nie sądzicie, że „Rokossowski” chce wyprowadzić nas w pole? Czyżby kapitan Ramius kazał mu się tu kręcić, żeby utrudnić nam zadanie?

Tupolew rozważał to już wcześniej.

- Możliwe, ale mało prawdopodobne. Te manewry zorganizował sam Korow. Nasze rozkazy były zapieczętowane, więc Ramiusa pewnie też. Z drugiej strony, admirał Korow to stary przyjaciel naszego Marka - Tupolew zamilkł na chwilę i potrząsnął głową. - Nie, Korow jest człowiekiem honoru. Myślę, że Ramius posuwa się w naszą stronę, jak może najwolniej.

Chce nas zdenerwować, wzbudzić wątpliwości. Wie, że mamy go wykryć, i dostosuje do tego swoją taktykę. Może spróbować niespodziewanie wejść w kwadrat z innego kierunku albo będzie chciał, żebyśmy tak myśleli. Nigdy nie służyliście pod Ramiusem, towarzyszu poruczniku. To lis, stary, szczywany lis. Proponuję patrolować ten teren jeszcze przez cztery godziny. Jeżeli do tego czasu go nie namierzemy, przejdziemy do południowo-wschodniej części kwadratu i stamtąd zaczniemy posuwać się do środka. Tak zrobimy.

Tupolew wcale nie oczekiwał łatwego zwycięstwa. Jak dotąd, żadnemu dowódcy okrętu torpedowego nie udało się pokrzyżować szyków Ramiusowi. Postanowił sobie, że będzie pierwszym, który tego dokona, a trudność zadania tylko potwierdzi jego umiejętności.

Za rok lub dwa Tupolew widział siebie na miejscu Ramiusa.

Dzień trzeci

NIEDZIELA, 5 GRUDNIA

„Czerwony Październik”

Dla załogi „Czerwonego Października” czas przestał istnieć. Nie widzieli wschodów i zachodów słońca, a dni tygodnia nie miały dla nich większego znaczenia. W przeciwieństwie do jednostek nawodnych, które dostosowują zegar do czasu lokalnego, okręty podwodne trzymają się stałego czasu. Na jednostkach amerykańskich przyjmowano czas Greenwich. Na

„Czerwonym Październiku” obowiązywał czas moskiewski, wyprzedzający standardowy o godzinę ze względu na oszczędność energii.

Ramius pojawił się w sterowni około południa. Szli teraz kursem dwieście pięćdziesiąt z prędkością trzynastu węzłów, trzydzieści metrów nad dnem na zachodnim skraju Morza Barentsa. Za parę godzin dno opadnie stromo, przejdzie w równinę i będą mogli zejść znacznie głębiej. Ramius najpierw przyjrzał się mapie, po czym dokładnie sprawdził

wskazania przyrządów pokrywających obydwie wzdłużne grodzie przedziału. W końcu wpisał coś do książki rozkazów.

- Poruczniku Iwanow! - zwrócił się surowo do młodszego oficera wachtowego.

- Tak jest, towarzyszu kapitanie! - Iwanow, świeżo po leningradzkiej szkole imienia Lenina, należał do najmniej doświadczonych członków załogi „Października”. Był blady, chudy i nadgorliwy.

- Za chwilę zwołuję w mesie zebranie starszych oficerów. Obejmiecie w tym czasie wachtę. To wasz pierwszy rejs, Iwanow. Jak wam się podoba?

- Jest lepiej, niż się spodziewałem, towarzyszu kapitanie - odparł Iwanow z udawaną pewnością siebie.

- To dobrze, towarzyszu poruczniku. Zwykle obarczam młodszych oficerów takimi obowiązkami, z jakich będą w stanie się wywiązać. Na czas dzisiejszego szkolenia politycznego przejmiecie dowodzenie „Czerwonym Październikiem”. Od was zależy bezpieczeństwo okrętu i załogi! Nauczono was wszystkiego, co trzeba, a moje instrukcje są w książce rozkazów. Jeżeli wykryjemy inny okręt podwodny albo jednostkę nawodną, natychmiast macie mi o tym zameldować i nakazać ciszę na okręcie. Macie jakieś pytania?

- Nie, towarzyszu kapitanie. - Iwanow stał na baczność.

- Świetnie. - Ramius uśmiechnął się. - Pawle Iljiczu, będzie to jedna z najważniejszych chwil w waszym życiu. Wiem, bo sam wciąż pamiętam moją pierwszą wachtę. Nie zapominajcie o rozkazach i odpowiedzialności, jaka na was spoczywa!

W oczach chłopaka błysnęła duma. Szkoda go, pomyślał Ramius, w którym wciąż odzywał się nauczyciel. Na pierwszy rzut oka Iwanow miał zadatki na dobrego oficera.

Ramius wszedł szybko do gabinetu lekarskiego.

- Dzień dobry, doktorze.

- Dzień dobry, towarzyszu kapitanie. Już czas na zebranie? - zapytał Pietrow, odrywając się od instrukcji obsługi nowego aparatu rentgenowskiego.

- Tak jest, towarzyszu doktorze, ale nie będziecie brali w nim udziału. Mam dla was inne zadanie. W czasie zebrania wszyscy starsi oficerowie będą w mesie, a na wachcie w centrali w maszynowni zostaje trzech młodzików.

- Ach tak? - Pietrow wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Był to jego pierwszy po wieloletniej przerwie rejs na okręcie podwodnym.

Ramius uśmiechnął się.

- Spokojnie, towarzyszu. Jak wiecie, z mesy do centrali mogę dotrzeć w dwadzieścia sekund i tyle samo czasu potrzebuje towarzysz Mielechin, żeby znaleźć się przy swym bezcennym reaktorze. Prędzej czy później trzeba nauczyć młodszych oficerów samodzielności. Im wcześniej, tym lepiej. Wiem, że są należycie wyszkoleni. Chcę się przekonać, czy mają odpowiedni temperament. Przy mnie ani przy Borodinie nie będą się zachowywać naturalnie. A ponadto przyda się tu opinia lekarza.

- Czyli że chcecie, żebym sprawdził, jak się zachowują na służbie?

- Kiedy nie działają w napięciu, wiedząc, że są obserwowani przez przełożonych -

przytaknął Ramius. - Trzeba dać młodym oficerom pole do swobodnego działania... w granicach zdrowego rozsądku. Jeżeli zauważycie coś, co wzbudzi wasze wątpliwości, natychmiast mi o tym meldujcie. Nie powinno być żadnych problemów. Jesteśmy na otwartym morzu, w pobliżu nie ma żadnych jednostek, a reaktor pracuje na minimalnych obrotach. Pierwszy sprawdzian dla młodszych oficerów nie powinien być za trudny.

Znajdźcie sobie jakąś wymówkę, żeby zaglądać do centrali i maszynowni, i miejcie dzieciaki na oku. Możecie od czasu do czasu pytać ich, co robią.

- A przy okazji, towarzyszu kapitanie, chcecie, żebym i ja się nauczył tego i owego. -

Pietrow roześmiał się serdecznie. - Mówili mi o was w Siewieromorsku. W porządku, zrobię, jak każecie. Ale po raz pierwszy od wielu lat opuszczę zebranie partyjne.

- Jewgieniju Konstantynowiczu, z waszych akt wynika, że moglibyście wyklądać doktrynę partyjną członkom Biura Politycznego - zapewnił go Ramius i pomyślał, że nie jest to dobra rekomendacja zawodowa dla lekarza.

Kapitan ruszył do mesy, gdzie czekali już oficerowie. Steward wniósł wcześniej skromny posiłek,

kilka dzbanków herbaty, chleb razowy i masło. Ramius spojrział na róg stołu. Wciąż miał przed oczami plamę krwi, choć dawno już ją usunięto. Tym właśnie różnił się od człowieka, którego zamordował - pomyślał, - że mam sumienie. Zanim usiadł, odwrócił się i przekręcił klucz w zamku. Wszyscy siedzieli, bo pomieszczenie było tak małe, że po rozłożeniu krzeseł nie mogli już stanąć na baczność.

Na morzu zajęcia polityczne odbywają się zwykle co tydzień, w niedzielę. Zazwyczaj prowadził je Putin, czytając wybrane artykuły z „Prawdy” i cytaty z Lenina, po czym następowała dyskusja, w której rozważano, jakie wnioski należy wyciągnąć z tego, co właśnie usłyszeli. Przypominało to nabożeństwo kościelne.

Po śmierci zampolita obowiązek ten przeszedł na dowódcę, ale dyskusja, jaką przewidziano na dziś, nie miała nic wspólnego z regulaminowym szkoleniem politycznym.

Wszyscy zebrani należeli do spisku. Ramius przedstawił w ogólnym zarysie cały plan, choć nikomu nie wspomniał o pewnych drobnych zmianach. Na koniec powiedział im o liście.

- Nie ma więc odwrotu - zauważył Borodin.

- Wszyscy zgodziliśmy się na tę akcję. A teraz nie możemy się już wycofać.

Zareagowali tak, jak oczekiwał, trzeźwo. Mogli sobie pozwolić na ten luksus, gdyż wszyscy byli kawalerami, żaden z nich nie zostawił w domu żony ani dzieci. Wszyscy cieszyli się dobrą opinią w partii, składki mieli opłacone do końca roku, a legitymacje trzymali tam, gdzie powinni - na sercu. Łączyła ich głęboka niechęć, niekiedy wręcz nienawiść do systemu.

Cały plan zrodził się w głowie Ramiusa wkrótce po śmierci Natalii. Podświadomie tłumiona od dzieciństwa wściekłość wybuchła wtedy z całą siłą. Sztuka panowania nad sobą, którą doskonalili przez lata, pozwoliła mu ukrywać swoje uczucia, a lata służby w marynarce pomogły wybrać cel godny tego, co przepełniało mu serce.

Zanim jeszcze poszedł do szkoły, dowiedział się od dzieci na podwórku, co jego ojciec Aleksander robił na Litwie w 1940 roku i po wątpliwym wyzwoleniu kraju spod okupacji niemieckiej w roku 1944. Dzieci powtarzały to, co szeptali między sobą ich rodzice.

Pewnego razu Marko powtórzył Aleksandrowi historię zasłyszaną od jednej dziewczynki i, ku niewysłowionemu przerażeniu chłopca, jej ojciec zniknął. Za ten niezamierzony błąd Marka zaczęto przezywać donosicielem. Bardzo cierpiał z tego powodu. Nigdy nie przestał dręczyć go ogrom wyrządzonego zła. Popelnił rzecz straszną i choć uczono go, że „informowanie” to nic zdrożnego, nigdy już nie powiedział nikomu, czego dowiadywał się od innych.

W czasie, gdy kształtowała się osobowość pozbawionego matki chłopca, a Aleksander Ramius zarządzał Komitetem Centralnym Litewskiej Partii Komunistycznej w Wilnie, wychowaniem Marka zajęła się babka ze strony ojca, co było normalną rzeczą w kraju dotkniętym brutalną czteroletnią wojną. Jej jedyny syn wcześniej opuścił dom rodzinny, przystępując do czerwonogwardzistów, ale ona żyła jak dawniej. Do 1940 roku codziennie uczestniczyła w mszy i pielęgnowała tradycję

religijną przodków. Marko zachował ją w pamięci jako siwowłosą staruszkę, od której wysłuchiwał na dobranoc wspinających opowieści. Historii religijnych. Na Litwie nigdy nie zdołano całkowicie zlikwidować praktyk religijnych, ale babka nie zabierała chłopca na nabożeństwa, uważając to za zbyt niebezpieczne. Ochrzciła jednak wnuka w obrządku rzymskokatolickim, gdy tylko znalazł się pod jej opieką. Nie powiedziała mu o tym - ryzyko było zbyt duże. W republikach nadbałtyckich brutalnie tłumiono katolicyzm. Z upływem lat Marko dowiedział się, że marksizm-leninizm jest bogiem zazdrosnym, wymagającym bezwzględności posłuszeństwa i nie tolerującym innowierców.

Na dobranoc babcia Hilda opowiadała mu Pismo Święte, które uczyło odróżniać dobro od zła, i pokazywało, że cnota zawsze może liczyć na nagrodę. W dzieciństwie traktował te opowiadania wyłącznie jako rozrywkę, nigdy jednak nie mówił o nich ojcu, bo już wtedy rozumiał, że nie spotka się z aprobatą. Gdy z czasem stary Ramius sam zajął się wychowaniem syna, cała ta wiedza religijna rozmyła się w pamięci chłopca. Niewiele zapamiętał, ale też nie wszystko zapomniał.

Już od dzieciństwa Ramius bardziej wyczuwał, niż rozumiał, że komunizm lekceważy podstawową potrzebę człowieka. Gdy był nastolatkiem, odczucie to nabrało realnego kształtu.

Dobro ludu jest oczywiście celem chwalebny, ale zaprzeczając istnieniu duszy, niezbywalnej części człowieczeństwa, marksizm odbiera ludziom godność i podważa wartość jednostki. Odrzuca także obiektywne kryteria etyczne i pojęcie sprawiedliwości, co chłopak uważał za podstawową spuściznę religii. Wkraczając w dorosłe życie, Marko miał już własny pogląd na temat dobra i zła, zgoła odmienny od oficjalnego. Mógł dzięki temu oceniać postępowanie swoje i innych. Strzegł swej tajemnicy. Dawała mu oparcie w życiu, była dla niego tym, czym kotwica dla statku. I jak kotwica utkwiała głęboko pod powierzchnią.

Już jako chłopiec był krytyczny wobec swojego kraju, o co nikt by go nie podejrzewał. Jak wszystkie dzieci, należał do organizacji dziecięcej, a potem do pionierów. W

lśniących butach i czerwonej jak krew chuście paradował pod pomnikami bohaterów rewolucji i z powagą pełnił straż przy grobie nieznanego żołnierza, wyprostowany jak struna na tle nigdy niegasnących zniczów, przyciskając do piersi atrapę pepeszy. Podchodził do tych ceremonii z całą powagą, bo wierzył święcie, że ci dzielni ludzie, których grobów strzegł z takim oddaniem, przyjęli swój los z podobnym heroizmem, jaki oglądał na niezliczonych filmach wojennych w miejscowym kinie. Walczyli ze zniechęconymi Niemcami, by chronić kobiety, dzieci i starców. I, jak dobrze urodzeni synowie w dawnej Rosji, był bardzo dumny ze swego ojca, partyjnego przywódcy. Zanim skończył pięć lat, słyszał setki razy, że partia to dusza ludu, a połączenie partii, społeczeństwa i narodu to Święta Trójca Związku Radzieckiego, tyle że jeden z jej elementów jest ważniejszy od pozostałych. Aleksander idealnie pasował do filmowego obrazu działacza partyjnego. Surowy, acz sprawiedliwy, dla Marka był rzadko widywanym, milczącym ojcem, zwożącym do domu najróżniejsze prezenty i dbającym o to, by korzystał on ze wszystkich przywilejów należnych synowi sekretarza partii.

Choć pozornie Marko był wzorowym dzieckiem Kraju Rad, w duchu zastanawiał się, dlaczego to, co mówi ojciec, i czego dowiaduje się w szkole, kłóci się z naukami babci?

Dlaczego niektórzy rodzice nie pozwalają dzieciom bawić się z nim? Dlaczego, gdy mijają kolegów z

klasy, szepczą to okrutne, gorzkie słowo *stukacz* - donosiciel? Ojciec i partia uczyli, że informowanie jest dowodem patriotyzmu, ale pierwsza próba była zarazem ostatnią.

Bolały go wyzwiska kolegów, ale nigdy nie skarżył się ojcu, wiedząc, że może tym wyrządzić wiele zła.

Coś było nie tak, ale co? Postanowił, że sam musi znaleźć na to odpowiedź.

Postanowił więc myśleć samodzielnie, nieświadomie popełniając najcięższy grzech przeciw bóstwom komunizmu. Na pozór wzorowy syn członka partii, cały czas prowadził ostrożną grę, przestrzegając wszystkich reguł. Wypełniał obowiązki organizacyjne i pierwszy zgłaszał

się na ochotnika do zadań, które stawiano młodzieży ubiegającej się o przyjęcie do partii.

Przynależność ta jest w Związku Radzieckim jedynym sposobem osiągnięcia sukcesu. Miał

dobre wyniki w sporcie. Jednakże nie w grach zespołowych, a tylko w tych dyscyplinach, gdzie walczy się indywidualnie, śledząc osiągnięcia innych. Z biegiem lat nauczył się postępować podobnie we wszystkich dziedzinach życia - obserwować i oceniać ludzi z chłodnym dystansem, ukrywając swe myśli za kamienną twarzą.

Kiedy skończył osiem lat, podczas wakacji nastąpiło coś, co na trwałe zmieniło jego życie. „Mały donosiciel”, z którym nikt się nie chciał bawić, zaglądał często do portu rybackiego w nadmorskiej wiosce, gdzie zamieszkała jego babka. Każdego ranka wypływała stamtąd na skromny połów na Zatokę Fińską zbieranina starych drewnianych łodzi.

Towarzyszyły im kutry straży granicznej MGB, jak nazywało się wtedy obecne KGB. Połowy wzbogacały pożywienie miejscowej ludności o niezbędne białko i przynosiły niewielki dochód rybakom. Kapitanem jednej z łodzi był stary Sasza. Służył niegdyś jako oficer w marynarce carskiej i wraz z załogą brał udział w buncie krążownika „Aurora”, przyczyniając się tym samym do przyspieszenia biegu wydarzeń, które miały zmienić oblicze świata.

Dopiero wiele lat później Marko dowiedział się, że załoga „Aurory” zbuntowała się przeciw bolszewikom, a bunt został brutalnie zdławiony przez Czerwoną Gwardię. Za udział w czymś tak nierozważnym Sasza zapłacił dwudziestoma latami łagrów i wyszedł na wolność dopiero na początku Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Rodina potrzebowała doświadczonej marynarzy do pilotowania okrętów zawijających do portów w Murmańsku i Archangielsku, dokąd sojusznicy przysyłali broń, żywność i najróżniejszy sprzęt niezbędny dla nowoczesnej armii.

Doświadczenie obozowe wiele Saszę nauczyło. Wypełniał teraz obowiązki sprawnie i szybko, nie prosząc w zamian o nic. Po wojnie, w nagrodę za wierną służbę, darowano mu swoiście rozumianą wolność: mógł wykonywać ciężką pracę rybaka pod nieustanną kontrolą.

Gdy się poznali, Sasza liczył już dobrze ponad sześćdziesiąt lat i był prawie łysy. Miał

mięśnie jak postronki, bystre oczy marynarza i potrafił opowiadać historie, których chłopiec słuchał z wypiekami na twarzy. W 1906 roku w Port Artur Sasza służył pod rozkazami legendarnego admirała Makarowa. Makarow, największa chyba postać w historii carskiej marynarki, zdobył sobie opinię gorącego patrioty i inicjatora wielu zmian w marynarce wojennej tak, że nawet komuniści uznali w końcu za stosowne nazwać jego imieniem krążownik raketowy. Sasza, początkowo ostrożny z powodu złej opinii o chłopcu, jednak dostrzegł w nim coś, czego nie potrafił zobaczyć nikt inny. I tak chłopiec bez kolegów i marynarz bez rodziny zostali przyjaciółmi. Sasza godzinami opowiadał od nowa, jak to służył

na okręcie admirałskim „Pietropawłowski” i uczestniczył w jedynej bitwie morskiej, w której Rosjanie zdołali pokonać zniechęconych Japończyków, i jak to w drodze powrotnej do portu okręt wszedł na minę i zatonął, a admirał zginął. Później załoga pod dowództwem Saszy służyła jako piechota morska i stary przyjaciel Marka zdobył trzy medale za odwagę.

To doświadczenie - tu starzec poważnie kiwał palcem na chłopca - ukazało mu bezmyślną korupcję carskiego reżimu i sprawiło, że wstąpił do jednej z pierwszych rad marynarki, za co groziła pewna śmierć z rąk Ochrony, tajnej policji carskiej. Opowiedział chłopcu swoją wersję Rewolucji Październikowej ze wstrząsającej perspektywy naocznego świadka.

Skrupulatnie jednak przemilczał to, co działo się później.

Wyżywając na połów, zabierał ze sobą Marka i uczył go podstaw żeglarstwa, co sprawiło, że los chłopca, który nie skończył jeszcze dziewięciu lat, nierozzerwalnie związał się z morzem. Na wodzie Marko czuł wolność, której nigdy nie udało mu się znaleźć na lądzie.

Romantyka morza budziła także w chłopcu mężczyznę. Tego lata proste, fachowe lekcje Saszy nauczyły Marka, że choć morze jest groźne, to dzięki przygotowaniu, wiedzy i dyscyplinie można poradzić sobie z każdym niebezpieczeństwem. Człowiek nie musi się niczego obawiać, jeśli w odpowiedni sposób stawia czoło zagrożeniu. Po latach Marko często zastanawiał się nad tym, jaką rolę odegrały w jego życiu te miesiące i jak mogłyby potoczyć się dalsze losy Saszy, gdyby nie przerwały ich inne wypadki.

Pod koniec tego długiego bałtyckiego lata chłopiec opowiedział o Saszy ojcu i nawet przyprowadził go do starego wilka morskiego. Sasza oraz to, co zrobił dla jego syna, wywarło na Aleksandrze Ramiusie takie wrażenie, że załatwił staremu marynarzowi dowództwo nowocześniejszego, większego kutra i przesunął go w górę na liście oczekujących na mieszkanie. Marko niemal uwierzył, że partia może także zrobić coś dobrego i że jemu samemu udało się również postąpić szlachetnie, jak prawdziwemu mężczyźnie. Ale następnej zimy stary Sasza zmarł i z dobrego uczynku nic nie wyszło. Wiele lat później Marko uświadomił sobie, że nie zna nawet nazwiska swojego przyjaciela z dzieciństwa. Po latach wiernej służby *rodinie* Sasza pozostał nikim.

W wieku trzynastu lat Marko wyjechał do Leningradu, do szkoły imienia Nachimowa.

Postanowił wtedy, że zostanie oficerem marynarki wojennej. Wyruszy na poszukiwanie przygód, które od wieków ciągną młodych ludzi na morze. Trzyletnia specjalistyczna

„Nachimówka” przygotowywała młodzież do służby w marynarce. W owych czasach marynarka radziecka była właściwie tylko strażą przybrzeżną, ale chłopca to nie zrażało.

Ojciec nakłaniał go do pracy w aparacie partyjnym, obiecując szybki awans i życie pełne wygod i przywilejów. Jednakże Marko nie chciał kariery przez protekcję, nie chciał być tylko lustrzanym odbiciem wyzwoliciela Litwy. Życie na morzu obiecywało romantyczną przygodę, za którą warto było zapłacić nawet koniecznością wysługiwania się państwu.

Marynarka radziecka rozwijała się wtedy prawie od podstaw i Marko czuł, że daje to duże pole swobody. Zauważył również, że większość kadetów właściwie nie różniła się od niego potrzebą niezależności, rozwiniętą na tyle, na ile to możliwe w ściśle kontrolowanym społeczeństwie. Po raz pierwszy upajał się poczuciem przynależności do jakiejś wspólnoty.

W ostatnim roku klasa Marka zapoznała się z różnymi rodzajami służby w radzieckiej marynarce. Ramius od razu zakochał się w okrętach podwodnych. W tych czasach pływało się na małych, brudnych łodziach, których załogi używały zęz jako wygodnej latryny.

Jednocześnie okręty podwodne stanowiły jedyną broń ofensywną marynarki, a Marko zawsze chciał być na czele. Z lekcji historii marynarki wiedział, że okręty podwodne dwukrotnie niemal położyły kres angielskiemu panowaniu na morzach i zrujnowały gospodarczo Japonię.

Czerpał z tego dużą satysfakcję i cieszył się, że Amerykanie rozgromili japońską flotę, z którą walczył niegdyś jego nauczyciel.

Ukończył „Nachimówkę” z pierwszą lokatą w klasie i za wzorowe opanowanie teorii nawigacji otrzymał poślacany sekstans. Jako prymus miał prawo wyboru szkoły. Został

studentem Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej (WWMUPP) imienia Leninowskiego Komsomołu, która do dziś jest najlepszą uczelnią w Związku Radzieckim przygotowującą do służby na okrętach podwodnych.

Pięć lat spędzonych w WWMUPP Ramius zaliczał do najtrudniejszych w życiu, tym bardziej że zależało mu nie tylko na ukończeniu studiów, ale i na zdobyciu pierwszego miejsca. Co roku był najlepszy ze wszystkich przedmiotów. Swoją pracę o politycznym znaczeniu potęgi radzieckiej marynarki wojennej zadedykował Siergiejowi Gorszkowowi, wówczas naczelnemu dowódcy Floty Bałtyckiej i człowiekowi numer jeden w marynarce radzieckiej. Gorszkow zauważył ten artykuł w „*Morskom Sbornikie*” - głównym czasopiśmie marynarki wojennej. Praca była wzorcem postępowego myślenia partyjnego, zwłaszcza że autor sześciokrotnie cytował Lenina.

Ojca, wówczas zastępcę członka Prezydium KC, jak nazywano wtedy Biuro Polityczne, rozpierała dumą z osiągnięć Marka. Starszy Ramius nie był głupi. Rozumiał, że marynarka wojenna staje się najważniejszą częścią Armii Czerwonej i że pewnego dnia Marko zdobędzie w niej wysokie stanowisko. Jego wpływy znacznie przyspieszyły karierę syna.

Przed ukończeniem trzydziestego roku życia Marko miał już na koncie małżeństwo i pierwsze dowództwo okrętu. Natalia Bogdanowna również była córką członka Prezydium, który pełniąc służbę

dypłomatyczną, zwiedził wraz z rodziną cały świat. Nigdy nie cieszyła się dobrym zdrowiem. Nie mieli dzieci, trzy próby skończyły się poronieniem i niewiele brakowało, a nie przeżyłaby ostatniej. Była to bardzo ładna i subtelna kobieta o dużej, jak na Związek Radziecki, kulturze. Pomagała Markowi w nauce angielskiego, który znał dotąd jedynie powierzchownie. Podsuwała mu amerykańskie i angielskie książki, naturalnie odpowiednio dobrane pod względem ideologicznym - przeważnie dzieła zachodnich lewicowców, choć trafiła się i prawdziwa literatura: Hemingway, Twain czy Upton Sinclair.

Życie z Natalią i kariera w marynarce pochłaniały Marka bez reszty. Długie rozłąki i radosne powroty czyniły ich miłość czymś niezwykle cennym.

Gdy zaczęły się prace nad pierwszym radzieckim atomowym okrętem podwodnym, Marko wiele czasu spędzał w stoczni, ucząc się konstruowania i budowy stalowych rekinów.

Wkrótce zdobył opinię niezwykle wymagającego młodszego inspektora kontroli. Zdawał sobie sprawę, że jego życie nieraz będzie zależało od pracy tych często pijanych spawaczy i ślusarzy. Stał się ekspertem w dziedzinie techniki nuklearnej, potem przez dwa lata pływał

jako pierwszy oficer. Pierwsze dowództwo otrzymał na okręcie atomowym klasy *November*, stanowiącym niezbyt udaną próbę jednostki torpedowej dalekiego zasięgu, która miała zagrażać flotom i liniom komunikacyjnym państw zachodnich. Niecały miesiąc później na podobnym radzieckim okręcie u wybrzeży Norwegii nastąpiła poważna awaria reaktora atomowego. Marko jako pierwszy przybył na miejsce wypadku. Uratował załogę, po czym zgodnie z rozkazami zatopił uszkodzony okręt, żeby nie dostał się w ręce marynarki krajów zachodnich. Obydwa zadania wypełnił bardzo fachowo i jak na młodego dowódcę, spisał się doskonale. Zawsze uważał, że podwładnych należy nagradzać za dobrą robotę, a ówczesny dowódca floty był tego samego zdania. Wkrótce Marka przeniesiono na nowy okręt klasy *Charlie I*.

Właśnie tacy ludzie jak on zdolni byli rzucić wyzwanie Amerykanom i Anglikom.

Marko nie miał złudzeń. Wiedział, że Amerykanie mają długą tradycję w działaniach wojennych na morzu, a ich najślawniejszy dowódca Jones służył niegdyś przez pewien czas we flocie carycy Katarzyny. Krążyły legendy na temat możliwości amerykańskich okrętów.

Ramius musiał z żalem przyznać, że ma niewielkie szanse w porównaniu z amerykańskimi dowódcami, którzy doświadczenie zdobywali jeszcze w czasie ostatniej wojny, gdy to zmagając się ze strachem, zdołali rozgromić nowoczesną marynarkę wroga. Śmiertelnie poważna gra w chowanego, którą z nimi prowadził, nie należała do łatwych, tym bardziej że pod względem technicznym ich okręty wyprzedzały marynarkę radziecką o całe lata. Nie obeszło się jednak bez kilku zwycięstw.

Z czasem Ramius przejął styl gry przeciwnika i bardzo dokładnie kształcił swoich oficerów i marynarzy. Rzadko trafiały się załogi wyszkolone tak, jak by sobie tego życzył -

brak odpowiedniego przygotowania po dziś dzień jest udręką marynarki rosyjskiej. Zamiast jednak, wzorem innych dowódców, łajać swoich ludzi za niedociągnięcia, Marko pomagał im je przewycięzać. Pierwszy okręt klasy *Charlie*, którym dowodził, nazywał się „Akademia Wileńska”. W pewnym sensie nazwa była policzkiem dla Marka, w którego żyłach płynęła litewska krew, choć zgodnie z wpisem w dowodzie był Rosjaninem urodzonym w Leningradzie. Lecz z drugiej strony - odpowiadała rzeczywistości. Na okręt trafiali niedouczeni oficerowie, a wychodzili gotowi do awansu przyszli samodzielni dowódcy.

Podobnie reszta załogi. Ramius nie pozwalał na powszechne w wojsku radzieckim terroryzowanie prostych marynarzy. Szkolenie załogi uważał za swój obowiązek i żaden dowódca okrętu nie mógł poszczycić się taką liczbą poborowych przechodzących na zawodowstwo. Co dziewiąty miczman na okrętach podwodnych we Flocie Północnej został

wyszkolony przez niego. Inni dowódcy chętnie przyjmowali do siebie podoficerów Ramiusa, z których niejeden ukończył później szkołę oficerską.

Po półtora roku ciężkiej pracy i ostrego szkolenia Marko i „Akademia Wileńska”

gotowi byli do zabawy w kotka i myszkę. Na Morzu Norweskim natknęli się na amerykańskiego *Trytona*, którego bezlitośnie tropili przez dwanaście godzin. Później nie bez satysfakcji zauważył, że *Trytona* wkrótce wycofano jako jednostkę zbyt dużą, niezdolną sprostać nowszym modelom radzieckim. Gdy trafiał na norweskie lub angielskie okręty o napędzie klasycznym płynące na wysuniętych chrapach, ścigał je zawzięcie, wykorzystując aktywną obserwację sonarową. Raz zdarzyło mu się nawet wytropić amerykański okręt rakietowy - i utrzymać z nim kontakt przez dobre dwie godziny, zanim tamten nie znikł jak duch w głębinach.

Gwałtowny rozwój floty radzieckiej, który zbiegł się z początkiem kariery Marka, a także duże zapotrzebowanie na wyszkolonych oficerów sprawiło, że nie uczęszczał do Akademii imienia Frunzego, choć jej ukończenie zwykle stanowiło warunek *sine qua non* kariery we wszystkich rodzajach wojsk. Moskiewska akademia, usytuowana w pobliżu starego klasztoru Nowodiewiczego, nazwana imieniem bohatera rewolucji, przeznaczona była głównie dla tych, którzy mieli w przyszłości objąć wysokie stanowiska w siłach zbrojnych.

Ramius nigdy nie uczęszczał do niej w charakterze studenta, jednak dzięki swym praktycznym zdolnościom dowódczym trafił tam jako wykładowca. Zawdzięczał to wyłącznie sobie, a nie protekcji wysoko postawionego ojca. Było to dla niego bardzo ważne.

Szef Wydziału Morskiego akademii lubił przedstawiać Marka jako „oblatywacza okrętów podwodnych”. Zajęcia Ramiusa cieszyły się największą popularnością nie tylko wśród podchorążych marynarki, lecz przyciągały także słuchaczy z innych wydziałów, którzy przychodzili dowiedzieć się, co ma do powiedzenia o historii marynarki lub strategii działań morskich. Podczas weekendów spędzanych w dacy ojca we wsi Żukówka pisał podręczniki taktyki walki podwodnej i szkolenia załogi, próbując także nakreślić model idealnego okrętu torpedowego. Niektóre dość kontrowersyjne pomysły zaniepokoiły jego dawnego opiekuna, Gorszkowa, który tymczasem awansował na głównodowodzącego radzieckiej marynarki wojennej. Stary admirał miał jednak także powody do zadowolenia.

Ramius proponował, aby oficerowie przez kilka kolejnych lat pełnili służbę na okrętach podwodnych jednej klasy, a najlepiej na tym samym okręcie. Pozwoli to na lepsze opanowanie zawodu i dokładniejsze zapoznanie się z możliwościami danej jednostki. Jego zdaniem nie powinno się nakłaniać zdolnych dowódców do odejścia z czynnej służby do pracy sztabowej. Chwalił praktykę przyjętą w armii, że dowódcy jednostek liniowych pozostają na swoich stanowiskach tak długo, jak sami uznają za stosowne. Ramius rozmyślnie przeciwstawił temu zwyczaj panujące w tej dziedzinie we flotach państw burżuazyjnych.

Podkreślał potrzebę lepszego szkolenia marynarzy, konieczność przedłużenia służby zasadniczej w marynarce i poprawienia warunków życia na okrętach podwodnych. Niektóre pomysły zjednały mu życzliwość w dowództwie, inne nie, i tym samym stało się dla niego jasne, że nigdy nie otrzyma admirałskich galonów. Nie przejął się tym wtedy. Za bardzo kochał swe okręty, by porzucić je dla dowodzenia eskadrą czy nawet całą flotą.

Po odejściu z Akademii imienia Frunzego Marko Ramius rzeczywiście został

oblatywaczem okrętów podwodnych. Był już kapitanem pierwszej rangi i z każdej nowej klasy okrętów obejmował pierwszą zwodowaną jednostkę. Sporządzał wykaz jej mocnych i słabych stron, opracowywał czynności operacyjne i nakreślał plan szkolenia. W ten sposób dostały mu się pierwsze *Alfy*, *Delty* i *Typhoony*. Poza jednym nieszczęśliwym przypadkiem na *Alfie*, jego kariera była nieprzerwanym pasmem sukcesów.

Jednocześnie dla wielu młodych oficerów Ramius stał się czymś w rodzaju mistrza.

Ucząc dziesiątki zapaleńców trudnej sztuki dowodzenia okrętem podwodnym, często zastanawiał się, co powiedziałyby na to Sasza. Wielu jego uczniów zostało samodzielnymi dowódcami, jednakże większości to się nie udało. Ramius należał do dowódców, którzy troskliwie zajmują się zarówno tymi, z których są zadowoleni jak i tymi, którzy nie zapowiadają się błyskotliwie. Nigdy nie awansowali oficerów, którzy jak on mieli wpływowych ojców, ale którym brakowało umiejętności. Stanowiło to kolejny powód, dla którego nie został admirałem. Tam, gdzie wchodziły w grę obowiązki, nigdy nie kierował się sympatią i niejednemu synalkowi wysoko postawionego aparaczyka wystawił kiepską opinię, mimo że tamten brał aktywny udział w cotygodniowych szkoleniach ideologicznych. Tacy przeważnie zostawali oficerami politycznymi. Ta uczciwość zyskała mu zaufanie w dowództwie floty. Gdy szukano kogoś do naprawdę trudnego zadania, zwykle rozpatrywano najpierw kandydaturę Ramiusa.

Marko zgromadził wokół siebie wielu młodych oficerów, których on i Natalia praktycznie zaadoptowali. Przyjaźń z nimi zastępowała im rodzinę, której nigdy nie mieli.

Ramius przyłapywał się na tym, że bierze pod swoje skrzydła ludzi takich jak on, z długo skrywanym krytycznym stosunkiem wobec ustroju. Gdy dobrze poznał jakiegoś człowieka, chętnie nawiązywał z nim bliższy kontakt. Zawsze dawał tę samą radę: zapisz się do partii.

Zarówno tym, którzy mieli wątpliwości natury politycznej, jak i tym z żywym poczuciem krzywdy. Oczywiście, prawie wszyscy należeli przedtem do Komsomołu, a Marko zachęcał

ich do zrobienia następnego kroku. Takiej ceny wymaga w Związku Radzieckim kariera w marynarce i większość młodych oficerów, których pociągała przygoda, gotowa była ją zapłacić. Dzięki pozycji ojca, Ramius mógł wstąpić do partii już w wieku osiemnastu lat.

Sporadycznie zabierając głos na zebraniach organizacji, wiernie recytował puste formułki, zgodne z aktualną linią partii. To nic trudnego, cierpliwie wyjaśniał swoim oficerom.

Wystarczy powtarzać to, co pisze prasa partyjna, zmieniając parę słów. To znacznie łatwiejsze niż nawigacja, wystarczy tylko popatrzeć na oficera politycznego! Ramius zasłynął

jako dowódca, którego oficerowie byli nie tylko dobrymi specjalistami, lecz także wzorem prawomyślności ideologicznej. W marynarce należał do najlepszych w werbowaniu do partii.

Potem przyszła śmierć Natalii. Ramius był wtedy w porcie, co na raketowych okrętach podwodnych zdarza się często. Jego pozycja, podobnie jak pozycja ojca, zapewniała mu wiele przywilejów. Miał dachę w lasach na zachód od Polarnego, własnego żiguli, przysługujący mu samochód służbowy z kierowcą. Należał do elity, kiedy więc Natalia zaczęła skarżyć się na bóle w dole brzucha, popełnił zrozumiały w takim przypadku błąd i zawiózł ją do czwartego oddziału partyjnej kliniki. Jak to się mówi w Związku Radzieckim: gdzie parkiety, tam i dobrzy lekarze. Po raz ostatni widział Natalię żywą na wózku.

Uśmiechała się, gdy wieziono ją w kierunku sali operacyjnej.

Dyżurny chirurg zjawił się w szpitalu późno, był pijany, stracił zbyt wiele czasu, wdychając czysty tlen, by otrzeźwieć przed przystąpieniem do prostego zabiegu usunięcia wyrostka. Nabrzmiały organ pękł w momencie, gdy chirurg odsuwał tkanę, by się do niego dostać. Do natychmiastowego zapalenia otrzewnej doszła jeszcze perforacja jelita, gdy chirurg nieudolnie usiłował naprawić błąd.

Na oddziale zabrakło stosowanych tu zagranicznych antybiotyków, najczęściej francuskich. Zamiast nich podano leki krajowe, produkowane w ramach gospodarki planowej.

W przemyśle radzieckim robotnicy dostają premię za ponadplanową produkcję, która nie podlega kontroli technicznej. Ta konkretna partia leków nigdy nie została sprawdzona ani poddana żadnym badaniom. I prawdopodobnie zamiast antybiotykiem, fiolki napełniono wodą destylowaną, o czym Marko dowiedział się następnego dnia. Natalia zapadła w stan głębokiego szoku i śpiączki. Zmarła, zanim zdołano naprawić tę całą serię błędów.

Pogrzeb był uroczysty, że aż miło, wspominał z goryczą Ramius. Przybyli oficerowie z jego okrętu i ponad setka ludzi, z którymi zaprzyjaźnił się przez lata służby w marynarce.

Obecna była też rodzina Natalii i przedstawiciele miejscowego komitetu partii. Gdy zmarł

ojciec, Marko był na morzu i nie odczuł tej straty zbyt boleśnie, znając rozmiary wyrządzonych przez niego krzywd. Śmierć żony odebrał jednak jako zupełną katastrofę. Tuż po ślubie Natalia powiedziała żartem, że każdy marynarz potrzebuje kogoś, do kogo będzie mógł wracać, a każda kobieta kogoś, na kogo będzie mogła czekać. Można by powiedzieć, że na tym właśnie opierało się

ich małżeństwo, choć jednocześnie stanowiło ono coś nieporównanie bardziej złożonego: związek dwojga inteligentnych ludzi, którzy przez ponad piętnaście lat poznawali swoje słabości i zalety, w miarę upływu czasu coraz bardziej się do siebie zbliżając.

Marko Ramius patrzył, jak przy ponurych dźwiękach klasycznego requiem trumna znika w komorze kremacyjnej. Pragnął modlić się za duszę Natalii z nadzieją, że babka Hilda miała rację i poza gorącym paleniskiem za stalowymi drzwiami istnieje coś jeszcze. Dopiero wtedy w pełni zdał sobie sprawę, co się naprawdę stało: państwo ograbiło go nie tylko z żony, odebrało mu możliwość złagodzenia bólu modlitwą, odebrało nadzieję - być może złudną -

ujrzenia jej znowu. Od pamiętnego lata nad Bałtykiem, gdy jeszcze był małym chłopcem, delikatna, czuła Natalia była jego jedynym szczęściem. Teraz odeszła na zawsze. Z upływem tygodni i miesięcy coraz bardziej dręczyły go wspomnienia; wystarczyło, że na ulicy lub w sklepie w Murmańsku zobaczył nagle podobną fryzurę, zbliżony chód lub znajomy uśmiech, a z całą siłą wracało do niego wspomnienie Natalii. Rozpamiętując stratę, przestawał myśleć jak zawodowy oficer marynarki wojennej.

Natalię Bogdanowną Ramius zabił pijany dyżurny chirurg, za co groził mu sąd wojenny, ale Marko nie mógł liczyć na ukaranie lekarza. Chirurg był synem partyjnego kacyka, z protekcją na samej górze. Natalię można było uratować, stosując odpowiednie leki, niestety, zabrakło zagranicznych antybiotyków, a na krajowych nie sposób polegać. Nie można pociągnąć do odpowiedzialności ani lekarza, ani pracowników zakładów farmaceutycznych - ta myśl towarzyszyła mu nieustannie, podsycając jedynie gniew. W

końcu postanowił, że za wszystko powinno zapłacić państwo.

Musiały upłynąć całe tygodnie, by myśl ta nabrała realnych kształtów dzięki wieloletniemu doświadczeniu i umiejętności przewidywania różnych okoliczności. Gdy po dwuletniej przerwie wznowiono prace nad „Czerwonym Październikiem”, Ramius wiedział, że to on obejmie dowodzenie nowym okrętem. Uczestniczył w pracach nad nowoczesnym systemem napędowym i nadzorował próby prototypu, który od kilku lat pływał w całkowitej tajemnicy po Morzu Kaspijskim. Poprosił o zwolnienie z funkcji dowódcy, by móc skoncentrować się na konstrukcji i wyposażeniu „Czerwonego Października”, a także by wybrać i wyszkolić oficerów, którzy wyjdą z nim w morze. Prośbę rozpatrzył pozytywnie sentymentalny dowódca Floty Północnej, który także płakał na pogrzebie Natalii.

Ramius z góry wiedział, gdzie szukać oficerów. Wybrał swoich z „Akademii Wileńskiej”, w tym wielu „synów” Natalii i Marka, którzy zawdzięczali stanowisko i stopień Ramiusowi. Ludzie niezadowoleni, że ojczyzna nie jest w stanie budować okrętów godnych ich umiejętności. Ludzie, którzy po zapisaniu się do partii, tak jak im radził, jeszcze bardziej rozczarowywali się do własnej ojczyzny, by wreszcie zrozumieć, że ceną awansu jest sprostytuowanie umysłu i duszy po to, by stać się dobrze opłacaną papugą w granatowym mundurze, której każde wystąpienie na zebraniu partyjnym stanowi tylko kolejne ćwiczenie w sztuce samokontroli. Większości z nich krok ten nie przyniósł spodziewanych korzyści. W

radzieckiej marynarce są trzy główne drogi awansu. Można zostać oficerem politycznym, a tym samym pariasem we własnym środowisku. Można również zostać oficerem nawigacyjnym i z czasem objąć dowodzenie okrętem. Albo też przechodzi się na boczny tor specjalizacji technicznej, w której stopniowo można dosłużyć się wyższego stopnia i pensji, ale nigdy samodzielnego dowództwa. I tak główny mechanik na radzieckim okręcie wojennym może przewyższać swego dowódcę liczbą galonów na rękawie, a mimo to nadal pozostaje jego podwładnym.

Ramius spojrzął na siedzących przy stole oficerów. Większość z nich nie zrobiła kariery odpowiedniej do swoich możliwości, pomimo że byli członkami partii. W dwóch przypadkach drobne wykroczenia w młodości, w tym czyn popełniony w wieku ośmiu lat, sprawiły, że ludzi tych nigdy nie obdarzono zaufaniem. Oficer raketowy był dla odmiany Żydem. Choć jego rodzice, komuniści, z przekonaniem służyli partii, ani im, ani ich synowi nigdy do końca nie ufano. Starszy brat innego oficera demonstrował w 1968 roku przeciw inwazji na Czechosłowację i tym na zawsze zhańbił całą rodzinę. Główny mechanik Mielechin, równy stopniem Ramiusowi, nigdy nie dostał dowództwa, dlatego że jego przełożeni woleli mieć go w maszynowni. Borodin, który również powinien już dowodzić własnym okrętem, złożył swego czasu meldunek, że zastępca polityczny jest homoseksualistą.

Okazało się, że człowiek ten był ponadto synem zastępcy do spraw politycznych dowódcy Floty Północnej. Jak wiele dróg prowadzi do zdrady...

- A jeśli nas namierzą? - zapytał Kamarow.

- Wątpię, żeby nawet Amerykanie byli w stanie nas znaleźć, gdy idziemy na

„gąsienicy”, a z całą pewnością nasze okręty nie mają takich możliwości. Sam pracowałem przy projektowaniu tego okrętu - odparł Ramius.

- Co z nami będzie? - mruknął oficer raketowy.

- Najpierw musimy dokończyć to, co zaczęliśmy. Oficer, który patrzy za daleko, przewraca się o własne nogi.

- Będą nas szukać - powiedział Borodin.

- Oczywiście - przyznał Ramius z uśmiechem. - Ale nie zorientują się, gdzie szukać, aż będzie za późno. Nasze zadanie polega na tym, żeby uniknąć wykrycia. I wykonamy je dokładnie.

Dzień czwarty

PONIEDZIAŁEK, 6 GRUDNIA

Siedziba CIA

Ryan szedł korytarzem najwyższego piętra siedziby Centralnej Agencji

Wywiadowczej w Langley, w stanie Wirginia. Minął trzy kolejne posterunki kontroli, nigdzie jednak nie poproszono go o otworzenie zamkniętej na kluczyk walizki, przykrytej teraz fałdami płowóżółtego marynarskiego płaszcza, prezentu od pewnego oficera z marynarki brytyjskiej.

Ubiór Ryana w przeważającej mierze zdradzał upodobania jego żony. Miał na sobie drogi garnitur z Saville Row o kroju angielskim, ani klasyczny, ani supermodny. W szafie w domu wisiało dużo takich garniturów, starannie ułożonych kolorami. Zakładał do nich białe koszule i krawaty w paski. Z biżuterii nosił tylko obrączkę, pamiątkowy pierścień uniwersytecki i niezbyt drogi, lecz dokładny zegarek kwarcowy na nieco kosztowniejszej złotej bransolecie. Ryan nie należał do ludzi, którzy przywiązują wielkie znaczenie do wyglądu. W gruncie rzeczy jego praca polegała właśnie na tym, by spośród pozorów wyłowić nagą prawdę.

Był przeciętnej budowy, mierzył trochę ponad metr osiemdziesiąt, stracił nieco linię w pasie z braku ćwiczeń na otwartym powietrzu, którym angielska pogoda raczej nie sprzyja.

Błękitne oczy miały zwodniczo nieobecny wyraz. Często popadał w zadumę, i wtedy twarz wydawała się niejako zdalnie kierowana, podczas gdy umysł zmagał się z informacjami lub materiałem do aktualnej książki. Jeżeli Ryan starał się już robić na kimś wrażenie, to tylko na tych, których znał, reszta niewiele go obchodziła. Nie zależało mu na sławie. Uważał, że jego życie jest już wystarczająco skomplikowane, bardziej niż mogło się na pozór wydawać. Miał

żonę, którą kochał, dwoje dzieci, za którymi przepadał, ćwiczącą intelekt pracę i niezależność finansową wystarczającą, by iść własną drogą. A drogą Jacka Ryana była CIA. Oficjalne motto agencji brzmi: „Prawda cię oswoi”. Rzecz w tym, powtarzał sobie przynajmniej raz dziennie, żeby dojść do owej prawdy i choć wątpił, że kiedykolwiek zdoła osiągnąć ten stan najwyższej łaski, którym jest wolność, odczuwał w głębi duszy dumę, że czasami udaje mu się uszczknąć jej choć trochę.

Biuro zastępcy dyrektora CIA do spraw wywiadu zajmowało cały narożnik najwyższego piętra i wychodziło na zadrzewioną dolinę Potomaku. Ryana czekała jeszcze jedna kontrola.

- Dzień dobry, panie doktorze.

- Cześć, Nancy - odparł z uśmiechem.

Nancy Cummings od dwudziestu lat była sekretarką, pracowała dla ośmiu kolejnych zastępców dyrektorów, a wieść głosiła, że w sprawach związanych z wywiadem ma równie dobre wyczucie, jak jej pracodawcy w biurze za ścianą. Jak w każdym dużym przedsiębiorstwie, szefowie przychodzą i odchodzą, a dobre sekretarki trwają wiecznie.

- Jak się miewa rodzina, panie doktorze? Pewnie nie może się doczekać świąt?

- Jakbyś zgadła, tylko moja mała Sally trochę się martwi. Nie jest pewna czy Święty Mikołaj wie o naszej przeprowadzce i boi się, że nie znajdzie jej w Anglii. Ale on przyjedzie -
zapewnił Ryan.

- Dzieci w tym wieku są takie słodkie. - Nacisnęła ukryty guzik. - Może pan wejść.

- Dziękuję, Nancy. - Ryan przekręcił elektronicznie blokowany uchwyt w drzwiach i wszedł do gabinetu.

Wiceadmirał James Greer siedział wygodnie rozparty w fotelu z wysokim oparciem, przeglądając jakieś papiery. Na ogromnym mahoniowym biurku piętrzyły się sterty równo ułożonych teczek, z grzbietami oklejonymi czerwoną taśmą i okładkami opatrzonymi różnymi hasłami.

- Jak się masz, Jack! - zawołał. - Kawy?

- Bardzo proszę, panie admirale.

James Greer miał sześćdziesiąt sześć lat, był oficerem marynarki wojennej w wieku emerytalnym i nadal pracował ze zwierzęcą energią, podobnie zresztą jak niegdyś Hyman Rickover, twórca amerykańskiej floty atomowej. Tyle że z Greerem współpracowało się o wiele łatwiej. Należał do „mustangów”, czyli do tych, którzy wstępują do marynarki na ochotnika, a dzięki wytrwałości i zdolnościom dostają się do Akademii Marynarki Wojennej.

Czterdzieści lat pracował na trzy admirałskie gwiazdki na naramiennikach, najpierw dowodząc okrętami podwodnymi, później jako specjalista w wywiadzie. Greer był

wymagającym szefem, ale potrafił też troszczyć się o tych, z których był zadowolony, a do nich właśnie należał Ryan.

Ku zmartwieniu Nancy, Greer sam lubił przyrządzać sobie kawę. Do jej parzenia miał

specjalną maszynkę firmy West Bend, która stała w zasięgu ręki na półce za biurkiem. Ryan nalał sobie filiżankę, właściwie nie była to filiżanka, lecz marynarski kubek bez uszka. Kawa była mocna, z odrobiną soli, taka, jaką pije się na morzu.

- Jesteś głodny, Jack? - spytał Greer, wyjmując z szuflady pudełko. - Mam tu kilka słodkich bułeczek.

- O, dziękuję bardzo, panie admirale. Niewiele jadłem w samolocie. - Ryan wziął bułkę wraz z papierową chusteczką.

- Wciąż nie lubisz latać? - dopytywał się rozbawiony Greer.

Ryan usiadł na krześle naprzeciwko szefa.

- Będę się chyba musiał przyzwyczaić. Wolę latać concorde'em niż szerokokadłubowcami. Boję się wtedy o połowę krócej.

- Jak rodzina?

- Dziękuję, dobrze. Sally już w pierwszej klasie, jest zachwycona. A mały Jack stawia pierwsze kroki. Te bułki są świetne.

- Właśnie otwarto nową piekarnię parę ulic ode mnie. Mijam ją co rano w drodze do pracy. - Admirał wyprostował się na krześle. - Ale do rzeczy, co cię dzisiaj sprowadza?

- Zdjęcia „Czerwonego Października”, nowego radzieckiego okrętu rakietowego - rzucił od niechcienia Ryan, popijając kawę drobnymi łyżkami.

- Ach tak, a - czego angielscy kuzyni chcą w zamian? - spytał podejrzliwie Greer.

- Chcieliby zerknąć na nowe fotograficzne cacka Barry'ego Somersa. Póki co, nie na sam sprzęt, a na wynik końcowy. Myślę, że to uczciwy interes, panie admirale.

Ryan wiedział, że CIA nie ma zdjęć nowego okrętu. Zarząd Operacyjny nie ma żadnego człowieka w stoczni w Siewierodwińsku ani nikogo godnego zaufania w bazie okrętów podwodnych w Polarnym. Co gorsza, tak zwane stajnie okrętowe, budowane dla rakietowych okrętów podwodnych na wzór niemieckich schronów dla okrętów podwodnych z czasów drugiej wojny światowej, uniemożliwiają ich fotografowanie z satelity. - Mamy dziesięć negatywów, pod ostrym kątem, po pięć od dziobu i od rufy, przy czym jedno z każdej piątki jest niewywołane, żeby Somers sam mógł nad nim popracować pierwszy. To nic zobowiązującego, panie admirale, ale powiedziałem sir Basilowi, że się pan nad tym zastanowi.

Admirał odchrząknął. Sir Basil Charleston, szef brytyjskiej tajnej służby wywiadowczej SIS, był mistrzem w grze coś za coś. Od czasu do czasu dzielił się informacjami z bogatszym kuzynem, a w miesiąc później prosił w zamian o przysługę. Gra wywiadów przypominała często prymitywne targowisko.

- Aby zastosować nowy system, Jack, musimy mieć aparat, z którego zrobiono te zdjęcia.

- Wiem. - Ryan wyciągnął aparat z kieszeni płaszcza. - To ulepszony dyskowy kodak.

Sir Basil twierdzi, że jest przyszłością aparatów szpiegowskich, mały i płaski. Ten, jak twierdzi sir Basil, był ukryty w kapciuchu na tytoń.

- Skąd wiedziałeś, że potrzebny nam będzie aparat?

- Chodzi panu o to, że Somers używa laserów do...

- Ryan! - uciął Greer. - Co jeszcze wiesz?

- Spokojnie, panie admirale. Pamięta pan mój pobyt tutaj w lutym, gdy omawialiśmy nowe stanowiska rakiet SS-20 na granicy chińskiej? Był tu wtedy Somers i poprosił mnie pan, żebym go odwiózł na lotnisko. Kiedy stąd wychodziliśmy, rozgadał się o rewelacji, nad którą będzie właśnie pracował na zachodnim wybrzeżu. Mówił o tym przez całą drogę na Dulles. Z

tych strzępów, które zrozumiałem, wnioskuje, że przepuszcza promienie laserowe przez obiektyw aparatu i otrzymuje matematyczny model obiektywu. Może wtedy, jak sędzę, wziąć naświetlony negatyw, zamienić obraz, o ile się nie mylę, na pierwotne promienie światła, a potem przepuścić je przez symulowany komputerowo obiektyw, by otrzymać dokładny obraz.

Zdaje się, że wszystko pokręciłem. - Twarz Greera mówiła Ryanowi, że nic nie pokręcił.

- Cholera, Somers zdecydowanie za dużo gada.

- To samo mu powiedziałem, panie admirale. Ale gdy już facet zacznie, jak można go, u licha, zmusić żeby się zamknął?

- A co wiedzą Anglicy?

Trudno zgadnąć, panie admirale. Sir Basil wypytywał mnie w tej sprawie, ale powiedziałem mu, że zwraca się do niewłaściwej osoby, skończyłem przecież ekonomię i historię, nie fizykę. Powiedziałem, że musimy mieć aparat, ale już o tym wiedział. Wyjął go z biurka i rzucił mi. Ja nie powiedziałem mu niczego nowego.

- Ciekaw jestem, komu jeszcze o tym wypaplał? Geniusze! Żyją w swych zamkniętych zwariowanych światkach. Somers zachowuje się czasami jak dzieciak. A znasz pierwszą zasadę bezpieczeństwa? Prawdopodobieństwo wydania się tajemnicy jest wprost proporcjonalne do kwadratu liczby ludzi z nią związanych. - Było to ulubione powiedzenie Greera.

Zadzwonił telefon.

- Greer... Tak. - Odłożył słuchawkę. - Charlie Davenport jest w drodze, tak jak chciałeś. Powinien tu już być od pół godziny. To chyba przez ten śnieg - admirał machnął

ręką w kierunku okna. Ziemię pokrywała pięciocentymetrowa warstwa białego puchu, a przewidywano, że przez noc przybędą kolejne dwa centymetry. - Wystarczy, że spadnie na to miasto parę płatków śniegu, a wszystko szlag trafia.

Tego oczywiście Greer, który nie takie śniegi widział w rodzinnym Maine, w żaden sposób nie mógł zrozumieć. Ryan roześmiał się.

- Więc powiadasz, Jack, że gra jest warta świeczki?

- Panie admirale, już od pewnego czasu chcieliśmy mieć te zdjęcia, przy tych wszystkich sprzecznych informacjach o okręcie, które do nas docierają. Decyzja należy oczywiście do pana i do sędziego, ale myślę, że owszem, warte są wyznaczonej ceny. Te zdjęcia są bardzo interesujące.

- Powinniśmy mieć swoich ludzi w tej cholernej bazie - gderał Greer. Ryan nie miał pojęcia, jak wydział operacyjny zawiązał taką sprawę.

Niewiele interesowała go praca w terenie. Był analitykiem. Nie obchodziło go, w jaki sposób informacje trafiają na jego biurko i robił wszystko, by tego nie wiedzieć.

- Oczywiście Basil nie powiedział nic o ich człowieku?

Ryan z uśmiechem zaprzeczył.

- Nie, panie admirale, i nie pytałem.

Greer z aprobatą kiwnął głową.

- Dzień dobry, James!

Ryan odwrócił się i zobaczył kontradmirała Charlesa Davenporta, szefa wywiadu marynarki, za którym krył się jakiś kapitan.

- Cześć, Charlie. Znasz Jacka Ryana?

- Witam, panie Ryan.

- Już się kiedyś spotkaliśmy - przypomniał Ryan.

- A to kapitan Casimir.

Uścisnęli sobie ręce. Poznał Davenporta parę lat temu, wygłaszając odczyt w Szkole Marynarki Wojennej w Newport. Davenport dał mu niezły wycisk swoimi pytaniami. We współpracy podobno kawał skurczybyka. Kiedyś był pilotem, po rozbiciu samolotu przy lądowaniu odebrano mu prawo do odbywania lotów i, jak twierdzą niektórzy, ciągle żywił w sercu urazę. Do kogo? Tego nikt tak naprawdę nie wiedział.

- W Anglii pogoda chyba równie zła jak tutaj. - Davenport rzucił swój płaszcz na płaszcz Ryana. - Widzę, że ukradł pan swój marynarce brytyjskiej.

Ryan lubił swoje marynarskie okrycie.

- To prezent, panie admirale, a przy tym bardzo ciepły, jak mniemam.

- O Boże, nawet mówi jak angol. James, trzeba ściągnąć chłopaka do domu.

- Bądź dla niego miły, Charlie. Ma dla ciebie prezent. Weź sobie kawy.

Casimir rzucił się, by napełnić kubek dla swego szefa, po czym usiadł po prawej stronie Davenporta. Ryan odczekał chwilę, zanim otworzył walizeczkę i wyjął z niej cztery teczki. Jedną zatrzymał dla siebie.

- Mówią, że odwalasz całkiem niezłą robotę, Ryan - rzucił Davenport.

Jack wiedział, że admirał ma niezwykle zmienne usposobienie, potrafił być bardzo uprzejmy, a w chwilę później arogancki. Miało to zapewne służyć utrzymywaniu podwładnych w ciągłym pogotowiu.

- A to dopiero! - wykrzyknął Davenport po otwarciu teczki.

- Panowie, oto dzięki uprzejmości wywiadu brytyjskiego macie „Czerwony Październik” - rzekł oficjalnie Ryan. Każda z teczek zawierała osiem ułożonych parami fotografii o wymiarach 10x10 centymetrów, a pod nimi powiększenia 25x25 centymetrów.

Zdjęcia wykonano pod ostrym kątem, prawdopodobnie z obrzeża suchego doku, w czasie generalnego przeglądu okrętu. Posegregowano je parami, dziób i rufa, dziób i rufa.

- Panowie, jak widzicie, oświetlenie pozostawia wiele do życzenia. Zdjęcia wykonano zwykłym aparatem, na kolorowym filmie o czułości 400 ASA. Pierwszą parę wywołano normalnie, dla ustalenia, jak są naświetlone negatywy. Drugą również normalnie, tyle że starając się osiągnąć największą jasność obrazu. Trzecią przetworzono cyfrowo dla większego nasycenia koloru, a czwartą parę - dla uzyskania większej rozdzielczości. Mam również po jednej niewywołanej klatce każdego ujęcia, żeby mógł się nimi pobawić Barry Somers.

- Aha. - Davenport podniósł na chwilę wzrok. - To bardzo miło ze strony Anglików.

Czego za to chcą? - Greer wyjaśnił mu. - Dobrze. Są tego warte.

- To samo mówi Jack.

- Kalkuluje - zaśmiał się Davenport. - Wiesz, że tak naprawdę to on pracuje dla nich.

Ryan poczuł się dotknięty tą uwagą. Lubił Anglików, podobała mu się współpraca z brytyjskim wywiadem, lecz pamiętał dobrze, z jakiego kraju pochodzi. Zacerpnął głęboko powietrza. Davenport lubił prowokować i gdyby Jack zareagował na jego uwagę, sprawiłby mu tym dużą satysfakcję.

- Rozumiem, że sir John Ryan wciąż ma świetne kontakty po drugiej stronie oceanu. -

Davenport wbił szpilę jeszcze głębiej.

Tytuł Ryana był czysto honorowy. Otrzymał go w nagrodę za udaremnienie zamachu terrorystycznego w londyńskim St. James Park. Zdarzyło się to na długo przed otrzymaniem propozycji współpracy z CIA. Był wtedy zwykłym amerykańskim turystą. To, że przypadkiem zapobiegł zabójstwu dwóch bardzo wysoko postawionych osobistości, zyskało mu znacznie więcej rozgłosu, niżby tego pragnął, ale i pozwoliło poznać w Anglii wielu ciekawych ludzi. Dzięki owym kontaktom stał się na tyle cenny dla CIA, że zaproponowano mu udział w mieszanej grupie amerykańsko-angielskiej. W ten właśnie sposób nawiązał

dobrą współpracę z sir Basilem Charlestonem.

- Mamy tam bardzo wielu przyjaciół i kilku z nich było na tyle uprzejmych, by udostępnić panu te zdjęcia - rzekł chłodno Ryan.

Davenport zmiękł.

- W porządku, Jack, oddaj mi więc przysługę. Dopilnuj, by ten, kto nam je dał, otrzymał ładny prezencik pod choinkę. Są dla nas dużo warte. A zatem, co my tu mamy?

Dla postronnego obserwatora zdjęcia przedstawiały zwykły raketowy okręt podwodny o napędzie atomowym. Stalowy kadłub zakończony był z jednej strony tępo, z drugiej ostro. Robotnicy na dnie doku stanowili punkt odniesienia, okręt był ogromny. W

części rufowej, po obu stronach płaskiego „ogona bobra”, jak - według wywiadu - nazywali to Rosjanie, znajdowała się para śrub z brązu. Rufa ze śrubami nie byłaby godna uwagi, gdyby nie pewien szczegół.

- Po co są tu te klapy? - zapytał Casimir.

- Hm. Duże bydlę - Davenport najwyraźniej nie dosłyszał pytania. - Na oko widać, że z dziesięć metrów dłuższy, niż przypuszczaliśmy.

- Mniej więcej trzynaście - rzucił Ryan.

Choć nie przepadał za Davenportem, musiał przyznać, że zna się na swojej robocie.

- Somers może nam to obliczyć. Jest też szerszy od innych okrętów podwodnych klasy *Typhoon* o dwa metry. Najwyraźniej stanowi udoskonaloną wersję, ale...

- Racja, panie kapitanie - przerwał Davenport - co oznaczają te wrota?

- Dlatego właśnie tu jestem. - Ryan już wcześniej zastanawiał się, jak prędko się połapią. Jemu zajęło to pięć sekund. - Nie mam pojęcia, Brytyjczycy też tego nie wiedzą.

Na dziobie i na rufie „Czerwony Październik” miał wrota o średnicy dwóch metrów, które jednak nie były idealnie okrągłe. W czasie fotografowania okrętu były zamknięte, pokazywała je wyraźnie dopiero czwarta para zdjęć.

- Wyrzutnie torpedowe? Niemożliwe, przy dziobie są przecież cztery... - Greer sięgnął do szuflady po szkło powiększające. W epoce komputerowej analizy obrazu ten gest wydał się Ryanowi uroczo anachroniczny.

- James, ty pływałeś na okrętach podwodnych - przypomniał Davenport.

- To było dwadzieścia lat temu, Charlie. - Greer przeszedł z marynarki do wywiadu na początku lat sześćdziesiątych.

Ryan zauważył, że kapitan Casimir, który nosił na mundurze oznakę lotnika marynarki, ma na tyle rozsądku, żeby się nie odzywać. Nie znał się na okrętach podwodnych.

- To nie mogą być wyrzutnie torpedowe. Cztery normalne wyrzutnie znajdują się na dziobie, wewnątrz tych otworów... Te wrota mają około dwóch metrów średnicy. A może to wyrzutnie nowych pocisków manewrujących, które Rosjanie udoskonalają?

- Tego właśnie zdania są w Royal Navy. Miałem okazję pogadać o tym z ludźmi z ich wywiadu. Jestem innego zdania. Dlaczego mieliby umieszczać typową broń przeciw okrętom nawodnym na okręcie przenoszącym rakiety balistyczne o zasięgu strategicznym? Sami tego nie robimy, a przecież nasze podwodne okręty raketowe są o wiele bardziej ofensywne niż radzieckie. Wrota są rozmieszczone symetrycznie względem osi kadłuba. Nie można wyrzucać rakiet z rufy, panie admirale. Te otwory są tuż obok śrub.

- A może holowana antena sonarowa - odezwał się Davenport.

- Przyjąwszy, że potrafiliby zbudować coś takiego, a okręt używałby tylko jednej śruby. Ale dwie? - zapytał Ryan.

- Kochają się w nadmiarze - rzucił Davenport ze złośliwym spojrzeniem.

- Para wrót na dziobie, para na rufie. Mogę się zgodzić na wyrzutnie pocisków manewrujących, mogę także się zgodzić na holowany sonar, ale dlaczego wszystkie wrota są tej samej wielkości? - Ryan pokręcił głową. - To nie może być przypadek. Myślę, że mają coś nowego. Coś, co na długo przerwało budowę okrętu. Wymyślili coś nowego i dlatego właśnie przez dwa lata przebudowywali *Typhoona*, żeby to pomieścić. Proszę także zwrócić uwagę, że pozwolili sobie na dodatkowe sześć rakiet.

- To tylko pańska opinia - zauważył Davenport.

- Za to właśnie mi płacą.

- W porządku, Jack, powiedz, co o tym myślisz - rzekł Greer.

- Nie mam pojęcia. Nie jestem inżynierem.

Admirał Greer przez chwilę przyglądał się swoim gościom. Uśmiechnął się i oparł wygodnie w fotelu.

- Panowie, i co? Mamy tu dziewięćdziesiąt lat doświadczenia w marynarce, jeśli się doda wszystkich obecnych, plus tego oto młodego amatora. Dobra, Jack. Przyleciałeś z tym osobiście. Dlaczego?

- Chcę to komuś pokazać.

- Komu? - spytał podejrzliwie Greer, przechylając głowę.

- Skipowi Tylerowi. Czy któryś z panów go zna?

- Ja go znam - skinął głową Casimir. - Studiował rok niżej ode mnie w Akademii Marynarki. Chyba potem coś mu się stało...

- Tak - potwierdził Ryan. - Stracił nogę w wypadku samochodowym cztery lata temu.

Był bliski objęcia dowództwa okrętu klasy *Los Angeles*, kiedy wpadł na niego pijany kierowca. Teraz Skip wykłada mechanikę w akademii i jest częstym konsultantem Dowództwa Systemów Morskich. Robi analizy techniczne, przygląda się projektom statków.

Zrobił doktorat z mechaniki w Massachusetts Institute of Technology i potrafi myśleć niekonwencjonalnie.

- Ma dopuszczenie do spraw tajnych? - zapytał Greer.

- Nawet do ściśle tajnych, albo jeszcze lepiej, ze względu na pracę dla marynarki.

- Masz jakieś zastrzeżenia, Charlie?

Davenport zmarszczył brwi. Tyler był spoza wywiadu.

- Czy to ten facet, który dokonał oceny nowego „Kirowa”?

- Tak, admirał, teraz sobie przypominam - powiedział Casimir. - On i Saunders z Systemów Morskich.

- To była dobra robota. Jeśli o mnie chodzi, zgoda.

- Kiedy chcesz się z nim zobaczyć? - Greer zwrócił się do Ryana.

- Dzisiaj, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. I tak muszę podskoczyć do Annapolis, żeby zabrać coś z domu, no i zrobić szybkie zakupy świąteczne.

- Czyżby kilka lalek? - spytał Davenport.

Ryan odwrócił się i spojrzał admirałowi prosto w oczy.

- W rzeczy samej, panie admirale. Moja mała chce Barbie w stroju narciarskim i trochę dżinsowych ubranek dla lalek. A pan nigdy nie był Świętym Mikołajem?

Davenport zrozumiał, że Ryan nie ma zamiaru dalej ustępować. Nie był jego podwładnym, by znosić złośliwe docinki. W każdej chwili może po prostu wyjść z pokoju.

Spróbował więc z innej strony.

- A powiedzieli ci, że „Czerwony Październik” wypłynął w ubiegły piątek?

- Co takiego? Nie, nie powiedzieli. - Ryan był kompletnie zaskoczony. - Myślałem, że ma wypłynąć w ten piątek.

- My również. Kapitanem jest Marko Ramius. Słyszałeś o nim?

- Coś mi się obilo o uszy. Anglicy mówią, że jest niezły.

- Więcej niż niezły - wtrącił Greer. - To chyba ich najlepszy dowódca okrętów podwodnych, odważny facet. Kiedy jeszcze byłem w wywiadzie wojskowym, mieliśmy o nim sporo materiałów. Kto ci go namierza, Charlie?

- Miał to robić „Bremerton”, ale nie zdążył zająć stanowiska. Wykonywał jakieś zadania w ramach wywiadu elektronicznego, kiedy Ramius wypływał, ale kazano mu je przerwać. Dowódcą jest Bud Wilson. Pamiętasz jego ojca?

Greer roześmiał się.

- Reda Wilsona? To był dowódca z prawdziwego zdarzenia! Czy jego syn też jest dobry?

- Tak mówią. Ramius jest chyba najlepszym dowódcą, jakiego mają Sowieci, ale za to Wilson ma okręt typu 688. Pod koniec tygodnia będziemy mogli założyć nową teczkę dla

„Czerwonego Października”. - Davenport wstał. - Musimy wracać, James. - Casimir pospiesznie sięgnął po płaszcz. - Mogę zatrzymać zdjęcia?

- Myślę, że tak. Staraj się tylko nie rozwieszać ich na ścianach, nawet zamiast tarcz do strzałek. Ty

też pewnie chcesz się już zbierać, Jack?

- Tak jest, panie admirale.

Greer podniósł słuchawkę.

- Nancy, samochód z kierowcą dla doktora Ryana za piętnaście minut, dobrze? -

Odłożył słuchawkę i czekał, aż wyjdzie Davenport. - Nie chcę, żebyś zginął pod śniegiem.

Poza tym pewnie po roku spędzonym w Anglii jechałbyś lewą stroną. Więc to ma być Barbie narciarz?

- Pan miał samych chłopców, prawda? Dziewczynki są inne - uśmiechnął się szeroko Ryan. - Nigdy nie widział pan mojej małej Sally.

- Córunia tatusia?

- Tak. Ale niech Bóg ma w opiece tego, kto ją kiedyś poślubi. Mogę zostawić te fotografie Tylerowi?

- Mam nadzieję, chłopcze, że nie mylisz się co do niego. Tak, niech je zatrzyma, ale tylko pod warunkiem, że ma gdzie je schować.

- Jasne, panie admirale.

- Przy tym stanie dróg wrócisz chyba późno. Gdzie się zatrzymałeś? W Marriotcie?

- Tak.

Greer pomyślał chwilę.

- Popracuję dziś chyba dłużej. Wpadnij do mnie, zanim się położysz. Może będę chciał pogadać z tobą o kilku sprawach.

- Oczywiście, panie admirale. Dziękuję za samochód. - Ryan wstał.

- No to idź po swoje lalki.

Greer odprowadził Ryana wzrokiem. Lubił go. Chłopak nie boi się mówić tego, co myśli. Po części pewnie dlatego, że ma pieniądze i ożenił się z jeszcze większymi pieniędzmi.

Daje to pewną niezależność i ma wiele plusów. Ryana nie można kupić, przekupić czy zastraszyć. Zawsze może wrócić do zarabiania pisaniem książek historycznych. Dorobił się majątku sam, w cztery lata, pracując jako makler giełdowy. Lokował pieniądze w bardzo ryzykownych przedsięwzięciach i odszedł z giełdy o wiele bogatszy. Wycofał się, bo wolał, jak twierdził, nie ufać

zbyt długo swemu szczęściu. Greer w to nie wierzył. Jego zdaniem Jack po prostu śmiertelnie się znudził robieniem pieniędzy. Admirał potrząsnął głową z niedowierzaniem. Teraz talent, który kiedyś pomagał mu na giełdzie, Ryan wykorzystywał

dla CIA. Szybko wyrastał na jednego z najlepszych analityków Greera, a kontakty w Wielkiej Brytanii jeszcze podnosiły jego wartość. Potrafił wyłowić z morza faktów trzy lub cztery istotne informacje, które miały jakieś znaczenie. W CIA należało to do rzadkości. Greer uważał, że Agencja wciąż wydaje za dużo pieniędzy na zbieranie informacji, a za mało na ich analizę. Analitycy pozbawieni byli tego czaru, jaki był częścią hollywoodzkiego wizerunku tajnego agenta. Jack umiał analizować raporty od takich właśnie ludzi oraz dane z wywiadu technicznego. Potrafił samodzielnie podjąć decyzję i nie bał się wyrazić swego zdania, obojętnie, czy się to jego szefom podoba, czy nie. Czasami drażniło to starego admirała, ale na ogół lubił podwładnych, których mógł szanować. W CIA było zbyt wielu ludzi, których jedyną umiejętnością jest dbanie o własny tyłek.

Akademia Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych

Utrata lewej nogi powyżej kolana nie pozbawiła Olivera Wendella Tylera wdzięku ani werwy. Mogła zaświadczyć o tym jego żona. Przez cztery lata, które minęły od jego odejścia ze służby czynnej, do dwójki dzieci doszło im jeszcze troje i zanosilo się na to, że nie poprzestaną na piątce. Ryan zastał go przy biurku w pustej sali wykładowej w Rickover Hall, w którym to budynku mieścił się Wydział Nauk Ścisłych i Mechaniki. Tyler czytał właśnie prace studentów.

- Jak leci, Skip? - spytał Ryan, opierając się o framugę drzwi. Kierowca z CIA czekał na korytarzu.

- Cześć, Jack! Myślałem, że jesteś w Anglii. - Tyler skoczył na równą nogę, jak sam to określał, i przykuśtykał uścisnąć rękę Ryanowi.

Jego proteza zamiast sztucznej stopy miała na końcu kwadratową nasadkę z gumy i zginała się nieco na wysokości kolana. Przed szesnastu laty Tyler był napastnikiem w drugoligowej drużynie futbolowej i dotąd mięśnie miał równie twarde, jak aluminium i szklane włókno protezy. Uścisk jego dłoni mógł przyprawić o jęk nawet goryla.

- Co cię tu sprowadza?

- Musiałem przylecieć w pewnej sprawie i chciałem zrobić trochę zakupów. Jak się miewa Jean i twoja... piątka?

- Piątka i dwie trzecie.

- Znowu? Jean powinna dopilnować, żeby zrobili z tobą porządek.

- To samo mi powiedziała, ale pozbawiono mnie już wystarczająco wielu rzeczy -

zaśmiał się Tyler. - Myślę, że odbijam sobie za te wszystkie lata klasztornego życia na okrętach. Chodź tu, weź jakieś krzesło.

Ryan usiadł na brzegu biurka, otworzył teczkę i wręczył Tylerowi skoroszyt.

- Mam parę zdjęć, chciałbym, żebyś rzucił na nie okiem.

- W porządku. - Tyler szybkim ruchem otworzył skoroszyt.

- Czyj... radziecki! Duży, skurwiel. Podstawowa konstrukcja *Typhoona*, ale widać mnóstwo modyfikacji. Dwadzieścia sześć rakiet zamiast dwudziestu. Wydaje się dłuższy. I kadłub ma nieco spłaszczony. Szerszy?

- O dwa albo trzy metry.

- Słyszałem, że pracujesz dla CIA. Nie możesz pewnie o tym mówić, co?

- Coś w tym rodzaju. A ty, Skip, nigdy nie widziałeś tych zdjęć, jasne?

- Tak jest. - Tylerowi błysnęły oczy. - A czego mam na nich nie zobaczyć?

Ryan wyciągnął spod spodu powiększenia.

- Tych wrót, na dziobie i na rufie.

- Aha! - Tyler ułożył zdjęcia na biurku, jedno obok drugiego. - Całkiem spore, około dwóch metrów. Dwie pary na przedzie i dwie z tyłu. Wydają się symetryczne względem osi.

Nie są to chyba wyrzutnie pocisków typu *Cruise*, co?

- Na okręcie raketowym? Zainstalowałbyś coś takiego na strategicznym okręcie raketowym?

- Ruscy to zabawni ludzie, Jack. Robią wszystko po swojemu. To właśnie oni skonstruowali „Kirowa” z reaktorem atomowym oraz napędem parowym na ropę. Hm... dwie identyczne śruby. Wrota na rufie nie mogą służyć do holowania sonaru. Nie do pogodzenia ze śrubami.

- A jeśli blokują jedną ze śrub?

- Praktykują to czasami na jednostkach nawodnych dla oszczędzania paliwa, a czasami na okrętach torpedowych. Ale pływanie raketowym okrętem podwodnym na jednej śrubie byłoby chyba trochę ryzykowne. *Typhoony* są ciężkie w sterowaniu, a przy tym bardzo wrażliwe na zmiany prędkości. W

rezultacie tak szarpie na boki, że masz kłopoty z utrzymaniem kursu. Zauważyłeś, jak wrota zbiegają się przy sterze?

- Nie zwróciłem uwagi.

Tyler podniósł wzrok znad fotografii.

- Cholera! Powiniennem wpaść na to od razu! To system napędowy. Nie powinieneś mnie zaskakiwać przy czytaniu prac studentów, Jack. To robi wodę z mózgu.

- System napędowy?

- Zastanawialiśmy się nad tym, gdy sam tu studiowałem, będzie jakieś dwadzieścia lat temu. Ale daliśmy sobie z tym spokój. Jest za mało wydajny.

- Dobra, opowiedz mi o nim.

- Nazwano to napędem tunelowym. Jak wiesz, w zachodnich stanach mamy mnóstwo elektrowni wodnych. Głównie przy tamach. Woda spada na koła łopatkowe, które obracają prądnice. Są też nowe rozwiązania. Wykorzystuje się w nich podziemne rzeki: woda, zamiast kół łopatkowych, wprawia w ruch wirniki, a te z kolei prądnice. Wirnik przypomina śrubę okrętową, tyle że to woda wprawia go w ruch, a nie odwrotnie. Istnieją także drobne różnice w rozwiązaniach technicznych, ale niezbyt ważne. Wszystko na razie jasne? W napędzie turbinowym jest odwrotnie. Woda wciągana jest na dziobie, a wirniki wypychają ją na rufie.

To napędza okręt. - Tyler zamilkł na chwilę, marszcząc czoło. - O ile pamiętam, trzeba mieć więcej niż jeden wirnik na tunel. Pracowano nad tym na początku lat sześćdziesiątych i zaniechano na etapie prototypu. Okazało się wtedy między innymi, że jeden wirnik nie pracuje tak dobrze jak kilka. Wchodzi tu w grę ciśnienie zwrotne. Było to nowe zjawisko, pojawiło się zupełnie nieoczekiwanie. Skończyli chyba na czterech wirnikach i przypominało to z grubsza układ sprężania w silniku odrzutowym.

- Dlaczego tego zaniechaliśmy? - zapytał Ryan, robiąc pośpiesznie notatki.

- Głównie ze względu na małą wydajność. Możesz pobrać tylko tyle wody, ile zmieści się w rurach, bez względu na moc silników. Poza tym system napędowy zajmował bardzo dużo miejsca. Zdaje się, że to częściowo rozwiązano, stosując nowy rodzaj silnika indukcyjnego, ale i tak miałbyś w kadłubie wiele dodatkowych urządzeń. Na okrętach podwodnych nie ma tyle wolnego miejsca, nawet na tym potworze. Maksymalną prędkość oceniano wtedy na około dziesięciu węzłów, co po prostu było nie do przyjęcia, mimo że zostałyby praktycznie wyeliminowane szумы kawitacyjne.

- Kawitacyjne?

- Kiedy śruba obraca się w wodzie z dużą prędkością, za krawędzią spływu powstaje obszar niskiego ciśnienia. Może to spowodować parowanie wody. Tworzą się małe bąbelki pary, które nie

mogą się utrzymać długo pod naporem ciśnienia wody i gdy skraplają się, woda z całą siłą uderza w łopatki. To z kolei wywołuje trzy zjawiska. Po pierwsze, powstaje szum, którego my, załogi okrętów podwodnych, nie znosimy. Po drugie, wytwarzają się wibracje, za którymi też nie przepadamy. Na starych pasażerskich liniowcach na przykład następowały kilkunastocentymetrowe drgania w części rufowej spowodowane kawitacją i poślizgiem śruby. Potrzeba cholery siły, by wywołać drgania statku o wyporności pięćdziesięciu tysięcy ton. Taka siła może dokonać wielkich zniszczeń.

Po trzecie, wreszcie może to rozerwać śrubę. Duże śruby wytrzymały tylko parę lat. Dlatego właśnie dawniej przymocowywano łopatki sworzniami, zamiast wykonywać odlewy. Wibracje stanowią problem głównie dla statków nawodnych, a ze zużyciem śruby poradzono sobie ostatecznie, udoskonalając technologię odlewu.

Tunelowy system napędowy rozwiązuje problem kawitacji. To znaczy kawitacja nadal istnieje, ale szumy, które w jej wyniku powstają, giną w tunelach. To brzmi rozsądnie.

Problem jednak polega na tym, że nie można rozwinąć dużej prędkości, nie zwiększając tym samym nadmiernie rozmiarów tuneli. Gdy jeden zespół pracował nad napędem tunelowym, drugi zajmował się w tym czasie udoskonalaniem śrub. Typowa śruba nowoczesnego okrętu podwodnego jest dość duża, po to by mogła się obracać wolniej przy dużych prędkościach.

Im mniejsza prędkość obrotowa, tym mniejsza kawitacja. Problem maleje także wraz ze wzrostem głębokości, gdyż większe ciśnienie wody hamuje wytwarzanie się bąbelków.

- Dlaczego więc Rosjanie nie kopiują naszych projektów śrub?

- Prawdopodobnie z kilku powodów. Śrubę projektuje się dla konkretnego kadłuba i silnika, więc kopiowanie naszych rozwiązań nic im nie daje. Poza tym wiedza ma charakter praktyczny, często opiera się na metodzie prób i błędów. Jest to o wiele trudniejsze, niż, powiedzmy, zaprojektowanie skrzydła samolotu, ponieważ przekrój łopatki jest zupełnie różny w różnych miejscach. Inna przyczyna leży, jak sądzę, w ich technologii metalurgicznej, która ustępuje naszej. Z tego właśnie powodu rosyjskie silniki odrzutowe i raketowe są mniej wydajne. Nowa technika wykorzystuje supertwarde stopy metali. To już bardzo wąska specjalność, o której wiem niewiele.

- W porządku. Twierdzisz zatem, że jest to system bezgłośnego napędu, który daje maksymalną prędkość dziesięciu węzłów? - Ryan chciał mieć jasny obraz sytuacji.

- Mniej więcej. Żeby to uściślić, musiałbym przeprowadzić symulację komputerową.

W Taylor Laboratory powinny jeszcze być odpowiednie dane. - Skipowi chodziło tu o laboratoria Dowództwa Systemów Morskich, na północnym brzegu rzeki Severn. -

Prawdopodobnie jeszcze utajnione, no i musiałbym je traktować z dużym przymrużeniem oka.

- Dlaczego?

- Te badania przeprowadzano dwadzieścia lat temu. Doszli jedynie do prób na pięciometrowych modelach, a to trochę za mało. Pamiętaj, że natknęli się na nowe zjawisko, ciśnienie zwrotne. Może było więcej takich rzeczy. Myślę, że próbowali opracować jakieś modele za pomocą komputera, ale nawet jeśli to im się udało, to komputerowe modelowanie było wtedy w powijakach. Żeby to dzisiaj odtworzyć, musiałbym mieć stare programy i dane z Taylor Laboratory, sprawdzić wszystko jeszcze raz i ułożyć nowy program na podstawie tych zdjęć. - Tyler poklepał fotografie. - Gdy już to zrobię, będzie mi potrzebny dostęp do wielkiego nowoczesnego komputera, żeby wszystko wyliczyć.

- Ale mógłbyś to zrobić?

- Pewnie. Potrzebuję tylko dokładnych wymiarów tego cacka. Robiłem już coś podobnego dla chłopaków z Cristal City. Najtrudniej o czas na komputerze. Potrzebna mi będzie naprawdę duża maszyna.

- Mógłbym ci chyba załatwić dostęp do naszych.

Tyler roześmiał się serdecznie.

- Pewnie nie macie takich, Jack. Chodzi o bardzo specjalistyczne sprawy. Mówię o jednym z największych, o komputerze Cray-2. Aby zrobić to, co cię interesuje, trzeba matematycznie symulować zachowanie milionów maleńkich drobin wodnych opływających kadłub, a w tym przypadku także prężeń przepływających. Podobną robotę odwalają w NASA przy wahadłowcu. Praca sama w sobie jest dość prosta, trudność polega na skali.

Obliczenia są proste, ale trzeba dokonywać milionów takich obliczeń na sekundę. To zaś oznacza konieczność użycia dużego Craya, a jest ich tylko kilka. Jeden jest chyba w Houston.

Marynarka ma ich parę w Norfolk do operacji zwalczania okrętów podwodnych, i też możesz je skreślić. Jeden ma chyba lotnictwo w Pentagonie, a reszta jest w Kalifornii.

- Ale mógłbyś to zrobić?

- Oczywiście.

- W porządku, bierz się więc do roboty, Skip, a ja zobaczę, co się da zrobić w sprawie komputera. Ile czasu ci to zajmie?

- Zależy od danych Taylor Laboratory. Może tydzień, może mniej.

- Ile za to chcesz?

- Daj spokój, Jack! - Tyler lekceważąco machnął ręką.

- Skip. Mamy dziś poniedziałek. Jeśli dostarczysz nam te dane do piątku, dostaniesz dwadzieścia tysięcy dolarów. Jesteś tego wart, a my potrzebujemy tych informacji. Zgoda?

- Stoi - uścisnęli sobie dłonie. - Czy mogę zatrzymać zdjęcia?
- Zostawię ci je pod warunkiem, że znajdziesz dla nich bezpieczne miejsce. Nikt nie może ich zobaczyć, Skip. Absolutnie nikt.
- W biurze komendanta jest dobry sejf.
- Świetnie, ale on nie może ich zobaczyć. - Ryan pamiętał, że komendant akademii pływał kiedyś na okrętach podwodnych.
- Nie będzie tym zachwycony - powiedział Tyler - ale zgoda.
- Jeżeli będzie miał jakieś zastrzeżenia, niech dzwoni do admirała Greera. Pod ten numer. - Ryan wręczył Skipowi kartkę. - Możesz się tam także skontaktować ze mną. Jeżeli mnie nie będzie, prosz admirała.
- Czy to ważna sprawa?
- Dość ważna. Jesteś pierwszy, który podał rozsądne wytłumaczenie co do tych otworów. Dlatego tu jestem. Gdybyś mógł odtworzyć ich sposób działania, byłoby to cholernie przydatne. Zapamiętaj, Skip. To wszystko jest ściśle tajne i jeżeli trafi do kogokolwiek, dobiorą mi się do tyłka.
- Dobra jest, Jack. Wyznaczyłeś mi konkretny termin, więc zabieram się do roboty. Do zobaczenia.

Po wyjściu Ryana Tyler wyjął notatnik i zaczął spisywać po kolei, co ma robić. Ryan, wsiadając do samochodu, przypomniał sobie, że przy drodze numer 2 z Annapolis mijali sklep z zabawkami. Chciał kupić tę lalkę dla Sally.

Siedziba CIA

Ryan wrócił do gmachu CIA przed ósmą wieczór. Szybko minął kolejne kontrole i znalazł się w biurze Greera.

- No i co, kupiłeś swoją Barbie nurka? - zapytał Greer, podnosząc głowę znad papierów.

- Barbie narciarza - poprawił go Jack. - Tak, panie admirale. Pan nigdy nie był

Świętym Mikołajem?

- Zbyt szybko mi dzieci dorosły, Jack. Nawet moje wnuki wyrosły już z tego wieku. -

Sięgnął po kawę. Ryan zastanawiał się, czy Greer kiedykolwiek sypia. - Mamy parę nowych informacji na temat „Czerwonego Października”. Wygląda na to, że Rosjanie przeprowadzają jakieś większe ćwiczenia w zwalczaniu okrętów podwodnych w północno-wschodniej części Morza Barentsa. Kręci się tam sześć samolotów rozpoznawczych, gromada fregat i okręt torpedowy klasy *Alfa*.

- Pewnie ćwiczą wykrywanie celów. Skip Tyler uważa, że te otwory to nowy system napędowy.

- Ach tak? - Greer z powrotem rozsiadł się wygodnie w fotelu. - Opowiedz mi o tym.

Ryan wyjął notatki i podzielił się pokrótce swoją nowo nabytą wiedzą z dziedziny budowy okrętów podwodnych.

- Skip mówi, że może wykonać komputerową symulację skuteczności takiego systemu

- dodał na koniec.

- Na kiedy?

- Może do końca tygodnia. Powiedziałem, że dobrze mu zapłacimy, jeżeli upora się z tym do piątku. Dwadzieścia tysięcy jest chyba rozsądną sumą?

- Czy to coś da?

- Powinno, jeżeli zdobędzie wszystkie pomocnicze dane. Skip to bardzo łebski facet, panie admirale. Zresztą w MIT nie dają byle komu doktoratów, a Skip należał do pięciu najlepszych na roku.

- Czy wart jest dwudziestu tysięcy z naszej kasy? - Greer znany był ze skąpstwa.

Ryan miał gotową odpowiedź na tego rodzaju wątpliwości.

- Panie admirale, jeżeli zastosujemy zwykłą procedurę i podpiszemy umowę z jednym z Oprychów z Obwodnicy - użył potocznego określenia firm konsultingowych, których biura znajdują się na obwodnicy wokół Waszyngtonu - zapłacimy pięć albo dziesięć razy więcej i w najlepszym wypadku dostaniemy wyniki przed Wielkanocą. A tak możemy je mieć, gdy okręt będzie jeszcze na morzu. W najgorszym razie, sam pokryję ten rachunek. Pomyślałem sobie, że będzie pan chciał je mieć jak najszybciej, a Skip się na tym zna.

- Masz rację. - Już nie po raz pierwszy Ryan obchodził zwykłą procedurę i jak dotąd nieźle mu się udawało. Greer należał do ludzi, którym zależy na wynikach. - W porządku, Rosjanie mają nowy okręt raketowy o bezgłośnym napędzie. Co to oznacza dla nas?

- Nic dobrego. Nasza taktyka zależy od zdolności wykrywania ich okrętów raketowych przez nasze jednostki torpedowe. Do diabła, przecież dlatego zgodzili się kilka lat temu na propozycję, żeby trzymać je w odległości dziewięciuset kilometrów od wybrzeży drugiej strony i dlatego ich okręty raketowe spędzają czas głównie w portach. Bezgłośny napęd może trochę zmienić całą zabawę. A propos, z czego jest wykonany kadłub

„Czerwonego Października”?

- Ze stali. Okręt jest zbyt duży na kadłub z tytanu, chociażby ze względu na koszty.

Wiesz, ile musieli wydać na *Alfy*?

- Za dużo w stosunku do tego, co zyskali. Wyrzucili mnóstwo forsy na supermocny kadłub, po czym zainstalowali hałaśliwy napęd. Kretynizm.

- Może. Ale nie miałbym nic przeciwko temu, żeby nasze okręty mogły osiągać taką prędkość. W każdym razie, jeżeli ten bezgłośny system napędowy rzeczywiście się sprawdzi, mogą podkraść się na szelf kontynentalny.

- Rakiety o płaskiej trajektorii lotu - powiedział Ryan.

To był jeden z najbardziej ponurych scenariuszy wojny nuklearnej, w którym rakietą zostaje wystrzelona z morza w odległości zaledwie kilkuset kilometrów od celu. Waszyngton leży niecałe dwieście kilometrów od wybrzeży Oceanu Atlantyckiego. Niski tor przelotu rakiety powoduje wprawdzie znaczne zmniejszenie celności, można jednak odpalić kilka pocisków, które wybuchną nad Waszyngtonem w ciągu niespełna pięciu minut, co nie da prezydentowi czasu na odpowiedź. Gdyby Rosjanom udało się zabić prezydenta, przerwałiby łańcuch dowodzenia i zyskali czas na odpalenie rakiet z lądu. Już nikt nie mógłby wydać rozkazu uderzenia odwetowego. Ten scenariusz to wersja zwykłego napadu, tyle że na wielką, strategiczną skalę, pomyślał. Napastnik nie atakuje rąk, ale głowę ofiary.

- Sądzi pan, że to mieli na myśli, konstruuując „Październik”?

- Jestem pewien, że przyszło im to do głowy - stwierdził Greer. - Nam też by przyszło.

Jest tam „Bremerton” i ma go na oku, a jeżeli te obliczenia okażą się przydatne, może uda się nam do

czegoś dojść. Jak się czujesz?

- Jestem na nogach od piątej trzydzieści czasu londyńskiego. Długi dzień, panie admirale.
- Wierzę. W porządku, sprawę Afganistanu omówimy jutro rano. Prześpij się trochę, chłopcze.
- Tak jest, panie admirale - powiedział Ryan, biorąc płaszcz. - Dobranoc.

Do Marriotta dotarł w piętnaście minut. Później popełnił błąd, włączając telewizor akurat w chwili, gdy zaczynał się poniedziałkowy nocny mecz futbolu. Grały Cincinnati i San Francisco, dwie najlepsze drużyny w lidze. Właśnie futbolu amerykańskiego brakowało mu w Anglii. Wytrzymał więc dzielnie prawie trzy godziny, zanim zapadł w głęboki sen przy włączonym odbiorniku.

Stacja SOSUS

Gdyby nie mundury, przygodny obserwator mógłby łatwo wziąć to pomieszczenie za centrum kontroli lotów NASA. Znajdowało się tu sześć szerokich rzędów konsol, z których każda miała własny ekran i klawiaturę, a także podświetlone plastikowe przyciski, tarcze, gniazda do słuchawek oraz wskaźniki analogowe i numeryczne. Starszy sierżant służby oceanograficznej Dekę Franklin siedział przy konsoli numer piętnaście.

Pomieszczenie to należało do Atlantyckiej Stacji Kontrolnej SOSUS, systemu rozpoznania hydrolokacyjnego. Był to budynek o nieokreślonym charakterze, zwykły rządowy „garaż” o betonowych ścianach bez okien i z dużym systemem klimatyzacji na płaskim dachu. Na dobrze utrzymanym, choć pożółkłym już teraz trawniku stał niebieski znak ze skrótem nazwy stacji. Trzech wejść dyskretnie strzegli od wewnątrz uzbrojeni marines.

Podziemia mieściły dwa superkomputery Cray-2, które obsługiwało dwadzieścia osób, za budynkiem zaś znajdowały się trzy naziemne stacje dwustronnej łączności satelitarnej.

Operatorzy przy konsolach i komputerach mieli elektroniczne połączenie przez satelity i linie naziemne z całym systemem SOSUS.

Na wszystkich oceanach świata, a szczególnie w miejscach, przez które muszą przejść radzieckie okręty podwodne w drodze na pełne morze, Stany Zjednoczone i inne kraje NATO

zainstalowały zespoły bardzo wrażliwych czujników sonarowych. Setki takich czujników rejestrują i wysyłają niewyobrażalną wprost ilość informacji. Toteż aby ludzie obsługujący całą tę sieć mogli sklasyfikować i zanalizować wszystkie napływające dane, trzeba było skonstruować nowy typ komputera - superkomputer. SOSUS spełniał swoje zadanie doskonale. Niewielu jednostkom udawało się przejść niepostrzeżenie przez barierę czujników.

Wykrywano nawet najcichsze amerykańskie i angielskie okręty podwodne. Czujniki leżące na dnie morza były co pewien czas unowocześniane. Wiele z nich zaopatrzone we własne procesory sygnałów dokonujące wstępnej selekcji informacji przed ich wysłaniem, co odciąża komputery w centrali i umożliwia szybszą i dokładniejszą identyfikację celów.

Konsola Franklina odbierała dane z grupy czujników umieszczonych w pobliżu wybrzeży Islandii. Oficer ten odpowiadał za akwen o szerokości siedemdziesięciu kilometrów, który na wschodzie i zachodzie częściowo pokrywał się z sektorami sąsiednimi.

Teoretycznie więc dowolny odcinek bariery był równocześnie kontrolowany przez trzech operatorów. Gdy namierzał jakieś obiekty, najpierw zawiadamiał swoich kolegów, później przysyłał informację do głównego komputera, a ten z kolei wyświetlał ją na głównej tablicy kontrolnej, która znajdowała się na stanowisku dowodzenia. Starszy oficer dyżurny miał

prawo, z którego zresztą często korzystał, kontaktowa się z różnorodnymi jednostkami, od statków nawodnych po samoloty do zwalczania okrętów podwodnych. Dwie wojny światowe nauczyły brytyjskich i amerykańskich wojskowych, że trasy żeglugowe muszą być stale drożne.

Choć te ciche, przypominające grobowiec pomieszczenia pozostawały dla ogółu społeczeństwa nieznane i nie miały w sobie nic z dramatyzmu, jaki zazwyczaj kojarzy się ze sprawami wojskowymi, dyżurujący tu ludzie spełniali jedno z najważniejszych zadań w służbie kraju. Bez nich w czasie wojny mogłyby wyginąć całe narody.

Franklin rozparł się wygodnie na obrotowym krześle, pykając w zamyśleniu fajkę. W

pokoju panowała głucha cisza. Ale i tak słuchawki za pięćset dolarów, które miał na uszach, skutecznie odcinałyby go od świata zewnętrznego. Franklin spędził część swych dwudziestu sześciu marynarskich lat, służąc na niszczycielach i fregatach. Dla niego okręty podwodne i ich załogi były wrogami, bez względu na banderę czy mundur.

Nagle uniósł brwi i przechylił na bok prawie łysą głowę. Pyknięcia fajki stały się szybsze. Prawą ręką sięgnął do pulpitu i wyłączył procesory sygnałów, żeby móc odbierać czyste dźwięki bez pośrednictwa komputerów. Nic to jednak nie dało. Szumy tła były zbyt duże. Z powrotem włączył filtry. Następnie spróbował przełączyć się na inne kierunki.

Czujniki SOSUS skonstruowano tak, że można było otrzymać namiary kierunków, posługując się wybiórczo poszczególnymi receptorami, którymi sterował za pośrednictwem komputera.

Najpierw był namiar kierunkowy z jednego czujnika, następnie za pomocą sąsiedniego zestawu otrzymywał drugi namiar, wyznaczając tym samym pozycję obiektu. Sygnał był

bardzo słaby, ale zdaniem Franklina niezbyt odległy od linii czujników. Sprawdził na terminalu komputera. W tamtym rejonie przebywa USS „Dallas”. Mam cię, powiedział do siebie z ledwo widocznym uśmiechem. Pojawił się kolejny dźwięk, niski łoskot, który trwał

tylko kilka sekund. Był jednak dość wyraźny. Dlaczego nie usłyszał go przed przejściem na obserwację kierunkową? Odłożył fajkę i zabrał się do przełączników na tablicy kontrolnej.

- Franklin? - dobiegł go przez słuchawki głos starszego oficera dyżurnego.

- Tak, panie komandorze?

- Możecie przyjść do centrali? Mam tu ciekawą rzecz.

- Już idę, panie komandorze. - Franklin cicho podniósł się z miejsca. Komandor Quentin dowodził niegdyś niszczycielem, teraz po zwycięstwie nad rakim pełnił służbę tylko w ograniczonym wymiarze. Po częściowym zwycięstwie, poprawił się Franklin.

Chemoterapia zlikwidowała wprawdzie raka, lecz kapitan zapłacił za to prawie całkowitą utratą

włosów, a skóra zmieniła się w przezroczysty pergamin. Szkoda, pomyślał, to bardzo porządny facet.

Centrala przypominała szklaną klatkę górującą nad resztą sali, tak że widać było stamtąd wszystkie stanowiska operatorów oraz główną tablicę taktyczną na oddalonej ścianie.

Szklane ściany umożliwiały swobodną rozmowę bez przeszkadzania operatorom. Franklin zastał Quentina przy stanowisku głównym, z którego mógł się połączyć z każdą konsolą w sali.

- Uszanowanie, komandorze. - Franklin zauważył, że oficer znów przybiera na wadze.

Najwyższy czas. - Co ma pan dla mnie?

- Sieć na Morzu Barentsa - Quentin podał mu słuchawki.

Franklin słuchał przez kilka minut, ale nie siadał. Jak wielu ludzi, żywił niejasne obawy, że rak jest zaraźliwy.

- Do licha, ale ruch! Słyszę dwie *Alfy*, *Charliego*, *Tango* i kilka jednostek nawodnych.

Co się tam dzieje?

- Jest także *Delta*, ale właśnie się wynurzyła i wyłączyła silniki.

- Wynurzyła się?

- No, zdrowo jej tam przyłożyli aktywnym sonarem, a potem niszczyciel rozmawiał z nią przez „gertrudę”.

- To tak... ćwiczą namierzenie i wykańczanie podwodniaków.

- Może...

Quentin przetarł oczy. Wyglądał na zmęczonego. Zbyt wiele od siebie wymagał, a nie miał już nawet połowy tych sił, co kiedyś. - Ale *Alfy* nadal dają sygnał i, jak to słyhać, kierują się na zachód.

- W takim razie... - Franklin zamyślił się na chwilę - szukają innego okrętu. Może tego *Typhoona*, co miał wypłynąć parę dni temu?

- Też tak pomyślałem, tylko że on popłynął na zachód, a rejon manewrów znajduje się na pomocny wschód. Parę dni temu straciliśmy go z naszych czujników. „Bremerton” próbuje teraz wywęszyć jego położenie.

- Sprytny dowódca - podsumował Franklin. - Całkiem wyłączył silniki i po prostu dryfuje.

- Zgadza się - potwierdził Quentin. - Przejdźcie się, sierżancie, do zespołu nadzoru bariery Przylądka Północnego i spróbujcie znaleźć ten okręt. Reaktor na pewno dalej pracuje i wydaje jakieś dźwięki. Operatorzy z tego sektora są mało doświadczeni. Przeniosę na chwilę jednego z nich na wasze

stanowisko.

- Tak jest, komandorze - rzekł Franklin.

Ta część załogi była jeszcze zielona, przyzwyczajona do pracy na okrętach. SOSUS

wymaga więcej finezji. Quentin nie potrzebował mówić Franklinowi, żeby sprawdził

wszystkie tablice nadzoru Przylądka Północnego, a może również poduczył ich tego i owego, prowadząc nasłuch na różnych kanałach.

- Złapaliście „Dallas”?

- Tak, panie komandorze. Słabe sygnały, ale chyba dorwałem go, gdy przechodził

przez mój sektor, idąc na północny zachód, w stronę Toll Booth. Gdybyśmy mieli tam samolot zwiadowczy, moglibyśmy złapać „Dallas” w potrzask. Może by im trochę przypalić ogon?

Quentin zachichotał. On także nie przepadał za załogami okrętów podwodnych.

- Nie, sierżancie. Manewry „Szybki Delfin” już się skończyły. Zapiśzemy to po prostu w dzienniku i poinformujemy ich kapitana, gdy wróci. Ale w każdym razie to dobra robota.

Wiecie, że ten okręt uchodził za taki, którego niby nie można wykryć.

- Też coś! - prychnął Franklin.

- Daj mi znać, jak coś znajdziesz, Deke.

- Rozkaz, szefie. I niech pan uważa na siebie, dobra?

Dzień piąty

WTOREK, 7 GRUDNIA

Moskwa

Nie był to najwspanialszy gabinet na Kremlu, ale zupełnie wystarczał jego użytkownikowi. Admirał Jurij Iljicz Padorin zjawiał się w pracy jak zwykle o siódmej.

Mieszkał tuż obok, na Prospekcie Kutuzowskim, w sześciopokojowym mieszkaniu. Duże okna gabinetu wychodziły na mury Kremla, które zasłaniały widok na rzekę Moskwę, teraz całkowicie skutą lodem. Padorin nie tęsknił do widoku rzeki, choć czterdzieści lat temu zdobył sławę jako dowódca rzecznych kanonierek. Przerzucał wtedy Wołgą dostawy dla Stalingradu. Obecnie był szefem zarządu politycznego radzieckiej marynarki wojennej.

Zajmował się ludźmi, a nie okrętami.

Wchodząc, lekko skinął głową swemu sekretarzowi, mężczyźnie około czterdziestki.

Podwładny szybko wstał i ruszył za admirałem do gabinetu, żeby pomóc mu wydostać się z szynela. Granatowy mundur Padorina zdobiły wstążki baretek i złota gwiazda oznaczająca radzieckie odznaczenie wojskowe budzące największą zazdrość, tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Zdobył go, gdy jako dwudziestoletni piegowaty chłopak kursował po Wołdze.

To były czasy, pomyślał, wspominając swoje wyczyny. Wymykał się bombom niemieckich *Stukasów* i rzadszym od bomb pociskom artyleryjskim, którymi faszyci chcieli mu zamknąć drogę do miasta... Jak to często bywa, koszmarnie szczegóły tamtych walk zatarły się w pamięci.

Był wtorek rano. Przed Padorinem piętrzył się na biurku stos papierów. Kancelista przyniósł dzbanek z herbatą i, rosyjskim obyczajem, szklankę, która tym tylko różniła się od zwyczajnej szklanki, że osadzona była w srebrnym, a nie blaszanym koszyczku. Padorin musiał długo i ciężko pracować, by dojść do obecnego stanowiska i płynących z niego korzyści. Usiadł teraz wygodnie w fotelu i najpierw zabrał się do przeglądania kopii meldunków wywiadu nadchodzących rano i wieczorem do dowództwa marynarki wojennej.

Oficer polityczny powinien być na bieżąco. Musi wiedzieć, co knują imperialiści, by odpowiednio informować swoich ludzi o czyhających niebezpieczeństwach.

Po raportach wywiadu przeszedł do oficjalnej poczty Ludowego Komisariatu Marynarki i Ministerstwa Obrony. Do korespondencji komisariatu miał dostęp nieograniczony, za to poczta Ministerstwa Obrony nie była już tak obfita, bowiem poszczególne rodzaje radzieckich sił zbrojnych przekazują sobie możliwie jak najmniej informacji. Dziś przyszło niedużo. Na posiedzeniu, które jak co tydzień odbyło się w poniedziałek po popołudniu, omówiono większość spraw przewidzianych na ten tydzień i prawie wszystko, co dotyczyło Padorina zostało już przekazane podwładnym do wykonania.

Nalał sobie drugą szklankę herbaty i otworzył paczkę papierosów bez filtra. Mimo że przed trzema lary przeszedł lekki zawał serca, nie udało mu się rzucić palenia. Spojrzał na kalendarz na biurku. Świetnie, żadnych spotkań przed dziesiątą.

Na spodzie sterty korespondencji zauważył urzędową kopertę z Floty Północnej.

Numer kodu w górnym lewym rogu wskazywał, że list został wysłany z „Czerwonego Października”. Chyba dziś czytał już coś na jego temat...

Padorin raz jeszcze przejrzał meldunki operacyjne. A więc Ramius nie pojawił się w rejonie manewrów? Wzruszył ramionami. Okręty rakietowe mają być nieuchwytnie i stary admirał wcale by się nie zdziwił, gdyby okazało się, że Ramius w ten sposób próbuje komuś dokuczyć. Syn Aleksandra Ramiusa zachowywał się jak primadonna, która ma kłopotliwy nawyk tworzenia własnego kultu jednostki. Niektórych wyszkolonych przez siebie ludzi zatrzymywał, innych odsyłał. Padorin przypomniał sobie, że ci z podopiecznych Ramiusa, których nie przyjęto do służby liniowej, stali się doskonałymi oficerami politycznymi o większej wiedzy praktycznej, niż się powszechnie wymaga. Niemniej był to dowódca, którego trzeba mieć na oku. Czasami Padorin podejrzewał, że Ramius jest zbyt gorliwym marynarzem i niezbyt gorliwym komunistą. Z drugiej jednak strony, jego ojciec był

wzorowym członkiem partii i bohaterem Wielkiej Wojny. Litwin czy nie, ale cieszył się doskonałą opinią. A syn? Lata nienagannej służby w wojsku i przynależność do partii. Znany z żarliwych wystąpień na zebraniach i doskonałych referatów. Ludzie z pionu marynarki wywiadu wojskowego GRU donosili, że imperialiści uważają go za groźnego i świetnie wyszkolonego przeciwnika. To dobrze, pomyślał Padorin, powinni, do cholery, bać się naszych ludzi. Ponownie zajął się kopertą. „Czerwony Październik” - oto właściwa nazwa dla radzieckiego okrętu wojennego! Upamiętniająca nie tylko rewolucję, która na zawsze zmieniła bieg historii, lecz także fabrykę traktorów o tej nazwie. Ileż to razy o brzasku Padorin spoglądał na zachód, w stronę Stalingradu, żeby sprawdzić, czy fabryka imienia Czerwonego Października, będąca symbolem walki całego narodu przeciw hitlerowskiemu bandytom, jeszcze stoi. Na kopercie widniał napis *Do rąk własnych*, toteż sekretarz nie otworzył jej tak jak pozostałej korespondencji. Admirał wyjął z szuflady nóż do papieru. Był

to właściwie jego bagnet wojskowy sprzed lat. Pewnej upalnej sierpniowej nocy 1942 roku, gdy zatonała jego pierwsza kanonierka, Padorin dopłynął do brzegu i tam został zaatakowany przez żołnierza niemieckiego, który nie spodziewał się żadnego oporu ze strony ledwo żywego rozbitka. Ten jednak zaskoczył Niemca, wbijając mu nóż w pierś i łamiąc przy okazji ostrze w połowie. Później wyrównał je ślusarz. Nie był to już normalny bagnet, ale Padorin nie chciał się rozstawać z taką pamiątką.

List zaczynał się od Towarzyszu Admirale, lecz te słowa wykreślono w maszynopisie, zastępując je innymi wpisanymi odręcznie - Wujku Jura. Tak żartem nazywał go kiedyś Ramius, gdy Padorin był głównym oficerem politycznym Floty Północnej.

Dziękuję Wam za zaufanie i za to, że dzięki Wam mogłem objąć dowodzenie na tym wspaniałym okręcie!

Powinien być wdzięczny, pomyślał Padorin. Obojętnie, jaką kto ma praktykę, ale takich okrętów nie

przydziela się...

Co, co takiego? Padorin przestał czytać, po czym zaczął od nowa. Gdy doszedł do końca pierwszej strony, zapomniał o tłącym się w popielniczce papierosie. Żartowniś. Ramius znany był z żartów, ale za to zapłaci. Tym razem, cholera, posunął się za daleko! Odwrócił

kartkę.

To nie żart, wujku Jura - Marko.

Padorin skończył czytać i wyjrzał przez okno. W tym miejscu mur Kremla był jak pszczeli plaster, wypełniony prochami wiernych synów partii. Na pewno źle zrozumiał list.

Przeczytał jeszcze raz. Ręce zaczynały mu drżeć.

Miał bezpośrednie połączenie telefoniczne z admirałem Gorszkowem, bez pośrednictwa sekretarzy czy kancelistów.

- Towarzyszu admirale, tu Padorin.

- Dzień dobry, Jurij - powitał go uprzejmie Gorszkow.

- Muszę się z wami natychmiast zobaczyć. Mam tu pewną sprawę.

- Jaką sprawę? - zapytał ostrożnie Gorszkow.

- Musimy ją omówić w cztery oczy. Już do was idę. - W żaden sposób nie mógł o tym wspomnieć przez telefon, który oczywiście był na podsłuchu.

USS „Dallas”

Dowódca sekcji zauważył, że jego starszy sonarzysta Ronald Jones zapadł w zwykły dla siebie trans. Niedoszły absolwent college'u siedział pochylony nad przyrządami, w rozluźnionej pozie, z zamkniętymi oczyma i nieokreślonym wyrazem twarzy, jaki zwykle przybierał, słuchając jednego z licznych nagrań Bacha na swoim kosztownym walkmanie.

Jones oceniał taśmy wedle nieznaczących nawet defektów wykonania, takich jak nierówne tempo fortepianu, zła gra fletu czy załamane waltorni. Z równą uwagą wsłuchiwał się w dźwięki

dobiegające z morza. We wszystkich marynarkach świata ludzi pływających na okrętach podwodnych uważa się za odrębny gatunek, ale na sonarzystów nawet oni patrzą jak na dziwaków. Te dziwactwa należą jednak do najznośniejszych w marynarce. Dowódca sekcji lubił opowiadać historyjkę o swym szefie sonarzyście, pod którego rozkazami służył niegdyś przez dwa lata. Otóż człowiek ten spędził praktycznie całe swoje życie, patrolując na okrętach raketowych ciągle te same tereny. Tak dobrze poznał głosy wielorybów błękitnych, które tam przyplływały latem, że nadał imiona poszczególnym osobnikom. Po przejściu na emeryturę podjął pracę w Instytucie Oceanograficznym w Woods Hole, gdzie te jego zdolności budziły nie śmiech, ale podziw.

Trzy lata temu Jonesa wydalono w połowie pierwszego roku z Kalifornijskiego Instytutu Techniki. Splatał figła, z których zresztą słynęli studenci tego instytutu, tyle że dowcip mu się nie udał. Teraz odbywał służbę wojskową w marynarce, chcąc w ten sposób sfinansować powrót na uczelnię. Zamierza, jak oświadczał, zrobić doktorat z cybernetyki i przetwarzania sygnałów dźwiękowych. W zamian za wcześniejsze zwolnienie z wojska miał

po otrzymaniu dyplomu pracować w Laboratorium Badawczym Marynarki. Porucznik Thompson gotów był w to uwierzyć. Przychodząc na „Dallas” pół roku temu, przeczytał

teczki personalne wszystkich swoich ludzi. Iloraz inteligencji Jonesa wynosił 158 i był

zdecydowanie najwyższy na okręcie. Chłopak miał łagodną twarz i smutne brązowe oczy, którym nie mogły się oprzeć kobiety. Jego wyczyny na plaży wymagały więcej sił niż ich miał pluton marines. Tego porucznik Thompson nie mógł pojąć. Swego czasu sam był

gwiazdą futbolu w Annapolis. Ale Jones, ten chudzielec zasłuchany w Bachu... Coś tu się nie zgadzało.

USS „Dallas”, okręt torpedowy klasy 688, znajdował się siedemdziesiąt kilometrów od wybrzeży Islandii i zbliżał się właśnie do wyznaczonej pozycji patrolowej o kryptonimie

„Toll Booth”. Mieli dwa dni spóźnienia. Tydzień temu brali udział w manewrach NATO pod kryptonimem „Szybki Delfin”, które przełożono o kilka dni, gdyż szalejący na północnym Atlantyku sztorm o nienotowanej od dwudziestu lat sile opóźnił przybycie paru jednostek. W

owych ćwiczeniach „Dallas”, razem z HMS „Swiftsure”, wykorzystał złe warunki atmosferyczne, aby przeniknąć do symulowanej formacji nieprzyjaciela i całkowicie ją

„zniszczyć”. Była to kolejna udana akcja „Dallas” i jego dowódcy, kapitana Barta Mancuso, jednego z najmłodszych dowódców okrętów podwodnych w marynarce amerykańskiej. Po wykonaniu zadania „Dallas” złożył kurtuazyjną wizytę w bazie Marynarki Królewskiej w Szkocji, w której stacjonował „Swiftsure”. Amerykańscy marynarze wciąż jeszcze walczyli z kacem po udanym przyjęciu... Teraz czekało ich inne zadanie, kolejny etap podwodnych manewrów atlantyckich. Przez trzy tygodnie „Dallas” ma meldować o ruchu na Czerwonym Szlaku Numer 1.

Od ponad roku nowsze okręty radzieckie stosowały szczególną, lecz skuteczną taktykę pozbywania się śledzących je amerykańskich i brytyjskich jednostek. Na południowy zachód od Islandii schodziły

wzdłuż łańcucha podwodnych gór Reykjanes ku głębokowodnym obszarom Atlantyku. Te rozrzucone w odległości od jednego do dziesięciu kilometrów od siebie, ostre jak nóż grzbiety i wierzchołki twardych wulkanicznych skał mogły mierzyć się wielkością z Alpami. Ich szczyty kryły się na głębokości około trzystu metrów pod wzburzoną powierzchnią północnego Atlantyku. Pod koniec lat sześćdziesiątych okręty podwodne nie mogły ryzykować nawet zbliżenia do tych szczytów, a co dopiero zapuszczania się w niezliczone doliny podmorskich gór. Przez całe lata siedemdziesiąte radzieckie jednostki oceanograficzne patrolowały ten obszar niezależnie od pory roku i warunków atmosferycznych, przepływając go wszerz i wzdłuż tysiące razy. Czternaście miesięcy temu USS „Los Angeles” śledził radziecki okręt szturmowy klasy *Victor II*. *Victor* przemknął się wzdłuż wybrzeży Islandii i w pobliżu podmorskich gór zszedł o wiele głębiej. „Los Angeles”

zrobił to samo. Dopóki nie przeszedł między pierwszą parą pod wodnych szczytów nazywanych potocznie Bliźniakami Thora, *Victor* posuwał się z prędkością ośmiu węzłów.

Potem nagle rozwinął maksymalną prędkość i skierował się na południowy zachód. Dowódca „Los Angeles” próbował z determinacją iść dalej śladem *Victora*, ale szybko zrezygnował.

Jednostki klasy 688 mogą rozwijać znacznie większą prędkość od starych *Victorów*, jednakże, jak później ustalono, przez piętnaście godzin okręt radziecki w ogóle nie zwalniał.

W pierwszej chwili nie zapowiadało się to nawet zbyt niebezpiecznie. Okręty podwodne są wyposażone w niezwykle dokładne systemy nawigacji inercyjnej pozwalające błyskawicznie ustalać pozycję z dokładnością do kilkuset metrów. *Victor* jednak poruszał się wśród skał, jakby dowódca widział je gołym okiem i nurkował w głębokie wąwozy niczym pilot myśliwca uciekający przed wystrzeloną z ziemi rakietą. „Los Angeles” nie mógł

poruszać się wśród skał z taką prędkością. Powyżej dwudziestu węzłów zarówno bierne, jak i aktywne urządzenia hydroakustyczne, nie wyłączając echosondy, stają się prawie bezużyteczne. W pewnej chwili dowódca „Los Angeles” miał wrażenie, że porusza się zupełnie po omacku. Przypominało to, jak się później wyraził, prowadzenie samochodu z zamalowanymi szybami, jedynie przy pomocy mapy i stopera. Teoretycznie jest to możliwe, ale kapitan szybko uświadomił sobie, że współczynnik błędu inercyjnego systemu nawigacji wynosi około kilkuset metrów, do czego dochodzą jeszcze zakłócenia grawitacyjne, wpływające na „lokalny pion”, od którego zależy położenie inercyjne. Pech chciał ponadto, że dysponowali jedynie mapami dla okrętów nawodnych. Wiadomo, że wszystkie obiekty, znajdujące się na głębokości większej niż kilkaset metrów, oznaczone są na takich mapach z błędem sięgającym nawet paru kilometrów, co dawniej nie miało najmniejszego znaczenia.

Wkrótce odległość między poszczególnymi szczytami wynosiła mniej niż skumulowany błąd nawigacyjny; prędzej czy później okręt wpadłby na ścianę skalną z prędkością ponad trzydziestu węzłów. Kapitan przerwał pościg. *Victorowi* udało się uciec.

Początkowo przypuszczano, że Rosjanie w jakiś sposób wytyczyli jedną trasę, którą okręty mogły pokonywać z dużą prędkością. Radzieckich kapitanów stać na szaleńcze wyczyny, przy czym mogą posługiwać się odpowiednio zaprogramowanymi kompasami magnetycznymi i żyroskopowymi, które

dostosowano do konkretnej trasy. Teoria ta jednak nie uzyskała potwierdzenia, jako że po paru tygodniach już było wiadomo, że radzieckie okręty mkną wśród podwodnych skał różnymi trasami. Amerykanie i Anglicy mogli jedynie zatrzymywać się, ustalać ich położenie za pomocą sonaru i znowu gonić przeciwnika.

Radzieckie jednostki w ogóle jednak nie zwalniały, toteż 688 i *Trafalgary* zostawały w tyle.

Zadania „Dallas” na pozycji „Toll Booth” były następujące: obserwacja poruszających się w tym rejonie okrętów radzieckich, pilnowanie wejścia na trasę, którą w marynarce amerykańskiej określano teraz mianem Czerwonego Szlaku Numer 1, rejestracja ewentualnych sygnałów nowego urządzenia, które pozwala Rosjanom poruszać się tak odważnie wśród podwodnych skał. Dopóki Amerykanie nie zdołają skopiować owego przyrządu, pozostają im trzy możliwości, wszystkie równie mało przyjemne: dalsza utrata kontroli nad radzieckimi okrętami, rozmieszczenie cennych okrętów torpedowych u znanych wylotów szlaków, z których korzystają Rosjanie, lub wreszcie utworzenie nowej linii czujników SOSUS.

Trans Jonesa trwał dziesięć minut, dłużej niż zwykle. Zazwyczaj ustalał zamiar w dużo krótszym czasie. W końcu dotknął plecami oparcia i zapalił papierosa.

- Mam coś, panie poruczniku.

- Co takiego? - zapytał Thompson, opierając się o grodz.

- Nie wiem - Jones podał oficerowi zapasowe słuchawki. - Proszę posłuchać.

Thompson robił dyplom na wydziale elektrycznym z konstrukcji systemów hydrolokacji. Zamknął oczy i skoncentrował się na dźwięku w słuchawkach. Słyszał słabe dudnienie o niskiej częstotliwości lub raczej świst. Nie mógł tego określić. Słuchał przez kilka minut, po czym zdjął słuchawki i potrząsnął głową.

- Złapałem to pół godziny temu na antenie poziomej - powiedział Jones. Mówił o jednym z podsystemów wielofunkcyjnego sonaru BQQ-5, w który wyposażony był okręt podwodny. Główny jego element stanowiła kopuła o średnicy sześciu metrów umieszczona w dziobie okrętu. Antena ta pracowała zarówno aktywnie, jak i pasywnie. Nową częścią systemu był zestaw czujników ciągnących się na pięćdziesiąt metrów po obu stronach kadłuba. Był to mechaniczny odpowiednik zmysłów czuciowych rekina.

- Jest, nie ma, jest, nie ma - mówił Jones. - Ani to dźwięk śrub, ani wielorybów czy ryb. Tak, jakby woda przepływała przez rurę, gdyby nie ten dziwny łoskot, który co chwila pojawia się i znów znika. W każdym razie kąt kursowy wynosi dwieście pięćdziesiąt. Czyli, że jest między nami a Islandią, a więc niezbyt daleko.

- Przyjrzyjmy się temu bliżej. Może to nas na coś naprowadzi.

Jones zdjął z wieszaka kabel z dwiema wtyczkami. Jedną wetknął w gniazdko na tablicy sonaru,

drugą zaś do stojącego obok oscyloskopu. Przez kilka minut przy pomocy pokręteł sonaru próbowali wyizolować sygnał. Otrzymali nieregularną falę o sinusoidalnym kształcie, którą za każdym razem udawało im się utrzymać tylko przez kilka sekund.

- Sygnał nieregularny - odezwał się Thompson.

- Tak, to śmieszne. Gdy się go słucha, wydaje się regularny, na wykresie jednak wygląda inaczej. Łapie to pan?

- Nie, masz lepszy słuch.

- To dlatego że słucham lepszej muzyki. Ten rock niszczy panu uszy.

Thompson wiedział, że Jones ma rację, ale absolwent Annapolis nie musi wysłuchiwać takich rzeczy od zwykłego marynarza. Taśmy z klasyczną już Janis Joplin były jego prywatną sprawą.

- Jedźmy dalej.

- Tak jest. - Jones wyjął wtyczkę z oscyloskopu i podłączył ją do tablicy z lewej strony sonaru, obok terminalu komputerowego.

Podczas ostatniego remontu „Dallas” otrzymał bardzo ciekawą zabawkę uzupełniającą system sonarowy BQQ-5. BC-10, bo tak się nazywała owa zabawka, to najbardziej skomplikowany komputer, w jaki kiedykolwiek wyposażono okręt podwodny. Choć nie większy od zwykłego biurka, kosztował pięć milionów dolarów i wykonywał osiemdziesiąt milionów operacji na sekundę. Zastosowano tu najnowsze sześćdziesięcioczerobitowe procesory i najnowszą architekturę systemu. Jego pamięć pęcherzykowa mogła wystarczyć na potrzeby całej eskadry okrętów podwodnych. Za pięć lat w taki komputer wyposażony będzie każdy okręt torpedowy. Jego zastosowanie, podobne zresztą do zastosowania znacznie potężniejszego systemu SOSUS, polegało na przetwarzaniu i analizie sygnałów sonarowych.

BC-10 oddziela naturalne szумы i inne dźwięki oceanu od szumów wywoływanych przez człowieka. Komputer potrafił identyfikować poszczególne okręty na podstawie ich charakterystyki dźwiękowej, tak jak ustala się tożsamość człowieka za pomocą linii papilarnych czy głosu.

Oprogramowanie jest równie ważne, jak komputer. Przed czterema laty doktorant geofizyki, pracujący w laboratorium Kalifornijskiego Instytutu Techniki, ułożył program do przewidywania trzęsień ziemi składający się z sześciuset tysięcy kroków. Program oddzielający sygnały od szumów miał rozwiązać trudności sejsmologów z rozróżnieniem między przypadkowymi dźwiękami, stale rejestrowanymi przez sejsmografy, a naprawdę ważnymi odgłosami zapowiadającymi zjawiska sejsmiczne.

W Departamencie Obrony program ten wykorzystał po raz pierwszy Departament Techniki Lotniczej. Użyto go do nadzorowania prób nuklearnych na świecie, zgodnie z porozumieniami o kontroli zbrojeń. Wykorzystało go także do swych własnych celów Laboratorium Badawcze Marynarki Wojennej. Program okazał się nieprzydatny do prognozowania ruchów sejsmicznych, ale doskonale

się sprawdzał przy analizie sygnałów sonarowych. W marynarce znano go jako algorytmiczny system przetwarzania sygnałów SAPS.

Jones wystukał na klawiaturze komputera komendę:

WPROWADZENIE SYGNAŁÓW SAPS

BC-10 natychmiast odpowiedział:

GOTOWY

A po chwili na ekranie pojawił się napis:

START

PRACA

Mimo niesamowitej prędkości BC-10, upłynęło trochę czasu, zanim zrealizowało się sześćset tysięcy kroków programu, przerywanych licznymi pętlami GOTO, w którym to czasie maszyna eliminowała naturalne dźwięki według zaprogramowanych kryteriów i wyszukiwała anomalie dźwiękowe. Potrzeba na to było dwudziestu sekund, a to dla komputera cała wieczność. Na ekranie pojawiła się odpowiedź. Jones przycisnął klawisz i wy drukował ją na stojącej obok drukarce mozaikowej.

- Hmmm. - Oderwał stronę z wydrukiem.

SYGNAŁ WYNIKIEM PRZEMIESZCZANIA MAGMY

W języku SAPS oznacza to mniej więcej: weź coś na nerwy i skontaktuj się ze mną pod koniec wachty.

Thompson zachichotał. Mimo całego szumu wokół nowego systemu, nie był on we flocie szczególnie

popularny.

- Pamiętasz, o czym pisano w gazetach, gdy byliśmy w Anglii? Coś o ruchach sejsmicznych w pobliżu Islandii, takich jak te, które trzęsły wyspą w latach sześćdziesiątych.

Jones zapalił kolejnego papierosa. Znał owego studenta, który zaprojektował to poronione dzieło nazywane SAPS. Problem polegał na tym, że program miał nieprzyjemny zwyczaj analizowania także niewłaściwych sygnałów, a dysponując tylko końcowym odczytem, trudno powiedzieć, jaki sygnał został przetworzony. Ponadto Jones podejrzewał, że SAPS, pomyślany do rejestracji zjawisk sejsmicznych, wykazuje skłonność do interpretowania wszystkich anomalii jako sygnałów związanych z ruchami skorupy ziemskiej.

Program miał więc wbudowane określone skłonności, których jego zdaniem Laboratorium Badawcze Marynarki nie zdołało w pełni usunąć. Co innego posługiwać się komputerem jako narzędziem, a co innego pozwolić, by wyręczał cię w myśleniu. Poza tym nieustannie odkrywa się nowe dźwięki podwodne, których nikt przedtem nie słyszał, a więc i nie sklasyfikował.

- Panie poruczniku, częstotliwość nie odpowiada kryteriom przyjmowanym dla szumów okrętów tylko dlatego, że jest zbyt wysoka. Może spróbowałbym złapać ten dźwięk na R-15? - Jones miał tu na myśli zestaw czujników pasywnych, które „Dallas” holował za sobą, płynąc z małą prędkością.

W tym momencie wszedł komandor Mancuso, jak zwykle trzymając w ręku kubek kawy. Naprawdę niepokojące jest to, pomyślał Thompson, że pojawia się właśnie wtedy, gdy dzieje się coś ważnego. Czyżby miał na podsłuchu cały okręt?

- Właśnie tędy przechodziłem - rzucił od niechcenia. - Cóż przynosi nam ten wspaniały dzień? - zapytał, opierając się o grodzie.

Był to mężczyzna niewielkiego wzrostu, jakieś metr siedemdziesiąt, który przez całe życie walczył z nadwagą, a teraz najwyraźniej przegrywał tę walkę z powodu dobrego jedzenia i braku ruchu na okręcie. Jego ciemne oczy otaczała sieć zmarszczek, które pogłębiały się, ilekroć zamierzał splatać figla innemu okrętowi.

Czy to dzień, zastanawiał się Thompson. System sześciogodzinnych wacht świetnie zdawał egzamin, ale po kilku wachtach trzeba było naciskać guzik na zegarku, żeby się połapać, jaka jest data. Inaczej miało się kłopoty z dokonaniem prawidłowego zapisu w dzienniku okrętowym.

- Kapitanie, Jones wyłowił zabawny sygnał na antenie poziomej. Komputer twierdzi, że to ruchy magmy.

- I Jones się z tym nie zgadza - raczej stwierdził, niż spytał Mancuso.

- Nie, panie kapitanie. Nie zgadzam się z tym. Nie wiem, co to takiego, ale na pewno nie ruchy magmy.

- Znowu walczysz z maszyną?

- Na ogół SAPS spisuje się dobrze, ale czasami działa jak ostatni składak. - Był to najgorszy epitet w języku elektroników. - Chociażby dlatego że częstotliwość jest zupełnie inna.

- A twoim zdaniem, co to takiego?

- Nie wiem, panie kapitanie. Nie szumy śrub, nie przypomina to żadnego naturalnie wytworzonego dźwięku, jaki kiedykolwiek słyszałem. Poza tym...

Mimo trzech lat spędzonych na okrętach atomowych Jones był zaskoczony takim nieformalnym charakterem rozmowy z dowódcą. Załoga „Dallas” przypominała jedną dużą rodzinę, szczególnie starą rodzinę osadników z pogranicza, gdzie wszyscy bardzo ciężko pracują. Kapitan był ojcem. Pierwszy oficer, co do tego wszyscy byli zgodni, czymś w rodzaju matki. Oficerowie - starszymi dziećmi, a szeregowcy i podoficerowie - młodszymi.

Najważniejsze, że gdy miało się coś do powiedzenia, kapitan zawsze słuchał, co Jones bardzo sobie cenił.

- Dobrze, miej to na oku. Nie ma sensu, żeby takie drogie urządzenie się marnowało. -

Mancuso w zamyśleniu pokiwał głową.

Jones uśmiechnął się szeroko. Kiedyś opowiedział kapitanowi w najdrobniejszych szczegółach, jak przekształciłby tę aparaturę w najlepsze na świecie stereo. Mancuso zauważył wtedy, że nie będzie to nadzwyczajny wyczyn, skoro same urządzenia sonarowe w tym pomieszczeniu kosztują ponad dwadzieścia milionów dolarów.

- O Boże! - Młodszy technik aż podskoczył na krześle. - Ktoś właśnie dodał gazu.

Jones był kontrolerem wachty sonarowej. Dwóch wachtowych też wykryło nowy sygnał. Przełączył więc swoje słuchawki do gniazdka anteny holowanej, a tamci starali się w tym czasie nie przeszkadzać. Wziął notes i zapisał czas rozpoczęcia pracy na pulpicie sterowniczym. BQR-15 to najbardziej czułe urządzenie sonarowe na okręcie, lecz w tym wypadku aż tak wielka czułość namiaru nie była potrzebna.

- Do diabła - mruknął pod nosem Jones.

- To *Charlie* - odezwał się młodszy technik.

- *Victor*. Z całą pewnością klasa *Victor* - potrząsnął głową Jones. - Manewruje przy trzydziestu węzłach... nagły hałas kawitacyjny... robi w wodzie głębokie dziury i nie dba, czy ktoś to zauważy, czy nie. Kurs pięćdziesiąt. Woda dookoła nas czysta, a sygnał jest naprawdę słaby, panie kapitanie. Jest daleko. - Tylko tak Jones mógł określić odległość. „Daleko”

oznaczało tu dowolną odległość powyżej osiemnastu kilometrów. Wrócił do przyrządów. -

Myślę, że znamy tego gościa. To ten ze skrzywionym piórem śruby, hałasuje, jakby obwiązali mu ją łańcuchem.

- Daj to na głośnik - polecił Thompsonowi Mancuso. Nie chciał zawracać głowy operatorom. Porucznik wprowadzał już sygnał do BC-10.

W sklepie ze sprzętem stereo głośnik grodziowy na pewno miałby czterocyfrową cenę za perfekcyjną czystość i dynamikę dźwięku. Jak wszystko na okręcie klasy 688, był to sprzęt najlepszy z możliwych. W czasie gdy Jones pracował przy pulpicie analizy dźwięków, z głośnika rozlegały się piski kawitacyjne śruby napędowej, a obok nich skrzypiące dźwięki pochodzące, jak przypuszczano, ze zgiętego pióra śruby, a także basowy łoskot pracującego pełną mocą reaktora. W tym momencie włączyła się drukarka.

- Klasa *Victor I*, numer szósty. - oznajmił Thompson.

- Tak jest - zgodził się Jones. - *Victor* szósty, kurs bez zmian pięćdziesiąt. - Do słuchawek podłączył mikrofon. - Centrala, tu sonar. Mamy namiar. Klasa *Victor*, kurs pięćdziesiąt, przypuszczalna prędkość trzydzieści węzłów.

Mancuso zajrzał do oficera wachtowego, porucznika Pata Manniona.

- Pat, obsadź stanowiska kierowania ogniem.

- Tak jest.

- Zaraz! - Jones uniósł rękę w górę. - Jest jeszcze jeden! - Pokręcił jakimiś gałkami. -

To *Charlie*. A niech to... ten też rwie jak diabeł. Bardziej na wschód, namiar siedemdziesiąt trzy, manewruje z prędkością około dwudziestu ośmiu węzłów. Też go znamy. Tak, to *Charlie II*, numer 11. - Jones zdjął słuchawkę z jednego ucha i spojrzał na Mancuso. - Czy zapowiadano na dziś ruskie wyścigi podwodne?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Oczywiście nie dostajemy tu najnowszych wiadomości sportowych - zaśmiał się Mancuso, kręcąc kubkiem z kawą. Starał się ukryć niepokojące myśli. Co się do licha dzieje? - Chyba pójdę rzucić na to okiem. Dobra robota, chłopcy.

Kapitan przeszedł do oddalonej o parę kroków centrali dowodzenia. Wszystkie stanowiska manewrowe były obsadzone. Dowodził Mannion, mając do pomocy młodszego oficera wachtowego i siedmiu marynarzy. Starszy specjalista kierowania ogniem pierwszej klasy wprowadzał dane z analizatora ruchów celu do komputera kierowania ogniem Mk-117.

Do centrali wchodził właśnie inny oficer, żeby przejąć śledzenie ruchów celu. Nie działo się nic niezwykłego. Cała wachta wypełniała obowiązki dokładnie, lecz także z dużą swobodą, która

przychodzi wraz z doświadczeniem po latach treningu. Podczas gdy inne rodzaje sił

zbrojnych odbywały ćwiczenia, w których sprzymierzeńcy lub nawet własne siły pozorowały taktykę bloku wschodniego, okręty torpedowe prowadziły grę z prawdziwym przeciwnikiem, i to nieustannie. Przez cały czas działały praktycznie w pełnej gotowości bojowej.

- Mamy więc towarzystwo - zauważył Mannion.

- W pewnym oddaleniu - stwierdził porucznik Charles Goodman. - Namiary nawet nie drgnęły.

- Centrala, tu sonar - rozległ się głos Jonesa.

- Centrala. Co jest, Jones? - zapytał Mancuso.

- Mamy następny, panie kapitanie. *Alfa 3*, namiar pięćdziesiąt pięć. Zasuwa jak wściekły. Hałasuje niczym trzęsienie ziemi, ale daleko.

- *Alfa 3*? A, nasz stary przyjaciel „Politowski”. Od dawna nie natknęliśmy się na niego. Coś jeszcze?

- Tylko przypuszczenie. Szum *Alfy* najpierw rósł, po czym się ustalił, tak jakby wykonali zwrot. Sądzę, że idzie w naszą stronę, ale to nic pewnego. Mamy też więcej sygnałów na północnym wschodzie. Jak na razie zbyt niewyraźne, żeby można je było sklasyfikować. Pracujemy nad nimi.

- W porządku, dobra robota, Jones. Kontynuujcie.

- Jasna sprawa, panie kapitanie.

Mancuso uśmiechnął się, odkładając słuchawkę i spojrzał na Manniona:

- Wiesz, Pat, czasami zastanawiam się, czy Jones to przypadkiem nie czarownik.

Mannion przyglądał się wykresom Goodmana, uzupełniającym skomputeryzowaną procedurę celowniczą.

- Jest całkiem dobry. Tylko uważa, że to my pracujemy dla niego.

- W tej chwili tak właśnie jest. - Jones był ich oczami i uszami. Mancuso ogromnie się cieszył, że go ma. - Co u ciebie, Chuck? - zwrócił się do porucznika Goodmana.

- Na wszystkich trzech obiektach namiary wciąż bez zmian. - Oznaczało to, że prawdopodobnie kierowali się w ich stronę, oraz że „Dallas” nie miał pełnych danych do obliczeń kierowania ogniem. Nie żeby ktoś chciał strzelać, ale w tym przecież zawiera się cały sens ćwiczeń.

- Pat, musimy mieć trochę wolnego miejsca. Przesuń nas o dziewiętnaście kilometrów na wschód - zarządził spokojnie Mancuso. Były ku temu dwa powody. Przede wszystkim uzyskają w ten sposób

kolejne stanowisko namiaru, dzięki czemu można będzie ustalić prawdopodobną odległość celów. Poza tym większa głębokość stworzy lepsze warunki akustyczne i zwiększy dostęp do bardziej odległych stref konwergencji hydroakustycznej.

Gdy nawigator wydawał rozkazy, kapitan studiował mapę, oceniając sytuację taktyczną.

Bartolomeo Mancuso był synem fryzjera. Każdej jesieni ojciec zamykał swój zakład w Cicero, w stanie Illinois, i wybierał się na jelenie nad jezioro Michigan. Bart zawsze towarzyszył ojcu na polowaniach. Pierwszego jelenia upolował mając dwanaście lat i tak było co roku, aż do czasu wstąpienia do Akademii Marynarki. Od tej chwili nie zawracał już sobie głowy jeleniami. Jako oficer na podwodnych okrętach atomowych znalazł sobie ciekawszą rozrywkę. Teraz polował na ludzi.

Dwie godziny później w kabinie łączności odezwał się sygnalizator radia ELF. Jak wszystkie okręty atomowe, „Dallas” holował długą antenę dostrojoną do nadajnika ultraniskiej częstotliwości znajdującego się w środkowych Stanach. Kanał ELF ma irytująco małą prędkość transmisji. W odróżnieniu od kanału telewizyjnego, który przekazuje tysiące bitów informacji w jednej klatce i trzydzieści klatek na sekundę, radio typu ELF cedzi informacje bardzo wolno, mniej więcej jeden znak na trzydzieści sekund. Dyżurny radiotelegrafista czekał cierpliwie, aż depesza zostanie zarejestrowana na taśmie, po czym odtworzył ją dużą prędkością, zapisał i przekazał oficerowi łączności, który stał już w pogotowiu z książką szyfrów.

Szyfr był oparty właściwie nie na kluczu, ale na jednorazowych tablicach. Co pół roku na wszystkie okręty atomowe dostarczano książkę, zawierającą przypadkowo zestawione układy liter. Każda trzyliterowa grupa w książce odpowiadała określonemu słowu lub zdaniu w innej książce. Odszyfrowanie depeszy zajęło niecałe trzy minuty, następnie przekazano ją kapitanowi w centrali dowodzenia.

NHG JPR

OD COMSUBLANT DO PODLEGŁE OKRETY ATLANTYK

YTR OPY TBD

ZACHOWAĆ GOTOWOŚĆ MOŻLIWE WIĘKSZE

QEQ NME GER MAL

PRZEGRUPOWANIE TRWA DUŻA NIEOCZEKIWANA

ASF TYQ

OPERACJA FLOTY RADZIECKIEJ CHARAKTER NIEZNANY

OVR HWZ

NASTĘPNA DEPEZA ELF KONTAKT PRZEZ SSIX

COMSUBLANT, czyli dowódca sił podwodnych na Atlantyku, wiceadmirał Vincent Gallery, był bezpośrednim przełożonym Mancusa. Najwyraźniej stary planował

przegrupowanie całości sił podwodnych, a to nie żarty. Następny zakodowany sygnał AAA będzie rozkazem wynurzenia na głębokość anteny peryskopowej w celu odebrania dokładniejszych instrukcji za pośrednictwem SSIX, geostacjonarnego satelity łączności wykorzystywanego wyłącznie przez okręty podwodne.

Sytuacja taktyczna stawała się coraz jaśniejsza, choć Mancuso nie był w stanie ocenić jej znaczenia strategicznego. Przesunięcie o osiem kilometrów na wschód pozwoliło im zdobyć informacje o właściwej odległości do trzech namierzonych początkowo celów oraz do jeszcze jednej *Alfy*, która pojawiła się kilka minut później. Pierwszy okręt, *Victor* nr 6, znajdował się już w zasięgu torped Mk-48, wycelowanych prosto w niego, a jego dowódca z pewnością nie miał pojęcia o obecności „Dallas” w tym rejonie; *Victor* ustawiał się jak jeleń pod strzał, tyle że nie była to pora polowań.

Choć „Dallas” i inne jednostki tej klasy rozwijają prędkość niewiele większą od *Victorów* i *Charlich*, a o dziesięć węzłów mniejszą niż niewielkie *Alfy*, to jednak mogą poruszać się niemal bezgłośnie z prędkością blisko dwudziestu węzłów. Stanowi to ogromne osiągnięcie konstrukcyjne i techniczne, efekt paru dziesiątków lat doświadczeń. Poruszanie się, nie będąc samemu wykrytym, ma sens tylko wtedy, gdy myśliwy może wytropić swą zdobycz. Jednakże w miarę wzrostu prędkości, maleje efektywność sonarów. Przy dwudziestu węzłach efektywność BQQ-5 na „Dallas” wynosi zaledwie dwadzieścia procent, czyli nie ma powodów do radości. Okręty przepływające z dużą prędkością z miejsca na miejsce są ślepe i niegroźne dla przeciwnika. Toteż sposób działania okrętu torpedowego w dużym stopniu przypomina taktykę walki żołnierza. Podobnie jak on, okręt porusza się skokami. Po wykryciu celu pędzi zająć dogodniejszą pozycję, następnie się zatrzymuje, by znów trafić na ślad zdobyczy, po czym znowu pędzi naprzód, aż w końcu zajmuje odpowiednie stanowisko do odpalenia torped. Ścigany okręt także się porusza i jeżeli jednostka torpedowa zdoła go wyprzedzić, może wtedy spokojnie przyczaić się, jak wielki polujący kot.

Podwodne rzemiosło wymaga czegoś więcej niż samych umiejętności. Potrzebny jest instynkt i dusza artysty, na wpół maniackalna pewność siebie i agresywność zawodowego boksera. Mancuso miał wszystkie te cechy. Przez piętnaście lat uczył się swego zawodu, jako młodszy oficer obserwował całe pokolenie dowódców, przysłuchiwał się uważnie częstym dyskusjom przy okrągłym stole, dzięki którym świat okrętów podwodnych stawał się bardziej swojski. Nauki z takich dyskusji krążyły później w przekazach ustnych. Na lądzie szkolono go na różnorodnych skomputeryzowanych symulatorach, brał też udział w seminariach, wymieniając z kolegami notatki i spostrzeżenia. Na pokładzie okrętów i samolotów tropiących podwodniaków, uczył się, jak prowadzi łowę „nieprzyjaciela”, czyli jednostki nawodne.

Marynarze z okrętów podwodnych kierują się prostą dewizą, która mówi, że istnieją dwa rodzaje okrętów: podwodne... i cele. Na co „Dallas” miał polować? - zastanawiał się Mancuso. Na okręty radzieckie? Jeżeli tak, to przy dotychczasowej ich szybkości polowanie nie będzie trudne. Wraz ze „Swiftsure” przechytrzyli przecież zespół ekspertów NATO do walki z bronią podwodną, a więc ludzi, którym ich kraje powierzyły utrzymanie drożności atlantyckich szlaków żeglugi. Zarówno jego okręt, jak i załoga spisywali się bez zarzutu. W

osobie Jonesa miał zaś jednego z dziesięciu najlepszych operatorów sonaru w całej flocie.

Mancuso był gotów na każdą grę. Jak w chwili otwarcia sezonu łowieckiego wszystkie inne sprawy straciły znaczenie. Sam stawał się bronią.

Siedziba CIA

Czwarta czterdzieści pięć. W drodze z Marriotta do Langley Ryan zapadał co jakiś czas w niespokojną drzemkę na tylnym siedzeniu służbowego chevroleta CIA. Jak długo jest już w podróży? Dwadzieścia godzin? Coś koło tego. Dość czasu, by spotkać się z szefem, ze Skipem, kupić prezenty dla Sally i zajrzeć „do siebie”. Wyglądało na to, że dom jest w niezłym stanie. Mieszkał tam teraz wykładowca z Akademii Marynarki. Ryan mógł wynająć dom za sumę pięciokrotnie wyższą, ale nie chciał żadnych zwariowanych lokatorów.

Pochodzący z Kansas oficer przypominał biblijnego olbrzyma i okazało się, że nie najgorzej dba o własność Ryana.

Pięć i pół godziny snu w ciągu ostatnich... trzydziestu? Coś koło tego. Był zbyt zmęczony, żeby spojrzeć na zegarek. To nie w porządku. Bezsenność zabójczo wpływa na zdolność racjonalnego myślenia. Przekonywanie o tym samego siebie nie ma jednak sensu, a przekonywanie admirała byłoby jeszcze bardziej jałowe.

Pięć minut później znalazł się w biurze Greera.

- Przykro mi, że cię obudziłem, Jack.

- Ależ nic nie szkodzi, panie admirale - odpowiedział równie nieszczerze Ryan. - Co się dzieje?

- Chodź tu, nalej sobie kawy. Czeka cię długi dzień.

Ryan rzucił płaszcz na kanapę i poszedł po kubek marynarskiego naparu. Nie chciał śmietanki ani cukru. Lepiej ścierpieć samą bez dodatków i odczuć całą moc kofeiny.

- Czy mogę się tu gdzieś ogolić, panie admirale?

- Toaleta jest za tymi drzwiami, w rogu. - Greer wręczył mu kartkę żółtego papieru wydartą z teleksu.
- Rzuć na to okiem.

ŚCIŚLE TAJNE

*godz 10.22.00*****38976*

Komunikat nasłuchu elektronicznego Agencji Bezpieczeństwa Narodowego Dział floty radzieckiej

Początek

*Godz 08.31.45 stacje nasłuchu NSA (ocenzurowano), (ocenzurowano) i (ocenzurowano) zarejestrowały transmisję radiostacji ultraniszczystej w bazie fl radzieckiej w Semipolipie ** długość depezy 10 minut ** 6 elementów ***

*Sygnal elf oceniany jako depeza „przygotowawcza” do radzieckich okrętów podwodnych na morzu ***

*Godz 09.00.00 zarejestrowano transmisję „do wszystkich jednostek” z centrum łączności dowództwa fl radzieckiej w Tulce i satelitów trzy i pięć ** używane pasma: HF VHF UHF ** czas transmisji 39 sekund z dwoma powtórkami identycznej treści o godz 09.10.00 i 09.20.00 ***

*475 pięcioelementowych grup szyfrowych xx zasięg sygnału: Obszar Floty Północnej obszar Floty Bałtyckiej i obszar Eskadry Śródziemnomorskiej ** uwaga Flota Dalekowschodnia nieobjęta powtarzam nieobjęta transmisją ** liczne potwierdzenia odbioru z okrętów, w wymienionych rejonach xx analizę źródła i charakteru przekazów prześlemy ** jeszcze niegotowa ** Od godz 10.00.00 stacje nasłuchu NSA (ocenzurowano), (ocenzurowano) i (ocenzurowano) zarejestrowały wzmożenie łączności HF i VHF w bazach fl radzieckiej w Polarnym, Siewieromorsku, Peczendze, Tallinie, Kronsztadzie i na wschodnim obszarze śródziemnomorskim ** dalszy wzrost aktywności HF i VHF jednostek floty radzieckiej w morzu xx oczekiwać uzupełnień ** Ocena: zarządzono duże pozaplanowe działania floty radzieckiej której jednostki meldują gotowość i pozycje ** r Koniec komunikatu NSA*

Godz 10.22.15

Koniec

Ryan spojrzął na zegarek.

- Chłopcy z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego szybko się z tym uwinęli, także nasi oficerowie dyżurni nie zasypiają gruszek w popiele, zrywając wszystkich na nogi. -

Wypił kawę i podszedł napełnić kubek. - A co mówi analiza ruchu radiowego?

- Masz. - Greer wręczył mu kolejną kartkę z teleksu.

Ryan przebiegł ją wzrokiem.

- Sporo tego. Chyba wszystko, co mają na morzu. Nic tu jednak nie ma o jednostkach cumujących w portach.

- Są podłączone do linii łączności naziemnej - wyjaśnił Greer. - Z portów mogą połączyć się telefonicznie z dowództwem operacyjnym floty w Moskwie. A to są rzeczywiście wszystkie ich jednostki w morzu na półkuli zachodniej. Co do jednej. Masz jakiś pomysł?

- Zastanówmy się przez chwilę. Mamy wzmożoną aktywność na Morzu Barentsa.

Wygląda to na średniej wielkości manewry w zwalczaniu okrętów podwodnych. Może je rozszerzają. Nie wyjaśnia to jednak aktywności na Bałtyku i Morzu Śródziemnym. Czy mają w planie jakieś manewry na dużą skalę?

- Nie. Właśnie przed miesiącem skończyli „Szkarłatny Sztorm”.

Ryan pokiwał głową.

- Tak, zwykle potrzebują kilku miesięcy do oceny takich ilości danych, a poza tym komu chciałoby się przeprowadzać manewry w tym miejscu i o tej porze roku? Pogoda podobno jest zazwyczaj wyjątkowo wredna. Czy kiedykolwiek przeprowadzali większe manewry w grudniu?

- Nie, w większości jednak potwierdzenia odbioru pochodzą z okrętów podwodnych, a tym pogoda w niczym nie przeszkadza.

- Cóż, jeżeli dojdzie do tego jeszcze kilka innych elementów, to sytuacja zacznie wyglądać ponuro. Nie znamy treści tamtego przekazu?

- Nie. Używają szyfrów generowanych komputerowo, tak jak my. Jeżeli tym szpiegom z NSA udaje się je odczytywać, to mnie o tym nie informują. - Teoretycznie Agencja Bezpieczeństwa Narodowego podlega dyrektorowi CIA. W rzeczywistości jednak rządzi się własnymi prawami. - Na tym właśnie polega analiza łączności, Jack. Starasz się zgadywać, o co chodzi, analizując, kto z kim rozmawia.

- Tak, panie admirale, ale kiedy każdy rozmawia z każdym...

- Taaak.

- Czy postawili coś jeszcze w stan gotowości? Armię? Wojska OPK? - Ryan miał tu na myśli radziecki system obrony powietrznej kraju.

- Nie, tylko flotę. Jednostki podwodne, nawodne i lotnictwo marynarki.

Ryan przeciągnął się.

- Nasuwałoby to przypuszczenie o manewrach. Będziemy jednak potrzebowali trochę więcej informacji o ruchach ich okrętów. Czy rozmawiał pan z admirałem Davenportem?

- To następny krok. Nie miałem czasu. Zdążyłem tylko się ogolić i nastawić kawę. -

Greer usiadł i zanim zaczął wybierać cyfry, przełączył telefon na głośnik.

- Wiceadmirał Davenport - rozległ się szorstki głos.

- Dzień dobry, Charlie, tu James. Czy dostałeś komunikat NSA numer 976?

- Oczywiście, ale nie to zerwało mnie na nogi. Parę godzin temu oszalała sieć czujników SOSUS.
- Ach tak? - Greer spojrzał na telefon, a następnie na Ryana.
- Tak, prawie wszystkie okręty podwodne, jakie mają na morzu, przycisnęły gaz do dechy, i to mniej więcej w tym samym czasie.
- A dokładnie, co robią, Charlie? - indagował Greer.
- Właśnie staramy się to rozgryźć. Wygląda na to, że dużo jednostek kieruje się w stronę północnego Atlantyku. Ich jednostki na Morzu Norweskim pędzą na południowy zachód. W tym samym kierunku idą też trzy jednostki z zachodniej części Morza Śródziemnego, ale nie mamy tu jeszcze jasnego obrazu. Potrzebujemy paru godzin.
- Co mają w pobliżu naszych wybrzeży, admirale? - zapytał Ryan.

- Obudzili cię, Ryan? Bardzo dobrze. Mają tu dwa stare okręty klasy *November*. Jeden to dzika przeróbka z okrętu konwencjonalnego. Prowadzi rozpoznanie elektroniczne niedaleko przylądka. Drugi, cholernie natrętny, tkwi w okolicach King's Bay. Jest też jeden *Yankee* tysiąc osiemset pięćdziesiąt kilometrów na południe od Islandii. Pierwotnie meldowano, że zmierza na północ. Pewnie pomyłka. Nałożone zamiary, błąd w odczycie czy coś w tym rodzaju. Sprawdzamy. Chyba jakaś lipa, bo wcześniej kierował się na południe.

Ryan podniósł wzrok.

- A co z pozostałymi okrętami raketowymi?

- Ich *Delty* i *Typhoony* są jak zwykle na Morzu Barentsa i Morzu Ochockim. Nie mamy o nich żadnych nowych informacji. Są tam, oczywiście, także nasze okręty torpedowe, ale admirał Gallery nie chce przerywać ciszy radiowej i ma rację. W tej chwili dysponujemy więc tylko raportem o zabłąkanym *Yankee*.

- A co robi nasza flota, Charlie? - zapytał Greer.

- Gallery wprowadził podwyższoną gotowość bojową na okrętach. Czekają na ewentualne przegrupowanie. Poinformowano mnie, że NORAD zwiększył nieco gotowość alarmową. - Davenport miał tu na myśli Północnoamerykańskie Dowództwo Obrony Przestrzeni. - W sztabach obszaru Atlantyku i obszaru Pacyfiku, jak się domyślasz, biegania.

Kilka dodatkowych maszyn P-3 działa z Islandii. Na razie nic więcej. Musimy się najpierw dowiedzieć, co zamierzają.

- W porządku, informuj mnie na bieżąco.

- Oczywiście, jeśli się czegoś dowiem, dam ci znać i wierzę, że...

- My też - przerwał rozmowę Greer. Pogroził palcem Ryanowi. - Nie zasypiaj, Jack.

- Przy czymś takim? - podniósł kubek Ryan.

- Widzę, że się zbytnio nie przejmujesz.

- Panie admirale, jak na razie, nie ma się czyni przejmować. Tam jest teraz... która, pierwsza po południu? Najprawdopodobniej jakiś admirał, może nawet sam stary Siergiej, postanowił przećwiczyć trochę swoich chłopaków. Przypuszczalnie nie był specjalnie zadowolony z przebiegu „Szkarłatego Sztormu” i może postanowił pogrzechotać trochę łódkami, nie wyłączając naszych, oczywiście. Do licha, nie bierze w tym udziału armia ani lotnictwo, a nie ulega wątpliwości, że gdyby planowali coś paskudnego, wiedziałyby o tym także pozostałe rodzaje wojsk. Musimy mieć to wszystko na oku, ale jak na razie nie widzę nic niepokojącego. - Niewiele brakowało, a Ryan powiedziałby: co by miało nam spędzać sen z oczu.

- Ile miałeś lat, kiedy Japonce zaatakowali Pearl Harbour?

- Mój ojciec miał dziewiętnaście, panie admirale. Ożenił się dopiero po wojnie, a ja nie byłem pierwszym z małych Ryanów - odparł Jack z uśmiechem.

Greer oczywiście o tym wiedział.

- Jeśli się nie mylę, to pan także nie był wtedy staruszkiem.

- Byłem marynarzem na starym „Teksasie”.

Greer nigdy nie wziął udziału w wojnie. Tuż po jej wybuchu został przyjęty do Akademii Marynarki Wojennej. Wojna już prawie dobiegała końca, gdy ukończył studia i przeszedł przeszkolenie na okrętach podwodnych. Do wybrzeży Japonii dotarł podczas swego pierwszego rejsu w dzień po zakończeniu działań wojennych. - Ale wiesz, co chcę powiedzieć.

- Wiem, panie admirale. To dlatego między innymi mamy te wszystkie wywiady, jak CIA, DIA i NSA i NRO. Jeżeli ruskim uda się wywieść w pole nas wszystkich, to chyba trzeba będzie poczytać trochę Marksa.

- Wszystkie okręty kierujące się w stronę Atlantyku...

- Czuję się lepiej na wiadomość, że *Yankee* płynie na północ. Mieli już pewnie dość czasu, żeby to sprawdzić dokładnie. Davenport na pewno zażądał dodatkowego potwierdzenia. Gdyby Iwan szykował coś naprawdę, *Yankee* szedłby na południe. Zasięg rakiet tych jednostek jest niewielki. A więc... musimy być na nogach i nie spuszczać ich z oka. Na szczęście, panie admirale, robi pan świetną kawę.

- A co powiesz na śniadanie?

- Nie odmówię. Jeżeli uda nam się skończyć sprawę Afganistanu, to może będę mógł

polecieć do domu... dziś wieczorem.

- To możliwe. Może w ten sposób nauczysz się spać w samolocie.

Posiłek przysłano dwadzieścia minut później. Obydwaj byli przyzwyczajeni do obfitych śniadań, jedzenie zaś okazało się wyjątkowo dobre. Zwykle w barze CIA jest nijakie, jak to w rządowych kantynach, toteż Ryan zastanawiał się, czy może nocna zmiana w kuchni miała wreszcie przy mniejszym ruchu dość czasu, by wykonać swoją robotę jak należy. A może po prostu posłali po jedzenie do miasta. Obaj siedzieli beczynnienie do za piętnaście siódma, kiedy zadzwonił Davenport.

- Wszystko jasne. Okręty rakietowe, co do jednego, kierują się w stronę portów.

Mamy dobre namiary na dwa *Yankee*, trzy *Delta* i *Typhoona*. „Memphis” właśnie się meldował, gdy jego *Delta*, stojąca od pięciu dni na miejscu, wyruszyła nagle do bazy z prędkością dwudziestu węzłów. Gallery kontaktował się z „Queenfish”. Ta sama historia -

wygląda na to, że wszyscy wracają do „stajni”. Dostaliśmy też właśnie kilka zdjęć z satelity zwiadowczego, gdy przechodził nad zatoką. Przynajmniej tym razem nie było chmur i mamy w podczerwieni kilka okrętów nawodnych, przygotowujących się do wypłynięcia.

- A co z „Czerwonym Październikiem”? - zapytał Ryan.

- Nic. Może dostaliśmy błędną informację i okręt w ogóle nie wypłynął. Nie byłby to zresztą pierwszy taki wypadek.

- Nie przypuszcza pan chyba, że zatonął? - zastanawiał się głośno Ryan.

Davenport też o tym pomyślał.

- Tłumaczyłoby to wzmożony ruch na północy, ale jak wyjaśnić wtedy sprawy z Bałtyku i Morza Śródziemnego?

- Dwa lata temu wybuchła u nas panika z „Tullibee” - przypomniał Ryan. - Szef sztabu marynarki tak się wściekł, że zarządził ćwiczenia ratownicze na obu oceanach.

- Może - zgodził się Davenport.

Podobno po tym niepowodzeniu w dowództwie w Norfolk poleciały głowy. USS

„Tullibee”, niewielki i nietypowy okręt torpedowy, od dawna cieszył się złą sławą. Tym razem pech dotknął także inne jednostki.

- W każdym razie nie wygląda to tak strasznie jak dwie godziny temu. Nie wycofaliiby przecież okrętów rakietowych, gdyby knuli coś przeciwko nam, prawda? - zauważył Ryan.

- Widzę, że Ryan wciąż korzysta z kryształowej kuli, James.

- Za to mu płacę, Charlie.

- Mimo to sprawa jest dziwna - ciągnął Ryan. - Dlaczego wycofują wszystkie okręty rakietowe? Czy zdarzyło im się już kiedyś coś takiego? A co z tymi na Pacyfiku?

- O nich nic na razie nie wiem - odparł Davenport. - Zwróciłem się do Dowództwa Obszaru Pacyfiku o informacje, ale jeszcze się nie odezwali. Jeśli chodzi o drugie pytanie, to nie, nigdy dotąd nie wycofali jednocześnie wszystkich jednostek rakietowych, choć niekiedy przegrupowują je wszystkie w tym samym czasie. Możliwe, że i teraz o to właśnie chodzi.

Powiedziałem, że kierują się w stronę portów, ale nie muszą tam wcale wpływać. Dowiemy się dopiero za kilka dni.

- A jeśli się boją, że zatonął im okręt rakietowy? - zaryzykował Ryan.

- Nic z tego - zbył go drwiąco Davenport. - Nie zatonął im żaden rakietowiec od czasu tego *Golfa*, którego wydobyliśmy koło Hawajów. Byłeś wtedy w szkole średniej, Ryan.

Ramius jest na to zbyt dobrym dowódcą.

Kapitan Smith na „Titanicu” też był dobrym dowódcą, pomyślał Ryan.

- Dzięki za wieści, Charlie - Greer odłożył słuchawkę. - Chyba miałeś rację, Jack. Nie ma się na razie czym martwić. Przejrzyjmy, co mamy tutaj o Afganistanie, a kiedy skończymy, to tak na wszelki wypadek rzucimy okiem na zdjęcia Floty Północnej od Charliego.

Dziesięć minut później zjawił się posłaniec z centralnego archiwum. Greer należał do tych, którzy osobiście lubią spojrzeć na nieprzetworzone jeszcze informacje. Ryanowi to odpowiadało. Znał kilku analityków, którzy opierali raporty na niepełnych danych, i Greer osobiście ich wywalił. Dostarczone informacje pochodziły z różnych źródeł, dla Ryana najważniejsza była jednak łączność na szczeblu taktycznym, przechwycona przez nasłuch na granicy pakistańskiej i, jak się domyślał, również w głębi Afganistanu. Charakter i tempo działań radzieckich w Afganistanie nie wskazywały na wycofywanie wojsk, co sugerowały ostatnio dwa artykuły w „Czerwonej Gwieździe” i niektóre źródła wywiadowcze w Związku Radzieckim. Analizowaniu tych spraw poświęcili trzy godziny.

- Wydaje mi się, że sir Basil przykłada za dużą wagę do wywiadu politycznego, a za małą do tego, co trafia do naszych stacji nasłuchu w terenie. Nie zdziwiłbym się, gdyby okazało się, że Rosjanie nie powiadomiamą dowódców jednostek frontowych o tym, co się dzieje w Moskwie, ogólnie jednak obraz nie jest dla mnie jasny - podsumował Ryan.

- Płacę ci za znajdowanie odpowiedzi, Jack. - Admirał obrzucił go uważnym wzrokiem.

- Panie admirale, prawda jest taka, że wchodząc do Afganistanu, Moskwa popełniła błąd. Wiemy o

tym zarówno z raportów wywiadu wojskowego, jak i politycznego. Wymowa faktów jest dość oczywista. Z tego, czym dysponuję, nie wynika, żeby sami wiedzieli, czego chcą. W takim przypadku biurokrata uważa, że najlepiej nic nie robić. Tak więc dowódcom oddziałów frontowych każe się kontynuować walkę, a w tym czasie wyżsi przywódcy partyjni rozglądają się za jakimś rozwiązaniem całego bałaganu, a przede wszystkim starają się chronić własne tyłki.

- W porządku, wiemy więc, że nic nie wiemy.

- Tak jest. Mnie także się to nie podoba, ale inne stwierdzenie byłoby kłamstwem.

Admirał prychnął pogardliwie. W Langley było to na porządku dziennym, ludzie z wywiadu udzielali odpowiedzi, nie znając nawet pytań. Ryan był wciąż na tyle nowy w branży, że ilekroć czegoś nie wiedział, przyznawał się do tego. Greer zastanawiał się, czy z czasem się to zmieni. Miał nadzieję, że nie.

Po lunchu posłaniec przyniósł przesyłkę z Państwowej Służby Rozpoznawczej NRO.

Zawierała zdjęcia wykonane wcześniej tego dnia przez satelitę KH-11 podczas dwóch udanych przelotów. Przez pewien czas nie należało się spodziewać nowych fotografii z powodu takiej a nie innej orbity satelity, a także ze względu na ogólnie złe warunki atmosferyczne na Półwyspie Kolskim.

Pierwszy zestaw wyraźnie naświetlonych zdjęć wykonano w godzinę po wysłaniu z Moskwy superpilnej wiadomości i ukazywał okręty stojące na kotwicach lub zacumowane w dokach. Kilka z nich na podczerwieni rozświetlało wewnętrzne ciepło, wskazując na pracujące kotły lub turbiny gazowe. Drugi zestaw został wykonany podczas następnego okrążenia pod bardzo małym kątem.

Ryan przyjrzał się dokładnie powiększeniom.

- O rany! „Kirów”, „Moskwa”, „Kijów”, trzy *Kary*, pięć *Krestów*, cztery *Krivaki*, osiem *Udałojów* i pięć *Sowriemiennych*.

- Ćwiczenia poszukiwawczo-ratunkowe, co? - Greer rzucił Ryanowi surowe spojrzenie. - Spójrz tu, na dół. Ciągną za nimi wszystkie szybkie zbiornikowce, jakimi dysponują. Mamy tutaj większość jednostek szturmowych Floty Północnej, a jeżeli potrzebne są im zbiornikowce, najwyraźniej nie przewidują szybkiego powrotu.

- Davenport mógł być bardziej konkretny. Wciąż jednak ich okręty rakietowe kierują się na północ. Nie widać żadnych jednostek desantowych, jedynie okręty bojowe. I to tylko nowe, o dużym zasięgu i prędkości.

- I najlepszym uzbrojeniu.

- Tak - skinął głową Ryan. - I wszystkie ściągnięte w ciągu paru godzin. Panie admirale, gdyby to planowali wcześniej, wiedzielibyśmy o tym. Ta sprawa musiała wyniknąć dzisiaj. Ciekawe.

- Jack, przyjąłeś angielski zwyczaj niedomówień - rzekł Greer, wstał i przeciągnął się.

- Chcę, żebyś został jeszcze jeden dzień.

- W porządku, panie admirale - Ryan spojrział na zegarek.

- Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli zadzwonię do żony? Nie chcę, by wyjeżdżała po mnie na lotnisko, skoro nie przylecę tym samolotem.

- Oczywiście, a potem chciałbym, żebyś spotkał się z kimś z wywiadu wojskowego.

Ten ktoś kiedyś dla mnie pracował. Dowiedz się, ile wiedzą o operacjach tej armady. Jeśli to manewry, wkrótce i my się o tym dowiemy, a ty zdążysz jutro dowieźć swoją Barbie nurka.

Chodziło o Barbie narciarza, ale Ryan pominął to milczeniem.

Dzień szósty

ŚRODA, 8 GRUDNIA

Siedziba CIA

Nie była to pierwsza wizyta Ryana w gabinecie dyrektora Agencji.

Wielokrotnie już brał udział w odprawach, a także przekazywał na dyrektorskie wyżyny poufne wiadomości od sir Basila Charlestona. Gabinet był większy od tego, który zajmował Greer i z lepszym widokiem na dolinę Potomaku. Odnosiło się wrażenie, że dekorator zaprojektował wnętrze w stylu południowego zachodu, rodzinnych stron obecnego dyrektora. Arthur Moore, uprzednio sędzia Sądu Stanowego w Teksasie, obecnie dyrektor wszystkich służb wywiadowczych, siedział z admirałem Greerem na sofie tuż przy oknach.

Greer przywołał Ryana ruchem ręki i podał mu teczkę.

Czerwona plastikowa teczka miała brzegi oklejone białą taśmą. Na okładce widniała prosta biała nalepka z oznaczeniami TYLKO DO WGLĄDU, DELTA oraz WILLOW. Żadna z tych nazw nie była niczym niezwykłym. Komputer w podziemiach siedziby CIA wybierał

nazwy na chybił trafił, dzięki czemu agent obcego wywiadu nie mógł niczego wywnioskować z nazwy danej operacji. Ryan otworzył teczkę i spojrzał na stronę zawierającą rozdzielnik.

Istniały tylko trzy egzemplarze, z których każdy nosił inicjały osoby mogącej z niego korzystać. Ten nosił inicjały samego dyrektora naczelnego. Dokumenty CIA sporządzone jedynie w trzech egzemplarzach należą do rzadkości, nic więc dziwnego, że Ryan, którego dopuszczano tylko do poziomu NEBULA, widział coś takiego po raz pierwszy. Z poważnych min Greera i Moore'a wywnioskował, że obaj posiadają dostęp do dokumentu. Trzecią osobą był prawdopodobnie zastępca dyrektora do spraw operacyjnych, czyli jeszcze jeden teksańczyk, Robert Ritter.

Ryan odwrócił stronę. Miał przed sobą kserokopię raportu napisanego na zwykłej maszynie, a duża ilość poprawek nie wskazywała na profesjonalną maszynistkę. Jeżeli nie mogła o tym wiedzieć nawet Nancy Cummings, ani inne zaufane sekretarki... Ryan podniósł

wzrok.

- W porządku, Jack - odezwał się Greer - właśnie otrzymałeś dostęp do Willowa.

Ryan usiadł i mimo podekscytowania zaczął wolno i uważnie czytać dokument.

Kryptonim agenta brzmiał Kardynał. Najwyżej oceniany agent, jaki kiedykolwiek pracował dla CIA. O takich jak on powstawały legendy. Zwerbował go ponad dwadzieścia lat temu Oleg Pieńkowski, też legendarna postać, nieżyjący już pułkownik GRU, radzieckiego wywiadu wojskowego, większego i aktywniejszego odpowiednika amerykańskiej Agencji Wywiadu Wojskowego DIA. Zajmowane stanowisko dawało Pieńkowskiemu stały dostęp do informacji o wszystkich elementach sił zbrojnych Związku Radzieckiego, poczynając od struktury dowodzenia Armii Czerwonej po stan gotowości bojowej pocisków międzykontynentalnych. Za pośrednictwem brytyjskiego łącznika Greville'a Wynne'a przekazywał niezwykle cenne informacje, na których kraje zachodnie zaczęły coraz bardziej

polegać, aż do przesady. Pieńkowskiego zdemaskowano w czasie kryzysu kubańskiego w 1962 roku. To dzięki niemu i przekazanym przezeń w niezwykle napięciu i pośpiechu danym, prezydent Kennedy wiedział, że radzieckie systemy strategiczne nie były przygotowane do wojny. Ta informacja umożliwiła prezydentowi wpędzenie Chruszczowa w zaułek bez wyjścia. Tak więc sławne posunięcie Kennedy'ego, przypisywane jego stalowym nerwom, znacznie ułatwił fakt, że jak to się często zdarza w takich wypadkach, znał karty przeciwnika. Przewagę tę zawdzięczał odważnemu agentowi, którego nigdy nie spotkał.

Pieńkowski zbyt szybko zareagował na pilne zapytanie z Waszyngtonu. To go zgubiło -

podejrzewano go już od pewnego czasu. Za zdradę zapłacił życiem. Kardynał pierwszy się zorientował, że Pieńkowskiego obserwują baczniej, niż jest to przyjęte w społeczeństwie, gdzie każdy jest pod nadzorem. Ostrzegł pułkownika, ale za późno. Kiedy stało się jasne, że nie uda się go wyciągnąć ze Związku Radzieckiego, sam Pieńkowski nakłonił Kardynała, aby go zadenuncjował. Był to już ostatni dowcip tego odważnego człowieka; jego śmierć miała pomóc w karierze agentowi, którego sam zwerbował.

To, czym zajmował się Kardynał, okrywała oczywiście taka sama tajemnica, jaką otoczono jego nazwisko. Był wysokiej rangi doradcą i zaufanym człowiekiem członka Biura Politycznego, często występował w jego imieniu w kołach wojskowych. Miał tym samym dostęp do wojskowego i politycznego wywiadu na najwyższym szczeblu. Jego informacje były więc niezwykle cenne, choć zarazem, co może wydawać się paradoksalne, wysoce podejrzane. Nielicznym pracownikom CIA, którzy wiedzieli o jego istnieniu, trudno było wprost uwierzyć, że gdzieś po drodze nie został przewerbowany przez któregoś z ogromnej rzeszy agentów kontrwywiadu KGB, obserwujących wszystkich i wszystko. Dlatego też materiał opatrzony kryptonimem Kardynał był zwykle porównywany z raportami innych agentów i z innymi źródłami. Jednakże wiele małych płotek odpadło, a on nadal wypełniał

swoje zadania.

Kryptonim Kardynał znali w Waszyngtonie tylko trzech najwyższymi postawieni dyrektorzy CIA. Każdego pierwszego dnia miesiąca dane pochodzące od niego opatrywano nowym kryptonimem, który znali jedynie oficerowie i analitycy CIA na najwyższym szczeblu. W tym miesiącu brzmiał on Willow. Przed udostępnieniem informacji od Kardynała komuś z zewnątrz, co zawsze robiono bardzo niechętnie, ich źródło zacierano równie starannie, jak mafia źródła swych dochodów. Podejmowano także jedyne w swoim rodzaju środki bezpieczeństwa mające chronić agenta. Z obawy przed złamaniem szyfru i ujawnieniem tożsamości Kardynała materiały od niego przekazywano osobiście, nigdy drogą radiową bądź telefoniczną. Sam Kardynał był niezwykle ostrożny, miał w pamięci los Pieńkowskiego. Informacje przekazywał przez łańcuch pośredników szefowi moskiewskiej rezydentury CIA. Przeżył dwunastu takich rezydentów, z których jeden, starszy oficer w stanie spoczynku, miał brata jezuitę. Każdego ranka ów jezuita, wykładowca filozofii i teologii na Uniwersytecie Fordham w Nowym Jorku, odprawiał mszę za duszę i bezpieczeństwo człowieka, którego nazwiska nigdy nie dane mu było poznać. Równie dobrze tym można tłumaczyć fakt, że Kardynał wciąż trwał na posterunku.

Czterokrotnie przy różnych okazjach proponowano mu opuszczenie Związku Radzieckiego. Zawsze

jednak odmawiał.

Niektórzy uważali to za dowód, że przeszedł na drugą stronę, dla innych jednak oznaczało to, że jak większość świetnych agentów, kieruje się sobie tylko znanymi pobudkami, a więc jest prawdopodobnie trochę stuknięty.

Droga, jaką odbył dokument, który Ryan teraz czytał, trwała dwadzieścia godzin.

Kliska dotarła do ambasady amerykańskiej w Moskwie po pięciu godzinach i została tam od razu przekazana rezydentowi. Doświadczony pracownik operacyjny, były korespondent „New York Timesa”, działający pod płaszczkiem attache prasowego, w pół godziny własnoręcznie wywołał film w ciemni i zbadał przez szkło powiększające pięć naświetlonych klitek, po czym przesłał do Waszyngtonu bardzo pilną wiadomość o tym, że meldunek od Kardynała jest w drodze. Następnie, posługując się własną maszyną, przepisał - tłumacząc jednocześnie z rosyjskiego na angielski - meldunek na specjalnym papierze. Przepisanie eliminowało możliwość zidentyfikowania autora po charakterze pisma, a tłumaczenie usuwało wszystkie specyficzne cechy językowe i typowe wyrażenia agenta. Następnie spalił kliszę, a raport umieścił w metalowym pudełku wyglądem przypominającym papierośnicę. Zawierało ono niewielki ładunek wybuchowy, który rozrywa pudełko w razie niewłaściwego otwarcia lub nagłego wstrząsu. Zresztą dwukrotnie już meldunki Kardynała przepadły wskutek przypadkowego upuszczenia pudełka. Szef placówki CIA przekazał pudełko kurierowi ambasady, który miał już zarezerwowane miejsce na trzygodzinny lot Aeroflotu do Londynu.

Na lotnisku Heathrow kurier przesiadł się w pośpiechu na lot Pan Amu do Nowego Jorku, a tam, na międzynarodowym lotnisku Kennedy'ego, na połączenie linią Eastern do Waszyngtonu. Przed ósmą rano poczta dyplomatyczna dotarła do Departamentu Stanu.

Pracownik CIA wyjął z niej przesyłkę, którą natychmiast odwiózł do Langley i wręczył osobiście dyrektorowi naczelnemu. Pudełko otworzył specjalista z sekcji technicznej CIA.

Dyrektor sporządził trzy kopie na osobistej kserokopiarce i spalił oryginał w popielnicze.

Paru kolejnym dyrektorom te środki bezpieczeństwa z początku wydawały się śmieszne. Ale po pierwszym meldunku Kardynała zmieniali zdanie.

Kiedy Ryan skończył czytać, wrócił jeszcze do początku i ponownie przebiegł stroną wzrokiem, kręcąc przy tym głową.

Raport Willowa tylko umocnił go w przeświadczeniu, że woli nie wiedzieć, w jaki sposób docierają doń informacje wywiadowcze. Zamknął teczkę i oddał Greerowi.

- Uff!

- Jack, jestem przekonany, że nie muszę ci tego mówić, ale o tym, co przed chwilą przeczytałeś, nie może się dowiedzieć bez zezwolenia dyrektora nikt, ani rezydent, ani sir Basil, ani sam Pan Bóg, nawet gdy cię o to poprosi, absolutnie nikt. Jasne? - Greer nie stracił

rozkazującego tonu.

- Tak jest, panie admirale. - Ryan kiwnął głową jak uczeń.

Sędzia Moore wyjął z kieszeni marynarki cygaro i zapalając, zajął Ryanowi w oczy.

Podobno kiedyś, gdy Moore działał w terenie, był z niego kawał cholery. W czasie wojny koreańskiej współpracował z Hansem Toftem i odegrał niepoślednią rolę w jednej z legendarnych misji CIA, uprowadzeniu norweskiego statku, który wiozł personel medyczny i dostawy dla Chińczyków. Uprowadzenie opóźniło o kilka miesięcy chińską ofensywę i uratowało życie tysięcy Amerykanów i ich sprzymierzeńców. Była to jednak krwawa operacja. Cała norweska załoga i chiński personel medyczny zniknęli. W prostej wojennej rachubie strat i zysków misja była udanym przedsięwzięciem, ale jej ocena moralna to zupełnie inna sprawa. Może z tego właśnie powodu Moore wycofał się wkrótce potem ze służby rządowej i został adwokatem w rodzinnym Teksasie. Zrobił spektakularną karierę i z bogatego adwokata awansował na sędziego sądu apelacyjnego. Przed trzema laty ponownie powołano go do CIA ze względu na wyjątkowe wprost połączenie absolutnej uczciwości osobistej z doświadczeniem w brudnej robocie. Za fasadą kowboja z zachodniego Teksasu, którym nigdy nie był, a którego z łatwością udawał, Moore skrywał prawniczy dyplom z Harvardu i niepospolity umysł.

- A więc, doktorze Ryan, co pan o tym myśli? - zapytał w chwili, gdy do gabinetu wszedł zastępca do spraw operacyjnych. - Cześć, Bob, podejdź tu bliżej. Właśnie pokazywaliśmy Ryanowi teczkę Willowa.

- Ach tak? - Ritter przysunął sobie krzesło, zgrabnie blokując Ryana w rogu. - I co jasnowłose chłopiec admirała o tym myśli?

- Panowie, rozumiem, że uważacie tę informację za prawdziwą - powiedział ostrożnie Ryan, na co trzy głowy skinęły potakująco. - Gdyby tę informację doręczył nawet osobiście archanioł Gabriel, trudno byłoby mi w nią uwierzyć, ale skoro panowie utrzymujecie, że jest wiarygodna... - Chcieli usłyszeć jego zdanie. Problem polegał na tym, że wniosek, jaki wyciągnął, wydawał się zbyt nieprawdopodobny. Cóż, pomyślał, zaszedłem aż tak daleko dzięki temu, że zawsze wypowiadałem szczerze swoje opinie...

Ryan wziął głęboki oddech i powiedział im, co o tym myśli.

- Doskonale, panie Ryan - rzekł sędzia Moore, kiwając z namysłem głową. - Najpierw chciałbym usłyszeć, jak ewentualnie inaczej można wytłumaczyć całą tę sprawę, a potem proszę uzasadnić swój punkt widzenia.

- Tej możliwości, która się najbardziej narzuca, nie ma właściwie co rozpatrywać.

Zresztą od piątku mieli dosyć czasu, żeby to zrobić, a nie zrobili.

Ryan mówił cicho, starając się, by jego głos brzmiał rzeczowo. Był wyćwiczony w myśleniu

obiektywnym. Przedstawił cztery różne możliwości, rozważając każdą szczegółowo. Nie czas teraz na to, by jego osobiste poglądy wpływały na rozumowanie.

Mówił przez dziesięć minut.

- Jest jeszcze jedna możliwość, panie sędzio - rzekł na koniec. - Być może mamy tu do czynienia z dezinformacją, która ma na celu skompromitowanie naszego źródła informacji.

Prawdopodobieństwa tego wariantu nie potrafię ocenić.

- Też o tym myśleliśmy. A teraz, skoro zaszliśmy tak daleko, może spróbuje pan jeszcze powiedzieć, co pana zdaniem należy zrobić.

- Admirał Greer może panu powiedzieć, co na to marynarka.

- Jakiś tam pogląd mam, chłopcze - zaśmiał się Moore - ale co ty o tym myślisz?

- Cóż, podjęcie decyzji w tej sprawie nie będzie łatwe, mamy zbyt wiele zmiennych, zbyt wiele nieprzewidzianych okoliczności. Ale powiedziałbym: tak. Jeśli to możliwe, jeśli uda się dopracować szczegóły, powinniśmy spróbować. Najważniejszą sprawą jest rozmieszczenie naszych własnych sił. Czy mamy na miejscu, co trzeba?

- Nasze siły - powiedział Greer - są niewielkie: jeden lotniskowiec, „Kennedy”.

Sprawdziłem. „Saratoga” jest w Norfolk w remoncie. Z drugiej strony, brytyjski „Invincible”, który brał właśnie udział w manewrach NATO, wypłynął z Norfolk w poniedziałek w nocy.

Zdaje się, że zespołem brytyjskim dowodzi admirał White.

- Lord White? - zapytał Ryan. - Hrabia Weston?

- Zna go pan? - zwrócił się Moore do Ryana.

- Tak, panie sędzio. Nasze żony się przyjaźnią. We wrześniu polowałem z nim w Szkocji na kuropatwy. Z tego, co mówi, można wnosić, że jest dobrym dowódcą i, jak słyszę, cieszy się dobrą opinią.

- Nie sądzisz, James, że moglibyśmy pożyczyć ich okręty? - zapytał Moore. - Jeżeli tak, to trzeba im będzie o wszystkim powiedzieć. Najpierw jednak musimy powiadomić naszą stronę. Dzisiaj o pierwszej po południu zbiera się prezydencka Rada Bezpieczeństwa Narodowego. Panie doktorze, bardzo proszę, aby przygotował pan informację i sam ją przedstawił.

- Trochę mało czasu - próbował oponować Ryan.

- James twierdzi, że świetnie pan w takich warunkach pracuje. Proszę to udowodnić. -

Spojrzał na Greera. - Zrób kopię jego materiałów i przygotuj się do ewentualnej podróży do Londynu. Decyzja należy do prezydenta. Jeśli chcemy ich okręć, musimy im powiedzieć dlaczego. Oznacza to poinformowanie premiera, co już należy do ciebie. Bob, chcę, żebyś sprawdził ten raport. Rób, co trzeba, byle nie został w to wmieszany Willow.

- Tak jest - odparł Ritter.

Moore spojrzał na zegarek.

- Spotkamy się tu znowu po południu, o trzeciej trzydzieści, zależnie oczywiście od przebiegu zebrania. Panie doktorze, ma pan półtorej godziny. Niech się pan bierze do roboty.

Do czego mnie przymierzają, zastanawiał się Ryan. W CIA krążyły słuchy, że sędzia Moore ma już stąd niedługo odejść na ambasadora. Niewykluczone, że przy dworze królewskim w Anglii, co byłoby odpowiednią nagrodą dla człowieka, który długo i ciężko pracował nad zacieśnieniem stosunków z Brytyjczykami. Po odejściu sędziego do jego gabinetu wprowadzi się zapewne admirał Greer. Jego atutami są przyjaciele w Kongresie oraz jego wiek gwarantujący, że wkrótce odda fotel innemu. Ritter nie ma takich walorów. Zbyt długo i zbyt otwarcie wieszał psy na kongresmanach, przez których przeciekały informacje o jego operacjach i agentach w terenie, oskarżał ich, że obnosząc się ze swym znaczeniem na kuktajlach, gubią ludzi. Był ponadto skłócony z przewodniczącym kongresowej komisji do spraw wywiadu.

Czy te zmiany na górze i ten niespodziewany dostęp do nowych i niezwykłych informacji... Co to może dla mnie oznaczać? - zapytywał sam siebie Ryan. Czyżby miał

zostać zastępcą do spraw wywiadu? Wiedział, że nie ma doświadczenia potrzebnego do takiej pracy, choć może za pięć lub sześć lat...

Pasmo Reykjanes

Ramius sprawdził mapę nawigacyjną. „Czerwony Październik” kierował się na południowy zachód szlakiem numer 8, najbardziej wysuniętą na zachód opracowaną trasą okrętów podwodnych wzdłuż Islandii, którą marynarze Floty Północnej nazywają Trasą Gorszkowa. Okręt poruszał się z prędkością trzynastu węzłów. Ramiusowi, w odróżnieniu od Anglosasów, nigdy nie przyszłoby do głowy, że jest to feralna liczba. Utrzymają ten kurs i tę prędkość przez następne dwadzieścia godzin. Tuż obok, przy pulpicie grawimetru, siedział

Kamarow, mając za plecami dużą mapę. Młody porucznik, paląc papierosa za papierosem, ze ściągniętą twarzą zaznaczał na mapie położenie okrętu. Ramius nie przeszkadzał. Kamarow zna się na swojej robocie, a za dwie godziny zmieni go Borodin.

Na kilu „Czerwonego Października” zainstalowano bardzo czułe urządzenie nazwane grawimetrem. W skrócie można je opisać jako dwa duże ołowiane ciężarki umieszczone w odległości stu metrów od siebie. Połączony z komputerem laser mierzył odległość między ciężarkami z dokładnością do ułamka angstroma. Zmiana odległości lub ruch boczny ciężarków wskazywał na lokalne zmiany pola grawitacyjnego. Nawigator porównywał te niezwykle dokładnie ustalone lokalne zmiany wartości z danymi na mapie. Jeśli odpowiednio precyzyjnie posługiwać się grawimetrem w systemie nawigacji inercyjnej, można określić własne położenie z dokładnością do około stu metrów a tyle wynosiła połowa długości

„Października”.

Grawimetry instalowano na wszystkich okrętach podwodnych, na których się dało.

Ramius wiedział, że młodszy dowódcy okrętów torpedowych używali ich, pędząc po Trasie Gorszkowa. Dobrze to pewnie robi *ego* dowódcy, lecz sprawia sporo trudności nawigatorowi.

Sam nie potrzebował brawury. Może nawet wysłanie listu było błędem... Nie, uniemożliwiało odwrót. A szumonamierniki na okrętach torpedowych po prostu nie mają odpowiedniej czułości, żeby wykryć jego okręt, przynajmniej tak długo, jak stosował bezgłośny napęd.

Tego Ramius był pewien, znał je wszystkie. Dotrze tam, gdzie chce, i zrobi to, co chce. Nikt, ani jego rodacy, ani Amerykanie, nie będzie mógł mu w tym przeszkodzić. Dlatego właśnie niedawno uśmiechnął się, słysząc sunącą pięćdziesiąt pięć kilometrów na wschód od nich *Alfę*.

Sędzia Moore miał do dyspozycji cadillaca z kierowcą i ochroniarzem uzbrojonym w pistolet maszynowy uzi. Limuzyna skręciła w prawo, z Pennsylvania Avenue w Executive Drive. Ulica ta służyła za parking wyższym urzędnikom i dziennikarzom pracującym w Białym Domu i w budynku administracyjnym, zwanym Old State, który stanowił groteskowy przykład administracyjnej tępoty i górował nad siedzibą prezydenta. Kierowca gładko zaparkował na jednym z miejsc przeznaczonych dla Bardzo Ważnych Osobistości, i gdy ochroniarz zlustrował wzrokiem okolicę, wyskoczył otworzyć drzwi. Sędzia wysiadł pierwszy i ruszył przodem. Dogoniwszy go, Ryan złapał się na tym, że idzie po lewej stronie Moore'a, o pół kroku z tyłu. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że jego instynktowny odruch odpowiada dokładnie temu, czego go nauczono w piechocie morskiej w Quantico: w ten właśnie sposób młodszy oficer towarzyszy przełożonemu. Uzmysłowiło to Ryanowi, jak niską pozycję zajmuje w hierarchii.

- Byłeś tu już kiedyś, Jack?

- Nie, panie sędzio, nie byłem.

Moore był wyraźnie rozbawiony.

- Prawda, przecież pochodzisz z tych stron. Gdybyś mieszkał daleko, nieraz wybrałbyś się tu na wycieczkę.

Stojący na warcie żołnierz piechoty morskiej przytrzymał drzwi. Wewnątrz agent tajnej służby dał im znak, by weszli dalej. Moore skinął głową i ruszył naprzód.

- Czy to ma być w gabinecie?

- Nie. W sali odpraw na dole. Jest wygodniejsza i lepiej wyposażona do takich celów.

Twoje przezrocza są już przygotowane. Zdenerwowany?

- Oczywiście.

- Spokojnie, chłopcze - zachichotał Moore. - Już od pewnego czasu prezydent chce cię poznać. Spodobał mu się twój raport sprzed paru lat na temat terroryzmu; pokazałem mu także więcej twoich analiz, tę o działaniach radzieckich okrętów rakietowych, a także tę ostatnią, o systemie zarządzania w ich przemyśle zbrojeniowym. Myślę, że w sumie wyda ci się całkiem miłym facetem. Musisz tylko uważać na jego pytania. Zwróci uwagę na każde słowo, które padnie z twych ust, i jeżeli zechce, potrafi strzelić precyzyjnym pytaniem.

Moore odwrócił się i zaczął schodzić w dół. Ryan ruszył za nim i po pokonaniu trzech kondygnacji schodów dotarli do wejścia do korytarza. Sędzia skręcił w lewo i podszedł do następnych drzwi strzeżonych przez kolejnego agenta tajnej służby.

- Dzień dobry, panie sędzio. Prezydent niedługo zejdzie.

- Dziękuję. To jest doktor Ryan. Jest ze mną.

- W porządku.

Agent dał znak ręką, że mogą wejść. Pomieszczenie nie było nawet w połowie tak okazałe, jak Ryan oczekiwał. Sala odpraw prawdopodobnie nie jest większa od gabinetu prezydenta na górze. Ściany, zapewne betonowe, pokrywała wyglądająca kosztownie drewniana boazeria. Ta część Białego Domu pochodziła z okresu gruntownej przebudowy budynku za Trumana. Mównica, za którą miał stanąć Ryan, znajdowała się na lewo od wejścia i nieco w prawo od romboidalnego stołu. Za mównicą widniał ekran, na pulpicie zaś kartka informująca, że rzutnik na stole jest już przygotowany i ma nastawioną ostrość. Podana była także kolejność przezroczy, dostarczonych z Państwowej Służby Rozpoznawczej.

W sali zebrała się już większość słuchaczy, cały komitet szefów sztabów i sekretarz obrony. Ryan przypomniał sobie, że sekretarz stanu wciąż kursuje między Atenami a Ankarą, próbując rozładować napięcie na Cyprze. To nieustanne zarzewie konfliktu na południowym skrzydle NATO znów wybuchło przed paroma tygodniami, kiedy grecki student przejechał

samochodem tureckie dziecko i w kilka minut później został zlinczowany. Jeszcze tego samego dnia zostało rannych pięćdziesiąt osób, a dwa rzekomo sprzymierzone kraje znów skoczyły sobie do gardła. Obecnie po Morzu Egejskim krążą dwa amerykańskie lotniskowce, a sekretarz stanu usilnie stara się uspokoić obie strony.

Fatalnie się stało, że dwie młode osoby poniosły śmierć, pomyślał Ryan, ale to jeszcze nie powód do powszechnej mobilizacji.

Przy stole znajdowali się również generał Thomas Hilton, przewodniczący komitetu szefów sztabów, i Jeffrey Pelt, doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa, człowiek dość nadęty, którego Ryan poznał wiele lat temu w Uniwersytecie Georgetown w Ośrodku Badań Strategicznych i Stosunków Międzynarodowych. Pelt przeglądał jakieś papiery. Szefowie sztabów gawędzili ze sobą przyjaźnie. Siedzący wśród nich dowódca piechoty morskiej, generał David Maxwell, podniósł wzrok i zauważył Ryana. Wstał i podszedł do niego.

- Jack Ryan? - zapytał.

- Tak, panie generale.

Maxwell był człowiekiem niskim, mocno zbudowanym, o krótko przyciętych włosach, emanującym wewnętrzną energią. Zanim uścisnęli sobie dłonie, obrzucił Ryana baczny spojrzeniem.

- Miło cię poznać, chłopcze. Podobała mi się twoja robota w Londynie. Dobra wizytówka marines. - Miał tu na myśli incydent, z którego Ryan ledwo uszedł z życiem. - To była dobra, szybka akcja, poruczniku.

- Dziękuję, panie generale. Miałem szczęście.

- Dobry oficer powinien mieć szczęście. Słyszę, że masz dla nas jakieś interesujące wieści.

- Tak, panie generale. Myślę, że nie uzna pan tego za stratę czasu.

- Zdenerwowany? - Generał sam dostrzegł odpowiedź i uśmiechnął się lekko. -

Rozluźnij się. Każdy tu, w tej cholernej piwnicy, to taki sam facet jak ty. - Klepnął Ryana wierzchem dłoni po brzuchu i wrócił na swoje miejsce. Szepnął coś admirałowi Danielowi Fosterowi, szefowi sztabu marynarki wojennej, który na moment przerwał rozmowę i popatrzył uważnie na Ryana.

Prezydent przybył w chwilę później. Wszyscy wstali z miejsc, a prezydent podszedł

do swego krzesła, na prawo od Ryana. Zamienił szybko kilka słów z doktorem Peltem, po czym spojrzał znacząco na naczelnego dyrektora wywiadu.

- Panowie, zaczynamy. Sędzia Moore ma dla nas coś ciekawego.

- Dziękuję, panie prezydencie. Panowie, otrzymaliśmy dzisiaj ciekawe informacje związane z trwającą od wczoraj operacją radzieckiej marynarki wojennej. Poprosiłem obecnego tu doktora Ryana, żeby przedstawił fakty.

Prezydent zwrócił się w jego stronę. Młody człowiek poczuł na sobie oceniający wzrok.

- Proszę zaczynać.

Ryan, pociągnął łyk zimnej wody ze szklanki schowanej w głębi mównicy. Obok leżał

pilot sterujący rzutnikiem i kilka pałeczek do wskazywania. Specjalna mocna lampka oświetlała notatki. Strony pełne były błędów i nagryzmołonych poprawek. Nie miał czasu na zredagowanie tekstu.

- Dziękuję, panie prezydencie. Nazywam się Jack Ryan, będę mówił o najnowszej operacji marynarki radzieckiej na północnym Atlantyku. Zanim do tego przejdę, winny jestem panom małe wprowadzenie. Ufam, że mogę liczyć na cierpliwość panów przez te kilka minut.

Ilekcroć będą panowie mieli jakieś pytania, proszę mi przerywać. - Ryan włączył rzutnik.

Automatycznie przygasły górne światła w pobliżu ekranu. - Te zdjęcia zawdzięczamy uprzejmości Brytyjczyków - zaczął. Skupił teraz na sobie uwagę wszystkich. - Jest to radziecki okręt podwodny „Czerwony Październik” z rakietami balistycznymi. Został

sfotografowany przez brytyjskiego agenta w doku leżącej na pomocy bazy okrętów podwodnych w Polarnym, niedaleko Murmańska. Jak widać, jest to bardzo duży okręt, długości około dwustu metrów, szerokości mniej więcej dwudziestu pięciu metrów i wyporności około trzydziestu dwóch

tysiący ton. Te rozmiary odpowiadają w przybliżeniu pancernikowi z czasów pierwszej wojny światowej. Ryan uniósł wskaznik. - Poza tym, że

„Czerwony Październik” jest znacznie większy od naszych okrętów klasy *Ohio* z raketami *Trident*, różni się od nich także szczegółami technicznymi. Uzbrojony jest w dwadzieścia sześć rakiet, a nie dwadzieścia cztery, jak u nas. Starsze *Typhoony*, na których jest wzorowany, wyposażone są tylko w dwadzieścia. „Październik” przenosi nowe rakiety balistyczne SS-N-20 *Seahawk*, wystrzeliwane spod wody, na paliwo stałe, o zasięgu około jedenastu tysięcy kilometrów. Każda rakietka uzbrojona jest w osiem samonaprowadzających głowic o sile rażenia około pięciuset kiloton każda. Są to te same głowice, co w SS-18, ale jest ich tu mniej. - Jak widać, wyrzutnie rakiet umieszczone są przed kioskiem, a nie za nim, jak na naszych okrętach. Poziome stery głębokości chowane są tu, w kadłubie. U nas umieszcza się je na kiosku. Ma dwie śruby napędowe, nasze tylko jedną. A wreszcie kształt kadłuba jest owalny w przekroju. Nasze mają kadłub cylindryczny, a ten jest wyraźnie spłaszczony na wierzchu i spodzie.

Ryan zmienił przezrocze. Przedstawiało nałożone na siebie fotografie dziobu i rufy.

- Te zdjęcia dostarczono nam niewywołane i poddano je obróbce przez Państwową Służbę Rozpoznawczą. Proszę zwrócić uwagę na wrota w dziobie i w rufie. Zaintrygowały one Brytyjczyków na tyle, że na początku tego tygodnia pozwolono mi przywieźć tutaj te zdjęcia. Również w CIA nie udało nam się ustalić, jaką pełnią funkcję, postanowiono więc zasięgnąć opinii kogoś z zewnątrz.

- Kto postanowił? - zapytał gniewnie sekretarz obrony. - Do diabła, ja jeszcze ich nie widziałem!

- Dostaliśmy je dopiero w poniedziałek, Bert - odparł pojednawczym tonem Moore. -

Te przezrocza wykonano zaledwie cztery godziny temu. Ryan zaproponował eksperta z zewnątrz i James Greer zgodził się na to. Ja również.

- Nazywa się Oliver Tyler. Doktor Tyler służył niegdyś jako oficer w marynarce, a obecnie wykłada budowę okrętów w Akademii Marynarki Wojennej i pracuje jako stały konsultant w Dowództwie Systemów Morskich. Jest poza tym ekspertem w dziedzinie analizy radzieckiego sprzętu morskiego. Skip, to jest doktor Tyler, doszedł do wniosku, że te wrota zamykają wloty i wyloty kanałów nowego, bezgłośnego napędu. Opracowuje właśnie komputerowy model tego napędu, który mamy nadzieję otrzymać do końca tygodnia. Sam system napędowy przedstawia się bardzo interesująco. - Ryan zreferował pokrótce analizę Tylera.

- W porządku, panie doktorze. - Prezydent pochylił się do przodu. - Jak dotąd powiedział nam pan, że Rosjanie skonstruowali raketowy okręt podwodny, który będzie trudny do wykrycia dla naszych ludzi. To nic nadzwyczajnego. Proszę dalej.

- Kapitanem „Czerwonego Października” jest człowiek o nazwisku Ramius, Marko Ramius. To litewskie nazwisko, choć uważamy, że w dowodzie osobistym ma wpisaną narodowość rosyjską.

Jest synem wysoko postawionego urzędnika partyjnego i najlepszym dowódcą w radzieckiej flocie podwodnej. W ciągu ostatnich dziesięciu lat testował wszystkie pierwsze jednostki podwodne każdej klasy. „Czerwony Październik” wypłynął z bazy w zeszły piątek. Nie znamy dokładnie jego rozkazów operacyjnych, lecz zazwyczaj radzieckie okręty rakietowe, to znaczy te z nowszymi raketami dalekiego zasięgu, ograniczają swą działalność do Morza Barentsa i sąsiadujących z nim rejonów, gdzie przed naszymi okrętami torpedowymi mogą je chronić startujące z lądu ich własne samoloty, okręty nawodne i podwodne. Około południa czasu lokalnego w niedzielę zauważyliśmy wzmożone działania poszukiwawcze na Morzu Barentsa. Wzięliśmy to wtedy za ćwiczenia w zwalczaniu okrętów podwodnych w tym rejonie, a w poniedziałek wieczorem sądziliśmy, że to próba nowego systemu napędowego „Października”. - Jak wiadomo, wczoraj rano zauważono niezwykle wzmożoną aktywność radzieckiej marynarki wojennej. Są teraz na morzu prawie wszystkie dalekomorskie okręty Floty Północnej i wszystkie szybkie jednostki wsparcia. Wsparcie wysłano także z baz Floty Bałtyckiej i zachodniego Morza Śródziemnego. Jeszcze bardziej niepokojący wydaje się fakt, że niemal wszystkie okręty atomowe Floty Północnej, czyli największej radzieckiej floty, zmierzają w stronę północnego Atlantyku, w tym trzy jednostki z Morza Śródziemnego, gdyż stacjonujące tam okręty wchodziły w skład Floty Pomocnej, a nie Czarnomorskiej. Obecnie wydaje się nam, że jesteśmy w stanie wyjaśnić cały ten wzrost aktywności. - Ryan wyświetlił kolejne przezrocze. Przedstawiało północny Atlantyk, od Florydy po biegun, i zaznaczone na czerwono okręty radzieckie. - W dniu wypłynięcia

„Czerwonego Października” kapitan Ramius wysłał list do admirała Jurija Iljicza Padorina.

Padorin jest szefem Głównego Zarządu Politycznego Marynarki Wojennej. Nie znamy treści, ale widzimy jego skutki. Cała operacja zaczęła się w niespełna cztery godziny po otrzymaniu listu przez adresata. Pięćdziesiąt osiem atomowych okrętów podwodnych i dwadzieścia osiem większych jednostek nawodnych ruszyło w naszą stronę. Godna uznania sprawność, jak na tak krótki czas. Dzisiaj rano dowiedzieliśmy się, jakie wydano im rozkazy. - Panowie, okręty te mają za zadanie odszukać „Czerwony Październik” i... - tu dla większego efektu Ryan zawiesił głos - w razie potrzeby zatopić go. Jak widać, ich okręty nawodne są tutaj, mniej więcej w połowie drogi między kontynentem europejskim a Islandią. Wszystkie okręty podwodne kierują się na południowy zachód w stronę amerykańskiego wybrzeża. Proszę zauważyć, że nie obserwuje się żadnej większej niż zwykle aktywności na Pacyfiku, z wyjątkiem, jak nas poinformowano, odwoływania do portu z obydwu oceanów radzieckich okrętów z raketami balistycznymi. - Na podstawie tych działań, mimo że nie znamy dokładnie treści listu kapitana Ramiusa, możemy wyciągnąć pewne wnioski. Wygląda na to, że ich zdaniem zmierza on w naszym kierunku. Przyjąwszy, że płynie z prędkością od dziesięciu do trzydziestu węzłów, może znajdować się w tym akwenie, od południowych wybrzeży Islandii po wybrzeża Stanów. Proszę zauważyć, że zarówno w jednym, jak i w drugim wypadku udało mu się uniknąć wykrycia przez wszystkie cztery bariery czujników SOSUS...

- Chwileczkę. Mówi pan, że wydali rozkaz zatopienia jednego z własnych okrętów podwodnych?

- Tak jest, panie prezydencie.

Prezydent spojrzał na dyrektora naczelnego.

- Czy to wiarygodna informacja, panie sędzio?

- Tak, panie prezydencie, uważamy ją za pewną.

- W porządku, panie doktorze, a więc co dalej? Co zamierza ten Ramius?

- Panie prezydencie, według naszej oceny tej informacji „Czerwony Październik”

próbuję uciec do Stanów Zjednoczonych.

Przez chwilę w sali zapanowała cisza. Ryan słyszał szmer wentylatora w projektorze, gdy członkowie Rady Bezpieczeństwa Narodowego rozważali jego słowa. Trzymał ręce na pulpicie, by pohamować ich drżenie. Dziesięciu siedzących naprzeciwko mężczyzn wpatrywało się w niego nieruchomo.

- To bardzo interesujący wniosek, panie doktorze - zauważył z uśmiechem prezydent.

- Proszę go uzasadnić.

- Panie prezydencie, opierając się na tych informacjach nie można wyciągnąć innego wniosku. Najistotniejsze jest tu oczywiście wycofanie innych okrętów rakietowych. Nigdy dotąd tego nie robili. Jeśli dodamy jeszcze rozkaz zatopienia najnowszego i najpotężniejszego okrętu oraz to, że ścigając go, kierują się w naszą stronę, nie pozostaje nam nic innego, jak wnosić, że ich zdaniem opuścił nakazany akwen i płynie tutaj.

- Świetnie. Czy istnieje inne wytłumaczenie?

- Mógł im powiedzieć, że zamierza wystrzelić rakiety. W nas, w nich, w Chińczyków albo jeszcze w kogoś innego.

- A pan nie uważa, że to możliwe?

- Nie, panie prezydencie. Zasięg SS-N-20 wynosi jedenaście tysięcy kilometrów, co oznacza, że mógł zaatakować dowolny cel na półkuli północnej zaraz po opuszczeniu doku.

Miał na to sześć dni, ale nie wystrzelił. Co więcej, gdyby zagroził, że odpali te swoje zabawki, musiałby liczyć się z tym, iż Rosjanie zwrócą się do nas o pomoc w jego odnalezieniu i zatopieniu. W końcu, gdyby nasze stacje nadzoru wykryły odpalone w jakimkolwiek kierunku pociski nuklearne, bardzo szybko mogłoby stać się gorąco.

- Może też wystrzelić swoje zabawki w obu kierunkach i rozpocząć trzecią wojnę światową - zauważył sekretarz obrony.

- Tak, panie sekretarzu. Wtedy jednak mielibyśmy do czynienia z kompletnym szaleńcem, a właściwie z grupą szaleńców. Na naszych okrętach rakietowych jest pięciu oficerów, którzy muszą podjąć jednomyślne działanie dla odpalenia rakiet. U Rosjan jest tak samo. Ze względów politycznych regulamin bezpieczeństwa przy odpalaniu rakiet nuklearnych jest u nich jeszcze bardziej

zaostrzony. Mielibyśmy więc pięć albo i więcej osób, które pragną zniszczyć świat? - Ryan potrząsnął głową. - Wydaje się to wysoce nieprawdopodobne, a w takim wypadku Rosjanom opłacałoby się nas o tym poinformować i skorzystać z naszej pomocy.

- Czy pan naprawdę sądzi, że poinformowaliby nas o tym? - zapytał Pelt. Ton jego głosu jasno wskazywał, co myśli.

- To pytanie raczej natury psychologicznej, a ja zajmuję się głównie wywiadem technicznym. Niektórzy z tu obecnych spotykali się ze swymi radzieckimi kolegami na podobnych stanowiskach i mogą na nie odpowiedzieć lepiej niż ja. Jednakże moja odpowiedź

brzmi: tak. Byłoby to dla nich jedynym racjonalnym rozwiązaniem i choć z naszego punktu widzenia Rosjanie nie wydają się działać w pełni racjonalnie, kierują się jednak pewną logiką.

Nie są skłonni do podejmowania takiego ryzyka.

- A kto tego chce? - zauważył prezydent. - Jakie można jeszcze znaleźć wytłumaczenie?

- Jest kilka możliwości, panie prezydencie. Mogą to być po prostu duże manewry morskie dla sprawdzenia, jak szybko Rosjanie potrafią przeciąć nasze szlaki żeglugowe, a także, jak szybko my potrafimy zareagować. Odrzucamy tę możliwość z kilku powodów.

Odbywa się to tuż po jesiennych manewrach „Szkarłatny Sztorm”. A poza tym w tej operacji biorą udział prawdopodobnie tylko okręty atomowe, bez jednostek o napędzie konwencjonalnym. Najwyraźniej bardzo zależy im na prędkości. I wreszcie, praktycznie rzecz biorąc, Rosjanie nie przeprowadzają większych manewrów o tej porze roku.

- A to dlaczego? - zapytał prezydent. Admirał Foster odpowiedział za Ryana.

- Panie prezydencie, o tej porze roku panują tam niezwykle trudne warunki atmosferyczne. Nawet my w takiej sytuacji nie planujemy manewrów.

- Wydaje mi się, że przeprowadziliśmy właśnie manewry NATO, panie admirale -
zauważył Pelt.

- Tak, na południe od Bermudów, gdzie pogoda jest znacznie lepsza. Z wyjątkiem ćwiczeń zwalczania okrętów podwodnych, które odbywały się u wybrzeży brytyjskich, całe manewry „Szybki Delfin” przeprowadzano po naszej stronie.

- W porządku, wróćmy do tego, jak jeszcze można wytłumaczyć dziwne zachowanie ich floty? -
nakazał prezydent.

- No cóż, może to wcale nie są manewry. Mógłby to być początek prawdziwej wojny konwencjonalnej z NATO, której pierwszy etap stanowi przecięcie szlaków żeglugowych.

Jeżeli tak, to udało im się całkowicie nas zaskoczyć strategicznie, a teraz rezygnują z tego, działając tak jawnie, że zmuszają nas do zdecydowanej reakcji. Ponadto operacji morskiej nie towarzyszy żadna działalność innych rodzajów sił zbrojnych. Ich armia i lotnictwo, z wyjątkiem samolotów patrolowych, a także flota na Pacyfiku wykonują rutynowe działania szkoleniowe. I wreszcie, może to być próba sprowokowania nas lub odwrócenia naszej uwagi w czasie, gdy szykują niespodziankę w innym miejscu. Jeśli tak, to zachowują się bardzo dziwnie. Gdy się chce kogoś sprowokować, nie robi się tego na jego własnym podwórku. A przecież Atlantyk, panie prezydencie, wciąż należy do nas. Jak widać z tej mapy, mamy sojuszników po obu stronach i jeśli zechcemy, możemy uzyskać przewagę w powietrzu nad całym oceanem. Ich marynarka ma dużą liczebność, większą od naszej w pewnych kluczowych obszarach, ale Rosjanie nie potrafią przerzucać swoich sił równie sprawnie jak my, przynajmniej na razie, a już z pewnością nie w pobliżu naszego wybrzeża. - Ryan pociągnął łyk wody. - A więc, panowie, mamy na morzu radziecki okręt rakietowy w czasie, gdy z obydwu oceanów wycofuje się pozostałe okręty. Mamy na morzu ich flotę, której wydano rozkaz zatopienia tego okrętu i która go ściga, wyraźnie kierując się w naszą stronę.

Jak już powiedziałem, to jedyny logiczny wniosek, jaki się nasuwa w świetle naszych informacji.

- Ilu jest ludzi na okręcie, panie doktorze? - zapytał prezydent.

- Sądźmy, że około stu dziesięciu.

- I tych stu dziesięciu mężczyzn decyduje się jednocześnie uciec do Stanów Zjednoczonych? Niezły pomysł - zauważył sardonicznie prezydent - tyle że mało prawdopodobny.

Ryan był na to przygotowany.

- Nie byłby to przypadek odosobniony. Ósmego listopada siedemdziesiątego piątego roku „Storożewoj”, radziecka fregata rakietowa klasy *Krivak* usiłowała zbiec z Rygi, na Łotwie, na szwedzką wyspę Gotlandię. Oficer polityczny, Walery Sablin, wszczął bunt podoficerów i marynarzy. Zamknęli oficerów w kajutach i szybko wypłynęli z portu. Prawie się im udało. Około dziewięćdziesięciu kilometrów od wód terytorialnych Szwecji zaatakowały ich i zmusiły do zatrzymania jednostki powietrzne i morskie. Jeszcze dwie godziny, a ucieczka skończyłaby się powodzeniem. Sablina i dwudziestu sześciu pozostałych ludzi postawiono przed sądem wojennym i rozstrzelano. Nie tak dawno mieliśmy doniesienia o innych buntach na kilku okrętach radzieckich, głównie podwodnych. W 1980 roku radziecki okręt torpedowy klasy *Echo* wynurzył się w pobliżu Japonii. Kapitan twierdził, że na pokładzie wybuchł pożar, jednakże zdjęcia wykonane przez samoloty rozpoznawcze marynarki wojennej, nasze i japońskie, nie wykazały dymu ani żadnych zwęglonych elementów, które by wyrzucono z okrętu. Niemniej załoga nosiła dość wyraźne ślady obrażeń, co potwierdzałoby domysły o buncie. Od kilku lat otrzymujemy podobne, choć bardziej fragmentaryczne doniesienia. Przyznaję, że ten przypadek jest niezwykły, lecz z całą pewnością nie bezprecedensowy.

Admirał Foster sięgnął do marynarki i wyjął cygaro z plastikowym ustnikiem. W

świetle zapalaki widać było jego roziskrzzone oczy.

- Wie pan, skłonny byłbym w to uwierzyć.

- W takim razie, panie admirale, chciałbym, żeby powiedział pan nam wszystkim dlaczego - odezwał się prezydent - bo mnie wciąż się to wydaje nieprawdopodobne.

- Panie prezydencie, bunty przeważnie wzniesają oficerowie, a nie marynarze bądź podoficerowie. A to z tego prostego powodu, że tamci nie wiedzieliby, jak sterować okrętem.

Co więcej, oficerowie mają przewagę i odpowiednie przygotowanie, by wiedzieć, że bunt może się powieść. Dotyczy to szczególnie marynarki radzieckiej. Może stoją za tym tylko oficerowie?

- A reszta załogi idzie za nimi? - zapytał Pelt. - Świadoma tego, jaki los czeka ich i rodziny?

Foster kilka razy pociągnął cygaro.

- Był pan kiedyś na morzu, panie doktorze? Nie? Wyobraźmy więc sobie, że wypływa pan w podróż dookoła świata na, powiedzmy, „Queen Elizabeth 2”. Pewnego pięknego dnia znajduje się pan na środku Pacyfiku, ale skąd pan może dokładnie wiedzieć, gdzie pan jest?

Nie ma pan najmniejszego pojęcia. Wie pan tyle, ile powiedzą panu oficerowie.

Oczywiście, jeśli się jest nieco obeznanym z astronomią, można określić szerokość geograficzną z dokładnością do kilkuset kilometrów. A gdy się ma dobry zegarek, to przy niewielkiej znajomości trygonometrii sferycznej można nawet odgadnąć, z podobną dokładnością, długość. Zakładając oczywiście, że jest to statek, z którego można coś zobaczyć. Ci faceci są na okręcie podwodnym. Niewiele stamtąd widać. A więc, jeśli jest to sprawka oficerów, nawet nie wszystkich oficerów... Skąd załoga może wiedzieć, co się dzieje? - Foster potrząsnął głową. - O niczym nie ma pojęcia. Nie może wiedzieć. Nawet nasi ludzie, którzy są o wiele lepiej wyszkoleni, mogliby się nie połapać. Proszę pamiętać, że ich marynarze to w większości poborowi. Na okręcie nuklearnym jest się całkowicie odcięty od świata. Żadnego radia z wyjątkiem ELF i VLF, a i wszystkie zaszyfrowane wiadomości muszą przechodzić przez oficera łączności. On musi więc być wtajemniczony. To samo z nawigatorem. Stosują system nawigacji inercyjnej, podobny do naszego. Mamy zresztą taki system z radzieckiego okrętu *Golf*, który wydobyliśmy w pobliżu Hawajów. Także w ich urządzeniu informacje są szyfrowane. Sternik odczytuje liczby z maszyny, a nawigator ustala położenie z książki kodów. W Armii Czerwonej, a więc na lądzie, mapy zalicza się do dokumentów tajnych. Tak samo w marynarce. Zwykli marynarze i podoficerowie nie mają dostępu do map i nie zachęca się ich do zainteresowania położeniem okrętu. Szczególnie na okrętach raketowych. Na domiar wszystkiego, ci ludzie mają pełne ręce roboty. Na morzu jest mnóstwo pracy, każdy musi wykonywać swoje zadania. Na ich okrętach pracuje się od czternastu do osiemnastu godzin dziennie. Te dzieciaki to poborowi, którzy przeszli tylko podstawowe przeszkolenie. Nauczeni są wykonywać jedno lub dwa zadania i ściśle trzymać się rozkazów. Rosjanie szkolą ludzi, tak żeby znali swoje czynności na pamięć i

ograniczali myślenie do minimum. Dlatego przy większych naprawach, z narzędziami widzi się oficerów.

Ich ludzie nie będą mieli ani czasu, ani chęci zadawania oficerom pytań. Wykonują pracę i ufają, że inni wykonują swoją. Na tym właśnie polega dyscyplina na morzu. - Foster strząsnął

do popielniczki popiół z cygara. - Tak, proszę panów. Zbiera się oficerów, może nawet nie wszystkich, i kto wie, może się udać. O wiele łatwiej zebrać dziesięciu lub dwunastu niezadowolonych niż setkę.

- Łatwiej, ale wcale nie tak łatwo, Dan - zaproponował generał Hilton. - Do licha, mają na pokładzie co najmniej jednego oficera politycznego plus wtyczki z różnych wywiadów.

Czy naprawdę sądzisz, że jakiś aparatczyk poszedłby na coś takiego?

- Dlaczego nie? Słyszałeś, co mówił Ryan, ten bunt na fregacie wzniecił oficer polityczny.

- Tak, i od tamtej pory dokładnie prześwietlają całą tę kadrę - odparł Hilton.

- Przez cały czas przechodzą do nas ludzie z KGB, a wszystko to oddani członkowie partii - powiedział Foster. Najwyraźniej spodobał mu się pomysł uciekającego okrętu.

Po namyśle prezydent zwrócił się do Ryana:

- Panie doktorze, udało się panu przekonać mnie, że pański scenariusz jest teoretycznie możliwy. Co więc, zdaniem CIA, powinniśmy zrobić w tej sprawie?

- Panie prezydencie, jestem tylko analitykiem wywiadu, a nie...

- Doskonale wiem, kim pan jest, panie doktorze. Przeczytałem wystarczająco dużo pańskich prac. Widzę, że ma pan swoje zdanie w tej sprawie. Chcę je usłyszeć.

- Bierzmy go, sir. - Ryan nawet nie spojrzał na sędziego Moore'a.

- Tak po prostu?

- Nie, panie prezydencie, prawdopodobnie nie będzie to takie proste. Jednakże za dzień lub dwa Ramius może wynurzyć się u wybrzeży Wirginii i poprosić o azyl polityczny.

Powinniśmy być przygotowani na taką ewentualność, i moim zdaniem należy go powitać z otwartymi ramionami. - Ryan zauważył, że wszyscy szefowie sztabów kiwają potakująco głowami. Nareszcie ktoś był po jego stronie.

- Ryzykuje pan - zauważył łagodnie prezydent.

- Zapytał mnie pan o zdanie. Najprawdopodobniej nie będzie to łatwe. Wygląda na to, że *Alfy* i *Victory* pędzą w stronę naszych wybrzeży, niewątpliwie po to, by stworzyć barierę, praktycznie blokadę naszego wybrzeża.

- Blokadę - powtórzył prezydent - brzydkie słowo.

- Panie sędzio - odezwał się generał Hilton - przypuszczam, że wziął pan pod uwagę możliwość rozmyślnej dezinformacji mającej skompromitować źródło, z którego pochodzi ten raport.

Sędzia Moore przywołał na twarz senny uśmiech.

- Tak, wziąłem to pod uwagę, panie generale. Jeśli mamy do czynienia z fikcją, to cholernie dopracowaną. Doktor Ryan dostał polecenie sporządzenia tej analizy przy założeniu, że informacje są prawdziwe. Jeśli tak nie jest, odpowiedzialność spada na mnie.

Niech Bóg ma cię w swojej opiece, pomyślał w duchu Ryan, zastanawiając się jednocześnie, jak cennym źródłem musi być Willow.

- W każdym razie, panowie - ciągnął sędzia - będziemy musieli zareagować na działania Rosjan, bez względu na to, czy nasza analiza jest trafna, czy nie.

- Czy sprawdza pan te informacje, panie sędzio? - zapytał prezydent.

- Tak, pracujemy nad tym.

- Dobrze. - Prezydent siedział wyprostowany i Ryan zauważył, że jego głos stał się bardziej szorstki. - Sędzia Moore ma rację. Musimy na to zareagować bez względu na ich zamiary. Panowie, radziecka marynarka wojenna kieruje się w stronę naszych brzegów. Co zamierzamy zrobić w tej sprawie?

Pierwszy zabrał głos admirał Foster.

- Panie prezydencie, w tej chwili nasza flota wychodzi w morze. Wszystko, co jest na chodzie, już płynie lub wypłynie do jutra wieczór. Z południowego Atlantyku wycofaliśmy lotniskowce i przegrupujemy okręty atomowe, by poradzić sobie z tym zagrożeniem. Rano *Oriony* i P-3C, przy wsparciu brytyjskich *Nimrodów* startujących ze Szkocji, zaczęły intensywne patrole lotnicze nad ich siłami nawodnymi. Panie generale? - Foster zwrócił się do Hiltona.

- W tej chwili razem z *Orionami* krążą nad nimi rozpoznawcze AWACS-y E-3 A *Sentry* pod osłoną myśliwców F-15 *Eagle* z Islandii. O tej porze w piątek będziemy dysponować eskadrą bombowców B-52 z bazy sił powietrznych w Loring w Maine, uzbrojonych w pociski raketowe powietrze-woda typu *Harpoon*. B-52 będą prowadzić nad nimi loty patrolowe na zmianę. Nieagresywnie, ma się rozumieć. - Tu Hilton pozwolił sobie na uśmiech. - Po prostu, aby wiedzieli, że nas to interesuje. Jeżeli nadal będą płynąć w tę stronę, przerzucimy kilka taktycznych jednostek powietrznych na Wybrzeże Wschodnie.

Możemy również, to zależy od pańskiej zgody, po cichu uaktywnić część Gwardii Narodowej i eskadry rezerwowe.

- Tylko jak pan to zamierza zrobić „po cichu”? - zapytał Pelt.

- Poczynając od najbliższej niedzieli, pewna liczba jednostek gwardii ma przejść rutynowe szkolenie w pierwszorzutowej bazie Nellis w Nevadzie. Zamiast do Nevady, pójdą do Maine. Bazy są dość duże i należą do Dowództwa Lotnictwa Strategicznego. Są też dobrze strzeżone.

- Ile lotniskowców mamy pod ręką? - zapytał prezydent.

- W tej chwili tylko jeden, „Kennedy’ego”. „Saratoga” zdemontowała w ubiegłym tygodniu główną turbinę, wymiana potrwa miesiąc. „Nimitz” i „America” są w tej chwili na południowym Atlantyku, „America” w drodze powrotnej z Oceanu Indyjskiego, a „Nimitz” w drodze na Pacyfik. Po prostu pech. Czy możemy ściągnąć lotniskowiec ze wschodniego rejonu Morza Śródziemnego?

- Nie - prezydent potrząsnął głową. - Sprawa Cypru nadal jest niezwykle napięta. Czy to naprawdę konieczne? Jeśli wydarzy się coś... niepożądanego, czy możemy poradzić sobie z ich siłami nawodnymi przy użyciu tego, czym teraz dysponujemy?

- Oczywiście, panie prezydencie! - odparł bez namysłu generał Hilton. - Jak zauważył

doktor Ryan, Atlantyk to nasz ocean. Samo lotnictwo ma do tej operacji ponad pięćset samolotów, do czego trzeba dodać jeszcze trzysta lub czterysta samolotów marynarki. Jeśli dojdzie do strzelaniny, żywot radzieckiej floty będzie krótki, choć pełen wrażeń.

- Będziemy się oczywiście starali tego uniknąć - rzekł cicho prezydent. - Dzisiaj rano pojawiły się już pierwsze doniesienia prasowe. Tuż przed lunchem mieliśmy telefon od Buda Wilkinsa z „The Times”. Jeżeli naród amerykański dowie się przed czasem o rozmiarach działań radzieckich... Jeff?

- Panie prezydencie, przyjmijmy tymczasem, że analiza doktora Ryana jest słuszna.

Nie wiem jednak, co możemy zrobić w tej sprawie - rzekł Pelt.

- Jak to co? - wyrwało się Ryanowi. - Och, przepraszam.

- Nie możemy tak po prostu ukraść radzieckiego okrętu rakietowego - ciągnął Pelt.

- A to dlaczego? - zapytał Foster. - Do diabła, mamy już przecież pełno ich czołgów i samolotów! - Tego samego zdania byli inni szefowie sztabów.

- Samolot z jednoosobową lub dwuosobową załogą to nie to samo, panie admirale, co okręt atomowy z dwudziestoma sześcioma rakietami i ponad stuosobową załogą. Możemy, oczywiście, udzielić azylu zbiegłym oficerom.

- Więc chce pan powiedzieć, że jeśli wpłynie do Norfolk, to go oddamy? - wtrącił się Hilton. - Na Boga, człowieku, przecież ma na pokładzie dwieście głów! Przecież pewnego dnia mogą użyć tego cholerstwa przeciwko nam. Czy na pewno chce je pan oddać?

- Taki okręt kosztuje miliard dolarów, panie generale - odrzekł nieśmiało Pelt.

Ryan spostrzegł uśmiech na twarzy prezydenta. Mówiono, że lubi ożywione dyskusje.

- Panie sędzio, jak to wygląda od strony prawnej?

- To podlega prawu morskemu, panie prezydencie. - Choć raz Moore wyglądał na zakłopotanego. - Nigdy nie miałem w tym praktyki, musiałbym wrócić do czasów studenckich. Prawo morskie to *jus gentium*, ten sam kodeks teoretycznie obowiązuje we wszystkich państwach. Amerykańskie i brytyjskie sądy morskie rutynowo powołują się wzajemnie na swe orzeczenia. Ale gdy chodzi o prawo dotyczące zbuntowanej załogi... nie mam pojęcia.

- Nie mamy tu do czynienia z buntem ani piractwem - zauważył Foster. - Sądzę, że właściwym określeniem byłaby barateria. O buncie mówimy, gdy załoga powstaje przeciwko legalnemu dowódcy. Zaś wyraźne nieposłuszeństwo oficerów nazywa się barateria. Tak czy inaczej, wydaje mi się, że nie trzeba szukać prawnych uzasadnień, gdy w grę wchodzi broń nuklearna.

- Może się zdarzyć, że będziemy musieli ich poszukać - rzekł w zamyśleniu prezydent.

- Jak zauważył Jeff, jest to bardzo cenny okręt, z punktu widzenia prawa stanowiący własność Rosjan i będą wiedzieli, że go mamy. Jesteśmy chyba zgodni co do tego, że prawdopodobnie nie cała załoga należy do spisku. A jeśli tak, to ci, którzy nie biorą udziału w buncie, czy w baraterii, jakkolwiek to nazwiemy, zechcą wrócić do domu. I będziemy musieli im na to pozwolić, prawda?

- Musieli? - powtórzył generał Maxwell, rysując esy-floresy w notatniku. - Musieli?

- Panie generale - powiedział stanowczo prezydent - nie przyłożymy, powtarzam, nie przyłożymy ręki do uwięzienia lub zamordowania ludzi, których jedynym pragnieniem jest powrót do domu i swych rodzin. Czy wyrażam się jasno? - Powiódł wzrokiem wokół stołu. -

Jeśli dowiedzą się, że go mamy, będą go chcieli odzyskać. A dowiedzą się tego od pragnącej wrócić do kraju załogi. Zresztą, jak moglibyśmy ukryć tak wielki okręt?

- Być może dałoby się to zrobić - stwierdził beznamiętnie Foster - ale jak pan zauważył, załoga stanowi tu pewną komplikację. Zakładam jednak, że będziemy mieli okazję obejrzeć ten okręt.

- Ma pan na myśli przeprowadzenie inspekcji sanitarnej, sprawdzenie żeglowności, a może nawet kontrolę celną, czy nie przemycają narkotyków? - zapytał z uśmiechem prezydent. - Myślę, że można by to załatwić. Ale wybiegamy za daleko w przyszłość. Czeka nas wiele spraw, zanim do tego dojdziemy. Co z naszymi sojusznikami?

- Anglicy niedawno mieli tu w pobliżu jeden ze swych lotniskowców. Mógłbyś go wykorzystać, Dan? - zapytał generał Hilton.

- Tak, jeśli pozwolą nam go wypożyczyć. Właśnie zakończyliśmy ćwiczenia na południe od Bermudów. Anglicy dobrze się tam spisali. Mielibyśmy wtedy do dyspozycji

„Invincible’a”, cztery eskortowce i trzy okręty bojowe. Siły te są teraz pośpiesznie wycofywane z powodu zaistniałej sytuacji.

- Czy znają obecny rozwój wydarzeń? - spytał prezydent sędziego Moore’a.

- Nie, chyba że sami się o tym dowiedzieli. Dostaliśmy tę informację zaledwie przed kilkoma godzinami. - Moore nie wspomniał, że sir Basil ma własną wtyczkę na Kremlu. Ryan sam niewiele wiedział na ten temat, słyszał jedynie luźne pogłoski. - Poprosiłem admirała Greera, żeby poleciał do Anglii i przedstawił sytuację premierowi, jeśli wyrazi pan zgodę.

- Dlaczego nie wysłać po prostu...

Sędzia Moore pokręcił głową.

- Panie prezydencie, ta informacja... powiedzmy, że można ją doręczyć tylko osobiście.

Nieme zdziwienie wokół stołu.

- Kiedy wylatuje?

- Dziś wieczór, jeśli pan pozwoli. Jest kilka specjalnych lotów z Waszyngtonu.

Kongresowych. - Zwykle o tej porze kończy się sesja Kongresu i dziesiątki kongresmanów lecą na Boże Narodzenie do Europy w „niezwykle ważnych sprawach”.

- Nie mamy nic szybszego, panie generale? - prezydent zwrócił się do Hiltona.

- Możemy ściągnąć VC-141. Jet Star Lockheeda jest prawie tak szybki jak VC-135.

Może wystartować za pół godziny.

- Niech będzie.

- Tak jest, panie prezydencie, już się robi. - Hilton wstał i podszedł do telefonu w rogu pokoju.

- Panie sędzio, proszę powiedzieć Greerowi, że może się pakować. W samolocie będzie na niego czekało odpowiednie pismo do premiera. Czy chce pan „Invincible’a”, panie admirałe?

- Tak, panie prezydencie.

- Załatwię go panu. A teraz następna sprawa, co powiemy naszym ludziom na morzu?

- Jeżeli „Październik” po prostu przyplynie, to nie ma potrzeby, ale jeśli będziemy musieli nawiązać z nimi łączność...

- Proszę mi wybaczyć, panie sędzio - odezwał się Ryan - ale zapewne tak będzie.

Prawdopodobnie ich okręty torpedowe dotrą do wybrzeży jeszcze przed nim. A wtedy trzeba go ostrzec, chociażby po to, żeby uratować zbiegłych oficerów. Tamci wypłynęli z rozkazem odnalezienia i zatopienia zbiega.

- Nam nie udało się go wykryć. Dlaczego przypuszcza pan, że im się to uda? - zachnął się Foster.

- To oni skonstruowali „Czerwony Październik”, panie admirale. Mogą więc znać parę takich szczegółów dotyczących jego budowy, dzięki którym łatwiej im będzie go zlokalizować.

- To brzmi rozsądnie - stwierdził prezydent. - Trzeba więc posłać kogoś, żeby przedstawić sprawę dowódcom flot. Nie możemy przekazać tego drogą radiową. Prawda, panie sędzio?

- To źródło jest zbyt cenne, by je w jakikolwiek sposób zdemaskować. Tyle tylko mogę powiedzieć.

- W porządku, wyślemy kogoś. Następna sprawa, będziemy musieli porozmawiać o tym z Rosjanami. Na razie mogą powiedzieć, że poruszają się na swych wodach. Kiedy miną Islandię?

- Jutro w nocy, o ile oczywiście nie zmienią kursu - odparł Foster.

- W porządku, poczekamy jeden dzień. Mogą jeszcze odwołać tę operację, a nam da to czas na potwierdzenie tych informacji. Panie sędzio, w ciągu dwudziestu czterech godzin chcę mieć coś na poparcie tej bajeczki. Jeżeli nie zawrócą do jutra do północy, wzywam do siebie w piątek rano ambasadora Arbatowa. - Prezydent zwrócił się do szefów sztabów. -

Panowie, proszę przygotować wariantowe propozycje rozwiązań na jutro po południu.

Spotkamy się tutaj o drugiej. Jeszcze jedno: żadnych przecieków! Ta informacja nie może wyjść poza ściany tego pokoju bez mojej zgody. Jeżeli trafi do prasy, polecą głowy. Słucham, panie generale?

- Panie prezydencie, aby zrealizować te plany, musimy działać za pośrednictwem dowódców w terenie oraz korzystać z pomocy w naszych własnych sztabach operacyjnych -

rzekł Hilton. - Niewątpliwie będziemy także potrzebować admirała Blackburna. - Blackburn był głównodowodzącym obszaru Atlantyku.

- Muszę się nad tym zastanowić. Wrócę za godzinę. Ilu ludzi z CIA wie o wszystkim?

- Czterech, panie prezydencie. Ritter, Greer, Ryan i ja. Nikt więcej.

- I niech tak pozostanie. - Już od miesiący prezydenta dręczyła sprawa przecieków.

- Tak jest, panie prezydencie.

- Posiedzenie skończone.

Prezydent wstał z miejsca. Moore podszedł, żeby zamienić z nim parę słów. Nie wyszedł także doktor Pelt. Pozostali jeden po drugim opuszczali pokój. Ryan czekał na zewnątrz.

- W porządku - generał Maxwell uściśnął mu dłoń. Odczekał aż inni oddalą się o parę metrów, po czym podjął: - Myślę, chłopcze, że jesteś szalony, ale niewątpliwie udało ci się zagrzać do boju Dana Fostera. A nawet myślę, że autentycznie się tym podniecił. - Generał

zachichotał. - A jeśli dostaniemy okręt, może uda nam się wpłynąć na prezydenta i pomożemy załodze zniknąć. Wiesz, że sędzia zrobił już to kiedyś. - Kiedy patrzył na Maxwella idącego buńczucznie korytarzem, Ryanowi zaświtała pewna myśl, od której przeszły go ciarki po plecach.

- Jack, czy zechciałbyś wrócić tu na chwilę?! - zawołał sędzia Moore.

- Jest pan historykiem, prawda? - zapytał prezydent, przeglądając notatki.

Ryan nie zauważył przedtem, by prezydent coś pisał.

- Tak. Zrobiłem dyplom z historii. - Ryan uściśnął podaną mu dłoń.

- Ma pan świetne wycucie efektu dramatycznego, Jack. Byłby z pana niezły prawnik.

- Swego czasu prezydent zasłynął jako bezkompromisowy prokurator stanowy. Na początku kariery przeżył podjętą przez mafię próbę zamachu na swoje życie, co jednak w najmniejszym stopniu nie zdołało osłabić jego ambicji politycznych. - Cholernie dobrze pan to przedstawił.

- Dziękuję, panie prezydencie - rzekł rozpromieniony Ryan.

- Sędzia mówił, że zna pan dowódcę tego brytyjskiego zespołu okrętów.

Jack miał wrażenie, że dostał obuchem w głowę.

- Tak. To admirał White. Polowałem z nim, a nasze żony się przyjaźnią. Państwo White utrzymują bliskie kontakty z rodziną królewską.

- Świetnie. Ktoś musi poinformować o wszystkim naszego dowódcę floty, a potem porozmawiać z Brytyjczykami, jeśli dostaniemy ten lotniskowiec, a pewnie go dostaniemy.

Według sędziego, powinniśmy pozwolić, żeby poleciał z tobą admirał Davenport. Odleci pan więc dziś na „Kennedy’ego” a później na „Invincible’a”.

- Panie prezydencie, ja...

- Ależ, panie doktorze - wtrącił Pelt z uśmiechem na twarzy - pan się idealnie do tego nadaje. Ma pan już kontakty i dostęp do danych wywiadowczych, zna pan także angielskiego dowódcę i jest pan specjalistą od wywiadu morskiego. Jest pan właściwym człowiekiem. Ciekaw jestem, jak bardzo, pańskim zdaniem, zależy marynarce na

„Czerwonym Październiku”.

- Są nim oczywiście zainteresowani. Chcą mu się przyjrzeć, a jeszcze bardziej popływać na nim, potem rozebrać na części i znowu popływać. Byłoby to najbardziej mistrzowskie posunięcie w historii wywiadu.

- To prawda. Ale może za bardzo się do tego palą.

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli - rzekł Ryan, chociaż rozumiał doskonale.

Pelt był ulubieńcem prezydenta. Nie był natomiast ulubieńcem Pentagonu.

- Mogliby skorzystać z okazji, z której wolelibyśmy, żeby nie skorzystali.

- Doktorze Pelt, jeśli chce pan przez to powiedzieć, że oficer w mundurze mógłby...

- Nie to chcę powiedzieć. W każdym razie nie całkiem tak. Pelt myśli, że być może dobrze by było, gdybym miał tam kogoś, kto mi przedstawi niezależną opinię osoby cywilnej.

- Przecież pan mnie nie zna, panie prezydencie.

- Czytałem wiele pańskich raportów. - Twarz prezydenta rozjaśniał uśmiech.

Mówiono, że potrafi zapalać i gasić swój urok osobisty jak światło punktowego reflektora.

Ryan zdawał sobie sprawę, że właśnie teraz jest oślepiany takim reflektorem, ale nic nie mógł

na to poradzić. - Podoba mi się pańska praca. Ma pan doskonale wyczucie faktów. Wyciąga pan właściwe wnioski. Między innymi dzięki takiej zdolności wyciągania właściwych wniosków doszedłem do tego, czym jestem. Sądzę, że zdoła pan uporać się z tym, o co mi chodzi. Pozostaje tylko pytanie, czy zechce się pan tego podjąć, czy nie?

- Ale czego właściwie, panie prezydencie?

- Gdy się już tam pan znajdzie, zostanie pan przez kilka dni i będzie mnie o wszystkim bezpośrednio

informował. Nie normalnymi kanałami, lecz bezpośrednio.

Ryan nie odpowiadał. Zgodnie z wolą prezydenta został właśnie szpiegiem. Co gorsza, ma szpiegować swoich.

- Nie podoba się panu, że ma donosić na własnych ludzi, prawda? Nie takie będzie pańskie zadanie. Jak powiedziałem, chcę mieć niezależną opinię osoby cywilnej.

Wolelibyśmy wysłać doświadczonego oficera wywiadu, ale chcemy do minimum ograniczyć liczbę osób wprowadzonych w tę sprawę. Gdybym wysłał Greera lub Rittera, wszystko stałoby się jasne, tymczasem jest pan w zasadzie...

- Nikim? - zapytał Jack.

- Jeśli o nich chodzi, tak - odparł sędzia Moore. - Rosjanie założyli ci teczkę.

Widziałem niektóre jej fragmenty. Uważają cię za nieroba z wyższych sfer, Jack.

Jestem nierobem, pomyślał Ryan, nieporuszony zawartym w tym wyzwaniem. Do licha, w tym towarzystwie jestem nim bez wątpienia.

- Zgoda, panie prezydencie. Proszę mi wybaczyć wahanie, nigdy przedtem jednak nie brałem bezpośredniego udziału w żadnej operacji.

- Rozumiem. - Odniósłszy zwycięstwo, prezydent mógł sobie pozwolić na wspaniałomyślność. - Jeszcze jedno. Z tego, co wiem o okrętach podwodnych, Ramius mógł

przecież po prostu wypłynąć bez słowa. Po co zostawiać wskazówki? Po co list? Moim zdaniem to działanie przeciw sobie.

Teraz z kolei Ryan pozwolił sobie na uśmiech.

- Czy spotkał pan kiedyś dowódcę okrętu podwodnego? Nie? A astronautę?

- Oczywiście, poznałem kilku pilotów wahadłowców.

- To ten sam typ ludzi, panie prezydencie. Co do listu, wytłumaczenie jest dwojakie.

Po pierwsze, prawdopodobnie coś go gryzie, a co, dowiemy się, gdy go poznamy. Po drugie, sądzi, że mu się uda, bez względu na to, w jaki sposób będą starali się go zatrzymać, i chce, żeby o tym wiedzieli. Panie prezydencie, ludzie, którzy dowodzą okrętami podwodnymi, są agresywni, pewni siebie i bardzo, ale to bardzo sprytni. Największą przyjemność sprawia im wystrychnięcie kogoś na dudka, na przykład dowódcę okrętu nawodnego.

- Kolejny punkt dla pana, Jack. Astronaucci, których poznałem, to na ogół niezwykle skromni ludzie, lecz jeśli chodzi o latanie, uważają się za bogów. Będę o tym pamiętał. Jeff, wracamy do pracy. Niech pan będzie ze mną w kontakcie, Jack.

Znow uścisknęli sobie ręce. Po wyjściu prezydenta i jego doradcy Ryan zwrócił się do sędziego Moore'a:

- Co, u licha, pan mu o mnie naopowiadał?

- Tylko prawdę, Jack. - W rzeczywistości sędzia Moore wolałby, aby tę operację przeprowadził któryś ze starszych oficerów CIA. Ryan nie figurował w jego planach, ale prezydenci znani są z tego, że potrafią pokrzyć wiele pieczołowicie opracowanych planów. Sędzia podszedł do tego filozoficznie.

- Będzie to dla ciebie duży krok naprzód, jeżeli dobrze wykonasz swoją robotę. A może będzie ci się to podobało.

Ryan był pewien, że nie będzie, i miał rację.

Siedziba CIA

Przez całą drogę do Langley Ryan nie odezwał się ani słowem. Samochód dyrektora wjechał do podziemnego garażu, gdzie wysiedli i osobistą windą Moore'a dostali się bezpośrednio do jego gabinetu. Drzwi windy maskowała boazeria ścienna, co zdaniem Ryana było wygodne, lecz melodramatyczne. Dyrektor od razu podszedł do biurka i podniósł

słuchawkę.

- Bob, chciałbym, żebyś zaraz tu przyszedł - polecił, obserwując stojącego na środku pokoju Ryana. - Nie możesz się już doczekać, Jack?

- Oczywiście - odparł Ryan bez entuzjazmu.

- Wiem, co czujesz, jeśli chodzi o szpiegowanie swoich, ale cała ta sprawa może stworzyć wyjątkowo delikatną sytuację. Powinno ci cholernie pochlebiać, że powierzono ci takie zadanie.

Ryan wyłowił ukryte między słowami znaczenie i w tej samej chwili wpadł Ritter.

- Co się dzieje, panie sędzio?

- Przygotowujemy operację. Ryan odlatuje na „Kennedy'ego” z Charliem Davenportem, by zapoznać ze sprawą „Października” dowódców floty. Prezydent to kupił.

- No myślę. Greer wyjechał na lotnisko tuż przed waszym przyjazdem. Ryan za chwilę wylatuje, co?

- Tak. Jack, zasada jest następująca: możesz poinformować o wszystkim dowódcę floty i Davenporta, to wszystko. Podobnie z Brytyjczykami, tylko dowódcę. Jeśli Bob potwierdzi informacje Willowa, można je będzie rozpowszechniać, ale tylko w takim stopniu, w jakim jest to absolutnie niezbędne. Jasne?

- Tak, panie sędzio. Mam nadzieję, że ktoś uświadomił prezydentowi, iż trudno jest cokolwiek zdziałać, jeśli ludzie nie wiedzą, o co u licha idzie. Szczególnie jeśli nie wiedzą tego chłopcy wykonujący robotę.

- Wiem, co chcesz powiedzieć, Jack. W tej kwestii musimy wpłynąć na prezydenta, ale póki co, pamiętaj, że to on jest szefem. Bob, musimy coś wymyślić, żeby Ryan nie rzucał

się zbytnio w oczy.

- Mundur oficera marynarki? Zrobimy z niego komandora z trzema paskami. - Ritter otaksował Ryana wzrokiem. - Na oko sądząc, numer czterdzieści dwa. Możemy go wyekwipować w ciągu godziny.

Czy ta operacja ma jakiś kryptonim?

- To następna sprawa. - Moore znów podniósł słuchawkę i wybrał pięć cyfr. -

Potrzebne mi są dwa słowa... aha... dziękuję. - Napisał coś na kartce papieru. - W porządku, panowie, operację tę nazwiemy „Mandolina”. Ty, Ryan, jesteś Mędrzec. Nietrudno zapamiętać, zważywszy na świąteczną porę roku. W czasie, gdy będą ci dopasowywać mundur, zestawimy komplet kodów na bazie tych słów. Bob, zaprowadź go tam osobiście.

Wezwę Davenporta i każę mu przygotować wszystko do odlotu.

Ryan ruszył za Ritterem do windy. Wszystko idzie za szybko, wszyscy są zbyt sprytni, pomyślał. Operacja „Mandolina” już się toczy, a oni nie mają jeszcze pojęcia, co robić, nie mówiąc o tym, jak to zrobić. Kryptonim wydał mu się wyjątkowo nietrafny. Nie był żadnym mędrzem. Odpowiedniejszy byłby już Przebieraniec.

Dzień siódmy

CZWARTEK, 9 GRUDNIA

Północny Atlantyk

Kiedy poeta Samuel Johnson porównywał podróż zagłowcem do „pobytu w więzieniu, któremu grozi utonięcie”, mógł się przynajmniej pocieszać, że do swego statku jedzie bezpiecznym powozem, pomyślał Ryan, który leciał teraz nad morzem i miał wszelkie widoki na to, że przy lądowaniu na okręcie roztrzaska się na krwawą miazgę. Siedział skulony w fotelu po lewej stronie kabiny *Grummana Greeyhounda*, swego rodzaju latającej ciężarówki, nazywanej w marynarce bez odrobiny sentymentów trzema literami: DNO (dostawy na okręt). Zwrócone w stronę ogona fotele dzielił zbyt mały odstęp, toteż kolana podchodziły Jackowi do brody. Kabina jednak bardziej nadawała się do przewozu ładunków niż ludzi. Z

tyłu, w ładowni, znajdowały się skrzynie z trzema tonami części do silników i urządzeń elektronicznych. Umieszczono je tam bez wątpienia po to, by w razie katastrofy siłą uderzenia cennego ładunku zamortyzowały ciała czterech osób w części pasażerskiej. Kabina była nieogrzewana i bez okien. Tylko cienka aluminiowa powłoka oddzielała pasażerów od wiatru ryczącego przy wtórze dwóch silników turbinowych. Co gorsza, lecieli podczas burzy na wysokości półtora tysiąca metrów, podskakując na jakieś pięćdziesiąt metrów i zaraz opadając, góra, dół, góra, dół, jak w kolejce górskiej w lunaparku. Dobrze przynajmniej, że nie ma tu oświetlenia, pomyślał Ryan. Nikt nie zobaczy mojej zzieleniałej twarzy. Tuż za nim siedziało dwóch pilotów. Rozmawiali głośno, przekrzykując hałas silników. Świetnie się bawią, dranie!

Hałas nieco się zmniejszył. W każdym razie tak mu się wydawało poprzez gąbkowe ochraniacze uszu. Oprócz nich otrzymał także nadmuchiwaną kamizelkę ratunkową oraz instrukcję postępowania na wypadek katastrofy. Instrukcja była dość pobieżna, lecz nie trzeba wielkiego umysłu, by ocenić ich szansę przeżycia, gdyby rozbili się w taką noc jak dziś. Ryan nienawidził latania. Był kiedyś podporucznikiem piechoty morskiej, ale czynną służbę zakończył po trzech miesiącach, gdy śmigłowiec jego plutonu rozbił się w czasie manewrów NATO na Krecie. Uszkodził sobie wtedy kręgosłup i mało brakowało, a zostałby kaleką do końca życia. Od tamtej pory uważał, że powinien unikać latania. Wydawało mu się, że DNO

skacze bardziej w dół niż do góry. Pewnie oznacza to, że są w pobliżu „Kennedy’ego”. O

innej ewentualności wolał nie myśleć. Z bazy lotnictwa marynarki wojennej Oceana w Virginia Beach wylecieli zaledwie półtorej godziny temu, a zdawało się, iż upłynął cały miesiąc. Ryan poprzysiągł już sobie, że nigdy nie będzie się bał latania zwykłymi samolotami pasażerskimi.

DNO pochylił się jakieś dwadzieścia stopni w dół, sprawiając wrażenie, że prosto na coś leci. Podchodzili do lądowania, najbardziej niebezpiecznej części działań lotnictwa pokładowego. Ryan przypomniał sobie badania prowadzone w czasie wojny wietnamskiej.

Pilotom z lotniskowca zakładano przenośny elektrokardiograf dla zbadania stresu podczas lotów. Wyniki wprawiły wszystkich w zdumienie, gdyż okazało się, że najwyższy poziom stresu występuje wcale nie pod ostrzałem nieprzyjacielskim, ale w czasie schodzenia do lądowania, szczególnie w nocy.

Do licha, same wesołe myśli, pomyślał w duchu. Zamknął oczy. Tak czy inaczej, cała zabawa skończy się za kilka sekund. Silnie kołyszący się pokład był mokry od deszczu i wyglądał jak czarna otoczona światłami czeluść. Lądowanie na lotniskowcu przypomina kontrolowany upadek, przy czym miazdzącą siłę uderzenia amortyzuje potężnie zbudowane podwozie. Samolot skoczył do przodu, ale zatrzymał się na linie przychwytyjącej.

Wylądowali. Byli bezpieczni. Prawdopodobnie. Po chwili DNO zaczął powoli posuwać się do przodu. Podczas kołowania dobiegły Ryana dziwne odgłosy. Uświadomił sobie, że oto właśnie składają się skrzydła. W czasie lotu rozważał różne możliwe wersje katastrofy, nie wziął tylko pod uwagę, że leci samolotem ze składanymi skrzydłami. Ale co to właściwie za różnica, pomyślał. Samolot zatrzymał się na dobre i otworzyła się kłapa tylnego luku.

Ryan odpiął pasy i wstał, uderzając gwałtownie głową w niski sufit. Nie czekał na Davenporta. Przycisnął do piersi brezentową torbę i wyskoczył z samolotu na pokład.

Rozejrzał się dokoła. Zobaczył ubranego w żółtą kamizelkę marynarza z obsługi lądowiska, który wskazał na nadbudówkę. Pomimo kilkumetrowych fal, lotniskowiec posuwał się do przodu, ale wskutek ulewy Ryan bardziej to wyczuł, niż zobaczył. Przebiegł piętnaście metrów do oświetlonych drzwi w nadbudówce. Tam musiał zaczekać na Davenporta. Admirał

nie biegł. Szedł z godnością, jaka powinna cechować dowódcę eskadry, stawiając dokładnie odmierzone kroki. Ryanowi przyszło na myśl, że pewnie jest zły, iż na wpół tajny przylot

niemożliwił zwykłą ceremonię z trapowymi i gwizdkami bosmańskimi. W drzwiach stał

kapral marines prezentujący się doskonale w granatowych spodniach z lampasami, koszuli i krawacie khaki oraz ze śnieżnobiałym pasem z kaburą. Zasalutował, witając na pokładzie nowo przybyłych.

- Kapralu, chcę się widzieć z admirałem Painterem.

- Admirał jest w swojej kwaterze, sir. Czy pokazać drogę?

- Nie, chłopcze, kiedyś dowodziłem tym okrętem. Chodź, Jack. - Ryan miał już dwie torby do niesienia.

- Tak pan kiedyś zarabiał na życie? - zapytał Ryan.

- Chodzi ci o te nocne lądowania na lotniskowcu? Pewnie, mam ich za sobą kilkaset.

Co w tym wielkiego? - Davenport wydawał się zaskoczony podziwem Ryana. Jack był pewien, że to tylko poza.

Wnętrze „Kennedy’ego” przypominało bardzo Ryanowi „Guam”, helikopterowiec, na którym służył w czasie swej krótkiej kariery wojskowej. Zwyczajny okrętowy labirynt stalowych grodzi i rur pomalowanych na ten sam szary kolor, kojarzący się z mrokiem jaskiń.

Na rurociągach wymalowano kolorowe paski i litery, które pewnie miały jakieś znaczenie dla obsługi. Dla Ryana nie różniły się od neolitycznych malowideł jaskiniowych. Davenport poprowadził go prosto korytarzem. Na końcu skręcili i zaczęli schodzić po stalowej drabinie tak stromej, że Ryan o mało nie stracił równowagi. Później następny korytarz i znów zakręt.

Ryan zdążył się już całkowicie pogubić. Dotarli wreszcie do miejsca, gdzie stał sierżant piechoty morskiej. Zasalutował nienagannie i otworzył im drzwi.

Ryan wszedł za Davenportem i oniemiał ze zdumienia. Wnętrze kabiny admirałkiej na USS „Kennedy” wyglądało jakby żywcem przeniesione z domu bostońskiej arystokracji.

Niemal całą ścianę na prawo wypełniało malowidło, które równie dobrze mogłoby ozdabiać salon jakiejś wielkiej rezydencji. Inne ściany, pokryte kosztowną na oko boazerią, upstrzone były sześcioma obrazami olejnymi, w tym portretem prezydenta Johna Fitzgeralda Kennedy’ego, którego imię nosił okręt. Podłogę przykrywał szkarłatny wełniany dywan, a dębowe i obite brokatem meble w stylu francuskiej prowincji w niczym nie kojarzyły się z wojskiem. Gdyby nie zwisający nisko sufit ze zwykłą kolekcją rur pomalowanych na ten sam szary kolor, można by zapomnieć, że jest się na pokładzie okrętu. Stanowiło to wyraźny kontrast z resztą pomieszczenia.

- Jak się masz, Charlie! - Kontradmirał Joshua Painter wyłonił się z głębi, wycierając ręce. - Jak podróż?

- Nieco wyboista - przyznał, ściskając mu dłoń Davenport.

- To jest Jack Ryan.

Ryan nie spotkał się wcześniej z Painterem, ale wiele o nim słyszał. W czasie wojny wietnamskiej latał *Phantomem*. Potem napisał książkę *Paddystrikes* o prowadzeniu wojny z powietrza, jedną z tych, co to mówią prawdę i nie zjednują przyjaciół. Niski, porywczy, o wadze nie przekraczającej siedemdziesięciu kilogramów, był także utalentowanym taktykiem i człowiekiem niezwyklej prawości.

- Jeden z twoich ludzi, Charlie?

- Nie, panie admirale. Pracuję dla Jamesa Greera. Nie jestem oficerem marynarki.

Bardzo pana przepraszam. Nie lubię udawać kogoś, kim nie jestem. Ten mundur to pomysł CIA.

Painter zmarszczył brwi.

- Ach tak? Mam nadzieję, że w takim razie powie mi pan, o co tym Iwanom chodzi.

Świetnie. Do licha, mam nadzieję, że ktoś coś wie na ten temat. Pierwszy raz na lotniskowcu?

Jak się panu podobała podróż?

- Mogłaby to być świetna metoda przesłuchiwania jeńców wojennych. - Ryan starał się, by brzmiało to możliwie swobodnie.

Obaj admirałowie trochę się pośmiali z jego wrażeń, potem Painter zamówił jedzenie.

Kilka minut później otworzyły się podwójne drzwi z korytarza i weszło dwóch stewardów, czyli oficjalnie „specjalistów ds. mesy”. Jeden niósł tacę z jedzeniem, drugi dwa dzbanki z kawą. Painter, Davenport i Ryan byli obsługiwani stosownie do swojej rangi.

Ryanowi, który nie jadł nic od dwunastu godzin, proste jedzenie podane na zdobionej srebrem zastawie wydało się bardzo apetyczne. Nałożył sobie sałatki z białej kapusty, marchewki i cebuli z majonezem, dodał sałatkę z ziemniaków i dwa kawałki konserwowej wołowiny.

- Dziękuję. Na razie to wszystko - powiedział Painter. Stewardzi na moment wyprężyli się na baczność i wyszli. - W porządku, a teraz do rzeczy.

Ryan przełknął za jednym zamachem pół kanapki.

- Panie admirale, te informacje pochodzą zaledwie sprzed dwudziestu godzin - zaczął.

Wyjął przygotowane teczki i wręczył obu admirałom. Mówił przez dwadzieścia minut, w tym czasie zdążył też zjeść dwie kanapki, sporą porcję sałatki z kapusty i oblać kawą swoje notatki. Jego rozmówcy stanowili wspaniałe audytorium. Ani razu mu nie przerwali.

Kilkakrotnie spojrzeli tylko z niedowierzaniem.

- Dobry Boże - wyrzucił z siebie Painter, gdy Ryan już skończył.

Davenport wpatrywał się w niego nieruchomo, myśląc już o możliwości badania wnętrza radzieckiego okrętu raketowego. Jack uznał, że Davenport byłby groźnym przeciwnikiem przy pokerze.

- Czy pan naprawdę w to wierzy? - ciągnął Painter.

- Tak jest - odparł Ryan, nalewając sobie następną filiżankę kawy. Do wołowiny wolałby co prawda piwo. Jedzenie wcale nie było złe, w Londynie próżno by szukał tak dobrej koszernej wołowiny z puszki.

Painter oparł się w fotelu i spojrzał na Davenporta.

- Charlie, powiedz Greerowi, aby nauczył chłopaka paru rzeczy, na przykład tego, że człowiek zza biurka nie powinien do tego stopnia nadstawiać karku. Czy twoim zdaniem nie są to zbyt daleko idące wnioski?

- Josh, Ryan to ten facet, który w czerwcu przygotował raport o patrolach radzieckich podwodnych okrętów raketowych.

- Ach tak? Dobra robota. Potwierdzała to, co mówię od dobrych dwóch lat - pochwalił

Painter. Podniósł się z miejsca i podszedł do okna, żeby wyjrzeć na rozszalałe morze. - I co teraz mamy robić?

- Nie ustalono jeszcze szczegółów operacji. Sądzę, że waszym zadaniem będzie zlokalizowanie „Czerwonego Października” i próba nawiązania łączności z kapitanem. A dalej? Będziemy musieli coś wymyślić, żeby ukryć okręt w bezpiecznym miejscu. Prezydent nie sądzi, żeby się dało zatrzymać ten okręt, jeśli w ogóle dostaniemy go w swoje ręce.

- Co takiego? - Painter obrócił się zdumiony w miejscu o ułamek sekundy wcześniej niż Davenport.

Przez dłuższą chwilę Ryan wyjaśniał sytuację.

- Rany boskie! Najpierw dajecie mi niewykonalne zadanie, a teraz słyszę, że gdy je wykonam, trzeba będzie oddać to cholerne pudło z powrotem?

- Panie admirale, kiedy prezydent spytał mnie o opinię, powiedziałem, że powinniśmy zatrzymać okręt. Na pocieszenie mogę dodać, - że szefowie połączonych sztabów też są po pańskiej stronie, podobnie jak CIA. Jednakże problem polega na tym, że jeśli marynarze będą chcieli wrócić do domu, musimy ich odesłać. Wtedy Moskwa będzie wiedziała, że mamy okręt. Rozumiem ten punkt widzenia. „Październik” jest wart kupę pieniędzy i jest ich własnością. A poza tym, jak mamy ukryć okręt podwodny o wyporności trzydziestu tysięcy ton?

- Okręty podwodne ukrywa się, zanurzając je - powiedział ze złością Painter. - Po to się je buduje, drogi panie! „Ich własność”, dobre sobie! Przecież nie chodzi o jakiś cholerny statek pasażerski, ale o coś, co służy do zabijania ludzi, naszych ludzi!

- Panie admirale, jestem po pańskiej stronie - powiedział spokojnie Ryan. - Nazwał to pan niewykonalnym zadaniem. Dlaczego?

- Drogi panie, odnalezienie okrętu, który sobie tego wcale nie życzy, nie należy do najłatwiejszych rzeczy na świecie. W czasie ćwiczeń próbujemy wykrywać własne jednostki i rzadko kiedy się to nam udaje, a słyszę, że ten przeszedł już wszystkie północno-wschodnie linie czujników SOSUS. Atlantyk to dość duży ocean, a ślad dźwiękowy okrętu raketowego jest bardzo nikły.

- Tak jest - zgodził się Ryan.

Przyszło mu do głowy, że może jest zbytnim optymistą co do szans powodzenia całej operacji.

- No, a co tu u ciebie, Josh? - zapytał Davenport.

- Nie najgorzej. Właśnie skończyliśmy manewry „Szybki Delfin”, gdzie wszystko poszło dobrze. Po naszej stronie - dodał Painter. - Po tamtej „Dallas” narobił kłopotów. Moje zespoły zwalczania okrętów podwodnych spisują się na medal. Jakie dostaniemy wsparcie?

- Gdy wyjeżdżałem z Pentagonu, szef sztabu marynarki zastanawiał się nad możliwością przerzucenia samolotów P-3 znad Pacyfiku, więc prawdopodobnie będzie ich tu niedługo więcej. Wysyłają na morze wszystko, co tylko pływa. Wasz lotniskowiec jest jedyny w całym rejonie, a to znaczy, że sprawujesz naczelne dowództwo nad całością sił

taktycznych, prawda? Nie narzekaj, Josh, w tej branży jesteś najlepszym dowódcą.

Painter nalał sobie trochę kawy.

- Zgadza się, mamy tylko jeden lotniskowiec. „America” i „Nimitz” są o dobry tydzień stąd. Mówiłeś Ryan, że lecisz na „Invincible’a”. Czy to znaczy, że dostaniemy go do dyspozycji?

- Prezydent stara się o to. Czy będzie wam przydatny?

- Jasne. Admirał White ma dobrego nosa, jeśli chodzi o zwalczanie okrętów podwodnych i jego ludziom poszczęściło się podczas manewrów. Zatopili nam dwa okręty, co wkurzyło Vince’a

Gallery'ego. W tej grze wiele zależy od szczęścia. Mielibyśmy wtedy dwa pokłady startowe, zamiast jednego. Przydałoby się więcej S-3. - Painterowi chodziło o *Vikingi* Lockheeda, bazujące na lotniskowcach samoloty zwalczania okrętów podwodnych.

- Dlaczego? - zapytał Davenport.

- Mogę odesłać F-18 na ląd i wtedy spokojnie zmieści się zamiast nich dwadzieścia dodatkowych *Vikingów*. Nie chcę rezygnować z samolotów szturmowych, ale będziemy potrzebować więcej S-3. Jeśli się mylisz, Jack, to będziemy musieli zmierzyć się z potężnym ruskim zespołem nawodnym. Czy zdajesz sobie sprawę, ile oni mają rakiet woda-woda?

- Nie wiem - odparł. Wiedział jednak, że za dużo.

- Jesteśmy jedynym lotniskowcem, co czyni z nas główny cel. Jeśli zaczną strzelać, będziemy zupełnie sami i zaraz zrobi się gorąco. - Zadzwoił telefon. - Tu Painter... Tak...

Dziękuję. „Invincible” właśnie zawrócił. Dają go nam razem z parką niszczycieli. Świetnie.

Pozostałe eskortowce i trzy okręty podwodne wracają jednak do domu - powiedział, marszcząc czoło. - Nie mogę im mieć tego za złe. Musimy wzmocnić ich osłonę, ale opłaci się. Potrzebujemy tego lotniskowca.

- Czy możemy wysłać Jacka śmigłowcem na „Invincible'a”? - zapytał Davenport.

Ryan ciekaw był, czy admirał wie o jego rozkazach od prezydenta. Wyglądało na to, że chce się go pozbyć z „Kennedy'ego”.

- Za daleko na śmigłowiec - pokręcił głową Painter. - Może Anglicy przyślą po niego *Harriera*.

- *Harrier* to myśliwiec - zauważył Ryan.

- Mają próbną dwuosobową wersję do wykrywania okrętów podwodnych. Podobno wyjątkowo skuteczny poza zasięgiem śmigłowców. Właśnie w ten sposób namierzeli jeden z naszych okrętów, przez zaskoczenie. - Painter wyszczył resztkę kawy.

- Dobrze, panowie. Chodźmy na dół, do centrum dowodzenia, trzeba zacząć rozkręcać ten cyrk. Dowódcę obszaru Atlantyku na pewno zainteresuje to, co mi chodzi po głowie. Ale chyba najlepiej będzie, jeśli sam podejmę decyzje. Wywołamy też „Invincible'a” i załatwimy dla ciebie transport, Jack.

Ryan wyszedł za admirałami. Następne dwie godziny spędził, przyglądając się, jak Painter przemieszcza okręty na oceanie niczym figury na szachownicy.

USS „Dallas”

Bart Mancuso pełnił służbę w centrum dowodzenia od ponad dwudziestu godzin. Po poprzedniej, równie długiej wachcie pozwolił sobie tylko na kilka godzin snu. Żywił się kanapkami i kawą, a kiedy kucharz przyniósł dla odmiany dwie porcje zupy, popatrzył na nie bez entuzjazmu.

- Można, panie kapitanie?

Odwrócił się. Stał przed nim Roger Thompson, dowódca sonaru.

- Tak, o co chodzi? - Mancuso oderwał się od stołu nawigacyjnego, który od kilku dni pochłaniał większą część jego uwagi. Thompson stał w drzwiach. Obok czekał Jones, trzymając w ręku notatnik i coś, co wyglądało jak magnetofon.

- Panie kapitanie, Jones ma coś, na co powinien pan, moim zdaniem, rzucić okiem.

Mancuso nie był zadowolony, że mu przeszkadzają. Taka długotrwała służba zawsze wystawiała na próbę jego cierpliwość. Ale Jones wyraźnie był czymś podekscytowany i gotów do działania.

- Dobra, podejdźcie tu.

Na „Dallas” niedawno został zainstalowany nowy stół nawigacyjny. Podłączono go do BC-10, a obraz rzutowany był na szklany, jakby telewizyjny ekran, o powierzchni ponad metra kwadratowego. Obraz zmieniał się, w miarę jak „Dallas” posuwał się naprzód. Mapy były już niepotrzebne, choć mieli je również na wszelki wypadek. Mapy się nie psują.

- Dziękuję, kapitanie - powiedział Jones znacznie skromniej niż zwykle. - Wiem, że jest pan zajęty, ale wydaje mi się, że coś znalazłem. Wciąż myślałem o tym dziwnym namiarze sprzed paru dni. Musiałem to zostawić, gdy Rosjanie narobili tyle zamieszania, ale złapałem go później jeszcze trzykrotnie. Chciałem się upewnić, czy wciąż tam jest. Za czwartym razem już go nie znalazłem, sygnał zanikł. Niech pan zobaczy, do czego doszedłem. Czy może pan wystukać na tym pudle nasz dotychczasowy kurs?

Stół nawigacyjny połączony był za pośrednictwem BC-10 z systemem nawigacji inercyjnej okrętu. Mancuso osobiście wystukał komendę. Jeszcze trochę i nie będzie już można ruszyć głową bez pomocy komputera... Kurs „Dallas” wyobrażała czerwona pokręcona linia, pocięta grubymi kreskami, które oznaczały każde przeplnięte piętnaście minut.

- Świetnie! - powiedział Jones. - Nigdy jeszcze nie widziałem, jak to działa. Bardzo dobrze. No tak. - Jones wyjął z tylnej kieszeni garść ołówków. - Pierwszy namiar miałem o dziewiątej piętnaście czy coś koło tego, mniej więcej na kursie dwieście sześćdziesiąt dziewięć. - Położył ołówek tępym końcem ku pozycji „Dallas”, a ostrym - na zachód, w kierunku celu. - Następnie o dziewiątej trzydziestu namiar wynosił dwieście sześćdziesiąt. O

dziewiętej czterdzieści osiem - dwieście pięćdziesiąt. Namiary są z małymi błędem, bo sygnał

był trudny do złapania, ale błędy poszczególnych namiarów powinny się uśredniać.

Dokładnie wtedy zaczął się cały ten ruch i musiałem się nim zająć, ale około dziesiątej wróciłem do tamtego obiektu i namiar wynosił dwieście czterdzieści dwa. - Jones położył

następny ołówek na linii zakręcającej na wschód, gdy „Dallas” oddalał się od wybrzeży Islandii. - O dziesiątej piętnaście wynosił dwieście trzydzieści cztery, a o dziesiątej trzydzieści - dwieście dwadzieścia siedem. Te dwa ostatnie namiary nie są zupełnie pewne.

Sygnał był bardzo słaby i ledwo go łapałem.

Jones podniósł wzrok. Wydawał się zdenerwowany.

- Jak na razie, wszystko w porządku. Spokojnie, Jones, możesz zapalić, jeśli chcesz.

- Dziękuję, panie kapitanie.

Jones wyciągnął papierosa i zapalił. Nigdy jeszcze nie stał tak blisko kapitana.

Wiedział, że Mancuso jest tolerancyjny i łatwy w obejściu, jeśli się ma coś do powiedzenia.

Nie lubił tracić czasu i było najzupełniej jasne, że szczególnie teraz nie chce go tracić.

- No więc tak, był chyba niezbyt daleko od nas, prawda? To znaczy, że musiał

znajdować się między nami a Islandią. Powiedzmy, w połowie drogi. Wtedy jego kurs wyglądał mniej więcej tak. - Jones ułożył kilka następnych ołówków.

- Chwileczkę, Jones. Skąd wzięłeś ten kurs?

- Ach, prawda. - Jones otworzył notatnik. - Wczoraj rano, wieczorem czy kiedy to było, w każdym razie po wachcie, znów zacząłem o tym myśleć, więc korzystając z naszych danych, spróbowałem popracować trochę nad jego kursem. Wiem jak, kapitanie, czytałem podręcznik. To wcale nie takie trudne, przypomina pomiary ruchu gwiazd, jakie robiliśmy na uczelni. Na pierwszym roku zrobiłem kurs astronomii.

Mancuso stłumił jęk, bowiem po raz pierwszy w życiu zdarzyło mu się usłyszeć, że wykreślanie kursu nie jest trudne. Patrząc jednak na liczby i wykresy Jonesa, musiał

przyznać, że wszystko wygląda prawidłowo.

- Mów dalej.

Jones wyciągnął z kieszeni profesjonalny kalkulator Hewlett Packard i coś, co wyglądało jak mapa z magazynu „National Geographic”, cała upstrzona znaczkami i notatkami robionymi ołówkiem.

- Chce pan sprawdzić moje obliczenia, panie kapitanie?

- Sprawdzimy, ale tymczasem zakładam, że są dobre. Co to za mapa?

- Ja wiem, że to wbrew regulaminowi i co tam jeszcze, ale notuję tu sobie na własny użytek drogi, po których grasują tamci. Nigdy tego nie zabieram z pokładu, panie kapitanie, naprawdę. Mogłem się trochę pomylić, ale wszystko wskazuje na kurs mniej więcej dwieście dwadzieścia i prędkość dziesięć węzłów. Czyli, że idzie prosto do wejścia na szlak numer 1.

Prawda?

- Mów dalej - rzucił Mancuso. Sam już to zauważył. Jones miał coś jeszcze.

- No cóż, gdy to wyliczyłem, nie bardzo mogłem zasnąć, więc poszedłem znowu do kabiny sonaru i wzięłem nagranie tych namiarów. Trzeba je było kilka razy przepuścić przez komputer, żeby odfiltrować szumy, dźwięki morza, inne okręty, no wie pan. Następnie przegrałem to z dziesięciokrotnie większą prędkością. - Jones położył swój magnetofon kasetowy na stole. - Proszę tego posłuchać, kapitanie.

Nagranie było kiepskiej jakości, ale co kilka sekund rozlegało się „tramm”. Dwie minuty słuchania wskazywały na regularny odstęp około pięciu sekund. Teraz już przez ramię Thompsona zaglądał porucznik Mannion, słuchając i znacząco kiwając głową.

- To musi być sztuczny dźwięk. Jest zbyt regularny. Przy normalnej prędkości nie rzuca się to w oczy, ale gdy przyspieszyłem nagranie, złapałem drania.

- Dobrze, Jones, czekamy na wnioski - powiedział Mancuso.

- Panie kapitanie, to jest sygnał akustyczny radzieckiego okrętu podwodnego. Okręt ten kierował się w stronę szlaku numer 1, płynąc kursem wzdłuż brzegów Islandii. Może pan iść o zakład, panie kapitanie.

- Co o tym sądzisz, Roger?

- Ja się z nim przestałem zakładać - odpowiedział Thompson.

Mancuso jeszcze raz spojrział na wykreślony kurs, próbując znaleźć inne wytłumaczenie. Ale innego wytłumaczenia nie było.

- Ja też z nim nie będę się zakładać. Od dziś Jones jest operatorem hydrolokacji pierwszej klasy. Chcę mieć papier do podpisu na zmianę wachty, razem z porządnym uzasadnieniem. - Poklepał sonarzystę po ramieniu. - Świetna robota. Naprawdę doskonała.

- Dziękuję, kapitanie. - Jones uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Pat, wezwij do centrali porucznika Butlera.

Mannion podszedł do telefonu, żeby wezwać głównego mechanika.

- Domyślasz się może, co to takiego, Jones? - spytał Mancuso.

Sonarzysta pokręcił głową.

- Nie jest to śruba. Nigdy nic takiego nie słyszałem - dodał. Przewinął taśmę i puścił od początku.

Dwie minuty później porucznik Earl Butler wszedł do centrali dowodzenia.

- Wzywał mnie pan, kapitanie?

- Posłuchaj tego, Earl. - Mancuso przewinął taśmę i puścił po raz trzeci.

Butler ukończył Uniwersytet Teksasński i wszystkie możliwe szkoły marynarki wojennej, gdzie uczono o okrętach podwodnych i ich systemach napędowych.

- Co to takiego?

- Jones twierdzi, że radziecki okręt podwodny. I chyba ma rację.

- Powiedz mi coś więcej o tym nagraniu - zwrócił się Butler do Jonesa.

- Nagranie jest dziesięciokrotnie przyspieszone i pięć razy przepuściłem je przez BC-10. Przy normalnej prędkości dźwięk nie wpada specjalnie w ucho. - Z niezwykłą wprost dla siebie skromnością Jones nie dodał, że jemu jednak wpadł.

- Wygląda chyba na harmoniczny? To znaczy, jeśli to śruba napędowa, to miałyby jakieś trzydzieści metrów średnicy i wtedy słyhać byłoby każdą łopatkę po kolei. Regularne odstępy sugerują jakiś stały cykl. - Butler przymknął oczy. - Ale cykl czego?

- Cokolwiek by to było, kierowało się dokładnie tutaj. - Mancuso uderzył ołówkiem w miejsce oznaczone na mapie jako Bliźniaki Thora.

- A to oznacza Rosjan - zgodził się Butler. - W takim razie mają coś nowego. Znowu coś nowego.

- Porucznik Butler ma rację - powiedział Jones. - Brzmi to jak harmoniczny łomot.

Nagrała się jeszcze jedna dziwna rzecz, jakiś szum w tle, jakby przepływającej przez rurę wody. Tutaj tego nie słyhać, bo prawdopodobnie odsiało się w komputerze. I tak ledwo można to było

wychwycić. Ale to już nie moja działka.

- Jasne. Zrobiłeś dostatecznie dużo jak na jeden dzień. Jak się czujesz? - zapytał

Mancuso.

- Jestem trochę zmęczony, kapitanie. Długo nad tym pracowałem.

- Jeśli znowu zbliżymy się do tego okrętu, myślisz, że dasz radę znów go namierzyć? -

zapytał Mancuso, znając z góry odpowiedź.

- No pewnie, panie kapitanie. Teraz, gdy już wiemy czego szukać, może pan iść o zakład, że złapię drania!

Mancuso spojrział na stół nawigacyjny.

- Jeśli kierował się na Bliźniaki, a później ruszył szlakiem, robiąc mniej więcej dwadzieścia osiem do trzydziestu węzłów, a potem wrócił na kurs zasadniczy przy prędkości około dziesięciu węzłów, powinien być teraz... mniej więcej tu, spory kawał od nas. Jeżeli pójdziemy pełną mocą... po czterdziestu ośmiu godzinach będziemy... tu, to znaczy przed nim. Co o tym myślisz, Pat?

- Ma pan rację, kapitanie - zgodził się Mannion. - Zakłada pan, i chyba słusznie, że szedł kursem z maksymalną prędkością, po czym zwolnił. W tym piekielnym labiryncie wcale nie musi iść cicho. Daje mu to skok o jakieś siedemset, dziewięćset kilometrów, a więc może dać silnikom odpocząć. Ja bym tak płynął.

- Dobrze, poprosimy przez radio o pozwolenie opuszczenia stanowiska „Toll Booth” i odnalezienie tego typka. Jones, dla was pełna prędkość oznacza, że sonarzyści będą bezrobotni.

Załącz nagranie jego szumów do symulatora i niech każdy operator zapozna się z charakterystyką dźwiękową tego typka, a potem wszyscy odpoczywajcie. Macie być w stu procentach przytomni, gdy znowu będziemy go namierzać. A sam węź przysznic. I nie żałuj sobie wody, zasłużyłeś sobie na to. Potem do wyrka. Czeka nas długie i ciężkie polowanie.

- Nie ma obawy, panie kapitanie. Znajdziemy go. Może pan iść o zakład. Czy chce pan zatrzymać moje nagranie?

- Owszem. - Mancuso wyjął taśmę z magnetofonu i obejrzał ją zdziwiony. -

Poświęciłeś na to Bacha?

- W kiepskim wykonaniu. Mam ten sam kawałek o niebo lepszy w wykonaniu Christophera Hogwooda.

- Odmaszerować, Jones - poleciał Mancuso, chowając taśmę do kieszeni. - Dobra robota.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie kapitanie. - Jones wyszedł z pomieszczenia, licząc w myśli, ile przyspieszony awans doda mu do żołdu.

- Roger, postaraj się, żeby w ciągu najbliższych dwóch dni załoga porządnie odpoczęła. Gdy zaczniemy polowanie na tego faceta, wszystkim dostanie się w kość.

- Tak jest, panie kapitanie.

W czasie, gdy Mancuso pisał meldunek, porucznik Mannion podniósł okręt na sterach na głębokość peryskopu i anten. Przejście ze stu pięćdziesięciu metrów pod samą powierzchnię niespokojnego oceanu zajęło pięć minut. Fale zaczęły kołysać kadłubem. Dla okrętu nawodnego nie miałyby to większego znaczenia, ale załoga „Dallas” odczuwała je dotkliwie. Mannion podniósł peryskop i antenę odbiornika szerokopasmowego, służącego do wykrywania obcej obserwacji radarowej. W dziesięciokilometrowym zasięgu horyzont był

czysty, a przyrządy wykazywały tylko emisje radarów samolotowych w tak dużej odległości, że można się było nimi nie przejmować. Następnie Mannion podniósł jeszcze dwa maszty: przypominającą trzcinę antenę odbiornika UHF oraz nowość - obrotową antenę nadajnika laserowego. Zatrzymywała się ona po wyłowieniu sygnału nośnego nadawanego na obszar Atlantyku przez SSIX, satelitę komunikacyjnego używanego wyłącznie przez okręty podwodne. Przy użyciu lasera mogli wysyłać meldunki o dużej gęstości sygnału bez zdradzania pozycji okrętu.

- Wszystko gotowe, panie poruczniku - zameldował dyżurny radiooperator.

- Nadawaj.

Telegrafista nacisnął guzik. Trwający ułamek sekundy sygnał został odebrany przez fotokomórki satelity, następnie przetransponowany do nadajnika UHF i przekazany przez paraboliczną antenę do naziemnego ośrodka łączności Floty Atlantyckiej. Radiotelegrafista w Norfolk po odebraniu wiadomości nacisnął guzik, przekazując tę samą depeszę z powrotem do satelity i na „Dallas”. Był to prosty sposób wykrywania zniekształceń.

Operator na „Dallas” porównał odebrany sygnał z tym, który przed chwilą nadał.

- Odebrali czysto, panie kapitanie.

Mancuso poleciał Mannionowi opuścić wszystkie przyrządy z wyjątkiem anteny antyradarowej i radiowej.

Ośrodek Łączności Floty Atlantyckiej

Pierwszy wiersz depeszy wskazał stronę i linię jednorazowych tablic szyfrowych, nagranych na taśmie komputera w najbliższej strzeżonej części ośrodka. Oficer wystukał

odpowiedni numer na klawiaturze terminalu komputera i po chwili maszyna podała odczytany tekst. Sprawdził, czy nie ma w nim zniekształceń i zabrał wydruk do drugiej części pomieszczenia, gdzie siedział operator dalekopisu. Oficer podał mu meldunek. Operator wystukał dane adresata i przekazał wiadomość specjalną linią lądową do wydziału operacyjnego Dowództwa Okrętów Podwodnych na Atlantyku, mieszczącego się o kilometr dalej. Linia ta to światłowód w stalowej rurze położonej pod nawierzchnią ulicy. Trzy razy w tygodniu sprawdzano bezpieczeństwo linii. Nawet objęte tajemnicą dane techniczne okrętów nuklearnych nie są tak ściśle strzeżone, jak codzienna taktyczna wymiana depesz.

Wydział Operacyjny Dowództwa

Okrętów Podwodnych na Atlantyku

Dzwonek w sali operacyjnej odezwał się w momencie, gdy dalekopis specjalny zaczął drukować treść depeszy. Zaczynała się od litery Z, oznaczającej bardzo pilny meldunek.

Z0414Y09GRUD

ŚCIŚLE TAJNE Theo

Od: USS „Dallas”

Do: Comsublant

Do wiadomości: Dowództwo Obszaru Atlantyku

//NOOOOO//

Radzieckie Działania Podwodne

1. Melduję nienormalny kontakt sonarowy około 09.00 7 grud zgubiony po wzmożonej działalności podwodnej radzieckiej floty. Kontakt później uznany za radziecki at. 0. P. rak. i>

at. o. p. mijający trawers Islandii blisko wybrzeży w stronę szlaku nr 1. Kurs południowy wschód

prędkość dziesięć głębokość nieznana.

2. Kontakt posiada niezwykle powtarzając niezwykle charakterystykę akustyczną.

Charakterystyka nie przypomina żadnego ze znanych radzieckich a. o. p.

3. Proszę o pozwolenie opuszczenia toll booth w celu wyśledzenia i ustalenia. Uważam że okręt używa nowego systemu napędu o niezwyklej charakterystyce dźwiękowej. Duże prawdopodobieństwo lokalizacji i identyfikacji.

Pełniący akurat służbę podporucznik zaniósł depezę do gabinetu admirała Vincenta Gallery'ego. Dowódca floty tkwił na służbie od czasu, gdy zaczął się ruch radzieckich okrętów. Był w fatalnym humorze.

- Pilna depeza z „Dallas”, panie admirale.

- Dawaj. - Gallery wziął do ręki żółty wydruk i dwa razy uważnie przeczytał. - Co to twoim zdaniem znaczy?

- Trudno powiedzieć, panie admirale. Wygląda na to, że coś usłyszeli, połapali się jednak dopiero później i chcą się temu jeszcze raz przyjrzeć. Ich zdaniem trafili na coś niezwyklego.

- Dobra, co mam mu powiedzieć? Rusz głową, bo może kiedyś sam zostaniesz admirałem i będziesz musiał podejmować samodzielne decyzje. - Choć to mało prawdopodobne, pomyślał Gallery.

- Panie admirale, „Dallas” znajduje się w idealnej pozycji do śledzenia ich sił

nawodnych, gdy miną Islandię. Potrzebujemy go tam, gdzie jest teraz.

- Dobra szkolna odpowiedź - zauważył z uśmiechem Gallery, szykując się jednocześnie do wymierzenia mu kopniaka. - Z drugiej strony, dowódca „Dallas” to fachowiec, który nie zawracałby nam głowy, gdyby nie był przekonany, że ma coś naprawdę ważnego. Nie wchodzi w szczegóły, bo prawdopodobnie jest to zbyt skomplikowane jak na pilną depezę taktyczną. Pewnie również dlatego, że wierzy, iż zaufamy jego umiejętności oceny sytuacji. „Nowy system napędu o niezwyklej charakterystyce dźwiękowej”. Może to być jakiś stary grat, ale dowódca „Dallas” jest w morzu i chce znać odpowiedź. Pozwolimy mu na to.

- Tak jest, panie admirale - powiedział porucznik, zastanawiając się, czy ten chudy cholernik podejmuje decyzje, rzucając monetą, gdy nikt nie widzi.

USS „Dallas”

Z0432Z09GRUD

Ścisłe Tajne

Od: Comsublant

Do: USS „Dallas”

a. USS „Dallas” z04i409grud

b. Comsublant inst 2000, 5

przydział n04220

1. Udzielam zgody

2. Akwen bravo echo golf ode. b przydzielony do nieograniczonych działań od 05.00

dziś do 00.01 14 grud. Meldować wg potrzeb. Viceadm. Gallery.

- Ostre tempo! - uśmiechnął się Mancuso.

Dobłą stroną Gallery’ego było to, że jeśli zadawało się pytanie, to zawsze była odpowiedź, tak lub nie, jeszcze przed złożeniem anteny. Rzecz jasna, w razie gdyby Jones się pomylił i gdyby gonili za czymś, co nie istnieje, będzie się musiał gęsto tłumaczyć. Gallery nieraz już oddawał kapitanowi okrętu jego kapitańską głowę w torbie i odsyłał go na ląd.

Mancuso zdawał sobie sprawę, że i tak ostatecznie wyląduje na lądzie. Od pierwszego roku w Annapolis marzył tylko o dowodzeniu torpedowym okrętem podwodnym. Teraz, gdy już spełniło się jego marzenie, wiedział, że odtąd dalsza jego kariera oznaczać może tylko drogę w dół. W całej marynarce, z wyjątkiem okrętów podwodnych, pierwsze samodzielne dowództwo nie jest niczym szczególnym. Normalnie wchodzi się po szczeblach kariery i można, na przykład, zostać dowódcą floty, jeśli ma się trochę szczęścia i odpowiednie predyspozycje. Ale nie na okrętach podwodnych. Niezależnie od tego, czy będzie sobie radził

na „Dallas”, dobrze czy źle, i tak wkrótce odbiorą mu okręt. Ma teraz jedną jedyną okazję. A później? W najlepszym razie może liczyć na dowództwo okrętu rakietowego. Służył już na okrętach rakietowych i wiedział, że dowodzenie nimi, nawet nową jednostką typu *Ohio*, jest mniej więcej tak samo atrakcyjne, jak czekanie, aż wyschnie farba na ścianie. Zadaniem okrętu rakietowego jest

pozostawać w ukryciu. Mancuso zaś chciał być myśliwym i tylko to go fascynowało w okrętach podwodnych. A po okręcie raketowym? Może otrzymać „wyższe dowództwo nawodne”, na przykład jakiś czysty tankowiec, czyli jakby przełożyć siodło z wierzchowca na krowę. Albo dostanie eskadrę. Będzie wtedy siedział na łodzi, w biurze i przewracał papiery. Jeśli raz na miesiąc wyjdzie w morze, to nie będzie źle, a i to tylko po to, żeby przeszkadzać dowódcom okrętów podwodnych, którzy wcale nie będą go chcieli u siebie widzieć. Jest też biurowa robota w Pentagonie - to dopiero flota! Mancuso doskonale rozumiał, dlaczego niektórzy kosmonauci załamują się po powrocie z Księżyca. On też od lat pracował na obecne stanowisko, a za rok nie będzie już miał okrętu. Przekazuje „Dallas” komuś innemu. Ale tymczasem okręt należy do niego!

- Pat, opuszczamy wszystkie maszty i schodzimy na trzysta pięćdziesiąt metrów.

- Tak jest, panie kapitanie. Opuścić maszty! - rozkazał Mannion. Podoficer przerzucił

manetki sterujące podnośnikami hydraulicznymi.

- Maszty antyradaru i radio opuszczone, panie poruczniku - zameldował dyżurny elektryk.

- Doskonale. Schodzimy na trzysta pięćdziesiąt.

- Rozkaz, trzysta pięćdziesiąt - odpowiedział oficer wachtowy. - Piętnaście stopni w dół na sterach.

- Jest piętnaście stopni.

- Ruszaj, Pat.

Tak jest, kapitanie. Cała naprzód.

- Cała naprzód - powtórzył stersygnalista, sięgając do dźwigni telegrafu.

Mancuso przyglądał się pracy załogi. Wykonywali zadania z automatyczną precyzją.

Nie byli jednak automatami, lecz ludźmi. Jego ludźmi.

W przedziale reaktora, na rufie, porucznik Butler nakazał potwierdzić otrzymany rozkaz i wydał niezbędne polecenia. Pompy chłodzące reaktora ruszyły pełną prędkością.

Zwiększona ilość gorącej wody pod dużym ciśnieniem dotarła do wymiennika, gdzie ciepło zostało przekazane parze w obiegu wtórnym. Gdy woda wróciła do reaktora, była chłodniejsza niż poprzednio, przez co miała większą gęstość. Wskutek tego zatrzymywała więcej neutronów w rdzeniu reaktora, zwiększając tym samym intensywność reakcji rozszczepienia i produkując więcej energii. Para nasycona we wtórnym, czyli nie radioaktywnym, obiegu systemu wymiany ciepła przedostawała się przez liczne zawory sterowania i uderzała w łopatki turbiny wysokiego ciśnienia. Wielka, wykonana z brązu, śruba napędowa okrętu zaczęła się obracać z większą prędkością, popychając „Dallas” do przodu i w głąb.

Mechanicy pracowali spokojnie. Hałasy w siłowni wyraźnie rosły, w miarę jak system produkował

coraz więcej energii. Czuwali nad całym procesem, nieustannie obserwując tablice przyrządów kontrolnych. Wszystko odbywało się sprawnie, bez zbędnych rozmów. W

porównaniu z przedziałem reaktora nawet sala operacyjna wydaje się lokalem rozrywkowym.

W centrali Mannion przyglądał się, jak wskaźnik głębokości przekracza dwieście metrów. Oficer kierujący zanurzeniem poczeka, aż dojdą do trzystu metrów, i wtedy dopiero zacznie wyrównywać, tak aby wyhamować okręt dokładnie na wyznaczonej głębokości.

Komandor Mancuso chciał, aby „Dallas” znalazł się poniżej termokliny, czyli granicy między warstwami wody o różnej temperaturze. Woda układa się warstwami o jednolitej temperaturze. Stosunkowo płaska granica styku cieplejszych wód powierzchniowych z zimniejszymi wodami głębinowymi staje się częściowo nieprzepuszczalną warstwą, zdolną do odbijania fal dźwiękowych. Fale, którym udało się przeniknąć termoklinę, więzną poniżej.

Tak więc, pomimo że „Dallas” szedł teraz z szybkością ponad trzydziestu węzłów i hałasował bez żadnych ograniczeń, wykrycie go było bardzo trudne dla sonarów jednostek nawodnych.

Dopóki nie zmniejszy szybkości, będzie poruszał się prawie po omacku. Na szczęście, na tej głębokości niewiele jest rzeczy, na które można wpaść.

Mancuso podniósł mikrofon systemu nagłaśniającego.

- Mówi kapitan. Właśnie rozpoczęliśmy jazdę na nową pozycję. Potrwa to czterdzieści osiem godzin. Kierujemy się do punktu, gdzie spodziewamy się zlokalizować radziecki okręt podwodny, który minął nas dwa dni temu. Ten ruski używa jakiegoś nowego i dość cichego systemu napędowego, z którym nikt się dotąd nie zetknął. Spróbujemy go wyprzedzić, a potem, gdy nas wyminie, ruszyć za nim. Tym razem wiemy, czego szukać, powinniśmy więc go łatwo i czysto namierzyć. Niech cała załoga dobrze wypocznie. Gdy dotrzemy na pozycję, zacznie się długotrwałe i trudne polowanie, a do tego potrzebna jest stuprocentowa sprawność! Mam nadzieję, że nikt nie będzie się nudził. - Mancuso wyłączył mikrofon. - Jaki film mamy wieczorem?

Oficer kierujący zanurzeniem poczekał z odpowiedzią, aż strzałka głębokościomierza przestanie się poruszać. Jako chief okrętu opiekował się także pokładową telewizją kablową, składającą się z trzech magnetowidów w mesie, połączonych z odbiornikami w jadalni oficerskiej i innych pomieszczeniach załogi.

- Ma pan do wyboru, kapitanie, Powrót Jedi albo dwa mecze futbolowe: Oklahoma-Nebraska i Miami-Dallas. Grali, gdy byliśmy na manewrach, będzie więc tak, jakbyśmy oglądali je na żywo - rzekł ze śmiechem. - Reklamy i tak dalej. Kucharze już prażą kukurydzę.

- Świetnie. Niech się wszyscy odprężą. - Dlaczego nie postarają się o jakieś mecze marynarki? Zawsze tylko armia, pomyślał Mancuso. Inna sprawa, że w tym roku armia zebrała całą śmietankę...

- Dzień dobry, kapitanie. - W centrali zjawił się Wally Chambers, pierwszy oficer. -

Co słychać?

- Chodźmy do naszej mesy, Wally. Chciałbym, żebyś posłuchał jednej rzeczy. -

Mancuso wyjął kasetę z kieszeni koszuli i poprowadził Chambersa w stronę rufy.

„W.K. Konowałow”

Czteryście kilometrów na północny wschód od „Dallas”, na Morzu Norweskim,

„Konowałow” szedł z całą prędkością czterdziestu jeden węzłów na południowy zachód.

Kapitan Tupolew siedział samotnie w mesie, czytając otrzymaną przed dwoma dniami depezę. Jego uczucia przechodziły od złości do smutku. Żeby nauczyciel zrobił coś takiego!

Tupolew nie wiedział, co o tym myśleć.

Ale cóż robić? Rozkazy są jednoznaczne, tym bardziej że jak nie omieszkał wytknąć mu jego zastępcą polityczny, Tupolew jest byłym uczniem tego zdrajcy Ramiusa, przez co sam może znaleźć się w trudnej sytuacji. Jeśli tylko temu pachołkowi uda się uciec.

A więc Marko zakpił sobie ze wszystkich, nie tylko z „Konowałowa”. W czasie gdy Tupolew snuł się jak głupiec po Morzu Barentsa, Ramius płynął w przeciwnym kierunku.

Śmiejąc się na pewno ze wszystkich. Co za przewrotność i jakie diabelne zagrożenie dla *rodiny!* Niepojęte, choć z drugiej strony aż zbyt proste. Marko miał wszystkie przywileje, czteropokojowe mieszkanie, własne żiguli. Tupolew nie dorobił się jeszcze samochodu. Tyle lat pracował na pierwsze dowództwo i teraz nagle wszystko stawało pod znakiem zapytania przez coś takiego! Byłby szczęśliwy, gdyby miał to, co Ramius.

Muszę zabić przyjaciela, pomyślał. Przyjaciela? Nie da się ukryć, że Marko nim był, był także doskonałym nauczycielem. Co w niego wstąpiło?

Natalia Bogdanowna...

Tak, to chyba przez nią. Śmierdząca sprawa. Ile to razy siadał razem z nimi do obiadu? Ileż razy Natalia ze śmiechem opowiadała o swoich zdolnych, dorosłych „synach”?

Tupolew potrząsnął głową. Taka wspaniała kobieta, a zginęła przez jakiegoś cholernego,

niekompetentnego chirurga. Nic mu nie można było zrobić, bo to syn członka KC. To skandal, że takie rzeczy wciąż się zdarzają nawet w trzy pokolenia po rewolucji. Takiej głupoty niczym nie można usprawiedliwić.

Tupolew pochylił się nad przyniesioną z centrali mapą. Będzie na wyznaczonej pozycji w pięć dni, a nawet szybciej, jeśli reaktor dobrze by się trzymał i jeśli Marko nie będzie szarżował. A nie będzie, bo Marko to lis, a nie nosorożec.

Inne *Alfy* wcześniej zajmą pozycje, ale Tupolew wiedział, że musi to zrobić osobiście.

Wyprzedzi Marka i zaczeka. Ramius postara się przemknąć, ale „Konowałow” będzie na miejscu i zatopi „Czerwony Październik”.

Północny Atlantyk

Brytyjski *Sea Harrier*-FRS. 4 pojawił się o minutę wcześniej, niż się spodziewano.

Zawisł na krótko nad pokładem po lewej burcie „Kennedy’ego”, gdy pilot oceniał lądowisko, wiatr i stan morza. Samolot dostosował swoją prędkość do trzydziestu węzłów płynącego lotniskowca, ześliznął się precyzyjnie w prawo i opuścił w dół, trochę z przodu w stosunku do nadbudówki, a dokładnie pośrodku lądowiska. Natychmiast do samolotu rzuciła się obsługa lądowiska. Trzech ludzi niosło ciężkie metalowe kliny pod koła, umocowywano też drabinkę obok kabiny, nad którą unosiła się już w górę osłona. Czterech mechaników pociągnęło w stronę samolotu przewód paliwowy, chcąc popisać się sprawnością amerykańskiej obsługi.

Pilot miał na sobie pomarańczowy kombinezon i żółtą kamizelkę ratunkową. Założył hełm na oparcie przedniego fotela i zszedł po drabince. Przez chwilę przyglądał się obsłudze, a upewniwszy się, że samolot jest pod fachową opieką, pobiegł do nadbudówki. W drzwiach czekał Ryan.

- Komandor Ryan? Jestem Tony Parker. Gdzie tu toaleta?

Jack wskazał mu właściwy kierunek i pilot popędził przed siebie, zostawiając Ryana samego. Ubrany w kombinezon, z torbą w jednej ręce i z białym hełmem lotniczym w drugiej, Jack poczuł się nagle głupio. Zaczął się przyglądać mechanikom tankującym samolot, ogarnięty wątpliwościami, czy aby na pewno wiedzą, co robią.

Parker wrócił po trzech minutach.

- Panie komandorze - zwrócił się do Ryana. - W myśliwcach jest prawie wszystko, co trzeba, z wyjątkiem choleralnej ubikacji. Przed odlotem faszeringują człowieka kawą i herbatą, a później nie ma

się gdzie odlać.

- Znam to uczucie. Czy ma pan poza tym jakieś sprawy?

- Nie. Wasz admirał rozmawiał ze mną przez radio w czasie lotu. Wygląda na to, że wasi ludzie już mnie zatankowali. Możemy lecieć?

- Co z tym zrobić? - zapytał Ryan, podnosząc do góry torbę, prawie przekonany, że będzie ją musiał trzymać na kolanach. Papiery związane z zadaniem miał za pazuchą.

- Wsadzimy to do bagażnika, rzecz jasna. Proszę za mną, panie komandorze.

Parker ruszył z wawo w stronę samolotu. Poranek był szary. Mniej więcej na wysokości trzystu metrów wisiała gruba pokrywa chmur. Zaczynało się zbierać na deszcz.

Wysokie, dwumetrowe fale tworzyły szarą, pofałdowaną równinę upstrzoną pianą. Ryan uświadomił sobie nagle szybkość, z jaką płynie „Kennedy”, i zdziwił się, że coś tak wielkiego w ogóle może się poruszać. Gdy podeszli do samolotu, Parker wziął do jednej ręki torbę Ryana, a drugą sięgnął do ukrytego we wgłębieniu poszycia samolotu uchwytu. Obrócił i pociągnął rączkę, odsłaniając wciśnięty w kadłub otwór rozmiarów mniej więcej niewielkiej lodówki. Wrzucił do środka torbę, po czym zatrzaskał pokrywę i sprawdził zamknięcie.

Mechanik pokładowy w żółtej kamizelce zamienił z nim kilka słów. W tym czasie na rufie rozgrzewał silniki śmigłowiec, a do środkowej katapulty kołował myśliwiec *Tomcat*. Do tego jeszcze wiał wiatr z prędkością trzydziestu węzłów. Lotniskowiec to hałaśliwe miejsce.

Parker gestem ręki zaprosił Ryana na drabinkę. Jack, który lubił drabinki mniej więcej tak samo jak latanie, prawie spadł na swój fotel w kabinie. Nie zdążył się jeszcze dobrze usadowić, a już mechanik z obsługi założył mu uprząż pasów, hełm, po czym wskazał

gniazdo interkomu. Może jednak amerykańska obsługa zna się trochę na *Harrierach*. Obok gniazda znajdował się włącznik. Ryan nacisnął go.

- Słyszysz mnie, Parker?

- Tak jest, panie komandorze. Wszystko w porządku?

- Tak mi się zdaje.

- Dobra. - Pilot spojrział w dół, sprawdzając zawory zbiorników paliwa. - Uruchamiam silnik.

Kabina pozostawała jeszcze otwarta. W pobliżu czekało trzech ludzi z wielkimi gaśnicami śniegowymi, jakby wyczekując eksplozji silnika. Kilka osób stało pod nadbudówką, przyglądając się dziwnemu samolotowi. Silnik *Pegasus* ożył. Osłona kabiny opadła.

- Jest pan gotów, komandorze?

- Owszem.

Harrier nie jest największym myśliwcem, ale z pewnością najgłośniejszym. Gdy Parker ustawiał ciąg na start pionowy, Ryan poczuł, jak przenika go na wylot łoskot silnika.

Samolot zachwiał się, opuścił nos i niepewnie uniósł się do góry. Mężczyzna stojący u stóp nadbudówki pomachał im ręką. *Harrier* ześliznął się w lewo i zaczął się wznosić, oddalając od nadbudówki.

- Poszło całkiem dobrze - zauważył Parker.

Przełożył dźwignię wznoszenia i *Harrier* rozpoczął normalny lot poziomy. Ryan nie czuł przyspieszenia, zobaczył jednak, że „Kennedy” gwałtownie zostaje w tyle. Po kilku sekundach minęli wewnętrzny krąg okrętów eskorty.

- Trzeba wyjść ponad to błoto - stwierdził pilot.

Przyciągnął do siebie drążek sterowy, kierując się w górę. Po chwili byli już w chmurach i Ryan poczuł, że widzialność zmalała nagle z pięciu kilometrów do pięciu metrów.

Rozejrzał się po kabinie. Przed sobą miał tablicę przyrządów i drążek sterowy.

Wskazówka prędkościomierza pokazywała dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę i szła dalej, wysokościomierz wskazywał sto dwadzieścia metrów. Lecieli szkolnym modelem *Harriera*, ale tablica przyrządów została przerobiona i dodano do niej monitor zespołu czujników, które mocuje się pod brzuchem samolotu. Wyglądało to trochę jak przypadkowa zbieranina, ale według relacji admirała Paintera, dawało dobre rezultaty. Ryan domyślił się, że ten podobny do telewizyjnego ekran wyświetla dane z czujników podczerwieni wykrywających promieniowanie cieplne. Prędkościomierz wskazywał już pięćset kilometrów na godzinę, a wariometr - kąt wznoszenia dwudziestu stopni. Ryan miał wrażenie, że pną się nawet jeszcze bardziej stromo.

- Zaraz powinniśmy wyjść z chmur - powiedział Parker. - Już!

W chwili, gdy wysokościomierz osiągnął osiem tysięcy metrów, Ryana oślepił

intensywny blask słońca na czystym niebie. Nie mógł przywyknąć do tego, że jeśli polecieć wystarczająco wysoko, to niezależnie od warunków atmosferycznych na dole, zawsze trafi się na słońce. Światło było silne, ale kolor nieba wydawał się znacznie ciemniejszy niż zwykły błękit oglądany z ziemi. Kiedy wydostali się z turbulencji charakterystycznych dla małych wysokości, lot stał się gładki jak w samolocie pasażerskim. Ryan zaczął manipulować przy hełmie, żeby osłonić oczy od słońca.

- Teraz lepiej, panie komandorze?

- Doskonale. Lepiej, niż się spodziewałem.

- Co pan ma na myśli?

- Jest tu o niebo lepiej niż w samolotach pasażerskich. Więcej się widzi. To pomaga.

- Szkoda, że nie mamy za wiele paliwa, bo pokazałbym panu trochę akrobatyki.

Harrier może zrobić prawie wszystko, co sobie pan zażyczy.

- Nie szkodzi.

- A ten pana admirał - ciągnął jakby nigdy nic Parker - mówił, że nie jest pan miłośnikiem latania...

Nagle Ryan złapał się kurczowo fotela, gdy *Harrier* zaczął wykonywać raz za razem trzy pełne beczki.

- Ach, to brytyjskie poczucie humoru - zauważył Ryan, ze zdziwieniem słysząc swój śmiech.

- Rozkaz waszego admirała, panie komandorze - powiedział na wpół przepraszająco pilot. - Nie chcemy, żeby pan uważał *Harriera* za jakiś gówniany autobus.

Ciekawe, którego admirała, zastanawiał się Ryan, *Painter*a czy *Davenport*a?

Prawdopodobnie obu. Powierzchnia chmur przypominała wzburzone morze bawełny. Nigdy wcześniej nie potrafił cieszyć się tym widokiem, gdy oglądał go przez malutki iluminator w samolocie liniowym. Tu, na tylnym siedzeniu, czuł się prawie tak, jakby siedział na zewnątrz.

- Czy mogę pana o coś zapytać, panie komandorze?

- Jasne.

- Co jest grane?

- Nie rozumiem.

- Chodzi mi o to, że „*Invincible*” zawrócił. I zaraz potem dostaję rozkaz dostarczenia na pokład bardzo ważnej osobistości z „*Kennedy*’ego”.

- Ach, to. Nie mogę powiedzieć. Mam do przekazania pewną wiadomość twojemu staremu. Jestem tylko posłańcem - skłamał Ryan. Już po raz trzeci zresztą.

- Pytam dlatego, że zaraz po świętach żona spodziewa się pierwszego dziecka. Bardzo bym chciał być wtedy w domu.

- Gdzie mieszkasz?

- Chatham, to jest...

- Wiem. Sam teraz mieszkam w Anglii. Mamy dom w Marlow, w górę Tamizy od Londynu. Tam się zaczęło nasze drugie dziecko.
- Urodziło się tam?
- Nie, zaczęło. Moja żona mówi, że to przez te dziwne hotelowe łóżka. Gdybym się lubił zakładać, dałbym ci duże szansę, Parker. Zresztą pierwsze dzieci zawsze się spóźniają.
- Mówił pan, że mieszka w Marlow?
- Tak jest, tam zbudowaliśmy sobie dom w tym roku.
- Jack Ryan... John Ryan? Ten sam facet, który...
- Zgadza się. Ale nie trzeba o tym rozpowiadać, panie poruczniku.
- Jasne. Nie wiedziałem, że jest pan oficerem marynarki.
- Dlatego właśnie lepiej o tym nie rozpowiadać.
- Rozumiem. Przepraszam za ten kawał z akrobacją.
- Nic się nie stało. Typowy admirałski dowcip. Jak słyszałem, właśnie skończyliście z nami ćwiczenia.
- Zgadza się, panie komandorze. Zatopiłem jeden z waszych okrętów podwodnych, „Tullibee”. To znaczy razem z moim operatorem pokładowym. Wykryliśmy go w nocy czujnikami podczerwieni tuż pod powierzchnią i spuściliśmy dookoła niego ładunki ćwiczebne. Nikt nie wiedział o naszym nowym wyposażeniu. Domyślałem się, że dowódca okrętu musiał być wściekły. Miałem nadzieję, że spotkam go w Norfolk, ale zjawili się tam dopiero w dniu, gdy wypływaliśmy.
- Dobrze się bawiliście w Norfolk?
- Nie najgorzej. Udało się zorganizować całodniowe polowanie na Chesapeake Bay, czy jak to nazywacie na Wschodnim Wybrzeżu.
- Tak? Polowałem tam kiedyś. I jak było?
- Nieźle. W pół godziny miałem swoje trzy gęsi. Przydział wynosił trzy sztuki na osobę. Bez sensu.
- Zjawileś się i ot tak, trafiłeś trzy gęsi o tej porze roku?
- Ostatecznie zarabiam na życie strzelaniem - zareplikował Parker.
- We wrześniu polowałem z twoim admirałem na kuropatwy. Zmusili mnie do używania dubeltówki. Wystarczy, że wezmę gdzieś ze sobą swój sztucer, automat Remingtona, a wszyscy mnie biorą za

jakiegoś terrorystę, więc wręczyli mi parę purdeysów.

Miałem piętnaście ptaków, ale było to takie polowanie dla leniwych, gdzie jeden facet ładuje ci strzelbę, a całe stado pomagierów napędza zwierzynę. Wybiliśmy chyba prawie wszystkie ptaki w okolicy.

- U nas przypada więcej ptaków na hektar niż u was.

- To samo mówi admirał. Daleko jeszcze do „Invincible’a”?

- Czterdzieści minut.

Ryan spojrzął na wskaźniki paliwa. Zbiorniki były już na wpół puste. W samochodzie zaczęłyby się rozglądać za stacją benzynową. Tyle paliwa w pół godziny lotu. Parker jednak nie wydawał się być przejęty.

Harrier lądował na HMS „Invincible” inaczej niż DNO na „Kennedym”. Samolotem silnie rzucało, gdy Parker schodził w dół przez chmury. Ryan domyślił się, że są na fali tego samego sztormu, który przeżywał przez całą zeszłą noc. Osłonę kabiny pokrył deszcz, o kadłub uderzały tysiące kropli wody, a może gradu? Kiedy patrzył na instrumenty, zauważył, że Parker wyrównuje na trzystu metrach, gdy jeszcze lecieli w chmurach, i dalej schodzi znacznie wolniej, wychodząc z nich na wysokości trzydziestu metrów. „Invincible” był

prawie o połowę mniejszy od „Kennedy’ego”. Ryan zauważył też, że pięciometrowa fala bardziej huśtała lotniskowcem. Parker lądował jak poprzednio. Zatrzymał się na chwilę nad lewą burtą lotniskowca i ześliznął się w prawo, opuszczając myśliwiec sześć metrów w dół na namalowane na pokładzie koło. Lądowanie było twarde, ale Ryan zdążył się do niego przygotować. Osłona kabiny natychmiast podniosła się do góry.

- Może pan tu wysiąść - powiedział porucznik. - Ja muszę dokołować do windy.

Drabinka czekała. Ryan rozpiął pasy i wyszedł z kabiny. Mechanik z obsługi zdążył

już wyjąć jego torbę. Jack ruszył za nim do nadbudówki, gdzie oczekiwał go chorąży czy też, jak Anglicy nazywają ten stopień, podporucznik.

- Witam na pokładzie, panie komandorze - zwrócił się do Ryana. Chłopak nie może mieć więcej niż dwadzieścia lat, pomyślał Ryan. - Może pomogę panu zdjąć kombinezon?

Ryan zdjął hełm, kamizelkę ratunkową i kombinezon. Z torby wyciągnął czapkę.

Tymczasem zdążył parę razy wyjrzeć przez bulaj. „Invincible” zdawał się skręcać na falach jak korkociąg. Fale z tyłu i boczny wiatr? Zimą na pomocnym Atlantyku wszystko jest możliwe. Oficer wziął torbę, Ryan zatrzymał przy sobie materiały operacyjne.

- Proszę prowadzić, poruczniku.

Chłopak biegiem pokonał trzy kolejne ciągi schodów, co uświadomiło zdysznanemu Ryanowi, że od dawna zaniedbuje jogging. Przechyliły okrętu i brzęczenie w uszach po całym dniu latania przyprawiały go o zawroty głowy, coraz to wpadał na jakieś przedmioty. Jak sobie z tym radzą zawodowi piloci?

- Oto i mostek kapitański, panie komandorze. - Podporucznik otworzył drzwi.

- Jak się masz, Jack! - usłyszał grzmiący głos wiceadmirała Johna White'a, ósmego księcia Weston. Był to rostry, pięćdziesięcioletni mężczyzna z rumianą twarzą, z którą wyraźnie kontrastował biały szalik na szyi. Jack poznał go w początkach roku i od tamtego czasu jego żona Cathy i księżna Antonia, „członkinie tego samego kółka muzycznego”, serdecznie się zaprzyjaźniły. Cathy Ryan grała na fortepianie, zaś Tonią White, atrakcyjna czterdziestoczteroletnia kobieta, na własnych skrzypcach Guarnieriego. O wysokim urodzeniu admirała White'a pamiętało się tylko od czasu do czasu. Karierę w Marynarce Królewskiej zawdzięczał jedynie własnym zasługom. Jack podszedł i uściśnął wyciągniętą dłoń.

- Dzień dobry, panie admirale.

- Jak lot?

- Osobliwe doznanie. Nigdy jeszcze nie leciałem myśliwcem, zwłaszcza takim, który chce udawać kolibra - odparł z uśmiechem.

Mostek był przegrzany i nareszcie poczuł się dobrze.

- Wspaniale. Chodźmy do mojej kabiny - zaproponował White.

Podporucznik oddał Jackowi torbę i odmeldował się. Admirał poprowadził Ryana przez krótki korytarz do niewielkiej kabiny.

Jak na brytyjskie zamiłowanie do wygod i arystokratyczne pochodzenie White'a, kabina przedstawiała się zadziwiająco skromnie. W dwóch bulajach wisiały zasłony, a pośrodku stało biurko i kilka foteli. Jedynym prywatnym akcentem było kolorowe zdjęcie żony. Całą ścianę od lewej burty pokrywała mapa północnego Atlantyku.

- Wyglądasz na zmęczonego, Jack - zauważył White i zaprosił go gestem na miękkie fotele.

- Bo, do licha, jestem na nogach od wczoraj od szóstej rano. Nie bardzo wiem, jak się tymczasem zmieniał czas. Mój zegarek jest chyba ustawiony jeszcze według czasu europejskiego.

- Mam dla ciebie wiadomość - powiedział White, wyciągając z kieszeni kartkę i podając ją Ryanowi.

- „Greer do Ryana. Willow potwierdzony. Basil przesyła pozdrowienia. Koniec” -

odczytał. Ktoś sprawdzał informację. Kto? Może sir Basil, może Ritter. Wolał się nad tym nie zastanawiać.

- To dobra wiadomość. - Jack schował depeszę do kieszeni.

- Dlaczego w mundurze?

- To nie mój pomysł. Wie pan, dla kogo pracuję, prawda? Wymyślili, że w ten sposób będę się mniej rzucał w oczy.

- Przynajmniej dobrze skrojony - stwierdził admirał. Podniósł słuchawkę i polecił, aby przyniesiono napoje orzeźwiające. - Jak rodzina, Jack?

- Doskonale, dziękuję. Dzień przed moim wyjazdem Cathy i Toni grały u Nigela Forda. Nie mogłem tam być. Jeszcze trochę i będą mogły nagrywać płytę. Pańska żona, admirale, jest doskonałą skrzypaczką.

Pojawił się steward z tacą kanapek. Jack nigdy nie potrafił zrozumieć angielskiego upodobania do chleba z masłem i ogórkiem.

- A więc, o co chodzi?

- Panie admirale, sens tej depeszy, którą mi pan właśnie przekazał, jest taki, że mogę o wszystkim poinformować pana i trzech innych oficerów. To wyjątkowo ważna sprawa.

Będzie pan musiał odpowiednio dobrać ludzi.

- Wystarczająco ważna, żeby zawrócić całą moją małą flotę. - White pomyślał przez chwilę, sięgnął po telefon i wezwał trzech oficerów. Odłożył słuchawkę. - Komandor Carstairs, komandor Hunter i komandor porucznik Barclay to w kolejności: kapitan

„Invincible’a”, oficer operacyjny zgrupowania i oficer wywiadowczy zgrupowania.

- A szef sztabu?

- Poleciał do domu, zmarł ktoś z jego rodziny. Co do kawy? - White wyciągnął z biurka coś, co na oko wyglądało jak butelka brandy.

- Dziękuję, panie admirale – rzekł z wdzięcznością Ryan.

Mimo kawy nie doszedł jeszcze do siebie. Admirał hojnie napełnił kieliszek, być może również i po to, żeby trochę rozwiązać mu język. Służba White’a w marynarce brytyjskiej trwała znacznie dłużej niż jego przyjaźń z Ryanem.

Oficerowie pojawili się jednocześnie. Dwaj przynieśli ze sobą składane metalowe krzesła.

- Panie admirale - zaczął Ryan - lepiej nie chować jeszcze tej butelki. Gdy skończę, wszyscy mogą potrzebować czegoś mocniejszego. - Rozdał dwa egzemplarze dokumentów, jakie mu jeszcze zostały, i mówił z pamięci, co zajęło mu piętnaście minut.

- Będę prosił panów - dodał na zakończenie - o potraktowanie tych informacji jako ściśle tajnych. W obecnej chwili nie mogą wyjść poza ściany tego pomieszczenia.

- Szkoda - powiedział Carstairs. - Byłaby z tego doskonała opowieść morską.

- A nasza rola? - zapytał White, trzymając w ręku fotografie.

Nalał Ryanowi następną kolejkę brandy, ocenił wzrokiem zawartość butelki i schował ją do biurka.

- Dziękuję, panie admirale. Nasze obecne zadanie polega na zlokalizowaniu

„Czerwonego Października”. Co dalej, nie bardzo jeszcze wiadomo. Wyobrażam sobie, że samo odnalezienie okrętu jest już wystarczająco skomplikowanym zadaniem.

- Bardzo celna uwaga, panie komandorze - powiedział Hunter.

- Na pocieszenie dodam, że admirał Painter zażądał w Dowództwie Obszaru Atlantyku przydzielenia wam kilku amerykańskich okrętów, najprawdopodobniej trzech fregat klasy 1052 i dwóch FFG7 *Perry*. Mogą zabrać na pokład jeden czy dwa śmigłowce.

- Co ty na to, Geoffrey? - zapytał White.

- Zawsze coś, na początek - stwierdził Hunter. - Dotrą do nas za dzień lub dwa.

Admirał Painter prosił mnie o wyrażenie pełnego zaufania dla waszego zgrupowania i załogi.

- Ten pieprzony rosyjski okręt rakietowy... - powiedział Barclay trochę sam do siebie.

Ryan nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Podoba się panu ten pomysł, panie komandorze? - zapytał. - Przynajmniej jeden nawrócony.

- A jeśli ten okręt kieruje się do Wielkiej Brytanii? Czy wtedy Wielka Brytania przejmie całą operację? - zapytał Barclay wprost.

- Moim zdaniem tak, ale z mapy wynika, że jeśli *Ramius* kierowałby się do Anglii, już by tam był. Widziałem kopię listu prezydenta do waszego premiera. W zamian za pomoc, Royal Navy otrzyma taki sam dostęp do uzyskanych informacji, jak nasi specjaliści. Jesteśmy po tej samej stronie, panowie. Pytanie brzmi, czy to wykonalne?

- Hunter? - zapytał admirał.

- Jeśli dane wywiadowcze są dokładne... Powiedziałbym, że istnieje spora szansa, powiedzmy pięćdziesiąt procent. Z jednej strony mamy raketowy okręt podwodny, który próbuje zniknąć. Z drugiej, całkiem spory zespół skoncentrowany na wykryciu tego okrętu.

„Czerwony Październik” może kierować się do jednego z takich portów, jak Norfolk, Newport, Groton, King’s Bay, Port Everglades albo Charleston. Cywilny port, taki jak na przykład Nowy Jork, jest moim zdaniem mniej prawdopodobny. Co jednak, jeśli te wszystkie alfy, które Rosjanie wysyłają, dotrą tam pierwsze? Może kierują się do określonego portu?

Dowiemy się tego w swoim czasie. Powiedziałbym więc, że Rosjanie mają takie same szanse, jak my. Mogą działać w takiej odległości od waszych wybrzeży, że rząd nie będzie miał

uzasadnionych podstaw prawnych, żeby to kwestionować. Ogólnie biorąc, powiedziałbym, że Rosjanie mają nad nami przewagę. Znają dobrze możliwości „Czerwonego Października”, a poza tym ich zadanie jest prostsze. To zawiązką rekompensuje słabość techniczną ich urządzeń wykrywających.

- Dlaczego Ramius nie posuwa się szybciej? - zapytał Ryan. - Tego akurat nie mogę zrozumieć. Gdy tylko przeszedł przez linie czujników SOSUS w okolicy Islandii, znalazł się na głębokich akwenach. A więc dlaczego nie miałby otworzyć trochę przepustnicy i ruszyć pełną parą do naszych wybrzeży?

- Istnieją ku temu co najmniej dwa powody - odpowiedział Barclay. - Ile danych wywiadowczych dostaje pan do ręki?

- Dostaję konkretne zlecenia, przez co często przeskakuję od jednej sprawy do drugiej.

Wiem, na przykład, całkiem sporo o ich raketowych okrętach podwodnych, ale znacznie mniej o torpedowych. - Ryan nie musiał tłumaczyć, że pracuje dla CIA.

- Sam pan widzi, jak tego typu informacje są pokawałkowane, szczególnie w Związku Radzieckim. Ramius prawdopodobnie sam nie wie, gdzie znajduje się większość ich własnych okrętów torpedowych. Jeśli ruszy całą naprzód, ryzykuje, że wpadnie na zaczajonego *Victora* i zostanie zatopiony, zanim zdąży pojąć, co się dzieje. Po drugie, może obawiać się, że Rosjanie zdołali sobie zapewnić amerykańską pomoc, wmówiwszy na przykład Amerykanom, że na okręcie raketowym wybuchł bunt maoistowskich kontrrewolucjonistów. I gdyby wasza marynarka wykryła raketowy okręt podwodny, pędzący przez północny Atlantyk w stronę waszych wybrzeży, to co by zrobił prezydent?

- No tak - rzekł, kiwając głową Ryan. - Bez gadania byśmy go zatopili.

- No właśnie, Ramius to spec od przekradania się, a więc najprawdopodobniej będzie się trzymał tego, na czym się zna - podsumował Barclay. - Na szczęście czy na nieszczęście, naprawdę jest w tym dobry.

- Kiedy dostaniemy dane techniczne tego nowego napędu? - dopytywał się Carstairs.

- Mam nadzieję, że za kilka dni.

- Czego się po nas spodziewa admirał Painter? - zapytał White.

- Zgodnie z planem, który przedstawił w Norfolk, zajmujecie prawą flankę. Painter chce mieć „Kennedy’ego” od wybrzeży, żeby zrównoważyć zagrożenie ze strony ich sił

nawodnych. Was chce mieć wysuniętych dalej w morze. Dopuszcza taką możliwość, że Ramius pójdzie prosto na południe z przejścia G-I-UK na Atlantyk i po prostu przyczai się na jakiś czas. Wtedy ma duże szansę, że nie zostanie wykryty. A jeśli Rosjanie wyślą za nim całą flotę, ma czas i zapasy, żeby siedzieć tam dłużej, niż oni zdołają utrzymać duże siły przy naszych wybrzeżach, zarówno z powodów politycznych, jak i technicznych. Ponadto admirał

chce mieć tam wasze samoloty uderzeniowe, żeby stwarzać zagrożenie dla ich flanki. Ten plan musi jeszcze zaakceptować dowódca Floty Atlantyckiej, a wiele szczegółów wymaga dopracowania. Na przykład Painter zażądał samolotów *Sentry* E-3, żeby was wesprzeć.

- Miesiąc zimą na północnym Atlantyku?

Carstairs skrzywił się boleśnie. Dowodził „Invincible’em” w czasie wojny falklandzkiej i całymi tygodniami pływał po wzburzonym południowym Atlantyku.

- Lepiej się ciesz z E-3 - wtrącił z uśmiechem admirał. - Hunter, chciałbym zobaczyć plan wykorzystania wszystkich jednostek, które dają nam Amerykanie, i objęcia poszukiwaniami możliwie największego obszaru. Barclay, poproszę o twoją opinię o tym, co nasz przyjaciel Ramius może zrobić. Na wszelki wypadek przyjmij założenie, że to ten sam spryciarz, którego wszyscy znamy i kochamy.

- Tak jest, panie admirale - odpowiedział Barclay, wstając razem z innymi.

- Jack, jak długo zostaniesz z nami?

- Nie wiem, panie admirale. Prawdopodobnie dopóki nie wezwą mnie na

„Kennedy’ego”. Moim zdaniem całą operację zmontowano o wiele za prędko. Nikt, do cholery, nie ma pojęcia, co powinniśmy robić.

- Może pozwolisz, że przez pewien czas sami się o to pomartwimy? Padasz z nóg.

Prześpij się trochę.

- Ma pan rację, panie admirale - zgodził się Ryan. Zaczynał odczuwać skutki brandy.

- Tu, w szafce, jest hamak. Przyślę kogoś, żeby ci go rozłożył. Połóż się tymczasem.

Obudzimy cię, jeśli będą do ciebie jakieś sprawy.

- To bardzo uprzejmie z pańskiej strony.

Admirał White, to swój chłop, pomyślał Jack, a jego żona to ktoś zupełnie wyjątkowy.

W dziesięć minut później już spał.

„Czerwony Październik”

W ramach prowadzonej po cichu inspekcji starpom co dwa dni zbierał od załogi dozymetry. Upewniwszy się, że obuwie jest wypucowane na glans, koje równo posłane i szafki uporządkowane zgodnie z regulaminem, pierwszy oficer zbierał wymienione dwa dni wcześniej wskaźniki promieniowania i rozdawał nowe, dodając zazwyczaj krótki apel o postawę godną nowego radzieckiego człowieka. Borodin miał tę procedurę opracowaną do najdrobniejszego szczegółu. Dziś, tak jak co dzień, inspekcja wszystkich przedziałów zajęła dwie godziny. Gdy skończył, torbę na lewym ramieniu pełną miał starych dozymetrów, a drugą, na prawym, opróżnioną z nowych. Zaniósł swój łup do izby chorych.

- Towarzyszu Pietrow, mam dla was prezent - rzekł Borodin, kładąc skórzaną torbę na biurku lekarza.

- To świetnie. - Pietrow uśmiechnął się. - Wszyscy są tak zdrowi, że nie mam nic do roboty poza czytaniem czasopism.

Borodin zostawił Pietrowa przy pracy. Lekarz najpierw ułożył dozymetry w kolejności. Każdy zawierał trzycyfrowy numer. Pierwsza cyfra oznaczała serię wskaźników, żeby po wykryciu ewentualnego skażenia mieć od razu ustaloną datę. Druga cyfra określała miejsce służby marynarza, a trzecia - część okrętu, w której spał. Taki system był

wygodniejszy od poprzedniego, w którym każdego członka załogi oznaczano osobnym numerem.

Samo wywoływanie klisz nie jest trudniejsze niż gotowanie ziemniaków. Pietrow robił

to automatycznie. Najpierw wyłączył jasne górne światło. Potem włączył czerwone i zamknął

drzwi kabiny. Zdjął stelaż do wywoływania filmów z wieszaka na grodzi, rozerwał

plastyczne opakowania i umieścił paski kliszy w ramce.

Następnie zabrał ją do sąsiedniego pomieszczenia i zawiesił na klamce jedynej stojącej tam szafki. Napełnił odczynnikami trzy duże kwadratowe kuwety. Mimo że miał

specjalizację, zdążył już zapomnieć większość wiadomości z chemii nieorganicznej i słabo pamiętał, jakie to odczynniki. Kuwetę numer jeden napełniał z butelki numer jeden, kuwetę numer dwa z butelki numer dwa, a numer trzy wodą. Pietrow nie musiał się śpieszyć. Do obiadu zostały jeszcze dwie godziny, a jego stałe obowiązki były naprawdę wyjątkowo nudne. Przez ostatnie dwa dni czytał o chorobach tropikalnych. Tak jak i cała załoga, niecierpliwie wyglądał pobytu na Kubie. Przy odrobinie szczęścia ktoś z załogi mógłby dostać jakiejś tajemniczej choroby i lekarz miałby przynajmniej interesujące zajęcie na pewien czas.

Ustawił zegar ciemniowy na siedemdziesiąt pięć sekund i włączył go, zanurzając filmy w pierwszej kuwecie. Obserwował w czerwonym oświetleniu przesuwającą się wskazówkę i zastanawiał, czy Kubańczycy wciąż jeszcze produkują rum. Był przed laty na Kubie i zagustował w tym egzotycznym trunku. Jak każdy radziecki obywatel, wołał co prawda wódkę, ale od czasu do czasu odczuwał potrzebę odmiany.

Zadzwonił zegar i Pietrow wyjął ramkę z wywoływacza, otrząsając ją starannie nad kuwetą. Było tylko nie pochłapać sobie munduru odczynnikami, azotanem srebra lub czymś podobnym. Zanurzył ramkę w drugiej kuwecie i znów nastawił zegar. Szkoda, że rozkazy są zawsze tak cholernie tajne, bo zabrałby wtedy letni mundur. W kubańskich upałach będzie się pocił jak świnia. Te dzikusy nigdy nie zaprzatają sobie głowy myciem. Być może nauczyli się czegoś w ciągu ostatnich piętnastu lat? Zobaczymy.

Znów zadzwonił zegar i Pietrow wyjął ramkę, otrząsnął ją i umieścił w naczyniu z wodą. Ma za sobą kolejne nudne zadanie. Dlaczego nikt przynajmniej nie spadnie z zejściówki i nie złamie nogi? Chciałby wypróbować na pacjencie nowy wschodniemiecki aparat rentgenowski. Nie ufał Niemcom, niezależnie od tego, czy byli marksistami, czy nie, ale trzeba przyznać, że robią doskonały sprzęt lekarski, szczególnie aparaty rentgenowskie, autokławy i większość leków. Już. Podniósł ramkę i zawiesił na ekranie do odczytywania zdjęć rentgenowskich i włączył podświetlenie.

Pietrowa zatkało. *Niczewo*. Tylko spokojnie. Jego klisza była przydymiona. Miał

numer 3-4-8: seria trzecia, sektor pięćdziesiąty czwarty (przedział medyczny), rufowy (oficerski) przedział mieszkalny.

Klisze wskaźników miały tylko dwa centymetry szerokości, ale podzielone były na dziesięć pasków o różnej czułości na promieniowanie. Klisza Pietrowa była naświetlona do paska czwartego. Klisze załogi maszynowni - do piątego, a załogi przedziału torpedowego, która cały czas spędza na dziobie, wskazywały skażenie tylko w sektorze pierwszym.

- Cholera jasna! - zaklął.

Znał poziomy skażenia na pamięć, ale wołał upewnić się w podręczniku. Na szczęście czułość segmentów zmieniała się w skali logarytmicznej. Jego dawka wynosiła dwanaście radów. Mechanicy

dostali od piętnastu do dwudziestu pięciu. Dwanaście do dwudziestu pięciu radów w dwa dni to nie jest jeszcze niebezpieczna dawka. Niegroźna dla życia, ale...

Wrócił do gabinetu, zamykając klisze w laboratorium. Podniósł słuchawkę telefonu.

- Kapitan Ramius? Tu Pietrow. Czy możecie wpaść na chwilę do mnie na rufę?

- Już idę, towarzyszu doktorze.

Ramius śpieszył się powoli. Wiedział, w jakiej sprawie się go wzywa. Na dzień przed wypłynięciem, gdy Pietrow był na brzegu kompletując zapasy lekarstw, Borodin naświetlił klisze aparatem rentgenowskim.

- O co chodzi, Pietrow? - zapytał, zamknąwszy za sobą drzwi.

- Towarzyszu kapitanie, mamy przeciek radioaktywny.

- Bzdura. Przyrządy natychmiast by to wykryły.

Pietrow przyniósł z laboratorium klisze i podał kapitanowi.

- Spójrzcie na to.

Ramius podniósł statyw do światła i obejrzał po kolei wszystkie klisze od góry do dołu. Zmarszczył czoło.

- Kto o tym wie?

- Tylko ja i wy, towarzyszu kapitanie.

- Nie wolno nikomu, ale to nikomu, o tym mówić. - Ramius zawiesił głos. - Jaka jest możliwość, że filmy są... że coś jest z nimi nie w porządku albo że popełniliście błąd w czasie wywoływania.

Pietrow potrząsnął zdecydowanie głową.

- Nie, towarzyszu kapitanie, tylko wy, towarzysze Borodin i ja mamy do nich dostęp.

Jak wiecie, zawsze biorę losowe próby z każdej serii na trzy dni przed wypłynięciem -

Pietrow nie powiedział, że podobnie jak wszyscy bierze próbki z wierzchu każdego pudełka, a więc nie są to w rzeczywistości próbki losowe.

- Największe skażenie, jakie tu widać, wynosi od dziesięciu do dwudziestu? - zapytał

Ramius, celowo zaniżając liczbę. - Czyje to numery?

- Bułganin i Surzpoj. Dziobowy przedział torpedowy ma poniżej trzech radów.

- No cóż. Możemy mieć tu do czynienia, towarzyszu doktorze, z niewielkim, powtarzam niewielkim, przeciekiem w przedziale reaktora. W najgorszym przypadku przeciekiem pary albo czymś w tym rodzaju. Zdarzało się to już wcześniej i nikt przez to nie umarł. Uszkodzone miejsce zostanie odnalezione i naprawione. Wszystko należy utrzymać w tajemnicy. Nie ma powodu, żeby się ludzie byle czym denerwowali.

Pietrow skinął potakująco głową, pamiętał jednak, że w 1970 roku kilka osób zginęło na okręcie „Woroszyłow”, a jeszcze więcej na lodołamaczu „Lenin”. Oba wypadki miały co prawda miejsce wiele lat temu, poza tym Pietrow był przekonany, że Ramius sobie poradzi.

Tylko czy aby na pewno?

Pentagon

Pierścień E był największym, zewnętrznym pierścieniem Pentagonu, a ponieważ okna otwierały się tu nie tylko na pozbawione słońca dziedzińce, lecz także na otaczający świat, ulokowano tam gabinety większości wyższych dowódców. Jednym z nich było biuro J-3, szefa zarządu operacyjno-szkoleniowego komitetu szefów sztabów. Gospodarz był akurat nieobecny. Przebywał w podziemnym pomieszczeniu zwanym potocznie cysterną, ponieważ jego metalowe ściany pokryte są elektronicznymi urządzeniami, które zagłuszają ewentualny podsłuch.

Generał porucznik Edwin Harris nie wychodził z cysterny od dwudziestu czterech godzin, choć wcale nie było tego po nim widać. Zielone spodnie nie straciły kantu, koszula khaki nadal nosiła ślady prasowania, kołnierzyk zachowywał sztywność tektury, a krawat przytrzymała złota spinka z emblematem marines. Generał Harris nie był ani dyplomatą, ani absolwentem wyższej szkoły wojskowej. Jego zadanie polegało na godzeniu ze sobą sprzecznych niekiedy interesów poszczególnych sztabów. Dziwne, jak na generała piechoty morskiej.

- Do diabła z tym! - rozległ się głos admirała Blackburna, dowódcy obszaru atlantyckiego. Obecny był też oficer operacyjny z jego sztabu, kontradmirał Pete Stanford. -

Jak można w takich warunkach prowadzić operację?

Wszyscy obecni tu szefowie sztabów byli innego zdania.

- Mówiłem ci przecież, Blackie, skąd pochodzą rozkazy. - Generał Hilton, przewodniczący komitetu wydawał się zmęczony.

- Rozumiem, generale, ale to jest przede wszystkim operacja podwodna, prawda?

Muszę wprowadzić w to Vince'a Gallery'ego, a pan ze swojej strony powinien wziąć do pomocy Sama Dodge'a. Dan i ja zajmujemy się głównie lotnictwem, Pete jest specjalistą od działań przeciwpodwodnych. Potrzebujemy kogoś od okrętów podwodnych.

- Panowie - powiedział spokojnie Harris - na razie mamy przedstawić prezydentowi plan dotyczący tylko zagrożenia radzieckiego. Odłóżmy tymczasem na bok historię uciekającego okrętu raketowego, dobrze?

- Zgadza się z tym - skinął głową Stanford. - I tak jest o co się martwić.

Uwaga ośmiu mężczyzn skupiła się na stole nawigacyjnym. W stronę wybrzeży Ameryki kierowało się niewątpliwie pięćdziesiąt osiem radzieckich okrętów podwodnych i dwadzieścia osiem nawodnych, do tego stado tankowców i jednostek uzupełnienia. Żeby stawić im czoło, marynarka amerykańska dysponowała tylko jednym lotniskowcem.

„Invincible’a” nie brano pod uwagę. Zagrożenie było poważne. Okręty radzieckie miały na pokładach trzysta pocisków manewrujących klasy woda-woda. Pociski te projektowano przede wszystkim do zwalczania okrętów, ale przypuszczalnie co trzeci został uzbrojony w głowicę nuklearną. W ich zasięgu znajdują się wszystkie miasta na Wschodnim Wybrzeżu. Ze stanowisk na wysokości New Jersey rakiety mogły sięgnąć od Norfolku do Bostonu.

- Josh Painter proponuje, żeby ustawić „Kennedy’ego” bliżej brzegu - powiedział

admiral Blackburn. - Chce prowadzić działania przeciw okrętom podwodnym ze swojego lotniskowca, przenosząc lżejsze eskadry uderzeniowe na brzeg i zastępując je samolotami S-3. „Invincible’a” zamierza natomiast umieścić na zewnętrznej flance Rosjan.

- Nie podoba mi się to - powiedział generał Harris. Pete Stanford myślał podobnie i wcześniej uzgodnili, że szef J-3 przygotowuje własny plan. - Panowie, jeśli rzeczywiście mamy do dyspozycji tylko jeden lotniskowiec, to niech to będzie lotniskowiec, a nie przerośnięte lądowisko dla śmigłowców.

- Słuchamy cię, Eddie - powiedział Hilton.

- Przesuńmy „Kennedy’ego” tu. - Harris przeniósł wskaźnik na pozycję na zachód od Azorów. - Niech Josh zatrzyma swoje jednostki uderzeniowe. „Invincible’a” umieścimy bliżej brzegu i niech stamtąd prowadzi działania przeciwpodwodne. Do tego chyba Anglicy go przeznaczyli, prawda? Podobno są w tym dobrzy. „Kennedy” to okręt ofensywny, niech więc trzyma Rosjan w szachu. Jeżeli ustawimy go w ten sposób, to będzie dla nich poważnym zagrożeniem. Może stąd działać przeciw radzieckim jednostkom nawodnym spoza zasięgu rażenia ich rakiet woda-woda.

- Jeszcze lepiej - kontynuował Stanford, wskazując grupę okrętów na mapie -

stworzyć zagrożenie ich jednostek wsparcia. Jeśli stracą tankowce, nie dadzą rady wrócić do kraju. Żeby temu zapobiec, sami będą musieli się przegrupować. Przede wszystkim przestawić „Kijów” dalej od wybrzeża, chcąc stworzyć sobie choć częściową osłonę lotniczą od strony „Kennedy’ego”. Niewykorzystane S-3 mogą startować z baz na lądzie stałym i patrolować całkiem spory obszar. - Stanford nakreślił linię mniej więcej w odległości dziewięciuset kilometrów od brzegu.

- W ten sposób „Invincible” zastaje trochę bez osłony - stwierdził szef sztabu marynarki, admirał Foster.

- Josh prosił o E-3 dla wsparcia Anglików - zwrócił się Blackburn do szefa sztabu lotnictwa, generała Claire Barnes.

- Dostaniecie, co chcecie - powiedział Barnes. - Jutro od świtu *Sentry* będzie działać z

„Invincible’a”, a jeśli przeniesiecie lotniskowiec bliżej wybrzeża, można utrzymać dyżury przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mogę wam też dodać eskadrę F-16.

- A co za to chcesz, Max? - zapytał Foster. Nikt nie mówił do Barnes-Claire.

- Na moje oko cała eskadra z „Saratogi” siedzi i nic nie robi. Do soboty będę miał

pięćset myśliwców taktycznych rozmieszczonych od Dover do Loring. Moi chłopcy nie są za bardzo obeznani ze zwalczaniem okrętów. Będą się musieli uczyć na gorąco. Dobrze by było, żeby wasi piloci popracowali z moimi. Potrzebuję też waszych *Tomcatów*. Podoba mi się kombinacja myśliwce-rakiety. Niech jedna eskadra działa z Islandii, a druga z Nowej Anglii, pilnując bombowców rozpoznawczych, które towarzyszy Iwan zaczyna wysyłać w naszą stronę. Dla ułatwienia, jeśli chcecie, mogę wysłać kilka latających cystern do Lajes, żeby pomagały utrzymać w powietrzu samoloty z „Kennedy’ego”.

- Blackie? - zapytał Foster.

- Załatwione - zgodził się Blackburn. - Niepokoi mnie tylko to, że „Invincible” nie ma za dużych możliwości walki z okrętami podwodnymi.

- To trzeba je zwiększyć - powiedział Stanford. - Panie admirale, co by pan powiedział

na to, żeby zabrać „Tarawę” z Little Creek, połączyć z grupą „New Jersey”, z dwunastoma specjalnymi śmigłowcami na pokładzie i siedmioma czy ośmioma *Harrierami*?

- Bardzo dobrze - odparł pośpiesznie Harris. - W ten sposób mamy blisko ich zgrupowania dwa niewielkie lotniskowce z dużą siłą uderzeniową. „Kennedy” będzie ich podchodził od wschodu, a od zachodu spuścimy im na głowę kilkaset taktycznych myśliwców. W ten sposób będą zamknięci w ciasnym trójkącie. Zwiększy to ogromnie nasze możliwości śledzenia okrętów podwodnych.

- Czy „Kennedy” poradzi sobie sam? - zapytał Hilton.

- Można na niego liczyć - odpowiedział Blackburn.

- W ciągu godziny możemy zniszczyć dowolne ich zgrupowanie albo nawet dwa.

Jednostki bliżej brzegu zostaną dla was, Max.

- Ej, wy dwaj, od dawna ćwiczycie to przedstawienie? - zapytał generał Maxwell, dowódca piechoty morskiej.

Wszyscy się roześmieli.

„Czerwony Październik”

Po opróżnieniu przedziału reaktora z załogi główny mechanik rozpoczął kontrolę.

Towarzyszyli mu Ramius, Pietrow, dyżurny mechanik i jeden z młodszych oficerów, Swiadow. Trzej oficerowie mieli w rękach liczniki Geigera.

Przedział reaktora był dość duży. Musiał pomieścić potężny stalowy korpus o baryłkowatym kształcie. Reaktor, mimo że wyłączony, nadal był ciepły w dotyku. W rogach pomieszczenia znajdowały się obwiedzione czerwoną farbą automatyczne czujniki skażenia.

Następny zestaw czujników umieszczony był na przedniej i tylnej grodzi. Było to najczystsze pomieszczenie w całym okręcie. Pokład i grodzie pokryto białą farbą, tak aby choćby najdrobniejszy wyciek chłodziwa reaktora był wyraźnie widoczny nawet w razie awarii czujników.

Swiadow wspiął się na aluminiową drabinę, przymocowaną do obudowy reaktora, i zaczął kontrolować każde spawane złącze przewodów sondą licznika. Głośnik licznika nastawił na maksimum, tak żeby wszyscy mogli usłyszeć tykanie, a operator założył jeszcze do tego słuchawki.

Swiadow miał dwadzieścia jeden lat i czuł się bardzo niepewnie. Poszukiwanie przecieku radioaktywnego to nie żarty. W marynarce radzieckiej jest nawet taki dowcip: po czym można rozpoznać marynarza z Floty Północnej? Po tym, że świeci po ciemku. Na plaży można się z tego pośmiać, ale nie teraz. Swiadow wiedział, że wyznaczono go do poszukiwań dlatego, że jest najmłodszy, najmniej doświadczony i najmniej potrzebny. Sporo wysiłku kosztowało go powstrzymanie nerwowego drżenia kolan w czasie, gdy wyginał się, sięgając w zakamarki rurociągów.

Licznik tykał przy każdym przejściu wolnej cząsteczki przez rurkę ze zjonizowanym gazem, a wtedy żołądek podchodził Swiadowowi do gardła. Co kilka sekund sprawdzał na tarczy przyrządu poziom promieniowania. Radiacja nie wykraczała z bezpiecznego przedziału, w ogóle przyrząd ledwo coś rejestrował. Obudowa reaktora składała się z czterech kilkunastocentymetrowych warstw stali nierdzewnej. Przestrzeń między warstwami osłony wypełniała kolejno mieszanka baru i wody, warstwa ołowiu i polietylen, tak aby zapobiec wydostawaniu się na zewnątrz cząsteczek gamma i wolnych neutronów. Połączenie stali, baru, ołowiu i tworzywa sztucznego skutecznie zatrzymuje niebezpieczne produkty reakcji jądrowej, przepuszczając tylko trochę ciepła. Tarcza przyrządu wskazywała, ku uldze Swiadowa, że poziom promieniowania jest mniejszy niż na plaży w Soczi. Najwyższe odczyty miał obok żarówki oświetlenia, co w końcu wywołało uśmiech na jego twarzy.

- Wszystkie odczyty w normie, towarzysze - zameldował.

- Zaczynj jeszcze raz od początku - rozkazał Mielechin.

Dwadzieścia minut później Swiadow, spocony tym razem od ciepła gromadzącego się w górnej części przedziału, powtórzył wcześniejszy meldunek. Zdrętwiały po dłuższym wysiłku, zszedł niezgrabnie na dół.

- Możesz zapalić - zaproponował Ramius. - Dobra robota, Swiadow.

- Dziękuję, towarzyszu kapitanie. Gorąco tam na górze od świateł i rurociągów chłodziwa. - Swiadow oddał licznik Mielechinowi. Dolna tarcza pokazywała skumulowaną dawkę, daleką od progu niebezpieczeństwa.

- Prawdopodobnie prześwietlone były klisze w dozymetrach - stwierdził kwaśno główny mechanik. - To robota, nie po raz pierwszy zresztą, jakiegoś dowcipnisa w fabryce albo w magazynach portowych. Powinni to sprawdzić nasi znajomi z wywiadu wojskowego.

Za takie dowcipy należy się kula w łeb.

- Może i tak - odparł ze śmiechem Ramius. - Pamiętacie wypadek na „Leninie”? -

Ramiusowi chodziło o lodołamacz z napędem atomowym, który przez dwa lata stał przy nabrzeżu portowym wskutek awarii reaktora. - Kucharz miał kilka przypalonych garów i jakiś stuknięty mechanik zaproponował mu, żeby wyczyścić je gorącą parą. Więc dureń poszedł do wymiennika ciepła i odkręcił zawór kontrolny, podstawiając swoje garnki pod strumień pary.

Mielechin skrzywił się.

- Pamiętam! Służyłem tam wtedy. Kapitan zażądał Kazacha jako kucharza...

- ...bo lubił koninę z kaszą... - wtrącił Ramius.

- ...a ten głupek nie miał najmniejszego pojęcia o okrętach. Zginął z trzema innymi marynarzami, a przedział został skażony na prawie dwa lata. Kapitana wypuścili z obozu dopiero w zeszłym roku.

- Ale idę o zakład, że kucharzowi udało się mimo to oczyścić te gary - dodał Ramius.

- Istotnie, Marku Aleksandrowiczu. I być może już za jakieś pięćdziesiąt lat można ich będzie bezpiecznie używać - dodał na koniec, śmiejąc się głośno Mielechin.

Takich historii nie powinno się opowiadać przy młodych oficerach, pomyślał Pietrow.

Przeciek z reaktora to nic śmiesznego. W najmniejszym stopniu. Ale Mielechin znany był z ciężkiego dowcipu, a lekarz uświadomił też sobie, że dwadzieścia lat pracy przy reaktorach pozwala jemu i kapitanowi na pewien dystans wobec niebezpieczeństwa. Zatem z całej historii wynika tylko jeden morał: nie należy wpuszczać do przedziału reaktora nikogo, kto nie należy do obsługi.

- Doskonale - stwierdził Mielechin. - Teraz trzeba sprawdzić rurociągi w przedziale generatorowym. Chodź, Swiadow, nadal potrzebna nam będzie pomoc twoich młodych nóg.

Następny przedział w stronę rury mieścił wymiennik ciepła, wytwornicę pary, turboprądnice i wyposażenie pomocnicze. Główne turbiny znajdowały się w sąsiednim pomieszczeniu. Teraz, gdy używano napędzanej elektrycznie „gąsienicy”, były wyłączone.

Obracająca je para powinna być teoretycznie czysta. Radioaktywne jest tylko chłodziwo w pierwotnym obiegu wymiennika ciepła. Chłodziwo reaktora, emitujące krótkotrwałe, ale

niebezpieczne promieniowanie, nigdy nie zamienia się w parę, bowiem ta powstaje w zewnętrznym obwodzie wymiennika z nieskażonej wody. Dwa obwody stykają się tylko w wymienniku ciepła, tak że woda z jednego obwodu nigdy nie przedostaje się do drugiego.

Wymiennik jest jednocześnie miejscem, w którym najłatwiej o awarię ze względu na liczne połączenia i zawory.

Kontrola bardziej skomplikowanych rurociągów zajęła Swiadowowi cały kwadrans.

Przewody nie były tu tak dokładnie izolowane, jak w poprzednim przedziale, i dwa razy niewiele brakowało, żeby porucznik poparzył się. Gdy kończył pierwszą rundę, twarz ociekała mu potem.

- Wszystkie odczyty negatywne, towarzysze.

- Świetnie - powiedział Mielechin. - Zejdź na dół i odpocznij trochę, a później powtórz jeszcze raz całą kontrolę.

Swiadow o mało nie podziękował swojemu szefowi za tę chwilę wytchnienia, ale powstrzymał się w ostatnim momencie. Dla młodego, oddanego sprawie oficera i członka Komsomołu żaden wysiłek nie powinien być ponad siły. Ostrożnie zszedł na dół, a Mielechin podał mu kolejnego papierosa. Szpakowaty główny mechanik był perfekcjonistą, który umiał

również dbać o swoich podwładnych.

- Dziękuję, towarzyszu kapitanie - powiedział Swiadow.

Pietrow przyniósł składane krzesło.

- Usiądźcie, towarzyszu poruczniku, niech wam nogi trochę odpoczną.

Porucznik pośpiesznie usiadł i wyprostował kolana, żeby rozluźnić mięśnie.

Oficerowie w wyższej szkole marynarki nazywali go szczęściarzem z powodu tego przydziału. Ramius i Mielechin byli uważani za najlepszych nauczycieli w całej flocie i cieszyli się uznaniem marynarzy zarówno za kompetencje zawodowe, jak i ludzkie podejście do załogi.

- Powinni lepiej izolować te przewody - stwierdził Ramius.

Mielechin potrząsnął głową.

- Za trudno byłoby je wtedy sprawdzać - zauważył, podając licznik kapitanowi okrętu.

- Całkowicie bezpiecznie. - Ramius odczytał kumulatywną dawkę. - Więcej się złapie, uprawiając ogródek.

- Fakt - zgodził się Mielechin. - Górnicy w kopalni węgla dostają z uwalniającego się radonu większe dawki niż my. To muszą być prześwietlone klisze. Może warto by sprawdzić całą serię?

- Mogę to zrobić - odpowiedział Pietrow. - Ale ponieważ zanosi się na dłuższy pobyt na morzu, zostalibyśmy na kilkanaście dni bez dozymetrów, na co, niestety, nie zezwala regulamin.

- Macie słuszość. W każdym razie wskaźniki są tylko dodatkiem do instrumentów kontrolnych - rzeki Ramius i wskazał na obwiedzione czerwoną farbą wskaźniki umieszczone w różnych punktach przedziału.

- Czy mamy jeszcze raz sprawdzać rurociągi? - zapytał Mielechin.

- Wydaje mi się, że powinniśmy - powiedział Ramius.

Swiadow zaklął w myśli, wpatrując się uparcie w podłogę.

- Nigdy za dużo ostrożności w sprawach bezpieczeństwa - Pietrow rzucił slogan. -

Przykro nam, towarzyszu poruczniku. - Lekarz bynajmniej nie odczuwał z tego powodu przykrości. Cała sprawa poważnie go zmartwiła i teraz spadł mu kamień z serca.

Godzinę później ukończono drugą turę przeglądu. Pietrow zabrał Swiadowa do izby chorych i zaaplikował mu tabletki soli i herbatę, żeby nawodnić organizm. Dowódcy wyszli i Mielechin rozkazał ponownie uruchomić reaktor.

Wracający na stanowiska, marynarze spojrzeli po sobie znacząco. Dowódcy właśnie zrobili przegląd „gorących” pomieszczeń przyrządami do wykrywania skażeń. Wcześniej lekarz był niezwykle błądy i z nikim nie chciał rozmawiać. Niejeden mechanik dotknął

odruchowo palcem swojego dozymetru i sprawdził na zegarku, ile mu jeszcze zostało do końca wachty.

Dzień ósmy

PIĄTEK, 10 GRUDNIA

HMS „Invincible”

Ryan obudził się w ciemnościach. Oba bulaje w kabinie były zasłonięte. Potrząsnął

kilka razy głową, żeby oprzytomnieć, i zaczął rozglądać się dookoła. Kołysało, choć nie tak silnie, jak poprzednio. Wstał i zobaczył, jak za nimi, pod pędzonymi wiatrem chmurami, przebłyskiwały ostatnie promienie zachodzącego słońca. Rzucił okiem na zegarek i po krótkich obliczeniach doszedł do wniosku, że według lokalnego czasu powinna być mniej więcej szósta wieczór, czyli że ma za

sobą około sześciu godzin snu. Mimo to jednak czuł się nie najgorzej. Lekki ból głowy po brandy przeczył teorii, że jakoby po dobrym alkoholu nie ma się kaca. Dla rozruszania zesztywniałych mięśni zrobił kilka przysiadów.

Do kabiny przylegała miniaturowa łazienka, właściwie średnich rozmiarów toaleta, pomyślał. Opryskał twarz i przepłukał usta, starannie unikając spoglądania w lustro, w końcu jednak zebrał się na odwagę. Trzeba dokonać przeglądu umundurowania. Zważywszy na brak czasu, CIA wykonała całkiem udaną robotę krawiecką. Dobrą minutę zajęło mu wygładzenie munduru i doprowadzenie włosów do ładu. W końcu wyszedł na korytarz i ruszył w stronę mostka.

- Lepiej, Jack? - Admirał White wskazał na tacę z filiżankami herbaty, ale na początek dobre i to.

- Dziękuję, panie admirale. Tych parę godzin snu dużo mi dało. Dojrzałem już do kolacji.

- Chyba do śniadania - poprawił go ze śmiechem White.

- Przepraszam, co takiego? - Ryan znów potrząsnął głową. Czuł się jeszcze trochę senny.

- To jest wschód słońca. Zmieniono rozkazy i znów płyniemy na zachód. „Kennedy”

idzie pełną parą w przeciwnym kierunku, a my mamy zająć stanowisko bliżej brzegu.

- Czyj to rozkaz, panie admirale?

- Dowódcy Obszaru Atlantyku. Wyobrażam sobie, że Joshua musiał być wściekły. Na razie masz zostać z nami, więc najrozsądniejszym wyjściem było pozwolić ci się spokojnie wyspać. Wydawałeś się trochę zmęczony.

Czyli że spałem osiemnaście godzin, pomyślał Ryan. Nic dziwnego, że tak zesztywniałem.

- Teraz wyglądasz o wiele lepiej - zawyrokował White z wyżyn skórzanego obrotowego fotela. Wstał, wziął Ryana pod ramię i poprowadził korytarzem w stronę rufy.

- Czekałem na ciebie ze śniadaniem. Kapitan Hunter wyjaśni ci nasze najnowsze rozkazy. Meteo twierdzi, że przez kilka dni pogoda będzie nieco lepsza. Eskorta się przegrupowała. Mamy teraz współdziałać z waszą grupą „New Jersey”. Działania przeciwpodwodne zaczynamy na całego za dwanaście godzin. Całe szczęście, że złapałeś trochę snu. Będzie teraz jak znalazł.

Ryan potarł ręką podbródek.

- Czy mogę się ogolić?

- W brytyjskiej marynarce toleruje się brody. Golenie może poczekać. Chodźmy na śniadanie.

Przedział admirałski na HMS „Invincible” nie był równie efektowny, jak na

„Kennedy”, ale niewiele od niego odbiegał. White miał do swojej dyspozycji osobną jadalnię. Ubrany na białą steward obsługiwał ich szybko i sprawnie, nakrył też dla Huntera, który zjawił się po kilku minutach. Gdy rozpoczęli rozmowę, steward zostawił ich samych.

- Za dwie godziny będą tu dwie wasze fregaty klasy *Knox*. Mamy je już na radarach.

Za sześć godzin dołączą do nas jeszcze dwie pięćdziesiątki dwójki, tankowiec oraz dwie jednostki klasy *Perry*. Wracają z Morza Śródziemnego. Z naszą własną eskortą daje to razem dziewięć okrętów wojennych. Całkiem spore zgrupowanie. Mamy działać w odległości dziewięciuset kilometrów od wybrzeży, mając grupy „New Jersey” i „Tarawy” o czterysta kilometrów na zachód.

- „Tarawa”? A po co nam marines? - zapytał Ryan.

- To całkiem niezły pomysł. - kończył wyjaśnienia Hunter.

- Najśmieszniejsze, że w sytuacji, gdy „Kennedy” idzie pełną mocą na Azory, na brytyjską marynarkę spadło zadanie obrony Ameryki, po raz pierwszy od tamtych czasów, gdy należała do nas.

- Kto będzie naszym przeciwnikiem?

- Cztery pierwsze *Alfy* dotrą do waszych wybrzeży dziś wieczór. Wczoraj w nocy radziecka flota nawodna przeszła koło Islandii. Podzieliła się na trzy zespoły. Pierwszy, zgrupowany wokół lotniskowca „Kijów”, składa się z dwóch krążowników i czterech niszczycieli. W drugim, prawdopodobnie flagowym, poza „Kirowem” są jeszcze trzy krążowniki i sześć niszczycieli. Trzecia grupa to „Moskwa”, trzy krążowniki i siedem niszczycieli. Spodziewam się, że Rosjanie zechcą użyć zespołów „Kijowa” i „Moskwy” od strony wybrzeży, z „Kirowem” jako osłoną od strony morza, ale przemieszczenie

„Kennedy’ego” zmusi ich do zmiany planów. Ogólnie biorąc, cała flota dysponuje sporą liczbą pocisków raketowych klasy woda-woda, natomiast my jesteśmy potencjalnie odsłonięci. Dla równowagi, wasze lotnictwo przydzieliło nam *Sentry* E-3, który za godzinę rozpoczyna pracę z naszymi *Harrierami*, a gdy dotrzemy dalej na zachód, dostaniemy dodatkowe wsparcie lotnicze z lądu. W sumie nasza pozycja nie jest do pozazdroszczenia, ale wujek Wania znajdzie się w jeszcze gorszej. Jeśli zaś chodzi o namierzenie „Czerwonego Października”... - Hunter wzruszył ramionami - ...nasze poszukiwania będą zależały od rozlokowania Rosjan. Tymczasem prowadzimy tylko ćwiczenia taktyczne o ograniczonym zasięgu. Pierwsza *Alfa* znajduje się o sto pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód, robiąc ponad czterdzieści węzłów. Poszukuje jej nasz śmigłowiec, co powinno najzupełniej wystarczyć - zakończył oficer operacyjny. - Zejdzie pan ze mną na dół?

- Czy pozwoli pan, admirale? - Ryan ciekaw był, jak wygląda bojowy ośrodek informacyjny na „Invincible’u”.

- Proszę bardzo.

Pół godziny później znalazł się w przyziemnym i wyciszonym pomieszczeniu wyłożonym sprzętem

elektronicznym i szklanymi tablicami nakresowymi. Atlantyk był pełen radzieckich okrętów podwodnych.

Biały Dom

Ambasador radziecki wszedł do gabinetu prezydenta o minutę za wcześnie, o 10.59

rano. Był to niski, tęgawy mężczyzna z szeroką słowiańską twarzą i oczami, jakich mógł mu pozazdrościć niejeden wytrawny pokerzysta. Nic z nich nie dałoby się wyczytać. Ten zawodowy dyplomata odsłużył już swoje na licznych placówkach na Zachodzie, a od trzydziestu lat był członkiem wydziału zagranicznego KC.

- Dzień dobry, panie prezydencie! Witam pana, doktorze Pelt! - Aleksiej Arbatow uprzejmie uklonił się obydwu czekającym na niego mężczyznom. Prezydent siedział za biurkiem. Arbatow pamiętał, że amerykański przywódca zazwyczaj najpierw wstawał, wychodził mu na spotkanie i dopiero gdy wymienili uścisk dłoni, siadał naprzeciw niego.

- Może kawy, panie ambasadorze? - zaproponował Pelt.

Arbatow dobrze znał specjalnego doradcę prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. Jeffrey Pelt był pracownikiem naukowym w Centrum Międzynarodowych Badań Strategicznych w Georgetown University. Przeciwnik, ale *kulturny*, o doskonałych manierach, Arbatow cenił sobie znajomość niuansów ceremoniału. Pelt stał teraz u boku swego szefa, trzymając się z dala od rosyjskiego niedźwiedzia. Ambasador odmówił

poczęstunku.

- Panie ambasadorze - zaczął Pelt - mamy ostatnio do czynienia z niepokojącym wzrostem aktywności radzieckiej floty na północnym Atlantyku.

- Czyżby? - Brwi ambasadora skoczyły do góry w wyrazie zdumienia, na który nikt się nie dał nabrać, czego Arbatow w pełni był świadom. - Nic nie wiem na ten temat. Jak panom wiadomo, sam nigdy nie pływałem.

- Czy nie dałoby się obejść bez wygłupów, panie ambasadorze? - powiedział

prezydent.

Arbatow nie pozwolił sobie na okazanie zdziwienia. Wulgaryzm w ustach prezydenta zabrzmiał niezwykle swojsko i prezydent, podobnie jak radzieccy oficjele, potrzebował

pomocy takich profesjonalistów jak Pelt, żeby łagodzić nieprzyjemne wrażenia.

- Setka waszych okrętów działa na północnym Atlantyku lub kieruje się w tę stronę.

Wiele lat temu przewodniczący Narmonow podpisał z moim poprzednikiem porozumienie, w myśl którego o wszystkich większych operacjach morskich będzie uprzedzona druga strona.

Porozumienie to miało zapobiec zbędnemu zaognianiu stosunków między Związkiem Radzieckim a Stanami Zjednoczonymi i dotychczas obie strony go przestrzegały. Obecnie moi doradcy wojskowi twierdzą, że to, co się dzieje, wygląda na manewry, a może być nawet początkiem wojny. Nie jesteśmy w stanie odróżnić manewrów od działań wojennych. Wasze okręty płyną obecnie na wschód od Islandii i wkrótce zajmą pozycje, z których mogą zagrozić naszym szlakom żegludowym do Europy Zachodniej. Jest to sytuacja w najlepszym przypadku niepokojąca, a w najgorszym, stanowi poważną i niczym nieuzasadnioną prowokację. Opinia publiczna nie zdaje sobie jak dotąd sprawy z rozmiarów tej operacji. Gdy informacje na ten temat zostaną upowszechnione, naród amerykański zacznie się domagać ode mnie konkretnych działań. - Prezydent przerwał, oczekując reakcji, ale Arbatow tylko skinął głową.

Głos zabrał Pelt.

- Panie ambasadorze, Związek Radziecki najwyraźniej odrzuca układ, który od lat stanowi podstawę współpracy między Wschodem i Zachodem. Czy spodziewa się pan, że nie uznamy tego za prowokację?

- Panie prezydencie, panie doktorze, zapewniam, że nic na ten temat nie wiem -

kłamał Arbatow tonem pełnym szczerości. - Natychmiast porozumiem się z Moskwą i dowiem się, o co chodzi. Czy życzy pan sobie, panie prezydencie, abym przekazał jakąś wiadomość?

- Tak - powiedział prezydent. - Zarówno pan, jak i pańscy przełożeni w Moskwie zdają sobie doskonale sprawę, że przy użyciu okrętów i samolotów będziemy ściśle kontrolować wasze działania. Wymaga tego ostrożność. Nie chcemy utrudniać żadnych działań zgodnych z porządkiem prawnym, ale według istniejących ustaleń, mamy prawo wiedzieć, co to za działania. Dopóki nie zostaniemy o tym poinformowani, nie możemy wydać naszym ludziom odpowiednich rozkazów. Rząd radziecki powinien wziąć pod uwagę, że takie nagromadzenie po obu stronach okrętów i samolotów stwarza potencjalnie niebezpieczną sytuację. Nie można wykluczyć wypadku. Działanie jednej ze stron, które w innych okolicznościach wydawałoby się niegroźne, może zostać wtedy potraktowane zupełnie inaczej, co może grozić nawet wybuchem wojny. - Prezydent przerwał i odchylił się w fotelu do tyłu. Ostatnie zdanie zawisło w powietrzu. Dokończył już o wiele łagodniej. - Możliwość wybuchu konfliktu zbrojnego uznaję oczywiście za odległą, ale stwarzanie takiego zagrożenia, nie jest chyba przejawem odpowiedzialności?

- Panie prezydencie, jak zwykle wyraża się pan jasno, ale zdaje pan sobie sprawę, że po oceanach może pływać każdy...

- Panie ambasadorze - przerwał Pelt - proszę sobie wyobrazić taką sytuację, że pana sąsiad zaczyna krążyć z załadowaną dubeltówką przed swoim domem, podczas gdy obok bawią się pana dzieci. W naszym kraju takie działanie jest teoretycznie zgodne z prawem. A jednak, czy nie byłby pan

zaniepokojony?

- Oczywiście że tak, panie doktorze, ale sytuacja, którą pan opisuje w swoim przykładzie, jest zupełnie odmienna...

- Istotnie - wtrącił się tym razem prezydent. - Sytuacja, z którą mamy do czynienia, jest o wiele bardziej niebezpieczna. Złamany został ważny układ, co uważam za szczególnie niepokojące. Miałem nadzieję, że wkraczamy w nową epokę rozwoju stosunków radziecko-amerykańskich. Rozwiązano ostatnio problemy handlowe. Właśnie podpisaliśmy nową umowę w sprawie sprzedaży zboża. Pana udział w tych porozumieniach był bardzo poważny.

Szliśmy do przodu, panie ambasadorze, ale czyżby to miało się skończyć? - Prezydent pokręcił głową. - Mam nadzieję, że nie, wszystko jednak zależy teraz od was. Stosunki między naszymi krajami mogą opierać się tylko na prawdzie. Mam nadzieję, że nie zaalarmowałem pana przesadnie, panie ambasadorze. Mam zwyczaj mówić prosto z mostu.

Nie gustuję w dyplomatycznej obłudzie. W takich przypadkach jak ten, musimy porozumiewać się w sposób możliwie zrozumiały i sprawny. Sytuacja jest niebezpieczna i trzeba szybko ją rozwiązać wspólnymi siłami. Nasi wojskowi są bardzo zaniepokojeni i muszą dziś jeszcze wiedzieć, co szykuje wasza marynarka. Na odpowiedź oczekuję do siódmej wieczór. Jeśli jej nie otrzymam, zażądam wyjaśnień bezpośrednio z Moskwy.

Arbatow wstał.

- Panie prezydencie, przekażę pana słowa w ciągu godziny. Proszę jednak pamiętać o różnicy czasu między Moskwą a Waszyngtonem...

- Zdaję sobie sprawę, że właśnie zaczął się weekend i że Związek Radziecki jest rajem ludu pracującego, mam jednak nadzieję, że przynajmniej niektórzy z przywódców waszego kraju będą jeszcze w pracy. A więc nie zatrzymuję pana. Do widzenia.

Pelt odprowadził Arbatowa, po czym wrócił do pokoju i usiadł.

- Czy potraktowałem go za ostro? - zapytał prezydent.

- Owszem, panie prezydencie - odparł Pelt, uważając, że prezydent przesadził. Nie darzył Rosjan nadmierną sympatią, ale on również lubował się w niuansach dyplomatycznej gry. - Można powiedzieć, że dał mu pan dobitnie do zrozumienia, jakie jest pana stanowisko.

- Arbatow wie.

- Wie, ale nie wie, że my wiemy.

- Prawdopodobnie. - Prezydent skrzywił się. - Co to za cholerna, idiotyczna gra! I pomyśleć, że wsadzając do więzienia mafiosów, miałem przed sobą widoki na bezpieczną i przyjemną karierę... Myślisz, że chwyci przynętę?

- „Działania zgodne z porządkiem prawnym” . Widział pan, jak zacisnął wtedy dłonie?

Chwyci to jak marlin mątwę. - Pelt poszedł nalać sobie kawy. Lubił porcelanę ze złożonymi brzegami. - Ciekawe, jak to nazwą... Działania zgodne z porządkiem prawnym...

prawdopodobnie operacja ratunkowa. Jeśli powiedzą, że to manewry, będą musieli tym samym przyznać się do złamania zasad porozumienia o wcześniejszym powiadomianiu.

Operacja ratunkowa usprawiedliwia zarówno rozmiary zaangażowanych środków, szybkość, z jaką ją zmontowano, i kompletną tajność. U nich nigdy się nie pisze w prasie o takich sprawach. Przepuszczalnie więc nazwą to operacją ratunkową i powiedzą, że zaginął im okręt podwodny. Mogą nawet przyznać, że to okręt rakietowy.

- Nie, do tego się raczej nie posuną. Istnieje też układ o trzymaniu okrętów rakietowych o dziewięćset kilometrów od brzegu. Arbatow prawdopodobnie już dostał

instrukcje o tym, co ma nam przekazać, ale próbuje jeszcze maksymalnie grać na zwłokę.

Zachodzi też oczywiście taka możliwość, że o niczym nie wie. Przy istniejącej u nich tajności nie jest to niemożliwe. Myślisz, że przeceniamy jego talent dyplomatyczny?

- Chyba nie, panie prezydencie. Jedną z zasad dyplomacji jest, że trzeba znać choć część prawdy, żeby móc przekonująco kłamać.

Prezydent uśmiechnął się szeroko.

- Mieli już dosyć czasu na tego rodzaju zabawę. Mam nadzieję, że moja reakcja ich nie rozczarowała.

- Chyba nie. Aleks na wpół oczekiwał, że wykopie go pan za drzwi.

- Ja też kilka razy odniosłem takie wrażenie. Jestem raczej odporny na jego dyplomatyczne wdzięki. Zawsze mam ten problem z Rosjanami. Za bardzo przypominają mi mafiosów, z którymi miałem do czynienia w sądach. Ten sam rodzaj poluru, dobrych manier i identyczne wypranie z moralności. - Prezydent pokręcił głową. Znów zaczął przypominać jastrzębia.

- Bądź pod ręką, Jeff. Za kilka minut spodziewam się George'a Farmera, ale chciałbym, żebyś był, gdy wróci nasz przyjaciel.

W drodze do swojego gabinetu Pelt zastanawiał się nad słowami prezydenta. Z

grubsza biorąc, miał rację. Największą zniewagą dla wykształconego Rosjanina będzie powiedzieć mu, że jest *niekulturny*. A jednak ten sam człowiek, który potrafi wrzuszać się do łez na przedstawieniu Borysa Godunowa w operze moskiewskiej, może za chwilę bez drgnienia powieki nakazać egzekucję lub uwięzienie setek ludzi. Dziwna mentalność i jeszcze dziwniejszy stosunek do polityki. Prezydent jest jednak zbyt ostry i Pelt bardzo by chciał

trochę go złagodzić. Przemówienie do Legionu Amerykańskiego to jedna sprawa, a rozmowy z ambasadorem obcego mocarstwa - druga.

Siedziba CIA

- Kardynał ma kłopoty, panie sędzio - powiedział Ritter, siadając.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Moore zdjął okulary i przetarł oczy.

Ryan nie widział najnowszego raportu od rezydenta w Moskwie mówiącego, że w celu przekazania ostatniego meldunku Kardynał ominął połowę łańcucha kurierskiego łączącego Kreml z ambasadą Stanów Zjednoczonych. Na stare lata agent stawał się zuchwały.

- Co dokładnie mówi szef rezydentury?

- Kardynał jest prawdopodobnie w szpitalu z zapaleniem płuc. Może to prawda, ale...

- Starzeje się, a w Moskwie zima, ale trudno liczyć, że to przypadek. - Moore spuścił

wzrok na biurko. - Jak myślisz, co zrobią, jeśli go namierzeli?

- Umrze po cichu. Trochę zależy, kto go wykrył. Jeśli KGB, to mogą próbować go wykorzystać, szczególnie że osłabli bardzo po odejściu Andropowa. Ale mało prawdopodobne. Biorąc pod uwagę, kto go proteguje, wywołałoby to za dużo zamieszania.

Podobnie wojskowi z GRU. Pomagają go kilka tygodni i bez rozgłosu wykończą. Publiczny proces byłby raczej dla nich niewygodny.

Sędzia Moore zachmurzył się. Rozmawiali jak lekarze o umierającym pacjencie.

Moore nawet nie wiedział, jak Kardynał wygląda. Gdzieś w aktach powinno być jego zdjęcie, ale nigdy po nie nie sięgnął. Tak jest wygodniej. Jako sędzia sądu apelacyjnego nie musiał

patrzeć pod sądemu w twarz, a tylko analizował prawną stronę sprawy. Starzał się tak samo podchodzić do swoich obowiązków w CIA. Moore wiedział, że można to wziąć za tchórzostwo i że nie takiej postawy spodziewano się od naczelnego dyrektora wywiadu, ale szpiedzy też się starzeją, a z czasem pojawiają się wyrzuty sumienia i wątpliwości, które rzadko niepokoją młodszych. Najwyższa pora rozstać się z „Firmą”. Prawie trzy lata, i wystarczy. Zrobił już to, czego od niego oczekiwano.

- Przekaż do placówki w Moskwie, żeby nic nie robili. Żadnych prób ustalenia czegokolwiek w sprawie Kardynała. Jeśli naprawdę jest chory, to się wkrótce odezwie, jeśli nie, to też się wszystko niedługo wyjaśni.

- Tak jest.

Ritter zdołał potwierdzić informacje uzyskane od Kardynała. Jeden z agentów meldował, że flota płynie ze wzmocnioną obsadą oficerów politycznych, inny, że flotą nawodną dowodzi teoretyk i bliski przyjaciel Gorszkowa, który przyleciał z Siewieromorska i wszedł na pokład „Kirowa” w ostatniej chwili przed wypłynięciem floty. Przepuszczalnie jest z nim również konstruktor „Czerwonego Października”. Brytyjski agent donosił natomiast, że w pośpiechu zabrano z magazynów na lądzie detonatory do różnego rodzaju pocisków używanych przez jednostki nawodne. Ponadto przyszła niepotwierdzona wiadomość o zniknięciu admirała Korowa, dowódcy Floty Północnej. Miejsce jego pobytu było nieznane.

Już to wystarczyło dla potwierdzenia meldunku Willowa, a przez cały czas napływały nowe dane.

Akademia Marynarki Wojennej

Stanów Zjednoczonych

- Skip?

- Witam, panie admirale, proszę siadać. - Tyler wskazał wolne krzesło przy stole.

- Jest dla ciebie wiadomość z Pentagonu. - Komendant Akademii, były podwodniak, usiadł naprzeciw Tylera. - Masz spotkanie dziś o dziewiętnastej trzydzieści. Nic więcej nie podano.

- To świetnie! - Tyler właśnie kończył lunch. Od poniedziałku pracował bez przerwy nad programem symulacyjnym.

Spotkanie oznaczało, że będzie miał dostęp do Craya-2, komputera sił powietrznych.

Program był prawie gotów.

- Można wiedzieć, o co chodzi?

- Niestety, panie admirale, nie mogę powiedzieć. Wie pan, jak to jest.

Biały Dom

Ambasador radziecki pojawił się znów o czwartej po południu. Żeby nie wzbudzać ciekawości prasy, wprowadzono go do budynku Departamentu Skarbu po drugiej stronie ulicy, skąd do Białego Domu dostał się przez łączący obydwa budynki tunel, o którego istnieniu mało kto wie. Prezydent miał nadzieję, że zachwieje to trochę poczuciem pewności siebie Rosjanina. W ostatniej chwili zdążył nadejść Pelt.

- Panie prezydencie - przywitał się Arbatow, stojąc na baczność. Prezydent ze zdziwieniem dostrzegł, że Arbatow ma wojskowe nawyki. - Mój rząd polecił mi przekazać wyrazy ubolewania, że z braku czasu nie mogłem powiadomić pana w porę. Zaginął jeden z naszych okrętów podwodnych o napędzie nuklearnym. Prowadzimy doraźną operację ratunkową.

Prezydent poważnie skinął głową, wskazując ambasadorowi krzesło. Pelt zasiadł

obok.

- Cała sprawa jest nieco kłopotliwa, panie prezydencie. Orientuje się pan zapewne, że w naszej marynarce stanowiska oficerskie na atomowych okrętach podwodnych mają zasadnicze znaczenie i podobnie jak u was dobiera się na nie najlepiej wyszkolonych i zaufanych ludzi. W tym akurat przypadku kilku członków załogi, to znaczy oficerów, jest synami wysokich rangą funkcjonariuszy partyjnych. Jeden z nich to nawet syn członka Komitetu Centralnego, nie mogę rzecz jasna zdradzić nazwiska. Dlatego gorliwość radzieckiej marynarki w poszukiwaniu zaginionego okrętu jest w pełni zrozumiała, choć trzeba przyznać, że nieco chaotyczna. - Arbatow wspaniale udawał zakłopotanie i mówił tak, jakby ujawniał sekret rodzinny.

- Zaangażowano wszystkie będące do dyspozycji siły. I, jak z pewnością pan wie, całą operację przygotowano praktycznie z dnia na dzień.

- Rozumiem - powiedział ze współczuciem prezydent. - Teraz czuję się o wiele lepiej.

Ranek już minął, więc może wypijemy po szklaneczce? Bourbona, panie ambasadorze?

- Bardzo chętnie.

Pelt podszedł do palisandrowej szafki przy ścianie. Antyczny mebel krył w swoim wnętrzu barek - niewielki, ale zaopatrzony nawet w zmieniane codziennie wiaderko z lodem.

Prezydent lubił napić się trochę przed obiadem, przypominając tym Arbatowowi rodaka. Dr Pelt nabył już dużego doświadczenia jako osobisty barman prezydenta. Po kilku minutach wrócił z trunkiem.

- Prawdę mówiąc, do pewnego stopnia podejrzewaliśmy, że to operacja ratownicza - powiedział, podając szklanki.

- Zastanawiam się, co sprawia, że młodzi ludzie w ogóle podejmują służbę na okrętach podwodnych.
- Prezydent pociągnął ze szklanki.

Arbatow nie zostawał w tyle. Często zdarzało mu się twierdzić na dyplomatycznych przyjęciach, że woli amerykańskiego bourbona od rosyjskiej wódki. Być może istotnie tak było.

- Sami straciliśmy, jak mi się zdaje, dwa okręty atomowe. A wy chyba trzy albo cztery?

- Nie wiem, panie prezydencie. Wydaje mi się, że pana informacje na ten temat są dokładniejsze od moich - odparł ambasador, a prezydent uznał, że prawdopodobnie po raz pierwszy tego dnia Arbatow powiedział prawdę. - Ale zgadzam się z panem, że służba na tych okrętach wymaga doskonałego wyszkolenia i jest wyjątkowo niebezpieczna.

- Ilu ludzi jest na pokładzie? - zapytał prezydent.

- Nie mam pojęcia. Mniej więcej stu, jak sędzę. Nigdy nie byłem na pokładzie żadnego okrętu.

- Większość z nich to dzieciaki, tak jak u nas. To naprawdę przygnębiające, że z powodu wzajemnej nieufności między naszymi krajami młodzi ludzie idą do służby, z której wielu nie wróci do domu. Ale czy można tego uniknąć? - Prezydent przerwał, odwracając się do okna. Na trawnikach od południa topniał śnieg. Po chwili podjął przerwany wątek. -

Powinniśmy jakoś wam pomóc - stwierdził w zamyśleniu. - Tak, ta tragedia powinna stać się okazją do zmniejszenia wzajemnej podejrzliwości. Powinno wynikać z niej jakieś dobro, musimy pokazać, że nasze wzajemne stosunki naprawdę się polepszyły.

Pelt odwrócił się w poszukiwaniu fajki. Jego przyjaźń z prezydentem trwała już wiele lat, ale wciąż zdumiewało go, na jak wiele ten człowiek może sobie pozwolić. Poznali się na uniwersytecie w Waszyngtonie, gdzie Pelt studiował nauki polityczne, a przyszły prezydent robił wstępny kurs prawa, działając ponadto w kółku dramatycznym. Teatr amatorski niewątpliwie ułatwił mu karierę prawniczą. Mówiło się swego czasu, że co najmniej jeden z wielkich mafiosów wylądował za kratkami tylko dzięki talentowi retorycznemu prezydenta, który nazywał to uczciwą grą aktorską.

- Panie ambasadorze, ofiarowuję zasoby i pomoc Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu pańskich zaginionych rodaków.

- To bardzo uprzejmie z pana strony, panie prezydencie, ale...

- Żadnych ale, panie ambasadorze - zaproponował prezydent, podnosząc rękę - jeśli nie zaczniemy współpracować w tego rodzaju przypadkach, to chyba nigdy się nie nauczymy współdziałania w bardziej skomplikowanych sprawach. O ile pamiętam, rok temu jeden z samolotów patrolowych naszej marynarki rozbił się w pobliżu Aleutów i radziecki statek rybacki (a dokładniej, o czym prezydent dobrze wiedział, statek szpiegowski) wyłowił załogę, ratując jej życie. Mamy wobec was dług, panie ambasadorze, dług honorowy, a nikt nie może powiedzieć, że Stany Zjednoczone są niewdzięczne. - Tu przerwał dla większego efektu. -

Prawdopodobnie wasi ludzie już nie żyją. Przeżycie wypadku na okręcie podwodnym jest chyba równie mało prawdopodobne, jak w przypadku katastrofy lotniczej. Ale przynajmniej rodziny marynarzy poznają prawdę. Jeff, mamy chyba jakiś specjalistyczny podwodny sprzęt ratowniczy?

- Marynarka zżera tyle pieniędzy, że muszą mieć coś takiego. Zapytam Fostera.

- Doskonale - powiedział prezydent. - Trudno oczekiwać, żebyśmy zupełnie pozbyli się wzajemnej podejrzliwości z tak drobnego powodu. Uniemożliwia to cała dotychczasowa historia naszych wzajemnych stosunków. Ale zrobmy dobry początek. Jeśli możemy podawać sobie ręce w przestrzeni kosmicznej albo przy stole w Wiedniu, być może potrafimy także zdobyć się na to również i tym razem. Zaraz po pańskim wyjściu wydam niezbędne rozkazy.

- Dziękuję, panie prezydencie. - Arbatow ledwo zdołał ukryć zakłopotanie.

- Proszę również przekazać moje wyrazy szacunku sekretarzowi generalnemu Narmonowowi oraz

współczucia rodzinom zaginionych marynarzy. Doceniam jego i pański wkład w dostarczenie nam tych informacji.

- Dziękuję, panie prezydencie. - Arbatow wstał.

Na pożegnanie podali sobie ręce. Co szykują Amerykanie? Ostrzegał Moskwę: jeśli powiecie, że to operacja ratownicza, będą chcieli pomagać. Amerykanie mają teraz ten idiotyczny okres świąt, a uwielbiają szczęśliwe zakończenia. Układy czy nie układy, ale trzeba oszaleć, żeby zrobić z tego operację ratowniczą.

Jednocześnie Arbatow nie mógł nie podziwiać prezydenta. Dziwny człowiek, bardzo otwarty, ale nie mniej przebiegły. Na ogół zachowuje się przyjaźnie, ale nie przepuści żadnej okazji do zdobycia przewagi. Nasuwały mu się tu opowieści babki o Cygankach podmieniających dzieci. Prezydent był bardzo rosyjski.

- A więc - powiedział prezydent, gdy drzwi zamknęły się za radzieckim ambasadorem

- pozwoli nam to trzymać ich na oku, tak że nie będą mogli nic zrobić. Wiemy, że kłamią, ale oni nie wiedzą, że my wiemy. My też kłamiemy, czego się domyślają, ale nie wiedzą, dlaczego to robimy. Do licha! A sam mu jeszcze powiedziałem rano, że niewiedza jest niebezpieczna! Zastanowiwszy się nad tym wszystkim, muszę powiedzieć, że bardzo mi się nie podoba to, iż będą operować przy samych naszych wybrzeżach tak dużym zgrupowaniem.

Ryan miał rację, Atlantyk to nasz ocean. Lotnictwo i marynarka muszą ich dokładnie przykryć! To nasz ocean i mają, do ciężkiej cholery, cały czas o tym pamiętać! - Prezydent wychylił szklanekę. - Jeśli chodzi natomiast o okręt podwodny, to niech nasi ludzie dokładnie się temu przyjrzą. Zajmiemy się każdym członkiem załogi, który zechce zostać w Stanach.

Oczywiście po cichu.

- Oczywiście. Mieć oficerów znaczy praktycznie tyle samo, co przechwycić sam okręt.

- Ale marynarka i tak będzie chciała zatrzymać okręt.

- Nie widzę, żeby to było możliwe bez pozbycia się załogi, a tego przecież nie możemy zrobić.

- Oczywiście. - Prezydent wezwał sekretarkę. - Proszę odszukać generała Hiltona.

Pentagon

Centrum komputerowe lotnictwa znajduje się w podziemiach Pentagonu. Panuje tam temperatura poniżej dwudziestu stopni. Wystarczyło, żeby Tylera zaczęła boleć noga w miejscu, gdzie kikut stykał się z wykonaną z metalu i plastyku protezą. Przywykł do tego.

Skip zasiadł przy konsoli terminalu. Skończył właśnie próbę nowego programu, który ochrzcił „Murena” od nazwy złośliwej ryby zamieszkującej rafy oceaniczne. Skip Tyler był

bardzo dumny ze swego talentu programisty. Wziął stary program z zasobów Taylor Laboratory, przystosował go do używanego w Departamencie Obrony języka programowania ADA, nazwanego tak od imienia córki lorda Byrona, lady Ady Lovelace, i skrócił. Dla większości ludzi oznaczałoby to co najmniej miesiąc pracy. Tyler wykonał wszystko w ciągu czterech dni, pracując dzień i noc nie tylko ze względu na atrakcyjne wynagrodzenie, ale również dlatego, że zadanie było wyzwaniem dla jego umiejętności zawodowych. Zakończył

pracę, udowodniwszy samemu sobie, że potrafi dotrzymać prawie niewykonalnego terminu i jeszcze zostaje mu trochę czasu w zapasie. Była ósma wieczór. Przetestowana na jednej zmiennej „Murena” wytrzymała. Pora zaczynać.

Craya-2 widział tylko na zdjęciach i cieszył się teraz, że ma okazję na nim pracować.

Komputer składał się z pięciu mniej więcej pięciokątnych bloków, o wysokości około dwóch metrów i szerokości półtora metra. Największy blok mieścił główny bank procesorów, pozostałe cztery, rozstawione na krzyż wokół głównego, zawierały banki pamięci. Tyler napisał rozkaz załadowania zbiorów danych do pamięci. Dla każdego z głównych wymiarów

„Czerwonego Października” - długości, szerokości i wysokości - podstawił dziesięć różnych wartości cyfrowych. Ponadto przygotował sześć nieco różniących się między sobą liczbowych opisów kształtu kadłuba, współczynników brył i kątów nachylenia płaszczyzn.

Dalej pięć serii możliwych wymiarów tunelu napędowego. Wszystko razem składało się na ponad trzysta tysięcy możliwych permutacji. Tyler wprowadził następnie osiemnaście zmiennych obejmujących możliwą wydajność napędu. Cray-2 przyjął dane i umieścił je w odpowiednich miejscach pamięci. Wszystko było gotowe do pracy.

- Gotowe - rzucił operatorowi systemu, starszemu sierżantowi lotnictwa.

- Tak jest! - Sierżant napisał komendę XQT na swoim terminalu.

Cray-2 zaczął pracować, a Tyler podszedł do konsoli sierżanta.

- Pana program jest dość długi - zauważył sierżant, kładąc dziesięciodolarowy banknot na konsoli. - Założę się, że moje pudełeczko zrobi wszystko w dziesięć minut.

- Niemożliwe. - Tyler położył obok własną dziesiątkę. - Co najmniej piętnaście minut.

- Jeśli dłużej niż dwanaście i pół, pan wygrywa.

- Niech będzie. Gdzie tu jest toaleta?

- Za drzwiami w prawo, przez hol, i po lewej stronie.

Tyler ruszył do wyjścia. Złościło go, że chodzi tak niezgrabnie, ale po czterech latach zdążył się już z tym pogodzić. Najważniejsze, że żyje. Wypadek miał miejsce pewnej chłodnej, jasnej nocy w Gronton w Connecticut, niedaleko głównej bramy stoczni. Jechał do domu po dwudziestu godzinach pracy nad przygotowaniem świeżo objętego okrętu do wyjścia w morze. Cywilny pracownik stoczni również miał za sobą długi dzień. Jak ustaliła policja, zatrzymał się w ulubionej knajpie i wypił kilka kolejek za dużo. Wsiadł do samochodu i przejechał skrzyżowanie przy czerwonym świetle, uderzając z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę w pontiaca Tylera. Była trzecia nad ranem w piątek.

Dla niego wypadek okazał się śmiertelny, Tyler miał więcej szczęścia. Przejeżdżał właśnie skrzyżowanie na zielonym świetle, a gdy o pół metra od swoich drzwi zobaczył zderzak fordą, było już za późno. Stracił przytomność i samochód wjechał przez witrynę do wnętrza sklepu. Następny tydzień, gdy walczył ze śmiercią w klinice uniwersytetu Yale, był jedną białą plamą. Najżywszym wspomnieniem po przebudzeniu (jak się później dowiedział, po ośmiu dniach) była jego żona, Jean, trzymająca go za rękę. Dotychczas ich małżeństwo nie układało się najlepiej, jak to często bywa w rodzinach oficerów atomowych okrętów podwodnych. Jej wygląd był raczej żalony, miała przekrwione oczy i potargane włosy, ale nigdy jeszcze nie czuła się lepiej. Wtedy dopiero zdał sobie w pełni sprawę, ile dla niego znaczy. O wiele więcej niż pół nogi.

- Skip? Skip Tyler!

Były podwodniak odwrócił się niechętnie i zobaczył, że biegnie w jego stronę jakiś oficer marynarki.

- Johnnie Coleman! Jak się masz, stary!

Tyler zauważył, że Coleman jest już komandorem. Służyli razem dwukrotnie. Rok na

„Tecumsehu” i rok na „Sharku”. Coleman, specjalista od uzbrojenia, dowodził po kolei dwoma okrętami atomowymi.

- Jak rodzina, Skip?

- Jean czuje się świetnie. Mamy pięcioro dzieci i szóste w drodze.

- Cholera! - Coleman mocno uściśnął mu rękę. - Zawsze byłeś niewyżyty! Słyszałem, że uczysz w Annapolis.

- Tak i trochę projektuję na boku.

- Co tu robisz?

- Testuję program na komputerze lotnictwa. Sprawdzam dane nowej jednostki dla Dowództwa Systemów Morskich. - Było to wystarczająco bliskie prawdy. - A ciebie po co tu trzymają?

- Biuro OP-02. Kieruję sztabem admirała Dodge'a.

- No, no. - Na Tylerze zrobiło to spore wrażenie. Wiceadmirał Sam Dodge, zastępca szefa sztabu marynarki do spraw działań podwodnych, ma kontrolę nad wszystkimi aspektami operacji okrętów podwodnych. - Roboty ci chyba nie brakuje?

- Słyszałeś, co się dzieje?! Niezły bigos!

- Co masz na myśli? - Od poniedziałku Tyler nie oglądał telewizji ani nie miał w rękach gazety.

- Żartujesz sobie chyba?

- Od poniedziałku pracowałem po dwadzieścia godzin nad tym programem komputerowym. Poza tym nie dostaję już meldunków operacyjnych. - Tylerowi coś się wczoraj w akademii obiło o uszy, ale nie zwrócił na to uwagi. Należał do ludzi, którzy potrafią bez reszty skupić się na jednej rzeczy.

Coleman rozejrzał się po korytarzu. Był piątek wieczór i wokół ani żywej duszy.

- Mogę ci chyba zdradzić to i owo. Nasi radzieccy przyjaciele zaczęli jakieś większe manewry. Mają na naszym terenie albo w pobliżu całą Flotę Pomocną. Rozstawili wszędzie okręty podwodne.

- W jakim celu?

- Nie wiemy na pewno. Wygląda to na jakąś większą operację poszukiwawczo-ratowniczą. Nie wiadomo tylko, co ratują. Cztery *Alfy* idą pełną parą do naszych wybrzeży, a za nimi całe stado *Victorów* i *Charlie*. W pierwszej chwili obawialiśmy się, że chcą zablokować szlaki handlowe, ale tylko przez nie przeszli. Najwyraźniej idą do naszych wybrzeży i niezależnie od tego, o co im chodzi, dostajemy całe tony informacji.

- Co mają? - zapytał Tyler.

- Pięćdziesiąt osiem atomowych okrętów podwodnych i około trzydziestu jednostek nawodnych.

- Nielicho! Dowódca na Atlantyk musi dostawać kota.

- Domyślasz się, co się dzieje, Skip. Cała flota jest na morzu. Wszystkie okręty podwodne przechodzą na nowe pozycje. Wszystkie *Lockheedy* P-3 są nad Atlantykiem albo w drodze... - Coleman przerwał. - Nadal masz prawo dostępu do tajnych informacji?

- Jasne, ze względu na to, co robię dla ludzi z Cristal City. Robiłem im ocenę nowego

„Kirowa”.

- Tak myślałem, że to chyba twoje dzieło. Zawsze byłeś doskonałym mechanikiem.

Czy wiesz, że stary ciągle jeszcze pamięta twoją robotę na „Tecumsehu”? Może dałoby się tak zrobić, żebyś zobaczył, co się dzieje? Tak, muszę go poprosić.

Zaraz po ukończeniu szkoły podwodniaków w Idaho Tyler służył u Dodge’a. Przy odrobinie twórczego wysiłku i sobie tylko wiadomymi sposobami, zdobywając o wiele szybciej części zamienne, wykonał trudną naprawę w zapasowych obwodach reaktora o dwa tygodnie wcześniej niż przewidywano. On i Dodge dostali za to piękny list pochwalny od admirała.

- Założę się, że stary bardzo się ucieszy. Długo jeszcze będziesz zajęty?

- Jakies pół godziny.

- Wiesz, gdzie nas znaleźć?

- OP-02 jest w tym samym miejscu, co przedtem?

- W tym samym. Zadzwoń, gdy będziesz wolny, mój numer wewnętrzny jest siedemdziesiąt osiem siedemset trzydzieści, dobrze? Muszę już wracać.

- Zadzwonię, dziękuję.

Tyler patrzył przez chwilę, jak jego dawny przyjaciel odchodzi korytarzem, po czym ruszył do toalety, zastanawiając się, co szykują Rosjanie. Coś, co sprawia, że takie szczyty jak wiceadmirał i jego komandor siedzą w pracy w piątkowy wieczór i to w okresie świąt Bożego Narodzenia.

- Jedenaście minut, pięćdziesiąt trzy i osiemnaście setnych sekundy - zameldował

sierżant, chowając do kieszeni oba banknoty.

Wydruk danych miał ponad dwieście stron. Pierwszą pokrywał postrzępiony wykres rozkładów naturalnych prędkości, a pod spodem krzywa predykcji szumów. Pozostałe strony zawierały wykresy poszczególnych możliwych zależności. Jak się spodziewał, wykresy były mało regularne. Krzywa prędkości wykazywała większość możliwych zależności w przedziale od dziesięciu do dwunastu węzłów, na ogólny zakres od siedmiu do osiemnastu węzłów. Krzywa szumów była zadziwiająco płaska.

- Niesamowita maszyna ten wasz komputer, sierżancie.

- Niesamowita i do tego pracuje prawie bez przerw. Niech pan sobie wyobrazi, że od miesiąca nie mieliśmy żadnej awarii elektroniki.

- Czy mogę zadzwonić?

- Nie ma sprawy.

- Dziękuję, sierżancie. - Tyler podniósł słuchawkę pierwszego z brzegu aparatu. - Aha, i proszę skasować program.

- Już to robię - potwierdził sierżant, wystukując kilka instrukcji. - „Murena”...

skasowana. Mam nadzieję, że zatrzymał pan sobie kopię?

Tyler skinął głową i wykręcił numer wewnętrzny.

- OP-02, mówi komandor Coleman.

- Johnnie, tu Skip.

- Świetnie! Stary czeka na ciebie, chodź zaraz na górę.

Tyler włożył wydruk do teczki i zamknął ją na kluczyk. Jeszcze raz podziękował

sierżantowi i pokuśtykał do drzwi, rzucając po raz ostatni okiem na Cray-2. Musi tu kiedyś wrócić.

Nie mogąc znaleźć czynnej windy, ruszył w górę łagodnie pnącą się rampą. Pięć minut później stał przed strzegącym korytarza wartownikiem z marines.

- Czy komandor Tyler to pan? - zapytał wartownik. - Proszę o dowód tożsamości.

Tyler podał kapralowi swoją przepustkę do Pentagonu, zastanawiając się, ilu jeszcze jednonogich byłych oficerów okrętów podwodnych może się tego wieczoru kręcić w pobliżu.

- Dziękuję, panie komandorze. Korytarzem prosto. Czy zna pan numer pokoju?

- Jasne. Dziękuję, kapralu.

Wiceadmirał Dodge siedział na rogu biurka, wczytując się w jakieś zawiłe depesze.

Ten niski mężczyzna o niespokojnych ruchach wyróżnił się najpierw, dowodząc po kolei trzema różnymi jednostkami, a później biorąc aktywny udział w całym skomplikowanym programie budowy torpedowych okrętów klasy *Los Angeles*. Teraz był „Wielkim Delfinem”, czyli starszym admirałem, który miał za sobą wiele potyczek z Kongresem.

- Skip Tyler! Świetnie wyglądasz, chłopcze. - Podali sobie ręce, a Dodge obrzucił

Tylera badawczym spojrzeniem. - Słyszałem, że bardzo cię chwalą w Akademii Marynarki.

- Nie narzekam, panie admirale. Czasami nawet zlecają mi podglądanie meczów przeciwnika.

- Hm, szkoda, że ostatnio nie wpuścili cię na rozpoznanie drużyny tych z armii.

Tyler teatralnie zwiesił głowę.

- Obserwowałem ich, ale w tym roku armia była zbyt mocna. Słyszał pan o ich środkowym napastniku?

- Nie, co takiego?

- Wybrał przydział do wojsk pancernych, no i zaraz wysłali go do Fort Knox, ale wcale nie po to, żeby się zapoznał z czołgami. Służy im tam za czołg.

- Cha, cha! - zaśmiał się Dodge. - Johnnie mówi, że masz całe stado nowych dzieci.

- Numer szósty spodziewany jest w końcu lutego - powiedział z dumą Tyler.

- Sześcioro? Nie jesteś chyba katolikiem albo mormonem? Po co ci ta wylęgarnia?

Tyler spojrział z ukosa na swego byłego szefa. Nigdy nie mógł pojąć panującego w atomowych okrętach podwodnych przesądu. To admirał Rickover wprowadził swojego czasu pojęcie „wylęgarni” deprecjonujące wielodzietne rodziny. Co w tym, do cholery, złego, że ma się więcej niż jedno dziecko?

- Panie admirale, od kiedy nie pływam, muszę mieć jakieś zajęcie na wieczory i niedziele - wyjaśnił Tyler, podnosząc znacząco brwi. - Słyszałem, że ruscy coś montują?

Dodge natychmiast spoważniał.

- Nie da się ukryć. Pięćdziesiąt osiem okrętów torpedowych, czyli wszystkie atomowe jednostki Floty Północnej, idą w naszą stronę w towarzystwie dużego zgrupowania nawodnego, a z tyłu ciągną prawie wszystkie jednostki pomocnicze.

- W jakim celu?

- Może ty się w tym połapiesz. Chodźmy do mojej wewnętrznej świątyni. - Dodge poprowadził Tylera do drugiego pomieszczenia, gdzie znajdowało się nowe urządzenie: ekran przedstawiający północny Atlantyk od zwrotnika Raka aż po lody polarne. Ekran ukazywał

setki statków. Jednostki handlowe oznaczono na biało, z flagami określającymi ich przynależność państwową. Okręty radzieckie na czerwono, kształt określał rodzaj jednostki, amerykańskie i sprzymierzonych - na niebiesko. Ocean sprawiał wrażenie zatłoczonego.

- O Boże!

- Dobrze to ująłeś, mój drogi - stwierdził Dodge. - Masz dostęp do spraw tajnych?

- Otwarty dostęp do danych ściśle tajnych i jeszcze kilka dodatkowych rzeczy, panie admirale. Dostaję wszystko, co mamy o ich sprzęcie, i wykonuję różne prace dla Systemów Morskich.

- Johnnie mówił, że robiłeś ocenę tego nowego „Kirowa”, którego właśnie wysłali na Pacyfik. Mówiąc nawiasem, całkiem dobra.

- Te dwie *Alfy* idą kursem na Norfolk?

- Na to wygląda. Nie załują neutronów. Ta tutaj - wskazał Dodge - idzie na zatokę Long Island tak, jakby chciała zablokować wejście do New London, a ta chyba na Boston.

Victory nie zostają w tyle. Obstawili już większość brytyjskich portów. Do poniedziałku będą mieli co najmniej po dwie jednostki podwodne na podejściach do wszystkich naszych większych portów.

- Nie wygląda to dobrze, panie admirale.

- Ano, nie wygląda. Jak widzisz, my też prawie w stu procentach jesteśmy na morzu.

Ciekawe jednak, że to, co robią, nie bardzo trzyma się kupy. Myślę... - Dodge przerwał, bo do pokoju wszedł komandor Coleman.

- Widzę, że pana cudowne dziecko już tu jest, panie admirale - powiedział.

- Bądź dla niego miły, Johnnie. Długo będę pamiętać, jakim był podwodniakiem.

Powracając do tematu, najpierw wydawało się, że chcą zablokować trasy żeglugowe, ale przeszli przez nie. A co do *Alf*, wygląda to tak, jakby chcieli nimi zablokować nasze wybrzeże.

- A co na zachodzie?

- Nic. Rutynowe działania.

- Ale to nie ma sensu - zaproponował Tyler. - Nie działa się tylko połową floty, zapominając o reszcie. Jeśli ruszam na wojnę, to nie daję wszystkim jednostkom całej naprzód, tak żeby każdy o tym wiedział.

- Rosjanie to dziwni ludzie, Skip - zwrócił uwagę Coleman.

- Admirale, jeśli zaczniemy do nich strzelać...

- Dalibyśmy im niezłego łupnia - powiedział Dodge. - Tak hałasują, że mamy wystarczające zamiary na większość ich jednostek. Na pewno zdają sobie z tego sprawę. Z

tego choćby powodu spodziewam się, że nie szykują czegoś naprawdę poważnego. Są wystarczająco sprytni, żeby nie działać tak ostentacyjnie. Chyba że chcą, abyśmy tak myśleli.

- Czy oni sami coś mówili?

- Ich ambasador twierdzi, że zaginął im okręt podwodny, a ponieważ ma na pokładzie dzieci różnych grubych ryb, wystartowali z operacją ratunkową na całego. Ale kto wie, ile w tym prawdy?

Tyler odłożył teczkę i podszedł bliżej ekranu.

- Taka dyslokacja może mieć miejsce przy operacji ratunkowej, ale po co blokują nasze porty? - Tyler szybko myślał, a jego oczy przeszukiwały górną część ekranu. - Panie admirale, nie widzę tu żadnych okrętów rakietowych.

- Są w portach, wszystkie, na obu oceanach. Ostatnia *Delta* zacumowała kilka godzin temu. To jeden z tych dziwnych szczegółów - stwierdził Dodge, jeszcze raz rzucając okiem na ekran.

- Wszystkie, panie admirale? - Tyler starał się, żeby jego pytanie zabrzmiało możliwie jak najbardziej naturalnie. Właśnie coś mu przyszło do głowy. Ekran wskazywał, że

„Bremerton” jest na Morzu Barentsa, ale nie widać było okrętu, który miał śledzić. Kilka sekund czekał na odpowiedź. Nie doczekawszy się, oderwał oczy od ekranu i zobaczył, że obaj jego rozmówcy uważnie mu się przyglądają.

- Dlaczego pytasz, chłopcze? - zapytał spokojnie Dodge.

U Sama Dodge'a taki spokój bywa odpowiednikiem czerwonej flagi ostrzegawczej.

Tyler zastanawiał się chwilę. Czy może w taki sposób sformułować odpowiedź, żeby nie łamiąc danego Ryanowi słowa, dostać to, o co mu chodzi? Tak, postanowił. Skip Tyler miał w sobie żyłkę detektywistyczną i jeśli coś go zainteresowało, nie mógł się od tego oderwać.

- Panie admirale, czy Rosjanie nie mają przypadkiem na morzu zupełnie nowego okrętu rakietowego?

Dodge wyprostował się, ale nadal Tyler górował nad nim wzrostem. Gdy się odezwał, jego głos był lodowaty.

- Skąd mianowicie ma pan tę informację, komandorze?

Tyler potrząsnął głową.

- Przykro mi, panie admirale, ale nie mogę powiedzieć. Wchodzą tu w grę różne informacje, utajnione niezależnie od siebie. Moim zdaniem jest coś, o czym powinien pan wiedzieć. Postaram się, żeby pan tę informację otrzymał.

Dodge spróbował zmienić taktykę.

- Pracowaliśmy kiedyś razem - mówił z wyraźnym smutkiem w głosie.

Złamał regulamin, żeby pokazać coś swemu byłemu podwładnemu, ponieważ mu ufał, i przykro mu

było, że swojego czasu Skip nie zdołał objąć dowództwa, do którego tak długo się przygotowywał. Tyler jest praktycznie cywilem, choć nadal nosi mundur. Gdy więc okazało się, że coś wie, admirałowi zrobiło się przykro. Podzielił się swoimi informacjami, a Tyler nie chciał dać nic w zamian.

- Panie admirale, dałem słowo - tłumaczył Skip. - Obiecuję, że postaram się w to pana wciągnąć. Czy mogę skorzystać z telefonu?

- W sekretariacie - powiedział sucho Dodge.

Stały tam cztery aparaty.

Tyler wyszedł i usiadł przy biurku sekretarki. Wyjął z kieszeni płaszcz notatnik, a z niego wizytówkę z numerem Ryana.

- Tu Acres - odezwał się kobiecy głos.

- Chciałem rozmawiać z doktorem Ryanem.

- Doktor Ryan jest w tej chwili nieobecny.

- W takim razie... proszę z admirałem Greerem.

- Proszę czekać.

- James Greer? - odezwał się z tyłu Dodge. - To dla niego pracujesz?

- Tu Greer. Czy to Skip Tyler?

- Tak jest.

- Czy ma pan dla mnie informację?

- Tak, mam.

- Gdzie pan jest?

- W Pentagonie.

- W takim razie proszę zaraz tu przyjechać. Trafi pan? Straż przy głównym wejściu będzie uprzedzona. Ruszaj, chłopcze. - Greer odłożył słuchawkę.

- Pracujesz dla CIA? - zapytał Dodge.

- Panie admirale, naprawdę nie mogę powiedzieć. Proszę mi wybaczyć, muszę przekazać pewne informacje.

- Moje? - dopytywał się wzburzony admirał.

- Nie, miałem je, zanim tu przyszedłem. Taka jest prawda. Postaram się, panie admirale, żeby pan też je dostał.

- Zadzwoń - zażądał Dodge. - Będziemy tu całą noc.

Siedziba CIA

Jazda przez George Washington Parkway okazała się łatwiejsza, niż oczekiwał. Na sypiącej się ze starości autostradzie było tłoczno - ludzie wracali z zakupów, ale ruch odbywał

się płynnie. Tyler zjechał w odpowiednim miejscu i znalazł się przy posterunku strzegącym głównego wjazdu do CIA. Szlaban był opuszczony.

- Pan Oliver Tyler? - zapytał wartownik. - Proszę o dowód tożsamości. - Tyler podał mu przepustkę z Pentagonu.

- W porządku, panie komandorze. Proszę podjechać do głównego wejścia. Będą tam na pana czekać.

Do głównego wejścia jechało się jeszcze dwie minuty przez puste parkingi pokryte lodem ze stopionego wczorajszego śniegu. Czekający na niego uzbrojony wartownik próbował pomóc mu wyjść z samochodu. Tyler nie lubił, żeby mu pomagano, i odtrącił rękę.

Pod dachem przy głównym wejściu czekał drugi mężczyzna. Bez dalszych formalności wsiedli do windy.

Admirał Greer siedział w gabinecie przed kominkiem. Wydawało się, że drzemie.

Skip nie wiedział, że zastępca dyrektora CIA do spraw informacyjnych wrócił przed kilkoma godzinami z Anglii. Admirał oprzytomniał i rozkazał ubranemu po cywilnemu funkcjonariuszowi ochrony, aby zostawił ich samych.

- Skip Tyler? Proszę, proszę, niech pan siada.

- Ma pan tu niezłe ognisko, panie admirale.

- Nie narzekam. Kiedy patrzę na ogień, łatwiej zasypiam. Ostatnio, co prawda, nie mam za dużo okazji do spania. A więc co ma pan dla mnie?

- Czy można zapytać, gdzie jest Jack?

- Można. Wyjechał.

- Aha. - Tyler otworzył teczkę i wyjął wydruki. - Przetestowałem komputerowy model radzieckiego okrętu. Czy można wiedzieć, jak się nazywa?

- Niech będzie, zasłużyłeś sobie na to - odparł z rozbawieniem Greer. - Nazywa się

„Czerwony Październik”. Musisz mi wybaczyć, chłopcze, ale przez kilka ostatnich dni byłem zajęty, a gdy jestem zmęczony, zapominam o dobrym wychowaniu. Jack twierdzi, że bystry z ciebie facet. To samo wynika z twoich akt. Więc powiedz mi, co ten okręt może?

- No cóż, panie admirale, mamy tu bogaty wybór danych i...

- Proszę o krótszą wersję, komandorze. Nie bawię się komputerami. Robią to dla mnie inni.

- Prędkość od siedmiu do osiemnastu węzłów, najbardziej efektywna to dziesięć do dwunastu. Przy takiej prędkości można spodziewać się emisji szumów mniej więcej takich, jak w jednostce klasy *Yankee* przy sześciu węzłach, ale trzeba do tego dodać jeszcze szumy z reaktora. Ponadto charakterystyka szumów będzie odmienna od tego, do czego jesteśmy przyzwyczajeni. Tego rodzaju szeregowy wirniki nie dają typowych odgłosów, lecz raczej nieregularny harmoniczny łoskot. Czy Jack mówił panu o tym? Jest to skutek zwrotnej fali ciśnienia w tunelach. Fala zwrotna hamuje przepływ wody i stąd bierze się łoskot. Wygląda na to, że tego zjawiska nie da się obejść. Nasi specjaliści przez dwa lata próbowali coś wymyślić, ale w końcu odkryli tylko nowe prawo hydrodynamiki. Woda zachowuje się prawie tak jak powietrze w silniku odrzutowym przy niskich obrotach, tylko że nie spręża się w równie wysokim stopniu. Nasze okręty będą więc mogły coś namierzyć, ale będzie to coś zupełnie innego. Muszą się przyzwyczaić do zupełnie nowych cech akustycznych sygnału. Do tego dochodzi niski poziom szumów, co w sumie daje okręt znacznie trudniejszy do wykrycia niż inne jednostki radzieckie.

- A więc to jest tu napisane. - Greer przerzucił strony wydruku.

- Tak jest. Zechce pan na pewno, żeby pańscy ludzie dokładniej się temu przyjrzeni.

Model, czyli program, można trochę ulepszyć. Miałem mało czasu. Jack powiedział, że chce pan mieć te dane możliwie jak najprędzej. Czy mogę o coś zapytać?

- Niech pan próbuje. - Greer wyciągnął się w fotelu, trąc oczy.

- Ten... „Czerwony Październik” jest w morzu? Czy tak? Próbują go teraz zlokalizować? - zapytał niewinnie Tyler.

- Hm, coś w tym rodzaju. Nie możemy się połapać, co to wszystko znaczy. Ryan mówił, że może ty dasz radę i wygląda na to, że miał rację. Zapracował pan na swoje pieniądze, komandorze. Te dane pomogą nam go odnaleźć.

- Panie admirale, sądzę, że „Czerwony Październik” coś zamierza, może nawet próbuje uciec do Stanów Zjednoczonych.

Głowa Greera obróciła się w jego stronę.

- Co ci nasunęło taki pomysł?

- Ruscy rozkręcają większą operację morską. Mają okręty podwodne na całym Atlantyku i wygląda to tak, jakby próbowali zablokować nasze wybrzeże. Oficjalnie jest to operacja ratownicza, a dziś dowiedziałem się, że wycofali do portów wszystkie swoje okręty rakietowe. - Tyler uśmiechnął się szeroko. - Dziwna seria zbiegów okoliczności, panie admirale.

Greer zaczął znowu patrzeć w ogień. Kiedyś, gdy zaczynał służbę w wywiadzie wojskowym, armia i lotnictwo przeprowadziły śmiały wypad na obóz jeńców wojennych w Song Tay, trzydzieści kilometrów na zachód od Hanoi. Akcja się nie udała, ponieważ kilka tygodni wcześniej Wietnamczycy ewakuowali wszystkich przetrzymywanych tam pilotów w inne miejsce, czego nie dało się ustalić na podstawie zdjęć lotniczych. Mimo to sama operacja została przeprowadzona wzorowo. Przedostawszy się setki kilometrów w głąb nieprzyjacielskiego terytorium, jednostka uderzeniowa osiągnęła efekt zupełnego zaskoczenia. Straże w obozie zaskoczono dosłownie w gaciach. Zielone Berety wykonały bezbłędnie atak i odwrót. W akcji zabito kilkuset żołnierzy nieprzyjaciela, praktycznie bez strat własnych. Mieli tylko jednego rannego, ze złamaną nogą w kostce. Jednakże najbardziej podziwianym elementem całej operacji była jej tajność. Operację „Kingpin” przygotowywano miesiącami. Mimo to nikt, ani przyjaciel, ani wróg, nie domyślił się jej celu ani charakteru -

do ostatniego dnia. Dopiero wtedy młody kapitan wywiadu lotnictwa poszedł do biura swojego generała zapytać, czy przypadkiem nie jest przygotowywana operacja głębokiej penetracji Pomocnego Wietnamu, na obóz jeńców wojennych w Song Tay. Gdy zaskoczony generał zaczął maglować podwładnego, odkrył, że kapitan połączył ze sobą w jedną całość wystarczającą ilość oderwanych fragmentów informacji, aby domyślić się, co się szykuje.

Tego rodzaju wydarzenia przyprawiają oficerów bezpieczeństwa o wrzody żołądka.

- „Czerwony Październik” próbuje uciec, prawda? - Tyler nie rezygnował.

Gdyby admirał był trochę bardziej wyspany, jakoś by z tego wybrnął. Tymczasem popełnił błąd.

- Czy to Ryan ci o tym powiedział?

- Panie admirale, zapewniam, że nie rozmawiałem z Ryanem od poniedziałku.

- To w takim razie, skąd masz tę informację? - warknął Greer.

- Niegdyś sam nosiłem błękitny mundur. Większość moich przyjaciół nadal jest w czynnej służbie. Czasami coś usłyszę - wykręcał się Tyler. - Zrozumiałem wszystko mniej więcej godzinę temu. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się ruskim odwołać wszystkich swoich okrętów rakietowych naraz. Wiem o tym, bo sam je niegdyś śledziłem.

Greer westchnął.

- Jack jest tego samego zdania co ty. Jest teraz na morzu z flotą. Komandorze, jeśli powie pan o tym komukolwiek, to pańska druga noga zawiśnie tu, nad kominkiem.

Zrozumiano?

- Tak jest. Co zrobimy z tym okrętem? - spytał Tyler, uśmiechając się do siebie. Jako starszy konsultant Dowództwa Systemów Morskich miałby z pewnością możliwość zwiedzenia prawdziwego radzieckiego okrętu.

- Oddamy. Przyjrzawszy się mu najpierw, rzecz jasna. Ale wiele może się jeszcze zdarzyć, tak że nie wiadomo w ogóle, czy go zobaczymy.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim Tyler pojął w pełni sens słów Greera.

- Oddamy? Dlaczego, do cholery?

- Komandorze, a jak pan to sobie wyobraża? Czy myśli pan, że cała załoga okrętu zechce przenieść się nagle do Ameryki? - Greer potrząsnął głową. - Idę o zakład, że tylko oficerowie, a może nawet nie wszyscy, i że próbują się tu dostać bez wiedzy reszty załogi.

- Aha. - Tyler zastanowił się nad tym, co usłyszał. - Brzmi to chyba rozsądnie, ale dlaczego oddawać im okręt? To nie Japonia. Jeśli u nas ktoś wylądowałby *MiG-iem* 25, wcale byśmy go nie oddali.

- Ale teraz to co innego niż przestarzały myśliwiec. Taki okręt wart jest miliard dolarów, a nawet grubo więcej, jeśli dodać rakiety i głowice. A prawnie, jak twierdzi prezydent należy do nich. Jeśli więc dowiedzą się, że mamy ich okręt, zażądają zwrotu i będziemy musieli go oddać. A skąd się dowiedzą, że go mamy? Stąd, że ci członkowie załogi, którzy nie będą chcieli zostać w Ameryce, każą odstawić się do kraju. Kto się na to zdecyduje, tego odeślemy.

- Zdaje pan sobie chyba sprawę, że ktokolwiek się na to zdecyduje, znajdzie się, proszę wybaczyć, po szyję w gównie.

- Po szyję i jeszcze drugie tyle. - Tyler nie wiedział, że Greer ma za sobą bogatą przeszłość i potrafi kłąć jak prawdziwy marynarz. - Niektórzy zechcą zostać, ale większość będzie chciała wrócić. Mają rodziny. Zaraz zapytasz, czy można coś wykombinować, żeby załoga znikła z powierzchni ziemi.

- Przyszło mi to do głowy - powiedział Tyler.

- Nam też. Ale nie zrobimy tego. Zamordować koło setki ludzi? Nawet jeśli byśmy chcieli, to w dzisiejszych czasach nie dałoby się czegoś takiego ukryć. Nawet Rosjanom by się coś takiego chyba nie udało. Ponadto w czasie pokoju nie robi się po prostu takich rzeczy.

Na tym między innymi polega różnica między nimi a nami. Możesz to sobie ułożyć w dowolnej kolejności.

- Czyli, że gdyby nie załoga, tobyśmy go zatrzymali...

- Tak, gdyby dało się go ukryć... gdyby... gdyby świnia miała skrzydła, mogłaby latać.

- Miejsc, gdzie można by go ukryć, nie brakuje, panie admirale. Sam bym kilka takich znalazł bez trudności na Chesapeake, a jeśli dałoby się przepchnąć go przez Horn, to mamy tam milion atoli do wyboru, a wszystkie nasze.

- Ale załoga będzie o tym wiedziała, a gdy odeślemy ich do kraju, dowiedzą się także ich przełożeni - cierpliwie wyjaśniał admirał. - I wtedy Moskwa zażąda zwrotu okrętu.

Oczywiście, będziemy mieli tydzień, czy coś koło tego, na przeprowadzenie, nazwijmy to, kontroli sanitarnej celnej, żeby się upewnić, czy nie szmuglują do nas kukainy - zaśmiał się Greer. - Pewien angielski admirał zasugerował, żeby powołać się na stary traktat z czasów handlu niewolnikami. Wykorzystano go w czasie drugiej wojny światowej, żeby zająć niemiecki okręt uczestniczący w blokadzie, zanim jeszcze przystąpiliśmy do wojny. W

każdym razie, będziemy mieli tony informacji.

- Lepiej byłoby zatrzymać okręt, przetestować, rozebrać na czynniki pierwsze... -

powiedział cicho Tyler, patrząc na pomarańczowe płomienie tańczące na dębowych bierwionach. Jak zatrzymać okręt na stale? - myślał. Coś przyszło mu do głowy. - Panie admirale, a jeśli udałoby się sprowadzić załogę na ląd, tak żeby nie wiedziała o przejęciu okrętu?

- O ile dobrze pamiętam, to nazywasz się Oliver Wendell Tyler? Był kiedyś taki sędzia Sądu Najwyższego... Ale nawet gdybyś nosił nazwisko takiego magika jak Harry Houdini, to chyba... - Greer zobaczył wyraz twarzy Tylera. - Co masz na myśli?

Tyler zaczął wyjaśniać, a Greer uważnie słuchał.

- To może się udać, jeśli szybko zapewnimy sobie pomoc marynarki, panie admirale.

Będziemy potrzebować przede wszystkim współpracy admirała Dodge'a, a jeśli moja ocena prędkości tego okrętu nie odbiega zbyt od rzeczywistości, musimy działać szybko.

Greer wstał i kilka razy obszedł dookoła kanapę, by pobudzić krążenie w nogach.

- Ciekawe. Ale zgranie wszystkiego w czasie jest prawie niemożliwe.

- Nie powiedziałem, że to łatwe do zrobienia, a tylko że możliwe.

- Dzwon do domu, Tyler. Powiedz żonie, że nie wrócisz na noc. Jeśli znów ja mam mieć nieprzespaną noc, to tym bardziej ty. Kawa stoi obok biurka. Najpierw muszę zadzwonić do sędziego, a później pogadamy z Samem Dodge'em.

USS „Pogy”

- „Pogy”, tu „Czarna Mewa 4”. Kończy mi się paliwo. Muszę wracać do stajni -

meldował taktyczny koordynator *Oriona*, przeciągając się po dziesięciogodzinnym dyżurze przy tablicy przyrządów. - Czy potrzebujecie czegoś? Odbiór.

- Każcie wysłać nam kilka skrzynek piwa - odpowiedział komandor Wood. Był to aktualny dowcip na okrętach podwodnych i P-3C. - Dzięki za informacje. Przejmujemy śledzenie. Koniec.

W górze zwiadowczy *Orion* zwiększył obroty i zawrócił na południowy zachód.

Załoga samolotu wypije do obiadu po dodatkowym piwie mówiąc, że to za przyjaciół na okręcie podwodnym.

- Dyson, schodzimy na sześćdziesiąt metrów. Maszyna jedna trzecia.

Oficer dyżurny wydawał jeszcze rozkazy, gdy komandor Wood podszedł do mapy taktycznej.

Znajdujący się pięćset pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Norfolk USS

„Pogy” oczekiwał pojawienia się pierwszych dwóch radzieckich okrętów klasy *Alfa*, które od samej Islandii prowadziło kilka zmian samolotów patrolowych. „Pogy” odziedziczył nazwę po okręcie podwodnym z czasów drugiej wojny, który z kolei został ochrzczony nazwą niepozornej, śledziowatej ryby. Na morzu byli od osiemnastu godzin, prosto po dłuższym przeglądzie w stoczni Newport News. Prawie wszystko na pokładzie pochodziło prosto z fabryki albo zostało całkowicie przejrane przez doświadczonych mechaników znad James River. Nie znaczy to wcale, że wszystko działało bez zarzutu. Po ostrych próbach w zeszłym tygodniu nawaliło wiele drobiazgów, rzecz normalna, choć nieprzyjemna, pomyślał

komandor Wood. Również załoga okrętu była nowa. Po roku pracy przy biurku w Waszyngtonie Wood po raz pierwszy objął dowództwo okrętu. Spora część załogi była nie mniej zielona, świeżo po szkole podwodniaków w New London, i próbowała teraz po raz pierwszy oswoić się z okrętem. Ludziom przyzwyczajonym do błękitnego nieba nad głową i świeżego powietrza niełatwo przywyknąć do rygorów życia wewnątrz stalowej rury o średnicy dziesięciu metrów. Nawet doświadczeni marynarze potrzebują trochę czasu, żeby oswoić się z nowym okrętem i oficerami.

W czasie prób po przeglądzie „Pogy” osiągał maksymalnie trzydzieści trzy węzły.

Sporo, ale *Alfy*, które słyszeli już w słuchawkach, były szybsze. Tak jak w przypadku wszystkich amerykańskich okrętów, ich atutem była jednak skrytość działania. *Alfy* w żaden sposób nie mogły stwierdzić, że akurat w tym miejscu czeka na nie amerykański okręt i że dla jego torped stanowią łatwy łup. Tym łatwiejszy, że patrolowy *Orion* podał „Pogy” dokładną odległość, którą w normalnych warunkach trzeba by było obliczać według namiarów z pasywnych systemów hydrolokacji.

Komandor podporucznik Tom Reynolds, pierwszy oficer i jednocześnie dowódca systemów broni pokładowej, przystanął nad mapą taktyczną. - Sześćdziesiąt sześć kilometrów do najbliższej *Alfy* i czterdzieści do następnej. - Na mapie oznaczono je jako „Kąsek 1” i

„Kąsek 2”, co wszystkim wydało się dość zabawne.

- Prędkość czterdzieści dwa? - zapytał Wood. - Tak jest, kapitanie. - Oprócz ostatniego razu, to Reynolds prowadził łączność z „Czarną Mewą 4”. - Ładują pełną mocą.

Prosto na nas. Mamy namiary ogniowe na oba... paf! Jak pan myśli, czego tu szukają?

- Dowódca Obszaru Atlantyku podaje, że według ich ambasadora są to działania poszukiwawczo-ratownicze zaginionego okrętu podwodnego. - Ton głosu kapitana wskazywał, co myśli o wyjaśnieniach ambasadora.

- Poszukiwawczo-ratownicze, tak? - Reynolds wzruszył ramionami. - Może im się zdaje, że zgubili jakiś okręt gdzieś koło Perry Comfort, bo jeśli nie zaczną zaraz zwalniać, to niedługo sami tam wylądują. Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby *Alfy* działały tak blisko naszych wybrzeży. A pan?

- Nigdy - odparł Wood marszcząc czoło.

Alfy są szybkie, ale głośne. Zgodnie z radziecką doktryną operacyjną, stosuje się je głównie do zadań obronno-przechwytyjących, osłaniając własne okręty rakietowe. Dzięki dużej prędkości mogą wiązać torpedowe okręty amerykańskie, a odskakując, unikać kontrataku. Wood uważał, że jest to raczej niewydarzona doktryna operacyjna, ale się tym zbytnio nie martwił.

- Może chcą zablokować Norfolk? - zasugerował Reynolds.

- Niewykluczone, że masz rację - powiedział Wood. - W każdym razie, mamy tu siedzieć cicho i dać im przejść tuż obok. Mijając granicę szelfu, będą musieli zwolnić i wtedy spokojnie i po cichu pójdziemy za nimi.

- Tak jest - powiedział Reynolds.

- Jeśli przyjdzie do walki, to zobaczymy, czy *Alfy* rzeczywiście są takie mocne.

Ostatnio wiele się mówi o tym, że mają wyjątkowo odporny kadłub z tytanu. Ale wątpliwe, żeby wytrzymały bezpośrednie uderzenie kilkuset kilogramów materiałów wybuchowych.

Nowe głowice torped Mk-48 z ładunkiem kumulacyjnym zaprojektowano specjalnie do zwalczania jednostek klasy *Typhoon*, o równie twardym kadłubie. Obaj oficerowie woleli jednak o tym nie myśleć. Ich zadanie polegało na odnalezieniu i śledzeniu przeciwnika.

„J.Z. Politowski”

„Kąsek 2” nosił w marynarce radzieckiej nazwę „J.Z. Politowski”. Jewgienij Zigmontowicz Politowski był głównym mechanikiem na rosyjskim okręcie, który opłynął

cały świat, a los dopadł go w cieśninach Cuszimy. Politowski służył carowi z takim samym oddaniem, jak wszyscy inni oficerowie w historii, ale po latach odkryto w Leningradzie jego dziennik opisujący w bardzo niewyszukanych słowach korupcję i nadużycia caratu, jakże kontrastujące z jego własnym bezinteresownym patriotyzmem, w imię którego popłynął na pewną śmierć. Stał się przez to dyżurnym bohaterem dla radzieckich marynarzy, a państwo postanowiło nazwać jego imieniem jedno ze swych największych osiągnięć w dziedzinie budowy okrętów. Okręt „Politowski” miał jednak więcej szczęścia niż jego ojciec chrzestny, kiedy stanął twarzą w twarz z działami admirała Togo.

Amerykanie zarejestrowali sygnał akustyczny „Politowskiego” jako *Alfa 3*. Był to błąd, bowiem jednostkę tę zwodowano jako pierwszą w tej klasie. Ten niewielki, wrzecionowaty okręt torpedowy osiągnął prędkość czterdziestu trzech węzłów w trzy godziny od rozpoczęcia prób technicznych. W chwilę później próby te przerwał zupełnie nieprawdopodobny wypadek. Na jego kursie pojawił się nie wiadomo skąd pięćdziesięciotonowy wieloryb i „Politowski” uderzył z pełną prędkością w bok nieszczęsnego stworzenia. Uderzenie rozbiło dziesięć metrów kwadratowych pancerza dziobowego, zniszczyło antenę sonaru, wykrzywiło wyrzutnię torpedową i o mało nie zatopiło całego przedziału torpedowego. Przy okazji uszkodzeniu uległa lwia część wyposażenia wewnętrznego, od elektroniki po kuchnię. Mówiło się wtedy, że okręt nie zatonął tylko dzięki sławnemu „profesorowi z Wilna”, który nim wtedy dowodził.

Dwumetrowy fragment żebra wieloryba jest teraz główną ozdobą klubu oficerskiego w Siewieromorsku, jako dowód wytrzymałości radzieckiego okrętu. Usunięcie szkód zajęło ponad rok, a zanim „Politowski” wypłynął, zdążono już zwodować dwie inne *Alfy*.

W dwa dni po próbach technicznych zdarzyła się kolejna awaria. Całkowicie nawaliła turbina wysokiego ciśnienia, a jej wymiana potrwała sześć miesięcy. Od tego czasu nastąpiły jeszcze trzy mniejsze awarie, a okręt na zawsze już zyskał reputację pechowego.

Główny mechanik Władimir Pietczukocow był lojalnym członkiem partii i ateistą z przekonania, ale jako marynarz należał również do ludzi głęboko przesądnych. W dawnych czasach przy wodowaniu okrętu i za każdym wyjściem w morze odbywałyby się wzniosła ceremonia. Brodaty pop pobłogosławiłby okręt w chmurach kadzidła i przy natchnionych śpiewach. Teraz wypływając, muszą obywać się bez jakichkolwiek ceremonii, czego bardzo żałował. Błogosławieństwo ogromnie by mu się przydało, Pietczukocow miał kłopoty z reaktorem.

Reaktor *Alfy* był nieduży, bo musiał zmieścić się w stosunkowo niewielkim kadłubie.

Jak na swoje rozmiary, miał dużą moc, a od ponad czterech dni szli pełną parą. Pędzili w stronę amerykańskich wybrzeży z prędkością ponad czterdziestu dwóch węzłów, największą, na jaką

pozwalal osmioletni system napedowy. Za kilka miesiecy planowano wiekszy remont okretu przewidujacy zainstalowanie nowego sonaru, nowych komputerow i ulepszonego systemu sterowania reaktorem. Zdaniem Pietczukocowa, takie eksploatawanie silowni jest nieodpowiedzialne, co wiecej ryzykanckie, nawet jesli wszystko funkcjonowaloby prawidlowo. Nigdy jeszcze system napedowy *Alfy*, nawet calkiem nowy, nie pracowal pod tak duzym obciazeniem. A na „Politowskim” wszystko zaczynalo sie rozpadac.

Glowna pompa obiegu chlodzacego wysokiego cisnienia zaczela wpadac w vibracje.

Dla Pietczukocowa byl to wyjatkowo niepokojacy objaw. Obwod rezerwowy mial mniejsza przepustowosc i przejście na niego oznaczaloby utrate osmiu wzlow predkosci. Amerykanie sadzili, ze w *Alfie* zainstalowano reaktor chlodzony cieplym sodem. Tymczasem w rzeczywistosci wysoka moc osiagnieto przez zastosowanie systemu chlodzonego woda, tyle ze przy o wiele wiekszym cisnieniu roboczym, niz sie zazwyczaj stosuje w marynarce. Na *Alfie* wprowadzono nowoczesny system wymiany ciepla podnoszacy wydajnosc cieplna calego ukladu do rekordowych dla okretu podwodnego czterdziestu jeden procent. W

konsekwencji, gdy reaktor pracowal pelna moca, na wszystkich wskaźnikach strzalki wchodzily na czerwone pola. I nie byla to tylko pusta symbolika, lecz oznaka rzeczywistego niebezpieczenstwa.

Stan taki, wobec vibracji pompy, dostarczal Pietczukocowi powodow do powaznych zmartwień. Przed godzina rozwalal z kapitanem zmniejszenie predkosci na kilka godzin, co pozwoliloby doskonale znajacej sie na rzeczy ekipie technicznej na przeprowadzenie niezbednych napraw. Prawdopodobnie to tylko kwestia lozyska, ktore mozna wymienic.

Konstrukcja pompy umozliwiala szybkie przeprowadzenie napraw. Kapitan byl sklonny spełnic ządanie maszynowni, ale interweniowal oficer polityczny, zwracajac uwage na to, ze rozkazy sa calkiem jasne: maja zajac stanowisko tak szybko, jak tylko mozliwe. Opóźnienie bedzie złe widziane. I tyle.

Pietczukocow z gorycza przypomniat sobie spojrzzenie, jakie rzucil mu kapitan. Po co jest na okrecie dowodca, jesli kazde jego polecenie musi zatwierdzic politruk? Główny mechanik jest lojalnym komunistą od czasow, gdy jako chlopak wstapil do organizacji mlodzięzowej. Ale, do jasnej cholery, jaki jest sens szkolenia wysoko kwalifikowanych specjalistow i inzynierow! Czy partia naprawde sadzi, ze widzimisie jakiegoś aparaczyka, urzedujacego za wielkim biurkiem i spedzajacego niedziele na daczy pod Moskwą, moze obalic prawa fizyki? Główny mechanik zaklal pod nosem.

Dyžurowal samotnie przy centralnym pulpicie sterowania, zlokalizowanym w maszynowni, za przedziałem mieszczącym wymiennik ciepla i generator pary, umieszczony dokladnie w srodku ciężkości okretu. Reaktor pracowal pod obciazeniem dwustu kilogramow na centymetr kwadratowy. Pompa dawala tylko maly ulamek tego cisnienia. Wysokie cisnienie powodowalo o wiele wyzsza temperature wrzenia chlodziwa. W tym przypadku woda byla ogrzewana do ponad dziewięciuset stopni, powstawala pewna ilosc pary wodnej gromadzaca sie pod kopula naczyinia reaktora. Wytwarzane przez nią cisnienie uniemozliwialo dalsze parowanie wody i związany z tym dalszy wzrost cisnienia.

Woda i para regulowały się wzajemnie, tworząc kruchy system równowagi. Woda była silnie skażona radioaktywnie wskutek reakcji rozszczepiania w prętach uranowych.

Również w tym zakresie istniał delikatny system równowagi. Pręty mogły pochłonąć najwyżej jeden procent strumienia neutronów, co wystarcza dla rozpoczęcia lub zatrzymania reakcji.

Pietczukocow potrafił wyrecytować te dane nawet przez sen. Potrafił narysować z pamięci dokładny schemat całego układu i natychmiast odgadywał sens najdrobniejszych nawet zmian we wskazaniach przyrządów. Stał wyprostowany przed pulpitem sterowniczym, śledząc wzrokiem całą galaktykę wskaźników i zegarów kontrolnych, z jedną ręką na awaryjnym wyłączniku reaktora, a drugą przy manetkach awaryjnych systemów chłodzenia.

Ciągle słyhać było wibrację. Łożysko najwyraźniej psuło się coraz bardziej, gdyż pompa pracowała coraz mniej równo. Jeśli łożysko się rozleci, pompa zatnie się i będą musieli zatrzymać okręt. Naprawa pompy, o ile w ogóle możliwa, zajmie nie kilka godzin, ale kilka dni, pożerając cenny czas i zapasy części zamiennych. Będzie to sytuacja awaryjna, ale w gruncie rzeczy dość bezpieczna. Ale Pietczukocow nie wiedział, że dzieje się coś gorszego.

Wibracja pompy powodowała powstawanie fal zmiennego ciśnienia w wodzie chłodzącej reaktor.

Zastosowany na *Alfie* wymiennik ciepła wymagał wyjątkowo sprawnego obiegu wody przez pętle i zakręty rurociągów. To zaś wymagało użycia pompy ciśnieniowej dającej ciśnienie wartości dziesięciu kilogramów na centymetr kwadratowy - prawie o dziesięć razy więcej od tego, co uznawano za granicę bezpieczeństwa w reaktorach na Zachodzie. Przy tak potężnej pompie cały przedział silnikowy, i tak bardzo głośny przy dużych szybkościach, przypominał wielką kotłownię, a wibracja pompy zakłócała pracę instrumentów kontrolnych.

Główny mechanik zwrócił uwagę, że wibracja zaczyna powodować drganie wskazówek przyrządów. Miał rację, ale nie do końca. Wskaźniki drgały w rzeczywistości z powodu fal nadciśnienia przetaczających się przez system. Główny mechanik nie rozpoznał tych objawów. Zbyt długo był na służbie.

W komorze reaktora fale ciśnienia zbliżały się do granicy, po której przekroczeniu części mechanizmów zaczynają wpadać w rezonans. Mniej więcej pośrodku wewnętrznej powłoki komory znajdował się wykonany z tytanu mechanizm, który należał do awaryjnego systemu chłodzenia. W przypadku utraty chłodziwa, ale dopiero po udanym zamknięciu reaktora, otwierają się zawory wewnątrz i na zewnątrz komory, chłodząc reaktor albo mieszaniną wody i baru, albo, w skrajnym przypadku, wodą morską, która może zostać wpompowana do obwodów spoza okrętu i wypompowana z powrotem do morza - ale za cenę zniszczenia całego reaktora. Zdarzyło się to dotychczas tylko raz pewnemu młodszemu mechanikowi na okręcie torpedowym klasy *Victor*. Poświęcając reaktor, zapobiegł stopieniu rdzenia i utracie całego okrętu.

Tym razem zamknięte były zarówno zawory wewnętrzne, jak i zewnętrzne kadłuba.

Zawory wykonano z tytanu, ponieważ musiały funkcjonować sprawnie pomimo długotrwałego oddziaływania wysokiej temperatury. Tytan jest ponadto wyjątkowo odporny na korozję, a woda w

wysokich temperaturach staje się szczególnie zraża. Nie wzięto natomiast pod uwagę, że zawór ten będzie narażony również na potężne promieniowanie atomowe, a ten akurat stop tytanu nie był całkowicie stabilny w warunkach przedłużonego bombardowania neutronami. Z upływem lat metal stał się kruchy. Niemal niezauważalne fale ciśnienia wody zaczęły atakować zapadkę zaworu. Gdy częstotliwość wibracji pompy zaczęła się zmieniać, zbliżyła się do częstotliwości wibracji zapadki. Na skutek tego zamknięcie uderzało coraz silniej o przytrzymujący je pierścień. Metal zaczął pękać na krawędzi.

Niskie buczenie dobiegające zza grodzi pierwszy usłyszał miczman na przodzie przedziału. Początkowo pomyślał, że to szum głośnika łączności wewnętrznej i dlatego zwlekał ze sprawdzeniem. Zapadka zaworu odłamała się i odpadła od wylotu dyszy. Miała tylko dziesięć centymetrów średnicy i pięć milimetrów grubości. Ten rodzaj zaworu nosi nazwę zaworu motylkowego, a zapadka wygląda jak zwisający i obracający się w strumieniu wody motyl. Gdyby wykonano go ze stali nierdzewnej, opadłby na dno komory. Ale tytan jest nie tylko twardszy, ale i o wiele lżejszy niż stal. Prąd chłodziwa porwał więc kawałek metalu do góry, w stronę rurociągu wylotowego.

Wypływająca z reaktora woda przeniosła zapadkę do wnętrza rurociągu ze stali nierdzewnej, o średnicy wewnętrznej piętnastu centymetrów. Dla ułatwienia napraw w ciasnych pomieszczeniach, rurociąg spawany był z dwumetrowych odcinków. Zapadkę poniosło szybko w stronę wytwornicy pary. Rurociąg zakręcał tam o czterdzieści pięć stopni w dół i zapadka się zaklinowała. Zmniejszyło to natychmiast o połowę przepustowość rurociągu i zanim rosnące ciśnienie zdążyło przesunąć zapadkę, zdarzyło się zbyt wiele rzeczy jednocześnie. Płynąca woda ma określoną bezwładność. Gdy zablokuje się przepływ, wytwarza się wsteczna fala ciśnienia. Całkowite ciśnienie skoczyło natychmiast do dwustu czterdziestu kilogramów na centymetr kwadratowy, co spowodowało wygięcie rurociągu o kilka milimetrów. Zwiększone ciśnienie, poziome przesunięcie spawanego złącza i kumulatywny efekt lat korozji stali w wysokiej temperaturze uszkodziły złącze. Pojawiła się nieszczelność średnicy ostrza ołówka. Woda zamieniła się natychmiast w parę, uruchamiając jednocześnie alarmy w przedziale reaktora i sąsiednich. Wydostająca się woda dalej naruszała spaw, powodując gwałtowne rozszerzenie się nieszczelności, tak że lała się jak z wodospadu.

Jeden ze strumieni pary uszkodził przebiegające w pobliżu przewody sterowania reaktora.

Był to początek katastrofalnej utraty chłodziwa.

W ciągu trzech sekund nastąpiła pełna dekompresja reaktora. Setki litrów gorącej wody wybuchowo zamieniały się w parę szukającą ujścia do sąsiednich przedziałów. Na głównym pulpicie zabrzmiały jednocześnie dziesiątki alarmów i w mgnieniu oka spełnił się najgorszy sen Władimira Pietczukocowa. Główny mechanik bez namysłu, tak jak go wyszkolono, nacisnął przycisk automatycznego wyłączenia reaktora, ale para w komorze uszkodziła układ sterowania prętami. Nie było czasu na inne warianty. W tym momencie Pietczukocow wiedział już, że okrętu nie da się uratować. Otworzył awaryjne obwody chłodzenia, wpuszczając do komory wodę morską. Uruchomiło to automatyczne sygnały alarmowe na całym okręcie.

W centrali na dziobie kapitan natychmiast połapał się, o co chodzi. „Politowski” szedł na stu pięćdziesięciu metrach. Trzeba natychmiast wyjść na powierzchnię, wykrzyczał więc rozkaz opróżnienia wszystkich balastów i rozpoczęcia awaryjnego wynurzenia na sterach.

Następstwo zdarzeń w reaktorze wynikało z działania praw fizyki. Po utracie wody pochłaniającej ciepło z prętów uranowych reakcja rozszczepiania w rzeczywistości ustała, jako że woda hamowała przepływ neutronów. Jednakże niewiele to pomogło, gdyż wskutek reakcji rozpadu w komorze pozostało wystarczająco dużo ciepła, żeby stopić cały reaktor.

Wpompowana do środka zimna woda usunęła ciepło, ale jednocześnie spowolniła zbyt wiele neutronów, zatrzymując je w rdzeniu reaktora. Spowodowało to niekontrolowaną reakcję jądrową, która wytworzyła taką ilość ciepła, jakiej żadne chłodziwo nie dałoby rady rozprowadzić. To, co rozpoczęło się jako utrata chłodziwa, przerodziło się w coś o wiele gorszego, katastrofę spowodowaną przez zimną wodę w komorze reaktora. Stopienie się całego rdzenia było już tylko kwestią kilku minut. Tyle też czasu potrzebował „Politowski”, żeby dotrzeć na powierzchnię.

Pietczukocow pozostał na stanowisku w maszynowni, robiąc, co się dało. Wiedział, że prawdopodobnie nie ujdzie z życiem. Musi jednak dać kapitanowi czas na wynurzenie okrętu.

Szkolono ich na taką ewentualność i teraz główny mechanik wykrzykiwał rozkazy do swoich podwładnych. Ale tylko pogorszył sprawę.

Dyżurny elektryk szedł wzdłuż pulpitu sterowniczych, przełączając układy z zasilania głównego na awaryjne, gdyż resztki pary w przewodach za kilka chwil przestaną poruszać turboalternatory. Od tego momentu źródłem energii stały się akumulatory awaryjne.

W centrali dowodzenia zanikł prąd w obwodach elektrycznego sterowania nakładek trymowych na krawędziach spływu u sterów głębokości, które automatycznie przełączyły się z powrotem na sterowanie elektrohydrauliczne. System ten obsługiwał nie tylko małe nakładki trymowe, ale również główne stery głębokości. Stery ustawiły się więc natychmiast pod kątem piętnastu stopni do góry, a okręt wciąż robił trzydzieści dziewięć węzłów. Po opróżnieniu z wody wszystkich balastów sprężonym powietrzem kadłub stał się bardzo lekki i szedł do góry jak wznoszący się samolot. Zaskoczona załoga centrali odczuła nagle, że skręcają do góry najpierw o czterdzieści pięć stopni, a później coraz bardziej pionowo. Nie mogli nic na to poradzić, bo całą uwagę musieli skupić na utrzymaniu równowagi. *Alfa* szła teraz prawie pionowo do góry z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Ludzie i ruchome części ekwipunku spadały w kierunku rufy.

W przedziale sterowania siłowni marynarz wpadł na główną tablicę elektryczną, wywołując swoim ciałem zwarcie, przez co na całym okręcie nastąpił zanik napięcia.

Kucharz, który właśnie dokonywał przeglądu wyposażenia ratunkowego w przedziale torpedowym na

dziobie, zaczął szarpać się ze śluzą wyjścia awaryjnego, wbijając się jednocześnie w kombinezon ochronny. Miał za sobą tylko jeden rok służby, ale szybko zrozumiał sens dzwoniących alarmów i niezwykłego zachowania okrętu. Zamknął za sobą właz do śluzy i zaczął otwierać luk wyjściowy, tak jak uczono go w szkole morskiej.

„Politowski” przebił powierzchnię Atlantyku jak wyskakujący wieloryb, w trzech czwartych uniósł się w powietrze, po czym opadł z powrotem na wodę.

USS „Pogy”

- Centrala, tu sonar.

- Tu centrala, mówi kapitan.

- Niech pan lepiej tego posłucha, kapitanie. Coś nienormalnego się dzieje na „Kąsku 2” - zameldował szef hydrolokacji.

Po chwili Wood znalazł się w kabinie sonaru i założył słuchawki podłączone do magnetofonu dającego dwuminutowe opóźnienie sygnału. Komandor Wood usłyszał

szumiący dźwięk. Ustał odgłos pracy silników. Po kilku sekundach nastąpiła eksplozja sprężonego powietrza i staccato bulgotu, podczas gdy okręt zaczął gwałtownie zmieniać głębokość.

- Co się dzieje? - zapytał niespokojnie Wood.

„J.Z. Politowski”

Niekontrolowana reakcja rozszczepiania w reaktorze „Politowskiego” zmieniła w parę wpływającą wodę morską oraz stopiła uranowe pręty paliwowe. Szczątki reaktora opadły na tylną ścianę komory. Po minucie była to już metrowej średnicy radioaktywna kula, wystarczająco duża, żeby mogło nastąpić przekroczenie masy krytycznej. Reakcja trwała nadal bez żadnych przeszkód, tym razem bezpośrednio atakując twardą stalową ścianę komory reaktora. Żaden wykonany przez człowieka przedmiot nie wytrzyma długo bezpośredniego działania temperatury rzędu trzech tysięcy stopni. Po kilku sekundach ściana puściła. Uwolniona ze środka uranowa masa spadła na tylną groź przedziału.

Pietczukocow wiedział, że umiera. Zobaczył, że farba na przedniej grodzi czernieje i w ostatniej chwili ujrzał jeszcze ciemną masę otoczoną niebieskawą poświatą. W chwilę później ciało głównego mechanika wyparowało, a masa płynnego żużla spadła na następną grodz w kierunku rufy.

Tymczasem okręt zaczął z pionowej pozycji przechodzić w poziomą. Sprężone powietrze uszło ze zbiorników balastowych dennymi zaworami i balasty zaczęły wypełniać się wodą, wyrównując trym okrętu i zanurzając go. Na dziobie krzyczeli ludzie. Kapitan podniósł się i nie zważając na złamaną nogę, zaczął walczyć o odzyskanie kontroli. Próbował

zorganizować na powrót ludzi i wyprowadzić ich z okrętu, zanim będzie za późno, ale pech Jewgienija Zigmontowicza Politowskiego dał o sobie znać po raz ostatni. Uratował się tylko jeden człowiek, kucharz, który otworzył zewnętrzny właz i wydostał się na pokład. Zgodnie z tym, czego go nauczono w czasie szkolenia, próbował na powrót zamknąć właz, aby mogli z niego skorzystać pozostali, ale zmyła go z pokładu fala, gdy okręt zaczął się zanurzać.

Zmiana kąta ustawienia kadłuba spowodowała, że stopiony rdzeń w przedziale silnikowym opadł na dno. Gorący żużel przetopił najpierw stalowy pokład, a następnie zaatakował tytanowy kadłub. Pięć sekund później woda wdarła się do przedziału silnikowego, szybko wypełniła to największe pomieszczenie i okręt stracił resztki dotychczasowej pływalności. Rufa przechyliła się ostro w dół. „Politowski” rozpoczął ostatnie zanurzenie.

Rufa osunęła się akurat w chwili, gdy kapitan prawie zmobilizował załogę centrali do słuchania jego rozkazów. Upadając, uderzył głową w konsolę jakiegoś przyrządu. Wraz z jego śmiercią uleciały i tak mizerne szansę ratunku dla pozostałej części załogi. Ze śrubą obracającą się w odwrotnym kierunku, „Politowski” opadał rufą na dno.

USS „Pogy”

- Panie kapitanie, w sześćdziesiątym dziewiątym byłem na „Chopperze” - powiedział

szef, mając na myśli tragiczny wypadek na okręcie podwodnym z napędem spalinowym.

- Musiało to brzmieć podobnie - odpowiedział kapitan.

Słuchał teraz bezpośrednich namiarów hydroakustycznych. Nie było wątpliwości, okręt napełniał się wodą. Słyszeli, jak wypełniają się zbiorniki balastowe. Znaczyło to, że woda zalewała również wewnętrzne przedziały. Gdyby znajdowali się bliżej miejsca katastrofy, docierałyby również do nich krzyki ludzi z wnętrza skazanego na zagładę kadłuba.

Wood wolał tego nie słyszeć. Nieustanny szum zatapianego okrętu był wystarczająco wstrząsający. Ginęli ludzie. Rosjanie, wrogowie, ale ludzie tacy sami jak on, i nic nie można było na to poradzić.

„Kąsek I”, jak wykazywała aparatura, szedł nadal do przodu nieświadomy losu swojej siostrzanej jednostki.

„J.Z. Politowski”

Przebycie sześciuset metrów do dna oceanu trwało dziewięć minut. Kadłub uderzył

silnie w twarde, piaszczyste podłoże na krawędzi szelfu kontynentalnego. Dzięki konstruktorom okrętu, wewnętrzne grodzie wytrzymały uderzenie. Wszystkie przedziały od pomieszczenia reaktora w kierunku rufy wypełniła woda, topiąc tam połowę załogi, ale pomieszczenia dziobowe zachowały szczelność. Było to jednak bardziej przekleństwem niż błogosławieństwem dla uwięzionych w środku czterdziestu ludzi. Nie mogli korzystać ze znajdujących się na rufie rezerwowych zbiorników powietrza i mieli tylko awaryjne akumulatory do podtrzymywania skomplikowanych systemów regeneracji środowiska wewnętrznego. Ich zapas powietrza stale się zmniejszał. Nie utonęli w północnym Atlantyku po to tylko, by teraz ginąć powolną śmiercią.

Dzień dziewiąty

SOBOTA, 11 GRUDNIA

Pentagon

Tylerowi otworzyła dziewczyna w mundurze z dystynkcjami pisarza okrętowego pierwszej klasy. General Harris, szef pionu operacyjno-szkoleniowego, stał samotnie nad stołem nakresowym, zastanawiając się nad ustawieniem małych modeli okrętów.

- To pan jest Skip Tyler? - zapytał, spoglądając na wchodzącego.

- Tak jest, panie generale. - Tyler starał się ustawić swoją sztywną nogę na baczność.

Harris podszedł do niego energicznym krokiem i wyciągnął rękę.

- Greer mówi, że grywał pan w piłkę.

- Tak jest, panie generale, byłem prawym obrońcą w Annapolis. Dawne dobre czasy -

dodał z uśmiechem, masując palce. Harris wyglądał jak bokser.

- Jeśli grywałeś w piłkę, możesz mówić mi Ed. - General klepnął go w pierś. - Miałeś numer siedemdziesiąt osiem i wszedłeś do ligi ogólnokrajowej, dobrze mówię?

- Grupa B, panie generale. Trudno uwierzyć, że ktoś to pamięta.

- Służyłem wtedy przez kilka miesięcy w akademii i udało mi się zobaczyć kilka meczów. Nigdy nie zapomnę dobrego ofensywnego zawodnika. Grałem kiedyś w lidze w Montanie, dawno temu. Co z nogą?

- Wjechał na mnie pijak. Ja miałem szczęście, on nie przeżył.

- I dobrze mu tak.

Tyler skinął głową, choć pamiętał, że, jak twierdziła policja, pijany stocznowiec też miał żonę i rodzinę.

- Gdzie jest reszta?

- Szefowie na zwykłej, no może zwykłej w ciągu tygodnia, ale nie w sobotę, odprawie wywiadowczej. Wrócą za kilka minut. A więc wykładasz teraz inżynierię w Annapolis, co?

- Tak jest. Po drodze zrobiłem z tego doktorat, panie generale.

- Mów mi Ed. Skip, masz nam dziś wyjaśnić, jakim sposobem możemy zatrzymać ten zabłąkany radziecki okręt podwodny, tak?

- Tak jest, panie... Ed.

- Opowiedz mi o tym, ale na początek nalejmy sobie kawy.

Obaj mężczyźni podeszli do stołu w rogu pokoju, gdzie stała zastawa i pączki. Przez pięć minut Harris słuchał w milczeniu Tylera, popijając kawę i pożerając nadziewane dżemem pączki. Jeśli chciał utrzymać wagę, nie mógł się ograniczać w jedzeniu.

- Nieźle, chłopcze - powiedział Harris, gdy Tyler skończył. Podeszedł do mapy. -

Ciekawe to, co mówisz. Żeby się wszystko udało, trzeba sporo finezji. Przede wszystkim na czas operacji należy trzymać ich z dala od miejsca, gdzie to zrobimy. To gdzieś tutaj? -

Stuknął w mapę.

- Tak jest, panie generale. Problem w tym, że jeśli Rosjanie rozstawią się tak, jak przewidujemy, to taką operację można będzie przeprowadzić tylko na zewnątrz ich kordonu, w morzu.

- Podwójne zagranie *va banque*. Podoba mi się to. Ale Danowi Fosterowi prawdopodobnie nie przypadnie do gustu utrata jednego z naszych okrętów.

- Powiedziałbym, że chyba warto za taką cenę.

- Owszem - zgodził się Harris - ale to nie moje okręty. A później, gdzie go ukryjemy?

Jeśli w ogóle trafi w nasze ręce?

- Tu, w Chesapeake Bay, znajdzie się kilka wystarczająco dobrych miejsc. Mamy odpowiednią głębokość na York River, a drugą w Patuxent. Obie należą do marynarki wojennej i na mapach oznaczone są jako obszary zamknięte dla żeglugi. Okręt podwodny jest o tyle wygodny, że z założenia ma być niewidoczny. Wystarczy znaleźć odpowiednio głębokie miejsce i zalać zbiorniki balastowe. Tylko na pewien czas, rzecz jasna. Na stałe można go umieścić w Turuk albo Kwajalein na Pacyfiku. Ładnie tam i na uboczu.

- A Rosjanie nie zauważą, że ni stąd, ni zowąd pojawi się tam dok i trzystu specjalistów od okrętów podwodnych? Pamiętaj też, że te wyspy już niezupełnie należą do nas.

Tyler nie spodziewał się, że jego rozmówca będzie mnożyć pozorne trudności.

- Jeśli nawet za kilka miesięcy odkryją całą rzecz, to cóż z tego? Przecież nie ogłoszą wszem i wobec, że mamy ich okręt. Gdy będziemy wiedzieli wszystko, co jest nam potrzebne, zawsze możemy przedstawić oficerów z okrętu na eleganckiej konferencji prasowej. Co im by to dało? Ponadto i tak prawdopodobnie za jakiś czas będziemy musieli okręt rozmontować. Reaktor pójdzie do Idaho na badania. Rakiety i głowice zostaną zdemontowane. Elektronikę pośle się do Kalifornii do ekspertyzy, a kryptolodzy z CIA, NSA i marynarki zaczną walkę o urządzenia łącznościowe. Ogołocony kadłub wyholuje się w jakieś głębokie miejsce i zatopi. Żadnych śladów. Wcale nie musimy utrzymywać tego na zawsze w tajemnicy. Wystarczy kilka miesięcy.

Harris odstawił filiżankę.

- Musisz mi wybaczyć moje zaczepne pytania. Widzę, że wszystko sobie przemyślałeś. Przekonałeś mnie, że warto się temu dokładnie przyjrzeć. Całość wymaga przemieszczania dużych ilości sprzętu, ale nie jest to sprzeczne z tym, co teraz robimy. W

porządku, jestem za.

Trzy minuty później wrócili członkowie komitetu szefów sztabów. Tyler nigdy jeszcze nie widział w jednym pomieszczeniu tylu gwiazdek na naramiennikach.

- Chciałeś mieć nas tu wszystkich, Eddie? - zapytał Hilton.

- Tak jest, generale. To jest doktor Skip Tyler.

Admirał Dan Foster pierwszy podszedł podać mu rękę.

- To ty dostarczyłeś danych technicznych o „Czerwonym Październiku”, które właśnie nam zreferowano. Dobra robota, komandorze.

- Doktor Tyler uważa, że jeśli „Czerwony Październik” wpadnie nam w ręce, to nie powinniśmy go oddawać - powiedział prosto z mostu Harris. - Ale prezydent się na to nie godzi.

- Jeśli jednak znajdzie się sposób odesłania załogi do kraju, tak żeby nie wiedziała, że to my mamy okręt? Przecież w tym cały problem, prawda? Musimy odesłać marynarzy do Matiuszki Rosji. Uważam, że jest to możliwe, pozostaje tylko pytanie, gdzie ukryć okręt.

- Proszę o szczegóły - powiedział podejrzliwie Hilton.

- Panie generale, musimy działać szybko, żeby wszystko ustawić tam, gdzie trzeba.

Potrzebny będzie „Avalon” z zachodniego wybrzeża. „Mystic” jest już na pokładzie

„Pigeona” w Charleston. Potrzebne będą obie te jednostki oraz nasz stary okręt raketowy, który można spisać na straty. To tyle, jeśli chodzi o sprzęt. Największym problemem jednak jest zgranie wszystkiego w czasie. No i musimy odnaleźć „Czerwony Październik”, co może się okazać najtrudniejsze.

- Chyba nie - powiedział Foster. - Admirał Gallery meldował rano, że prawdopodobnie namierzył go „Dallas”. Jego meldunek pokrywa się z twoim modelem komputerowym. Za kilka dni będziemy wiedzieć więcej. Proszę kontynuować.

Wyjaśnienie wszystkiego od początku do końca zajęło Tylerowi dziesięć minut, gdyż musiał także odpowiadać na pytania i przy pomocy mapy przedstawić zależności w czasie i przestrzeni. Gdy skończył, generał Barnes dzwonił już do Dowódcy Transportu Powietrznego. Foster wyszedł z

pokoju, żeby porozumieć się z Norfolk, a Hilton pojechał do Białego Domu.

„Czerwony Październik”

Wszyscy oficerowie, z wyjątkiem pełniących służbę, znajdowali się w mesie. Na stole stało kilka nietkniętych imbryków z herbatą. Tak jak poprzednio, drzwi zamknięto na klucz.

- Towarzysze - meldował doktor Pietrow - druga seria filmów była jeszcze bardziej naświetlona niż pierwsza. Ramius zauważył, że Pietrow jest wstrząśnięty. W rzeczywistości nie chodziło o pierwszą ani o drugą serię filmów, ale o trzecią i czwartą od wypłynięcia.

Ramius wiedział, kogo wybiera na lekarza pokładowego.

- Te prześwietlenia - mruknął Mielechin - to robota jakiegoś pieprzonego dowcipnisa w Siewieromorsku albo może imperialistycznego agenta robiącego nam typowy szpiegowski numer. Kiedy go złapią, osobiście rozwalę mu łeb, ktokolwiek to będzie! Takie dowcipy to zdrada!

- Regulamin wymaga, abym o tym zameldował - zwrócił uwagę Pietrow. - Nawet jeśli przyrządy wskazują brak zagrożenia na wszystkich odcinkach.

- Doceniamy waszą obowiązkowość, towarzyszu doktorze. Działaliście prawidłowo -

powiedział Ramius. - Nowy regulamin wymaga dokonania dodatkowego przeglądu.

Mielechin, zróbcie to osobiście, razem z Borodinem. Najpierw sami sprawdźcie przyrządy pomiarowe. Jeśli działają prawidłowo, uzyskamy pewność, że dozymetry osobiste są uszkodzone, być może celowo. Jeśli tak, to mój raport spowoduje, że polecą głowy. - Nieraz zdarzało się, że nadużywający alkoholu pracownicy stoczni lądowali w obozach pracy. -

Moim zdaniem, towarzysze, nie ma powodów do zmartwienia. Jeśli nastąpiłby przeciek, towarzysz Mielechin już dawno by go wykrył. Do roboty.

Po półgodzinie wszyscy byli z powrotem w mesie. Zauważyli to przechodzący marynarze i od razu zaczęły się plotki.

- Towarzysze - zaczął Mielechin - mamy poważny problem.

Oficerowie, szczególnie młodszy, jakby trochę pobledli. Na stole spoczywał rozebrany na części licznik Geigera. Obok leżał otworzony detektor skażenia z grodzi przedziału reaktora.

- Sabotaż - zasyczał Mielechin.

Samo to słowo wystarcza, żeby obywatel Związku Radzieckiego odczuwał dreszcze.

Wszyscy zmartwieli i Ramius zauważył, że Swiadow stara się zachować kamienną twarz.

- Te instrumenty, proszę towarzyszy, są prostymi urządzeniami mechanicznymi. Jak wiadomo, licznik ma dziesięć odrębnych zakresów. Można go ustawić do wykrywania niewielkich albo poważnych przecieków. W tym celu należy obracać tą tarczą, włączając jeden z dziesięciu różnych oporników o rosnącej wartości. Licznik Geigera mogłoby zaprojektować nawet dziecko. Również obsługa i naprawa nie są bardziej skomplikowane.

Główny mechanik poklepał dłonią w spód tarczy przełącznika zakresów czułości.

- W tym urządzeniu odłączono właściwe oporniki i zamiast nich założono nowe.

Położenia od jednego do ósmego mają tę samą wartość oporową. Wszystkie nasze liczniki były kontrolowane przez tego samego technika ze stoczni na trzy dni przed wypłynięciem. Tu macie protokół kontroli. - Mielechin rzucił go na stół z obrzydzeniem.

- Albo on, albo jakiś szpieg uszkodził ten i inne liczniki, które skontrolowałem.

Wyszkolonemu technikowi wystarczy na to godzina. W tym przyrządzie - główny inżynier odwrócił uszkodzony licznik spodem do góry - widać, że odłączono elektryczne podzespoły z wyjątkiem obwodu kontrolnego, który został przewinięty. Licznik zdjęliśmy z przedniej grodzi. Widać, że to fachowa robota, żadna amatorszczyzna. Jestem przekonany, że na naszym okręcie jakiś imperialistyczny agent dokonał sabotażu. Najpierw uszkodził

instrumenty kontroli skażenia, a następnie prawdopodobnie zrobił gdzieś w rurociągach niewielki przeciek. Wszystko wskazuje na to, że towarzysz Pietrow ma rację. Nie można wykluczyć przecieku. Przepraszam, doktorze.

Pietrow odruchowo skinął głową. Wolałby obejść się bez takich komplementów.

- Jaka jest dawka skumulowana, towarzyszu Pietrow? - zapytał Ramius.

- Najwięcej, rzecz jasna, dostali mechanicy. Maksymalną dawkę, czyli pięćdziesiąt radów, towarzysze Mielechin i Swiadow. Reszta załogi maszynowni dostała dawki od dwudziestu do czterdziestu pięciu radów. W miarę przesuwania się w stronę dziobu, ogólne napromieniowanie szybko maleje. Przedział torpedowy ma najwyżej pięć radów. Pozostali oficerowie dostali od dziesięciu do dwudziestu pięciu. - Pietrow przerwał, czując, że powinien dodać im trochę otuchy. - Nie są to dawki śmiertelne, towarzysze. W rzeczywistości organizm ludzki toleruje do stu radów bez żadnych poważniejszych efektów fizjologicznych, a można przeżyć nawet kilkaset radów. Problem jest poważny, ale nie zagraża życiu załogi.

- Mielechin? - zapytał kapitan.

- To mój reaktor i na mnie spoczywa odpowiedzialność. Dotychczas nie wiemy, czy rzeczywiście nastąpił przeciek. Wskaźniki mogły zostać mimo wszystko uszkodzone celowo lub przypadkowo.

Może to być przecież tylko psychologiczne zagranie przeciwnika w celu podkopania morale załogi. Borodin mi pomoże i sami naprawimy przyrządy. Następnie przeprowadzimy dokładny przegląd systemów reaktora. Tymczasem proponuję, aby go wyłączyć i płynąć na akumulatorach. Przegląd nie powinien zająć więcej niż cztery godziny.

Proponuję również skrócenie wacht w maszynowni do dwóch godzin. Zgadzacie się, towarzyszu kapitanie?

- Tak jest, towarzyszu Mielechin. Wiem, że nie ma takiej rzeczy, której byście nie naprawili.

- Przepraszam, że się wtrącam, ale czy nie powinniśmy zameldować o tym dowództwu floty? - wtrącił Iwanow.

- Mamy rozkaz nie przerywać ciszy radiowej - powiedział Ramius.

- Jeśli imperialiści byli w stanie dokonać sabotażu, to mogą teraz tylko czekać na transmisję radiową, żeby nas namierzyć - stwierdził Borodin.

- Jest taka możliwość - odpowiedział Ramius. - Najpierw ustalmy, czy istnieje zagrożenie i w jakim stopniu. Towarzysze, mamy przecież doskonale wyszkoloną załogę i najlepszych oficerów w całej flocie. Nasze problemy rozwiążemy sami, po czym wykonamy postawione zadanie. Mamy płynąć na Kubę i jestem zdecydowany dotrzymać wyznaczonego terminu. Do diabła z imperialistycznymi intrygami!

- Dobrze powiedziane - wsparł go Mielechin. - Proszę zachować wszystko w tajemnicy. Nie ma powodów do denerwowania załogi czymś, co może się okazać fałszywym alarmem. W najgorszym przypadku to tylko jakiś drobiazg, z którym sami się uporamy. - Na tym Ramius zakończył zebranie.

Pietrow nie czuł się bynajmniej uspokojony, a Swiadow walczył ze sobą, żeby powstrzymać dreszcze. W domu czekała na niego żona i młody porucznik bardzo chciał mieć kiedyś dzieci. Został doskonale wyszkolony i znał się na wszystkich procesach zachodzących w układzie reaktora. Wiedział również, co robić w przypadku awarii. Częściowo pocieszał się tym, że prawie wszystko, co napisano o naprawie reaktorów, jest dziełem ludzi, którzy są wraz z nim na pokładzie. A jednak fakt, że jego organizm atakuje coś niewidzialnego i niewyczuwalnego, nie napawał go radością.

Po zakończeniu narady Mielechin i Borodin poszli po części zapasowe do magazynów maszynowni na rufę. Zabrali ze sobą miczmana elektryka, który zauważył, że czytali coś z instrukcji obsługi dozymetrów. Gdy po godzinie skończył służbę, cała załoga wiedziała, że znowu wyłączono reaktor. Elektryk zaczął szeptać z sąsiadem z koi, technikiem raketowym.

Zastanawiali się, po co te wszystkie liczniki Geigera oraz inne przyrządy pomiarowe, i doszli do jedyne wniosku, jaki się narzucał.

Usłyszał ich bosman, który sam doszedł do podobnych wniosków. Od dziesięciu lat służył na atomowych okrętach podwodnych. Niewielkie wykształcenie sprawiało, że wszystko, co się działo w

przedziale reaktora, odbierał jako coś w rodzaju czarnej magii.

Reaktor napędza okręt, ale skąd można mieć pewność, że nie ma w tym jakiejś siły nieczystej? Przyszło mu do głowy, że to może te niewidzialne złe moce próbują się uwolnić.

W ciągu dwóch godzin cała załoga wiedziała, że coś jest nie w porządku, a oficerowie nie bardzo wiedzą, jak sobie z tym poradzić.

Kucharze przynoszący posiłki dla załogi ociągali się z powrotem do kuchni na rufę.

Spiesząc na zmianę wachty na dziobie, Ramius zauważył, że marynarze na służbie w siłowni częściej niż zwykle przestępują z nogi na nogę.

USS „New Jersey”

Do wszystkiego trzeba przywyknąć, pomyślał komandor Zachary Eaton. Jego okręt flagowy zwodowano w czasach, gdy on sam bawił się łódkami w wannie. Rosjanie byli wtedy sprzymierzeńcami, z którymi łączy wspólny przeciwnik, a nie wspólne cele. Tak jak teraz, według niego, są nimi Chińczycy. Wtedy wrogami byli Niemcy i Japończycy. W ciągu swojej dwudziestosześcioletniej kariery Eaton wielokrotnie odwiedził oba kraje, a macierzystym portem jego pierwszego okrętu, niszczyciela, była Yokosuka. Dziwny jest świat. „New Jersey” miał wiele zalet. Przy jego rozmiarach fale wysokości trzech metrów były na tyle duże, żeby przypomnieć dowódcy, że jest na pełnym morzu, a nie w biurze. Z mostka miał

widzialność na osiemnaście kilometrów. Gdzieś tam przed nimi, w odległości tysiąc czterysta kilometrów, szła im na spotkanie radziecka flota. Mieli spotkać się burta w burtę, tak jakby nie wymyślono jeszcze lotniskowców.

W odległości około dziesięciu kilometrów, w zasięgu wzroku, po obu stronach „New Jersey” płynęły niszczyciele „Caron” i „Stump”. W przodzie krążowniki „Biddle” i

„Wainwright” prowadziły obserwację radarową. Całe zgrupowanie nawodne raczej dreptało w miejscu, zamiast iść do przodu, tak jakby sobie tego życzył. Od wybrzeży New Jersey szły pełną parą mające dołączyć do nich dwie fregaty i helikopterowiec „Tarawa” z dziesięcioma myśliwcami *Harrier* AV-8B i czternastoma śmigłowcami rozpoznawczymi dla wzmocnienia jego własnych sił powietrznych. Rzecz w miarę przydatna, ale zdaniem Eatona nie najważniejsza. Eskadra lotnictwa „Saratogi” działała teraz z Maine, wraz z całą zbieraniną różnych dywizjonów lotniczych ćwiczących w pośpiechu taktykę walki morskiej. o trzysta sześćdziesiąt kilometrów na wschód HMS „Invincible” wysyłał zaczepne patrole rozpoznawcze, a tysiąc czterysta kilometrów dalej szedł ku nim „Kennedy”, kryjąc się za frontem atmosferycznym znad Azorów. Eaton złościł się, że muszą korzystać ze

wsparcia Anglików. Od kiedy to US Navy potrzebuje pomocy do obrony amerykańskich wybrzeży? Co nie znaczy, że nie należą się nam od nich pewne względy.

Rosjanie rozbili się na trzy grupy. Ta z lotniskowcem „Kijów” szła najdalej na wschodzie, wprost na eskadrę „Kennedy’ego”. Jemu prawdopodobnie przypadnie opieka nad grupą „Moskwy”, a „Invincible” zajmie się „Kirowem”. Dane operacyjne o wszystkich trzech grupach odbierał i przetwarzał przez cały czas jego sztab w bojowym ośrodku informacyjnym. Co szykują Rosjanie? - myślał.

Wiedział, że oficjalnie szukają zaginionego okrętu podwodnego, ale równie dobrze mogli twierdzić, że mają do sprzedania most. Być może, pomyślał, chcą zademonstrować, że mogą podejść do naszego wybrzeża kiedykolwiek zechcą i że mają flotę oceaniczną z prawdziwego zdarzenia. Może chcą też stworzyć precedens na przyszłość.

Bardzo się mu to nie spodobało.

Eaton nie przejmował się zbyt swoim aktualnym zadaniem, tym bardziej że obie jego części były ze sobą niezgodne. Pilnowanie radzieckich okrętów podwodnych jest samo w sobie wystarczająco absorbujące. *Vikingi* z „Saratogi” nie patrolowały jego terenu operacyjnego, mimo że o to prosił, a większość *Orionów* pracowała gdzieś dalej, w okolicy

„Invincible’a”. Jego siły nie bardzo nadawały się do osłony własnego zgrupowania, a co dopiero do aktywnego polowania na okręty podwodne. Pomoc „Tarawy” wiele zmieni, ale wtedy prawdopodobnie dostaną nowe rozkazy. Drugie zadanie polega na nawiązaniu kontaktu z grupą „Moskwa” i natychmiastowym meldowaniu Dowództwu Floty Atlantyckiej o wszystkim, co odbiega od normy. To miało więcej sensu. Jeśli radzieckie okręty zaczną robić coś niepożądanego, Eaton ma wystarczające środki, żeby sobie z tym poradzić. Niedługo będzie wiadomo, jak ściśle ma ich kontrolować.

Problem w tym, czy powinien być bliżej Rosjan, czy też daleko od nich. „Bliżej”

oznacza trzydzieści sześć kilometrów, bo taki jest zasięg dział „New Jersey”. „Moskwa” ma dziesięć okrętów eskorty, z których żaden nie wytrzyma więcej niż dwie salwy jego czterdziestocentymetrowych pocisków. Eaton miał do wyboru amunicję normalną lub podkalibrową. Tę drugą wystrzeliwano przy użyciu celowników laserowych zamontowanych na wieży kierowania ogniem. Wykonane w zeszłym roku próby wykazały, że praktyczna szybkostrzelność wynosi jeden pocisk co dwadzieścia sekund, przy automatycznym przechodzeniu lasera z celu na cel tak długo, aż nie będzie do kogo strzelać. Jednakże w takim przypadku będą wystawieni na torpedy i ogień rakietowy z radzieckich okrętów.

Trzymając się dalej od przeciwnika, nadal może strzelać pociskami podkalibrowymi z dziewięćdziesięciu kilometrów, przy użyciu laserowych celowników na pokładzie śmigłowca bazowanego na „New Jersey”. Śmigłowiec byłby jednak wystawiony na rakiety woda-powietrze i na ataki radzieckich śmigłowców, uzbrojonych prawdopodobnie w rakiety powietrze-powietrze. Żeby temu zapobiec, „Tarawa” miała na pokładzie dwa śmigłowce szturmowe *Apache* z laserami, raketami powietrze-powietrze i powietrze-woda. Śmigłowce te, przeznaczone do zwalczania broni

pancernej, mogły także działać przeciwko mniejszym okrętom wojennym.

Eskadra byłaby wystawiona na ogień raketowy przeciwnika, ale Eaton nie bał się o okręt flagowy. Żadne konwencjonalne rakiety nie wyrządzą większych szkód „New Jersey”, który pokryty był grubym, ponad trzydziestocentymetrowym pancierzem klasy B.

Zniszczyłyby jednak radary i urządzenia łączności i, co gorsza, mogłyby zatopić jednostki eskortowe o cieńszym pancierze. Również okręty eskadry Batona były wyposażone w rakiety do zwalczania okrętów, *Harpoon* i *Tomahawk*, choć nie w tyle, ile by sobie życzył.

A rosyjskie okręty podwodne? Batonowi nic o tym nie meldowano, ale nigdy nie wiadomo, gdzie się jakiś zaczai. A zresztą, nie można się wszystkim przejmować. Okręt podwodny może zatopić „New Jersey”, ale nie przyjdzie mu to łatwo. Jeśli Rosjanie rzeczywiście zamierzają coś paskudnego, pierwszy strzał należy do nich. Eaton zdążyłby jednak odpalić jeszcze rakiety i trochę postrzelać z dział, wzywając jednocześnie wsparcie lotnicze. Ale wszystko to jest mało prawdopodobne.

Eaton domyślał się, że Rosjanie czegoś szukają. On zaś ma im pokazać, że szukanie czegokolwiek w tej części oceanu jest niezbyt bezpieczne.

Baza Lotnictwa Morskiego,

North Island, Kalifornia

Olbrzymi ciągnik z naczepą wjechał z prędkością czterech kilometrów na godzinę do ładowni samolotu transportowego C-5A Galaxy. Operację nadzorował pokładowy szef załadunku, dwóch pilotów i sześciu oficerów marynarki. Ale tylko ci ostatni byli w pełni wprowadzeni w szczegóły. Oznaczono dokładnie środek ciężkości pojazdu i wszyscy czekali, aż oznakowane miejsce zbliży się do określonej liczby wypisanej na podłodze ładowni.

Wymagało to dużej dokładności. Każdy błąd mógł zakłócić równowagę samolotu i zagrozić życiu załogi i pasażerów.

- W porządku, zatrzymaj dokładnie tu! - zawołał starszy oficer. Kierowcy to odpowiadało. Zostawił kluczyki w stacyjce, zaciągnął hamulce, wrzucił bieg i wysiadł.

Wyjazdem zajmie się ktoś inny na miejscu przeznaczenia. Teraz przyszła kolej na specjalistę od załadunku, który kierował pracą sześciu żołnierzy zakładających stalowe liny na zaczepy ciągnika i naczepy. Obluzowany ładunek to coś, czego samoloty na ogół nie wytrzymały, a C-5A nie miał katapultowanych foteli.

Szefem ładunku był dwudziestopięcioletni sierżant, który przepadał za tymi olbrzymami pomimo ich niesławnej przeszłości. Teraz dopilnował, żeby załoga naziemna porządnie zajęła się pracą i podszedł do pilota.

- Kapitanie, co to jest, do cholery?

- Nazywa się DSRV, sierżancie, głębinowa łódź ratownicza.

- Z tyłu ma napis „Avalon” - zwrócił uwagę sierżant.

- Nie szkodzi, tak go ochrzcili. To rodzaj szalupy ratunkowej dla okrętów podwodnych. Schodzi na dół po załogę, jeśli coś się popieprzy.

- Aha - rzekł z namysłem sierżant. Swoim *Galaxy*, bo sierżant traktował samolot jak swoją własność, woził już czołgi, śmigłowce, drobnicę, raz nawet cały batalion piechoty. Ale po raz pierwszy mieli wieść taki statek. *Galaxy* może wszystko, do cholery!

- Dokąd go zabieramy?

- Do bazy lotnictwa morskiego w Norfolk. Nigdy tam nie byłem. - Pilot uważnie obserwował czynności mocowania ładunku. Zaczepiono już ze dwadzieścia lin. Po założeniu następnych dwudziestu naprężono je ściągaczami dla uniknięcia najmniejszych nawet ruchów. - Przelot zajmie około pięciu godzin i czterdziestu minut, cały czas na własnym paliwie. Dziś wiatr jest po naszej stronie. Pogoda ma być dobra do samego wybrzeża.

Odpoczywamy jeden dzień i wracamy w poniedziałek rano.

- Pana ludzie pracują na niezłych obrotach - powiedział, podchodząc do nich oficer marynarki, porucznik Ames.

- Tak, panie poruczniku, jeszcze dwadzieścia minut - rzucił pilot spoglądając na zegarek. - Powinniśmy wystartować o czasie.

- Nie ma pośpiechu, panie kapitanie. Jeśli to się poruszy w czasie lotu, dzień będzie zmarnowany. Gdzie mam umieścić swoich ludzi?

- Na górnym pokładzie dziobowym. Zaraz za kabiną pilotów jest miejsce dla mniej więcej piętnastu osób.

Porucznik Ames wiedział już o tym, ale się nie odezwał. Wiele razy latał z DSRV

przez Atlantyk i raz przez Pacyfik, za każdym razem na pokładzie innego C-5.

- Czy można zapytać, po co to wszystko? - zaciekawił się pilot.

- Nie wiem - odparł Ames. - Powiedziano mi tylko, że mam być z tą zabawką w Norfolk.

- Pan naprawdę zanurza się czymś takim pod wodę? - zapytał szef załadunku.

- Za to mi płacą. Schodziłem w tym nawet na prawie półtora kilometra. - Ames z czułością spojrział na swój okręt.

- Kilometr w dół? Proszę mi wybaczyć, ale czy od tego nie chodzą człowiekowi ciarki po plecach? To znaczy, przy takim ciśnieniu wody...

- Niekoniecznie. Na „Trieste” schodziłem do sześciu tysięcy metrów. Na dole dzieje się mnóstwo ciekawych rzeczy. Można obejrzeć różne rodzaje dziwnych ryb. - Mimo że Ames był oficerem okrętów podwodnych, cenił sobie szczególnie naukową stronę swojej pracy. Był z wykształcenia oceanografem i służył lub dowodził wszystkimi jednostkami głębinowymi marynarki, z wyjątkiem NR-1 o napędzie atomowym. - Jeśli coś nawali, to ciśnienie wody może być dokuczliwe, ale wtedy wszystko dzieje się tak szybko, że nawet człowiek nie zdąży zauważyć. Jeśli chcecie spróbować, to chyba mógłbym wam to ułatwić.

Tam na dole jest zupełnie inny świat.

- Ja dziękuję - powiedział sierżant i odszedł do swoich podwładnych.

- Nie mówił pan chyba poważnie? - zapytał pilot.

- Dlaczego nie? Cóż to takiego. Przez cały czas wozimy na dół cywilów i może mi pan wierzyć, że nie jest to nawet w połowie tak nieprzyjemne, jak pilotowanie tego białego wieloryba podczas tankowania w powietrzu.

- Może i tak - przytaknął z powątpiewaniem pilot.

Setki razy tankował w powietrzu. Jest to czynność rutynowa i dziwne, że ktoś widzi w tym jakieś ryzyko. Trzeba oczywiście uważać, ale tak samo trzeba uważać, jadąc rano samochodem do pracy. Najbliższa awaria na tej kieszonkowej łodzi podwodnej nie zostawi z człowieka nawet tyle, żeby krewetki mogły się najeść. Każdy patrzy po swoim.

- Ale chyba nie wypływa pan tym w morze sam?

- Nie, na ogół pracujemy z pokładów ratunkowych okrętów podwodnych „Pigeon” lub

„Ortolan”. Możemy też działać z normalnego okrętu podwodnego. To coś, co widzi pan na ciągniku, to kołnierz cumowniczy. Siadamy sobie za tylnym włazem awaryjnym okrętu podwodnego i wiozą nas tam, gdzie trzeba.

- Czy ma to jakiś związek z zamieszczeniem na Wschodnim Wybrzeżu?

- Niewykluczone, ale oficjalnie nikt mi tego nie powiedział. Gazety podają, że Rosjanie zgubili okręt podwodny. Jeśli tak, to być może zejdziemy na dół, żeby się mu przyjrzeć, może nawet uratować

rozbitków. Możemy zabrać naraz od dwudziestu do dwudziestu pięciu ludzi, a kołnierze cumownicze pasuje także do radzieckich okrętów.

- Mają luki tej samej wielkości?

- Dostyc podobne. - Tu Ames mrugnął porozumiewawczo. - Jesteśmy przygotowani na różne niespodzianki.

- Ciekawe.

Północny Atlantyk

Myśliwiec typu *Jak-36* wystartował z „Kijowa” przed godziną, kierując się początkowo żyrokompasem, a teraz czujnikami elektronicznymi znajdującymi się na końcu grubo ciosanego statecznika pionowego. Zadanie porucznika Wiktora Szawrowa nie należało do najłatwiejszych. Ma zbliżyć się do amerykańskiego samolotu rozpoznania radarowego E-3A *Sentry*, jednego z tych, które od trzech dni leciały za radziecką flotą. AWACS trzymał się ostrożnie poza zasięgiem rakiet przeciwlotniczych, na tyle jednak blisko, żeby przez cały czas kontrolować radziecką flotę i meldować swojemu dowództwu o każdym manewrze i transmisji radiowej. To tak, jakby złodziej obserwował bez przerwy nasze mieszkanie, a my nic na to nie moglibyśmy poradzić.

Szawrow miał zmienić tę sytuację. Nie wolno mu oczywiście strzelać. Co do tego otrzymał wystarczająco jasny rozkaz od admirała Stralbo na „Kirowie”. Był jednak uzbrojony w dwie naprowadzane podczerwienią rakiety *Atol*, których nie omieszka pokazać imperialistom. On i jego admirał spodziewali się nauczyć Amerykanów, że radziecka marynarka nie życzy sobie nad głową imperialistycznych podglądaczy, a jak wiadomo, czasami zdarzają się wypadki. Przygotowanie takiego zadania wymagało sporo wysiłku, ale z pewnością nie pójdzie na marne.

Wysiłek istotnie nie był mały. Żeby uniknąć wykrycia przez latający radar, Szawrow musiał lecieć z możliwie minimalną prędkością i tak nisko, jak tylko się da, jakieś dwadzieścia metrów ponad wzburzoną powierzchnią Atlantyku. Dzięki temu jego sygnał

radarowy powinien zginąć w szumie tła. Prędkość wynosiła około trzystu kilometrów na godzinę, co dawało duże oszczędności paliwa, ale i tak cel znajdował się na granicy zasięgu samolotu. Lot był wyjątkowo niespokojny, samolot walczył z zawirowaniami powietrza nad wodą. Nad falami wisiała mgła ograniczająca widzialność do kilku kilometrów. Tym lepiej, pomyślał.

Szawrow został wybrany do tego zadania ze względu na rzadkie w radzieckim lotnictwie doświadczenie w lotach na małych wysokościach. Pilotem marynarki został przez przypadek. Służbę w lotnictwie wojskowym rozpoczął jako pilot śmigłowca szturmowego w Afganistanie, po roku

krwawej praktyki awansując na samoloty. Z konieczności stał się specjalistą od lotów w górskich dolinach i wąwozach, gdzie polował na bandytów i kontrrewolucjonistów, kryjących się przed nim wśród niedostępnych gór, jak szczury przed wodą. Tymi umiejętnościami Szawrowa zainteresowała się marynarka i dostał przeniesienie.

Samego zainteresowanego nikt o zdanie nie pytał, ale po kilku miesiącach w marynarce nie miał na co narzekać, bo przywileje i premie okazały się bardziej atrakcyjne niż życie w pierwszoliniowej bazie lotniczej na granicy chińskiej. Fakt, że należał do uprzywilejowanego grona kilkuset radzieckich pilotów z lotniskowców, złagodził żal, że nie dane mu jest latać nowym *MiG-iem-27*.

Chociaż, jeżeli dobrze pójdzie i zbudują nowy, duży lotniskowiec, będzie miał szansę latać morską wersją tego wspaniałego samolotu. Szawrow chętnie poczeka, a po kilku udanych operacjach bojowych jak dzisiejsza, ma szansę na dowództwo eskadry.

Tymczasem dość marzeń, bo zadanie jest niebezpieczne. To prawdziwe latanie. Nigdy jeszcze nie miał do czynienia z Amerykanami. Stykał się tylko z bronią, którą dawali afgańskim bandytom. Z tej broni ginęli jego przyjaciele. Rzadko udawało się komuś przeżyć zestrzelenie samolotu, a jeśli już, to tylko po to, żeby zginąć z rąk afgańskich dzikusów w taki sposób, że Niemcy wydawali się przy nich aniołami. Dobrze będzie osobiście dać nauczkę tym przebrzydłym imperialistom.

Sygnal radarowy stawał się coraz silniejszy. Umieszczony pod katapultowanym fotelem magnetofon rejestrował charakterystykę sygnałów amerykańskiego samolotu. Potem naukowcy opracują według niej sposoby zagłuszania i wprowadzania w błąd tego latającego amerykańskiego nadzorcy, o którym tyle trąbiono. Sama maszyna to przecież tylko przerobiony *Boeing 707*, znany samolot pasażerski, a więc żaden przeciwnik dla szanującego się pilota myśliwskiego. Szawrow spojrzał na mapę. Niedługo będzie u celu. Sprawdził

paliwo. Parę minut temu odrzucił ostatni zbiornik dodatkowy i leciał tylko na zbiornikach wewnętrznych. Silnik turboodrzutowy żre paliwo jak smok, cały czas trzeba o tym pamiętać.

Obliczał, że w drodze powrotnej zostanie mu rezerwa paliwa tylko na pięć, dziesięć minut lotu. Tym się nie przejmował. Miał już za sobą ponad sto lądowań na lotniskowcu.

Jest! Sokolim okiem wypatrzył odbity od metalu błysk słońca w górze na pierwszej godzinie. Szawrow przyciągnął drążek i ostrożnie zwiększył moc, rozpoczynając wznoszenie.

Po minucie był na dwóch tysiącach metrów. Teraz widział *Sentry*, którego niebieska barwa kadłuba gubiła się na tle ciemniejącego nieba. Zbliżał się do AWACS-a od ogona, który przy odrobinie szczęścia osłoni go przed obracającą się anteną radarową. Wspaniale! Zatoczy wokół niego kilka kół, tak żeby cała załoga zobaczyła jego *Atole* i...

Dopiero po kilku chwilach zauważył, że ma na skrzydle samolot. Dwa samoloty.

Pięćdziesiąt metrów w lewo i w prawo, para amerykańskich myśliwców *F-15 Eagle*.

Zobaczył twarz jednego z pilotów za osłoną hełmu.

- „Jak - sto sześć”, „Jak - sto sześć”, czy mnie słyszysz? - odezwał się bezbłędnym rosyjskim głosem radiostacji.

Szawrow nie odpowiedział. Odczytali mu numery namalowane z przodu na kadłubie, zanim ich zauważył.

- Sto szósty, sto szósty, tu samolot *Sentry*, do którego podchodzisz. Kim jesteś i czego chcesz? Nie lubimy, gdy zbliżają się do nas zabłąkane myśliwce, i wysłaliśmy tę trójkę, żeby ci towarzyszyła przez ostatnie sto kilometrów.

Trójkę? Szawrow obejrzał się do tyłu. Pięćdziesiąt metrów za jego ogonem wisiał trzeci *Eagle* z czterema rakietami *Sparrow*.

- Nasi piloci gratulują ci umiejętności wolnego i niskiego latania.

Szawrow przeszedł cztery tysiące metrów, trzęsąc się ze wściekłości.

Do amerykańskiego AWACS-a zostało mu jeszcze osiem tysięcy. Idąc do góry, co pół

minuty spoglądał wstecz. Amerykanie musieli być gdzieś za nim, we mgle, naprowadzani przez *Sentry*. Zaklął pod nosem. Nie zmieni kursu! Pokaże temu AWACS-owi, gdzie raki zimują!

- Sto szósty, zawracaj. - Głos był chłodny, pozbawiony emocji, może ze śladami ironii. - Sto szósty, jeśli się nie odczepisz, będziemy musieli potraktować twoje zadanie jako wrogie. Zastanów się nad tym, sto szósty. Wyszedłeś poza zasięg radarów twoich okrętów, a jesteśmy jeszcze poza zasięgiem twoich rakiet.

Szawrow spojrział na prawo. *Eagle* odchodził. Tak samo ten z lewej strony. Czy to tylko zdjęcie eskorty w oczekiwaniu na jakiś gest z jego strony? Czy może oczyszczają pole temu, który idzie za nim - co Szawrow sprawdził - gotów do otwarcia ognia? Trudno przewidzieć, co zrobią te imperialistyczne szakale. Została mu jeszcze minuta do efektywnego zasięgu rakiet. Nie jest tchórzem. Ani głupcem. Poruszył drążkiem, zmieniając kurs myśliwca o parę stopni w lewo.

- Dziękuję, sto szósty - odezwał się głos. - Wiesz, mamy tu na pokładzie kilku praktykantów. Dwoje z nich to kobiety i nie chcemy ich straszyć zaraz przy pierwszym zadaniu. - Nagle Szawrow poczuł, że nie wytrzyma. Włączył kciukiem nadajnik radia na drążku sterowym.

- Wiecie, co możecie zrobić z waszymi kobietami, jankesie?

- Jesteś *niekulturny*, sto szósty - odpowiedział miękko głos. - Może to skutki długiego lotu nad wodą. Paliwa ci starczy ledwo, ledwo. Cholerny dziś dzień na latanie z tymi wściekłymi zmiennymi podmuchami wiatru. Czy potrzebujesz namiar pozycyjny? Odbiór!

- Nie, jankesie!

- Kurs powrotny na „Kijów” sto osiemdziesiąt pięć. Tak daleko na północy trzeba uważać z

kompasami magnetycznymi. Odległość do „Kijowa” trzysta osiemnaście kilometrów sześćset metrów. Uwaga, z południowego zachodu szybko nadciąga chłodny front. Za kilka godzin latanie będzie niezbyt przyjemne. Czy potrzebujesz eskorty do swoich?

Świnia! - przeklinał w duchu Szawrow. Wyłączył radio zły na siebie za brak opanowania. Pozwolił Amerykanom zranić jego miłość własną. Żaden pilot tego nie lubi.

- Sto szósty, nie usłyszeliśmy ostatniej odpowiedzi. Dwa nasze myśliwce idą w tę samą stronę. Poprowadzą cię tak, żebyś bezpiecznie dotarł do swoich. Szczęśliwego dnia, towarzyszu. „Sentry - November”, koniec.

Amerykański porucznik odwrócił się do dowódcy. Nie dał już rady zachować obojętnego wyrazu twarzy.

- Boże, myślałem, że się udławię od takiego gadania. - Napił się trochę coca-coli z plastikowego kubka. - Jemu się naprawdę wydawało, że dojdzie do nas niezauważony.

- Na wypadek, gdybyś nie zauważył, to powiem ci, że doszedł na odległość odpalenia swoich *Atoli*, a my nie mamy zgody na strzelanie jako pierwsi. Mogło się to źle skończyć -

mruknął pułkownik. - Ładnieście go zawrócili, poruczniku.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Operator spojrział na ekran. - Idzie grzecznie do mamusi z „Kobrá 3” i „Kobrá 4” na ogonie. Gdy doleci na miejsce, będzie biedak bardzo nieszczęśliwy. O ile doleci. Nawet z tymi odrzucanymi zbiornikami musi być na samej granicy zasięgu lotu. - Porucznik chwilę pomyślał. - Panie pułkowniku, co pan na to; żeby zabrać takiego do nas, jeśli znowu tu przylecą?

- Zdobyć *Jaka*? A po co? Może marynarce przyda się do zabawy, bo nie mają za wiele radzieckiego sprzętu, ale jak to kupa złomu.

Szawrowa korciło, żeby włączyć dopalacze, ale zmusił się do spokoju. Jak na jeden dzień, pokazał już dosyć słabych stron. Ponadto jego jak mógł osiągnąć jednego macha tylko w locie nurkowym, a *Amerikancy* mogli to zrobić, nawet idąc do góry, no i mieli pełno paliwa. Mieli podczepiane zbiorniki, z którymi można było przelecieć cały ocean. Do diabła z Amerykanami i ich arogancją! Do diabła z jego własnym oficerem rozpoznania, który wmówił mu, że można się podkraść do AWACS-a! Niech wysyłają odpowiednio uzbrojone *MiG-i*, które poradzą sobie z tym przerośniętym autobusem, zanim jego eskorta zdąży zareagować.

Zwrócił uwagę, że Amerykanie nie okłamali go, mówiąc o zimnym froncie. Gdy zbliżał się do „Kijowa”, na horyzoncie rysowała się już linia pędzących na północny wschód chmur, które zapowiadały ochłodzenie. Amerykanie pozostali z tyłu. Jeden z ich pilotów na chwilę się z nim zrównał i na pożegnanie pomachał skrzydłami. Głowa mu podskoczyła, gdy zobaczył pożegnalny gest Szawrowa. Amerykańskie myśliwce sformowały się i odleciały z powrotem na północ.

Pięć minut później dotykał już pokładu „Kijowa”, nadal blady ze złości. Gdy tylko zaklinowano koła,

wyskoczył z kabiny i zaczął szukać dowódcy eskadry.

Kreml

Moskwa słusznie szczyli się swoim metrem. Za marny grosz można wszędzie dojechać nowoczesną, bezpieczną, krzykliwie ozdobioną koleją podziemną. Na wypadek wojny tunele mogą służyć mieszkańcom jako schrony przeciwlotnicze. To zasługa Nikity Chruszczowa, który w latach trzydziestych, gdy rozpoczynano prace, zasugerował Stalinowi, że tunele należy kopać głęboko. Stalin się zgodził. Schrony znacznie wyprzedziły epokę, bo rozszczepienie atomu pozostawało wtedy jeszcze tylko teorią, a o syntezie atomowej ledwo myślano.

Linia od starego lotniska do placu Swierdłowa przechodzi w pobliżu Kremla. Wykuto od niej odnogę, którą później zaczopowano żelbetową ścianą grubości dziesięciu metrów.

Stumetrowy odcinek tunelu został połączony z Kremlm dwoma szybami wind i z czasem zainstalowano tam awaryjne centrum dowodzenia, z którego Biuro Polityczne może kontrolować całe radzieckie imperium. Tunel bywa również przydatny, gdy trzeba dyskretnie wydostać się na małe lotnisko. Z lotniska tego członkowie Biura Politycznego mogą polecieć do Żiguli, ostatniej reduty wykutej w granitowej skale. Zachód od dawna wie o istnieniu tych schronów, ale tajne raporty KGB donosiły, że w zachodnich arsenałach nie ma broni zdolnej przebić setki metrów skały, która w obu tych miejscach odgradza schrony Biura Politycznego od powierzchni ziemi.

Fakt ten nie poprawiał zbytnio nastroju admirała Jurija Iljicza Padorina. Siedział

właśnie na odległym końcu długiego, dziesięciometrowego stołu konferencyjnego, spoglądając na ponure twarze członków Biura Politycznego. To ci ludzie wewnętrznego kręgu władzy podejmują strategiczne decyzje, od których zależy los całego kraju. Żaden z nich nie jest wojskowym. Od ludzi w mundurach odbierają tylko meldunki. Dalej przy stole siedział admirał Siergiej Gorszkow, który z niezwykłym talentem wykręcił się z całej sprawy, pokazując nawet list, w którym oponował przeciwko mianowaniu Ramiusa na dowódcę

„Czerwonego Października”. Padorin jako szef Głównego Zarządu Politycznego, skutecznie uniemożliwił zdjęcie Ramiusa, wykazując, że kandydat Gorszkowa zwlekał ze składkami i jak na swój stopień oficerski, stanowczo za rzadko zabierał głos na zebraniach partyjnych. W

rzeczywistości kandydat Gorszkowa był gorszym oficerem, ale Gorszkow chciał mieć Ramiusa u siebie w sztabie, od czego Ramiusowi przez wiele lat udawało się wymigiwać.

Sekretarz generalny partii i prezydent Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, Andriej Narmonow, przeniósł wzrok na Padorina. Jego twarz niczego nie wyrażała ani teraz, ani w ogóle nigdy, chyba że Narmonow postanowił inaczej, co zdarzało się raczej rzadko. Narmonow zastąpił Andropowa, gdy ten zmarł na zawał serca. Było na ten temat trochę plotek, ale w Związku Radzieckim zawsze są jakieś plotki. Od czasów Ławrentija Berii żaden z kierowników

bezpieczeństwa nie zaszedł tak wysoko, a wyżsi urzędnicy partyjni stracili na pewien czas czujność. Drugi raz jej już nie tracą. Rzucenie KGB na kolana zajęło rok, a było konieczne dla zachowania przywilejów elity partyjnej, zagrożonej tak zwanymi reformami klikki Andropowa.

Narmonow był *par excellence* człowiekiem aparatu. Z zawodu inżynier, po raz pierwszy wyróżnił się jako dyrektor fabryki. Zdobył wtedy reputację człowieka, który wykonuje plan z nadwyżką i osiąga konkretne efekty. Stopniowo szedł do góry, wykorzystując talenty własne i cudze, nagradzając tych, co trzeba, pomijając, gdy tylko było można, innych. Jako sekretarz generalny partii komunistycznej Narmonow nie zdążył w pełni utrwalić swych wpływów. Był stosunkowo młody i zależał od luźnej koalicji swoich współpracowników. Nie przyjaciół, bo ludzie tego pokroju nie miewają przyjaciół. Na fotel sekretarza wspiał się nie tyle dzięki osobistym zdolnościom, co powiązaniom w kręgach partyjnych, a jego pozycja przez całe lata będzie zależna od kompromisowych układów w grupie rządzącej, dopóki nie nadejdzie czas, gdy sam będzie mógł nadawać bieg sprawom państwowym.

Padorin zauważył, że ciemne oczy Narmonowa były zaczerwienione od dymu papierosowego. System wentylacji tu, na dole, nigdy nie działał jak należy. Sekretarz generalny patrzył na Padorina z drugiego końca stołu, tak jakby zastanawiał się, w jaki sposób zadowolić członków swojej klikki, dziesięciu starych, wypranych z uczuć ludzi.

- Towarzyszu admirale - zaczął zimno. - Towarzysz Gorszkow wyjaśnił nam, jakie są szansę odnalezienia i zniszczenia tego zbuntowanego okrętu, zanim kapitan zdąży wykonać swoją nieprawdopodobną groźbę. Bardzo się nam to nie podoba. Nie rozumiemy również tego niesłychanego błędu, w którego rezultacie ten zdrajca mógł objąć dowództwo naszego najnowocześniejszego okrętu. Proszę także wyjaśnić, co się stało z oficerem politycznym na pokładzie oraz jakie środki bezpieczeństwa powziął Zarząd Polityczny dla zapobieżenia tej hańbie!

W głosie Narmonowa nie dało się wyczuć lęku, ale Padorin wiedział, że tamten się bał. Ci członkowie Biura Politycznego, którzy woleliby kogoś innego na fotelu sekretarza generalnego, mogą obciążyć właśnie jego odpowiedzialnością za ten „niesłychany błąd”.

Chyba że zdoła w jakiś sposób wyplątać się ze współodpowiedzialności. Jeśli trzeba będzie rzucić na pożarcie Padorina, to tak zrobi. Narmonowowi zdarzało się już wcześniej iść po trupach.

Od kilku dni Padorin przygotowywał się na ten moment. Swego czasu potrafił

wytrwać całe miesiące na polu walki. Kilkakrotnie zatapiano jego kanonierki. Fizycznie nie jest tak sprawny jak kiedyś, ale w pełni zachował jasność umysłu. Był zdecydowany, że i tym razem wyjdzie na spotkanie swego losu z godnością. Mogą uważać mnie za głupca, ale nie za tchórza, pomyślał. Cokolwiek by się nie zdarzyło, miał już przed sobą niewiele życia.

- Towarzyszu sekretarzu - zaczął - oficerem politycznym na pokładzie „Czerwonego Października” jest kapitan Iwan Jurijewicz Putin, wierny i uczciwy członek partii. Nie mogę sobie wyobrazić...

- Towarzyszu Padorin - przerwał minister obrony Ustinow - zakładamy, że nie byliście również w stanie wyobrazić sobie niesłychanej zdrady, jakiej dopuścił się ten Ramius.

Sądźcie, że zaufamy teraz waszemu sądowi w sprawie oficera politycznego?

- Najbardziej niepokoi w tym wszystkim - dodał Michaił Aleksandrow, teoretyk partyjny, który zastąpił zmarłego Michaiła Susłowa i był nawet jeszcze bardziej pryncypialny pod względem utrzymywania nieskażonej czystości ideologicznej - że Główny Zarząd Polityczny okazał się tak tolerancyjny wobec tego renegata. Zaskakuje to tym bardziej, że człowiek ten najwyraźniej dążył do stworzenia własnego kultu jednostki na okrętach podwodnych, a nawet, jak można przypuszczać, w pionie politycznym. Przeoczenie tego faktu to oczywiste odstępstwo od linii partii, które powoduje, że trudno brać poważnie wasz osąd sytuacji.

- Towarzysze, macie rację. Bardzo zbłądziłem, zgadzając się na kandydaturę Ramiusa oraz pozwalając mu wybrać większość oficerów na „Czerwony Październik”. Jednakże kilka lat temu postanowiliśmy wprowadzić taką praktykę po to, aby umożliwić związanie oficerów z jednym okrętem na wiele lat oraz dać kapitanowi decydujący wpływ na ich karierę. Jest to problem operacyjny, a nie polityczny.

- Ten problem był już rozważany - stwierdził Narmonow.

- W tym przypadku popełniono tyle zaniedbań, że nie można wszystkim obciążyć jednego człowieka.

Gorszkow nie drgnął, ale niewątpliwie zrozumiał, że nie uda mu się odzegnać od całej sprawy. Narmonowa nie obchodzi, ile głów będzie musiał ściąć, żeby podeprzeć swój fotel.

- Towarzyszu sekretarzu - zaczął. - Sprawność floty...

- Sprawność? - powiedział Aleksandrow. - Sprawność. Ten na wpół Litwin robi sobie żarty z naszej floty przy pomocy dobranych przez siebie oficerów, podczas gdy pozostałe okręty kręcą się w kółko jak wykastrowane bydło. - Aleksandrow przypomniał sobie o swojej pierwszej samodzielnej pracy w sowchozie. Mówiło się po cichu, że to odpowiedni początek dla człowieka, którego bano się w Moskwie jak zarazy, ale Biuro Polityczne potrzebuje takich ludzi. Zawsze tak było, że to właśnie ideolog sadzał władców na tronach. Po czyjej jest teraz stronie - z wyjątkiem swojej własnej?

- Najbardziej prawdopodobne jest to, że Putin został zamordowany - kontynuował

Padorin. - Tylko on jeden ze wszystkich oficerów miał żonę i dzieci.

- To następny problem, towarzyszu admirale - podjął wątek Narmonow. - Jak to się dzieje, że wszyscy ci ludzie nie są żonaci? Czy to nic wam nie mówi? Czy Biuro Polityczne musi osobiście wszystko nadzorować? Sami nie umiecie myśleć?

Tak jakby wam na tym zależało, pomyślał Padorin.

- Towarzyszu sekretarzu, większość kapitanów okrętów podwodnych woli mieć na pokładzie młodych, niezonatych oficerów. Praca na morzu wymaga wiele od człowieka, a żonatym trudniej się poświęcić służbie. Każdy oficer na pokładzie jest aktywnym członkiem partii i ma dobrą opinię. Nie

można zaprzeczyć, że Ramius okazał się zdrajcą, sam z przyjemnością udusiłbym drania gołymi rękami, ale zdołał oszukać więcej uczciwych obywateli, niż siedzi teraz w tym pokoju.

- Istotnie - wtrącił Aleksandrow. - A gdy już wleźliśmy w to bagno, jak się mamy z niego wydostać?

Padorin nabrał powietrza w płuca. Przez cały czas czekał na tę chwilę.

- Towarzysze, na pokładzie „Czerwonego Października” mamy jeszcze jednego człowieka, o którym nie wiedział ani Putin, ani kapitan Ramius. Agentą Głównego Zarządu Politycznego.

- Co takiego? - powiedział Gorszkow - Dlaczego ja nic o tym nie wiem?

- To pierwsza rozsądna rzecz od rana - rzekł z uśmiechem Aleksandrow. - Mówcie dalej.

- Człowiek ten został zaokrętowany jako zwykły marynarz. Podlega bezpośrednio mnie, z pominięciem wszystkich kanałów operacyjnych i politycznych. Nazywa się Igor Łoginow. Ma dwadzieścia cztery lata, jest...

- Dwadzieścia cztery lata?! - wykrzyknął Narmonow. - Powierzyliście takie zadanie dzieciakowi?

- Towarzysze, zadanie Łoginowa polega na wmieszczeniu się w załogę, słuchaniu rozmów, wykrywaniu prawdopodobnych zdrajców, szpiegów i sabotażystów. Wygląda na jeszcze młodszego. Służy razem z młodymi marynarzami i sam musi być młody. W

rzeczywistości ukończył Wyższą Szkołę Oficerów Politycznych w Kijowie i Akademię Wywiadowczą GRU. Jest synem Arkadiego Iwanowicza Łoginowa, dyrektora Huty imienia Lenina w Kazaniu, którego wielu z was zna. - Kilku siedzących przy stole skinęło głowami, w tym, z błyskiem zainteresowania w oku, Narmonow. - Do tego rodzaju służby idą tylko wybrani. Osobiście rozmawiałem z tym chłopakiem i sprawdzałem go. Jego kartoteka jest czysta. To bez wątpienia radziecki patriota.

- Znam jego ojca - potwierdził Narmonow. - Arkadij Iwanowicz jest poważnym człowiekiem, który wychował kilku uczciwych synów. Jakie chłopak otrzymał rozkazy?

- Tak jak powiedziałem, towarzyszu sekretarzu, do jego codziennych obowiązków należy obserwowanie załogi i meldowanie o wszystkim, co się dzieje. Robi to już od dwóch lat i idzie mu nie najgorzej. Nie kontaktuje się z zampolitem na pokładzie, ale tylko z Moskwą lub z jednym z moich przedstawicieli. W przypadku prawdziwego niebezpieczeństwa ma prawo porozumieć się z oficerem politycznym. Jeśli Putin żyje, co jest mało prawdopodobne, to uczestniczy w spisku i Łoginow nie skontaktuje się z nim. W

sytuacji naprawdę awaryjnej ma rozkaz zniszczyć okręt i uciec.

- Czy to możliwe? - zapytał Narmonow. - Towarzyszu Gorszkow?

- Wszystkie nasze okręty, szczególnie podwodne, mają założone potężne ładunki wybuchowe.

- Ale niestety - powiedział Padorin - ładunki te są zazwyczaj nieuzbrojone. Może to zrobić tylko kapitan. Od czasów „Storożewoja” Główny Zarząd Polityczny musi brać pod uwagę powtórzenie się tego rodzaju sytuacji, także w przypadku raketowych okrętów podwodnych.

- To znaczy, że jest operatorem raketowym? - domyślił się Narmonow.

- Nie, towarzyszu sekretarzu, jest kucharzem pokładowym - odpowiedział Padorin.

- Wspaniale! Spędza całe dnie na gotowaniu ziemniaków! - wykrzyknął Narmonow, podnosząc ręce do góry, a jego pełne nadziei oczekiwanie w jednej chwili zmieniło się we wściekłość. - Już teraz chcesz kulkę w łeb, Padorin?

- Towarzyszu sekretarzu, tego rodzaju stanowisko jest lepszą przykrywką, niż możecie sobie wyobrazić - powiedział bez drgnienia powieki admirał, chcąc pokazać tym ludziom, z kim mają do czynienia. - Pomieszczenia oficerskie i kambuz na „Czerwonym Październiku”

znajdują się na rufie, a pomieszczenia załogi są na dziobie. Załoga je u siebie, bo nie ma osobnej jadalni. Po drodze jest przedział raketowy. Kucharz musi codziennie wiele razy chodzić tam i z powrotem i jego obecność w jakimś konkretnym miejscu nie zwróci niczyjej uwagi. Lodówka z żywnością znajduje się na dziobie, za dolnym pokładem raketowym. Jego zadaniem

nie

jest

zdetonowanie

ładunków

zatapiających,

bo

zawsze

istnieje

prawdopodobieństwo, że rozbroi je kapitan. Wszystkie te środki zostały dokładnie przemyślane.

- Mówcie dalej - warknął Narmonow.

- Tak jak towarzysz Gorszkow wyjaśnił wcześniej, „Czerwony Październik” ma na pokładzie dwadzieścia sześć rakiet *Seahawk*. Są to rakiety na paliwo stałe i jedna z nich ma zainstalowany bezpiecznik zasięgu.

- Bezpiecznik zasięgu? - zapytał zdziwiony Narmonow. Do tego momentu obecni na posiedzeniu wojskowi niebędący członkami Biura Politycznego, nie zabierali głosu. Padorina zaskoczyło, że teraz postanowił odezwać się generał W.M. Wiszenkow, dowódca strategicznych sił rakietowych.

- Towarzysze, te szczegóły zostały opracowane u mnie w sztabie kilka lat temu. Jak wiecie, w czasie prób każda rakietą ma zainstalowany ładunek bezpieczeństwa pozwalający zniszczyć ją, gdyby zesłała z kursu. W przeciwnym wypadku mogłaby uderzyć w jedno z naszych miast. Ale rakiety bojowe nie mają tego rodzaju ładunków dlatego, że imperialiści mogliby odkryć sposób ich detonowania w czasie lotu.

- A więc nasz młody przyjaciel z GRU wysadzi raketę. A co z głowicami? - zapytał

Narmonow.

Jako inżynier z wykształcenia często dawał się odwieść od głównego wątku szczegółami technicznymi i dobry wykład zawsze robił na nim wrażenie.

- Głowice raket - kontynuował Wiszenkow - są uzbrajane przez akcelerometry po osiągnięciu przez raketę zaprogramowanej prędkości przelotu. Amerykanie stosują ten sam system i to dokładnie z tego samego powodu, dla uniknięcia sabotażu. Te systemy bezpieczeństwa są absolutnie pewne. Każdą z głowic można zrzucić ze szczytu moskiewskiej wieży telewizyjnej na stalową płytę i nic się nie stanie. - Generałowi chodziło o potężną konstrukcję, nad której budową Narmonow swego czasu czuwał osobiście jako szef Głównego Komitetu Łączności. Wiszenkow był dobrym politykiem.

- W przypadku raket na paliwo stałe... - ciągnął dalej Padorin, rozumiejąc, że ma teraz wobec Wiszenkova dług wdzięczności i zastanawiając się, czego tamten zażąda w zamian.

Mam nadzieję, pomyślał, że dożyję tej chwili, gdy będę się mógł mu zrewanżować -

...bezpiecznik zasięgu odpala jednocześnie wszystkie trzy stopnie rakiety.

- I rakietą po prostu startuje? - zapytał Aleksandrow.

- Nie, towarzyszu Aleksandrow. Górny stopień może wystartować, jeśli zdoła przebić się przez luk rakietowy okrętu. Spowodowałoby to zalanie wodą przedziału rakietowego i zatopienie okrętu. Nawet jeśli to nie nastąpi, silnik pierwszego członu wydzieli tyle ciepła, że cały okręt zamieni się w bryłę stopionego żelastwa. Wystarczy, żeby go nawet dwadzieścia razy stopić. Łoginowa wyszkolono tak, że potrafi obejść system alarmowy na luku wyrzutni rakiety, uruchomić bezpiecznik zasięgu, włączyć zegar i uciec.

- A nie po prostu zniszczyć okręt? - zapytał Narmonow.

- Towarzyszu sekretarzu - powiedział Padorin - nie można wymagać od młodego człowieka, że spełni obowiązek, wiedząc, że czeka go pewna śmierć. Nie można tego w rzeczywistości oczekiwać. Musi mieć przynajmniej możliwość ucieczki, gdyż w przeciwnym wypadku ludzka słabość może

uniemożliwić mu wykonanie zadania.

- Brzmi to rozsądnie - powiedział Aleksandrow. - Młodych ludzi popycha do działania nadzieja, a nie lęk. W tym przypadku młody Łoginow będzie się spodziewać większej nagrody.

- I dostanie ją - powiedział Narmonow. - Zrobimy wszystko, żeby go uratować, Gorszkow.

- Jeśli można mieć do niego rzeczywiście zaufanie - wtrącił Aleksandrow.

- Zdaję sobie sprawę, że od tego zależy moje życie, towarzyszu Aleksandrow -

powiedział nadal wyprostowany na krześle Padorin. Nie doczekał się żadnej odpowiedzi, tylko kilku członków Biura Politycznego lekko skinęło głowami. Nie po raz pierwszy zaglądał śmierci w oczy, a w jego wieku i tak cały czas żyje się w jej cieniu.

Biały Dom

O godzinie 4.50 po południu do gabinetu prezydenckiego wkroczył Arbatow.

Prezydent i doktor Pelt siedzieli swobodnie w fotelach z dala od prezydenckiego biurka.

- Proszę do nas, panie ambasadorze. Kawy? - prezydent wskazał tacę na brzegu biurka. Arbatow zwrócił uwagę, że dziś prezydent nie pije.

- Nie, dziękuję, panie prezydencie. Czy można zapytać...

- Prawdopodobnie odnaleźliśmy wasz okręt, Aleks - odpowiedział Pelt. - Właśnie nam przynieśli te depesze i teraz je sprawdzamy. - Doradca prezydenta podniósł spięty plik depesz.

- I gdzie on jest, jeśli można wiedzieć? - spytał ambasador z kamienną twarzą.

- Mniej więcej pięćset pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Norfolk -

odpowiedział Pelt. - Nie zlokalizowaliśmy go dokładnie. Jeden z naszych okrętów zaobserwował podwodną eksplozję w tym rejonie. Nie, źle mówię, odgłos eksplozji został

nagrany przez okręt, a gdy po paru godzinach przesłuchiowano taśmy, wydawało im się, że słyszą wybuch i zatonięcie okrętu podwodnego. Przepraszam cię, Aleks. Powinienem był

dobrze się zastanowić, zanim zabrałem się do czytania tego wszystkiego bez tłumacza. Czy u was w marynarce też mają swój własny język?

- Wojskowi nie chcą, żeby ich rozumieli cywile. - Arbatow uśmiechnął się. - Jest tak chyba od chwili, gdy człowiek po raz pierwszy podniósł z ziemi kamień.

- W każdym razie okręty i samoloty przeszukują przypuszczalny obszar katastrofy.

Prezydent podniósł wzrok.

- Panie ambasadorze, kilka minut temu rozmawiałem z szefem sztabu marynarki, Danem Fosterem. Powiedział, że chyba nikt nie przeżył. Dno jest tam na głębokości ponad trzystu metrów, a pogodę, jak pan wie, mamy fatalną. Mówią, że nastąpiło to na samym skraju szelfu.

- W Rowie Norfolk - dodał Pelt.

- Prowadzimy szczegółowe poszukiwania - kontynuował prezydent. - Marynarka ma sprowadzić specjalny sprzęt ratowniczy, sprzęt poszukiwawczy, wszystko, co mają. Jeśli znajdziemy okręt, zejdziemy na dół sprawdzić, czy ktoś został przy życiu. Z tego, co mówi szef sztabu marynarki, wynika, że istnieje taka możliwość, jeśli wewnętrzne ścianki, chyba nazywa się to grodzie, nie zostały uszkodzone. Ale pozostaje, jego zdaniem, jeszcze problem powietrza. Czas działa na naszą niekorzyść. Kupujemy im tyle drogiego sprzętu, a oni nie potrafią odnaleźć jednego dużego obiektu blisko brzegu.

Arbatow zanotował sobie w pamięci te słowa. Przydadzą się przy pisaniu meldunku dla wywiadu. Prezydent czasami pozwalał sobie na...

- A przy okazji, panie ambasadorze, co właściwie robił tam wasz okręt?

- Nie mam pojęcia, doktorze Pelt.

- Ufam, że to nie był okręt rakietowy - powiedział doradca prezydenta. - Zgodnie z porozumieniem mają się trzymać dziewięćset kilometrów od wybrzeży. Nasza ekipa ratownicza dokona oczywiście kontroli wraku. Gdyby się miało okazać, że to okręt rakietowy...

- Rozumiem wasz punkt widzenia, ale mimo wszystko są to wody międzynarodowe.

Prezydent obrócił się i odezwał miękko.

- Zatoka Fińska to też wody międzynarodowe, panie ambasadorze, podobnie jak Morze Czarne. - Przerwał na chwilę, żeby informacja dotarła do adresata. - Mam nadzieję, że nie idziemy w kierunku tego rodzaju sytuacji. Czy to jest okręt rakietowy, panie ambasadorze?

- Naprawdę, panie prezydencie, nie mam pojęcia. Chciałbym natomiast wierzyć, że nie.

Prezydent widział, jak ostrożnie sformułowane zostało całe kłamstwo. Ciekaw był, czy Rosjanie przyznają się, że kapitan okrętu zlekceważył rozkazy. Nie, prawdopodobnie będą twierdzić, że to błąd w nawigacji.

- Doskonale. W każdym razie będziemy prowadzić własną operację poszukiwawczo-ratowniczą. Niedługo z całą pewnością dowiemy się, jaki to okręt. - Prezydent zaczął nagle sprawiać wrażenie zakłopotanego. - Foster mówił o jeszcze jednej sprawie. Jeśli znajdziemy ciała... proszę wybaczyć niedelikatność w sobotnie popołudnie, to rozumiem, że będziecie chcieli odesłać je do kraju.

- Nie mam w tej sprawie żadnych instrukcji - odpowiedział zgodnie z prawdą zaskoczony ambasador.

- Wyjaśniono mi aż nazbyt dokładnie, co tego rodzaju śmierć robi z człowieka.

Mówiąc najprościej, ciśnienie wody miażdży ciała, co nie wygląda zbyt przyjemnie. Ale są to ludzie i nawet po śmierci należy się im trochę szacunku.

- Jeśli istnieje taka możliwość, to jestem przekonany, że naród radziecki będzie wdzięczny za ten humanitarny gest - zgodził się Arbatow.

- Zrobimy, co w naszej mocy.

Ta amerykańska moc obejmuje między innymi jednostkę o nazwie „Glomar Explorer”, przypomniał sobie Arbatow. Ten niesławny okręt został zbudowany przez CIA wyłącznie w celu wydostania na powierzchnię radzieckiego okrętu raketowego klasy *Golf* z dna Pacyfiku. „Glomar” niewątpliwie czeka gdzieś w magazynach na następną podobną okazję. Związek Radziecki nie może przeszkodzić w przeprowadzeniu takiej operacji o pięćset pięćdziesiąt kilometrów od największej bazy morskiej Stanów Zjednoczonych.

- Jestem przekonany, że odbędzie się to w zgodzie z prawem międzynarodowym.

Zarówno w odniesieniu do szczątków okrętu, jak i ciał załogi.

- Oczywiście, panie ambasadorze - zapewnił z uśmiechem prezydent, wskazując gestem leżącą na biurku notatkę. Arbatow z trudnością się powstrzymał. Dał się podprowadzić jak uczeń, zapominając, że prezydent jest doświadczonym taktykiem sądowym, do czego życie w Związku Radzieckim raczej nie przygotowuje, i zna wszystkie kruczki prawne. Dlaczego tak łatwo się o tym zapomina?

Prezydent również starał się zapanować nad sobą. Nie za często zdarza się zobaczyć tak zaskoczonego ambasadora radzieckiego. Arbatow jest trudnym przeciwnikiem i niełatwo wytrącić go z równowagi. Wybuch śmiechu wszystko by zepsuł.

Notatka od prokuratora generalnego, która nadeszła rano, miała następującą treść: *Panie Prezydencie!*

Zgodnie z Pańskim życzeniem, zleciłem szefowi naszego wydziału prawa morskiego zbadanie, jak ujmowane jest zagadnienie własności zatopionych lub porzuconych statków w prawie międzynarodowym oraz w prawie ratowniczym. Istnieje tu spora liczba precedensów.

*Jednym z prostszych przypadków jest sprawa *Dalmas vs. Stathos* (84FSuff828, 949 A.M.C.*

770 [S.D.N. Y. 1949]: „Nie pojawia się tu problem prawa obcego, gdyż jest jasno ustalone, że »problemy ratownictwa wyrastają z jus gentium i nie mogą być uzależnione od szczegółowych praw poszczególnych krajów«”.

Podstawą prawną tego stanowiska w prawie międzynarodowym jest Konwencja o ratownictwie morskim z 1910 roku (Bruksela), która kodyfikuje ponadnarodową podstawę prawa morskiego i ratowniczego. Konwencja ta została ratyfikowana przez Stany Zjednoczone poprzez Ustawę o ratownictwie z 1912 roku, 37 Stat. 242,(1912), 46 U.S.C.A.

727-731; również w 37 Stat. 1658(1913).

- Aleks, prawo międzynarodowe będzie przestrzegane - obiecał prezydent. - W najdrobniejszych szczegółach.

A to, co znajdziemy, pomyślał dalej,

zostanie

przetransportowane do najbliższego portu, czyli do Norfolk, przekazane na złomowisko i w ręce przepracowanych urzędników federalnych. Jeśli Rosjanie będą coś chcieli z powrotem, mogą otworzyć sprawę w sądach morskich. W tym przypadku oznacza to federalny sąd okręgowy z siedzibą w Norfolk, skąd, jeśli wygrają sprawę, a po określeniu wartości odzyskanych przedmiotów oraz po zapłaceniu Marynarce Wojennej USA zasądzonej kwoty za akcję ratowniczą, wrak powróci do swoich prawnych właścicieli. Niestety, federalny sąd okręgowy ma, według ostatnich informacji, jedenastomiesięczne opóźnienie w rozpatrywaniu spraw.

Arbatow powiadomi o tym Moskwę. Ale co z tego. Z pewnością prezydent będzie nurzał się w przyjemności manipulowania amerykańskim systemem prawnym na swoją korzyść, cały czas podkreślając, że związany jest konstytucją, która nie zezwala mu na ingerencję w działalność sądów.

Pelt spojrział na zegarek. Już czas na kolejną niespodziankę. Nie mógł nie podziwiać prezydenta. Jak na człowieka, który kilka lat temu miał bardzo ograniczoną znajomość spraw międzynarodowych, uczył się bardzo szybko. Przy swoich prostych manierach i spokojnym głosie, najlepiej radził sobie w starciach bezpośrednich. Po wielu latach pracy prokuratorskiej nadal uwielbiał taktykę negocjacji i taktycznych ustępstw. Manipulował ludźmi niemal mimochodem. Zadzwoił telefon i Pelt szybko wstał, żeby podnieść słuchawkę.

- Tu Pelt. Tak jest, panie admirale. Gdzie? Kiedy? Tylko jeden? Rozumiem...

Norfolk? Dziękuję, panie admirale, to doskonała wiadomość. Natychmiast powiadomię prezydenta. Proszę nas informować na bieżąco. - Pelt odwrócił się od telefonu. - Mamy jednego żywego rozbitka!

- Rozbitka z zaginionego okrętu? - Prezydent podniósł się z miejsca.

- Wiadomo tylko że to radziecki marynarz. Przed godziną śmigłowiec zabrał go do szpitala bazy w Norfolk. Odnaleziono go o pięćset czterdzieści kilometrów na północny wschód od Norfolk, wygląda więc na to, że wszystko się zgadza. Ludzie z okrętu twierdzą, że jest w bardzo kiepskim stanie, ale szpital już go oczekuje.

Prezydent podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

- Grace, połącz mnie natychmiast z Danem Fosterem... Panie admirale, tu prezydent.

Ten człowiek, którego wyłowiono z morza... Kiedy będzie w Norfolk? Dopiero za dwie godziny? - Prezydent zmarszczył brwi.

- Panie admirale, proszę porozumieć się ze szpitalem marynarki i niech pan im powie ode mnie, że mają dla tego człowieka zrobić wszystko, co tylko możliwe. Chcę, aby traktowano go tak, jakby był moim synem. Czy to jasne? Dobrze. Chcę mieć co godzinę meldunki o jego stanie. Chcę, żeby zajęli się tym najlepsi specjaliści, tylko najlepsi. Dziękuję, panie admirale. - Odłożył słuchawkę. - Załatwione!

- Może byliśmy zbyt pesymistyczni, panie ambasadorze? - włączył się radośnie Pelt.

- Czy będziemy mogli zobaczyć naszego marynarza? - zapytał natychmiast Arbatow.

- Oczywiście - odpowiedział prezydent. - Macie lekarza w ambasadzie, prawda?

- Tak jest, panie prezydencie.

- Niech też jedzie do Norfolk. Ułatwimy mu, co się tylko da. Dopilnuję tego. Jeff, czy szukają dalszych rozbitków?

- Tak jest, panie prezydencie. Obecnie krąży tam kilkanaście samolotów, a w drodze są jeszcze dwa okręty.

- Bardzo dobrze! - prezydent radośnie zatarł ręce, niczym dziecko w sklepie z zabawkami. - Jeśli uda się odnaleźć jeszcze kogoś, będzie to dla waszego kraju rodzaj prezentu świątecznego, panie ambasadorze. Zrobimy, co tylko możliwe, ma pan na to moje słowo.

- To bardzo uprzejmie z pana strony, panie prezydencie. Natychmiast przekażę tę miłą wiadomość do kraju.

- Nie tak prędko - rzekł prezydent, podnosząc rękę. - Uważam, że to okazja do toastu.

Dzień dziesiąty

NIEDZIELA, 12 GRUDNIA

Stacja SOSUS

Obraz sytuacji w stacji SOSUS w Norfolk stawał się coraz bardziej złożony. Stany Zjednoczone po prostu nie dysponują techniką pozwalającą śledzić okręty podwodne w głębiach oceanicznych. Czujniki SOSUS umieszcza się przede wszystkim na kluczowych obszarach szelfu, oceanicznych grzbietach i wzniesieniach. Otwarte baseny oceaniczne są zbyt rozległe i zbyt głębokie - średnia głębokość wynosi ponad trzy kilometry - i nie można ich nafaszerować czujnikami, tak jak płytszych kluczowych akwenów. Strategia krajów NATO uzależniona jest od tych ograniczeń technicznych. Na wypadek wojny ze Związkiem Radzieckim przewidziano wykorzystanie bariery SOSUS między Grenlandią, Islandią i Wielką Brytanią jako systemu ostrzegawczego, swoistego rodzaju rozległego urządzenia alarmowego. Okręty podwodne i lotnictwo do zwalczania okrętów podwodnych dążyłyby do wykrycia, zaatakowania i zniszczenia zbliżających się do tej bariery radzieckich okrętów podwodnych.

Oblicza się, że bariera przyczyniłaby się do powstrzymania najwyżej połowy nieprzyjacielskich okrętów. Do walki z pozostałymi trzeba byłoby sięgnąć po inne metody.

Przewiduje się, że zadanie NATO w czasie wojny polegać będzie na utrzymaniu panowania na Atlantyku i ochronie żeglugi między Ameryką i Europą, natomiast Związek Radziecki będzie dążyć do uniemożliwienia przewozów przez Atlantyk. Na całym tym obszarze trzeba więc będzie rozmieścić okręty podwodne, aby ochraniać różne możliwe trasy konwojów.

Strategia NATO przewiduje zestawianie dużych konwojów za barierą SOSUS. Ochrona składająca się z niszczycieli, śmigłowców i samolotów tworzyć będzie wokół konwojów strefę ochronną o średnicy około stu osiemdziesięciu kilometrów, w której okręty podwodne nieprzyjaciela będą zwalczane i zatapiane albo przynajmniej angażowane w walkę przez czas pozwalający na przejście konwoju. O ile więc system SOSUS obliczony jest na kontrolowanie określonego, zamkniętego obszaru wodnego, o tyle strategia ochrony transportów morskich nad głębinami pomocnego Atlantyku polega na tworzeniu ruchomej, przesuwającej się osłony wokół płynących konwojów oceanicznych.

Całkiem rozsądna strategia. Niestety, nie można jej sprawdzić w warunkach bojowych, a w obecnej sytuacji okazała się w dużym stopniu bezużyteczna. Tyle radzieckich *Alf* i *Victorów* zajęło pozycje wzdłuż wybrzeży, a ostatnie okręty klasy *Charlie*, *Echo* i *November* właśnie ustawiały się na stanowiskach, że główny ekran, któremu właśnie przyglądał się komandor Quentin, wypełniały już nie pojedyncze krótkie czerwone kreski, ale czerwone koła. Każde koło lub kreska oznacza pozycję jednego radzieckiego okrętu podwodnego. Koło określa pozycję obliczoną w przybliżeniu z szybkości, z jaką dany okręt może poruszać się na tyle cicho, aby uniknąć wykrycia przez baterie zainstalowanych czujników. Wiele kół miało średnicę osiemnastu kilometrów, ale inne sięgały nawet dziewięćdziesięciu kilometrów. Ponowne odnalezienie i dokładne oznaczenie położenia okrętu oznacza konieczność przeszukiwania obszaru od dwustu do pięciuset kilometrów kwadratowych. A takich kół było cholernie dużo.

Wykrywaniem okrętów zajmują się przede wszystkim samoloty P-3C *Orion*. Każdy *Orion* zabiera na pokład pławy sonarowe, czyli zestawy aktywnych i pasywnych czujników hydroakustycznych.

Zrzucana z pokładu samolotu pława, po wykryciu okrętu przekazuje informację do samolotu i automatycznie się samozatapia, aby nie wpaść w ręce wroga. Czas pracy urządzenia, a przez to i zasięg jest jednak ograniczony niewielką pojemnością akumulatora. Co gorsza, ograniczone są też zapasy takich pław. W czasie obecnych działań zapasy malały w alarmującym tempie, co odbijało się wyraźnie w kosztach tej operacji.

Ponadto każdy P-3C wyposażony jest w zestaw czujników na podczerwień do wykrywania promieniowania cieplnego i do identyfikowania cech termicznych okrętów o napędzie atomowym oraz w przyrząd wykrywający zakłócenia ziemskiego pola magnetycznego spowodowane obecnością dużych mas metalu, takich jak okręt podwodny. Ten ostatni wykrywa anomalie magnetyczne jedynie w zasięgu sześciuset metrów w prawo i w lewo od kursu samolotu, który musi w tym celu lecieć nisko i powoli, co powoduje zwiększone zużycie paliwa i zmniejsza widzialność. Możliwości detektora podczerwieni są również ograniczone.

Technika lokalizowania celów wykrytych uprzednio przez SOSUS, czyli

„odpluskwiania” określonego obszaru oceanu przed płynącym konwojem, okazała się teraz zawodna przy ślepym przeszukiwaniu głębokich akwenów.

Quentin pochylił się. Jedno z kół na ekranie właśnie zamieniło się w pojedynczą kreskę. To P-3C zrzucił sondę wybuchową, co pozwoliło na zlokalizowanie okrętu podwodnego klasy *Echo* dziewięćset kilometrów na południe od Grand Banks. Od godziny mieli już prawie pewny zamiar ogniowy na ten okręt, a torpedy Mk-46 Oriona były gotowe do wyrzucenia.

Quentin pociągnął łyk kawy. Po czteromiesięcznej intensywnej chemoterapii żołądek buntował mu się na dodatkową porcję kofeiny. Być może w ten sposób rozpocznie się kiedyś wojna... Okręty podwodne przeciwnika nagle zatrzymują się w miejscu i znikną tym samym z ekranów. Zamiast prześlizgiwać się przez bariery czujników w celu atakowania konwojów na otwartym oceanie, podejść bliżej brzegów, jak niegdyś Niemcy... I okaże się, że wszystkie amerykańskie czujniki są nie tam, gdzie trzeba.

Gdy okręt podwodny zatrzymuje się w miejscu, odnalezienie go jest coraz trudniejsze, a kreska na ekranie zamienia się stopniowo w coraz większe koło. Zaczajone okręty z wyłączonymi silnikami staną się niewidocznymi pułapkami dla przepływających w pobliżu statków handlowych i okrętów wojennych, spieszących z dostawami dla żołnierzy w Europie.

Okręty podwodne są jak ten nowotwór, z którym jego organizm ledwo się uporał.

Niewidzialne, złośliwe okręty zaczajają się w upatrzonym miejscu, zaatakują jak nowotwór, a na ekranie, na który Quentin patrzył, zniszczenia będą rozrastać się, dopóki samoloty, kierowane z tej sali, nie odnajdą i nie zniszczą przeciwnika. Teraz jednak atak nie wchodził w grę. Można tylko obserwować.

Wystukał na klawiaturze komputera.

Na ekranie pojawiła się natychmiast odpowiedź:

PZ = 23

Quentin zmarszczył czoło. Jeszcze dwadzieścia cztery godziny wcześniej PZ, prawdopodobieństwo zatopienia, wynosiło czterdzieści: czterdzieści zatopionych jednostek przeciwnika w ciągu godziny od rozpoczęcia walki. Teraz niewiele ponad połowę tej liczby, a i tę wartość trzeba przyjmować bardzo ostrożnie, gdyż opiera się na założeniu, że wszystko będzie szło zgodnie z planem, co zdarza się tylko w powieściach. Quentin oceniał, że niedługo liczba ta spadnie poniżej dziesięciu. Nie obejmuje co prawda zatopień przez okręty podwodne, które śledzą Rosjan bez zdradzania własnej pozycji. Okręty typu *Sturgeon*, *Permit* i *Los Angeles* prowadzą własną wojnę podwodną, według własnych reguł. To inny gatunek ludzi. Starał się myśleć o nich jako o sprzymierzeńcach, ale nigdy mu się to do końca nie udawało. Przez całe dwadzieścia lat służby w marynarce wszystkie okręty podwodne zawsze traktował jako wroga. W czasie wojny własne okręty okazały się zapewne pożyteczne, ale z drugiej strony, właśnie w czasie wojny nie ma czegoś takiego, jak przyjazny okręt podwodny.

Bombowiec B-52

Załoga bombowca dokładnie wiedziała, gdzie znajduje się przeciwnik. *Oriony* marynarki i rozpoznawcze *Sentry* lotnictwa od dawna śledziły jego ruchy. Poprzedniego dnia Rosjanie podobno wysłali uzbrojony myśliwiec z „Kijowa” na rozpoznanie najbliższego *Sentry*. Była to prowokacja, niezależnie od tego, czy lot miał charakter bojowy, czy też nie.

Przed czterema godzinami, o trzeciej trzydzieści w nocy, z lotniska Plattsburg koło Nowego Jorku wystartowała eskadra czternastu bombowców, ciągnąc za sobą ogony niewidocznych w półmroku przedświt spalin. Każdy samolot zabrał pełen ładunek paliwa i tylko dwanaście rakiet, znacznie poniżej możliwości udźwigu, co pozwoliło na zwiększenie zasięgu.

A o to chodziło przede wszystkim. Wiedzieć, gdzie znajduje się przeciwnik, to tylko pierwsza część

bitwy. Druga część polega na jego zwalczaniu. Zadanie eskadry było jasne, choć wcale niełatwe do wykonania. Walki nad Hanoi wykazały, że najlepszą metodą atakowania silnie bronionych celów jest jednoczesne uderzenie ze wszystkich kierunków.

Eskadra B-52 brała udział w atakach na Hanoi, ponosząc ciężkie straty od rakiet ziemia-powietrze. Wypracowano wówczas taktykę nazwaną obrazowo przez dowódcę eskadry

„objęciami rozjuszonego niedźwiedzia”, który zgniata ofiarę w mocnym uścisku. Zgodnie z precyzyjnym planem lotu, jedna część eskadry miała lecieć stosunkowo prostym kursem, podczas gdy druga musiała zatoczyć szerokie koło, trzymając się cały czas poza zasięgiem radzieckich radarów.

Dziesięć minut temu, po otrzymaniu rozkazu ze wspierającego przelot AWACS-a, B-52 zawrócił. Pilot wyrównał lot. Teraz jego kurs w kierunku Rosjan zgodny był z korytarzem przeznaczonym dla samolotów cywilnych. Zawracając, przełączył identyfikator „swój-obcy”

na częstotliwość cywilną. Osiemdziesiąt kilometrów przed nim leciał cywilny *Boeing 747*, czterdzieści osiem kilometrów za nim drugi. Na radzieckich radarach wszystkie trzy samoloty wyglądają dokładnie tak samo: jak trzy niegroźne boeingi.

Na powierzchni oceanu panowały ciemności. Rosjanie prawdopodobnie jeszcze nie podnieśli alarmu. Ich myśliwce latają tylko według namiarów optycznych i pilot B-52

wyobrażał sobie, że startowanie i lądowanie na lotniskowcu po ciemku musi być w takich warunkach niezbyt bezpieczne, szczególnie przy złej pogodzie.

- Odbieramy emisje w pasmach L i S - odezwał się przez telefon wewnętrzny oficer elektronicznych operacji zakłóceń. - Są dokładnie tam, gdzie być powinni.

- Rozumiem. Mają nas na radarze?

- Na pewno, ale chyba myślą, że jesteśmy samolotem rejsowym Pan Am. Brak sygnałów naprowadzania broni, tylko rutynowa obserwacja przestrzeni.

- Odległość do celu?

- Dwieście osiem kilometrów.

Zaraz się zacznie. Plan lotu był tak ułożony, aby wszystkie samoloty weszły jednocześnie w strefę dwustu kilometrów wokół eskadry radzieckiej.

- Wszystko gotowe?

- Tak jest.

Pilot odprężył się jeszcze na minutę, czekając, aż odezwie się sygnał radiowy.

- *FLASHLIGHT, FLASHLIGHT, FLASHLIGHT* - zabrzmiało hasło w radiowym kanale numerycznym.

- Już! Niech wiedzą, że lecimy - rozkazał kapitan samolotu.

- Tak jest. - Operator urządzeń elektronicznych zdjął przezroczystą plastikową osłonę z konsoli przycisków sterujących elektronicznym systemem zagłuszania. Najpierw włączył

prąd, co zajęło kilka sekund. Elektronika na B-52 pochodziła z lat siedemdziesiątych, bo eskadra szkoliła również młodzież. Jako pomoc szkolna urządzenia te były doskonałe, ale porucznik miał nadzieję przenieść się na nowe B-1B właśnie schodzące z taśmy montażowej Rockwella w Kalifornii. Przez ostatnie dziesięć minut anteny pasywne na dziobie i końcach skrzydeł bombowca rejestrowały sygnały radzieckich radarów, określając szczegółowo częstotliwości, czas powtarzania impulsów, moc i indywidualne charakterystyki urządzeń nadawczych. Porucznik był nowicjuszem w tej grze, świeżo po kursie elektroniki wojskowej, który ukończył z pierwszą lokatą. Zastanawiając się, od czego zacząć, wybrał jedną z zaprogramowanych prostszych sekwencji zagłuszania.

Krażownik „Nikołajew”

Dwieście trzydzieści kilometrów dalej, operator radaru na „Nikołajewie”, krażowniku klasy *Kara*, analizował kilka sygnałów, które zdawały układać się koncentrycznie wokół

formacji okrętów. Nagle ekran pokryło dwadzieścia nieregularnych plam przemieszczających się bezładnie w różnych kierunkach. Włączył alarm, powtórzony po kilku sekundach przez drugiego operatora. Oficer wachtowy pospieszył sprawdzić ekrany radarów.

Gdy dotarł na miejsce, tryb zagłuszania uległ zmianie i teraz sześć linii jak szprychy koła obracało się powoli wokół centralnej osi.

- Znacznik bramkujący! - rozkazał oficer. Pojawiły się kleksy, linie, kreski.

- Więcej niż jeden samolot, towarzyszu poruczniku - zameldował operator, próbując przełączyć częstotliwość.

- Alarm bojowy! - krzyknął następny operator. Anteny jego urządzenia zarejestrowały właśnie sygnały lotniczego radaru naprowadzania rakiet powietrze-woda.

Bombowiec B-52

- Mamy namiary celów - zameldował operator rakiet bombowca. - Ustaliłem położenie pierwszych trzech obiektów.
- Namierzaj dalej - odpowiedział oficer - jeszcze przez dziesięć sekund.
- Dziesięć sekund - potwierdził operator. - Wyłączam... teraz.
- W porządku, zaprzestać zagłuszania.
- Systemy zagłuszania wyłączone.

Krażownik „Nikołajew”

- Sygnały radarów naprowadzających ustały - zameldował oficer bojowego ośrodka informacyjnego kapitanowi, który właśnie przyszedł z mostka. Obok marynarze przebiegali na stanowiska bojowe. - Ustało również zagłuszanie.
- Co się tam dzieje? - zapytał kapitan.

Jego ukochanemu okrętowi zagrożono z powietrza, a teraz znowu jest wszystko w porządku?

- Wokół nas jest co najmniej osiem samolotów nieprzyjacielskich. Kapitan przyjrzał się monitorowi pasma S kontroli obszaru powietrznego, na którym wszystko wróciło już do normy. Widać było wiele kresek oznaczających samoloty cywilne. Jasne przecinki na ekranie, układające się w półkole, prawdopodobnie oznaczają nieprzyjaciela.
- Czy możliwe, że wystrzelili rakiety?
- Nie, towarzyszu kapitanie, musielibyśmy je zauważyć. Przez trzydzieści sekund zagłuszali nasze radary i przez dwadzieścia sekund kierowali na nas wiązki naprowadzania rakiet. Później wszystko ustało.
- Czyli że prowokują, a teraz udają, że nic się nie stało - warknął kapitan. - Kiedy będą w zasięgu naszych rakiet woda-powietrze?
- Ten... i tamte dwa za dwie minuty, jeśli nie zmienią kursu.
- Namierzyć ich naszym systemem naprowadzania. Damy skurczybykom nauczkę!

Wydając rozkazy, oficer zastanawiał się, kto kogo uczy. Sześćset metrów ponad boeingami leciała maszyna typu EC-135, której skomputeryzowane elektroniczne czujniki rejestrowały i szczegółowo analizowały wszystkie sygnały z radzieckiego krążownika, żeby móc je potem skuteczniej zagłuszać. Było to pierwsze bezpośrednie zetknięcie się z nowym radzieckim systemem raketowym typu SA-N-8.

Dwa Tomcaty F-14

Samolot myśliwski dowódcy 41. dywizjonu, zwanego „Czarne Asy”, wyróżniał się poprzedzonym dwoma zerami numerem na kadłubie. Na podwójnych statecznikach widniało zaś godło dywizjonu, as pikowy. Dywizjonem dowodził kapitan Robby Jackson, a jego kod radiowy brzmiał „Pik 1”.

Teraz Jackson leciał w kluczu dwóch samolotów naprowadzanych przez dwusilnikowy E-2C *Hawkeye* z lotniskowca „Kennedy”. E-2C to przeznaczona dla marynarki nieco mniejsza wersja AWACS-a używanego przez lotnictwo i bliski krewny dostawczego DNO. Z dyskiem kopuły ochronnej radaru nad kadłubem wyglądał jak samolot porwany przez UFO. Pogoda była zła, czyli normalna jak na północny Atlantyk w grudniu. Podobno w miarę lotu na zachód miała się stopniowo poprawiać. Jackson i jego skrzydłowy, podporucznik Bud Sanchez, lecieli prawie cały czas w chmurach, rozluźniwszy formację. W

warunkach ograniczonej widzialności obaj piloci pamiętali, że taki dwumiejscowy F-14

kosztuje ponad trzydzieści milionów dolarów.

Wykonywali zadanie, do którego F-14, nadają się najlepiej. Są to myśliwce przechwytyjące do działań w każdych warunkach pogodowych, o zasięgu transoceanicznym, i maksymalnej prędkości przekraczającej dwukrotnie prędkość dźwięku. Ich komputerowy system naprowadzania radarowego zdolny jest do jednoczesnej analizy i atakowania sześciu różnych celów dalekosiężnymi raketami powietrze-powietrze typu *Phoenix*. Oba samoloty uzbrojone były teraz w dwie takie rakiety i w dwie rakiety typu AIM-9M *Sidewinder*, działające na podczerwień. Ich celem stanowiła grupa myśliwców pionowego startu i lądowania *Jak-36*, która leciała z lotniskowca „Kijów”. Poprzedniego dnia Rosjanie niepokoili jeden z samolotów AWACS-a, a tym razem postanowili zbliżyć się do grupy lotniskowca „Kennedy”, prawdopodobnie naprowadzani danymi z radzieckiego satelity rozpoznawczego. Ich samolotom udało się przelecieć o osiemdziesiąt kilometrów bliżej od miejsca, z którego

„Kennedy” został zauważony. Waszyngton uznał, że jak na tę część oceanu, Rosjanie za dużo sobie pozwalają. Admirał Painter otrzymał polecenie, aby odpowiedzieć uprzejmością na uprzejmość.

Jackson był pewien, że łatwo poradzą sobie we dwóch z Sanchezem, nawet pomimo przewagi

liczebnej przeciwnika. Żaden radziecki samolot, a już na pewno nie jak, nie może się równać z F-14. Szczególnie gdy ja jestem pilotem, myślał Jackson.

- „Pik 1”, cel jest na twojej dwunastej godzinie, na twoim pułapie, odległość trzydzieści kilometrów - zameldował „Koliber 1”, czyli rozpoznawczy *Hawkeye*, lecący o sto sześćdziesiąt kilometrów za nimi. Jackson nie potwierdził przyjęcia informacji.

- Masz coś, Chris? - zapytał lecącego z nim kapitana Christiansena, operatora radaru pokładowego.

- Czasami jakiś sygnał, ale nic konkretnego. - Śledzili eskadrę *Jaków* tylko systemami biernymi, sensorami podczerwieni.

Jackson pomyślał o skierowaniu na przeciwnika potężnej wiązki radaru naprowadzania rakiet. Czujniki *Jaków* odebrałyby taki sygnał, informując pilotów, że właśnie wydano na nich wyrok śmierci i brakuje tylko jednego naciśnięcia guzika.

- A co z „Kijowem”? - zapytał.

- Nic, zupełna cisza.

- Sprytnie - stwierdził Jackson.

Domyślał się, że niedawny pozorowany atak bombowców B-52 na grupę „Kirowa” i

„Nikołajewa” spowodował, że Rosjanie stali się ostrożniejsi. Mało kto wie, że okręty wojenne rzadko korzystają z posiadanych radarów. Wiązkę radarową można odebrać z odległości kilkakrotnie większej niż odległość, z której daje ona odbicia dla nadawcy. Zamiast zdobyć informacje o przeciwniku, zdradza się tylko własną pozycję.

- Myślisz, że trafią do domu bez pomocy?

- Jeśli nie trafią, to niech mają pretensję do samych siebie - odparł z uśmiechem Jackson.

- W porządku, mam zamiar na podczerwieni. Gdzieś musi być dziura w chmurach. -

Nie zwracając uwagi na widoki za szybą, Christiansen skupił się na przyrządach.

- „Pik 1”, tu „Koliber 1”, cel na dwunastej, twój pułap, odległość dziesięć. - Meldunek nadano na szyfrowanej częstotliwości.

Nieźle, pomyślał Jackson. Wykryć termiczny sygnał *Jaków* przez taką watę, tym bardziej że ich silniki są małe i słabe.

- Aktywny sygnał radaru, kapitanie - zameldował Christiansen. - „Kijów” uruchomił

system obserwacji przestrzeni powietrznej. Mają nas z całą pewnością.

- Dobra. - Jackson włączył kciukiem mikrofon. - „Pik 2”, namierz cele.

- Zrozumiałem - potwierdził Sanchez. Dalsze ukrywanie się nie miało już sensu.

Obydwa myśliwce włączyły potężne radary AN/AWG-9. Za dwie minuty dogonią nieprzyjaciela.

Sygnały radarowe odebrane przez czujniki na statecznikach *Jaków* włączyły sygnał w słuchawkach pilotów, który trzeba wyłączać ręcznie, i spowodowały zapalenie czerwonego światła ostrzegawczego na tablicy przyrządów każdego samolotu.

Eskadra „Zimorodek”

- „Zimorodek”, tu „Kijów” - odezwał się dyżurny kontroler z lotniskowca. - Radar wskazuje, że zbliżają się do was od tyłu z dużą szybkością dwa amerykańskie myśliwce.

- Zrozumiałem. - Dowódca radzieckiej eskadry spojrział w lusterko wsteczne.

Spotkania z Amerykanami prawdopodobnie nie da się uniknąć. Zgodnie z instrukcją, mógł

podjąć przeciwdziałanie dopiero wtedy, gdy przeciwnik zacznie strzelać pierwszy. Akurat wyszli na otwartą przestrzeń. Trudno, w chmurach czuł się bezpieczniej.

Pilot „Zimorodka 3”, porucznik Szawrow, sięgnął do przełącznika i uzbroił cztery rakiety typu Atol. Tym razem nie uda ci się, jankesie, pomyślał.

Tomcaty

- „Pik 1”, do celu minuta, kontakt wzrokowy w każdej chwili - odezwał się „Koliber 1”.

- Zrozumiałem... Są! - Jackson i Sanchez właśnie wyszli z chmur. Na kilka kilometrów przed nimi leciały jaki. Mając przewagę czterystu kilometrów na godzinę, Amerykanie szybko je dochodzili. Rosjanie utrzymują elegancki, ścisły szyk, pomyślał

Jackson, ale na jaku to żadna sztuka.

- „Pik 2”, dopalacze na moją komendę. Trzy, dwa, jeden, już!

Obaj piloci przesunęli do przodu manetki sterowania silnikami i włączyli dopalacze, które pompowały strumień paliwa prosto w dysze nowych silników FK-110. Myśliwce szarpnięte zwiększonym ciągiem, przekroczyły barierę dźwięku.

Eskadra „Zimorodek”

- „Zimorodek”, uwaga, uwaga, *Amerikancy* zwiększyli prędkość - ostrzegł „Kijów”.

„Zimorodek 4” odwrócił się w fotelu. Dwa kilometry za sobą zobaczył *Tomcaty*, dwa świetliste żądła ze strugami czarnego dymu.

Słońce błysnęło na jednej z kabin i wyglądało to prawie jak błyski...

- Atakują!

- Co? - dowódca ponownie spojrział w lusterko. - Nie, w porządku. Trzymać szyk!

F-14 przeleciały z łoskotem piętnaście metrów nad nimi. Uderzenie fali dźwiękowej zabrzmiało jak eksplozja. Szawrow zareagował instynktownie, tak jak go wyszkolono.

Pociągnął gwałtownie drążek sterowy na siebie i odpalił za odlatującymi amerykańskimi myśliwcami wszystkie cztery rakiety.

- Trójka, co zrobiłeś?! - odezwał się dowódca eskadry.

- Przecież nas zaatakowali, nie widzieliście? - rzucił na swoją obronę Szawrow.

Tomcaty

- Cholera, „Pik 1”, idą za tobą cztery *Atole* - odezwał się głos kontrolera z „Kolibra”.

- Dwójka, odejdz w prawo. Chris, przeciwdziałanie - rozkazał Jackson i wprowadził samolot w ostry zakręt w lewo. Sanchez skrzył w przeciwnym kierunku.

Wszystkie cztery rakiety ściagały samolot Jacksona. Siedzący za kapitanem operator radaru nacisnął przełączniki, uruchamiając systemy przeciwdziałania samolotu. F-14 wykonał

ostrzy zakręt i wyrzucił z części ogonowej flary i balony dla zmylenia radarowych i podczerwonych urządzeń naprowadzania rakiet.

- „Pik 2” jest czysty, „Pik 2” jest czysty. „Pik 1”, nadal masz cztery na ogonie - odezwał się głos z „Kolibra”.

- Rozumiem. - Jacksona dziwił własny spokój. *Tomcat* robił tysiąc trzysta kilometrów na godzinę i nadal przyspieszał. Jaki może być zasięg *Atole*? - pomyślał pilot. Zamrugało ostrzegawcze światło radaru tylnej półsfery.

- Dwójka, idź za tamtymi - rozkazał Jackson.

Tak jest! - Sanchez wykonał ostrzy zwrot i rzucił się w pościg za odlatującymi myśliwcami rosyjskimi.

Po manewrze Jacksona dwie z czterech rakiet zgubiły ślad i poleciały prosto. Trzecia wybuchła, nieszkodliwie trafiając we flarę. Ale czwarta trzymała się śladu rozgrzanych dysz w ogonie „Pika 1”. Uderzyła w podstawę prawego statecznika pionowego.

Wybuch spowodował utratę sterowności maszyny. Statecznik i prawy stabilizator odpadły w całości. Odłamki, które podziurawiły lewy statecznik, przebiły również pokrywę samolotu, trafiając w hełm Christiansena. W tej samej chwili zapaliły się światła alarmu pożarowego prawego silnika.

Jackson usłyszał w interkomie stłumione „bum”. Wyłączył prawy silnik i uruchomił

instalację gaśniczą. Następnie gwałtownie zmniejszył zasilanie lewego silnika, wciąż idącego na dopalaczu. Do tej chwili F-14 spadał korkociągiem do tyłu. Skrzydła o zmiennej geometrii wysunęły się odpowiednio do zmniejszonej prędkości, co pozwoliło Jacksonowi odzyskać panowanie nad sterami. Był na tysiąc dwustu metrach. Zostało mało czasu.

- W porządku, mały - odezwał się pieszczotliwie. Nagłe dodanie mocy przywróciło maszynie lotność. Jackson, niegdyś oblatywacz, gwałtownie odwrócił samolot, ale za mocno.

Wyrównał dopiero po dwóch pełnych obrotach. - Już w porządku! Jesteś tam, Chris?

Milczenie. Nie mógł się odwrócić, z tyłu miał jeszcze samoloty wroga.

- „Pik 2”, tu dowódca.

- Jestem, kapitanie. - Sanchez cały czas trzymał cztery *Jaki* w celowniku. Ośmielili się zaatakować jego dowódcę.

„Koliber 1”

Kontroler na „Kolibrze” myślał szybko. *Jaki* nadal trzymały szyk, a w radiu słychać było gorączkowe rozmowy po rosyjsku.

- „Pik 2”, tu „Koliber 1”, zawracaj, powtarzam, zawracaj. Nie strzelaj, powtarzam, nie strzelaj. Jak mnie zrozumiałeś? „Pik 2”, masz „Pika 1” dziewięćdziesiąt stopni w lewo, sześćset metrów niżej. - Kontroler zaklął i spojrział na jednego ze swych pomocników.

- To się stało za szybko - powiedział tamten - o wiele za szybko. Nagraliśmy ruskich.

Nic z tego nie rozumiem, ale wygląda na to, że na „Kijowie” robią w gacie.

- Nie tylko oni - odpowiedział, zastanawiając się, czy dobrze zrobił, odwołując „Pika 2”. Nie przyszło mu to łatwo.

Tomcaty

Zaskoczony Sanchez potrząsnął głową.

- Zrozumiałem, zawracam - rzucił w mikrofon, zdejmując kciuk ze spustu. - Cholera jasna! - Pociągnął do siebie drążek sterowniczy, wciskając maszynę w ostrą pętlę. - Dowódco, gdzie jesteś?

Sanchez wprowadził myśliwiec poniżej samolotu Jacksona i wykonując wolne okrążenie obejrzał uszkodzenia.

- Ogień ugaszony. Masz urwany prawy statecznik i ster kierunkowy. Z lewym statecznikiem kiepsko, dziury na wylot, ale może wytrzyma. Chwileczkę, Chris leży twarzą na tablicy. Czy masz z nim łączność?

- Próbowałem, ale nic z tego. Wracamy do siebie.

Nic nie sprawiłoby Sanchezowi większej satysfakcji, niż zniszczenie radzieckich *Jaków*. Jego cztery rakiety załatwiłyby ich błyskawicznie. Lecz, jak większość pilotów, był

zdyscyplinowany.

- Rozumiem, dowódco.

- „Pik 1”, tu „Koliber 1”, melduj uszkodzenia.

- „Koliber 1”, dociągnę, jeśli jeszcze coś nie odpadnie. Niech lekarze czekają w pogotowiu. Chris dostał, ale nie wiem czy poważnie.

Dotarcie do „Kennedy’ego” zajęło im godzinę. Myśliwiec Jacksona szedł kiepsko, na żadnej wysokości nie chciał trzymać kursu i cały czas trzeba było korygować równowagę.

Sanchez meldował o poruszeniu w tylnej kabinie. Jackson miał nadzieję, że brak łączności z Christiansenem to tylko skutek przestrzelenia interkomu.

Sanchezowi kazano lądować najpierw, żeby mieć czysty pas dla kapitana Jacksona.

Przy schodzeniu do lądowania myśliwiec ledwo słuchał sterów. Pilot walczył z samolotem i posadził go twardo na pokładzie, zaczepiając o pierwszą z lin hamujących. Prawe podwozie od razu się złamało, a wart trzydzieści milionów dolarów samolot zniosło w bok, prosto na przygotowaną barierę. Setka ludzi ze sprzętem gaśniczym podbiegła ze wszystkich stron.

Oslona kabiny uniosła się na awaryjnych podnośnikach hydraulicznych. Uwolniwszy się z pasów,

Jackson próbował wyciągnąć nawigatora z tylnego fotela. Byli przyjaciółmi od wielu lat.

Chris żył. Kombinezon z przodu zalany był krwią. Gdy sanitariusz zdjął mu hełm, okazało się, że krwotok nie ustał. Inny sanitariusz odsunął Jacksona i założył rannemu pilotowi kołnierz usztywniający. Ostrożnie przełożyli go na nosze i biegiem ponieśli do punktu medycznego. Jackson powoli ruszył za nimi.

Centrum Medyczne Marynarki w Norfolk

Kapitan Randall Tait ze służby medycznej marynarki szedł korytarzem na spotkanie Rosjan. Nie wyglądał na swoje czterdzieści pięć lat. W gęstej, czarnej czuprynie nie widać było nawet śladów siwizny. Tait był mormonem. Studiował na Uniwersytecie im. Brigham Younga i Wydziale Medycyny Uniwersytetu Stanforda. Chcąc poznać trochę więcej świata, niż widać było z okna jego gabinetu u stóp gór Wasatch, wstąpił do marynarki wojennej.

Zrealizował swoje marzenie i aż do dziś dnia udawało mu się unikać wszystkiego, co chociażby z daleka przypominało dyplomację. Gdy jednak został szefem wydziału Centrum Medycznego Marynarki w Bethesdzie, zrozumiał, że teraz nie będzie to już takie proste. Do Norfolk przywieziono go dopiero przed kilkoma godzinami, aby zajął się tym przypadkiem.

Rosjanie najwyraźniej nie śpieszyli się z przyjazdem.

- Witam panów, jestem doktor Tait. - Wszyscy podali sobie ręce, a porucznik, który przyprowadził ich na górę, zawrócił do ruchomych schodów.

- Doktor Iwanow - przedstawił się niski Rosjanin. - Jestem lekarzem ambasady.

- Kapitan Smirnow. - Tait wiedział, że jest to zastępca attache morskiego, kadrowy oficer wywiadu. W czasie lotu śmigłowca w sprawę wprowadził Taita oficer wywiadu z Pentagonu, który sącył teraz kawę w szpitalnej kantine.

- Wasyl Pieczkin, panie doktorze. Jestem drugim sekretarzem ambasady. - To z kolei wyższy oficer KGB, „legalny szpieg” w dyplomatycznym przebraniu. - Chcielibyśmy zobaczyć naszego człowieka.

- Oczywiście. Proszę za mną. - Tait poprowadził ich korytarzem. Nie spał od dwudziestu godzin, ale jego funkcja w Bethesdzie zdążyła już go do tego przyzwycząić. Na niego spadały wszystkie ciężkie przypadki. Sztuka trzymania się na nogach bez snu jest jedną z pierwszych rzeczy, jakich musi się nauczyć każdy lekarz.

Oddział intensywnej terapii zajmował całe piętro, gdyż szpital marynarki w Norfolk zbudowano przede wszystkim na wypadek wojny. Sala numer trzy miała powierzchnię pięćdziesięciu metrów kwadratowych. Jedyne okna wychodziły na korytarz, zasłony rozsunięto. Z czterech łózek tylko jedno było zajęte. Leżał w nim prawie całkowicie niewidoczny młody człowiek.

Spod tlenowej maski na twarzy wymykały się potargane kosmyki włosów w kolorze słomy. Resztę ciała szczelnie okryto. Obok stał statyw kroplówki. Koniec rurki łączącej dwie butle z płynem zniknął wśród prześcieradeł. Obok łóżka stała pielęgniarka, ubrana, podobnie jak Tait, na zielono. Co jakiś czas odrywała spojrzenie od ekranu elektrokardiografu nad głową pacjenta, zapisując coś w karcie. Przeznaczenia przyrzędu, który stał w głowie łóżka, trudno się było domyślić. Pacjent nie odzyskał

przytomności.

- W jakim jest stanie? - zapytał Iwanow.

- W krytycznym - odpowiedział Tait. - To w ogóle cud, że dotarł tu żywy. Spędził w wodzie od dwunastu do dwudziestu godzin. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że miał na sobie piankowy kombinezon ochronny, to przy panującej teraz temperaturze wody i powietrza po prostu nie powinien już żyć. Ciepłota w chwili przyjęcia na oddział wynosiła niecałe dwadzieścia cztery stopnie Celsjusza. - Tait potrząsnął głową. - W literaturze czytałem o gorszych przypadkach, ale nigdy nie miałem osobiście do czynienia z tak zaawansowaną hipotermią.

- Jakie rokowania? - Iwanow spojrzał w głąb pokoju.

- Trudno powiedzieć - wzruszył ramionami Tait. - Może pół na pół, może mniej. Cały czas znajduje się w stanie głębokiego szoku. Może tego nie widać, ale jest zasadniczo zdrowy i w doskonałej kondycji fizycznej, jak sportowiec. Ma wyjątkowo silne serce i prawdopodobnie tylko dlatego jeszcze żyje. Hipotermię z grubsza opanowaliśmy. Jednak przy takim oziębieniu organizmu należy się spodziewać, że mogą jednocześnie wystąpić różne komplikacje. Musimy prowadzić wielokierunkowe leczenie zwalczające różnorodne powikłania układowe. W tej chwili najgroźniejszy dla życia jest sam wstrząs. Rutynowo podajemy elektrolity, ale jeszcze przez kilka dni pacjent będzie na granicy śmierci, a przynajmniej...

Tait obejrzał się. Korytarzem nadchodził następny mężczyzna, młodszy i wyższy od Taita, w białym fartuchu nałożonym na mundur, z kartą choroby w ręku.

- Panowie, oto doktor... porucznik Jameson. To on prowadzi naszego pacjenta i on przyjął go na oddział. Co nowego, Jamie?

- Badanie płwociny wykazało, niestety, zapalenie płuc. Pogarszają się też wyniki badań krwi, a najgorzej, że spada liczba leukocytów.

- Cholera - zaklął sam do siebie Tait, opierając się o ramę okiennej.

- Tu masz wydruk z analizatora. - Jameson podał mu kartę.

- Mogę to zobaczyć? - Iwanow nachylił się.

- Proszę bardzo - odparł Tait, otwierając kartę, tak żeby każdy mógł przeczytać wyniki. Chwilę trwało, zanim nie mający nigdy do czynienia z komputerowym analizatorem Iwanow zrozumiał wydruk.

- To jest bardzo nie w porządku.

- Bardzo - potwierdził Tait.

- Trzeba się będzie ostro zabrać do zapalenia płuc, bo jeśli się rozwinie... - powiedział

Jameson. - Zbyt wiele rzeczy się chłopakowi paprze.

- Keflin? - zapytał Tait.

- Tak jest - Jameson wyciągnął z kieszeni fiolkę. - Ile się tylko da. Prawdopodobnie dostał zapalenia, zanim jeszcze znalazł się w wodzie, a słyszałem, że wykryto w Rosji szczepy odporne na penicylinę. Uzywacie u siebie głównie penicyliny, prawda? - spytał

Jameson, spoglądając na Iwanowa.

- Tak. Co to jest keflin?

- Nowa rzecz, syntetyczny antybiotyk skuteczny przeciw szczepom odpornym na inne antybiotyki.

- Zaaplikuj mu to od razu, Jamie - polecił Tait.

Jameson wszedł do sali, wstrzyknął antybiotyk do butelki z płynem kroplówkowym i zawiesił ją na stojaku.

- Jest taki młody - zauważył Iwanow. - To on stawiał pierwszą diagnozę naszemu marynarzowi?

- Nazywa się Albert Jameson. Mówimy do niego Jamie. Ma dwadzieścia dziewięć lat, ukończył Harvard jako trzeci na swoim roku i od początku pracuje z nami. Ma specjalizację z interny i wirusologii. To dobry lekarz. - Tait zdał sobie sprawę, jak krępuje go rozmowa z Rosjanami. Ze szkoły wyniósł poczucie, wzmocnione jeszcze przez lata służby w marynarce, że Rosjanie są wrogami. Ale to się nie liczy. Swojego czasu przysięgał leczyć ludzi bez względu na wszystkie inne okoliczności. Czy oni w to wierzą? Czy też raczej spodziewają się, że pozwoli temu człowiekowi umrzeć dlatego, że to Rosjanin?

- Chciałbym, aby panowie byli przekonani, że wasz rodak ma do dyspozycji najlepszych specjalistów. Nie ukrywamy przed wami żadnych faktów. Staramy się zrobić wszystko, żeby tylko zwrócić go wam żywego. Ale nie mogę niczego obiecać.

Rosjanie rozumieli to. Czekając przed przyjazdem do szpitala na instrukcje z Moskwy, Pieczkin zajął się sprawdzaniem Taita. Z jego informacji wynikało, że Tait jest co prawda religijnym fanatykiem, ale także doskonałym i cenionym lekarzem, jednym z najlepszych w państwowej służbie zdrowia.

- Czy coś mówił? - zapytał od niechcienia Pieczkin.

- Od kiedy tu jestem, nic. Jamie opowiadał, że gdy zaczęli go rozgrzewać, był

połowicznie przytomny i bredził przez kilka minut. Nagraliśmy to oczywiście i daliśmy do przesłuchania oficerowi znającemu rosyjski. Coś o dziewczynie o piwnych oczach, bezładne słowa. Prawdopodobnie mówił o swojej narzeczonej. Jest przystojnym chłopakiem i pewnie ma kogoś. Ale całość była bez sensu. Chory w takim stanie jak on nie zdaje sobie sprawy, co się dzieje dookoła.

- Czy możemy przesłuchać tę taśmę? - zapytał Pieczkin.

- Oczywiście, przekazemy ją wam. Wrócił Jameson.

- Zrobione. Gram keflinu co sześć godzin. Mam nadzieję, że zadziała.

- Co z jego rękami i stopami? - zapytał Smirnow. Najwyraźniej znał się nieco na odmrożeniach.

- Tym się nawet nie próbujemy zajmować - odpowiedział Jameson. - Dla uniknięcia dalszego uszkodzenia naskórka palce obłożono watą. Jeśli pacjent przeżyje kilka najbliższych dni, prawdopodobnie pojawią się bąble i skóra może częściowo zmartwieć, ale to akurat najmniej ważne. Czy wiadomo, jak się nazywa? - Pieczkin zaprzeczył ruchem głowy.

- Gdy został przyjęty do szpitala, nie miał znaku tożsamości. Na ubraniu nie było nazwy statku. Ani portfela, ani żadnego dokumentu, nie miał nawet zwykłej monety w kieszeni. Czułbym się o wiele lepiej, gdybyście panowie mogli dostarczyć dane o jego stanie zdrowia. Nie ma to większego znaczenia we wstępnej terapii, ale wolałbym wiedzieć, czy nie stwierdzono u niego jakichś uczuleń, czy innych stanów ograniczających metody leczenia.

Alergiczny wstrząs w czasie chemoterapii mógłby być zabójczy.

- Co miał na sobie? - zapytał Smirnow.

- Gumowy kombinezon ochronny - odpowiedział Jameson. - Na szczęście, po wyłowieniu z wody nikt nie próbował go rozbierać, zanim nie znalazł się w szpitalu. Sam to zrobiłem. Pod spodem miał koszulę, spodnie, chustkę do nosa. Czy u was nie nosi się znaków tożsamości?

- Owszem - odparł Smirnow. - Jak go znaleziono?

- Z tego co słyszałem, to czysty przypadek. Patrolowy śmigłowiec z fregaty zauważył

go w wodzie. Nie mieli na pokładzie sprzętu ratunkowego, więc oznaczyli to miejsce farbą i zawrócili. Bosman na ochotnika zgodził się zejść po niego. Zabrali bosmana i pojemnik z tratwą na pokład i polecili z powrotem, a fregata ruszyła pełną parą za nimi. Bosman zrzucił

tratwę i wyskoczył. Niestety, spadł na nią, łamiąc obie nogi, ale udało mu się wyciągnąć rozbitka. Po godzinie przyplłynął okręt i obu przewieziono śmigłowcem prosto do nas.

- Jak się czuje wasz człowiek?

- Niedługo będzie zdrow. Z lewą nogą nie mieliśmy większych problemów, ale prawa kość piszczelowa paskudnie połamana - kontynuował Jameson. - Za kilka miesięcy będzie zdrow, choć jeszcze przez dłuższy czas nie będzie mógł szaleć na parkiecie.

Rosjanie podejrzewali Amerykanów o celowe usunięcie wszystkich znaków tożsamości rozbitka. Jameson i Tait sądzili, że Rosjanin sam pozbył się znaku tożsamości w nadziei, że uda mu się uciec. Na szyi pozostał ślad wskazujący na zerwanie czegoś siłą.

- Jeśli to jest możliwe - powiedział Smirnow - chciałbym odwiedzić waszego marynarza, aby mu podziękować.

- Oczywiście, panie kapitanie - odparł Tait skinąwszy głową. - To bardzo uprzejmie z pańskiej strony.

- To dzielny człowiek.

- Spełnił swój obowiązek. Wasi ludzie zrobiliby to samo. - Tait zastanowił się, czy rzeczywiście. - Różni się panowie, ale dla morza nie ma to żadnego znaczenia. Po prostu stara się zabić nas wszystkich, niezależnie od tego, pod jaką pływamy banderą.

Pieczkin znów zaglądał przez okno, próbując dostrzec pod maską tlenową twarz pacjenta.

- Czy będziemy mogli zobaczyć jego ubranie i rzeczy osobiste? - zapytał.

- Oczywiście, ale wiele to wam nie powie. Jest kucharzem okrętowym. To wszystko, co wiemy - powiedział Jameson.

- Kucharzem? - odwrócił się Pieczkin.

- Oficer, który przesłuchiwał taśmę, to oczywiście oficer wywiadu. Obejrzał numer na koszuli rozbitka i powiedział, że oznacza kuka.

Trzycyfrowy numer oznaczał wachtę dziobową i stanowisko zabezpieczenia uszkodzeń. Jameson ciekaw był, dlaczego Rosjanie numerują wszystkich żołnierzy służby zasadniczej na okręcie. Aby mieć pewność, że nie zabłądzą w niedozwolone miejsca?

Zauważył, że głowa Pieczkina prawie dotyka szyby.

- Doktorze Iwanow, czy chce pan asystować przy leczeniu? - zapytał Tait.

- Czy to jest dozwolone?

- Tak.

- Kiedy pacjent zostanie wypisany? - zainteresował się Pieczkin. - Kiedy będzie można z nim porozmawiać?

- Wypisany? - opryskliwie powtórzył Jameson. - Drogi panie, jeśli wyjdzie stąd przed upływem miesiąca, to tylko w pudle. Nikt nie wie, kiedy odzyska przytomność. Ten chłopak jest naprawdę bardzo chory, proszę mi wierzyć.

- Ale my musimy z nim porozmawiać - zaprotestował agent KGB.

- Panie Pieczkin, rozumiem pańską niecierpliwość - odrzekł Tait, patrząc mu prosto w oczy - ale teraz to jest mój pacjent. I nie zrobimy nic, powtarzam nic, co mogłoby przeszkodzić w leczeniu i rekonwalescencji pacjenta. Otrzymałem rozkaz, aby przylecieć tu i zająć się tym przypadkiem. Podobno ten rozkaz został wydany w Białym Domu. Możliwe.

Asystować mi będą doktorzy Jameson i Iwanow, ale odpowiedzialność za pacjenta spoczywa na mnie i moim zadaniem jest doprowadzić do tego, aby wyszedł ze szpitala żywy i zdrowy.

Wszystkie inne sprawy mają charakter drugorzędny. Będą panowie tu traktowani na specjalnych prawach, ale te prawa ja będę ustalać. - Tait przerwał. Dyplomacja nie była jego mocną stroną. - Jeśli chcecie czuwać na zmianę przy chorym, to nie mam nic przeciw temu, pod warunkiem, że będziecie przestrzegać zarządzeń. To znaczy, że macie się dokładnie umyć przy wejściu, przebierać w sterylne ubrania i wykonywać polecenia dyżurnej pielęgniarki. Czy tak będzie w porządku?

Pieczkin skinął głową. Amerykańscy lekarze uważają się za bogów, pomyślał.

Jameson skupił się nad wydrukiem analizatora krwi i nie słyszał kazania Taita.

- Czy panowie mogą nam powiedzieć, na jakiego rodzaju okręcie służył pacjent? - zapytał.

- Nie - odpowiedział szybko Pieczkin.

- Co masz na myśli, Jamie?

- Zmniejszenie ilości krwinek białych i niektóre inne zmiany są charakterystyczne dla skażenia popromiennego. W okresie hipotermii wyraźniejsze objawy mogą się jeszcze nie ujawnić w pełni. - Nagle Jameson spojrzał na Rosjan. - Proszę panów, musimy wiedzieć, czy pacjent służył na okręcie atomowym.

- Tak - odpowiedział Smirnow. - Służył na okręcie o napędzie atomowym.

- Jamie, zabierz jego ubranie do radiologii. Niech sprawdzą guziki, suwak, wszystkie części metalowe na skażenie promieniotwórcze.

- Tak jest - odparł Jameson i ruszył po rzeczy pacjenta.

- Czy możemy w tym wziąć udział? - zapytał Smirnow.

- Owszem - odparł Tait, zastanawiając się, co to za ludzie. Chory musiał być rozbitkiem z okrętu atomowego. Dlaczego więc nie powiedzieli tego od razu? Czyżby nie chcieli, aby wyzdrowiał?

Pieczkin szybko zdał sobie sprawę, o co chodzi. Czyżby Amerykanie nie wiedzieli, że pacjent pochodzi z okrętu o napędzie atomowym? Oczekiwali, że Smirnow przyzna, że chodzi o okręt podwodny z rakietami nuklearnymi i po to wyciągnęli tę historyjkę o skażeniu.

Nie zrobią nic, co zaszkodzi pacjentowi, ale chętnie omotają klasowego wroga. Sprytne.

Zawsze sądził, że Amerykanie są sprytni. Ale on za godzinę powinien złożyć w ambasadzie meldunek. Meldunek o czym? Skąd ma się do tego czasu dowiedzieć, kim jest marynarz?

Stocznia Marynarki Wojennej w Norfolk

USS „Ethan Allen” kończył czynną służbę. Od 1961 roku, przez ponad dwadzieścia lat, czyli jak na okręt podwodny bardzo długo, pracował dla swego kraju, dźwigając pociski balistyczne Polaris na niekończące się patrole w pozbawionych słońca głębinach mórz. Teraz czas „Ethan Allen” dobiega końca. Kilka miesięcy temu wypełniono balastem i zaspawano luki rakietowe. Gdy zredukowana do minimum załoga zajmowała się tylko bieżącym utrzymaniem okrętu, urzędnicy w Pentagonie zastanawiali się, co z nim zrobić. Proponowano przystosowanie okrętu do przenoszenia rakiet samonaprowadzających, na podobieństwo rosyjskich jednostek klasy *Oscar*. Okazało się to jednak zbyt kosztowne. „Ethan Allen” był o całe pokolenie spóźniony. Reaktor typu S5 W okazał się zbyt przestarzały jak na współczesne potrzeby. Przez lata promieniowanie jądrowe bombardowało miliardami neutronów metalową osłonę i wewnętrzne układy reaktora. Badania próbek wykazały, że z czasem metal stał się niebezpiecznie kruchy. System napędowy mógł służyć jeszcze najwyżej przez trzy lata.

Wymiana reaktora nie opłacała się. Wiek okrętu przypieczętował jego los.

Na pokładzie pozostali tylko starsi członkowie dawnej załogi liniowej, przeważnie tuż przed emeryturą, oraz grupa młodzieży, która uczyła się fachu mechanika. „Ethan Allen”

mógł się jeszcze przydać jako okręt szkolny, szczególnie dla mechaników, bo reszta sprzętu pokładowego była nieźle wysłużona.

Wcześniej rano na pokład wszedł admirał Gallery. Załoga uznała to za szczególnie wymowne. Gallery był niegdyś pierwszym dowódcą „Ethan Allen”, a admirałowie często wizytują swoje dawne okręty przed ich wycofaniem. Rozpoznał niektórych starszych oficerów i zapytał, czy łajba jeszcze może pływać. Wszyscy co do jednego odpowiadali, że oczywiście. Dla załogi okręt staje się z czasem czymś więcej niż maszyną.

Wśród setek statków zbudowanych przez tych samych ludzi w tej samej stoczni i według tych samych planów każdy mieć będzie swoje cechy szczególne, przeważnie różnego rodzaju wady. Gdy jednak załoga się z nimi oswoi, zacznie o nich mówić z uczuciem.

Admirał obszedł cały okręt, zatrzymał się przy peryskopie i oparł powykręcane artretyzmem ręce na jego uchwyty. Niegdyś używał go, aby upewnić się, czy poza stalowym kadłubem istnieje jeszcze świat zewnętrzny lub gdy „atakował” polujący na niego okręt, albo też - dla treningu - przepływający tankowiec. Przez trzy lata, w czasach gdy okręt stacjonował w Holy Loch w Szkocji, dowodził jedną z dwóch załóg „Ethan Allen”. To były dobre lata. myślał

teraz, o wiele lepsze niż siedzenie za biurkiem w otoczeniu zabieganych pomocników. Ale tak właśnie jest w marynarce, gdzie albo się idzie do góry, albo na boczny tor. Gdy człowiek trafi na

coś, w czym jest naprawdę dobry, zaraz to traci. Z punktu widzenia organizacji jest to rozsądne, bowiem trzeba zrobić miejsce młodszemu. Mój Boże! Znowu być młodym, dowodzić jednym z nowoczesnych okrętów. Teraz mógłby popływać najwyżej parę godzin, gdyby kapitan takiego okrętu chciał zrobić takiemu staruchowi uprzejmość.

Był pewien, że „Ethan Allen” spełni swój obowiązek. Nie zawiedzie. Być może wolałby, żeby jego pierwszy okręt skończył służbę inaczej, ale jeśli się nad tym zastanowić, to okręty wojenne rzadko kończą honorowo, tak jak „Victory” Nelsona albo „Constitution” w bostońskim porcie, dziwny okręt wojenny „zmumifikowany” ze względu na swoją nazwę.

Wysłuzone okręty najczęściej szły na dno, służąc jako ruchome cele artylerii, albo cięto je na żyłki. „Ethan Allen” nie umrze bez sensu. Jego ostatnia misja jest na tyle zwariowana, że może się nadać, powiedział sam do siebie, wracając do Dowództwa Okrętów Podwodnych na Atlantyku.

Dwie godziny później do doku, w którym cumował „Ethan Allen”, wjechała ciężarówka. Sterbosman, akurat pełniący służbę oficera wachtowego na pokładzie, zauważył, że pochodziła ona z Bazy Lotnictwa Morskiego w Oceana. Dziwne, pomyślał. Tym dziwniejsze, że oficer, który nią przyjechał, nie miał na naszywkach ani skrzydełek lotnictwa, ani delfinów marynarki. Oddał honory banderze, a potem oficerowi wachtowemu. Dwaj pozostali szefowie nadzorowali prace remontowe w siłowni. Przybysz omówił sposób załadunku czterech przedmiotów w kształcie cygara. Umieszczenie ich pod pokładem nie było łatwe. Ledwo przeszły przez luki załadownicze przedziału torpedowego. Następnie załadowano plastikowe statywy i metalowe pasy mocujące. Wyglądają jak bomby, pomyślał główny elektryk, przyglądając się pracującym żołnierzom. Ale jak na bomby były zbyt lekkie.

Wykonano je najwyraźniej ze zwykłej blachy. Godzinę później przyjechała ciężarówka ze zbiornikiem ciśnieniowym. Okręt opróżniono z załogi i dokładnie przewietrzono. Następnie trzech mechanicy podłączali wąż do każdego z czterech przedmiotów. Po zakończeniu operacji ponownie przewietrzono kadłub i obok każdego z czterech zbiorników zainstalowano czujniki gazowe. W tym czasie załoga zauważyła, że ich dok i dok sąsiedni były strzeżone przez uzbrojonych marines, tak że nikt nie mógł zbliżyć się i zobaczyć, co się dzieje na okręcie.

Gdy zakończono załadunek, tankowanie, czy jak tam można nazwać tę operację, dowódca oddziału zszedł na dół i przy pomocy szablonu napisał na każdym z czterech zbiorników skrót PPB76A/J6713. Pisarz okrętowy zajrzał do katalogu i bardzo mu się nie spodobało to, co tam znalazł: Pavet Pat Blue 76 - bomba. Mieli teraz cztery takie bomby na pokładzie. Nie tak potężne, jak głowice nuklearne, które niegdyś przenosił „Ethan Allen”, ale cała załoga zgodnie stwierdziła, że nie wróżyło to nic dobrego. Wszyscy przestali palić na pokładzie, zanim jeszcze wydano taki zakaz.

Niedługo potem wrócił Gallery i rozmawiał na osobności z każdym z szefów.

Młodzież odesłano na brzeg z całym wyposażeniem osobistym i przykazaniem, że nic nie widzieli, nie słyszeli, nie czuli, ani w żaden inny sposób nie stwierdzili niczego niezwykłego na pokładzie „Ethan Allen”. Okręt miał być zatopiony na pełnym morzu. Tylko tyle. Decyzję polityczną podjęto w Waszyngtonie. Jak to ujął jeden z marynarzy: jeśli powiesz o tym komukolwiek, masz zapewnioną dwudziestoletnią odsiadkę w McMurdo Sound.

Swego rodzaju holdem dla Vincenta Gallery'ego była decyzja wszystkich dotychczasowych szefów służb o pozostaniu na pokładzie. Częściowo wynikała z tego, że to ostatni rejs starej łajby, pożegnanie z odchodzącym przyjacielem. Przede wszystkim jednak dlatego, że Gallery uważał to za ważną sprawę, a starzy wyjadacze wiedzieli, że Gallery nie rzuca słów na wiatr.

Oficerowie pojawili się o zachodzie. Najniższy stopniem był komandor porucznik.

Dwóch komandorów miało czuwać nad reaktorem razem z trzema starszymi bosmanami, dwóch objęło nawigację, a kolejnych dwóch - elektronikę. Pozostali podzielili między siebie niezliczone funkcje konieczne do żeglugi współczesnym okrętem wojennym. Normalnie załoga powinna być co najmniej cztery razy liczniejsza. Niejeden szef służby skomentowałby tę szczupłość załogi niezbyt przychylnie, nie zdając sobie sprawy z ogromu doświadczenia, jakim dysponowali ci oficerowie.

Zgorszony sterbosman dowiedział się, że jeden z oficerów ma obsługiwać stery głębokościowe. Główny elektryk, z którym podzielił się tą wiadomością, szybko przeszedł

nad tym do porządku dziennego. W końcu, powiedział, cała przyjemność pływania okrętem polega na trzymaniu sterów, a oficerom zdarza się to jedynie w szkole w New London.

Później już tylko chodzą po pokładzie, udając ważniaków. Owszem, zgodził się bosman, ale czy sobie poradzi ze sterami? Jeśli sobie nie poradzi, postanowił elektryk, oni ich zastąpią; przecież szefowie na okrętach potrzebni są głównie po to, aby chronić oficerów przed popełnianiem błędów. Następnie rozważali, który z nich jest ważniejszy na okręcie, a obaj mieli za sobą prawie dokładnie taki sam czas służby i doświadczenie.

Na kwadrans przed północą USS „Ethan Allen” rozpoczął swój ostatni rejs. Żaden holownik nie pomógł mu wyjść w morze. Kapitan wyprowadził go ostrożnie z doku krótkimi rozkazami dla maszynowni i rzucając kolejno cumy. Sterbosman mógł tylko podziwiać swojego dawnego dowódcę, z którym służył na „Skipjacku” i „Willu Rogersie”.

- Ani holownika, ani nic - opowiadał później sąsiadowi z koi. - Stary zna się na robocie.

Po godzinie minęli Virginia Capes i byli gotowi do zanurzenia. Dziesięć minut później zniknęli z pola widzenia. Mały zespół oficerów i podoficerów pracował w pocie czoła przy obsłudze wszystkich stanowisk. „Ethan Allen” płynął kursem sto dziesięć z prędkością dwunastu węzłów, a stara maszyna pracowała prawie bez szmeru.

Dzień jedenasty

PONIEDZIAŁEK, 13 GRUDNIA

A-10 Thunderbolt

Szturmowy A-10 to zupełnie co innego niż pasażerski DC-9. Major Andy Richardson wylatał ponad dziesięć tysięcy godzin na DC-9, a tylko niecałe sześćset na szturmowym A-10

Thunderbolt II. Jednak o wiele bardziej wolał ten drugi, także dwusilnikowy, samolot.

Richardson był pilotem 175. Taktycznej Grupy Myśliwskiej, należącej do Maryland Air National Guard. Zazwyczaj jego eskadra bazowała na małym lotnisku wojskowym na wschód od Baltimore. Przed dwoma dniami zostali powołani do służby i, wraz z sześcioma innymi jednostkami Gwardii Narodowej i rezerwy, zgrupowani w Loring Air Force Base w Maine, należącej do Dowództwa Lotnictwa Strategicznego.

Wystartowali o północy. Pół godziny temu zatankowali w powietrzu, tysiąc sześćset kilometrów od brzegu nad północnym Atlantykiem. Richardson dowodził kluczem czterech maszyn, które z prędkością siedmiuset kilometrów na godzinę prześlizgiwały się teraz na wysokości trzydziestu metrów nad czarnymi falami oceanu.

Sto sześćdziesiąt kilometrów za nimi, na wysokości dziewięciu tysięcy metrów, szło dziewięćdziesiąt samolotów. Rosjanie mogli to wziąć za zmasowane uderzenie taktyczne typu alfa. Ale zadaniem tej formacji było tylko zmylenie przeciwnika. Prawdziwe zadanie bojowe wykonywał nisko lecący klucz czterech szturmowców.

Richardson był zachwycony *Thunderboltem*. Piloci przezywali je z niesprawiedliwą przesadą „dziką świnia”, albo w skrócie po prostu „świnia”. Większość taktycznych samolotów ma opływowe kształty dostosowane do wymagań szybkości i manewrowości w walce. Ale „świnia” jest bodaj najbrzydszym samolotem zbudowanym na zamówienie Sił

Powietrznych USA. Dwa turbodrzutowe silniki uczepiono niezgrabnie nad kadłubem tuż przed podwójnymi statecznikami pionowymi. Już od lat trzydziestych nie budowano tak usterzenia samolotów. Proste jak deski skrzydła nawet odrobinę nie były odchylone do tyłu.

Od spodu poszycie skrzydeł usiane było zaczepami do instalowania różnego rodzaju wyposażenia. Główne uzbrojenie samolotu stanowiło trzydziestomilimetrowe działko obrotowe typu GAU-8.

Na to zadanie Richardson zabrał do działek pełen ładunek amunicji z supertwardymi pociskami oraz dwa zasobniki bomb kasetowych *Rockeye*. Pod kadłubem podwieszony był

także zasobnik z aparaturą na podczerwień do nocnych lotów na małych wysokościach.

Ponadto we wszystkich pozostałych, poza jednym, punktach przeznaczonych na uzbrojenie podwieszono dodatkowe zbiorniki paliwa.

Sto siedemdziesiąta piąta była pierwszą jednostką Gwardii Narodowej wyposażoną w zestaw optoelektronicznych układów pozwalających nocą naprowadzać „świnie” na cel przy bardzo małej

wysokości lotu. Specjalny system HUD wyświetlał na szybie kasku pilota wskazania przyrządów, czyniąc jakby z nocy dzień i ogromnie upraszczając pilotowanie w trudnych warunkach. Obok zasobnika z tą aparaturą, pod kadłubem, umieszczone zostały nieduże przedmioty, które, w odróżnieniu od działek i bomb, miały być dzisiaj użyte.

Zadanie było niebezpieczne, co w oczach Richardsona tylko dodawało mu atrakcyjności. Dwóch pozostałych pilotów latało na co dzień, podobnie jak on, na liniach pasażerskich, a czwarty pilotował samoloty rolnicze. Wszyscy mieli ogromne doświadczenie w lotach na małej wysokości. Zadanie zapowiadało się interesująco.

W czasie godzinnej odprawy przed wylotem, prowadzonej przez oficera marynarki, dowiedzieli się, że lecą z wizytą do floty radzieckiej. Richardson czytał przedtem w gazetach, że Rosjanie coś szykują, ale zaskoczyło go, gdy dowiedział się na odprawie, że są aż tak blisko amerykańskich wybrzeży. Rozzłościła go wiadomość, że jeden z ich niezdarnych myśliwców ostrzelał *Tomcata* marynarki, ciężko raniąc członka załogi. Nie rozumiał, dlaczego marynarka powstrzymuje się z odpowiedzią, a większość samolotów z lotniskowca

„Saratoga” widział w Loring, obok B-52, *Intruderów* A-6E i *Hornetów* F-18. Domyślał się, że ich lot ma pełnić rolę pierwszego, w miarę delikatnego ostrzeżenia. W chwili, gdy Rosjanie zajęci będą pozorowanym uderzeniem typu alfa na granicy zasięgu swoich rakiet przeciwlotniczych, jego czwórka ma prześliznąć się poniżej osłony radarowej do radzieckiego okrętu flagowego, krążownika o napędzie atomowym „Kirów”, i przekazać wiadomość.

Ciekawe, że do takiego zadania wybrano pilotów z Gwardii Narodowej. Na wschodnim wybrzeżu było teraz w pełnej gotowości około tysiąca samolotów, w tym około jedna trzecia pilotowana przez różnego rodzaju rezerwistów. Jak podejrzewał Richardson, już to stanowiło część wiadomości, którą miał przekazać. Bardzo skomplikowana operacja taktyczna prowadzona przez pilotów drugiego rzutu! Natomiast zatankowane i w pełni gotowe jednostki regularne czekały na pasach startowych w Loring, McGuire, Dover, a także w Pease i w kilkunastu innych bazach na wybrzeżu, od Wirginii po Maine. Prawie tysiąc samolotów! Richardson uśmiechnął się do siebie. Nie wystarczy celów dla wszystkich.

- „Linebacker Lead”, tu „Sentry Delta”. Cel na czterdzieści osiem, odległość osiemdziesiąt kilometrów. Idzie kursem sto osiemdziesiąt pięć, z prędkością dwadzieścia.

Richardson nie potwierdził informacji nadanej na szyfrowanej częstotliwości. Lecieli w całkowitej ciszy radiowej. Każdy sygnał elektroniczny mógłby zaalarmować Rosjan. Nie włączali nawet radarów naprowadzających, posługując się tylko biernymi systemami podczerwieni i kamerami telewizyjnymi wysokiej czułości. Spojrzał szybko w prawo i w lewo. Drugorzutowe jednostki, cholera! - powiedział sam do siebie. Każdy pilot w jego eskadrze miał co najmniej cztery tysiące godzin w powietrzu, więcej niż wielu pilotów wojskowych, więcej niż kosmonauci. Obsługę naziemną stanowili ludzie, którzy pracowali przy samolotach z zamiłowania. W rzeczywistości jego eskadra miała wyższą sprawność bojową niż większość eskadr zawodowych i niższą wypadkowość niż tamci smarkacze latający na „świniach” w Anglii i w Korei. Niedługo Rosjanie sami się o tym

przekonają.

Znowu uśmiechnął się. Codzienne loty rejsowcem DC-9 linii US Air z Waszyngtonu do Providence i Hartford oraz z powrotem nie dadzą się porównać z dzisiejszym zadaniem.

Richardson był swojego czasu pilotem myśliwskim, ale osiem lat temu porzucił służbę, bo zaimponowała mu wyższa płaca i błyskotliwy styl życia pilota w lotnictwie cywilnym.

Tęsknił za Wietnamem, a cywilne lotnictwo okazało się o wiele poniżej jego możliwości.

Richardsonowi tęskno było do lotów na małej wysokości, gdy samolot prawie ociera się o wierzchołki drzew.

Dotychczas do zadań bojowych w marynarce nie używano „świń”, co było kolejną częścią wiadomości dla Rosjan. Ale z pewnością świetnie się nadawały do tego celu.

Amunicja przeciwpancerna jest tak samo skuteczna przeciw czołgom, jak przeciw okrętom.

Pociski działek i bomby *Rockeye* zaprojektowano do niszczenia czołgów, ale nie miał

wątpliwości co do wyników ich zastosowania przeciwko słabo opancerzonym kadłubom okrętów. Niestety, nie tym razem. Najwyższy czas, żeby ktoś dał Iwanowi nauczkę.

Mrugnęło ostrzegawcze światło czujnika radarowego, który odebrał sygnał pasma S, prawdopodobnie radaru obserwacji powierzchni. Odległość była jeszcze za duża, żeby dać odbicie. Rosjanie nie mieli samolotów rozpoznania radarowego, a zasięg systemów okrętowych ograniczała krzywizna Ziemi. Ten sygnał przeszedł bezpośrednio ponad ich głowami, zarejestrowali tylko rozproszenia brzeżne. Gdyby lecieli na wysokości piętnastu, a nie trzydziestu metrów, szansa uniknięcia wykrycia byłaby większa, rozkazy brzmiały jednak inaczej.

- „Linebacker”, tu „Sentry Delta”. Rozproście się i do przodu - nadeszło polecenie z AWACS-a.

Lecące dotąd w odstępach kilku metrów od siebie samoloty rozproszyły się w formację bojową. Zgodnie z rozkazem miało to nastąpić w odległości czterdziestu ośmiu kilometrów od celu. Jeszcze cztery minuty. Richardson spojrzął na elektroniczny zegarek.

Zespół „Linebacker” leciał zgodnie z rozkładem. Lecące z tyłu *Phantomy* i *Corsairy* powinny teraz zakręcać w stronę radzieckiej eskadry, skupiając na sobie jej uwagę. Lada chwila Richardson powinien zobaczyć Rosjan...

HUD pokazywał małe wypukłości na rzucie horyzontu. Była to zewnętrzna linia niszczycieli typu *Udałoj* i *Sowremiennyj*, których sylwetki i zdjęcia pokazano im przed wylotem.

Biip, zaćwierkał czujnik radarowy. Sygnał radaru naprowadzania rakiet właśnie prześliznął się po samolocie i znowu próbował odzyskać kontakt. Richardson włączył

urządzenie zakłócające. Do linii niszczycieli zostało osiem kilometrów. Czterdzieści sekund.

Nic nie wymyślicie, towarzysze, pomyślał.

Rozpoczął szybkie manewry, beładnie rzucając samolotem w górę, w dół, w lewo, w prawo. To tylko ćwiczenia, ale nie ma powodu ułatwiać Iwanowi zadania. Gdyby atakowali naprawdę, to lecieliby za zasłoną rakiet antyradarowych i w towarzystwie samolotów typu *Wild Weasel* wyszukujących i zagłuszających radzieckie systemy naprowadzania. Wydarzenia zaczynały nabierać tempa. Na wprost zamajaczył niszczyciel osłony. Richardson trącił stery, omijając go o dobre czterysta metrów. Trzy kilometry do „Kirowa”. Osiemnaście sekund.

HUD wyświetlał bardziej wyraźny obraz. Szybę kasku wypełniał teraz sterczący wysoko maszt radarowy „Kirowa”. Widział migające światła sygnałowe w różnych punktach krążownika. Richardson przesunął stery trochę w prawo. On miał przemknąć nad dziobem, druga maszyna nad rufą, a dwie pozostałe między nimi, nad pokładami. Nie chcąc popełnić nieodwracalnych błędów, sprawdził, czy spusty działek i bomb są zabezpieczone. Gdyby atakowali naprawdę, mniej więcej teraz zaczęłyby strzelać z broni pokładowej. Smugi stalowych pocisków cięłyby nadbudówki okrętu jak papier i przebijały lekki pancerz przednich magazynów „Kirowa”, zamieniając przechowywane tam rakiety ziemia-powietrze i pociski manewrujące w ognistą kulę.

W odległości pięciuset metrów od okrętu Richardson uzbroił rakiety sygnałowe umieszczone pod kadłubem obok układu do lotów nocnych.

Teraz! Nacisnął spust, wystrzeliwując sześć jaskrawych magnezjowych rakiet sygnalizacyjnych na spadochronach. Wszyscy czterej piloci eskadry uczynili to samo w odstępie kilku sekund i nagle „Kirów” znalazł się wewnątrz kuli oślepiającego światła.

Richardson przyciągnął drążek sterowy, rzucając samolot w zakręt wokół krążownika.

Poprzez jaskrawe światło widział ludzi biegnących jak mrówki po pokładach i podziwiał

foremne kształty radzieckiego okrętu, który wchodził akurat w ostry zakręt, kołysząc się na wysokiej fali.

„Gdybyśmy naprawdę atakowali, nic by z was nie zostało. Czy zrozumieliście ostrzeżenie?” Taką wiadomość mieli dostarczyć.

Richardson włączył radio.

- Prowadzący zespołu „Linebacker” do „Sentry Delta” - odezwał się otwartym tekstem. - Robin Hood, powtarzam, Robin Hood. „Linebacker”, tu prowadzący. W szyku za mną. Wracamy do domu.

- „Linebacker”, tu „Sentry Delta”. Znakomicie! - odpowiedział kontroler. - Para *Jaków* z „Kijowa” jest w powietrzu czterdzieści osiem kilometrów na wschód. Idą za wami.

Będą się musieli pospieszyć, żeby was dogonić. Będziemy informować. Bez odbioru.

Richardson szybko policzył w pamięci. Prawdopodobnie nie dogonią, a w razie czego zajmie się nimi dwanaście *Phantomów* ze 107. Grupy Myśliwców Przechwytyjących.

- Ale gorąco, dowódcu. - „Linebacker 4”, ten od samolotów rolniczych, wszedł

ostrożnie na miejsce w szyku. - Widziałeś, jak nas sobie pokazywali? Dostali niezłą nauczkę!

- Uwaga na *Jaki* - ostrzegł Richardson, uśmiechając się szeroko pod maską tlenową.

Niby jesteśmy pilotami drugiego rzutu? Jeszcze czego!

- Mogą nas gonić - odpowiedział „Linebacker 4”. - Jak który wejdzie mi pod lufę, to będzie to jego ostatni błąd w życiu! - Czwarty był, zdaniem Richardсона, zbyt agresywny, ale samolot prowadził bez zarzutu.

- Zespół „Linebacker”, tu „Sentry Delta”. *Jaki* zawróciły. Przestrzeń czysta. Odbiór.

- Rozumiem. Bez odbioru. Dobra, panowie, uporządkować szyk i wracamy. Wygląda na to, że w tym miesiącu zapracowaliśmy na swoją pensję. - Richardson sprawdził, czy jest na niekodowanej częstotliwości. - Panie i panowie, mówi kapitan Miluński. - Nie mógł odmówić sobie kursującego od dawna w jego linii US Air dowcipu, który w sto siedemdziesiątym piątym wszedł już do tradycji. - Serdecznie dziękujemy państwu za lot samolotem naszej linii

„Dzika Świnia”!

„Kirów”

Na „Kirowie” admirał Stralbo wybiegł z centrali dowodzenia na mostek, ale było już za późno. Namierzono lecące nisko samoloty na minutę przed zewnętrzną linią osłony.

Krażownik wydostał się już z kręgu dopalających się jeszcze w wodzie rakiet sygnałowych.

Zauważył, że obsada mostka jest roztrzęsiona.

- Na sześćdziesiąt, siedemdziesiąt sekund przed nalotem śledziliśmy, towarzyszu admirale, przesuającą się w oddali grupę samolotów - meldował kapitan okrętu - a ta czwórka, prawdopodobnie cztery samoloty, przeleciała poniżej zasięgu radaru. Pomimo zagłuszania udało nam się złapać namiary ogniowe na dwa z nich.

Stralbo zmarszczył czoło. Mizerny wynik. Gdyby to nie był atak pozorowany,

„Kirów” w najlepszym wypadku byłby poważnie uszkodzony. Amerykanie bez wahania poświęciliby dwa samoloty za atomowy krążownik. Jeśli wszystkie ich samoloty atakują tak jak te, to...

- Ci Amerykanie są niesłychanie bezczelni! - włączył się zastępca polityczny dowódcy floty.

- Prowokowanie ich było błędem - zauważył kwaśno Stralbo. - Spodziewałem się jakiejś reakcji Amerykanów, ale myślałem, że użyją raczej samolotów z „Kennedy’ego”.

- Przecież to było nieporozumienie, błąd pilota - odpowiedział oficer polityczny.

- Owszem, Wasylu. Ale to przed chwilą, nie było z całą pewnością nieporozumieniem! Przypominają nam, że jesteśmy tysiąc czterysta kilometrów od ich wybrzeży, bez skutecznej osłony lotniczej, natomiast oni mają z pół tysiąca myśliwców gotowych uderzyć na nas z zachodu. Jednocześnie „Kennedy” spycha nas na wschód.

Jesteśmy w trudnym położeniu.

- Amerykanie nie są tacy bojowi.

- Jesteście tego pewni, towarzyszu oficerze polityczny? Zupełnie pewni? A jeśli któryś z ich pilotów popełni „błąd” i zatopi jeden z naszych niszczycieli? Ich prezydent połączy się

„gorącą linią” z Moskwą i przeprosi, zanim jeszcze sami zdążymy przekazać informację?

Przysięgną, że to był przypadek, i obiecują ukarać niesubordynowanego pilota, I co wtedy?

Sądziysz, że imperialiści będą się cackać z nami tak blisko ich wybrzeży? Obawiam się, że nie będą. Prawdopodobnie modlą się o najdrobniejszy pretekst, żeby na nas uderzyć. Chodźmy do kabiny. Trzeba to przemyśleć.

Dwaj mężczyźni ruszyli na rufę. Kabinę Stralbo urządzone po spartańsku. Jediną ozdobą ścian było zdjęcie Lenina przemawiającego do Czerwonej Gwardii.

- Jakie jest nasze zadanie, Wasylu? - zapytał Stralbo.

- Mamy wspierać okręty podwodne i ułatwiać im poszukiwania...

- Otóż to. Mamy wspierać, a nie prowadzić działania zaczepne. Amerykanie nas tu nie chcą. Można to zrozumieć. Z naszymi raketami stanowimy dla nich zagrożenie.

- Ale zgodnie z rozkazami, mamy ich nie prowokować - zaprotestował oficer polityczny. - Dlaczego mielibyśmy uderzać na ich ojczyznę?

- Oczywiście, ci imperialiści uważać nas będą za walczących o pokój socjalistów? Daj spokój, Wasylu, to przecież nasi wrogowie. Oczywiście, że nam nie ufają. Z całą pewnością gotowi są nas

zaatakować pod najmniejszym pretekstem. Już teraz pod pretekstem pomocy utrudniają nam poszukiwania. Nie chcą nas tu. A pozwalając się sprowokować, wpadniemy w zastawioną pułapkę. - Admirał spojrzał na biurko. - Dlatego nie dajmy się sprowokować.

Rozkażę flocie przerwać wszystkie akcje, które mogą wydać się w najmniejszym stopniu zaczepne. Kończymy działania powietrzne poza zwykłymi lotami patrolowymi. Nie zbliżamy się do jednostek ich floty. Będziemy używać tylko zwykłych radarów nawigacyjnych.

- No i...?

- I koniec popisów. Siedzimy cicho, jak mysz pod miotłą. Nie reagujemy na żadne prowokacje.

- Ktoś mógłby posądzić nas o tchórzostwo, towarzyszu admirale - ostrzegł oficer polityczny.

Stralbo był na to przygotowany.

- Czy nie rozumiesz, Wasylu, że ten pozorowany atak oznacza ich zwycięstwo?

Zmuszają nas do użycia najnowszych i najtajniejszych systemów naprowadzania broni, zdobywają informacje o systemach obrony i kierowania ogniem, sprawdzają możliwości naszych myśliwców i śmigłowców, manewrowość okrętów, a przede wszystkim system dowodzenia i kontroli. Trzeba z tym skończyć. Mamy zbyt ważne zadanie. Jeśli nadal będą nas prowokować, nie zareagujemy. Będziemy działać tak, jakbyśmy wykonywali czysto pokojowe zadanie, bo rzeczywiście nie mamy wobec nich wrogich zamiarów. W ten sposób uczynimy z nich napastników. Jeżeli nadal będą nas niepokoić, skorzystamy z okazji, i sami, z niczym się nie zdradzając, przyjrzymy się ich taktyce. A może wolałbyś, żeby uniemożliwili nam wykonywanie zadania?

Oficer polityczny niechętnie zgodził się z admirałem. Jeśli nie wypełnią rozkazów, to takie oskarżenie o tchórzostwo będzie bez znaczenia. Jeśli natomiast odnajdą okręt podwodny, to niezależnie od wszystkiego, zostaną uznani za bohaterów.

USS „Dallas”

Jones zastanawiał się, jak długo jest już na służbie. Wystarczyło nacisnąć guzik w elektronicznym zegarku na rękę, żeby się o tym przekonać, ale operator sonaru wolał bez potrzeby nie sprawdzać. Po co się wyrywał? „Założę się, panie kapitanie!” Głupek ze mnie, złościł się w myślach. Ledwo złapał poszukiwany okręt z odległości trzydziestu sześciu kilometrów, a cały ten zasrany Atlantyk ma pięć tysięcy czterysta kilometrów w poprzek.

Jones zdawał sobie sprawę, że szczęście to za mało, aby mógł powtórzyć swój sukces.

Co prawda, wykapał się na zapas. Normalny prysznic przy ograniczonych zapasach wody na okręcie podwodnym to raptem kilka sekund na zamoczenie skóry, minuta na namydlenie i znów kilka sekund spłukiwania mydlin. W ten sposób można zmyć brud, ale nikogo to nie satysfakcjonuje. Bardziej doświadczeni marynarze mówili, że kiedyś było o wiele gorzej. Jones odpowiadał na to, że kiedyś trzeba było wiosłować albo pływać na dieslach i silnikach elektrycznych, co na jedno wychodzi. Natomiast taki „hollywoodzki prysznic” to coś, o czym każdy zaczyna marzyć już po kilku dniach na morzu. Nieprzerwany, wspaniały strumień wody. Kapitan Mancuso nagradzał w ten sposób za szczególne osiągnięcia na służbie. Dawało to ludziom jakiś konkretny cel. Na okręcie podwodnym nie ma na co wydawać pieniędzy, nie ma piwa ani kobiet.

Były jeszcze filmy, nawet nie takie stare. Ponadto dobrze zaopatrzona biblioteka, jeśli ma się czas na grzebanie w niej, oraz dwa komputery Apple i kilkadziesiąt gier do nich. Jones był mistrzem okrętu w Choplifterze i w Zorku. Komputery służyły ponadto do praktycznego szkolenia i testów egzaminacyjnych, które zabierały większość wolnego czasu.

„Dallas” przeczesywał obszar na wschód od Grand Banks.

Każdy okręt idący Szlakiem Numer 1 powinien tędy przechodzić. Posuwali się z szybkością pięciu węzłów, ciągnąc za sobą czujniki stacji hydrolokacyjnej typu BQR-15.

Mieli różnego rodzaju namiary. Najpierw przepłynęła obok nich z dużą prędkością chyba połowa wszystkich okrętów podwodnych radzieckiej marynarki, większość śledzona przez okręty amerykańskie. Jedna z *Alf* przeszła jakieś czterysta sześćdziesiąt metrów od nich z prędkością ponad czterdziestu węzłów. Murowane trafienie, pomyślał wtedy Jones. *Alfa* robiła tyle hałasu, że można ją było usłyszeć, przykładając szklankę do kadłuba. Musiał

przyciszyć wszystkie wzmacniacze, żeby ochronić uszy. Szkoda, że nie można strzelać. *Alfa* leżała jak pieczeń na stole. Pozycja idealna, naprowadzenie tak proste, że nawet dziecko ze staromodnym suwakiem logarytmicznym doskonale by sobie poradziło. Po *Alfach* przeszły *Victory*, później *Charlie* i na końcu *November*. Od zachodu Jones słyszał również okręty nawodne. Niektóre z hałasem przebijały się przez fale, robiąc mniej więcej dwadzieścia węzłów. Były jednak daleko i nie musiał się nimi zajmować.

Od dwóch dni starali się namierzyć tylko jeden okręt i Jones rzadko pozwalał sobie na godzinną drzemkę. Ostatecznie za to mi płacą, pocie szął się bez przekonania. Zdarzało mu się to nie po raz pierwszy, ale zawsze z ulgą przyjmował koniec dłużej się wachty.

Holowali za sobą zestaw czujników, na kablu długości trzystu metrów, co przypominało Jonesowi łowienie wielorybów na wędkę. „Przynętę” stanowił ten wysoko czuły system sonarowy, który dodatkowo osłaniał okręt przed zaskoczeniem z tyłu.

Większość systemów wykrywania pracuje we wszystkich kierunkach z wyjątkiem rufy, gdzie powstaje martwa strefa. Po zainstalowaniu BQR-15 wszystko uległo zmianie. Nowy sonar wyłapywał najróżniejsze dźwięki, okręty podwodne i nawodne, czasami nawet nisko lecące samoloty. Raz na

ćwiczeniach u wybrzeży Florydy Jones zarejestrował nurkujące pelikany i nie mógł się zorientować, co to takiego, dopóki kapitan nie wystawił peryskopu. Na Bermudach wyłowił niezwykle odgłosy parzących się wielorybów. Jones przegrał je dla siebie na taśmę do prywatnego użytku. Na niektórych kobietach robiło to szczególnego rodzaju wrażenie.

Z powierzchni dobiegało sporo różnych hałasów. Większość z nich odsiewały procesory dźwięku. Jones wyłączał je więc co kilka minut, żeby mieć pewność, że nie odsiewają czegoś ważnego. Maszyny są głupie. Jones zastanawiał się, czy jakieś fragmenty jego niezwyklego sygnału nie giną gdzieś wśród części komputera. Na tym polega problem z komputerem, a właściwie z oprogramowaniem. Każę się maszynie coś robić, a ona robi nie to, co trzeba. Jones często zabawiał się układaniem programów. Znał kilku informatyków z uczelni, zajmujących się pisaniem programów komputerowych. Jeden nawet nieźle zarabiał w Sierra On-Line Systems.

Znowu fantazjujesz, stary, skarcił sam siebie. Słuchanie całymi godzinami dźwięków nie jest łatwe. Dobrze by było pozwolić operatorom hydrolokacji na czytanie książek na służbie. Miał jednak dosyć oleju w głowie, żeby tego nikomu nie proponować. Thompson może by i na to poszedł, ale kapitan i większość starszych oficerów nie mieli aż tyle poczucia humoru. Wyznawali zasadę, że każdego przyrzędu należy pilnować nieprzerwanie i z maksymalną koncentracją. Nie było to, zdaniem Jonesa, za rozsądne w przypadku operatora sonaru. Jego praca jest zbyt monotonna. Dlatego Jones tak chętnie bawił się grami komputerowymi i taśmami z muzyką. Potrafił zapomnieć się przy każdej grze, a szczególnie przy Choplifterze. Człowiek potrzebuje czegoś takiego, powtarzał, żeby dać mózgowi trochę odpoczynku, przynajmniej raz dziennie, no i mieć jakieś zajęcie na służbie. Nawet kierowcy ciężarówek mają radia i magnetofony z muzyką, żeby nie zasnąć w czasie prowadzenia samochodu. Ale marynarze na atomowym okręcie podwodnym wartym kilkaset milionów...

Jones pochylił się, przyciskając słuchawki do uszu. Oderwał pokreśloną kartkę z notatnika i na czystej stronie zapisał godzinę. Następnie dokładniej ustawił gałki i wyłączył

filtry elektroniczne. Uderzyła go kakofonia z powierzchni. Jones przez minutę filtrował

ręcznie najbardziej dokuczliwe dźwięki wysokiej częstotliwości. Aha, pomyślał, wygląda na to, że elektronika robi mi krecią robotę. Poczekajmy jeszcze chwilę.

Gdy Jones po raz pierwszy zetknął się z nowoczesnym sonarem w szkole marynarki, miał ogromną ochotę pokazać go swojemu bratu, który był inżynierem elektrotechnikiem i pracował jako konsultant w firmie nagraniowej. Opatentował już jedenaście własnych wynalazków. Gdyby zobaczył, co mają na „Dallas”, oczy by mu wyszły na wierzch.

Stosowany w marynarce cyfrowy system przetwarzania dźwięków wyprzedzał rozwiązania cywilne o całe lata. Ale wszystko, niestety, tajne, tak jak sprzęt nuklearny...

- Panie poruczniku - powiedział cicho Jones, nie oglądając się do tyłu na Thompsona -

czy może pan poprosić kapitana, żeby dał trochę na wschód i zwolnił o węzeł lub dwa?

- Kapitanie. - Thompson wyszedł na korytarz, by przekazać prośbę Jonesa.

W piętnaście sekund Mancuso podał nowy kurs i wydał rozkazy siłowni. Dziesięć sekund później był już w kabinie hydrolokacji.

Kapitan z niecierpliwością czekał na tę chwilę. Dwa dni temu stało się oczywiste, że namierzony okręt nie postępuje tak, jak oczekiwali. Nie szedł dalej tym samym szlakiem albo nie zmniejszył prędkości. Kapitan Mancuso musiał się w czymś pomylić. Czy tak samo mylnie ocenił kurs gościa? I co to właściwie znaczy, że okręt nie idzie stałym szlakiem? Jones domyślił się tego już jakiś czas temu. To okręt rakietowy. Ich dowódcy nigdy nie pływają szybko.

Jones siedział jak zwykle nachylony nad stołem, lewą rękę oparł na suwaku natężenia dźwięku, czekając aż zestaw czujników za rufą ustawi się dokładnie na osi wschód-zachód.

Papieros dopalał się w popielniczce. Szpule magnetofonu obracały się bez przerwy. Co godzinę zmienia się taśmy przeznaczone do dalszej analizy na łodzi. Drugi magnetofon obok służy do analizowania namiarów na miejscu. Jones włączył go. Odwrócił głowę i natrafił na pytające spojrzenie kapitana.

- Jest - szepnął, uśmiechając się blado.

Mancuso wskazał gestem głośnik. Jones potrząsnął przecząco głową.

- Za słaby, kapitanie. Ledwo go słyszę. Jest mniej więcej na północy. Potrzebuję jeszcze trochę czasu. - Kapitan spojrzał na wskaźnik poziomu dźwięku w magnetofonie.

Wskazówka stała prawie na zerze. Co piętnaście sekund leciutko podrygiwała. Jones szybko notował.

Te cholerne filtry częściowo go zamazują!!! Potrzebne silniejsze wzmacniacze i lepsze ręcznie sterowane filtry! - pisał.

Sytuacja wydała się kapitanowi dziwnie śmieszna. Obserwował Jonesa z takim samym napięciem, z jakim wpatrywał się w swoją żonę w czasie porodu Dominika. Liczył teraz drgnięcia igły, tak samo jak wtedy kolejne skurcze porodowe. Ale teraz napięcie było bez porównania większe. Czuł się jak myśliwy w pierwszym dniu sezonu polowań, który słysząc szelest liści wie, że to nie człowiek przedziera się przez zarośla. Tym razem poluje na ludzi, takich samych jak on, w takim samym okręcie...

- Słyszalność rośnie, panie kapitanie. - Jones oparł się w fotelu i zapalił papierosa. -

Idzie w naszą stronę. Kurs chyba trzysta pięćdziesiąt, może trzysta pięćdziesiąt trzy. Ciągłe jeszcze słabo słyszeć, ale to on. Mamy go. - Uznał, że należy mu się trochę pobłażania. -

Czekamy, czy idziemy do niego, kapitanie? - odważył się zapytać.

- Czekamy. Nie warto go płoszyć. Dopuszczymy go bliżej i bez hałasu zaczepimy mu się na ogonie. Potrzebne będzie dodatkowe nagranie namiaru i analiza przez SAPS na BC-10. W

instrukcji jest algorytm omińnięcia automatycznego przetwarzania. Chodzi o analizę, a nie interpretację. Powtarzajcie namiary co dwie minuty. Jego charakterystykę dźwiękową trzeba nagrać, przetworzyć numerycznie, złożyć, przenieć i rozebrać na czynniki pierwsze.

Musimy wiedzieć o nim wszystko, co się tylko da. Szum napędu, siłowni, urządzeń pokładowych. Musimy dokładnie wiedzieć, kto to jest.

- To chyba ruski okręt, panie kapitanie - zauważył Jones.

- Ale który? - uśmiechnął się Mancuso.

- Zrozumiałem, panie kapitanie. - Jones miał jeszcze dwie godziny wachty, ale już widać koniec. Prawie. Mancuso usiadł obok i założył drugą parę słuchawek, wyciągając papierosa z paczki Jonesa. Od miesiąca próbował rzucić palenie, ale tylko na lądzie miałby na to szansę.

HMS „Invincible”

Ryan miał na sobie ubiór marynarki brytyjskiej. Oznaką pośpiechu, w jakim wszystko dotychczas załatwiano, był bagaż, na który składały się, oprócz munduru, tylko dwie zapasowe koszule. Teraz jego odzież była w czyszczeniu, a on sam nosił parę angielskich spodni i sweter. Typowe, myślał. Nikt nawet nie wie, że tu jest. Zapomnieli o nim. Żadnych wiadomości od prezydenta - choć tego akurat nie oczekiwał - a Painter i Davenport łatwo zapomnieli, że kiedykolwiek był na „Kennedym”. Greer i sędzia Moore pewnie zajmują się jakimś głupstwem, może podśmiewając się z Jacka Ryana, który za państwowe pieniądze urządza sobie spacerki po morzu.

Ale dla Ryana nie była to żadna przyjemność. Jak zwykle męczyły go ataki choroby morskiej. „Invincible” u wybrzeży Massachusetts, oczekując zbliżających się radzieckich okrętów nawodnych, polował na towarzyszące im okręty podwodne. Zataczali kręgi po wzburzonym oceanie. Wszyscy mieli co robić - z wyjątkiem Ryana. Piloci startowali dwa razy dziennie, współdziałając z samolotami sił powietrznych i lotnictwa morskiego działającego z baz na lądzie. Okręty wykonywały manewry bojowe. Admirał White zauważył

przy śniadaniu, że te ćwiczenia są doskonałym uzupełnieniem manewrów „Szybki Delfin”.

Ryan nie lubił czuć się niepotrzebny. Wszyscy byli, rzecz jasna, uprzejmi. Gościnność dowództwa wprawiała go nawet w zakłopotanie. Miał dostęp do centrum dowodzenia, a gdy postanowił poznać angielski system zwalczania okrętów podwodnych, objaśniono mu wszystko na tyle dokładnie, że zdołał zrozumieć więcej, niż się spodziewał.

Teraz siedział sam w kabinie White'a, która stała się jego kwaterą na okręcie. Ritter z premedytacją włożył mu do torby raport CIA zatytułowany *Bezdomne dzieci. Psychologiczne studium uciekinierów z krajów bloku wschodniego*. Trzystustronicowe opracowanie było wynikiem działalności zespołu psychologów i psychiatrów, którzy we współpracy z CIA i innymi agencjami wywiadu pomagali uciekinierom zaadaptować się do życia w Ameryce, a przy okazji, jak sądził Ryan, wskazywali słabe punkty w działaniach CIA. Z pewnością nie było ich zbyt dużo, ale wszystko, co się robi dla Agencji, ma zazwyczaj dwie strony.

Ryan musiał przyznać, że opracowanie jest interesujące. Nigdy się nie zastanawiał, co jest przyczyną takich ucieczek. Wyobrażał sobie, że na zachód od żelaznej kurtyny dzieje się wystarczająco dużo ciekawych rzeczy, aby każdy racjonalnie myślący człowiek skorzystał z nadarzającej okazji wydostania się na Zachód. Ale czytając, zrozumiał, że to wcale nie takie proste. Każdy uciekinier ma własne problemy. Jeden ucieka, widząc wszystkie nierówności społeczne w ustroju komunistycznym i pragnąc sprawiedliwości, wolności wyznania, okazji do indywidualnego rozwoju. Ktoś inny po prostu kieruje się chęcią zdobycia majątku.

Naczytał się o chciwych kapitalistach, którzy wykorzystują robotników i uznał, że bycie kapitalistą ma swoje dobre strony. Ryanowi wydawało się to cyniczne.

Uciekinierem mógł być agent, celowo podrzucony CIA dla dezinformacji. Ale z takimi przypadkami bywało różnie. W końcu nawet agent mógł również okazać się prawdziwym uciekinierem. Ameryka, uśmiechnął się Ryan, działa jak magnes na ludzi zmęczonych bezbarwnym życiem w Związku Radzieckim. Większość takich „podrzutków” to jednak niebezpieczni przeciwnicy. Z tego powodu uciekinierom nigdy się nie ufa. Nigdy.

Ktoś, kto raz zmienił przynależność państwową, może to zrobić jeszcze raz. Nawet idealistom zdarzają się wątpliwości i gwałtowne wyrzuty sumienia z powodu porzucenia ojczyzny. Jeden z autorów zwracał uwagę, że wygnanie stało się niesłychanie bolesną karą dla Aleksandra Sołżenicyna. Brzmi to dziwnie, ale dla patrioty życie z dala od ojczyzny stanowi większą torturę niż łagier. Dla Ryana było to dziwne, ale wystarczająco prawdziwe.

Pozostała część opracowania poświęcona była problemowi przystosowania do życia w Ameryce. Niejeden radziecki uciekinier popełnił po kilku latach samobójstwo. Niektórzy nie potrafili po prostu żyć na wolności, tak jak więźniowie po długich wyrokach nie radzą sobie, gdy wyjście na wolność pozbawia ich złożonego mechanizmu kontroli. Popełniają wtedy nowe przestępstwo w nadziei odzyskania poczucia bezpieczeństwa w więzieniu. Z czasem CIA wypracowała sposób radzenia sobie z tego rodzaju problemami. Wykres na końcu opracowania ukazywał radykalne zmniejszenie się ilości przypadków nieprzystosowania.

Ryan nie mógł oderwać się od lektury.

Pisząc pracę doktorską w Georgetown University, w wolnych chwilach chadzał na wykłady z psychologii. Zostało mu z nich poczucie, że psychiatrzy niewiele wiedzą, i że uzgadniają między sobą, jakich dziwnych haseł będą wspólnie używać... Potrząsnął głową.

Jego żona była tego samego zdania. Caroline Ryan, z zawodu chirurg oczny, przebywająca obecnie na

praktyce wymiennej w Guy's Hospital w Londynie, patrzyła na wszystko przez pryzmat swego zawodu. W przypadku choroby oczu podejmuje się decyzję: operować czy nie. Po dwukrotnym przeczytaniu raportu Ryan doszedł do wniosku, że z mózgiem sprawy mają się inaczej. Do każdego uciekiniera trzeba znaleźć indywidualne podejście, traktując go ostrożnie i z sympatią. Potrzebny jest do tego pracownik skłonny poświęcić mu w odpowiednim stopniu swój czas i uwagę. Zastanawiał się, czy nadawałby się do takiej pracy.

Wszedł admirał White.

- Nudzisz się, Jack?

- Niezupełnie, admirale. Kiedy można się spodziewać kontaktu z Rosjanami?

- Dziś wieczór. Twoi rodacy nieźle ich przycisnęli po ostrzelaniu *Tomcata*.

- To dobrze. Może ludzie się obudzą, zanim stanie się coś naprawdę złego.

- Uważasz, że to możliwe?

- Jeśli naprawdę polują na raketowy okręt podwodny, to wszystko jest możliwe. Jeśli są tu z zupełnie innego powodu, to ja źle oceniłem sytuację. Co gorsza, teraz będę musiał żyć ze świadomością tego błędu - albo z nią umrzeć.

Centrum Medyczne Marynarki w Norfolk

Tait czuł się już lepiej. Dr Jameson zastąpił go na jakiś czas, pozwalając mu przedrzemać pięć godzin na kozetce w pokoju lekarskim. Jeszcze nigdy nie udało mu się przespać tyle za jednym razem, i wyglądał teraz rześko w porównaniu z resztą personelu.

Zadzwoił do kantyny, żeby przysłano mu na górę trochę mleka. Jako mormon unikał

wszystkiego, co zawiera kofeinę: kawy, herbaty, nawet coca-coli. Tego rodzaju dyscyplina wewnętrzna była rzadkością wśród lekarzy, szczególnie wojskowych. Sam co prawda zastanawiał się nad tym tylko wtedy, gdy zachwalał swym kolegom po fachu jej wpływ na długowieczność. Wypił mleko, ogolił się w łazience i był już gotów stawić czoło problemom nadchodzącego dnia.

- Wiadomo już coś o stopniu napromieniowania, Jamie? Laboratorium radiologiczne spisało się na medal.

- Sprowadzili radiologa z okrętów podwodnych, który sprawdził ubranie.

Prawdopodobne skażenie rzędu dwudziestu radów, nie powodujące poważnych zmian fizjologicznych. Wydaje mi się, że cały alarm spowodowany został tym, że pielęgniarka pobrała próbki z wierzchu dłoni. Kończyny prawdopodobnie nie wróciły jeszcze do normy po zwężeniu naczyń. To by wyjaśniało, jak myślę, spadek białych ciałek.

- A w ogóle, jak się czuje?

- Lepiej. Niewiele, ale lepiej. Wygląda na to, że keflin zaczyna trochę działać. -

Lekarz otworzył kartę choroby. - Białych ciałek przybywa. Dostał ich zestaw dwie godziny temu. Morfologia wraca do normy. Ciśnienie sto na sześćdziesiąt pięć, puls dziewięćdziesiąt.

Temperatura waha się. Dziesięć minut temu miał trzydzieści osiem i dwa.

- Serce wygląda całkiem dobrze. Powinien przeżyć, jeśli nie wyskoczy coś nowego. -

Jameson pamiętał, że przy skrajnej hipotermii niespodzianki mogą pojawić się nawet po miesiącu lub później.

Przeglądając kartę, Tait przypomniał sobie, jaki sam był wiele lat temu. Młody, bystry lekarz, taki jak Jamie, przekonany, że wszystko da się uleczyć. Przyjemne uczucie. Szkoda tylko że własne doświadczenia, na które w jego przypadku składały się dwa lata służby w Wietnamie, zabiły takie uczucia. Jamie miał jednak rację. Poprawa jest na tyle wyraźna, że szansę pacjenta rosłą.

- Co robią Rosjanie? - zapytał Tait.

- Teraz wachta Pieczkina. Gdy przyszła jego kolej, przebrał się w strój szpitalny, ale zostawił kapitana Smirnowa na straży swojego ubrania. Boi się, że coś mu ukradniemy, czy co?

Tait wyjaśnił, że Pieczkin jest agentem KGB.

- Poważnie? Może ma ze sobą pistolet? - powiedział z dezaprobatą Jameson. - Jeśli tak, to niech lepiej na niego uważa. Mamy przy chorym trzech marines.

- Piechota morska? Ale po co?

- Zapomniałem powiedzieć. Jakiś reporter wyniuchał, że mamy tu ruskiego i próbował

się dostać na nasze piętro. Zatrzymała go pielęgniarka. Admirał Blackburn dostał szału, gdy się o tym dowiedział. Teraz całe piętro jest zamknięte. Po co te wszystkie sekrety?

- Nie mam pojęcia. Nigdy jeszcze nie spotkałem Rosjan. Ci tutaj nie uśmiechają się za często. Czuwają przy nim tak, jakby podejrzewali nas o to, że chcemy go po cichu wykończyć.

- A może boją się, żeby nie powiedział czegoś, czego nie powinniśmy usłyszeć? -

zastanowił się Tait. - Nie wydaje ci się, że im wcale nie zależy na tym, żeby ten człowiek wyzdrowiał? Nie chcieli powiedzieć, że jest z okrętu atomowego, pamiętasz?

Jameson zastanowił się chwilę.

- Chyba nie. Rosjanie podobno ze wszystkiego robią tajemnice, prawda? W końcu przecież Smirnow się przyznał.

- Idź się trochę przespać, Jamie.

- Rozkaz, kapitanie. - Jameson ruszył w stronę pokoju lekarskiego. Zapytaliśmy z jakiego jest okrętu, przypomniał sobie kapitan, mając na myśli czy to okręt atomowy, czy nie.

Ale może im się wydawało, że pytamy, czy jest to okręt rakietowy? No tak. To wygląda prawdopodobnie. Okręt rakietowy tuż przy naszych wybrzeżach w połączeniu z tym wszystkim, co się dzieje na pomocnym Atlantyku. Zbliżają się święta. Boże! Gdyby chcieli rozpocząć wojnę, to teraz jest najlepszy moment. Przeszedł przez hol. Z pokoju chorego wyszła pielęgniarka z próbką krwi do badania. Krew pobierano co godzinę, co dawało Pieczkinowi kilka minut sam na sam z pacjentem.

Tait, idąc korytarzem, zobaczył przez okno, że pracownik ambasady siedzi obok łóżka na krześle i przygląda się wciąż nieprzytomnemu pacjentowi. Pieczkin miał na sobie zielony strój szpitalny uszyty na dwie strony, z kieszeniami od wewnątrz i na zewnątrz, tak żeby chirurg nie musiał tracić czasu, sprawdzając, czy nie założył ubrania na lewą stronę. Akurat sięgał przez szeroki kołnierz do wewnętrznej kieszeni.

- Boże! - Tait rzucił się pędem do wahadłowych drzwi sali i wbiegł do środka.

Zdziwione spojrzenie Pieczkina zmieniło się w zaskoczenie, gdy lekarz wytrącił mu z ręki papierosa i zapalniczkę, a następnie we wściekłość, gdy został wyrwany z krzesła i pchnięty w stronę drzwi. Tait był od niego niższy, ale gwałtowność ataku wystarczyła, żeby Pieczkin znalazł się na korytarzu, zanim zdążył pomyśleć, co się z nim dzieje.

- Straż! - krzyknął Tait.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Pieczkin. Tait, trzymając go w niedźwiedzim uścisku, usłyszał, że ktoś biegnie z poczekalni.

- Co się stało, proszę pana? - Zdyszany kapral marines z coltem kaliber 0.45 cala w ręku z trudnością zatrzymał się na śliskiej podłodze.

- Ten człowiek właśnie próbował zabić mojego pacjenta!

- Co takiego? - Pieczkin spurpurowiał na twarzy.

- Kapralu, od tej chwili stoicie przy tych drzwiach. Jeśli ten człowiek spróbuje wejść do pokoju chorego, możecie użyć dowolnych środków, żeby go zatrzymać. Zrozumiano?

- Rozkaz, panie kapitanie! - Kapral spojrzał na Rosjanina.

- Będzie pan łaskaw odsunąć się od drzwi?

- Co ma znaczyć ta napaść?

- Proszę natychmiast odsunąć się od tych drzwi - powtórzył żołnierz i włożył pistolet do kabury.

- Co się tu dzieje? - spytał spokojnie Iwanow, który stał kilka metrów dalej.

- Panie doktorze, chce pan, żeby pacjent przeżył czy nie? — zapytał Tait, starając się uspokoić.

- Co? Oczywiście, że chcę. Jak może pan w to wątpić?

- To dlaczego pan Pieczkin właśnie próbował go zabić?

- Niczego takiego nie robiłem! - krzyknął Pieczkin.

- A co takiego zrobił Pieczkin? - Iwanow był ciekaw. Zanim Tait zdążył się odezwać, Pieczkin zaczął szybko mówić po rosyjsku i znów przeszedł na angielski. - Sięgałem po papierosa, to wszystko. Nie mam żadnej broni. Nikogo nie chciałem zabić. Po prostu chciałem zapalić.

- Na całym piętrze, z wyjątkiem poczekalni, wiszą zakazy palenia. Nie widział ich pan? Znajdował

się pan w pomieszczeniu na oddziale intensywnej terapii, obok pacjenta na czystym tlenie. Całe powietrze i pościel są przesycone tlenem, a pan, cholera jasna, chciał po prostu zapalić papierosa! - Tait rzadko przeklinał. - No i by pan sobie zapalił, a ten chłopak już by nie żył! Wiem, kim jesteś, Pieczkin. Nie jestem taki głupi. Wynoś się z mojego oddziału!

Pielęgniarka, która przyglądała się zajściu, weszła do pokoju chorego i ze zdziwionym wyrazem twarzy przyniosła dwa papierosy luzem i całą paczkę oraz plastikową zapalniczkę gazową.

Pieczkin był popielaty na twarzy.

- Doktorze Tait, zapewniam pana, że nie miałem takich zamiarów. Mówi pan, że co by się stało?

- Towarzyszu Pieczkin - odezwał się powoli po angielsku Iwanow - nastąpiłaby eksplozja i pożar. Nie można używać ognia w pobliżu urządzeń tlenowych.

- *Niczewo!* - Dopiero teraz Pieczkin zrozumiał sytuację.

Chciał poczekać, aż pielęgniarka wyjdzie, bowiem personel nigdy nie pozwala palić.

Jeśli chodzi o szpitale, był ignorantem, a jako agent KGB przyzwyczał się robić to, na co ma ochotę. Zaczął mówić coś po rosyjsku do Iwanowa. Rosyjski lekarz wyglądał jak ojciec słuchający wyjaśnień dziecka, które właśnie stłukło szybę. Odpowiadał Pieczkinowi raczej wstrzemięźliwie.

Z kolei Tait zaczął się zastanawiać, czy nie zareagował zbyt gwałtownie. Dla niego każdy palacz to przede wszystkim kretyn.

- Doktorze Tait - powiedział w końcu Pieczkin. - Przysięgam, że nie miałem pojęcia o tej historii z tlenem. Wygłupiłem się.

- Siostró - odwrócił się Tait do pielęgniarki. - Proszę nie zostawiać pacjenta bez naszej opieki nawet na chwilę. Pod żadnym pozorem. Niech sanitariusz przychodzi po próbki krwi i co tam jeszcze. Jeśli musi pani wyjść do ubikacji, proszę najpierw zawołać kogoś na zastępstwo.

- Dobrze, panie doktorze.

- Nie chcę więcej słyszeć o żadnych takich historiach, panie Pieczkin. Jeszcze raz naruszy pan regulamin, usunę pana z oddziału, jasne?

- To się już więcej nie powtórzy. Bardzo pana przepraszam za moje zachowanie, panie doktorze.

- Zostajecie tutaj - polecił Tait żołnierzowi.

Oddalił się, potrząsając ze złością głową, wściekły na Rosjan, niezadowolony z siebie.

Marzył o tym, żeby wrócić z powrotem do Bethesdy, gdzie czuł się najlepiej. Miał ochotę kłać i żałował tylko, że nie umie tego robić. Windą dla personelu zjechał na pierwsze piętro, gdzie pięć minut zajęło mu odszukanie pracownika wywiadu, który przyleciał śmigłowcem razem z nim. Znalazł

go w końcu przy maszynach do gry. Weszli do pustego pokoju komendanta szpitala.

- Naprawdę myślał pan, że chce zabić pacjenta? - zapytał z niedowierzaniem oficer.

- A co miałem myśleć? - zapytał Tait. - Proszę powiedzieć, co pan o tym sądzi?

- Prawdopodobnie po prostu się wygłupił. Chcą mieć tego chłopaka żywego. Albo raczej przede wszystkim chcą, żeby zaczął mówić. Bardziej im na tym zależy niż nam.

- Skąd pan to wie?

- Pieczkin co godzina dzwoni do ambasady. Mamy oczywiście telefony na podsłuchu.

Chyba to pana nie dziwi?

- A jeśli tylko udają?

- Jeśli jest aż tak dobrym aktorem, to powinien występować w filmach. Doktorze, niech się pan troszczy o zdrowie pacjenta, a nam zostawi resztę. Dobry miał pan pomysł z wartą przy drzwiach. Trochę się zastanowią. Nigdy nie zawadzi lekko nimi potrząsnąć.

Kiedy, pana zdaniem, pacjent odzyska przytomność?

- Trudno powiedzieć. Nadal gorączkuje i jest bardzo słaby. Czego chcą się od niego dowiedzieć? - zapytał Tait.

- Z jakiego jest okrętu. Rozmówca Pieczkina z KGB nieostrożnie wygadał się z tym przez telefon. Cóż za brak rozwagi! Muszą być bardzo zaniepokojeni.

- A wy wiecie, jaki to okręt?

- Jasne - powiedział figlarnym tonem wywiadowca. To o co w tym wszystkim chodzi na Boga?!

- Tego nie mogę panu powiedzieć, doktorze - odparł oficer z tajemniczym uśmiechem, chociaż, tak jak inni, nie wiedział nic.

Stocznia Marynarki w Norfolk

Duży dźwig portowy opuszczał właśnie „Avalona” na cumujący w doku torpedowy okręt podwodny USS „Scamp”. Na mostku kapitan niecierpliwie obserwował całą operację.

Bardzo mu się to wszystko nie podobało. Odwołano ich do portu, gdy byli zajęci tropieniem dwóch *Victorów*. Przed kilkoma tygodniami jego okręt uczestniczył w ćwiczeniach ratownictwa podmorskiego, a teraz też mieli na głowie ważniejsze rzeczy niż matkowanie tej bezużytecznej zabawce. Ponadto umieszczenie miniaturowej łodzi podwodnej na tylnym luku awaryjnym spowoduje obniżenie prędkości o dobre dziesięć węzłów. Trzeba też zaokrętować i wyżywić czterech dodatkowych ludzi. Trochę za dużo, jak na możliwości „Scampa”.

Co prawda dzięki temu mają świeżą żywność. Gdy przyszedł rozkaz powrotu do bazy, byli w morzu już cztery tygodnie. Skończyły się świeże warzywa i perspektywa odnowienia zapasów w porcie wyglądała bardzo kusząco. Fasolowe sałatki szybko się nudzą. Dziś na obiad będzie prawdziwa sałata, pomidory i świeża kukurydza zamiast konserwowanej.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie kłopoty z Rosjanami.

- Wszystko zabezpieczone?! - zawołał kapitan do ludzi pracujących na beczkowatym pokładzie rufowym.

- Tak jest, panie kapitanie. Skończyliśmy - odpowiedział porucznik Ames.

- Za dziesięć minut meldować gotowość do wypłynięcia. - Kapitan połączył się z siłownią.

- Jesteśmy gotowi, panie kapitanie.

W pobliżu oczekiwał portowy holownik, aby wyprowadzić ich z doku.

Ames znał rozkaz. Nie było to jego najbardziej ulubione zajęcie. Trudno sobie wyobrazić, że mieliby teraz brać udział w dalszym polowaniu z tym cholernym „Avalonem”

na grzbiecie.

„Czerwony Październik”

- Spójrz, Swiadow - powiedział Mielechin. - Zobacz, jak pracuje umysł sabotażysty.

Porucznik podszedł i uważnie się przyjrzał zaworowi kontrolnemu wymiennika ciepła, który wskazał główny mechanik. Zanim Mielechin wyjaśnił, o co chodzi, podszedł do telefonu.

- Towarzyszu kapitanie, tu Mielechin. Znalazłem. Trzeba wyłączyć reaktor na godzinę. „Gąsienica” może pracować na akumulatorach, prawda?

- Oczywiście, towarzyszu główny mechaniku - powiedział Ramius - wyłączajcie.

Mielechin odwrócił się do swojego pomocnika.

- Wyłączcie reaktor, a silniki „gąsienicy” przełączcie na akumulatory.

- Tak jest. - Pomocnik zajął się przełącznikami. W czasie dotychczasowych poszukiwań przecieku napięcie na okręcie rosło. Po odkryciu, że liczniki Geigera zostały celowo uszkodzone, Mielechin i Borodin naprawili je i rozpoczęli dokładny przegląd pomieszczeń reaktora, co wymagało ogromnej wprawy. Z pewnością przeciek nie był duży, bo wtedy Swiadow szukałby go z kijem od szczotki. Nawet mały przeciek to koniec z ręką.

Uznali, że chodzi prawdopodobnie o małą nieszczelność w systemie niskiego ciśnienia. Nie to jednak niepokoiło wszystkich.

Przegląd dokonany przez głównego mechanika i jego zastępcę trwał co najmniej osiem godzin i przez cały czas reaktor musiał być wyłączony. Trzeba było wyłączyć wszystkie obwody elektryczne z wyjątkiem świateł awaryjnych i „gąsienicy”. Ograniczono nawet działanie systemu regeneracji powietrza, co wywołało szemranie załogi.

Mimo to Mielechin nie był w stanie wykryć uszkodzenia, a wywołane klisze były czyste! Jak to możliwe?

- Dalej, Swiadow, powiedz, co widzisz? - Mielechin wrócił od telefonu i pokazał palcem.

- Wodny zawór upustowy.

Zaworu tego używano tylko w porcie, po ostudzeniu reaktora, do spuszczenia wody z systemu chłodzenia i wykrywania jej ewentualnych skażeń. Urządzenie niczym się nie wyróżniało. Zwykły wzmocniony zawór z dużym pokręteł. Rurka spustowa pod spodem, poniżej ciśnieniowej części rurociągu nie była spawana, ale połączona gwintem.

- Dajcie duży klucz, poruczniku.

Szykuje się dłuższy pokaz, pomyślał Swiadow. Gdy Mielechin próbował przekazać coś ważnego, szło mu to zazwyczaj bardzo powoli. Swiadow wrócił z kluczem nasadkowym metrowej długości. Główny inżynier poczekał, aż reaktor zostanie całkowicie wyłączony i jeszcze raz sprawdził manometr, upewniając się, że w przewodach nie ma ciśnienia.

Mielechin był człowiekiem ostrożnym. Założył klucz na złącze i nacisnął, odkręcając je bez trudności.

- Jak widzicie, towarzyszu poruczniku, nacięcie gwintu na rurze sięga aż do kadłuba zaworu. Dlaczego tak jest?

- Nacięcia są po zewnętrznej stronie zaworu, towarzyszu kapitanie. Zawór zatrzymuje ciśnienie, a gwint służy tylko do mocowania nasadki czerpalnej, co nie wpływa na szczelność złącza.

- Dobrze. Gwintowane złącze nie jest wystarczająco silne, aby wytrzymać ciśnienie w obciążonym układzie. - Mielechin ręcznie odkręcił nasadkę do końca. Była dokładnie wytoczona, gwint błyszczał jeszcze jak nowy. - I tu właśnie mamy sabotaż.

- Nie rozumiem.

- Ktoś to bardzo sprytnie wymyślił, towarzyszu poruczniku. - W głosie Mielechina podziw mieszał się ze złością. - Przy normalnym ciśnieniu roboczym, to znaczy przy średniej prędkości okrętu, obciążenie wynosi osiem kilogramów na centymetr kwadratowy. Zgadza się?

- Tak jest, a przy pełnej prędkości o dziewięćdziesiąt procent więcej. - Swiadow znał

to wszystko na pamięć.

- Ale pełną prędkością idziemy rzadko. Ten zawór to ślepa końcówka zamkniętego obwodu pary wysokiego ciśnienia. Otóż wywiercono tu maleńki otwór, niecały milimetr.

Spójrzcie. - Mielechin nachylił się, aby samemu wszystko obejrzeć. Swiadow wołał trzymać się w bezpiecznej odległości. - Nie ma nawet milimetra. Sabotażysta zdjął nasadkę, wywiercił

otwór i założył ją z powrotem. Przez tak mały otwór może się wydostać tylko niewielka ilość pary i to bardzo wolno. Para nie może się wydostać dlatego, że nasadka dochodzi do samego kołnierza obudowy zaworu. Przyjrzyj się. Doskonała robota, doskonała! Nie mogąc wydostać się do góry, para musi przeciskać się dookoła przez całą długość gwintu, ułatwiając się wewnątrz nasadki. Tylko troszeczkę. Ale wystarczy, żeby spowodować minimalne skażenie całego przedziału. - Mielechin rozejrzał się dookoła.

- Ten ktoś był bardzo, bardzo sprytny. Wystarczająco sprytny, żeby wiedzieć, jak działa cały ten układ. Gdy poprzednio szukaliśmy przecieku, obniżaliśmy ciśnienie w układzie tak, że para przestawała się wydostawać i nie można było odnaleźć uszkodzonego miejsca. Ciśnienie jest wystarczająco duże tylko pod obciążeniem roboczym. Gdy podejrzewasz przeciek, obniżasz moc. Nikt nie jest w stanie powiedzieć, co by się stało, gdybyśmy zwiększyli moc do maksimum. - Mielechin pokręcił głową z podziwem. - Ktoś tu był bardzo sprytny. Mam nadzieję, że się z nim spotkam. Wezmę wtedy duże kleszcze - tu Mielechin zniżył głos do szeptu - i rozgniotę mu jaja! Przynieście mały zestaw spawalniczy, towarzyszu poruczniku. Sam to naprawię.

Kapitan pierwszej rangi Mielechin nie żartował. Na pewno nie pozwoliłby nikomu nawet dotknąć takiej roboty. To był jego przedział i on za niego odpowiadał. Swiadow bardzo był z tego

zadowolony. Mielechin wspawał w otwór maleńką kroplę metalu i przy pomocy jubilerskiego pilniczka wyrównał z powierzchnią nagwintowania. Następnie pokrył cały gwint kauczukowym uszczelniaczem i nakręcił nasadkę. Świadow obliczył, że cała operacja zajęła dwadzieścia osiem minut. Tak jak mówiono mu w Leningradzie, Mielechin był

najlepszym inżynierem floty okrętów podwodnych.

- Próbné obciążenie, osiem kilogramów - wydał polecenie Mielechin.

Włączono reaktor. Po pięciu minutach ciśnienie zaczęło rosnać do normalnego poziomu. Licznik umieszczony przez Mielechina pod naprawionym zaworem, cały czas milczał, nawet w położeniu numer dwa. Mielechin poszedł do telefonu zawiadomić kapitana, że uszkodzenie zostało naprawione.

Dopiero wtedy wpuścił do przedziału marynarzy, żeby uprzątnęli narzędzia.

- Zrozumieliście, jak to było zrobione, poruczniku?

- Tak jest, towarzyszu kapitanie. Czy taka jedna nieszczelność mogła spowodować wszystkie skażenia?

- Z całą pewnością.

Świadow zaczął się nad tym głośno zastanawiać. Zdał sobie sprawę, że przedział

reaktora wypełniają najróżniejsze rurociągi i połączenia, a tego rodzaju sabotaż z pewnością nie zajmuje wiele czasu.

- Co będzie, jeśli tego rodzaju bomby z opóźnionym zapłonem podłożono jeszcze w innych miejscach?

- Niepotrzebnie martwicie się na zapas, towarzyszu poruczniku - powiedział

Mielechin - Też o tym myślałem. Gdy dotrzemy na Kubę, przeprowadzę pełną kontrolę wszystkich układów pod obciążeniem roboczym. Nie powinno się tego jednak robić na pełnym morzu. Nadal utrzymamy dwugodzinne wachty. Możliwe, że sabotażystą jest ktoś z załogi. Jeżeli tak, to nie chcę zostawiać nikogo w przedziale reaktora na taki czas, żeby mógł

znowu coś nabroić. Sami też nie spuszczaćcie ich z oka.

Dzień dwunasty

WTOREK, 14 GRUDNIA

USS „Dallas”

- Szalony Iwan! - krzyknął Jones głośno, żeby usłyszano w centrali. - Robi zwrot w prawo!
- Panie kapitanie! - powtórzył ostrzeżenie Thompson.
- Motory stop! - szybko rozkazał Mancuso. - Cisza na okręcie!

O dziewięćset metrów przed nimi śledzony okręt rozpoczął właśnie ostry zakręt na prawo. Od czasu ponownego nawiązania kontaktu robił to mniej więcej co dwie godziny, choć nie na tyle regularnie, żeby czujność na „Dallas” mogła osłabnąć. Tamten najwyraźniej zna się na rzeczy, pomyślał Mancuso. Wykonując pełne koło, radziecki okręt raketowy mógł

sprawdzić dziobowymi sonarami, czy ktoś nie podąża jego kursem.

Przeciwdziałanie nie tylko wymaga doświadczenia, ale jest ryzykowne, szczególnie dla Mancuso. Gdy „Czerwony Październik” zmieniał kurs, rufa, tak jak w większości statków, poruszała się w kierunku odwrotnym niż dziób. W ten sposób radziecki okręt stawał jak stalowa barykada na kursie „Dallas”, przynajmniej w pierwszej fazie skrętu. A zatrzymanie okrętu torpedowego o masie siedmiu tysięcy ton wymaga sporo miejsca.

Dokładna liczba zderzeń okrętów radzieckich z amerykańskimi należy do troskliwie chronionych tajemnic. Nie jest natomiast tajemnicą, że takie kolizje zdarzały się. Typowo rosyjskim sposobem zmuszenia Amerykanów do zachowywania należytej odległości jest ryzykowny manewr nazywany w marynarce amerykańskiej „Szalonym Iwanem”.

Przez kilka pierwszych godzin od nawiązania kontaktu Mancuso zachowywał

bezpieczną odległość. Z czasem przekonał się, że przeciwnik nie wykonuje gwałtownych manewrów, a tylko raczej leniwie zakręca, podnosząc się za każdym razem o piętnaście do dwudziestu pięciu metrów i przechylając prawie jak samolot. Podejrzewał, że radziecki kapitan całkiem świadomie nie wykorzystuje w pełni manewrowych możliwości okrętu, zachowując sobie margines zaskoczenia. Dzięki temu „Dallas” mógł iść bardzo blisko z tyłu, redukując tylko szybkość i dryfując do przodu, tak że niemal ocierali się o stery rosyjskiego okrętu. Szło im to coraz lepiej. Aż za dobrze, jak szeptali między sobą oficerowie. Ostatnio przeszli nie więcej niż sto pięćdziesiąt metrów za śrubami śledzonego okrętu. Duży promień skrętu spowodował, że zwierzyna znalazła się za plecami myśliwego.

Uniknięcie kolizji stanowi najbardziej niebezpieczną część manewru, ale wcale nie jedyną.

„Dallas”

musiał także pozostać

niewidzialny

dla

biernych

systemów

hydrolokacyjnych przeciwnika. Obsługa musiała zmniejszyć do minimum moc w napędzającym okręt reaktorze typu S6G. Na szczęście jest to możliwe bez pomocy pompowania chłodziwa, gdyż może ono krążyć samo, ze względu na różnicę temperatur. Gdy przestały pracować turbiny silników, ustały wszystkie szумы w układzie napędowym.

Ponadto na okręcie wprowadzono zupełną ciszę. Na pokładzie „Dallas” obowiązywał zakaz wszelkich czynności, które mogłyby wywołać hałas, i nawet rozmowy w mesie odbywały się szeptem.

- Prędkość spada - meldował porucznik Goodman.

Mancuso doszedł do wniosku, że tym razem „Dallas” nie staranuje przeciwnika, i poszedł w stronę rufy, do przedziału hydroakustyków.

- Cel nadal zmienia kurs - zameldował po cichu Jones. - Chyba przeszliśmy.

Odległość do rufy około dwustu metrów, może trochę mniej... Tak, przeszliśmy, namiar zmienia się teraz szybciej. Szумы napędów i prędkość regularne. Lekki zwrot na prawo. -

Jones kątem oka spojrzał na kapitana i postanowił zaryzykować wyrażenie własnej opinii. -

Panie kapitanie, wydaje mi się, że ten facet jest bardzo pewny siebie.

- Dlaczego? - zapytał Mancuso czując, że zna odpowiedź.

- Przecież, w odróżnieniu od nas, on nawet nie zmniejsza szybkości, a my robimy o wiele ciaśniejsze zwroty. Tak jakby manewrował tylko z przyzwyczajenia. Można pomyśleć, że gdzieś się spieszy i jest przekonany, że nikt nie da rady go namierzyć, zaraz... Znów zmienił kurs, namiar z dziobu na prawo, mniej więcej pół mili... Nadał powoli wykonuje zwrot. Znowu obejdzie nas dookoła. Panie kapitanie, gdyby spodziewał się kogoś za rufą, musiałby mieć wyjątkowo mocne nerwy. Jak myślisz, Francuziku?

Starszy sonarzysta Laval potrząsnął głową.

- Nie wie, że idziemy za nim.

Wolał się do tego ograniczyć, ale uważał, że taktyka Mancusa jest zbyt ryzykowna.

Trzeba mieć jaja, żeby robić coś takiego z sześćset osiemdziesiątką ósemką, bo wystarczy mały błąd,

a skończą karierę na plaży, bawiąc się łopatką i wiaderkiem.

- Przechodzi wzdłuż sterburty, kapitanie. Nie używa aktywnego sonaru. - Jones wyjął

kalkulator i coś policzył. - Przy takim kącie zwrotu i prędkości odległość wychodzi około tysiąca metrów. Czy nie sądzi pan, kapitanie, że ten dziwaczny napęd zmniejsza mu sterowność?

- Możliwe.

Mancuso podłączył wolną parę słuchawek. Ten sam szum co poprzednio. Świsł i co czterdzieści, pięćdziesiąt sekund dziwny, niski łoskot. Z tak bliska słyszeli ponadto warkot i bulgotanie pompy reaktora. Pojawił się również ostry dźwięk. Może to kuk przesuwająca garnki po metalowym blacie? Na okręcie najwyraźniej nie przestrzegano ciszy. Mancuso poczuł się jak włamywacz. Znaleźli się tak blisko nieprzyjaciela, no, może niezupełnie nieprzyjaciela, że słyszeli wszystko, co działo się na radzieckim okręcie. W lepszych warunkach akustycznych słyszeliby nawet rozmowy. Nie na tyle wyraźnie, rzecz jasna, żeby zrozumieć poszczególne słowa, ale tak jak na przyjęciu, gdzie słyszy się przy stole gwar kilkunastu rozmawiających jednocześnie osób.

- Przechodzi ku rufie i nadal skręca. Promień skrętu ma dobre tysiąc metrów -

zauważył Mancuso.

- Tak jest, kapitanie, coś koło tego - potwierdził Jones.

- Masz rację, Jones, prawdopodobnie nie wykorzystuje całej zwrotności i manewruje trochę niedbale. Rosjanie często zachowują się paranoicznie, ale ten jest inny.- Na szczęście, pomyślał Mancuso.

Jeśli Rosjanie mieli namierzyć „Dallas”, teraz był najlepszy moment, gdyż ich sonary były skierowane bezpośrednio na Amerykanów. Mancuso zdjął słuchawki, żeby posłuchać, co się dzieje na okręcie. „Dallas” był cichy jak grób. Słowa „Szalony Iwan” dotarły do wszystkich i cała załoga zareagowała w ciągu kilku sekund. Jak można nagrodzić całą załogę, zastanawiał się Mancuso. Dawał im w kość, czasami nawet za bardzo, ale, do cholery, opłacało się!

- Lewy trawers - powiedział Jones. - Jest dokładnie na trawersie, szybkość bez zmian, chyba trochę wyrównał, odległość mniej więcej tysiąc sto. - Jones wyjął z tylnej kieszeni chustkę i dokładnie wytarł ręce.

Jones się denerwuje, pomyślał kapitan, ale głos ma spokojny. Każdy członek załogi działał jak zawodowiec.

- Minął nas, jest z lewej burty z przodu i wyrównał kurs. Niech mnie, jeżeli nie wszedł

z powrotem na sto dziewięćdziesiąt. - Jones spojrzał w górę z uśmiechem. - Znow się udało, kapitanie.

- Okay. Dobra robota - Mancuso wrócił do centrali. Wszyscy czekali niecierpliwie.

„Dallas” milcząco dryfował z lekko ujemnym trymem, w dół. - Włączamy z powrotem silniki. Stopniowo zwiększać prędkość do trzynastu węzłów. - Po kilku sekundach rozległ się ledwo słyszalny szum zwiększającego moc reaktora. Obudził się wskaźnik szybkości.

„Dallas” płynął.

- Uwaga, tu mówi kapitan - zaczął Mancuso. Głośniki były wyłączone, a w każdym pomieszczeniu jego słowa powtarzali głośno wachtowi. - Rosjanie zatoczyli koło, ale nas nie wykryli. To zasługa całej załogi. Dobra robota. Można oddychać. - Teraz zwrócił się do oficera wachtowego: - Goodman, ruszamy za nimi.

- Tak jest, panie kapitanie. Sternik, ster lewo pięć.

- Ster lewo pięć - potwierdził rozkaz sternik, kręcąc jednocześnie kołem sterowym. Po dziesięciu minutach wrócili za rufę śledzonego okrętu.

Przez cały czas w systemach naprowadzania utrzymywano namiar celu, pomimo że torpedy Mk-48 ledwo zdążyłyby się uzbroić w dwadzieścia dziewięć sekund przed trafieniem w cel.

Ministerstwo Obrony, Moskwa

- Jak zdrowie, Misza?

Michaił Siemionowicz Filitow podniósł głowę znad stosu dokumentów. Miał wypieki i nadal wyglądał na chorego. Minister obrony Ustinow martwił się o starego przyjaciela.

Powinien był zostać parę dni dłużej w szpitalu, jak radzili lekarze. Ale Misza nigdy nie przyjmował rad, tylko rozkazy.

- Czuję się dobrze, Dymitrze. Wystarczy wyjść ze szpitala, żeby się poczuć lepiej.

Nawet, jeśli się wychodzi nogami do przodu - rzekł z uśmiechem Filitow.

- Ale na razie wyglądasz kiepsko.

- W naszym wieku zawsze się wygląda kiepsko. Napijecie się czegoś, towarzyszu ministrze? - Filitow wyciągnął z szuflady biurka butelkę stolicznej.

- Za dużo pijesz, przyjacielu - skarcił go Ustinow.

- Za mało. Gdybym w zeszłym tygodniu zaliczył trochę więcej antyfryzu, tobym się nie przeziębiał. - Filitow napełnił do połowy dwa kieliszki. - Trzymaj, Dimitri, trzeba się ogrzać.

Stuknęli się szkłem, pociągnęli po sporym łyku przezroczystego płynu i głośno chuchnęli.

- Od razu czuję się lepiej - zdumiał się Filitow. - Powiedz, co się stało temu litewskiemu renegatowi?

- Nie wiemy na pewno.

- Do tej pory? A co było w jego liście?

Ustinow pociągnął jeszcze jeden łyk i zaczął relację. Gdy skończył, wstrząśnięty i napięty Filitow pochylił się nad biurkiem.

- Matko jedyna! I jeszcze go nie odnaleziono? Kto za to polecał?

- Admirał Korow nie żyje. Został aresztowany przez KGB, ale wkrótce potem zmarł

na wylew krwi do mózgu.

- Rozumiem, że wylew miał dziewięć milimetrów średnicy - zauważył chłodno Filitow. - Ile razy mówiłem, że nie ma pożytku z całej tej floty? Czy można jej użyć przeciw Chińczykom? Albo przeciw armiom lądowym NATO w Europie? Tyle rubli kosztuje zbudowanie i wyposażenie tych pięknych pływających zabawek Gorszkowa. I co z tego? Nic!

A teraz uciekł mu okręt podwodny i cała ta główniana flota nie może go znaleźć. Jego szczęście, że Stalin nie żyje.

Ustinow pokiwał głową. Dobrze wiedział, jaki los czekał za Stalina tego, komu zdarzył się podobny przypadek.

- W każdym razie wygląda na to, że Padorin uratuje głowę. Mamy na okręcie dodatkowy element kontroli.

- Padorin! - Filitow pociągnął z kieliszka. - Ten eunuch! Spotkałem go ze trzy razy. To zimna ryba, nawet jak na politruka. Nigdy się nie uśmiecha, nawet przy kieliszku. Co z niego za Rosjanin? Dlaczego ten Gorszkow trzyma takich starych dupków?

Ustinow lekko się uśmiechnął.

- Z tego samego powodu, co ja, Misza. - Roześmieli się obaj.

- A jak towarzyszył Padorin zamierza uratować swoją skórę? Czyżby wynalazł wehikuł czasu?

Ustinow wszystko wyjaśnił staremu przyjacielowi. Był to jedyny człowiek, z którym minister obrony mógł szczerze i swobodnie porozmawiać. Filitow z dumą nosił mundur pułkownika wojsk pancernych. Chrzest bojowy przeszedł czwartego dnia Wielkiej Wojny, podczas faszystowskiej agresji na Związek Radziecki. Porucznik Filitow czekał w gotowości z kompanią czołgów T-34/76 na południowy wschód od Brześcia Litewskiego. Jako zdolny dowódca zdołał przetrwać pierwsze spotkanie z jednostkami pancernymi Guderiana, wycofał

się w porządku i prowadził nieprzerwane działania osłonowe, dopóki nie znalazł się w wielkim kotle pod Mińskiem. Wydostał się wtedy z okrążenia. Później też udało mu się to pod Wiaźmą. Już jako dowódca batalionu wziął udział w kontrataku Żukowa pod Moskwą. W

1942 roku uczestniczył w fatalnej kontrofensywie pod Charkowem, ale znów się wymknął, co prawda tym razem piechotą, wyprowadzając niedobitki swego batalionu ze strasznego kotła nad Dnieprem. Później z innym pułkiem zdruzgotał oddziały włoskie na obrzeżach Stalingradu i zamknął drogę Niemcom. Był w tej kampanii dwukrotnie ranny. Zdobył

reputację dobrego dowódcy, obdarzonego ponadto szczęściem. Szczęście opuściło go jednak pod Kurskiem, gdzie trafił na dywizję SS „*Das Reich*”. Prowadząc jednostkę do walki, dostał

się w zasadzkę osiemdziesięcioosmiomilimetrowych dział. Przeżył cudem. Do dziś cały tors ma poznaczony bliznami, a prawe ramię niemal bezwładne. Wystarczyło to, aby trzykrotnie udekorowany złotą gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego i tuzinem innych odznaczeń odszedł z honorami ze służby czynnej.

Po miesiącu przenosin ze szpitala do szpitala został inspektorem Armii Czerwonej w fabrykach zbrojeniowych na Uralu. Ta sama wewnętrzna siła, która uczyniła z niego doskonałego dowódcę na polu walki, sprawiła, że jeszcze sprawniej służył ojczyźnie na tyłach. Ostre traktowanie dyrektorów fabryk przyczyniało się do przyspieszenia produkcji, a pochlebstwa skłaniały projektantów do wprowadzania niekiedy niewielkich, lecz zasadniczych zmian konstrukcyjnych, które ratowały życie wielu żołnierzom i pomagały wygrywać bitwy.

Wtedy właśnie zetknął się z Ustinowem, gburowatym aparatczykiem, wysłanym przez Stalina z zadaniem przyspieszenia produkcji zbrojeniowej. Kilkakrotnie starli się ze sobą, ale młody Ustinow zrozumiał w końcu, że Filitow nie zna uczucia strachu i nie ugnie się w sprawach dotyczących kontroli jakości lub sprawności bojowej. Podczas jednej z kłótni Filitow praktycznie siłą zaciągnął Ustinowa do wieży czołgu i objechał z nim cały poligon, żeby przekonać go do swoich racji. Ustinow należał do ludzi, którym wystarczyło tylko raz coś pokazać, prędko więc zostali przyjaciółmi. Spodobał mu się żołnierz, który odważył się powiedzieć „nie” ludowemu komisarzowi do spraw uzbrojenia. Od połowy 1944 roku Filitow należał do jego stałego otoczenia jako inspektor specjalny, czyli człowiek do wszystkiego.

Gdy w jakiejś fabryce pojawiały się problemy, wysyłano Filitowa. Trzy złote gwiazdy i frontowe

rany wystarczały zazwyczaj, aby nawrócić dyrektorów fabryk na właściwą drogę. A jeśli nie wystarczały, to Misza uciekał się do potężnego głosu i słownictwa, którego bogactwo mogło wprowadzić w zdumienie najbardziej „złotoustego” szefa kompanii.

Nie będąc nigdy wyższym funkcjonariuszem partyjnym, Filitow stanowił dla swego szefa doskonałe źródło informacji z terenu. Nadal blisko współpracował z zespołami projektantów i producentów. Często, gdy sam chciał się przekonać, ile jest wart nowy prototyp czołgu, objeżdżał go z załogą dobranych frontowców. Mimo bezwładnej ręki mówiło się o nim, że jest najlepszym działonowym w Związku Radzieckim. Był ponadto człowiekiem skromnym. W 1965 roku Ustinow postanowił generalskimi szlifami sprawić przyjacielowi niespodziankę i ku swej irytacji usłyszał, że szlify nie przystoją człowiekowi, który nie zdobył ich na polu walki. Nie było to zbyt uprzejme, gdyż Ustinow nosił mundur marszałka Związku Radzieckiego za pracę w aparacie partyjnym i w przemyśle zbrojeniowym. W ten jednak sposób Filitow dowiódł, że jest prawdziwym Nowym Radzieckim Człowiekiem, dumnym z tego, co ma i świadomym swoich ograniczeń.

Szkoda tylko, myślał Ustinow, że Miszy tak się nie ułożyło życie osobiste. Ożenił się z piękną kobietą, Eleną, wówczas młodą tancerką w balecie Kirowa. Ustinow wspominał ją zawsze z lekką zazdrością. Okazała się doskonałą żoną dla żołnierza, dała też ojczyźnie dwóch dorodnych synów. Obaj już nie żyli. Starszego w 1956 roku, jeszcze jako podchorążego uznano za politycznie pewnego i wysłano na Węgry, gdzie zginął z rąk kontrrewolucjonistów na krótko przed ukończeniem siedemnastu lat. Był żołnierzem i przypadł mu żołnierski los. A w 1959 roku zginął w wypadku drugi syn, rozerwany na kawałki przez wadliwy mechanizm zamka działa w nowiutkim T-55. Niedobra śmierć.

Wkrótce, nie mogąc się pogodzić ze stratą dzieci, umarła Elena. Filitow został sam.

Niewiele się zmienił. Pił za dużo, jak wielu żołnierzy, ale spokojnie. Około 1961 roku zaczął jeździć na nartach biegowych. Dzięki temu wygląda o wiele zdrowiej, pomyślał

Ustinow. Ten sport zapewniał mu samotność i doskonałą okazję do wyładowania energii.

Filitow umiał słuchać. Gdy Ustinow miał jakiś nowy pomysł, który chciał przedstawić w Politbiurze, zwykle najpierw wypróbował go na Filitowie, chcąc poznać jego opinię.

Filitow nie miał wykształcenia, ale odznaczał się niezwykłym sprytem, z żołnierskim instynktem potrafił znaleźć słabe punkty przeciwnika i wykorzystywać przeciw niemu jego własną siłę. Był ponadto niezastąpiony jako oficer łącznikowy. Mało jest ludzi z trzema złotymi gwiazdami zdobytymi na polu walki. Filitow umiał przyciągnąć uwagę innych i nawet starsi stopniem oficerowie liczyli się z jego zdaniem.

- A więc sądzisz, Dymitrze Fiodorowiczu, że to się uda? Czy jeden człowiek może zniszczyć okręt podwodny? - zapytał Filitow. - W odróżnieniu od ciebie nie znam się na raketach.

- Z całą pewnością. To problem matematyczny. W rakiecie jest dosyć energii, żeby stopić cały kadłub okrętu.

- A co z naszym człowiekiem? - zapytał Filitow.

Jako byłego frontowca zawsze obchodził go los żołnierza pozostawionego samemu sobie na wroгим terytorium.

- Zrobimy oczywiście co się da, ale nie ma wielkich nadziei.

- On musi zostać uratowany, Dymitrze! Koniecznie! Nie zapominaj, że wartości tego rodzaju młodych ludzi nie mierzy się tylko jedną akcją. To nie maszyny do wykonywania rozkazów. Dla młodszej kadry stanowią symbol, przez co warcą się o wiele więcej niż jakiś okręt lub setka czołgów. Tak to jest w walce, towarzyszu marszałku. Zapomnieliśmy o tym i spójrz, co się stało w Afganistanie!

- Masz rację, przyjacielu, ale jak można go uratować, gdy jest kilkaset kilometrów od wybrzeża amerykańskiego?

- Gorszkow tyle gada o możliwościach swojej floty, niech więc się tym zajmie! -

Filitow nalał następną kolejkę. - Jeszcze jednego?

- Mam nadzieję, że nie wybierasz się znów na narty, Misza? - Ustinow zauważył, że Filitow często wzmacniał się kilkoma kieliszkami przed jazdą samochodem do lasów na wschód od Moskwy. - Nie pozwolę ci na to.

- Nie dzisiaj, Dymitri, obiecuję. Chociaż dobrze by mi to zrobiło. Dziś idę do łaźni, żeby wypocić resztki trucizny ze starego cielska. Pójdiesz ze mną?

- Mam robotę na wieczór.

- Łaźnia by ci dobrze zrobiła - namawiał Filitow, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że to tylko strata czasu. Ustinow należał do „arystokracji” i nigdy nie pojawiłby się w publicznej łaźni. Misza nie miał takich zahamowań.

USS „Dallas”

Dokładnie dwadzieścia cztery godziny po ponownym wykryciu „Czerwonego Października” Mancuso zwołał w mesie naradę starszych oficerów. Czas mijał trochę spokojniej. Kapitan zdołał nawet przespać się dwa razy po cztery godziny i znów czuł się jak człowiek. Mieli czas na stworzenie dokładnego obrazu akustycznego obiektu. Komputer pracował teraz nad uporządkowaniem charakterystyki hydroakustycznej, która w ciągu kilku tygodni zostanie przekazana wszystkim okrętom floty. Otrzymali z nasłuchu dane pozwalające na odtworzenie dźwiękowego modelu napędu okrętu, a powtarzające się co dwie godziny zwroty pozwoliły także ustalić rozmiary okrętu i cechy charakterystyczne reaktora.

Pierwszy oficer, Wally Chambers, wymachiwał w powietrzu ołówkiem jak batutą.

- Jones ma rację. To jest taki sam reaktor jak na *Oscarach* i *Typhoonach*. Wyciszyli go, ale ogólne cechy sygnałów są w zasadzie identyczne. Pytanie tylko, jaki mają napęd?

Dźwięk jest taki, jakby śruby znajdowały się w jakimś kanale lub osłonie. Może to śruby kierunkowe z kołnierzem albo napęd tunelowy? Myśmy też chyba tego kiedyś próbowali?

- Dawno temu - odezwał się porucznik Butler, oficer techniczny. - Słyszałem o tym opowieści, gdy służyłem w Arco. Próby się nie powiodły, ale nie pamiętam dlaczego.

Cokolwiek to jest, rzeczywiście ogromnie wycisza szumy śrub. A to dudnienie... Jest regularne, ale skąd się bierze? Gdyby nie ono, nigdy byśmy go nie namierzyli.

- Jones uważa - powiedział Mancuso - że procesor sygnałów miał tendencję do odsiewania tego dźwięku. Tak jakby Rosjanie znali jego możliwości i skroili według nich swój napęd. Trudno w to jednak uwierzyć. - Wszyscy byli co do tego zgodni. Każdy znał

zasady działania analizatora, ale w kraju nie znalazłoby się więcej niż pięćdziesiąt osób zdolnych to szczegółowo wyjaśnić.

- Zgadza się więc, że to okręt rakietowy? - zapytał Mancuso.

Butler skinął głową.

- Ma taki reaktor, którego nie dałoby się wcisnąć do kadłuba okrętu torpedowego. A ponadto zachowuje się jak okręt rakietowy.

- Może to *Oscar* - zwrócił uwagę Chambers.

- Nie. Po co mieliby wysłać *Oscara* tak daleko na południe? *Oscar* służy do zwalczania innych okrętów podwodnych. A ten idzie cały czas ze stałą szybkością, co oznacza, że jest to jednostka rakietowa - potwierdził porucznik Mannion. - Niezrozumiały jest tylko sens tego wszystkiego, szczególnie biorąc pod uwagę ruchy ich floty. Może próbują prześliznąć się do naszego wybrzeża? Po prostu, żeby zobaczyć, czy się uda? Robili już tak przedtem, a cała reszta może być tylko zasłoną dymną.

Obie strony miały już na koncie takie próby. Ostatnio w 1978 roku radziecki okręt rakietowy klasy *Yankee* zbliżył się do granicy szelfu kontynentalnego przy wybrzeżach Nowej Anglii. Chciał widocznie sprawdzić, czy Amerykanie są w stanie go wykryć.

Marynarka wykryła okręt i powstał problem czy reagować, odsłaniając tym samym własne możliwości, czy nie.

- Wielką strategię możemy chyba zostawić facetom na brzegu. Trzeba wysłać meldunek. Poruczniku

Mannion, proszę wydać dowódcy wachty rozkaz wyjścia za dwadzieścia minut na głębokość peryskopową. Spróbujemy się wymknąć i wrócić na dół tak, żeby nas nie usłyszeli. - Mancuso zmarszczył brwi. To nigdy nie był łatwy manewr.

Pół godziny później „Dallas” wysłał wiadomość.

Z0925Z14GRUD

ŚCIŚLE TAJNE THEO

Od: USS „Dallas”

Do: Comsublant

Do wiadomości: Dowództwo Obszaru Atlantyku

A. NASZ Z0414Z09GRUD

1. Nienormalny kontakt ponownie uchwycony 05.38 13 grud. Aktualna pozycja 42°35'N49°12'W. Kurs 194 szybkość 13 głębokość 200. Śledzimy 24 godziny bez wykrycia.

Kontakt oceniany jako duży r. a. o. p. stosuje nowy system napędowy nie powtarzam nie śruby. Ustalono dokładny opis hydroakustyczny.

2. Wracamy do operacji śledzenia. Potrzebny dodatkowy przydział obszaru operacyjnego. Oczekuję odpowiedzi 10.30.

Dowództwo Okrętów Podwodnych na Atlantyku

- Trafiony - powiedział do siebie Gallery, wchodząc do gabinetu i dokładnie zamykając za sobą drzwi. Podniósł słuchawkę szyfrowanej linii do Waszyngtonu.

- Sam, tu Vince. Słuchaj: „Dallas” melduje, że idzie za rosyjskim okrętem rakietowym z nowym systemem cichego napędu, około tysiąca kilometrów na południowy wschód od Grand Banks, kurs sto dziewięćdziesiąt cztery, prędkość trzysta węzłów.

- Doskonale! To Mancuso? - zapytał Dodge.

- Bartolomeo Vito Mancuso, ozdoba mojej kolekcji - potwierdził Gallery.

Niełatwo było zapewnić mu dowodzenie okrętem ze względu na wiek. Gallery musiał się solidnie nad tym napracować.

- Mówiłem ci, Sam, że chłopak jest dobry.

- Masz ty pojęcie, jak blisko są już grupy „Kijowa”? - Na drugiej linii Dodge patrzył na mapę taktyczną.

- I cały czas się do nich zbliżają - potwierdził Gallery. - Ale niedaleko jest

„Invincible”, mam tam też „Pogy”. Przesunęliśmy ją z szelfu, gdy „Scamp” został wycofany do portu. Wygląda na to, że „Dallas” będzie potrzebować pomocy. Problem w tym, w jakim stopniu chcemy być niezauważalni.

- W dużym stopniu. Vince, porozmawiam o tym z Danem Fosterem.

- Dobrze. Muszę odpowiedzieć „Dallas” za, o cholera, za pięćdziesiąt pięć minut.

Znasz zasady. Żeby się z nami połączyć, musieli odejść od śledzonego obiektu. Pospiesz się, Sam.

- Postaram się, Vince. - Dodge zaczął naciskać klawisze w telefonie. - Tu admirał

Dodge. Chciałem rozmawiać z admirałem Fosterem w ważnej sprawie.

Pentagon

- Ach. Między „Kijowem” a „Kirowem”. Pięknie. - W miejscu, gdzie na mapie oznaczono pozycję „Czerwonego Października” generał porucznik Harris położył wyjęty z kieszeni wisiołek w kształcie okrętu podwodnego z piracką flagą. Harris miał szczególne poczucie humoru. - Prezydent mówi, że może uda się go przejąć? - zapytał.

- Jeśli zdołamy w porę doprowadzić go tam, gdzie trzeba - powiedział generał Hilton.

- Czy „Dallas” nie może się z nim porozumieć?

- Dobry pomysł, generale. - Foster kiwnął głową. - Ale po kolei. Najpierw niech

„Pogy” i „Invincible” wyjdą na pozycje, a wtedy będziemy się zastanawiać, jak ich ostrzec.

Ten ich kurs! Idą prosto na Norfolk. Masz pojęcie? Facet musi mieć jaja! W najgorszym przypadku zawsze możemy próbować eskortować go do portu.

- Wtedy trzeba będzie oddać im okręt - zaprotestował admirał Dodge.

- Musimy mieć możliwość manewru, Sam. Jeśli nie uda się ich ostrzec, możemy spróbować otoczyć „Październik” większą liczbą naszych okrętów, żeby powstrzymać wujka Iwana od storpedowania go.

- Nie znam się na prawie morskim - stwierdził generał Barnes, szef sztabu lotnictwa -

ale z mojego punktu widzenia będzie to coś na pograniczu piractwa i wypowiedzenia wojny.

Czy nie za dużo od nas wymagasz?

- Słusznie, panie generale - powiedział Foster.

- Panowie, sądzę, że potrzebujemy trochę czasu do namysłu. Tymczasem możemy zawiadomić „Dallas”, że mają trzymać się blisko i śledzić Rosjan - powiedział Harris - oraz meldować o wszystkich zmianach kursu i prędkości. Do przekazania im tego zostało nam jeszcze piętnaście minut. Następnie możemy ustawić na ich kursie „Pogy” i „Invincible”.

- Słusznie, Eddie. - Hilton odwrócił się do admirała Fostera. - Jeśli się pan zgadza, zajmijmy się tym teraz.

- Wyślij radiogram, Sam - rozkazał Foster.

- Tak jest. - Dodge poszedł do telefonu i kazał Gallery’emu wysłać odpowiedź.

Z1030Z14GRUD

ŚCIŚLE TAJNE

Do: Comsublant

Od: USS „Dallas”

A. WASZ Z0925Z14GRUD

1. Kontynuować śledzenie. Meldować wszystkie zmiany kursu i prędkości. Pomoc w drodze.
2. Odebrać b. ważny rozkaz operacyjny po sygnale „G” na ultraniskiej.
3. Obszar operacyjny nieograniczony. Trzymajcie się, „Dallas”. Wiceadm. Gallery.

- Dobra, zastanówmy się nad tym dokładniej - powiedział Harris. - Dotychczas nie można się było połapać, co szykują Rosjanie, bo nic się ze sobą nie zgadzało, prawda?

- Co masz na myśli, Eddie? - zapytał Hilton.

- Na przykład skład ich sił. Połowa sił nawodnych to nie okręty do zwalczania jednostek podwodnych, ale raketowe jednostki przeciwlotnicze i jednostki do zwalczania okrętów nawodnych. Po co w ogóle sprowadzili „Kirowa”? Wygląda ładnie jako jednostka flagowa, ale do tego wystarczyłby „Kijów”.

- Już się nad tym zastanawialiśmy - zauważył Foster. - Wysłali wszystko, co mogło z dużą szybkością płynąć aż tak daleko i co akurat było pod ręką. To samo z okrętami podwodnymi. Połowa z nich to okręty torpedowe do zwalczania celów nawodnych, o ograniczonym zastosowaniu przeciw okrętom podwodnym. Według mnie, Eddie, Gorszkow chciał tu mieć wszystko, co było pod ręką. Na wpół sprawny okręt jest lepszy niż nic. Nawet jakieś echo czy inny staroć. Siergiej pewnie co wieczór pada na kolana i modli się o powodzenie akcji.

- Nawet jeśli tak jest, to dlaczego podzielili swoje siły na trzy grupy, w których składzie są jednostki do zwalczania okrętów nawodnych i samolotów, a prawie nie ma jednostek do walki z okrętami podwodnymi. Nie przerzucili też na Kubę przystosowanych do tego samolotów.

- Czy to nie dziwne? - zapytał Harris.

- Obecność samolotów kłóciłaby się z oficjalną wersją. Nie szukasz zatopionego okrętu z pomocą samolotów. Ostatecznie, mogli to zrobić, ale jeśliby zaczęli wysyłać z Kuby bombowce

rozpoznawcze, to prezydent by się wściekł - powiedział Foster. - Tak byśmy im utrudniali życie, że nic by nie mogli działać. Dla nas to tylko problem techniczny, ale oni do wszystkiego mieszają politykę.

- Dobrze, ale to jeszcze niewiele wyjaśnia. Dlaczego te ich okręty i śmigłowce używają jak wściekłe sonarów? Przecież w ten sposób można właśnie szukać zatopionego okrętu, a my wiemy, że „Czerwony Październik” wcale nie zatonął, prawda?

- Nie rozumiem, Eddie - powiedział Hilton.

- Jak w takiej sytuacji szukałbyś zaginionego okrętu? - zapytał Harris Foster.

- Nie tak jak oni - odpowiedział po chwili namysłu Foster. - Sonary działające z powierzchni ostrzegłyby poszukiwany okręt na długo przedtem, zanim dałyby wyraźny namiar. Okręty raketowe są nafaszerowane sonarami pasywnymi. „Październik” usłyszałby ich z daleka i usunąłby się z drogi. Masz rację, Eddie. To pozoracja.

- To co, do cholery, robią ich jednostki nawodne? - zapytał zaintrygowany Barnes.

- Zgodnie z radziecką doktryną wojenną, siły nawodne wspierają działania okrętów podwodnych - wyjaśnił Harris. - Odnalezienie na oceanie okrętu, który nie chce dać się znaleźć, jest wyjątkowo trudnym zadaniem. Gorszkow nie jest złym taktykiem, a czasami ma bardzo dobre pomysły. Wiele lat temu powiedział, że efektywne użycie okrętów podwodnych wymaga wsparcia jednostek powietrznych lub nawodnych w bezpośredniej bliskości. W tak dużej odległości od domu są zupełnie pozbawieni wsparcia lotniczego, a nie korzystają przecież z jednostek na Kubie.

- Z drugiej strony - ciągnął Harris - wiedząc, dokąd kieruje się „Październik”, a takich miejsc jest tylko kilka, umieścili w nich pięćdziesiąt osiem okrętów podwodnych. Udział w polowaniu należy do zadań floty nawodnej, choć jeśliby mieli szczęście na coś trafić, nie odmówiliby sobie przyjemności. Jej celem jest utrzymanie nas z dala od ich okrętów podwodnych. Dlatego umieścili swoje jednostki w miejscach, w których my umieścilibyśmy swoje i patrzą, co robimy. - Na chwilę przerwał. - Sprytnie. Mamy ich pilnować, prawda? A ponieważ to zadanie „ratownicze”, to powinniśmy robić mniej więcej to samo, co oni, więc tak jak oni używamy aktywnych sonarów i w ten sposób umożliwiamy im wykorzystywanie przeciwko nam naszego doświadczenia w zwalczaniu okrętów podwodnych. Mają wszystko podane na talerzu.

- Dlaczego? - zapytał ponownie Barnes.

- Zobowiązaliśmy się pomagać w poszukiwaniach. Jeśli znajdziemy ich okręt, są na tyle blisko, że zdążą się o tym dowiedzieć, namierzyć, zlokalizować i wystrzelić. I nic nie będziemy mogli zrobić. Jak już powiedziałem, namierzenie okrętu podwodnego jest w tych warunkach wyłącznie kwestią przypadku, a nie mogli zaplanować całej operacji licząc tylko na przypadek. Dlatego planują namierzyć i zatopić „Czerwony Październik” przy użyciu okrętów podwodnych. Flota może też pomóc w zaganianiu zdobyczy w pułapkę, a ponieważ my także używamy aktywnych sonarów,

praktycznie pomagamy im w tym. Osłaniamy prawdziwych myśliwych. - Harris potrząsnął głową z podziwem. - Całkiem sprytnie, prawda?

Jeśli „Czerwony Październik” ich usłyszy, pospieszy do tego portu, który sobie kapitan wybierze, w sam środek pięknie przygotowanej, uroczej zasadzki. Dan, jakie są szanse na to, że zatrzymają go, na przykład, przed wejściem do Norfolk?

Foster spojrział na mapę. Radzieckie okręty czekały na podejściu do każdego portu od Maine do Florydy.

- Mają więcej okrętów podwodnych niż my portów. Już wiemy, że „Październik”

można wykryć, a teraz wystarczy, że obstawią stosunkowo niewielki obszar morza wokół

portów, nawet poza wodami terytorialnymi... Masz rację, Eddie. Mają całkiem dużą szansę zatopienia go. Nasze jednostki nawodne są zbyt daleko, żeby coś zrobić. Kapitanowie nie wiedzą, co się dzieje, a nawet jeśli by wiedzieli, to co z tego? Nie zaczną przecież strzelać do Rosjan, bo rozpętałiby wojnę. - Foster westchnął głęboko. - Musimy go ostrzec.

- Jak? - zapytał Hilton.

- Sonar, może hydrotelefon? - zaproponował Harris. Admirał Dodge pokręcił głową. -

Hydrotelefon słyhać przez kadłub. Jeśli nadal zakładamy, że tylko oficerowie biorą udział w spisku, to załoga może się domyślić, co się dzieje. Skutki trudno przewidzieć. Nawet jeśli

„Nimitz” i „America” odpędzą ich od wybrzeży, to zawsze będą na tyle blisko, że zdążą się włączyć. Cholera! Nie chciałbym, żeby załatwili go prawie u celu.

- Nie ma rady - powiedział Harris. - Od nalotu na „Kirowa” zachowują się bardzo porządnie. Założę się, że to nie przypadek. Wiedzą, że ściągnięcie tylu okrętów w pobliże naszych brzegów to już prowokacja. Sprowokowali więc nas na samym początku, myśmy im odpowiedzieli i zaraz się uspokoili. I jeśli teraz będziemy na nich naciskać, to wyjdzie na to, że to my ich zaczepiamy. Prowadzą przecież operację ratunkową, nikomu nie zagrażają. Dziś rano w „Washington Post” ukazała się informacja, że mamy radzieckiego rozbitka w szpitalu marynarki w Norfolk. W każdym razie dobrze, że błędnie ocenili prędkość „Czerwonego Października”. Przejdą na prawo i na lewo od niego, a przy siedmiu węzłach różnicy szybkości po prostu go wyprzedzą.

- Czyli że mamy przestać zajmować się ich zgrupowaniem nawodnym? - zapytał

Maxwell.

- Nie - odparł Hilton. - Połapaliby się, że przejrzelismy ich taktykę. Zaczęliby się zastanawiać dlaczego... Nie, nadal musimy ich pilnować. Stwarzają zagrożenie niezależnie od tego, czy zachowują się jak porządna flota handlowa, czy nie. Ponieważ „Nimitz” i

„America” są już w pobliżu, możemy udać, że odsyłamy „Invincible’a” do domu.

Wykorzystamy to, że będzie musiał przechodzić w pobliżu „Października”. Trzeba tylko wymyślić, jak się z nim porozumieć. Figury są na szachownicy, ale sprawa bezpośredniego kontaktu, proszę panów, nie została jeszcze rozwiązana. Czy zgadzamy się tymczasem, żeby wyznaczyć „Pogy” i „Invincible’a” do nawiązania kontaktu?

HMS „Invincible”

- Jak daleko jest od nas? - zapytał Ryan.

- Trzysta sześćdziesiąt kilometrów. Na miejscu spotkania będziemy za dziesięć godzin. - Kapitan Hunter wskazał na mapie pozycję. - USS „Pogy” płynie na wschód i będzie gotowy do spotkania z „Dallas” godzinę lub dwie po nas. W ten sposób, w chwili gdy pojawi się „Październik”, znajdziemy się około stu osiemdziesięciu kilometrów na wschód od radzieckiej eskadry. Cholera jasna, „Kijów” i „Kirów” są o sto osiemdziesiąt kilometrów na wschód i na zachód od niego.

- Czy pana zdaniem kapitan „Czerwonego Października” o tym wie? - Ryan patrzył na mapę, porównując odległości.

- Mało prawdopodobne. Idzie na dużej głębokości, a ich bierna hydrolokacja nie jest równie precyzyjna, jak nasza. Warunki atmosferyczne także nie są sprzyjające. Wiatr o szybkości dwudziestu węzłów na powierzchni morza zakłóca sonary nawet na takiej głębokości.

- Mamy go ostrzec - powiedział admirał White, patrząc na świeżo otrzymaną depezę

- „bez używania sygnałów akustycznych”.

- To znaczy niby jak? Radio go nie dosięgnie - zauważył Ryan. - Nawet ja to wiem.

Boże, facet przepłynął ponad siedem tysięcy kilometrów i mieliby go zatopić tuż przed metą?

- Jak można nawiązać łączność z okrętem podwodnym? - Komandor Barclay wyprostował się. - Panowie, my nie chcemy porozumiewać się z całym okrętem podwodnym, my szukamy sposobu nawiązania łączności tylko z jednym człowiekiem.

- O co ci chodzi? - zapytał Hunter.

- Co wiemy o Marku Ramiusie? - Barclay zmrużył oczy.

- Jest ryzykantem, jak każdy kapitan okrętu podwodnego. Wydaje mu się, że potrafi chodzić po wodzie - powiedział kapitan Carstairs.

- I pływał głównie na okrętach torpedowych - dodał Barclay. - Marko jest pewien, że potrafi wślizgnąć się nie wykryty do amerykańskiego portu. Żeby go ostrzec, trzeba będzie zachwiać jego poczuciem pewności siebie.

- Najpierw musimy nawiązać z nim kontakt - zauważył z naciskiem Ryan.

- Słusznie - uśmiechnął się Barclay. Już wiedział, o co mu chodzi. - Jako były kapitan okrętu torpedowego nadal będzie myślał przede wszystkim o tym, jak zaatakować przeciwnika. A co robi kapitan okrętu podwodnego, gdy chce atakować?

- No co? - zapytał Ryan.

Odpowiedź narzucała się sama. Przez godzinę omawiali szczegóły i Ryan przesłał

wiadomość do Waszyngtonu z prośbą o wyrażenie zgody. Nastąpiła szybka wymiana depeesz uzgadniających szczegóły techniczne. „Invincible” pojawiłby się na przewidzianym miejscu spotkania dopiero w dzień, a nie było już tyle czasu. Operacja miała się zacząć dwanaście godzin wcześniej. „Pogy” dołączył do „Invincible’a”, ustawiając się trzydzieści sześć kilometrów na wschód i prowadząc obserwację hydroakustyczną. Na godzinę przed północą nadajnik niskiej częstotliwości w północnym Michigan nadał sygnał G. Dwadzieścia minut później, „Dallas” zbliżył się do powierzchni, aby przyjąć depeeszę.

Dzień trzynasty

ŚRODA, 15 GRUDNIA

USS „Dallas”

- Szalony Iwan! - znowu krzyknął Jones. - Dał lewo na burt.

- W porządku, motory stop! - rozkazał Mancuso.

W rękę trzymał depeeszę, w którą wpatrywał się od dobrych kilku godzin. Wcale mu się nie podobało to, co tam przeczytał.

- Rozkaz, motory stop - powtórzył sygnalista.

- Cała wstecz.

- Jest cała wstecz. - Sygnalista przesunął manetkę telegrafu maszynowego i skierował pytające spojrzenie na kapitana.

Na całym okręcie załoga usłyszała hałas, za dużo hałasu, otworzyły się bowiem zawory zwrotne i para uderzyła w łopatki turbiny wstecznego biegu, obracając śrubę napędową w odwrotnym kierunku. Powodowało to natychmiastowe wibracje i szumy kawitacyjne na rufie.

- Ster prawo na burt.

- Jest prawo na burt.

- Centrala, tu sonar, słyszę nasze szumy kawitacji - odezwał się Jones przez telefon.

- Dobrze, dobrze, zrozumiałem! - odparł ostro Mancuso.

Sam nie pojmował nowych rozkazów, a wszystko, czego nie rozumiał, wprawiało go w rozdrażnienie.

- Prędkość spadła do czterech węzłów - zameldował porucznik Goodman.

- Ster zero, motory stop.

- Ster leży zero - natychmiast zameldował sygnalista. Nie chciał, żeby i na niego kapitan warczał.

- O Boże! - jęknął Jones w kabynie hydroakustycznej - co nasz stary wyrabia?

Mancuso był tam sekundę później.

- Nadal idzie w lewo, kapitanie. Przez to, że wykonaliśmy zwrot, mamy go teraz za rufą - stwierdził Jones możliwie neutralnym głosem. Mancuso zauważył, że ton był niemal oskarżycielski.

- Zabawa skończona, Jones - powiedział chłodno.

Nie ja tu rządę, pomyślał Jones, przezornie się nie odzywając. Kapitan wyglądał, jakby miał ochotę odrąbać komuś głowę, a Jones czuł, że wyczerpał cały miesięczny zapas cierpliwości. Przełączył słuchawki na zestaw holowanych czujników.

- Szumy silników maleją, kapitanie. Zwalnia. - Jones zawiesił na chwilę głos, ale musiał zameldować i resztę. - Kapitanie, prawdopodobnie usłyszał nas.

- O to właśnie chodziło - odparł Mancuso.

„Czerwony Październik”

- Kapitanie, okręt podwodny przeciwnika - zameldował nagłąco miczman.

- Przeciwnika? - zapytał Ramius.

- Amerykański. Widocznie szedł za nami, a gdy zaczęliśmy zwrot, musiał się wycofać dla uniknięcia zderzenia. Z pewnością amerykański, w lewo od dziobu, odległość chyba niecałe tysiąc metrów. -
Podał Ramiusowi słuchawki.

- Sześćset osiemdziesiątka ósemka - powiedział Ramius do Borodina. - Cholera!

Musiał trafić na nas w ciągu ostatnich dwóch godzin. Mamy pecha.

USS „Dallas”

- Dobra, Jones, a teraz stuknij go aktywnym. - Mancuso osobiście wydał rozkaz namierzenia aktywnym systemem hydrolokacji. „Dallas” jeszcze się obracał, aż niemal zupełnie stanął w dryfie.

Jones zawahał się przez chwilę, nadal odczytując szумы atomowego napędu na systemach biernych. Sięgnął ręką i włączył przetwornik głównej anteny BQQ-5 na dziobie.

Ping! Fala energii dźwiękowej skierowała się w kierunku celu. Pong! Odbity od stalowego kadłuba impuls wrócił do „Dallas”.

- Odległość do celu dziewięćset pięćdziesiąt metrów - zameldował Jones. Odbity sygnał został przetworzony przez komputer BC-10, ujawniając niektóre nowe szczegóły. -

Charakterystyka celu odpowiada okrętowi rakietowemu klasy *Typhoon*. Kąt siedemdziesiąt.

Nie ma efektu Dopplera. Zatrzymał się. - Potwierdziło to sześć następnych namiarów.

- Zaprześcić namiarów - rzucił Mancuso. Trochę pocieszające było to, że właściwie ocenili śledzony obiekt. Jones wyłączył systemy aktywne. Po jaką cholere ja to robiłem, dziwił się. Do kompletu brakowało tylko odczytania numeru na kadłubie okrętu.

„Czerwony Październik”

Teraz każdy marynarz na pokładzie „Października” wiedział już, że zostali wykryci.

Uderzenie fali dźwiękowej przebiegło przez kadłub. Na okrętach podwodnych nie lubią tego dźwięku. Zwłaszcza jeśli się ma kłopoty z reaktorem, pomyślał Ramius. Ale może da się to wykorzystać...

USS „Dallas”

- Ktoś jest na powierzchni - powiedział nagle Jones. - Skąd się tam, do cholery, wzięli? Kapitanie, jeszcze minutę temu było czysto, zupełna cisza, a teraz odbieram szumy silników. Dwóch lub więcej, czyli będą dwa niszczyciele... i coś jeszcze większego. Tak, jakby tam siedzieli i czekali na nas. Jeszcze minutę temu nic nie było słychać. Cholera!

Kompletnie nic nie słyszałem.

HMS „Invincible”

- Całkiem dobrze się to zgrało - powiedział admirał White.

- Mieliśmy szczęście - zauważył Ryan.

- Bez szczęścia nigdy nie da rady, Jack.

Szumy dwóch okrętów podwodnych i nagły zwrot „Czerwonego Października”

pierwszy zarejestrował HMS „Bristol”. Nawet z odległości około dziesięciu kilometrów okręty były ledwo słyszalne. Manewr nazywany „Szalonym Iwanem” zakończył się pięć i pół

kilometra stąd, a okręty nawodne zdobyły dobre namiary pozycji, odczytując aktywne sygnały hydrolokatorów „Dallas”.

- Dwa śmigłowce w powietrzu - zameldował kapitan Hunter. - Za minutę będą na pozycji.

- Nadajcie na „Bristol” i „Fife”, żeby ustawili się od nawietrznej. Wolę ich oddzielać od tych pod wodą.

- Tak jest, panie admirale. - Hunter przekazał rozkaz do kabiny łączności. Załoga niszczycieli uznała, że to trochę dziwne używać lotniskowca do zasłonięcia niszczycieli.

Kilka sekund później dwa śmigłowce Sea King zawisły w powietrzu piętnaście metrów nad powierzchnią. Z kołyszających się maszyn opuszczono do wody na długich kablach pławy hydrolokacyjne, znacznie mniej czułe i mające inne możliwości niż sonary okrętowe. Otrzymane namiary przekazywane były w postaci cyfrowej na pomost dowodzenia na „Invincible’a”.

USS „Dallas”

- To angole! - natychmiast zawyrokował Jones. - Hydrolokatory na śmigłowcach, chyba sto dziewięćdziesiątka piątki. To by znaczyło, panie komandorze, że duży okręt na południu to jeden z ich lotniskowców w eskorcie dwóch niszczycieli.

Mancuso skinął głową.

- HMS „Invincible”. Był z nami na manewrach „Szybki Delfin”. Angielscy profesorkowie, najlepsi u nich specjaliści do walki z podwodniakami.

- Ta duża jednostka idzie w naszym kierunku. Szumy jak przy dziesięciu węzłach.

Dwa śmigłowce w powietrzu, namierzają nas. Nie słyszę w pobliżu innych okrętów.

HMS „Invincible”

- Jest kontakt sonarowy - odezwał się metalicznie głośnik.

- Dwa okręty podwodne, odległość trzy i pół kilometra od „Invincible’a”, kurs dwadzieścia.

- A teraz chyba najtrudniejsza część operacji - powiedział admirał White.

Ryan i czterech wyższych oficerów Marynarki Królewskiej, których wtajemniczono w zadanie, stali na mostku okrętu flagowego, omiatając powierzchnię oceanu potężnymi lornetkami. Na pomoście bojowym pozostał dowódca działań przeciwpodwodnych eskadry.

„Invincible” płynął powoli na północ, nieco na lewo od kursu na okręty podwodne.

- No dalej, kapitanie Ramius, wypływaj - cicho powiedział Ryan. - Pokaż, czy rzeczywiście jesteś taki ostry.

„Czerwony Październik”

Ramius był już z powrotem na stanowisku dowodzenia i wpatrywał się w mapę.

Natknąć się na samotny amerykański okręt klasy *Los Angeles* to zupełnie nie to samo, co wpłynąć prosto w środek całej eskadry. W dodatku angielskie okręty. Dlaczego?

Prawdopodobnie manewry. Amerykanie i Anglicy często pracują razem i przez czysty przypadek „Październik” właśnie trafił na takie ćwiczenia. Nic się nie stało. Zanim znów będzie mógł kontynuować swój plan, musi im się wymknąć. Prosta sprawa. Ale czy rzeczywiście? Ma na karku torpedowy okręt podwodny, lotniskowiec i dwa niszczyciele. I coś jeszcze? Jeśli ma ich naprawdę zgubić, trzeba to sprawdzić. Zajmie mu to prawie cały dzień, ale nie ma innej rady. Przy okazji pokaże im, że czuje się pewnie, że gdyby chciał, mógłby sam na nich zapolować.

- Borodin, głębokość peryskopowa. Załoga na stanowiska bojowe.

HMS „Invincible”

- Dalej, Marko, do góry - szeptał Barclay. - Mamy dla ciebie wiadomość, stary.

- Śmigłowiec numer trzy melduje, że okręt przeciwnika wypływa odezwał się głośnik.

White podniósł słuchawkę telefonu.

- Wycofać jeden ze śmigłowców.

Odległość do „Czerwonego Października” zmalała do około trzech kilometrów. Jeden ze śmigłowców Sea King uniósł się do góry i robiąc zwrot, wciągał pławę hydrolokacyjną.

- Zanurzenie namierzonej jednostki sto pięćdziesiąt metrów i powoli maleje.

„Czerwony Październik”

Borodin powoli wypompowywał wodę ze zbiorników trymowych. Okręt zwiększył prędkość do czterech węzłów i większą część energii potrzebnej do wynurzenia dawały stery głębokości. Starpom starannie utrzymywał wolne tempo wynurzenia, a Ramius skierował okręt prosto na „Invincible’a”.

HMS „Invincible”

- Gotów jesteś z lampą sygnałową, Hunter? - upewnił się admirał White.

- Oczywiście, panie admirale - odparł Hunter.

Wszyscy zaczęli odczuwać podniecenie. Cóż za okazja!

Ryan z trudnością przełknął ślinę. W ciągu ostatnich kilku godzin, gdy „Invincible”

stał na niespokojnym morzu, żołądek zaczął mu się buntować. Pigułki od lekarza pokładowego trochę pomogły, ale teraz pod wpływem podniecenia znów odczuwał mdłości.

Mostek znajdował się dwadzieścia metrów nad wodą. No i dobrze, jeśli się mam porzygać, to przynajmniej niczego nie ma po drodze. A niech to szlag!

USS „Dallas”

- Trzeszczące odgłosy z kadłuba, panie komandorze - powiedział Jones. - Chyba się wynurza.

- Wynurza się? - Mancuso zastanowił się przez chwilę. - No tak, to ryzykant. Chce zobaczyć, w co wdepnął, zanim spróbuje się wymknąć. Pasuje. Założę się, że nie wie, iż miał

nas na karku przez ostatnie dwa dni. - Kapitan wyszedł do centrum dowodzenia.

- Wygląda na to, że idzie do góry, panie kapitanie - powiedział Mannion, patrząc na wskaźniki centrali. - Bez sensu.

Mannion miał własną opinię o kapitanach nadmiernie ufających peryskopom.

Przeważnie spędzali przy nich za dużo czasu. Zastanawiał się, w jakim stopniu stanowi to reakcję na długotrwałą izolację w okręcie podwodnym, sposób upewnienia się, że świat jeszcze istnieje, że przyrządy pokładowe nie kłamią. Bardzo ludzkie, myślał Mannion. Ale może być niebezpieczne...

- Wynurzamy się także?

- Tak, powoli i ostrożnie.

HMS „Invincible”

Wełniste chmury, białe z wierzchu, a pod spodem podszyte deszczową szarością, częściowo przesłaniały niebo. Z południowego zachodu dął wiatr o szybkości dwudziestu węzłów, a wierzchołki dwumetrowych fal przykrywały białe czapki piany. Ryan zobaczył, że

„Bristol” i „Fife” zajęły już stanowiska na nawietrznej, a ich dowódcy prawdopodobnie klną z cicha na taki szyk osłony. Amerykańskie okręty eskorty, z którymi rozstali się poprzedniego dnia, płynęły teraz na spotkanie USS „New Jersey”:

White znów rozmawiał przez telefon.

- Panie komandorze, proszę meldować, gdy tylko będziecie mieli radarowy namiar celu. Wszystkie namierniki na ten odcinek oceanu. Proszę także meldować o każdym, powtarzam, każdym sygnale sonarowym stamtąd... Tak jest. Głębokość celu? Bardzo dobrze.

Odwołajcie drugi śmigłowiec. Oba mają być od nawietrznej.

Ustalili, że najbezpieczniej przekazać wiadomość lampą sygnałową. Tylko ktoś bezpośrednio na wprost będzie w stanie odczytać sygnał. Hunter podszedł do lampy z kartką papieru w dłoni. Sygnalistę, który zazwyczaj obsługuje to stanowisko, odprawiono.

„Czerwony Październik”

- Trzydzieści metrów, towarzyszu kapitanie - zameldował Borodin. W centrum dowodzenia czuwała wachta bojowa.

- Peryskop - powiedział spokojnie Ramius. Naoliwiona metalowa rura ruszyła do góry z sykiem hydraulicznego napędu. Kapitan podał czapkę młodszemu oficerowi wachtowemu i nachylił się do okularu. - A więc mamy tu trzy imperialistyczne okręty. HMS „Invincible”.

„Niezwycięzony”, co za nazwa dla okrętu! - zakpił na użytek widowni. - Dwa eskortowce,

„Bristol” i krążownik klasy *County*.

HMS „Invincible”

- Peryskop na prawo od dziobu! - obwieścił głośnik.

- Widzę go! - Barclay wyciągnął rękę. - Jest tam!

Ryan wyteżył wzrok w poszukiwaniu.

- Widzę go.

Wyglądał jak krótki kij od szczotki tkwiący pionowo w wodzie, mniej więcej dwa kilometry od nich. Po przetoczeniu się każdej następnej fali najniższa widoczna część peryskopu błyszczała od wilgoci.

- Hunter - powiedział cicho White. Na lewo od Ryana kapitan Hunter zaczął naciskać dźwignię przysłony lampy.

„Czerwony Październik”

W pierwszym momencie Ramius niczego nie zauważył. Zataczał peryskopem pełne koło wokół horyzontu, szukając samolotów lub innych okrętów. Gdy skończył, zwrócił

uwagę na błyskające światło. Bezwiednie zaczął odczytywać sygnały. Dopiero po chwili dotarło do niego, że to on jest ich adresatem.

„Czerwony Październik” czy odbierasz czy odbierasz jeśli odbierasz daj jeden impuls sonarem jeśli odbierasz daj jeden impuls sonarem aaa aaa aaa „Czerwony Październik”

„Czerwony Październik” czy odbierasz czy odbierasz...

Wiadomość się powtarzała. Sygnał był nadawany nierówno i niezręcznie. Ramius nie zwrócił na to uwagi. W myśli tłumaczył angielskie sygnały, sądząc początkowo, że są przeznaczone dla amerykańskiego okrętu podwodnego. Gdy zrozumiał ich sens, zbieleły mu zaciśnięte na uchwytych peryskopu palce.

- Borodin - powiedział w końcu, odczytawszy wiadomość po raz czwarty - weźmiemy ćwiczebny namiar ogniowy na „Invincible’a”. Cholera, dalmierz peryskopu się zacina. Dajcie no jeden impuls, towarzyszu, tylko dla ustalenia odległości.

Ping!

HMS „Invincible”

- Jeden impuls z obszaru celu, wygląda na radziecki - zameldował głośnik.

White podniósł mikrofon.

- Dziękuję, informować na bieżąco. - Odłożył go z powrotem. - No, panowie...

- A jednak! - zawołał Ryan. - Nadawajcie prędko resztę!

- Już się robi - odparł Hunter z szaleńczym uśmiechem.

„Czerwony Październik” „Czerwony Październik” szuka cię cała radziecka flota szuka cię cała radziecka flota drogę blokuje ci wiele okrętów liczne okręty torpedowe gotowe do ataku powtarzam liczne okręty torpedowe gotowe do ataku kieruj się na spotkanie 33N

75W czekają tam na ciebie nasze okręty powtarzam kieruj się na spotkanie. 33N 75W czekają tam na ciebie nasze okręty jeśli zrozumiałeś i zgadzasz się daj jeszcze jeden impuls...

„Czerwony Październik”

- Borodin, odległość do celu? - zapytał Ramius, chcąc mieć trochę więcej czasu do namysłu, podczas gdy wiadomość powtarzała się raz za razem.

- Pięć i pół kilometra, towarzyszu kapitanie. Śliczny tłusty cel, gdybyśmy... - Pierwszy oficer zobaczył twarz kapitana i głos mu zamarł.

Znają nazwę okrętu, myślał Ramius, znają nazwę! Jak to możliwe? Wiedzą, gdzie nas znaleźć, i to dokładnie! Jak? Co oni mogą mieć? Od jak dawna szedł za nami ten *Los Angeles*? Decyzja! Trzeba podjąć decyzję.

- Borodin, jeszcze jeden namiar celu. Dokładnie jeden.

HMS „Invincible”

- Pojedynczy sygnał, panie admirale.

- Dziękuję. - White spojrzał na Ryana. - Wygląda na to, że twój wywiadowczy nos nas nie zawiódł. Bardzo się cieszę.

- Bardzo się cieszę, do jasnej cholery, wasza wysokość! Miałem rację! Co za skurwiel!

- Ryan prawie podskoczył, zapominając o chorobie morskiej, ale zaraz się uspokoił. Sytuacja wymagała nieco więcej powagi. - Przepraszam, panie admirale, mamy jeszcze sporo roboty.

USS „Dallas”

„Szuka cię cała radziecka flota... kieruj się na 33N 75W” . Co się, do cholery, dzieje, zastanawiał się Mancuso, łapiąc zakończenie drugiego sygnału.

- Centrala, tu sonar. Odbieram trzeszczące odgłosy z kadłuba celu. Zmienia głębokość.

Zwiększa się szum silników.

- Peryskop w dół. - Mancuso podniósł słuchawkę telefonu.

- Bardzo dobrze, sonar. Czy masz coś jeszcze, Jones?

- Nie, panie kapitanie. Śmigłowców nie ma, nie ma żadnych emisji z jednostek nawodnych. O co chodzi, kapitanie?

- Cholera wie. - Mancuso pokręcił głową, podczas gdy Mannion ustawiał ich znowu na ogonie „Czerwonego Października”.

Co się tu, do cholery, dzieje, dziwił się kapitan. Dlaczego angielski lotniskowiec nadaje sygnały do radzieckiego okrętu i dlaczego wysyła go na spotkanie u wybrzeży Karoliny? Czyje okręty blokują jego kurs? To niemożliwe. Jakim cudem? To po prostu niemożliwe...

HMS „Invincible”

Ryan udał się do centrum łączności, by nadać depezę:

Mędrzec do Olimpu

Wystukał na klawiaturze specjalnego urządzenia kodującego.

Grałem dziś na mandolinie. Wykonanie mistrzowskie. Planuję mały koncert w zwykłym miejscu. Spodziewam się doskonałych recenzji krytyków. Czekam na instrukcje.

Ryan już wcześniej śmiał się z kodu, którego miał używać. Ale teraz uśmiechał się z innego powodu.

Biały Dom

- A zatem - stwierdził Pelt - Ryan spodziewa się, że zadanie zostanie wykonane.

Wszystko idzie zgodnie z planem, ale nie użył kodu oznaczającego pewność sukcesu.

Prezydent oparł się wygodnie w fotelu.

- Jest uczciwy. Zawsze coś może nawalić. Ale sam przyznasz, że sprawy nie wyglądają najgorzej.

- Ten plan wysmażony przez szefów sztabów jest zwariowany, panie prezydencie.

- Być może, ale od kilku dni próbujesz wydłubać w nim jakąś dziurę i na razie ci się nie udało. Niedługo wszystkie klocki znajdą się na swoich miejscach.

Zdaniem Pelta prezydent był typem spryciarza. Lubił pokazywać, że jest sprytny.

HMS „Invincible”

Odpowiedź brzmiała:

Olimp do Mędrca.

Lubię staromodną muzykę mandolinową.

Zgoda na koncert.

Ryan rozsiadł się wygodnie, popijając brandy.

To doskonałe... Ciekaw jestem, jaki jest dalszy ciąg planu?

- Spodziewam się, że Waszyngton nas zawiadomi. Tymczasem - powiedział admirał

White - trzeba wziąć kurs na zachód i ustawić się między „Czerwonym Październikiem” a radziecką flotą.

Ratowniczy okręt podwodny USS „Avalon”

Porucznik Ames obserwował otoczenie przez mały bulaj na dziobie „Avalona”. *Alfa* leżała na lewej burcie. Prawdopodobnie najpierw uderzyła rufą, i to bardzo silnie. Uderzenie wyrwało jedno pióro śruby i zmiażdżyło dolną płetwę steru. Być może nawet cała rufa została odłamana od kadłuba, ale przy małej widzialności mógł się tego tylko domyślać.

- Posuwamy się wolno do przodu - powiedział, manewrując. Z tyłu podporucznik i bosmanmat obserwowali przyrządy i przygotowywali do uruchomienia manipulator, z zamocowaną kamerą telewizyjną i reflektorami. Dzięki temu pole obserwacji nieco się zwiększało. Statek posuwał się z prędkością jednego węzła. Pomimo tysiącwatowych reflektorów na dziobie, widzialność nie przekraczała dwudziestu metrów.

Dno w tym miejscu stanowiła zdradliwa pochyłość, pokryta aluwialnymi mułami i usiana głazami. Wyglądało na to, że przed obsunięciem okrętu w głąb powstrzymywał go kiosk, wbity w dno jak klin.

- Cholera ciężka! - zaklął podporucznik, który dostrzegł to pierwszy. Kadłub *Alfy* był pęknięty.

- Awaria reaktora - powiedział Ames chłodnym i obojętnym głosem. - Coś wytopiło dziurę w kadłubie. W tytanowym kadłubie! Stopiony na wylot od środka! Jest jeszcze druga dziura, dwa otwory wytopione na wylot. Ten bliżej nas jest większy, ma pewnie z metr średnicy. Teraz wiadomo, dlaczego zatonął. Dwa przedziały zostały zalane wodą. - Ames spojrzął na manometr głębokości, wskazujący pięćset sześćdziesiąt cztery metry. -

Nagrywacie to wszystko?

- Tak jest, panie kapitanie - odparł elektryk. - Co za parszywa śmierć. Żal o nich pomyśleć.

- Niby tak, ale nie wiemy, jakie mieli zamiary. - Ames manewrował „Avalonem”

wokół dziobu *Alfy*, ostrożnie posługując się turbiną kierunkową i regulując trym tak, żeby przepłynąć na drugą stronę, nad dawny pokład okrętu.

- Czy zaobserwowaliście jakieś ślady pęknięcia kadłuba?

- Nie - odparł podporucznik - tylko dwa wytopione otwory. Ciekawe, co im nawaliło?

- Stopiony rdzeń reaktora, jak w tym filmie Chiński syndrom. W końcu się to komuś przytrafiło. - Ames pokręcił głową. A marynarka jest taka pewna, że reaktory są bezpieczne. -

Kładziemy czujniki na kadłubie. Może ktoś jeszcze żyje.

- Tak jest.

Elektryk poruszał manipulatorem, a w tym czasie Ames starał się utrzymać „Avalona”

nieruchomo w miejscu. Jedno i drugie nie było łatwe. Ich statek stał, opierając się prawie o kiosk alfy. Jeśli w okręcie znajdowali się rozbitkowie, musieli być w centrali lub w części dziobowej. Na rufie nikt nie miał szans przeżycia.

- W porządku, czujniki na kadłubie.

Wszyscy trzej mężczyźni milczeli z nadzieją. Ich praca polegała na odnajdowaniu i ratowaniu ludzi, a jako podwodniacy traktowali to zadanie bardzo poważnie.

- Może śpią? - podporucznik włączył hydrolokator.

Fale wysokiej częstotliwości uderzyły w kadłuby obu jednostek. Takie dźwięki obudziłyby nawet umarłego, ale nie było żadnego odzewu.

Zapas powietrza na „Politowskim” wyczerpał się poprzedniego dnia.

- To by było na tyle - powiedział cicho Ames.

Zaczął manewr wynurzenia, a elektryk zamknął ramię wysięgnika i wybrał miejsce do zostawienia boi sonarowej. Wróć, gdy pogoda na powierzchni się polepszy. Marynarka z pewnością nie przepuści okazji do zbadania okrętu typu *Alfa*, a „Glomar Explorer” tkwi gdzieś bezużytecznie na wschodnim wybrzeżu. Czy pozostanie niewykorzystany? Ames nie był tego taki pewien.

- „Avalon”, „Avalon”, tu „Scamp” - głos w telefonie podwodnym był zniekształcony, ale wyraźny - wracajcie natychmiast. Potwierdzić.

- „Scamp”, tu „Avalon”. Jesteśmy w drodze.

„Scamp” właśnie otrzymał sygnał na ultraniskiej i wyszedł na krótko na głębokość peryskopową, aby odebrać pilny rozkaz operacyjny.

Udać się natychmiast na 33N 75W.

Depesza nie mówiła, dlaczego.

Siedziba CIA

- Kardynał nadal działa - stwierdził Moore.

- Dzięki Bogu - odparł Ritter, siadając.

- Wiadomość w drodze. Tym razem przynajmniej przekazując ją, nie próbował się wykończyć. Może szpital trochę go wystraszył. Jeszcze raz zamierzam zaproponować mu ewakuację.

- Znów?

- Bob, musimy mu to zaproponować.

- Wiem. Sam mu to również proponowałem parę lat temu. Stary diabeł po prostu nie chce się stamtąd wynieść. Wiesz, jak to bywa. Niektórzy ludzie nie potrafią funkcjonować bez walki. A może jeszcze nie pozbył się nienawiści... Dzwonił senator Donaldson. -

Donaldson był przewodniczącym kongresowej Komisji do spraw Wywiadu.

- O co mu chodzi?

- Chce wiedzieć, co się dzieje. Historia z operacją ratunkową go nie przekonuje i jest zdania, że wiemy znacznie więcej.

- Ciekawe, kto mu coś takiego zasugerował? - Sędzia Moore wyprostował się w fotelu.

- No właśnie. Mam pewien pomysł, który trzeba będzie sprawdzić. Wydaje mi się, że nadszedł czas, a i okazja jest doskonała.

Omawiali pomysł Rittera przez najbliższą godzinę. Zanim Ritter pojechał na Kapitol, zwrócili się do prezydenta o zgodę.

Waszyngton

Donaldson pozwolił Ritterowi czekać w poczekalni dobre piętnaście minut, przeglądając w tym czasie dokumenty. Ritter musi znać swoje miejsce. Niektóre uwagi zastępcy dyrektora do spraw operacyjnych na temat przecieków z Kapitolu dotknęły do żywego senatora z Connecticut. Mianowany urzędnik powinien rozumieć, jaka przepaść dzieli go od posła obdarzonego mandatem społecznego zaufania.

- Przepraszam, że musiał pan czekać, panie Ritter. - Donaldson nie wstał z fotela ani nie wyciągnął ręki na przywitanie.

- Nic się nie stało. Przynajmniej mogłem sobie spokojnie przeczytać gazetę. Z tym wszystkim, co mam na głowie, nie starcza mi na to na ogół czasu. - Obaj rozpoczęli rozmowę unikiem.

- A więc o co chodzi Sowiетom?

- Panie senatorze, zanim do tego przejdę, muszę powiedzieć, co następuje: na spotkanie z panem musiałem uzyskać zgodę prezydenta. Informacje, które mam panu do przekazania, przeznaczone są tylko i wyłącznie dla pana, nikt inny nie może tego usłyszeć.

Nikt. Pochodzą one z Białego Domu.

- W mojej komisji są jeszcze inni senatorowie, panie Ritter.

- Proszę pana, jeśli nie otrzymam pańskiego zobowiązania jako człowieka honoru -

powiedział z uśmiechem Ritter - nie będę mógł panu przekazać tych informacji. Taki otrzymałem rozkaz. Pracuję dla rządu, panie senatorze, i podlegam prezydentowi. - Ritter miał nadzieję, że jego magnetofon wszystko rejestruje.

- Zgoda - powiedział niechętnie Donaldson. Był zły z powodu tych głupich ograniczeń, ale jednocześnie pochlebiało mu, że otrzymuje takie ważne informacje. - Mów pan.

- Właściwie to sami dokładnie nie wiemy, o co chodzi - powiedział Ritter.

- Czyli że wymusił pan na mnie zobowiązanie do zachowania tajemnicy po to, żebym nie mógł nikomu powiedzieć, że CIA nie wie, co się, do cholery, dzieje?

- Powiedziałem, że nie wiemy dokładnie, co się dzieje. Ale to i owo wiemy. Nasze informacje pochodzą głównie od wywiadu izraelskiego i częściowo francuskiego. Jedną i drugą drogą dowiedzieliśmy się, że coś jest nie w porządku w radzieckiej marynarce.

- Tyle sam zrozumiałem. Stracili okręt podwodny.

- Co najmniej jeden, ale nie o to chodzi. Wydaje się nam, że ktoś zrobił nieprzyjemny dowcip dowództwu Radzieckiej Floty Północnej. Nie wiadomo na pewno, ale wydaje mi się, że Polacy.

- Dlaczego Polacy?

- Trudno mieć co do tego pewność, ale zarówno wywiad izraelski, jak i francuski mają dobre wejścia w Polsce, a Polacy z kolei mają zadawnione pretensje do Rosjan. Wiem, a przynajmniej wydaje mi się, że wiem, że nie jest to dziełem żadnej agencji wywiadu na Zachodzie.

- A więc co się dzieje? - zapytał Donaldson.

- Domyślamy się, że ktoś dokonał przynajmniej jednego fałszerstwa, a najprawdopodobniej trzech, po to, żeby postawić w stan alarmu całą radziecką marynarkę, ale cokolwiek to było, wymknęło się z rąk. Izrael twierdzi, że mnóstwo ludzi stara się teraz ratować swoje głowy. Przypuszczamy, że ktoś zdołał sfalszować rozkazy operacyjne okrętu podwodnego, a następnie podszywając się pod kapitana tego okrętu, wysłał list grożący wystrzeleniem rakiet. Najdziwniejsze, że Sowieci się na to nabrali. - Ritter spochmurniał. -

Niewykluczone jednak, że nasza interpretacja jest błędna. Mamy pewność tylko co do tego, że prawdopodobnie Polacy zrobili Rosjanom całkiem nieprawdopodobne świństwo.

- Nie my?

- Nie, skądże! W żadnym wypadku! Jeśli byśmy spróbowali czegoś takiego, nawet jeśli by się nam udało, co jest bardzo mało prawdopodobne, oni mogliby zrobić nam to samo.

Mogłoby to doprowadzić do wojny, a zdaje pan sobie sprawę, że prezydent nigdy by na coś takiego nie poszedł.

- Ale ktoś w CIA mógł się nie przejmować tym, co uważa prezydent.

- Nie w moim pionie! Byłbym wtedy za to odpowiedzialny. Czy pan naprawdę myśli, że jesteśmy w stanie przeprowadzić taką operację i to całkowicie skrycie? Do cholery, sam bym sobie tego życzył.

- Dlaczego akurat Polacy i dlaczego akurat oni są w stanie coś takiego zrobić?

- Już od pewnego czasu docierały do nas informacje o istnieniu w ich kręgach wywiadowczych frakcji, która niezbyt kocha Rosjan. Przyczyn może być wiele. U podstaw leży historyczna wrogość, a Rosjanie wydają się zapominać, że Polacy w pierwszej kolejności są Polakami, a dopiero w drugiej kolejności komunistami. Wydaje mi się, że największe znaczenie ma tu sprawa z papieżem, nawet w większym stopniu niż stan wojenny. Wiadomo, że nasz stary przyjaciel Andropow postanowił zrobić to samo, co niegdyś Henryk II z arcybiskupem Beckettem. Papież to zwiększony prestiż Polski. Z tego, co dla nich zrobił, zadowoleni są nawet członkowie partii. A Iwan napluł na to wszystko. Nic

dziwnego, że się wściekają. Jeśli chodzi o ich możliwości, to zazwyczaj zapomina się, na jakim poziomie działał zawsze ich wywiad. To oni, a nie Anglicy, złamali kod Enigmy w 1939 roku. Są cholernie skuteczni i to z tego samego powodu, co wywiad izraelski. Mają wrogów na wschodzie i na zachodzie. Na takiej pożywce wyrastają doskonali agenci. Wiemy, że mają sporo ludzi w Rosji, sezonowych robotników odpracowujących u Narmonowa pomoc gospodarczą dla ich kraju. Wiemy także, że sporo polskich inżynierów pracuje w radzieckich stoczniach. Może się to wydawać śmieszne, skoro ani jeden, ani drugi kraj nie ma większych tradycji morskich, ale Polacy budują wiele statków handlowych dla Związku Radzieckiego.

Ich stocznie są lepsze od radzieckich, a ostatnio udzielali sporej pomocy technicznej radzieckim stoczniom marynarki wojennej, szczególnie w zakresie kontroli jakości.

- A więc polski wywiad zrobił Sowietom kawał - podsumował Donaldson. - O ile się nie mylę, Gorskow należy do tych, którzy naciskali na interwencję?

- Istotnie, ale dostał się tym razem pod ogień głównie przez przypadek. Prawdziwy cel to przysporzenie Moskwie kłopotów. Fakt, że zaatakowana została marynarka, nie ma szczególnego znaczenia. Chodzi o to, żeby wywołać burzę na wyższych szczeblach dowodzenia skupionych w Moskwie. Bardzo bym chciał wiedzieć, co się naprawdę dzieje!

Sądząc z fragmentów informacji, które do nas dotarły, cała operacja musi być prawdziwym arcydziełem, takim, które przechodzi do historii. Pracujemy nad tym, podobnie jak Anglicy, Francuzi i Izraelczycy. Benny Herzog z Mosadu podobno szaleje. Izrael też robi tego rodzaju sztuczki swoim sąsiadom i to regularnie. Oficjalnie mówią, że nie wiedzą nic ponadto, co nam przekazali. Być może. Ale może udzielili Polakom pomocy technicznej? Trudno powiedzieć.

Z całą pewnością wiadomo, że marynarka radziecka stanowi strategiczne zagrożenie dla Izraela. Potrzebujemy jednak więcej czasu. Izrael wydaje się tu pasować aż za dobrze.

- Ale nie wiecie, co się dzieje i dlaczego?

- Panie senatorze, to nie takie proste. Proszę dać nam trochę czasu. Na razie nawet wygodniej jest nie wiedzieć. Podsumowując: ktoś podłożył radzieckiej marynarce potężny ładunek dezinformacji. Miało to prawdopodobnie tylko trochę nimi potrząsnąć, ale najwidoczniej wszystko wymknęło się z rąk. Nie wiemy, co się stało i dlaczego. Można tylko założyć, że ktokolwiek to spowodował, intensywnie pracuje teraz nad zatarciem wszystkich śladów. - Ritter chciał, żeby senator dobrze go zrozumiał. - Jeśli Sowietci wpadną na to, kto to zrobił, ich reakcja bez wątpienia będzie ostra. Wywiad izraelski zawdzięcza nam to i owo i zapewne dopuszczą nas do pełniejszej informacji.

- Za kilka następnych myśliwców F-15 i paręnaście czołgów - zauważył Donaldson.

- To by nie wyszło drogo.

- Ale jeśli nie braliśmy w tym udziału, to po co te sekrety?

- Dał mi pan słowo, panie senatorze - przypomniał Ritter. - Po pierwsze, jeśli nastąpią przecieki, Sowietci nie uwierzą, że nie jesteśmy w to zamieszani! Próbujemy wyciszyć grę wywiadów. To znaczy, nadal jesteśmy przeciwnikami, ale konflikt różnych służb wywiadowczych pochłania zbyt wielkie środki i wszystko zaczyna stawać się niebezpieczne dla obu stron. Po drugie, no cóż, jeśli kiedykolwiek dowiemy się, jak to się wszystko odbyło, będziemy mogli to wykorzystać.

- Jedno wydaje się sprzeczne z drugim.

Ritter uśmiechnął się.

- Tak właśnie wygląda gra wywiadowcza. Jeśli dowiemy się, kto to zrobił, będziemy mogli użyć tej informacji. W każdym razie, panie senatorze, dał mi pan słowo i poinformuję o tym prezydenta zaraz po powrocie do Langley.

- Proszę bardzo - rzekł Donaldson, podnosząc się z miejsca. Spotkanie dobiegło końca. - Ufam, że będzie nas pan informował o dalszym rozwoju wydarzeń.

- Należy to do moich obowiązków - zapewnił Ritter, także wstając. - Owszem.

Dziękuję za wizytę. - Tym razem również nie podali sobie rąk.

Ritter wyszedł do holu, nie przechodząc przez poczekalnię. Zatrzymał się na chwilę, żeby zajrzeć na dziedziniec budynku Harta. Przypominał nieco miejscowy hotel Hyatt.

Ominął windę i zszedł na parter po schodach.

Jest szansa, że udało się trafić w dziesiątkę. Samochód czekał przed wejściem. Kazał zawieźć się do FBI.

- A więc to nie jest operacja CIA? - zapytał Peter Henderson, główny doradca senatora.

- Nie. Wierzę mu - odpowiedział Donaldson. - Nie jest na tyle sprytny, żeby coś takiego zmontować.

- Nie rozumiem, dlaczego prezydent się go nie pozbędzie - skomentował Henderson. -

Choć biorąc pod uwagę, jaki to człowiek, to może nawet lepiej, że nie jest zbyt kompetentny.

Senator pokiwał głową.

Po powrocie do swojego gabinetu Henderson opuścił w oknach żaluzje, pomimo że słońce stało po drugiej stronie budynku. Godzinę później kierowca przejeżdżającej ulicą taksówki firmy Black&White spojrzął do góry i zwrócił uwagę na zasłonięte okno.

Tego wieczoru Henderson pracował do późna. Budynek Harta stał prawie opustoszały, bo większość senatorów wyjechała z miasta. Donaldson został tylko ze względu na jakieś osobiste sprawy. Chciał też trzymać rękę na pulsie spraw. Jako przewodniczący komisji wywiadu miał więcej obowiązków, niżby sobie życzył o tej porze roku. Henderson zjechał

windą na dół do głównego holu. Wychodząc z budynku, wyglądał na wyższego doradcę senatora: trzyczęściowy szary garnitur, elegancka skórzana teczka, starannie przycięte włosy, żwawy krok. Akurat zwołniła się taksówka firmy Black&White. Henderson wszedł.

- Watergate - rzucił.

Zaczął mówić dopiero kilka przecznic dalej.

Henderson zajmował skromny dwupokojowy apartament w kompleksie Watergate.

Sam się niejednokrotnie zastanawiał nad tym zbiegiem okoliczności. Wsiadając, nie dał kierowcy napiwku.

Gdy wchodził do środka, do taksówki wsiadła jakaś kobieta. Wieczorem w Waszyngtonie taksówkarze nie narzekają na brak klientów.

- Na Georgetown University proszę - odezwała się do kierowcy. Była młoda i atrakcyjna, miała kasztanowe włosy, a pod pachą dźwigała naręczkę książek.

- Kursy wieczorowe? - zapytał kierowca, spoglądając w lusterko.

- Egzaminy - odpowiedziała lekko niespokojnym głosem. - Psychologia.

- Przed egzaminem najlepiej się odprężyć - poradził kierowca.

Agentka FBI Hazel Loomis zaczęła grzebać w książkach. Torebka spadła na podłogę.

- Do licha.

Schyliła się, żeby ją podnieść i przy okazji wyłuskała spod siedzenia kierowcy miniaturowy magnetofon umieszczony tam wcześniej przez innego agenta.

Na uniwersytet dotarli w piętnaście minut. Rachunek wyniósł trzy dolary osiemdziesiąt pięć centów. Loomis dała kierowcy piątkę i powiedziała, że może zatrzymać resztę. Przeszła przez teren uniwersytetu i wsiadłszy do oczekującego forda, pojechała prosto do budynku im. J. Edgara Hoovera. Na tę jedną operację złożyła się praca wielu ludzi, a końcówka okazała się taka prosta!

- Zawsze tak jest, jeśli niedźwiedź wyjdzie z lasu na myśliwego. - Inspektor prowadzący tę sprawę skręcił w lewo w Pennsylvania Avenue. - Kłopot polega głównie na znalezieniu niedźwiedzia.

Pentagon

- Panowie, zostaliście tu zaproszeni, ponieważ wszyscy jesteście zawodowymi oficerami wywiadu i dysponujecie praktyczną wiedzą o radzieckich okrętach podwodnych -

mówił Davenport do czterech zasiadających w jego gabinecie mężczyzn.

- Potrzebuję ludzi z waszymi kwalifikacjami. Jest to zadanie dla ochotników. Może się łączyć z dużym niebezpieczeństwem, ale nie mamy jeszcze co do tego pewności. Mogę natomiast obiecać, że o czymś takim marzy niejeden pracownik wywiadu. Nie będziecie, niestety, mogli tych marzeń opowiedzieć nigdy i nikomu. Ale do tego jesteśmy już przyzwyczajeni. - Davenport zaryzykował nieznaczny uśmiech. - Czyli, jak się to mówi w filmach, jeśli wchodzicie, to dobrze, jeśli nie, to teraz jest pora, żeby się wycofać. Bez żadnych konsekwencji. Zdaję sobie sprawę, że trudno wymagać od kogoś, żeby się zaangażował w potencjalnie niebezpieczną grę, nie wiedząc, o co chodzi.

Rzecz jasna, nikt się nie wycofał. Czterej mężczyźni nie należeli do takich, którzy się wycofują. Ponadto w gruncie rzeczy nie bardzo można się wycofać bez żadnych konsekwencji. Davenport ma dobrą pamięć. Są zawodowcami. Jedną z głównych rekompensat za noszenie munduru i zarabianie mniejszych pieniędzy niż równie utalentowani ludzie w normalnym świecie, jest stała możliwość utraty życia.

- Dziękuję, panowie. Jestem pewien, iż uznacie, że było warto. - Davenport wstał i podał każdemu szarą kopertę. - Będziecie niedługo mieli okazję przeprowadzić inspekcję radzieckiego okrętu podwodnego. Od środka. - Cztery pary oczu zamrugały jednocześnie.

33°N 75°W

USS „Ethan Allen” był już na miejscu od ponad trzydziestu godzin. Zataczał

dziesięciokilometrowe kręgi na głębokości sześćdziesięciu metrów. Nie miał dokąd się śpieszyć. Okręt płynął z prędkością niezbędną do utrzymania sterowności. Reaktor pracował

tylko na dziesięć procent mocy. Starszy sternik pomagał w kuchni.

- Po raz pierwszy robię coś takiego na okręcie podwodnym - stwierdził jeden z oficerów, który pełnił obowiązki kucharza i właśnie przygotowywał omlet.

Sternik westchnął po cichu. Powinni zabrać ze sobą kucharza z prawdziwego zdarzenia, ale ich był

młodzikiem. Na pokładzie zostali tylko marynarze z co najmniej dwudziestoletnim stażem. Szefowie służb byli technikami, z wyjątkiem sternika, który jeśli miał dobry dzień, to radził sobie nawet z tosterem.

- Często pan gotuje w domu?

- Czasami. Moi rodzice mieli kiedyś restaurację na Pass Christian. To jest omlet Cajun, specjalność mojej mamy. Szkoda że nie mamy okoni. Z okonia z dodatkiem cytryny można zrobić różne dobre rzeczy. Łowi pan czasami ryby, szefie?

- Melduję, że nie. - Starsi szefowie i oficerowie pracowali w dość nieformalnej atmosferze, ale sternik przywykł do dyscypliny i przestrzegania starszeństwa. - Czy mógłby mi pan wyjaśnić, co my tu, do cholery, robimy?

- Sam bym chciał wiedzieć. Wygląda, że na coś czekamy.

- Ale na co?

- Nie mam pojęcia. Proszę o tamtą pokrojoną szynkę. I zajrzyjcie, szefie, do piekarnika. Chleb powinien być już dobry.

USS „New Jersey”

Komandor Eaton nie wiedział, co o tym sądzić. Jego eskadra trzymała się trzydzieści sześć kilometrów na południe od Rosjan. Gdyby nie noc, ze stanowiska na mostku flagowym mógłby dostrzec na horyzoncie wysokie nadbudówki „Kirowa”. Jego eskorta ustawiona była w jednej linii przed krążownikiem, badając sonarem akwen w poszukiwaniu okrętu podwodnego.

Od czasu pozorowanego ataku lotnictwa, Sowieci zachowywali się jak baranki. Było to bardzo dziwne. „New Jersey” wraz z okrętami eskorty prowadził nieprzerwaną obserwację przeciwnika, a dwa rozpoznawcze *Sentry* trzymały straż w powietrzu. Po przegrupowaniu Rosjan Eatonowi przypadła opieka nad grupą „Kirowa”. Nie miał nic przeciw temu. Główne baterie okrętowe zajmowały położenia manewrowe, ale załadowane zostały pociskami sterowanymi kalibru 200mm, a stanowiska ogniowe były cały czas obsadzone. Na oddalonym o pięćdziesiąt pięć kilometrów na południe lotniskowcu „Tarawa” grupa uderzeniowa *Harrierów* czekała gotowa do startu w ciągu pięciu minut od otrzymania sygnału. Sowieci z pewnością o tym wiedzieli, pomimo że w ciągu ostatnich dwóch dni ich śmigłowce nie zbliżyły się na mniej niż dziesięć kilometrów do amerykańskich okrętów. Jednak piloci radzieckich bombowców latających na Kubę, a jeszcze szybciej zawracanych do Związku Radzieckiego, nie mogli nie meldować o tym, co widzieli. Amerykańskie okręty ustawiły się w rozciągniętym szyku bojowym. Wyrzutnie rakiet na „New Jersey” i okrętach eskorty cały czas otrzymywały aktualne namiary. Tymczasem Rosjanie wcale nie

zwracali na to uwagi.

Używali tylko zwykłych radarów nawigacyjnych. Dziwne.

„Nimitz” przepłynął jednym skokiem dziewięć tysięcy kilometrów z południowego Atlantyku i obejmował już ich zasięgiem swoich samolotów. Lotniskowiec i eskortujące go

„California”, „Bainbridge” i „Truxton” znajdowały się już zaledwie siedemset dwadzieścia kilometrów na południe, a grupa lotniskowca „America” pół dnia drogi za nimi. „Kennedy”

płynął o dziewięćset kilometrów na wschód. Rosjanie nie mogli nie liczyć się z obecnością trzech skrzydeł lotnictwa na lotniskowcach i setek samolotów rozmieszczonych na lądzie, stopniowo przemieszczanych na południe, z jednej bazy do drugiej. Może właśnie to wyjaśniało ich potulność.

Amerykanie eskortowali radzieckie bombowce *Tu-22* na zmianę na całej trasie przelotu od Islandii. Najpierw towarzyszyły im *Tomcaty* marynarki ze skrzydła na

„Saratodze”, potem *Phantomy* z Maine, następnie, w miarę lotu wzdłuż wybrzeża prawie do samej Kuby, *Eagle* i *Falcony*. Jasne było, że Amerykanie podchodzą poważnie do obecności Rosjan, choć już ich bezpośrednio nie nękają, z czego Eaton był całkiem zadowolony.

Nękanie nie prowadziło do niczego. W razie potrzeby jego grupa może przejść do stanu pełnej gotowości bojowej w ciągu mniej więcej dwóch minut.

Apartament w Watergate

- Przepraszam pana, właśnie się wprowadziłam i jeszcze mi nie włączyli telefonu. Czy można skorzystać z pańskiego aparatu?

Henderson bardzo szybko podjął decyzję. Metr sześćdziesiąt wzrostu, kasztanowe włosy, szare oczy, figura taka jak trzeba, oszałamiający uśmiech i modna sukienka.

- Jasne, witamy w Watergate. Proszę wejść.

- Dziękuję panu. Nazywam się Hazel Loomis. Przyjaciele mówią do mnie Sissy - przedstawiła się, podając Hendersonowi rękę.

- Pete Henderson. Telefon jest w kuchni. Proszę za mną.

Wyglądało to obiecująco. Właśnie skończył długo trwający związek z jedną z sekretarek senatora. Rozstanie było trudne dla obojga.

- Czy nie przeszkadzam? Nie ma pan przypadkiem gości?

- Nie, tylko ja i telewizor. Pani od niedawna w mieście? Nocne życie nie jest już takie jak kiedyś. Szczególnie, jeśli następnego dnia rano trzeba wstawać do pracy. Dla kogo pani pracuje? Rozumiem, że nie jest pani mężatką?

- Pracuję przy komputerach w Departamencie Obrony. Niestety, nie wolno mi o tym opowiadać.

Same dobre wiadomości, pomyślał Henderson.

- Proszę, tu jest telefon.

Loomis rozejrzała się szybko dookoła, jakby oceniając efekty pracy dekoratora wnętrz. Sięgnęła do torebki i wyjęła dziesięć centów. Podała monetę Hendersonowi.

Roześmiał się.

- Pierwsza rozmowa jest za darmo, a w ogóle może pani korzystać z mojego telefonu, kiedy tylko ma pani ochotę.

- Miałam więc rację - powiedziała, naciskając klawisze - że mieszkanie tu może być o wiele ciekawsze niż w Laurel. Halo, Kathy? Tu Sissy. Właśnie się wprowadziłam, nawet jeszcze nie mam telefonu... Jeden facet z mojego piętra pozwolił mi zadzwonić od siebie...

Dobra, do zobaczenia jutro na lunchu. Pa, Kathy.

Loomis rozejrzała się wokół.

- Kto robił panu wnętrza?

- Ja sam. Kończyłem historię sztuki na Harvardzie i znam kilka dobrych sklepów w Georgetown. Jeśli się wie, gdzie szukać, można się całkiem niedrogo umeblować.

- Chciałabym tak się urządzić jak pan. Może mi pan pokazać cały dom?

- Jasne. Zaczniemy od sypialni? - spytał ze śmiechem Henderson, chcąc pokazać, że nie ma żadnych przewrotnych zamiarów.

Zamiary miał oczywiście jak najgorsze, tyle że był w tych sprawach bardzo cierpliwy.

Zwiedzanie trwało kilka minut i upewniło Loomis, że są w mieszkaniu sami. Minutę później rozległo się stukanie do drzwi. Henderson mruknął coś wesoło pod nosem i poszedł otworzyć.

- Pete Henderson? - Mężczyzna, który zadał to pytanie ubrany był w ciemny garnitur.

Henderson miał na sobie dżinsy i sportową koszulę.

- Słucham? - Henderson zrobił krok do tyłu, domyślając się, o co chodzi. Ale ciąg dalszy go zaskoczył.

- Panie Henderson, jest pan aresztowany pod zarzutem szpiegostwa - powiedziała Sissy Loomis, pokazując legitymację. - Ma pan prawo odmówić zeznań. Ma pan prawo skontaktować się z adwokatem. Jeśli będzie pan zeznawać, wszystko, co pan powie, zostanie zaprotokołowane i może być użyte przeciwko panu. Jeśli nie ma pan obrońcy lub nie może pan sobie pozwolić na prywatnego adwokata, zadbamy o to, aby dostał pan obrońcę z urzędu.

Czy rozumie pan, jakie są pana prawa, panie Henderson?

Była to pierwsza sprawa o szpiegostwo w karierze Sissy Loomis. Od pięciu lat specjalizowała się w sprawach napadów na banki, często pracując jako kasjerka z rewolwerem *Magnum .375* w szufladzie z gotówką.

- Czy chce pan zrezygnować z tych praw?

- Nie, nie chcę - odezwał się Henderson ochryple.

- Zmieni pan jeszcze zdanie - stwierdził inspektor przy drzwiach. - Zmieni pan zdanie.

- Odwrócił się do towarzyszących mu trzech agentów. - Rozbierzcie to mieszkanie na czynniki

pierwsze. Czysto i po cichu. Nie chcemy przecież nikogo budzić. Pan, panie Henderson, pójdzie z nami. Może się pan przebrać. Ma pan do wyboru. Możemy to zrobić uprzejmie lub mniej uprzejmie. Jeśli nie będzie pan stawiał oporu, obejdzie się bez kajdanek.

Ale jeśli spróbuje pan uciekać... na pewno pan nie zechce, zapewniam pana.

Inspektor pracował w FBI od dwudziestu lat i nigdy nie zdarzyło mu się sięgać po rewolwer w złości, podczas gdy Loomis zastrzeliła już dwóch mężczyzn. Był ze starej szkoły FBI. Zastanawiał się, co sądziłby na jego temat Hoover, nie wspominając już o nowym dyrektorze Żydzie.

„Czerwony Październik”

Ramius i Kamarow od kilku minut naradzali się nad mapą, rozważając różne możliwe warianty kursu, aż w końcu wybrali jeden z nich. Marynarze z wachty nie zwracali na to uwagi. Nigdy nie zachęcano ich do zajmowania się mapami. Kapitan podszedł do tylnej grodzi i podniósł słuchawkę.

- Z Mielechinem - powiedział i czekał kilka sekund. - Tu kapitan. Czy były jeszcze jakieś kłopoty z reaktorem?

- Nie, towarzyszu kapitanie.

- Doskonale. Postarajcie się, żeby było tak jeszcze przez dzień lub dwa. - Odwiesił

słuchawkę. Do końca wachty pozostało jeszcze pół godziny.

Mielechin i zastępca głównego mechanika, Kirył Sulin, pełnili służbę w siłowni.

Mielechin nadzorował turbiny, a Sulin zajmował się systemami reaktora. Każdy miał do pomocy miczmana i trzech marynarzy. Dla mechaników ten rejs okazał się wyjątkowo pracowity. Wspólnie sprawdzili każdy zawór i czujnik w siłowni, a wiele przyrządów całkowicie rozebrali na części i ponownie złożyli. Pomagał im Walentin Bugajew, elektronik i pokładowy geniusz, który ponadto prowadził szkolenie polityczne dla załogi. Najbardziej dostała w kość załoga maszynowni.

Wiadomość o prawdopodobnym skażeniu już się rozeszła. Na okręcie podwodnym nic bowiem nie da się przez dłuższy czas utrzymać w sekrecie. Żeby ich odciążyć, w wachtach w maszynowni pomagali również zwykli marynarze.

Kapitan twierdził, że to dobra okazja zdobycia dodatkowej specjalności. Załoga uważała natomiast, że można tylko złapać większą dawkę promieniowania. Rzecz jasna, dyscyplina została zachowana. Częściowo dlatego, że załoga ufała kapitanowi i dowodzącym oficerom, częściowo był to skutek szkolenia, ale przede wszystkim jasna świadomość tego, co by się stało, gdyby odmówili natychmiastowego wykonywania otrzymywanych rozkazów.

- Towarzyszu Mielechin! - zawołał Sulin. - Skoki ciśnienia w głównym obiegu, na zaworze numer sześć.

- Idę. - Mielechin odsunął z drogi miczmana i podszedł do głównej tablicy rozdzielczej. - Znów awaria przyrządów! Inne czujniki w normie. Nic ważnego - powiedział

uspokajająco, ale wszyscy widzieli, że główny mechanik szeptał coś do ucha swojemu pomocnikowi, który powoli skinął głową. Przez cały czas obaj pracowali, przełączając przyrządy.

Rozległ się głośny klakson i rozbłysło czerwone światło alarmowe.

- Wyłączyć reaktor! - rozkazał Mielechin.

- Wyłączam.. - potwierdził Sulin, naciskając główny przycisk systemu wyłączania.

- Wszyscy na dziób! - rozkazał następnie Mielechin. Nikt nie zwlekał. - A wy najpierw podłączycie silniki elektryczne „gąsienicy” do akumulatorów. Szybko!

Miczman, przeklinając zmianę rozkazów, zawrócił biegiem, przełączyć, co trzeba.

Zabrało mu to czterdzieści sekund.

- Gotowe!

- Wychodzić!

Miczman jako ostatni sprawdził, czy drzwi w grodzi są szczelnie zamknięte i wbiegł do centrali dowodzenia.

- W czym problem? - zapytał spokojnie Ramius.

- Skażenie w przedziale wytwornicy pary!

- Rozumiem. Opanujcie się, idźcie na dziób i weźcie prysznic razem z całą wachtą. -

Ramius poklepał miczmana po ramieniu. - Już wcześniej mieliśmy z tym problemy.

Przeszliście szkolenie. Teraz musicie kierować ludźmi.

Ramius sięgnął po telefon. Po chwili podniesiono słuchawkę po drugiej stronie:

- Co się stało? - Wachta centrali przyglądała się kapitanowi słuchającemu wyjaśnień.

Podziwiali jego spokój. W okręcie rozbrzmiewały alarmowe dzwonki. - Rozumiem. Na akumulatorach pójdziemy nie więcej niż kilka godzin. Musimy wyjść na peryskopową i płynąć na

chrapach. Przygotować się do uruchomienia diesli. Tak. - Odłożył słuchawkę. -

Uwaga na pokładzie, tu mówi kapitan. - Głos Ramiusa był całkowicie spokojny. - Nastąpiła drobna awaria w układzie sterowania reaktorem. Alarm, który słyszeliście, nie oznacza większego przecieku z reaktora, ale raczej awarię systemu kontroli prętów regulacyjnych reaktora. Towarzysze Mielechin i Sulin zgodnie z procedurą dokonali awaryjnego wyłączenia reaktora, ale przy niesprawnym głównym systemie sterowania nie można korzystać z reaktora. Z tego powodu dokończymy patrol na silnikach spalinowych. Dla uniknięcia jakiegokolwiek możliwości skażenia, przedziały reaktora zostały zabezpieczone, a wszystkie pomieszczenia, przede wszystkim siłownia, zostaną przewentylowane, gdy przejdziemy na chrapy. Kamarow, idźcie na dziób zająć się systemami regeneracji powietrza. Sam sobie poradzę w centrali.

- Tak jest, towarzyszu kapitanie. - Kamarow ruszył na dziób.

Ramius wziął mikrofon, żeby przekazać wiadomość załodze. Wszyscy czekali. Na dziobie marynarze szeptali między sobą, że słów „drobna usterka” ostatnio nieco nadużywano, że atomowe okręty podwodne nie pływają, do ciężkiej cholery, na dieslach i nie przewietrzają się powietrzem atmosferycznym.

Skończywszy swoje zwięzłe przemówienie, Ramius nakazał zmniejszenie głębokości okrętu.

USS „Dallas”

- Nic nie rozumiem, panie kapitanie. - Jones pokręcił głową. - Szumy reaktora ustały, pompy nie pracują, ale utrzymują tę samą szybkość, co przedtem. Prawdopodobnie na silnikach elektrycznych.

- Muszą mieć niewąską baterię akumulatorów, żeby popychać takiego kolosa z tą prędkością - zauważył Mancuso.

- Próbowałem to obliczyć jakiś czas temu. - Jones podał kapitanowi swój notatnik. -

Oparłem się na danych dla kadłuba klasy *Typhoon* z przyzwoitym współczynnikiem tarcia, a więc pewno trochę na zapas.

- Kiedy się zdążyłeś tego nauczyć, Jones?

- Porucznik Thompson załatwił mi dane hydrodynamiczne. A co do napędu elektrycznego, to sprawa jest całkiem prosta. Może mieć coś nowego, na przykład ogniwa paliwowe. Jeśli nie, to idzie na standardowych akumulatorach. W takim wypadku ma tyle energii elektrycznej, że wystarczyłoby na uruchomienie wszystkich samochodów w Los Angeles.

Mancuso pokręcił głową.

- Ale kiedyś się wyczerpie. - Jones podniósł rękę.
- Trzaski kadłuba... Wygląda na to, że się wynurza.

„Czerwony Październik”

- Podnieść chrapy - powiedział Ramius. Przez peryskop sprawdził wykonanie rozkazu.
- Dobra wiadomość. Żadnych okrętów w zasięgu widzialności. Wygląda na to, że zgubiliśmy imperialistycznych myśliwych. Podnieść antenę antyradarową. Sprawdzimy, czy samoloty przeciwnika nie prowadzą tu zwiadu.
- Czysto, towarzyszu kapitanie - oznajmił Bugajew, który obsługiwał pulpit radiolokacji. - Zupełnie nic, nawet samolotów cywilnych.
- A więc zgubiliśmy to stado szczurów - rzekł Ramius, ponownie podnosząc słuchawkę. - Mielechin, możecie otworzyć główny wentylator i przewietrzyć siłownię. Potem uruchomcie diesle. - Minutę później wszyscy na pokładzie usłyszeli wibrację elektrycznego rozrusznika, którym uruchamiano potężny silnik wysokopięny „Października”. Silnik wessał

całe powietrze z pomieszczeń siłowni, wypychając je ze spalinami na zewnątrz, a z powierzchni dostało się chrapami świeże powietrze.

Przez dobre dwie minuty wszyscy na pokładzie czekali na warkot oznaczający, że diesel ruszył i zasila silniki elektryczne. Ale upłynęło jeszcze trzydzieści sekund i hałas uruchamianego silnika ustał. Zadzwonił telefon w centrali. Ramius podniósł słuchawkę.

- Co się dzieje z dieslem, towarzyszu Mielechin? - zapytał ostro kapitan. - Rozumiem.

Wysyłam ludzi. Aha, poczekajcie chwilę. - Ramius rozejrzał się dookoła. Usta miał zaciśnięte w wąską białą linię. Młodszy mechanik Swiadow stał w głębi kabiny. - Potrzebuję człowieka, który zna się na dieslach, do pomocy towarzyszowi Mielechinowi.

- Urodziłem się w sowchozie - powiedział Bugajew. - Jeszcze jako chłopak rozbierałem silniki traktorów.

- Jest pewien dodatkowy problem...

Bugajew skinął głową.

- Domyślam się, towarzyszu kapitanie, ale przecież potrzebujemy tego diesla, prawda?

- Nie zapomnę wam tego - odpowiedział cicho Ramius.

- Na Kubie postawicie mi rum - zażartował Bugajew, uśmiechając się odważnie. -

Bardzo liczę na to, że na Kubie można znaleźć jakieś towarzystwo, najchętniej z długimi włosami.

- Czy mogę pójść z wami? - zapytał niespokojnie Swiadow. Wychodził właśnie na wachtę, gdy od wejścia do przedziału reaktora odepchnęli go uciekający stamtąd marynarze.

- Najpierw trzeba zorientować się, co się stało - odparł Bugajew, patrząc pytająco na Ramiusa.

- Oczywiście, czasu jest dosyć. Bugajew, proszę osobiście zameldować się u mnie za dziesięć minut.

- Tak jest, towarzyszu kapitanie.

- Swiadow, zastąpicie porucznika na stanowisku. - Ramius wskazał na konsolę urządzenia antyradarowego. - Możecie skorzystać z okazji i nauczyć się czegoś nowego.

Porucznik zrobił, jak mu kazano. Kapitan wyglądał na bardzo zajętego. Swiadow nigdy go jeszcze takim nie widział.

Dzień czternasty

CZWARTEK, 16 GRUDNIA

Super stallion

Lecieli z prędkością trzystu kilometrów na godzinę, sześćset metrów A ponad ciemniejącą w dole powierzchnią morza. Potężny *Super Stallion* miał swoje lata. Ten śmigłowiec zbudowany pod koniec wojny wietnamskiej przez zakłady Sikorsky'ego, rozpoczął służbę, oczyszczając z min port w Hajfongu. Zaprojektowano go bowiem jako

„latający trałowiec”. Teraz służył do innych zadań, głównie do transportowania ciężkich ładunków na duże odległości. Trzy silniki turbinowe ulokowane ponad zbiornikiem paliwa miały tyle mocy, że pozwalały na transportowanie plutonu wojska z wyposażeniem na duże odległości.

Tej nocy główne obciążenie stanowiły ciężkie zewnętrzne zbiorniki paliwa, a poza trzyosobową załogą na pokładzie znajdowało się jeszcze czterech pasażerów. Pasażerowie skupili się w ładowni i rozmawiali z ożywieniem, a raczej usiłowali przekrzyczeć ryk silników. Ciekawiło ich, co znajdą na pokładzie najprawdopodobniejszego radzieckiego okrętu.

Doskonały materiał na powieść, ale niestety wszystko musi pozostać w tajemnicy. W

najlepszym wypadku tylko parę osób będzie znało całą sprawę. Inni zetkną się tylko z poszczególnymi fragmentami, które mogłyby stanowić część każdej prawie operacji wywiadu. Gdyby radziecki agent próbował zorientować się, o co chodzi, utknąłby w labiryncie sprzecznych informacji.

Cały przelot został dokładnie przygotowany. Śmigłowiec kierował się wyznaczoną trasą na HMS „Invincible”. Stamtąd *Sea King* marynarki brytyjskiej miał dostarczyć pasażerów na USS „Pigeon”. Kilkugodzinna nieobecność *Stalliona* w Bazie Lotnictwa Morskiego Oceana nie zwróci niczyjej uwagi.

Turbinowe silniki pracowały na pełnych obrotach, pożerając paliwo. Znajdowali się dziewięćset kilometrów od wybrzeży Stanów Zjednoczonych. Do celu pozostały jeszcze sto czterdzieści cztery kilometry. Nie kierowali się do „Invincible'a” najprostszą trasą, ale zmieniali po drodze kurs, aby zmylić tego, kto mógł ewentualnie obserwować ich lot na radarze. Piloci byli zmęczeni. Cztery godziny bardzo się dłuży w ciasnej kabinie, szczególnie że wojskowe maszyny nie słyną z wygod. Instrumenty pokładowe świeciły przytłumioną czerwień. Obaj piloci pilnowali przede wszystkim sztucznego horyzontu, bowiem z powodu zachmurzenia nie mieli przed sobą żadnych punktów odniesienia, a lot nad wodą w nocy działał hipnotyzujące. Samo zadanie niczym się, co prawda, nie wyróżniało od innych. Piloci nie po raz pierwszy wykonywali tego rodzaju lot i zdążyli oswoić się już z niebezpieczeństwem. Ich skupienie przypominało nieco koncentrację doświadczonego kierowcy na śliskiej drodze.

- „Juliet”, kurs do celu osiemdziesiąt, odległość sto trzydzieści osiem kilometrów -

odezwał się samolot rozpoznawczy AWACS.

- Myślą, że się zgubiliśmy? - odezwał się przez interkom komandor John Marcks.

- Szczury lądowe! - odparł drugi pilot. - Co oni wiedzą o lataniu nad wodą. Wydaje im się, że jak człowiek nie leci wzdłuż drogi, to już się zgubił.

- He, he - zarechotał Marcks. - A na kogo stawiasz w dzisiejszym meczu? Na Eaglesów?

- Trzy i pół na Oilersów.

- Sześć i pół. Obrońca Philly jest po kontuzji.

- Pięć.

- Dobra, niech będzie pięć doliczów. Nie będę się nad tobą znęcał - oświadczył z uśmiechem Marcks.

Uwielbiał zakłady. W dzień po ataku Argentyny na Falklandy szukał w całym dywizjonie kogoś, kto zechciałby postawić jeden do siedmiu na Argentynę.

O metr z tyłu nad ich głowami silniki z prędkością kilku tysięcy obrotów na minutę obracały przekładnie napędzające siedmiołopatowy wirnik nośny. Piloci nie wiedzieli, że w obudowie głównego reduktora, przy otworze pomiaru poziomu oleju, powstawało pęknięcie.

- „Juliet”, właśnie wystartował myśliwiec, żeby was eskortować do celu. Kontakt za osiem minut. Zbliży się na godzinie jedenastej, wysokość dziewięćset.

- Miło z ich strony.

„Harrier 2-0”

Harriera marynarki brytyjskiej, który miał eskortować *Super Stalliona*, pilotował

porucznik Parker. Mieli nie tyle eskortować śmigłowiec, co sprawdzić, czy w pobliżu nie kręci się jakiś radziecki okręt podwodny, który mógłby zwrócić uwagę na *Super Stalliona*.

- Widać coś na powierzchni? - zapytał Parker.

- Zupełny spokój - odpowiedział z tylnego fotela nawigator podporucznik.

Za pomocą urządzenia na podczerwień obserwował ocean po obu stronach trasy lotu.

Ani pilot, ani nawigator nie wiedzieli, o co się toczy gra. Obaj gubili się w domysłach co do przyczyny, dla której ich lotniskowiec uganiał się po tym cholernym oceanie.

- Spróbuj namierzyć śmigłowiec - poprosił Parker.

- Jedną chwilę... Jest. Dokładnie na południe od nas. - Podporucznik przełączył obraz na ekran pilota. Najwyraźniej widać było silniki, otoczone kręgiem utworzonym przez rozgrzane końce wirnika.

- „Harrier 2-0” tu „Sentry Echo”. Kurs na cel godzina pierwsza, odległość trzydzieści sześć kilometrów, odbiór.

Tak jest, mamy go na podczerwieni. Dziękuję, koniec - powiedział Parker. - Taki samolot naprowadzania to cholernie użyteczna rzecz. - *Sikorsky* idzie całą mocą. Popatrz na obraz termiczny silników.

Super stallion

W tym momencie nastąpiło pęknięcie obudowy reduktora. Błyskawicznie olej smarowania zamienił się w tłustą chmurę wokół głowicy wirnika. Zaczęły się rozpadać delikatne przekładnie reduktora. Na tablicy przyrządów zabłysło czerwone światło alarmowe.

Marcks i drugi pilot natychmiast sięgnęli do dźwigni sterowania silnikami, chcąc zmniejszyć moc, ale było za mało czasu. Zatrzymujący się reduktor został po prostu rozerwany przez moment obrotowy trzech silników. Nastąpiło coś na podobieństwo eksplozji. Odłamki mechanizmów rozdarły obudowę zabezpieczającą i przebiłyabinę śmigłowca. Moment obrotowy wirników spowodował, że kadłub zaczął się kręcić i spadać. Dwaj pasażerowie, którym udało się rozpiąć pasy bezpieczeństwa, wypadli z foteli i potoczyli się do przodu.

- *MAYDAY! MAYDAY! MAYDAY! Tu „Juliet”* - wywoływał drugi pilot. Ciało komandora Marcksa leżało bezwładnie na tablicy przyrządów. Na karku rozszerzała się ciemna plama. - Spadamy! Spadamy! *MAYDAY! MAYDAY! MAYDAY!*

Drugi pilot próbował ratować maszynę. Wirnik nośny jeszcze się obracał, ale zbyt wolno. Automatyczne sprzęgło, które powinno odłączyć go od silników, pozwalając na sterowaną autorotację, zawiodło. Stery stały się prawie bezużyteczne. Śmigłowiec spadał do wody jak kamień. Pilot chciał jeszcze podnieść maszynę, próbował ustawić łopaty wirnika nośnego i wirnik ogonowy, ale na próżno. W dwadzieścia sekund później uderzyli w powierzchnię czarnego oceanu.

„Harrier 2-0”

Parker nie po raz pierwszy widział śmierć. Raz już odebrał życie człowiekowi, odpalając rakietę *Sidewinder* w dyszę silnika argentyńskiego myśliwca *Dagger*. Ale teraz znacznie głębiej odczuł sytuację. Na jego oczach, w fajerwerku iskier, rozerwała się garbata obudowa silników *Stalliona*. Nie widać było płomienia, ale coś z tego. Całym wysiłkiem woli chciał, żeby nos maszyny podniósł się do góry. I podniósł się trochę, ale to nie wystarczyło.

Stallion z rozpędem uderzył w wodę. Kadłub przełamał się na pół. Przednia część zatонуła natychmiast, a druga chwiała się na powierzchni przez kilka sekund, aż zaczęła napełniać się wodą jak wanna. Sądząc z tego, co widzieli na podczerwieni, ze środka nikt się nie wydostał.

- Sentry, Sentry widziałeś to, odbiór.

- Tak jest, Harrier. Wysyłamy grupę poszukiwawczo-ratowniczą. Czy możesz tam pozostać?

- Zrozumiałem, będziemy krążyć na miejscu. - Parker sprawdził paliwo. -

Dziewięćdziesiąt minut... Poczekaj! - Parker skierował myśliwiec w dół i włączył światła lądowania, co jednocześnie uruchomiło bardzo czuły system telewizyjny.

- Widziałeś, Ian? - zapytał kolegę na tylnym fotelu.

- Chyba coś się rusza.

- Sentry, Sentry, w wodzie jest prawdopodobnie człowiek. Przekażcie na

„Invincible’a”, żeby natychmiast wysłali tu *Sea Kinga*. Schodzę w dół sprawdzić. Będę informować.

- Zrozumiałem, „Harrier 2-0”. Twój kapitan melduje, że wysyła maszynę. Koniec.

Sea King Marynarki Królewskiej dotarł na miejsce katastrofy w dwadzieścia pięć minut.

Płetwonurek sanitariusz wyskoczył do wody i założył oczekującemu pomocy mężczyźnie kamizelkę ratunkową. Nikt inny się nie uratował, nie pozostał również żaden ślad po maszynie oprócz plamy powoli parującego w chłodnym powietrzu paliwa. Gdy pierwszy śmigłowiec wyruszył z powrotem na lotniskowiec, poszukiwania kontynuował następny.

HMS „Invincible”

Ryan przyglądał się z mostka, jak sanitariusze transportują na noszach uratowanego z katastrofy mężczyznę. Po chwili na mostku pojawił się marynarz z teczką.

- Miał to ze sobą. To komandor porucznik, nazywa się Dwyer. Złamana ręka i kilka żeber. Jest w ciężkim stanie, panie admirale.

- Jaka jest szansa, że ktoś jeszcze przeżył? - zapytał White odbierając teczkę.

Marynarz pokręcił głową.

- Nikła, panie admirale. *Sikorsky* zatonął jak kamień. Bardzo mi przykro... - dodał, patrząc na Ryana.

- Dziękuję. - Ryan skinął głową.

- Zgłasza się Norfolk, panie admirale - powiedział oficer łączności.

- Chodźmy, Jack - rzucił admirał White, podał Ryanowi teczkę i udali się do centrali łączności.

- Śmigłowiec zatonął. Mamy jednego rozbitka. Jest już pod opieką lekarską -

powiedział przez radio Ryan.

- Kto to taki? - odezwał się głośnik po chwili milczenia.

- Nazywa się Dwyer. Został przetransportowany do izby chorych, panie admirale. Jest nieprzytomny. Proszę zawiadomić Waszyngton. Nie wiem, na czym polegało ich zadanie, ale teraz trzeba zacząć od początku.

- Zrozumiałem. Koniec. - Admirał Blackburn wyłączył się.

- Niezależnie od tego, co wymyślimy, konieczny jest pośpiech - zauważył admirał

White. - W ciągu dwóch godzin musimy wysłać śmigłowiec na „Pigeon”, tak żeby zdążył tu wrócić przed świtem.

Ryan zdał sobie sprawę, co to oznacza w praktyce. W tej chwili na morzu znajdowało się tylko czterech ludzi, którzy wiedzieli, o co chodzi i byli na tyle blisko, żeby móc cokolwiek działać. Jedynym Amerykaninem wśród nich był on sam. „Kennedy” znajdował

się za daleko. „Nimitz” płynął co prawda wystarczająco blisko, ale żeby skorzystać z jego pomocy, trzeba by przekazywać informacje przez radio, a na to Waszyngton nie wyrażał

zgody. Jedyne rozwiązanie polegało na skompletowaniu i wysłaniu następnej ekipy pracowników wywiadu. A na to nie było czasu.

- Otwórzmy tę teczkę, panie admirale. Muszę się dowiedzieć, jaki jest plan. - W

drodze do kabiny White'a zabrali asystenta mechanika. Okazał się doskonałym ślusarzem.

- Wielki Boże! - westchnął Ryan po przeczytaniu tego, co znaleźli w środku. - Niech pan lepiej sam zobaczy.

- No cóż - odezwał się parę minut później White - sprytnie pomyślane.

- Owszem, całkiem cwane - zgodził się Ryan. - Ciekawe, jaki to geniusz spłodził. Sam sobie nie poradzę. Poproszę Waszyngton o zgodę na zabranie ze sobą paru oficerów.

Dziesięć minut później byli znów w centrali łączności. White nakazał innym wyjść.

Jack rozmawiał na częstotliwości szyfrowanej, mając nadzieję, że aparatura utajniająca działała prawidłowo.

- Słyszę pana dobrze, panie prezydencie. Już pan wie, co się stało ze śmigłowcem.
- Tak, Jack, bardzo niepomyślna wiadomość. Poza tobą na miejscu nie mamy nikogo.
- Zdaję sobie z tego sprawę.
- Nie mogę ci nic rozkazywać, ale wiesz, o co się toczy gra. Zrobisz to?

Ryan zamknął oczy.

- Tak jest.
- Doceniam to, Jack.

No jasne, że doceniasz, pomyślał Ryan.

- Panie prezydencie, proszę o zgodę na zabranie ze sobą do pomocy kilku brytyjskich oficerów.
- Jednego - powiedział prezydent.
- Panie prezydencie, potrzebuję więcej ludzi.
- Tylko jednego.
- Rozumiem. Ruszamy za godzinę.
- Czy wiesz, co ma nastąpić?
- Tak, panie prezydencie. Rozbitek miał ze sobą rozkazy operacyjne. Już je przeczytałem.
- No to powodzenia, Jack.
- Dziękuję. Koniec. - Ryan wyłączył satelitarny kanał łączności i odwrócił się do admirała White'a. - Jeden jedyny raz zgłosiłem się na ochotnika, no i w co wlażłem?

- Boisz się? - White nie wyglądał na człowieka, którego bawi ta sytuacja.

- I to cholernie! Czy mogę prosić o jednego oficera? Kogoś, kto zna rosyjski, jeśli to możliwe. Zdaje pan sobie sprawę, co może się stać.

- Zobaczymy. Chodź ze mną.

Pięć minut później byli już z powrotem w kabinie White'a, oczekując na przybycie czterech oficerów. Każdy z nich okazał się porucznikiem, żaden nie miał jeszcze trzydziestu lat.

- Panowie - zaczął admirał - to komandor Ryan. Potrzebuje jednego oficera, który będzie mu

towarzyszyć na ochotnika w wykonaniu zadania niezwyklej wagi. Zadanie jest tajne i niecodzienne, może się też wiązać z pewnym niebezpieczeństwem. Zostaliście tu poproszeni ze względu na waszą znajomość rosyjskiego. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

- Chcecie skontaktować się z radzieckim okrętem podwodnym? - odezwał się najstarszy z czwórki. - Jestem do dyspozycji. Znam rosyjski. Przedtem służyłem na HMS

„Dreadnought”.

Ryan zastanawiał się, na ile uczciwe jest angażowanie kogoś, kto nie zdaje sobie sprawy, o co chodzi. Skinął głową i White podziękował pozostałym.

- Jestem Jack Ryan - przedstawił się, wyciągając dłoń.

- Owen Williams. A więc o co chodzi?

- Okręt nazywa się „Czerwony Październik”...

- „*Krasnyj Oktiabr*” - Williams uśmiechnął się.

- ...i próbuje uciec do Stanów Zjednoczonych.

- Naprawdę? A więc to dlatego kręcimy się w kółko po oceanie. To znaczy, że kapitan jest rozsądnym człowiekiem. Czy jesteśmy pewni jego intencji?

Przekazanie Williamsowi wszystkich informacji wywiadowczych zajęło kilkanaście minut.

- Porozumieliśmy się z nim lampą sygnałową i wszystko wskazuje na to, że przyjął

propozycję. Ale pewność będziemy mieć dopiero, gdy znajdziemy się na pokładzie. Zdarzało się, że uciekinierzy zmieniali zdanie. Zdarzało się to nawet częściej, niż pan przypuszcza. A pan nie zmienił zdania?

- Miałbym stracić taką okazję? A jak wejdziemy na pokład, panie komandorze?

- Na imię mi Jack. Jestem z CIA, a nie z marynarki - powiedział, a potem wyjaśnił

Williamsowi cały plan.

- Doskonale. Czy jest czas, żeby spakować trochę rzeczy?

- Proszę być z powrotem za dziesięć minut - powiedział White.

- Tak jest. - Williams zasalutował i wyszedł.

White podniósł słuchawkę.

- Prześlijcie tu porucznika Sinclara. - Admirał wyjaśnił, że Sinclair dowodził

pododdziałem piechoty morskiej na „Invincible’a”. - Możesz potrzebować jeszcze jednego przyjaciela, Jack.

„Przyjacielem” okazał się być dziewięćmilimetrowy pistolet FN z zapasowym magazynkiem i niewidoczną spod marynarki kaburą.

Na koniec zniszczyli rozkazy operacyjne i admirał White odprowadził Ryana i Williamsa na pokład. Stali, patrząc, jak ożywają silniki *Sea Kinga*.

- Powodzenia, Owen. - White podał rękę młodszemu oficerowi, który zsalutował i wszedł do śmigłowca.

- Proszę pozdrowić żonę, panie admirale - rzekł Ryan, uściskawszy dłoń admirałowi.

- Do Anglii płynie się pięć i pół dnia. Prawdopodobnie będziesz tam wcześniej niż ja.

Uważaj na siebie, Jack.

- Mój wywiadowczy nos mówi mi, że czeka nas tylko miła przejażdżka, o ile śmigłowiec nie rozleci się w powietrzu. - Ryan uśmiechnął się kwaśno.

- Do twarzy ci w mundurze, Jack.

Zaskoczony Ryan wyprężył się i zsalutował, tak jak go uczono w marines.

- Dziękuję, panie admirale. Do zobaczenia.

White poczekał, aż Ryan wsiądzie do śmigłowca. Sierżant z załogi zatrzasnął drzwi i w chwilę później silniki *Sea Kinga* zwiększyły moc. Maszyna chybotając, uniosła się trochę, opuściła lekko nos na lewą burtę i nabierając wysokości, zakręciła na południe. Już po minucie sylwetka śmigłowca bez świateł pozycyjnych znikła z oczu.

33°N 75°W

„Scamp” spotkał się z „Ethan Allen” kilka minut po północy. Torpedowy „Scamp”

zajął stanowisko tysiąc metrów za rufą starego okrętu raketowego i oba zaczęły wolno krążyć w miejscu, a hydroakustycy nasłuchiwali odgłosów zbliżającego się na dieslach USS

„Pigeon”. Trzy fragmenty układanki były już na miejscu. Brakowało jeszcze trzech pozostałych.

„Czerwony Październik”

- Nie mam wyboru - mówił Mielechin przez pokładowy telefon. - Muszę od nowa zabrać się do diesla.
- Pomogę wam - zaofiarował się z tej strony Swiadow.
- Znasz się na pompach paliwowych? - Głos Mielechina był zmęczony, ale uprzejmy.
- Nie, towarzyszu. Wystarczy mi Bugajew i Sulin. Nie ma powodu, żeby jeszcze narażać ciebie. Dam znać za godzinę.
- Dziękuję, towarzyszu. - Ramius wyłączył mikrofon. - Ten rejs od początku jest pechowy. Sabotaż. Nigdy jeszcze coś takiego nie zdarzyło się w mojej karierze! Jeśli nie zdołamy naprawić diesli... Na akumulatorach pociągniemy najwyżej kilka godzin, a i reaktor wymaga pełnego przeglądu i kontroli. Przysięgam, towarzysze, jeśli złapię tego skurwysyna, który to zrobił...
- Może powinniśmy wezwać pomoc?
- W tej odległości od wybrzeży Ameryki, mając cały czas na ogonie imperialistyczny okręt podwodny? Czy zdajecie sobie sprawę, jaką możemy dostać „pomoc”? Towarzysze, prawdopodobnie nasze kłopoty nie są przypadkowe. Zastanówcie się nad tym. Może jesteśmy tylko pionkami w bezwzględnej grze? - Pokręcił głową. - Nie, nie wolno nam ryzykować. Ten okręt nie może się dostać w amerykańskie ręce.

Siedziba CIA

- Dziękuję, że pan się tak szybko zjawił, panie senatorze. Przykro mi, że wcześniej pana zerwałem. - Sędzia Moore przywitał Donaldsona w progu i zaprosił do przestronnego gabinetu. - Dyrektora Jacobsa pan zna, jeśli się nie mylę?

- Oczywiście. Co sprowadza dyrektorów FBI i CIA o tak wczesnej porze w jedno miejsce? - zapytał Donaldson z uśmiechem. Szykowało się coś ciekawego. Kierowanie stałą komisją Kongresu to więcej niż tylko zwykła praca, liczył się bowiem sam fakt przynależności do niewielkiego grona ludzi, którzy wiedzą naprawdę wszystko.

Trzecia osoba w pokoju, Ritter, pomogła wstać z odwróconego tyłem fotela komuś, kogo Donaldson dotychczas nie zauważył. Senator ze zdziwieniem rozpoznał Petera Hendersona. Garnitur jego sekretarza był tak wygnieciony, jakby Henderson był na nogach przez całą noc. Nagle wszystko przestało być zabawne.

- Pana Hendersona oczywiście pan zna? - nazbyt uprzejmie zapytał sędzia Moore.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Donaldson głosem znacznie łagodniejszym, niż się spodziewano.

- Skłamał pan, panie senatorze - odezwał się Ritter. - Obiecał pan, że nie ujawni pan nikomu tego, co wczoraj panu przekazałem. Cały czas miał pan zamiar wszystko opowiedzieć temu oto człowiekowi...

- Nic takiego nie zrobiłem.

- ...który z kolei przekazał informacje swemu koledze z KGB - kontynuował Ritter. -

Czy tak, Emilu? - Jacobs odstawił filiżankę z kawą. - Już od pewnego czasu podejrzewaliśmy Hendersona. Zmylił nas tylko jego łącznik. Pewne sprawy są po prostu aż nazbyt oczywiste.

Sporo ludzi w Waszyngtonie ma stałych taksówkarzy. Łącznik Hendersona był

taksówkarzem. W końcu się w tym połapaliśmy.

- Do Hendersona dotarliśmy przez pana, panie senatorze - wyjaśnił Moore. - Mieliśmy w Moskwie bardzo dobrego agenta, pułkownika w strategicznych siłach rakietowych. Od pięciu lat przekazywał nam dokładne informacje i już mieliśmy go ewakuować wraz z całą rodziną. Zawsze staraliśmy się tak robić. Zdaje pan sobie sprawę, że żaden agent nie trwa wiecznie, a temu akurat człowiekowi sporo zawdzięczaliśmy. Zrobiłem jednak błąd, ujawniając jego nazwisko pańskiemu komitetowi. Po tygodniu naszego człowieka już nie było, znikł. Najprawdopodobniej został rozstrzelany. Żonę i trzy córki zesłano na Syberię.

Według naszych informacji, mieszkają w osiedlu drwali na wschód od Uralu. Bez kanalizacji, byle jakie jedzenie, brak lekarza. Ponieważ są rodziną człowieka skazanego za szpiegostwo, łatwo pojąć, przez jakie piekło muszą przechodzić. Porządny człowiek nie żyje, jego rodzinę zniszczono. Niech pan spróbuje to sobie wyobrazić, panie senatorze. To się wydarzyło naprawdę i ucierpieli żywi ludzie. Początkowo nie wiedzieliśmy, gdzie nastąpił przeciek.

Albo u pana, albo u dwóch innych członków komisji. Zaczęliśmy więc podawać informacje poszczególnym członkom komitetu. Potrwało to sześć miesięcy, ale trzy razy wypłynęło pana nazwisko. Wtedy dyrektor Jacobs zaczął sprawdzać wszystkich pana ludzi. Mów dalej, Emilu.

- Gdy Henderson był zastępcą naczelnego redaktora „Crimsona” w Harvardzie, w 1970 roku pojechał na Kent State University napisać reportaż o rozruchach. Pamięta pan sprawę „Dni gniewu” po incydencie w Kambodży i idiotycznym skandalu z Gwardią Narodową? Tak się złożyło, że też tam byłem obecny. Najwyraźniej wstrząsnęło to Hendersonem. Nietrudno zrozumieć. Ale zareagował szczególnie. Gdy skończył studia i zaczął pracować u pana, kilkakrotnie zdarzało mu się opowiadać o swojej pracy przyjaciółom, dawnym aktywistom studenckim. Doprowadziło to do kontaktów z Rosjanami, którzy poprosili go o informacje. W Wietnamie był to okres bombardowań w czasie świąt Bożego Narodzenia, co bardzo się nie spodobało Hendersonowi. Dostarczył więc Rosjanom to, o co prosili. Informacje nie miały wielkiego znaczenia i w parę dni później znalazłyby je bez trudności w prasie. Tak się to zaczyna. Zarzucili haczyk i Henderson chwycił. Parę lat później, rzecz jasna, mieli go już w rękach i nie mógł się uwolnić. Każdy z nas zna reguły gry. Wczoraj umieściliśmy magnetofon w tej jego taksówce. Pewnie jest pan zaskoczony, że okazało się to takie proste. Nawet doświadczeni agenci z czasem stają się leniwi. Żeby niepotrzebnie nie przeciągać, mamy nagrane pańskie zobowiązanie, że nie wyjawি pan nikomu otrzymanych informacji, a trzy godziny później obecny tu Henderson przekazuje wszystko znanemu nam agentowi KGB. To też mamy nagrane. Pan nie złamał żadnego przepisu prawa, panie senatorze, ale zrobił to Henderson, który wczoraj o dziewiątej wieczór został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa. Posiadamy wystarczające dowody.

- Nic o tym nie wiedziałem - powiedział Donaldson.

- Wcale tak nie myśleliśmy - powiedział Ritter.

Donaldson zwrócił się do swego sekretarza.

- Co masz na swoją obronę?

Henderson milczał. Chciał powiedzieć, że jest mu przykro, ale jak wyjaśnić uczucia, które nim kierowały? Brudny niepokój, że jest się agentem obcego mocarstwa, i satysfakcja wykiwania całej armii rządowych szpiclów. Po aresztowaniu opanował go lęk o to, co się z nim stanie i ulga, że już po wszystkim.

- Pan Henderson zgodził się pracować dla nas - powiedział usłużnie Jacobs. - To znaczy, natychmiast po pańskim odejściu z Senatu.

- Co takiego? - zapytał Donaldson.

- Jak długo jest pan w Senacie? Trzynaście lat, prawda? O ile dobrze pamiętam, trafił

pan tam w wyborach uzupełniających - powiedział Moore.

- Czyżby chciał pan zobaczyć, jak zazwyczaj reaguję na szantaż? - zapytał senator.

- Szantaż? - Moore rozłożył ręce. - Ależ skąd, panie senatorze! Jak wspominał już dyrektor Jacobs, nie złamał pan prawa. Ma pan moje słowo, że z CIA nic się na ten temat nie przedstanie. Ale to, czy Departament Sprawiedliwości nie zechce wytoczyć sprawy Hendersonowi, zależy od nas. A tytuły w prasie? „*Osobisty sekretarz senatora skazany za szpiegostwo. Senator Donaldson twierdzi, że nie wiedział o grze swojego współpracownika*” .

- Panie senatorze - kontynuował Jacobs. - Uniwersytet w Connecticut od kilku lat proponuje panu katedrę na wydziale nauk politycznych. Może warto się nad tym zastanowić...

- ...albo Henderson trafi do więzienia? Chcecie, żebym to wziął na swoje sumienie?

- Nie może przecież nadal dla pana pracować, a jest oczywiste, że zwolnienie go po tylu latach przykładowej służby zostanie zauważone. Jednak po pańskim odejściu z życia publicznego nikogo nie zdziwi, jeśli Henderson nie znajdzie sobie podobnej pracy u innego senatora. Dostanie więc zatrudnienie w kongresowym Głównym Urzędzie Rachunkowości, gdzie nadal mieć będzie dostęp do wszelkiego rodzaju tajemnic. Tylko że teraz my będziemy decydować, co będzie przekazywał.

- Szpiegostwo nie podlega przedawnieniu - zwrócił uwagę Jacobs.

- Jeśli dowiedzą się o tym Sowieci... - powiedział Donaldson i zamilkł.

Przecież w gruncie rzeczy nic go to nie obchodzi. Ani Henderson, ani mityczni Rosjanie. Musi zająć się ratowaniem swojej twarzy, zabezpieczeniem tyłów.

- Wygrał pan, panie sędzio.

- Wiedziałem, że się pan z nami zgodzi. Poinformuję prezydenta. Dziękuję, że pan przyszedł, panie senatorze. Pan Henderson przyjdzie dziś trochę później do biura. Proszę nie mieć do niego o to pretensji. Jeśli będzie się dobrze sprawował, być może za kilka lat zostawimy go w spokoju. Już się to zdarzało w przeszłości, ale na to trzeba sobie zasłużyć.

Do widzenia.

Henderson będzie współpracować. Miał do wyboru tylko dożywocie w ściśle strzeżonym więzieniu. Po wysłuchaniu nagrania swojej rozmowy w taksówce przyznał się do winy przed kamerą i w obecności protokolanta sądowego.

USS „Pigeon”

Lot na „Pigeona” obył się na szczęście bez komplikacji. Dwukadłubowy statek ratowniczy miał na rufie lądowisko dla małych śmigłowców. Maszyna Brytyjczyków zawisała pół metra nad nim, a Ryan i Williams zeskoczyli na pokład. Poprowadzono ich zaraz na mostek, a śmigłowiec zawrócił na północny wschód.

- Witam panów na pokładzie - uprzejmie powiedział kapitan. - Waszyngton przekazał, że macie dla mnie jakieś rozkazy. Może kawy?

- A ma pan herbatę? - zapytał Williams.

- Chyba coś się znajdzie.

- Chodźmy gdzieś, gdzie można porozmawiać bez świadków - zaproponował Ryan.

USS „Dallas”

Zostali w końcu włączeni do operacji. W nocy Mancuso na krótko podniósł okręt na głębokość umożliwiającą rozwinięcie anteny. Długawą depezę z nagłówkiem ŚCIŚLE

TAJNE rozszyfrowywał sam w swojej kabine. Nie bardzo mu to szło. W ciągu tej godziny Chambers skierował „Dallas” ponownie w ślad za „Październikiem”. Marynarz przechodzący koło kajuty kapitańskiej słyszał zza drzwi stłumione „cholera”. Kiedy Mancuso w końcu wyszedł, nie umiał utrzymać powagi na twarzy. Do pokera też się nie nadawał.

USS „Pigeon”

Katamaran „Pigeon” był jednym z dwóch nowoczesnych okrętów ratowniczych marynarki przeznaczonych do szybkiego lokalizowania i schodzenia do zatopionych atomowych okrętów podwodnych, w czasie pozwalającym na uratowanie załogi.

Wyposażony był w skomplikowany sprzęt, w tym przede wszystkim w miniaturową łódź podwodną o nazwie „Mystic”, która wisiała na stelażu między dwoma kadłubami „Pigeona”.

Katamaran posiadał również urządzenie hydrolokacji trójwymiarowej, działające z małą mocą, a służące głównie jako radiolatarnia. „Pigeon” niespiesznie zataczał kręgi kilka kilometrów na południe od „Scampa” i „Ethan Allen”. Trzydzieści sześć kilometrów na południe znajdowały się dwie fregaty klasy *Perry*, wspólnie z trzema Orionami blokując cały obszar.

- „Pigeon” tu „Dallas”, kontrola łączności. Odbiór.

- „Dallas”, tu „Pigeon”. Słyszę cię głośno i wyraźnie. Odbiór - odpowiedział na szyfrowanej częstotliwości kapitan okrętu ratunkowego.

- Już jesteśmy. Koniec.

- Panie kapitanie, na „Invincible’a” wiadomość przekazał lampą sygnałową jeden z oficerów. Czy pan potrafi posługiwać się taką lampą? zapytał Ryan.

- No nie, ja do tego ręki nie przyłożę.

Plan był całkiem prosty, może trochę za sprytny. Wiadomo było, że „Czerwony Październik” chce uciec. Możliwe nawet, choć mało prawdopodobne, że z całą załogą. Trzeba więc najpierw usunąć z „Czerwonego Października” wszystkich, którzy zechcą wrócić do Związku Radzieckiego, a następnie zainscenizować zatopienie okrętu jednym z potężnych ładunków wybuchowych. Jak wiadomo, znajdują się one na pokładzie każdego radzieckiego okrętu. Ci, którzy pozostaną na okręcie, przemkną się na północny zachód, do zatoki Pamlico.

Tam zaczekają, aż radziecka flota odpłynie do domu przekonana, że „Czerwony Październik”

został zatopiony. Potwierdzą to ci, którzy zechcą wrócić do Związku Radzieckiego. Czy coś może się nie udać? Tak, co najmniej tysiąc innych rzeczy.

„Czerwony Październik”

Ramius wyjrzał przez peryskop. Jedyńm okrętem w zasięgu widoczności był USS

„Pigeon”, ale urządzenia wykazywały na północy zwiększoną aktywność radarową dwóch fregat pełniących tam straż. A więc tak wygląda plan. Patrzył na błyski lampy sygnałowej, tłumacząc w myśli wiadomość.

Szpital Marynarki w Norfolk

- Dziękuję, że pan przyszedł, panie doktorze. - Funkcjonariusz wywiadu na dobre zagospodarował się w biurze zastępcy intendenta szpitala. - Słyszałem, że pacjent się ocknął.

- Jakąś godzinę temu - potwierdził Tait. - Był przytomny mniej więcej przez dwadzieścia minut. Teraz śpi.

- Czy to oznacza, że wyjdzie z tego?

- Jest to pozytywny objaw. Wydawał się względnie przytomny, co dowodzi, że nie nastąpiły uszkodzenia mózgu, których się obawiałem. Można powiedzieć tyle, że jego szansę rosłą, choć w przypadkach hipotermii na ogół pośpiech nie jest wskazany. Nadal jest ciężko chory i pod tym względem niewiele się zmieniło. - Tait zamilkł na chwilę. - Ale mam do pana pytanie: dlaczego Rosjanie wydają się rozczarowani?

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Trudno tego nie zauważyć. Ponadto Jamie znalazł wśród personelu lekarza znającego rosyjski, któremu poleciliśmy opiekę nad pacjentem.

- Dlaczego nic mi pan o tym nie powiedział?

- Rosjanie też nic o tym nie wiedzą. Z czysto lekarskich względów dobrze jest mieć pod ręką lekarza, który może się porozumieć z pacjentem w jego języku. - Tait uśmiechnął się zadowolony, że udało mu się przeprowadzić własną akcję wywiadowczą bez rozmijania się z etyką lekarską i regulaminem marynarki. Wyjął z kieszeni zapisaną kartkę papieru. - W

każdym razie wiemy już, że pacjent nazywa się Andriej Katyskin. Tak, jak sądziliśmy, jest kucharzem okrętowym i pochodzi z Leningradu. Jego okręt nazywa się „Politowski”.

- Gratulacje, panie doktorze - powiedział oficer wywiadu, który szybko pogodził się z podstępem Taita.

Jak to jest, myślał, że amatorzy mają szczęście, kiedy zabierają się do nie swoich spraw.

- A więc dlaczego Rosjanie są rozczarowani? - Tait nie dostał jeszcze odpowiedzi na swoje pytanie. - I dlaczego wy nie umieściliście przy nim nikogo? Przez cały czas wiedzieliście, prawda? Wiedzieliście, jak się nazywa jego okręt i dlaczego zatonął... Jeśli natomiast Rosjanie chcieli przede wszystkim dowiedzieć się, z jakiego pochodzi okrętu, i jeśli wcale nie są zadowoleni z tego, czego się dowiedzieli, czy to oznacza, że zaginął im jeszcze jeden okręt podwodny?

Siedziba CIA

Moore podniósł słuchawkę:

- James, proszę zaraz przyjść do mnie razem z Bobem!
- O co chodzi, Arturze? - zapytał minutę później Greer.
- Ostatnie wieści od Kardynała - Moore podał obu mężczyznom kserokopie otrzymanej wiadomości.
- Jak prędko możemy to przekazać?
- Na taką odległość? Wymaga śmigłowca, czyli co najmniej za kilka godzin. Trzeba to zrobić o wiele prędzej - denerwował się Greer.
- Zasada numer jeden. Nie narażać Kardynała. Kropka. Zszyfruj wiadomość i niech marynarka albo lotnictwo dostarczy ją przez kuriera. - Moore'owi wcale się to nie podobało, ale nie widział innego wyjścia.
- Ale to będzie długo trwało - głośno zaprotestował Greer.
- Ja też lubię tego chłopaka, James. Ale nie mamy o czym mówić. Zabieraj się do roboty.

Greer wyszedł z pokoju, klnąc, jak to tylko stary marynarz potrafi.

„Czerwony Październik”

- Towarzysze oficerowie i marynarze, tu mówi kapitan.

Marynarze zwrócili uwagę, że głos Ramiusa brzmiał nienormalnie łagodnie. Panika, jaka nastąpiła kilka godzin wcześniej, doprowadziła ich na skraj buntu.

- Próby naprawienia silników nie powiodły się. Akumulatory są prawie wyczerpane.

Jesteśmy zbyt daleko od Kuby, aby spodziewać się ratunku i nie możemy liczyć na pomoc z ojczyzny. Energii elektrycznej wystarczy do obsługi urządzeń regeneracji powietrza tylko przez kilka godzin. Nie mamy wyboru, musimy opuścić okręt. To nie przypadek, że tak blisko nas znajduje się amerykański okręt i oferuje tak zwaną pomoc. Powiem wam, co się stało, towarzysze. Imperialistyczny szpieg dokonał na naszym okręcie sabotażu. Wróg musiał

dowiedzieć się, jakie otrzymaliśmy rozkazy i czekał tu na nas, towarzysze, mając nadzieję, że dostanie nasz okręt w swoje brudne łapy. Załoga zostanie ewakuowana z okrętu, ale Amerykanie nigdy nie zdobędą „Czerwonego Października”. Starsi oficerowie i ja zostaniemy na pokładzie i odpalimy ładunki zatapiające. W tym miejscu dno jest na głębokości tysiąca pięciuset metrów. Nie dostaną go. Niech cała załoga z wyjątkiem pełniących służbę zbierze się w pomieszczeniach mieszkalnych. To wszystko. - Ramius rozejrzał się po centrali. -

Przeegraliśmy, towarzysze. Bugajew, proszę przesłać wiadomość do Moskwy i na amerykański okręt. Następnie zejdziemy na sto metrów. Nie damy im szans przechwycenia okrętu. Przyjmuję na siebie całą odpowiedzialność za tę hańbę! Proszę to dobrze zapamiętać, towarzysze. Cała wina spoczywa wyłącznie na mnie.

USS „Pigeon”

- Otrzymaliśmy sygnał „SSS” - zameldował radiotelegrafista.
- Był pan już kiedyś w okręcie podwodnym, Ryan? - zapytał Cook.
- Nigdy. Mam nadzieję, że to bardziej bezpieczne niż latanie - próbował żartować Ryan. Był przerażony.
- No to chodźmy do „Mystica”.

USS „Mystic”

Łódź podwodna składała się z trzech metalowych, połączonych ze sobą zbiorników kulistych, które z tyłu były zaopatrzone w śrubę napędową i otoczone stalowym wzmocnieniem. Ryan wszedł do środka pierwszy, za nim Williams. Usiedli w fotelach i czekali. Trzyosobowa załoga zajęta była przygotowaniami.

Gdy „Mystic” gotowy był do akcji, dźwig „Pigeona” opuścił go na powierzchnię morza. Od razu się zanurzyli na cicho pracujących silnikach elektrycznych. Sonar niskiej mocy natychmiast zlokalizował radziecki okręt podwodny w odległości ośmiuset metrów, na głębokości stu metrów. Załoga wiedziała tylko tyle, że jest to zwykła misja ratownicza, a na tym znali się doskonale. Po dziesięciu minutach „Mystic” zawisł nad lukiem ratunkowym

„Czerwonego Października”.

Documowali na kierunkowych śrubach napędowych i podporucznik z załogi sprawdził, czy kołnierz łączący łódź ratunkową z „Czerwonym Październikiem” jest hermetyczny. Wodę ze środka kołnierza cumowniczego szybko przepompowano do zbiornika niskiego ciśnienia na „Mysticu”, co wzmocniło połączenie obu jednostek.

- Teraz wy przejmujecie pałeczkę - powiedział porucznik, wskazując Ryanowi pokrywę luku w podłodze środkowego segmentu.

- Na to wygląda.

Ryan nachylił się nad włazem i kilka razy uderzył ręką. Żadnej odpowiedzi. Dopiero gdy użył ciężkiego klucza nasadkowego, usłyszał trzy głośnie stuknięcia. Obrócił koło zasuwę na środku włazu, podniósł pokrywę i zobaczył, że pod spodem znajduje się drugi właz, już otwarty. Grodz w dole była zamknięta. Ryan wstrzymał oddech i zszedł po drabince na dno pomalowanego na biało cylindra. Za nim ruszył Williams. Gdy znalazł się na dole, zastukał

do drzwi.

„Czerwony Październik”

Otworzyły się natychmiast.

- Panowie, jestem komandor Ryan z Marynarki Stanów Zjednoczonych. W czym możemy pomóc?

Mężczyzna, do którego mówił, był niższy i grubszy od niego. Złotawe naramienniki z trzema gwiazdkami, cała tablica baretek na piersi, szerokie złote paski na rękawach. A więc to jest Marko Ramius...

- Czy mówi pan po rosyjsku?

- Nie, proszę pana. Na czym polega wasz problem?

- Nastąpił poważny przeciek w systemie reaktora. Cała rufa za centralą jest skażona radioaktywnie. Musimy ewakuować okręt.

Na słowa „przeciek” i „reaktor” Ryan poczuł gęsią skórę. Przypomniawszy sobie teraz, jaki był pewien niezawodności scenariusza. Na łodzi, tysiąc sześćset kilometrów stąd, w przyjemnym, ciepłym gabinecie i w otoczeniu przyjaciół, a nie wrogów. Teraz znajdował się w jednym pomieszczeniu z dwudziestką patrzących na niego z wrogością mężczyzn.

- Boże! W takim razie nie ma co czekać, bierzmy się szybko do roboty. Za jednym razem możemy zabrać dwudziestu pięciu ludzi, panie kapitanie.

- Nie tak prędko, komandorze Ryan. Co się stanie z moimi ludźmi? - głośno zapytał

Ramius.

- Zostaną, rzecz jasna, potraktowani jak goście. Zapewnimy im pomoc lekarską, jeśli okaże się to potrzebne. Zostaną odesłani do Związku Radzieckiego tak szybko, jak tylko da się to zorganizować. Czy myślał pan, że wsadzimy ich do więzienia?

Ramius westchnął i odwróciwszy się, zaczął rozmawiać po rosyjsku z pozostałymi. Po drodze z „Invincible’a” Ryan i Williams ustalili, że na razie Anglik nie będzie się ujawniać ze swoją znajomością rosyjskiego. Williams miał na sobie mundur amerykański i było mało prawdopodobne, że Rosjanie zwrócą uwagę na odmienną wymowę.

- Doktorze Pietrow - powiedział Ramius - proszę przygotować pierwszą grupę dwudziestu pięciu marynarzy. Dowodzi pan nimi, towarzyszu doktorze! Nie może pan dopuścić, aby Amerykanie rozmawiali z nimi na osobności. Wszyscy mają trzymać się razem i odpowiednio zachowywać. Tylko tyle, ani więcej, ani mniej.

- Zrozumiałem, towarzyszu kapitanie.

Ryan obserwował, jak Pietrow liczy ludzi przechodzących przez właz i wspinających się po szczeblach do góry. Na koniec Williams zamknął najpierw właz w „Mysticu”, a następnie pokrywę luku ratunkowego „Października”. Ramius kazał miczmanowi sprawdzić zamknięcie. Usłyszeli, że łódź ratunkowa odcumowuje i odpływa.

Zapadła długa i niezręczna cisza. Ryan i Williams stali w jednym rogu pomieszczenia, a Ramius i jego ludzie w przeciwnym. Przypomniało to Ryanowi czasy szkolnych potańcówek, gdzie chłopcy i dziewczęta grupowali się osobno, oddzieleni pustą przestrzenią podłogi. Gdy jeden z Rosjan sięgnął po papierosa, Ryan spróbował przełamać lody.

- Czy może pan mnie poczęstować?

Borodin wytrząsnął papierosa z paczki. Ryan włożył go do ust, a Borodin przypalił

papierową zapalką.

- Dziękuję. Rzuciłem palenie, ale myślę, że na okręcie podwodnym z uszkodzonym reaktorem jeden papieros mi nie zaszkodzi, prawda? - Pierwsze zetknięcie Ryana z radzieckimi papierosami nie było najszcześniejsze. Czarny gruby tytoń przyprawił go o zawrót głowy i uzupełnił ostrym zapachem ciężkie od potu, smarów i kapusty powietrze.

- Jak to się stało, że akurat się tu znaleźliście? - zapytał Ramius.

- Płynęliśmy do wybrzeży Wirginii. W zeszłym tygodniu zatonął tam radziecki okręt podwodny.

- Ach tak? - powiedział Ramius, podziwiając przygotowaną opowieść. - Radziecki okręt podwodny?

- Tak jest, panie kapitanie. Ten typ nazywamy *Alfq*. Niewiele ponadto wiem.

Wyłowiono jednego rozbitka, który znajduje się w szpitalu marynarki w Norfolk. Czy mogę zapytać, jak się pan nazywa?

- Marko Aleksandrowicz Ramius.

- Jack Ryan.

- Owen Williams.

Przywitali się ze wszystkimi obecnymi w centrali.

- Czy ma pan rodzinę, komandorze Ryan? - zapytał Ramius.

- Tak. Żonę, syna i córkę. A pan?

- Ja nie mam rodziny - odparł kapitan. Odwrócił się i polecił po rosyjsku jednemu z młodszych oficerów: - Poprowadzicie następną grupę. Słyszeliście, co powiedziałem lekarzowi?

- Tak jest, towarzyszu kapitanie - odparł młody oficer.

Usłyszeli nad głową elektryczne motory „Mystica”. Po chwili rozległ się metaliczny szczęk uderzenia oznaczający, że łączący kołnierz osiadł na luku ratowniczym. Cała podróż tam i z powrotem zajęła czterdzieści minut, choć wydawało się, że czekali dobry tydzień. A jeśli naprawdę mają uszkodzony reaktor? - pomyślał Ryan.

USS „Scamp”

Trzydzieści sześć kilometrów dalej „Scamp” zatrzymał się kilkaset metrów od „Ethan Allen”. Okręty porozumiewały się za pomocą telefonu hydroakustycznego. Godzinę wcześniej operatorzy sonaru na „Scampie” zwrócili uwagę na przepływające w pobliżu trzy okręty podwodne. W tej chwili „Pogy” i „Dallas” oddzielały ich od „Czerwonego Października” i pozostałych dwóch amerykańskich okrętów podwodnych. Hydroakustycy z napięciem wsłuchiwali się w odgłosy z powierzchni, żeby w porę zasygnalizować pojawienie się w pobliżu jakichkolwiek statków lub okrętów. Operację przeprowadzano daleko od brzegu, aby uniknąć spotkań ze statkami handlowymi i tankowcami, ale mógł się trafić jakiś przypadkowy statek z odleglejszego portu.

„Czerwony Październik”

Gdy pod dowództwem porucznika Swiadowa odpływała trzecia grupa marynarzy, od końca kolejki wchodzących do luku marynarzy odłączył się kuk, mówiąc, że zapomniał

zabrać kasetowy magnetofon, na który miesiącami odkładał pieniądze. Nikt, nawet Ramius nie zwrócił uwagi, że kucharz nie wrócił. Załoga, nie wyłączając doświadczonych miczmanów, przepychała się do przodu, chcąc jak najszybciej opuścić okręt. Została już tylko jedna grupa do ewakuacji.

USS „Pigeon”

Na „Pigeonie” radzieckich rozbitków umieszczono w mesie i załoga przyglądała się im z bliska, ale w milczeniu. Dla Rosjan przygotowano na stołach kawę, jajka na bekonie i tosty. Bardzo to odpowiadało Pietrowowi. Nietrudno mieć wszystkich na oku, gdy rzucają się na jedzenie jak wygłodniałe wilki. Za pośrednictwem młodszego oficera znającego język Rosjanie poprosili o dokładkę. Kuchnia miała rozkaz dać im tyle jedzenia, ile zechcą. W ten sposób wszyscy byli zajęci. Tymczasem na pokładzie wylądował śmigłowiec z dwudziestoma ludźmi, a jeden z nich rzucił się biegiem na mostek.

„Czerwony Październik”

- Ostatnia grupa - mruknął do siebie Ryan.

„Mystic” znów zacumował. Przewiezienie ostatniej grupy zajęło całą godzinę. Gdy otwarto luki, porucznik z łodzi ratunkowej zszedł na dół.

- Następny kurs będzie opóźniony. Niedługo wyczerpią się nam baterie i trzeba poczekać dziewięćdziesiąt minut na naładowanie. W porządku?

- Niech tak będzie - odparł Ramius. Wy tłumaczył sytuację po rosyjsku i rozkazał

poprowadzić grupę Iwanowowi. - Wyżsi oficerowie zostają. Mamy jeszcze trochę pracy. -

Ramius wziął oficera za rękę. - Jeśli coś się stanie, powiedzcie w Moskwie, że spełniliśmy nasz obowiązek.

- Powiem, towarzyszu kapitanie - zapewnił prawie z płaczem Iwanow.

Wyszli ostatni marynarze, zamknięto luk ratunkowy „Czerwonego Października”, po chwili zatrzęsnał się właz „Mystica”.

Minutę później usłyszeli metaliczny dźwięk i miniaturowa łódź odcumowała. Szum motorów elektrycznych wzmógł się, a po chwili szybko zanikł. Ryan poczuł, jakby waliły się na niego pomalowane na zielono ściany grodzi. Lot samolotem napędza sporo strachu, ale przynajmniej nie daje takiego poczucia zamknięcia. Tutaj natomiast tkwił pod wodą, o pięćset pięćdziesiąt kilometrów od brzegu, w największym na świecie okręcie podwodnym, na którego pokładzie zostało tylko dziesięciu ludzi załogi.

- Komandorze Ryan - powiedział Ramius, stając na baczność - moi oficerowie i ja prosimy o udzielenie azylu politycznego w Stanach Zjednoczonych. Przy okazji przekazujemy ten mały prezent. - Ramius wskazał gestem na stalowe grodzie.

Ryan już wcześniej miał przygotowaną odpowiedź.

- Panie kapitanie, w imieniu prezydenta Stanów Zjednoczonych mam zaszczyt spełnić wasze życzenie. Panowie, witamy w wolnym świecie.

Nikt nie wiedział, że w pomieszczeniu jest włączony telefon wewnętrzny. Światło kontrolne uszkodzono wiele godzin wcześniej. Dwa przedziały dalej słuchał ich kuk.

Miałem rację, zostając na okręcie, myślał, choć raczej wolałbym się pomylić. Co mam teraz zrobić, zastanawiał się dalej. Wykonać zadanie. Brzmi to prosto, ale czy nie zapomniał, jak to zrobić?

- Nie wiem, jak wyrazić swój podziw. - Ryan podawał każdemu rękę. -

Nieprawdopodobne osiągnięcie. Naprawdę nieprawdopodobne.

- Przepraszam - zapytał Kamarow - czy mówi pan może po rosyjsku?

- Niestety, rosyjski zna porucznik Williams, nie ja. Zamiast mnie miała być tu grupa znających rosyjski oficerów. Niestety, zeszłej nocy ich śmigłowiec wpadł do morza. -

Williams przetłumaczył. Czterech z obecnych nie znało angielskiego.

- I co dalej?

- Za kilka minut eksploduje raketowy okręt podwodny w odległości około czterech kilometrów stąd. Nasz własny, już przestarzały. Domyślam się, że zapowiedzieliście swoim ludziom, iż zatopicie okręt. Mam też nadzieję, że nie znają waszych prawdziwych zamiarów?

- Miałbym wtedy wojnę na pokładzie. - Ramius uśmiechnął się. - Nie, załoga nic nie wie. A co dalej?

- Gdy wszyscy uznają, że „Czerwony Październik” zatonął, skierujemy się na północny zachód, do zatoki Ocracoke, i poczekamy. Będą nas eskortować USS „Dallas” i

„Pogy”. Czy wystarczy wam ludzi do kierowania okrętem?

- Ci ludzie mogą prowadzić każdy okręt na świecie! - Ramius powiedział to najpierw po rosyjsku. Jego oficerowie uśmiechnęli się. - A więc uważacie, że nasi marynarze nie będą wiedzieli, co się z nami stało?

- Nie. Z „Pigeona” zauważą eksplozję pod wodą, ale w żaden sposób nie będą mogli stwierdzić, że nastąpiła w innym miejscu. Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, że marynarka radziecka obstawiała całe nasze wybrzeże dużą liczbą okrętów. Gdy odpłyną, wtedy, no cóż, wtedy zastanowimy się, gdzie na stałe umieścić wasz prezent. Nie wiem jeszcze, gdzie. Wasi ludzie, rzecz jasna, będą naszymi gośćmi. Będą chcieli z wami porozmawiać nasi specjaliści. Tymczasem mogę was zapewnić, że będziecie bardzo dobrze traktowani, lepiej, niż możecie to sobie wyobrazić. - Ryan był pewien, że CIA ofiaruje każdemu z nich poważną sumę pieniędzy. Nie powiedział o tym na głos, nie chcąc urazić poczucia godności tych dzielnych ludzi. Pamiętał, że był bardzo zaskoczony, kiedy przeczytał, iż uciekinierzy rzadko oczekują pieniędzy i prawie nigdy o nie nie proszą.

- A co ze szkoleniem politycznym? - zapytał Kamarow.

Ryan roześmiał się.

- Panie poruczniku, ktoś przy jakiejś okazji weźmie was na bok i wytłumaczy, jak funkcjonuje nasz kraj. Zajmie to jakieś dwie godziny. Od tego momentu możecie zacząć mówić nam, co waszym zdaniem źle funkcjonuje. Robią to wszyscy na świecie, więc dlaczego i wy nie mielibyście spróbować? Ale teraz nie mogę się tym zająć. Możecie mi wierzyć, spodoba się wam u nas, prawdopodobnie bardziej niż mnie. Nigdy nie mieszkałem w kraju, gdzie ludzie nie są wolni, może więc nie cenię swojego kraju tak, jak powinienem.

Tymczasem, o ile się nie mylę, macie sporo roboty.

- Zgadza się - powiedział Ramius. - Chodźcie, przyjaciele, dla was też znajdzie się zajęcie.

Kapitan poprowadził Ryana w stronę rury przez kilka par wodoszczelnych grodzi. Po kilku minutach znaleźli się w przedziale raketowym. Było to rozległe pomieszczenie z dwudziestoma sześcioma ciemnozielonymi kolumnami, które przechodziły przez dwa pokłady. Serce raketowego okrętu zawierało ponad dwieście ładunków termonuklearnych.

Wiało stąd taką grozą, że Ryanowi zjeżyły się włosy na karku. To nie żadne akademickie abstrakcje,

ale rzeczywistość. Pokład, po którym szli, wykonano ze stalowych kratownic.

Niższy pokład, widoczny w dole, miał podłogę z pełnych płyt. Wyszli stamtąd i po minięciu jeszcze jednego pomieszczenia znaleźli się w sterowni. Na całym okręcie panowała głucha cisza, Ryan zrozumiał, dlaczego marynarze są przesądni.

- Będzie pan siedział tutaj. - Ramius pokazał Ryanowi stanowisko stersygnalisty po lewej stronie przedziału. Znajdowały się tam stery podobne do lotniczych, a przed nimi pulpit pełen przyrządów.

- Co mam robić? - zapytał Ryan, zajmując miejsce.

- Będzie pan sterować okrętem, komandorze. Czyżby nigdy pan tego nie robił?

- Nie, nigdy nie byłem na okręcie podwodnym.

- Ale jest pan oficerem marynarki. - Ryan pokręcił głową.

- Nie, panie kapitanie. Pracuję dla CIA.

- CIA? - Ramius wypowiedział znany skrót, jakby był trujący.

- Wiem, wiem. - Ryan opuścił głowę na koło sterowe. - Mówią o nas „Siły Ciemności”. Ale ma pan przed sobą taką ciemną siłę, która prawdopodobnie narobi w spodnie, zanim się to skończy. Pracuję za biurkiem i proszę uwierzyć, że najchętniej siedziałbym teraz w domu z żoną i dziećmi. Gdybym miał trochę oleju w głowie, nie ruszałbym się z Annapolis i pisał swoje książki.

- Książki? Co ma pan na myśli?

- Jestem historykiem, panie kapitanie. Kilka lat temu zaproponowano mi pracę w CIA w charakterze analityka. Wie pan, na czym to polega? Agenci dostarczają danych, a ja próbuję się połapać, co te dane oznaczają. Wpadłem w tę historię przypadkiem. Cholera, nie wierzy mi pan, ale to prawda. W każdym razie, niegdyś zajmowałem się pisaniem książek o historii marynarki.

- Proszę podać tytuły.

- *Wybory i decyzje, Skazane orły*, a w przyszłym roku ma wyjść *Waleczny żeglarz*, biografia admirała Halseya. Pierwsza moja książka dotyczyła bitwy w zatoce Leyte.

Recenzowano ją w czasopiśmie „*Morskiej Sbornik*”, o ile się nie mylę. Dotyczyła problemów podejmowania decyzji taktycznych w warunkach bojowych. W bibliotece Akademii imienia Frunzego powinno być kilka egzemplarzy.

Ramius milczał przez chwilę.

- Ach tak, znam tę książkę. Tak, czytałem fragmenty. Pan się pomylił, Ryan. Halsey działał

nierozważnie.

- Poradzi pan sobie u nas. Już pan się stał krytykiem literackim. Kapitanie Borodin, czy mogę jeszcze raz prosić pana o papierosa? - Borodin rzucił mu paczkę i zapaliki.

Ryan zapalił. Były wstrętne w smaku.

USS „Avalon”

Powrót „Mystica” z czwartą grupą marynarzy był hasłem do działania dla „Ethan Allen” i „Scampa”. „Avalon” odłączył się od „Scampa” i pokonał kilkaset metrów dzielących go od starego okrętu. Kapitan „Ethan Allen” był gotów. Zgromadził załogę w przedziale torpedowym. Otwarto każde drzwi, każdy luk i właz. Jeden z oficerów wracał właśnie na dziób. Ciągnął za sobą czarny kabel, którym połączył cztery znajdujące się na pokładzie bomby z detonatorem zegarowym.

- Wszystko gotowe, panie kapitanie.

„Czerwony Październik”

Ryan przyglądał się wydającemu rozkazy Ramiusowi. Załoga rozchodziła się na stanowiska, przede wszystkim na rufę do obsługi silników. Ramius był na tyle delikatny, żeby mówić po angielsku, powtarzając po rosyjsku dla tych, którzy nie znali jeszcze swojego nowego języka.

- Kamarow i Williams, pójdziecie na dziób i zamkniecie wszystkie grodzie. - Jeśli coś nawali - wyjaśnił Ryanowi - nie powinno, ale wszystko jest możliwe, nie mamy dosyć ludzi do napraw. Dlatego izolujemy wszystkie przedziały.

Dla Ryana brzmiało to rozsądnie. Postawił pustą filiżankę, jako popielniczkę, na podstawie tablicy przyrządów. Zostali we dwóch z kapitanem w centrum dowodzenia.

- Kiedy ruszamy? - zapytał Ramius.

- Kiedy będziecie gotowi, kapitanie. Do zatoki Ocracoke trzeba wchodzić z przyływem, około ośmiu minut po północy. Zdamy?

Ramius spojrział na mapę.

- Bez trudności.

Kamarow poprowadził Williamsa przez przedział łączności na dziób. Zostawili za sobą otwarte drzwi w grodzi i weszli do przedziału raketowego, zeszli po drabinie i ruszyli dolnym pokładem. Przeszli przez drzwi w przedniej grodzi przedziału. Dalej rozpoczynały się magazyny, zaczęli więc sprawdzać wszystkie włazy i drzwi. Na dziobie wspięli się do przedziału torpedowego na górnym pokładzie, zatrzasnąwszy za sobą właz, i ruszyli z powrotem przez magazyn torped i pomieszczenia załogi. Obaj czuli się trochę nieswojo na pozbawionym załogi okręcie, nie śpieszyli się więc zbyt. Williams starał się wszystko zobaczyć i zasypywał Kamarowa pytaniami. Porucznik był zadowolony, że może odpowiadać po rosyjsku. Zbliżało ich do siebie romantyczne przywiązanie do swego zawodu. Williams kilkakrotnie przyznał, że „Czerwony Październik” zrobił na nim ogromne wrażenie. Budując tego olbrzyma, wiele uwagi poświęcono drobiazgom. Podłogę pokrywały płytki. Luki wyłożono grubymi gumowymi uszczelkami. Poruszali się po okręcie prawie bez hałasu, sprawdzając szczelność luków. Rzuciło się w oczy, jak wiele uwagi poświęcono wyciszeniu okrętu.

Gdy otworzyli drzwi do przedziału raketowego, Williams tłumaczył na rosyjski swoją ulubioną morską opowieść. Przechodząc za Kamarowem przez wysoki próg, pamiętał, że przedtem zostawili włączone jasne górne oświetlenie. A może nie?

Ryan bez powodzenia próbował się odprężyć. Fotel był niewygodny i Amerykanin przypomniał sobie dowcip o tym, jak w Związku Radzieckim urabia się nowego człowieka -

właśnie na fotelach lotniczych formujących ludzi w różnego rodzaju nieprawdopodobne kształty. Na rufie załoga maszynowni rozpoczęła uruchamianie reaktora. Ramius rozmawiał

przez telefon pokładowy z głównym mechanikiem, a w tym samym czasie w reaktorze zaczęło szumieć chłodziwo, tworząc parę poruszającą turbiny prądnic.

Ryan podniósł głowę. Najpierw jakby odczuł, a dopiero po chwili usłyszał stłumiony dźwięk. Zanim jeszcze zdał sobie sprawę z tego, co słyszy, po plecach przebiegł mu dreszcz.

- Co to było? - zapytał automatycznie, ale już znał odpowiedź.

- Co takiego? - Ramius stał parę metrów dalej. Właśnie włączały się silniki

„gąsienicy” i dziwny łoskot przetoczył się przez kadłub.

- Usłyszałem wystrzał. Nie, parę wystrzałów. - Ramius podszedł bliżej. Wydawał się rozbawiony.

- Prawdopodobnie słyszałeś odgłos pracujących silników „gąsienicy”. Jesteś pierwszy raz na okręcie podwodnym. Pierwszy raz nigdy nie jest łatwy. Też przez to musiałem przejść.

Ryan wstał.

- Być może, panie kapitanie, ale potrafię odróżnić odgłos wystrzału od dźwięku silnika - oznajmił, rozpinając mundur.

Wyciągnął pistolet.

- Proszę mi to oddać. - Ramius wyciągnął rękę. - Na moim okręcie nie wolno nosić broni.

- Gdzie są Williams i Kamarow? - machnął ręką Ryan.

- Spóźniają się, to prawda, ale to naprawdę duży okręt - wzruszył ramionami Ramius.

- Idę na dziób sprawdzić.

- Proszę zostać na posterunku - rozkazał Ramius - i robić to, co mówię!

- Kapitanie, przed chwilą usłyszałem coś, co zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu i muszę przekonać się, co to takiego. Czy do pana strzelano? Do mnie tak i mam całe ramię w bliznach. Niech pan lepiej przejmie ode mnie stery, panie kapitanie.

Ramius podniósł słuchawkę i nacisnął guzik. Przez chwilę rozmawiał z kimś po rosyjsku i odłożył słuchawkę.

- Pójdę z panem i pokażę, że na moim okręcie nie ma dusz... czy duchów? Duchy duchami - wskazał ręką pistolet - a ty oczywiście nie jesteś szpiegiem, co?

- Kapitanie, może mi pan wierzyć albo nie. To długa historia i kiedyś opowiem ją panu w całości. - Ryan niecierpliwie czekał na zastępcę, którego Ramius wezwał. Łoskot napędu tunelowego powodował, że czuł się jak we wnętrzu bębna.

Do centrali wszedł oficer, którego nazwiska Ryan nie pamiętał. Ramius powiedział

coś, co rozśmieszyło tamtego, ale przestał się śmiać, gdy zobaczył pistolet w ręku Ryana.

Rosjanom najwyraźniej nie podobała się podejrzliwość Ryana.

- Pan pozwoli, kapitanie? - Ryan pokazał gestem drzwi.

- Proszę bardzo.

Hermetyczne drzwi między centralą a następnym pomieszczeniem były otwarte. Ryan powoli wszedł do sekcji łączności, spoglądając w lewo i w prawo. Kabina była pusta.

Podszedł do drzwi przedziału raketowego. Były szczelnie zamknięte. Luk drzwiowy miał

mniej więcej metr pięćdziesiąt wysokości i pół metra szerokości, a blokowało się go umieszczonym

pośrodku kołem. Ryan obrócił koło jedną ręką. Było dobrze nasmarowane.

Zawiasy również. Powoli uchylił drzwi i wyrztał zza listwy uszczelniającej.

- Cholera - wyszeptał, wzywając gestem kapitana.

Przedział rakietowy miał dobre pięćdziesiąt metrów długości. Oświetlało go tylko sześć lub osiem słabych żarówek. Czy przypadkiem całe wnętrze nie było przedtem jasno oświetlone? Na drugim końcu przedziału drgała nieregularna plama światła, w której dostrzec można było dwa nieruchome cienie, rozciągnięte na kratownicy podłogi. Światło mrugało w pobliżu jednego z szybów rakietowych.

- Duchy, kapitanie? - wyszeptał.

- To Kamarow - powiedział Ramius, ale dorzucił jeszcze coś po rosyjsku.

Ryan odciągnął zamek swojego FN, wprowadzając nabój do komory, następnie zdjął buty.

- Lepiej będzie, jeśli ja się tym zajmę. Kiedyś byłem porucznikiem w marines. - Ale mój trening w Quantico, pomyślał, miał cholernie mało wspólnego z takimi rzeczami. Wszedł do środka.

Przedział rakietowy zajmował prawie jedną trzecią długości całego okrętu. Przecinały go dwa pokłady, górny z kratownicy, a dolny z litych płyt. Na okrętach amerykańskich miejsce to nazywano Lasem Sherwood. I rzeczywiście, prawie trzymetrowej średnicy, zielone szyby startowe pocisków, pomalowane na odcień nieco ciemniejszy niż reszta pomieszczenia, przypominały pnie potężnych drzew. Ryan przymknął za sobą drzwi i ruszył na prawo.

Światło dochodziło gdzieś z górnego pokładu, zza wyrzutni położonej najdalej przy prawej burcie. Ryan zatrzymał się, nasłuchując. Coś się tam działo. Słysząc było cichy szelest, a światło poruszało się tak, jakby ktoś trzymał w ręku lampę. Gładkie wewnętrzne ściany kadłuba wzmacniały każdy dźwięk.

- Dlaczego zawsze wypada na mnie? - wyszeptał cicho sam do siebie.

Żeby dotrzeć do źródła światła, musi pokonać ponad pięćdziesiąt metrów otwartej przestrzeni, wymijając trzynaście grubych szybów wyrzutni.

Z pistoletem trzymany w prawej dłoni na wysokości pasa, dotykając lewą zimnego metalu wyrzutni, obszedł pierwszy szyb. Już teraz pot zwilżał mu dłoń ściskającą nacięte okładziny kolby. To dlatego, pomyślał, są tak ponacinane. Znalazł się między pierwszą i drugą raketą. Nie było tu nikogo. Przygotował się do następnego skoku. Jeszcze dwanaście rakiet.

Kratownica pokładu wykonana była z cienkich prętów stalowych, które wrzynały mu się w stopy.

Skradał się ostrożnie i powoli wzdłuż następnej okrągłej wyrzutni. Poczł się jak astronauta na orbicie wokół Księżycy, którego statek goni uciekającą linię horyzontu. Tylko że na Księżycu nikt nie czekał z bronią gotową do strzału.

Na ramieniu nagle poczuł dotknięcie czyjejs dłoni. Obrócił się gwałtownie. Ramius.

Chciał coś powiedzieć, ale Ryan położył palec na ustach i pokręcił głową. Serce biło mu tak mocno, że mógłby nim wysyłać depesze alfabetem Morse'a. Słyszał własny oddech. Ale dlaczego, do cholery, nie usłyszał Ramiusa?

Gestem pokazał kapitanowi, że zamierza obchodzić od zewnątrz kolejne szyby wyrzutni, ale Ramius wskazał, że lepiej iść po wewnętrznej stronie. Ryan skinął głową.

Najpierw jednak zapiął mundur i podniósł kołnierz, zasłaniając biały trójkąt koszuli pod szyją. Trudniej będzie go trafić. Kolejna wyrzutnia.

Ryan zwrócił uwagę, że były na nich namalowane cyrylicą jakieś słowa. Inne oznaczenia wyryto bezpośrednio w metalu.

Prawdopodobnie „palenie wzbronione” albo „Lenin wiecznie żywy” lub coś równie bezsensownego. Słyszał i widział wszystko bardzo ostro, tak jakby ktoś wypucował papierem ściernym wszystkie jego zmysły. Prześliznął się wzdłuż kolejnej rakiety, zaciskając nerwowo palce na kolbie pistoletu. Nie mógł nawet otrzeć zalewającego mu oczy potu. Pusto.

Posuwanie się po wewnętrznej stronie było bezpieczniejsze. Następna rakiet...

Dotarcie do połowy pomieszczenia, między szóstą i siódmą wyrzutnią, zajęło mu pięć minut. Dźwięki z czoła pomieszczenia były teraz głośniejsze. Wyraźnie widział, że światło się porusza.

Cień rakiety numer jeden lekko drgał. Prawdopodobnie lampa robocza włączona do kontaktu w ścianie, czy jak się to nazywa na okrętach. Co robi ten człowiek? Grzebie w rakiecie? Czy tylko jeden, czy jest ich więcej? Dlaczego Ramius nie przeliczył

ewakuowanych marynarzy?

A dlaczego ja tego nie zrobiłem? Ryan zaklął w myśli. Jeszcze sześć wyrzutni.

Gdy obchodził następną, pokazał Ramiusowi, że mają przed sobą prawdopodobnie tylko jednego człowieka. Kapitan lekko skinął głową. Już wcześniej sam doszedł do podobnego wniosku. Dopiero teraz zwrócił uwagę, że Ryan jest bosy i postanowił pójść w jego ślady. Chcąc zdjąć but, podniósł do góry lewą stopę, ale palce miał zdrętwiałe i zimne.

But głośno uderzył o kratownicę. Ryan był akurat na otwartej przestrzeni. Zastygł w miejscu.

Światło na końcu przedziału drgnęło i zamarło. Ryan rzucił się na lewo i wyrzał zza szyby rakiety.

Jeszcze pięć. Zobaczył zarys twarzy i błysk.

Usłyszał strzał i skulił się, gdy kula uderzyła głośno w grodz za nim. Cofnął się za osłonę.

- Przejdę na drugą stronę - szepnął Ramius.

- Powiem ci, kiedy. - Ryan chwycił Ramiusa za rękę i przeszedł na drugą stronę szybu, wysuwając przed siebie broń.

Znów zobaczył twarz, ale tym razem zdążył strzelić pierwszy, wiedząc, że i tak nie trafi. W tej samej chwili pchnął Ramiusa na lewo. Kapitan przebiegł przez środek pokładu i skrył się po drugiej stronie za wyrzutnią.

- Mamy cię - powiedział Ryan głośno.

- Nikogo nie macie. - Głos był młody i bardzo wystraszony.

- Co robisz? - zapytał Ramius.

- A jak myślisz, jankesie? - Tym razem sarkazm był bardziej przekonujący.

Prawdopodobnie próbuje wysadzić głowicę, uznał Ryan. Wesoła myśl.

- W takim razie zginiesz z nami - powiedział.

Policja też próbuje rozmawiać z zabarykadowanymi przestępcami. Jakiś nowojorski policjant powiedział nawet kiedyś w telewizji: „Próbujemy zanudzić ich na śmierć”. Ale tak postępuje się z kryminalistami. A kogo mają teraz przed sobą? Marynarza, który nie zdążył

zabrać się z pozostałymi? Jednego ze starszych oficerów Ramiusa, który zmienił zdanie?

Agent KGB? Agent GRU, udającego członka załogi?

- No to zginę - zgodził się głos.

Światło znów poruszyło się. Próbował wrócić do przerwanej roboty.

Obiegając kolejną raketę, Ryan wystrzelił dwa razy. Jeszcze cztery wyrzutnie. Kule uderzyły w przednią grodz, nie czyniąc nikomu krzywdy. A może rykoszet... Nie. Spojrzał na lewo i zobaczył, że Ramius cały czas mu towarzyszy, chroniąc się w cieniu po zewnętrznej stronie szybów wyrzutni. Nie miał broni. Dlaczego nie zabrał pistoletu?

Ryan nabrał powietrza w płuca i skoczył za kolejną raketę. Tamten strzelił, ale niecelnie.

- Kim jesteś? - zapytał Ryan. Podniósł się na kolana i oparł o wyrzutnię dla nabrania oddechu.

- Radzieckim patriotą! Jesteś wrogiem mojej ojczyzny i nie dostaniesz tego okrętu!

Zbyt wiele mówi, uznał Ryan. To dobrze.

- Masz jakieś nazwisko?

- Moje nazwisko nie ma znaczenia.

- A rodzinę?

- Moi rodzice będą ze mnie dumni.

Agent GRU. Ryan był już tego pewien. Nie oficer polityczny. Zbyt dobra angielszczyzna. Prawdopodobnie był kimś w rodzaju zapasowego oficera politycznego. Czyli że ma do czynienia z wyszkolonym agentem. Nie żaden fanatyk, ale człowiek próbujący spełnić swój obowiązek. Był wystraszony, ale zdecydowany.

Wysadzi cały ten pieprzony okręt w powietrze razem ze mną, pomyślał Ryan. Mimo to uważał, że ma przewagę. Tamten musi coś zrobić. A jemu tylko wystarczy go powstrzymać. Przeszedł na prawą stronę i ostrożnie wyrzwał. Po jego stronie, na końcu pomieszczenia, nie widać było żadnego światła. Następny punkt dla niego. Ryanowi łatwiej będzie dostrzec przeciwnika, niż jemu dostrzec Ryana.

- Nie musisz umierać, przyjacielu. Jeśli odłożysz broń, to...- To co? - pomyślał Ryan -

Mam skończyć w więzieniu federalnym? Czy raczej po prostu zniknąć, co jest bardziej prawdopodobne. Moskwa nie może się dowiedzieć, że Amerykanie zdobyli ich okręt.

- A CIA mnie nie wykończy, co? - powiedział ironicznie i drżąc głosem. - Nie jestem głupcem. Jeśli mam zginąć, niech to przynajmniej czemuś służy, przyjacielu!

Wtedy światło zgasło. Ryan zastanawiał się, jak to jeszcze długo potrwa. Czyżby już skończył to, co robił? Jeśli tak, to za chwilę wszystko wybuchnie. A może tylko zdał sobie sprawę, że przy świetle jest bardziej widoczny. To dzieciak, lepiej lub gorzej wyszkolony, ale dzieciak. Wystraszony, ale nie mający do stracenia mniej niż Ryan. Na pewno nie, do cholery, pomyślał Ryan. Mam żonę i dwójkę dzieci, a jeśli nie dobiorę mu się do skóry, to już ich nigdy nie zobaczę.

Wesołych świąt, dzieci. Wasz tatuś właśnie wyparował. Niestety, nie ma ciała, żeby je złożyć w grobie, ale rozumiecie... Przyszło mu do głowy, żeby się krótko pomodlić. Ale o co?

O pomoc w zabiciu jeszcze jednego człowieka? Tak to jest, Panie Boże...

- Jest pan tam, kapitanie?! - zawołał.

- Da.

Przynajmniej agent GRU będzie się miał o co martwić. Ryan miał nadzieję, że obecność kapitana zmusi tamtego do przesunięcia się bardziej ku lewej stronie wyrzutni, za którą się ukrywał. Ryan

skulił się i przemknął po zewnętrznej stronie swojej rakiety. Jeszcze trzy wyrzutnie. Ramius zrobił to samo po swojej stronie. Agent strzelił do kapitana, sądząc jednak po odgłosie - niecelnie.

Musi się zatrzymać i odpocząć. Z trudnością łapał oddech. Owszem, był porucznikiem marines przez całe trzy miesiące przed katastrofą śmigłowca i powinien wiedzieć, co robić!

Przecież dowodził ludźmi. Ale o wiele łatwiej prowadzić czterdziestu ludzi niż być zdanym tylko na samego siebie.

Co dalej, co dalej...

- Może się dogadamy - zaproponował Ryan.

- Czemu nie, możemy się zastanowić, w które oko cię trafię.

- Może podobałoby ci się w Ameryce?

- A moi rodzice, jankesie? Co z nimi?

- Może udałoby się ich wydostać? - rzucił Ryan z prawej i, czekając na odpowiedź, przesunął się w lewo. Znow skoczył. Teraz tylko dwie wyrzutnie oddzielały go od

„przyjaciela” z GRU, który prawdopodobnie próbował połączyć przewodami głowice rakiet i zamienić osiemset metrów sześciennych oceanu w plazmę.

- Dalej, jankesie, zginiemy razem. Dzieli nas tylko jeden *puskatiel*.

Ryan myślał szybko. Nie pamiętał, ile razy wystrzelił, ale w magazynku mieściło się trzynaście naboí. Powinno wystarczyć. Zapasowy magazynek nie jest potrzebny. Rzuci go w jedną stronę i skoczy w przeciwną. Czy to się uda? Cholera! W filmach się udaje. Lepsze to niż nic.

Ryan przełożył pistolet do lewej dłoni, a prawą wygrzebał z wewnętrznej kieszeni zapasowy magazynek. Włożył magazynek do ust i przełożył broń z powrotem do prawej ręki.

Daleko mu do prawdziwych rewolwerowców... Lewą ręką chwycił magazynek. W porządku.

Musi go rzucić w prawo, a sam skoczyć w lewo. Uda się? Uda się, albo się nie uda, ale czasu jest coraz mniej.

W Quantico nauczono go posługiwać się mapą, rozpoznawać teren, kierować ogniem lotnictwa i artylerii, sprawnie dowodzić swoim pododdziałem i jego ogniem, a tu na co mu przyszło! Siedzi w tej cholernej stalowej rurze sto metrów pod wodą i strzela z pistoletu w pomieszczeniu wyładowanym dwoma setkami bomb wodorowych!

Pora coś zrobić. Był gotów do skoku, ale nieoczekiwanie Ramius ruszył pierwszy.

Ryan kątem oka zauważył, że kapitan biegnie w stronę grodzi dziobowej. Dopadł jej i w chwili, gdy agent do niego strzelił, zdążył włączyć światło. Ryan rzucił magazynek w prawo i skoczył do przodu. Agent odwrócił się w lewo, żeby zobaczyć, co spowodowało hałas. Był

pewien, że jego przeciwnicy działają w planowy sposób.

Pokonując odległość między dworna wyrzutniami, Ryan zauważył, że kapitan pada.

Ryan rzucił się za wyrzutnię numer jeden. Wylądował na lewym boku i nie zwracając uwagi na spowodowany upadkiem ból w ramieniu, przetoczył się po podłodze. W chwili, gdy mężczyzna się obracał, Ryan siedmiokrotnie wystrzelił, nie słysząc nawet własnego krzyku.

Dwa pociski dosięgły celu, podrywając tamtego w górę i jednocześnie obracając lekko.

Bezwładnie osunął się na pokład, a pistolet wypadł mu z ręki.

Ryan trząsł się tak, że nie mógł się podnieść. Nadal ścisnął z całej siły pistolet i celował w pierś leżącego. Oddychał ciężko. Serce biło jak oszalałe. Miał wrażenie, że rozerwie mu piersi. Zamknął usta i kilka razy spróbował przełknąć ślinę, ale wargi miał suche jak pieprz. Powoli podniósł się na kolana. Tamten jeszcze żył. Leżał na plecach z otwartymi oczami i wciąż oddychał. Ryan oparł się o podłogę i wstał.

Trafił go dwukrotnie. Raz u góry w lewe płuco, raz u dołu w brzuch, w okolicy wątroby i śledziony. Agent zaciskał ręce wokół dolnej, otoczonej krwawą plamą rany. Miał

dwadzieścia kilka lat. Jasne, niebieskie oczy patrzyły na sufit. Próbował coś powiedzieć.

Twarz zeszywniała mu z bólu i zamiast słów, z ust wydobył mu się tylko niezrozumiały bełkot.

- Kapitanie! - zawołał Ryan. - W porządku?

- Jestem ranny, ale chyba wyżyję. Kto to jest?

- Skąd, u diabła, mam wiedzieć?

Niebieskie oczy wpatrywały się w twarz Ryana. Kimkolwiek był, wiedział, że śmierć jest blisko. Ból na twarzy zastąpiło coś innego. Smutek, nieskończony smutek... Nadal próbował coś powiedzieć. W kącikach ust zebrała się różowa piana. Przestrzelone płuco.

Ryan podszedł bliżej, kopnął leżący pistolet w bok i klęknął obok rannego.

- Mogliśmy się dogadać - powiedział cicho.

Agent próbował coś powiedzieć, ale Ryan nie rozumiał. Przekleństwo, wiadomość dla matki, heroiczny slogan? Nigdy się nie dowie. Po raz ostatni oczy otworzyły się szeroko z bólu. Jeszcze

jeden oddech i ręce opadły bezwładnie. Ryan spróbował odnaleźć puls w tętnicy szyjnej. Ale puls nie było.

- Przykro mi. - Sięgnął ręką i zamknął oczy swojej ofiary.

Dlaczego miałoby mu być przykro? Strumyki potu ściekały mu z czoła. Nagle opuściły go dotychczasowe siły i ogarnęła fala mdłości. Opadł na kolana, wymiotując przez kratownicę na prześwitujący trzy metry niżej pokład.

Skurcze żołądka trwały jeszcze dobrą minutę, mimo że nie miał już czym wymiotować. Zanim wstał, musiał kilka razy splunąć, żeby choć częściowo pozbyć się z ust przykrego smaku.

Oszołomiony napięciem i potężną porcją wpompowanej do krwi adrenaliny z trudnością utrzymywał równowagę. Kilka razy potrząsnął głową, wzrok miał ciągle utkwiony w zwłokach leżącego u jego stóp mężczyzny. Pora wrócić do rzeczywistości.

Ramius krwawił z rany w udzie, którą przyciskał obiema rękami. Jednak nie wyglądało to zbyt groźnie. Gdyby miał przebitą tętnicę, już by nie żył.

Porucznik Williams został trafiony w klatkę piersiową i w głowę. Żył, choć był

nieprzytomny. Rana na głowie to tylko otarcie. Rana na piersiach, blisko serca, wydawała cmokający odgłos. Kamarow miał mniej szczęścia. Pojedynczy strzał trafił prosto w nasadę nosa. Tył głowy był jedynie krwawą miazgą.

- Dlaczego nikt nie przyjdzie nam z pomocą? - powiedział Ryan, gdy myśl o tym dotarła do niego.

- Grodz jest zamknięta. Tam jest... nie wiem, jak to się nazywa.

Ryan obrócił się i spojrzał tam, gdzie pokazywał kapitan. Chodziło mu o wewnętrzny telefon.

- Który przycisk? - Kapitan podniósł dwa palce. - Sterownia? Tu Ryan. Potrzebuję pomocy. Wasz kapitan jest ranny.

Ktoś zaczął w podnieceniu mówić po rosyjsku i Ramius odezwał się głośno, żeby go usłyszano w centrali. Ryan spojrzał na wyrzutnię rakiety. Agent używał przenośnej lampy, takiej samej jak amerykańskie, oprawki z metalowym uchwytem i zabezpieczoną siatką żarówką. Otwarty był luk do szybu startowego. W głębi znajdował się mniejszy luk, najwyraźniej prowadzący do wnętrza samej rakiety, również otwarty.

- Co on robił? Próbował wysadzić głowice?

- Niemożliwe - powiedział Ramius. Rana zaczynała go najwyraźniej boleć. - Głowice rakiet... nazywamy to specjalnym zabezpieczeniem... Głowica nie może... rozerwać się.

- A więc co robił? - Ryan podszedł do szybu rakiety. Na pokładzie leżał jakiś gumowy worek. - Co to takiego?

Wziął go do ręki. Miał od wewnątrz metalową lub plastikową ramkę, metalowy zawór z jednej strony i ustnik z drugiej.

- Majstrował coś przy rakiecie, ale miał ze sobą maskę ratunkową, żeby wydostać się z okrętu - powiedział Ryan. - Boże, to mechanizm zegarowy! - Schylił się po lampę, włączył

ją, wstał i zajrzał do przedziału rakiety. - Kapitanie, co się tu znajduje?

- To jest... przedział zespołu sterowania. To komputer, który mówi rakiecie, jak lecieć.

Drzwi... - Ramius miał trudności z oddychaniem - ...to otwór kontrolny dla oficera.

Ryan zajrzał w głąb. Zobaczył kłębowisko różnokolorowych przewodów i obwodów, których wzajemne połączenia nic mu nie mówiły. Zaczął rozchylać przewody, na wpół

oczekując, że natrafi na cykający zegar połączony z kilkoma laskami dynamitu. Ale nic takiego nie znalazł.

Co może teraz zrobić? Agent najwyraźniej coś przygotowywał. Ale co? Czy skończył? Jak się o tym przekonać? Jedna część mózgu wrzeszczała na niego, żeby coś zrobił, a druga mówiła, że nie warto nawet próbować.

Ryan wziął w zęby wyłożony gumą uchwyt lampy i dwoma rękoma sięgnął do środka rakiety. Złapał dwie garści przewodów i pociągnął. Tylko kilka puściło. Zostawił jedną wiązkę przewodów i skupił się na drugiej. Garść plastikowomiedzianego spaghetti dała się wyciągnąć na zewnątrz. Sięgnął jeszcze raz po drugą część.

- Aaach! - krzyknął, gdy poraził go prąd. Przez chwilę, która wydawała się trwać wiecznie, oczekiwał na wybuch. Ale nic się nie działo. Zostało jeszcze sporo drutów do przecięcia. W niecałą minutę wyrwał wszystkie druty w zasięgu wzroku i kilka płytek montażowych. Potem za pomocą lampy zmiażdżył wszystko, co się dało, tak że w końcu cały przedział kierowania wyglądał jak pudło na zabawki jego synka, pełne bezużytecznych odłamków.

Usłyszał, że z tyłu biegną ludzie. Pierwszy był Borodin. Ramius odesłał go gestem do Ryana i martwego agenta.

- Sudets - powiedział Borodin. - Sudets? - powtórzył, patrząc na Ryana. - To jest kuk.

Ryan podniósł z pokładu pistolet.

- A to jego książka kucharska. Prawdopodobnie był agentem GRU. Próbował

wysadzić nas w powietrze. Kapitanie Ramius, czy nie dałoby się wyrzucić tej rakiety? Po prostu pozbyć się tego cholerstwa?

- To chyba dobry pomysł. - Ramius mówił już tylko słabym szeptem. - Najpierw zamknijcie luk inspekcyjny. Później będziemy mogli odpalić ją z centrali.

Ryan wygarnął ręką z luku potrzaskane fragmenty i drzwi zamknęły się gładko.

Trudniej mu poszło z ciśnieniowym lukiem wyrzutni. Był o wiele cięższy i blokowały go dwa sprężynowe zamki. Trzykrotnie próbował go zatrzasnąć. Dwa razy pokrywa odbiła i zamknęła się dopiero za trzecim razem.

Borodin z drugim oficerem już nieśli Williamsa na rufę. Ktoś założył Ramiusowi opaskę na ranę. Ryan podniósł go na nogi i pomógł mu iść. Przesuwając ranną nogę, Ramius za każdym razem syczał z bólu.

- Poszedł pan na nierozsądne ryzyko, kapitanie - zauważył Jack.

- To mój okręt. Poza tym nie lubię ciemności. To moja wina! Należało dokładnie policzyć załogę w czasie ewakuacji. - Doszli do drzwi w grodzi. - W porządku. Przejdę pierwszy.

Ryan przeszedł przez próg i pomógł przejść Ramiusowi. Opaska się rozluźniła i rana znów zaczęła krwawić.

- Zamknij drzwi i zablokuj luk - rozkazał kapitan.

Drzwi zamknęły się bez trudności. Ryan trzy razy obrócił kołem i znów założył sobie ramię kapitana na szyję. Jeszcze parę metrów i znaleźli się w centrali. Porucznik przy sterze był popielaty na twarzy.

Ryan posadził kapitana w fotelu na lewej burcie.

- Ma pan nóż, kapitanie?

Ramius sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął scyzoryk i jeszcze coś.

- Weź to. To jest klucz do ładunku rakiety. Bez tego nie da się jej odpalić. Zatrzymaj go. - Próbował się zaśmiać.

Klucz należał przecież do Putina.

Ryan zawiesił sobie klucz na szyi, otworzył scyzoryk i rozciął kapitanowi nogawkę spodni od dołu do samej góry. Kula przeszła czysto przez mięsień udowy. Wziął czystą chustkę z kieszeni i położył ją na ranie wlotowej. Ramius podał mu drugą chustkę, którą Ryan przyłożył do rany wylotowej. Następnie założył wokół opaskę, zaciskając ją możliwie jak najmocniej.

- Moja żona nie byłaby zadowolona, ale to będzie musiało wystarczyć.

- Twoja żona? - zapytał Ramius.

- Jest lekarzem, specjalistą chirurgii oka. Gdy zostałem postrzelony, założyła mi coś takiego. - Dolna część nogi Ramiusa stawała się coraz bledsza. Opaska była zbyt silnie ściśnięta, ale Ryan wolał jeszcze jej nie luzować. - A teraz, co z rakietą?

Ramius wydał rozkaz porucznikowi przy sterach, który przekazał go przez interkom.

Po dwóch minutach do przedziału weszło trzech oficerów. Prędkość zmniejszono do pięciu węzłów, co zajęło kilka minut. Ryan martwił się o raketę, o to czy wystarczająco uszkodził

coś, co zmajstrował agent GRU. Każdy z nowo przybyłych zdjął z szyi klucz. Ramius zdjął swój i podał go Ryanowi. Wskazał na prawą część pomieszczenia.

- Stanowisko strzelania raketowego.

Ryan już się sam tego domyślił. W centrali rozmieszczono na ścianach pięć tablic.

Każda zawierała dwadzieścia sześć zestawów, w każdym po trzy lampki kontrolne i otwór do włożenia klucza.

- Włóż klucz do otworu numer jeden. - Jack włożył klucz inni poszli za jego przykładem. Zapaliło się czerwone światło i zabrzączał dzwonek.

Tablica przyrządów oficera kierującego strzelaniem raketowym była bardziej rozbudowana. Przełożył manetkę, żeby zatopić wyrzutnię i otworzył luk numer jeden.

Zacząło mrugać czerwone światło w pierwszym rzędzie.

- Przekręcisz klucz razem ze wszystkimi - polecił Ramius.

- Czy w ten sposób odpalamy raketę? - Ryan nie był pewien tego, co robi.

- Nie, nie. Najpierw oficer musiałby ją uzbroić. Klucz spowoduje tylko wybuch ładunku gazowego.

Czy można mu ufać? Kapitan na pewno jest swój chłop i w ogóle, ale jak można mieć pewność, czy nie kłamie?

- Teraz! - rozkazał Ramius.

Ryan przekręcił klucz w tej samej chwili co pozostali. Zapaliło się żółte światło nad czerwonym. Zielone poniżej pozostało zgaszone.

„Czerwony Październik” drgnął, gdy rakietę SS-N-20 numer jeden została wyrzucona do góry przez wybuch ładunku gazowego. Odgłos przypominał nieco pneumatyczne hamulce ciężarówki. Trzej oficerowie wyjęli swoje klucze z zamków, a oficer raketowy natychmiast zamknął luk wyrzutni.

USS „Dallas”

- Co takiego? - powiedział Jones - centrala, sonar. Cel właśnie zatopił szyb, chyba szyb rakiety. Boże wszechmocny. - Jones z własnej inicjatywy włączył podwodowy sonar aktywny i zaczął przeczesywanie na wysokiej częstotliwości.
- Co oni, do cholery, robią? - zapytał Thompson. Po sekundzie Mancuso był na miejscu.
- Co się dzieje? - warknął kapitan. Jones pokazał na ekran.
- Okręt podwodny właśnie wyrzucił raketę, panie kapitanie. Proszę spojrzeć, tu są dwa cele. Ale raketa tylko wisi w miejscu. Silniki nie pracują. Boże!

„Czerwony Październik”

Zatonie, czy nie, zgadywał Ryan.

Zatonęła. Ładunek gazowy wypchnął raketę *Seahawk* do góry i w prawo. Zatrzymała się kilkanaście metrów nad pokładem. „Październik” przepłynął obok. Prawdopodobnie Ryan nie domknął dokładnie luku układu sterowania i do środka dostała się woda, wypełniając głowicę. Raketa i bez tego miała pływalność ujemną, a zwiększone obciążenie wierzchołka obróciło ją głowicą w dół. Zaczęła opadać zygzakowato niczym nasienie klonu z drzewa. Na głębokości trzech tysięcy metrów ciśnienie wody wgniotło osłonę aerodynamiczną głowicy.

Bez dalszych uszkodzeń raketa *Seahawk* opadła w końcu na dno.

USS „Ethan Allen”

Działał tylko mechanizm zegarowy. Ustawiono go na trzydzieści minut, co dawało załodze dosyć czasu na dotarcie do „Scampa” opuszczającego teraz obszar z prędkością dziesięciu węzłów. Stary reaktor wyłączono na dobre. Był zimny jak kamień. Paliło się tylko parę lamp awaryjnych zasilanych z akumulatorów. Detonator miał trzy równoległe obwody odpalania i wszystkie trzy zadziałały w

odstępie jednej milisekundy, wysyłając przewodami impuls.

Na „Ethan Allen” umieszczono cztery bomby Pave Pat Blue, których siła eksplozji była mniej więcej pięciokrotnie wyższa niż zwykłych chemicznych materiałów wybuchowych. Każda bomba miała dwa zawory gazowe i tylko jeden z ośmiu zawiódł. Po otwarciu zaworów sprężony wewnątrz bomb propan wydostał się gwałtownie do wnętrza okrętu. W ciągu jednej chwili ciśnienie atmosferyczne na okręcie potroiło się i cały kadłub napełniła wybuchowa mieszanka gazu i powietrza, równa dwudziestu pięciu tonom trotylu.

Zapalniki zadziałały prawie równocześnie, wyzwalając niszczycielską siłę, która rozerwała potężny stalowy kadłub „Ethan Allen” jak zwykły balon. Tylko zasobnik reaktora uniknął całkowitego zniszczenia. Wypadł z rozerwanego wraku na dno oceanu. Kadłub rozerwał się na parędziesiąt części, które siła eksplozji powygięła w niezwykle kształty.

Wyposażenie utworzyło metalowy obłok wewnątrz rozbitego kadłuba, a wszystko razem rozpoczęło pięciokilometrową podróż na piaszczyste dno, rozsiewając się na szerokiej przestrzeni.

USS „Dallas”

- Cholera jasna! - Jones zerwał z głowy słuchawki i złapał się rękoma za uszy.

Automatyczne bezpieczniki w systemie hydrolokacji uchroniły go przed pełnymi skutkami eksplozji, ale i tak wystarczyło, żeby czuł się tak, jakby ktoś dał mu potężnym młotem po głowie. Cały kadłub rozbrzmiewał odgłosem wybuchu i usłyszeli go wszyscy na pokładzie.

- Uwaga, tu mówi kapitan. To, co usłyszeliście, nie stanowi niebezpieczeństwa. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

- Ale zabawa, kapitanie! - powiedział Mannion.

- No już, wracamy do obserwacji przeciwnika.

- Tak jest, kapitanie. - Mannion spojrzał zdziwiony na swego dowódcę.

Biały Dom

- Czy udało się przekazać mu w porę wiadomość? - zapytał prezydent.

- Nie, panie prezydencie - powiedział Moore, siadając. - Śmigłowiec przybył o kilka minut za późno. Być może nie ma się o co martwić. Kapitan prawdopodobnie zatroszczył się o to, żeby na okręcie zostali tylko jego ludzie. Oczywiście jesteśmy zaniepokojeni, ale tymczasem nic nie można zrobić.

- Osobiście prosiłem go, żeby wziął w tym udział, panie sędzio. Ja sam.

Witamy w realnym świecie, panie prezydencie, pomyślał Moore. Szefowi rządu amerykańskiego udawało się dotychczas nie wysyłać ludzi na śmierć. Moore uświadomił

sobie, że łatwo rozważać to w teorii, ale trudniej realizować. On sam, zasiadając w sądzie apelacyjnym, niejednokrotnie zatwierdzał wyroki śmierci i nigdy nie było to łatwe, nawet w przypadku ludzi, którzy solidnie sobie na to zapracowali.

- Możemy tylko siedzieć tu i czekać, panie prezydencie. Źródło, z którego pochodzi ta informacja, jest o wiele cenniejsze niż jakakolwiek pojedyncza operacja.

- Doskonale. Co z senatorem Donaldsonem?

- Zgodził się na naszą propozycję. Ta część operacji udała się nadzwyczajnie.

- Czy pan rzeczywiście uważa, że Rosjanie to kupią? - zapytał Pelt.

- Zarzuciliśmy bardzo dobrą przynętę i teraz dla przypomnienia tylko trochę pociągniemy za żyłkę. Za jakiś dzień albo dwa zobaczymy, czy chwycili haczyk. Henderson należy u nich do gwiazd pierwszej wielkości. Jego pseudonim brzmi Kasjusz. Reakcja na to, co ostatnio przekazał, pozwoli nam ocenić, jakiego rodzaju dezinformacje możemy przekazywać za jego pośrednictwem. Może się okazać bardzo pożyteczny, ale trzeba będzie mieć go cały czas pod ochroną, bo nasi koledzy z KGB mają bardzo nieprzyjemny sposób postępowania z podwójnymi agentami.

- Nie wypuścimy go z sieci, dopóki sobie na to nie zasłuży - powiedział chłodno prezydent.

- Zasłuży sobie, panie prezydencie - zapewnił z uśmiechem sędzia Moore. - Pan Henderson należy do nas.

Dzień piętnasty

PIĄTEK, 17 GRUDNIA

Przesmyk Ocracoke

Noc była bezksiężycowa. Parę minut po północy, korzystając ze szczególnie wysokiego jesiennego przyływu, do zatoki wpłynęła procesja trzech okrętów. Na czele szedł

„Pogy” z najmniejszym zanurzeniem, a za „Czerwonym Październikiem” ciągnął „Dallas”.

Straż przybrzeżna została tymczasowo zastąpiona na swych stałych stanowiskach po obu stronach zatoki przez obsady marynarki wojennej.

Ramius zezwolił Ryanowi na wejście na pomost manewrowy w kiosku. Ryan był mu bardzo wdzięczny za taki gest. Osiemnaście godzin we wnętrzu okrętu odczuł jak więzienie i bardzo mu ulżyło, gdy zobaczył zewnętrzny świat, nawet jeśli była to tylko czarna pustka.

„Pogy” miał tylko jedno słabe czerwone światło, które przestawało się widzieć już po pięciu sekundach intensywnego wpatrywania. Na falach można było dostrzec białą pianę, a czasami między chmurami pokazywały się gwiazdy. Wiatr dał od oceanu z prędkością dwudziestu węzłów.

Borodin wydawał monosylabami rozkazy. Okręt płynął kanałem, który trzeba było co kilka miesięcy pogłębiać, pomimo że od północy zbudowano potężny falochron. Bez trudności pokonali wejście do zatoki. Dla okrętu o wyporności trzydziestu tysięcy ton małe fale nie miały żadnego znaczenia. Ryan przyjął to z dużą ulgą. Czarna woda uspokoiła się, a gdy znaleźli się pod osłoną brzegu, ruszyła im na spotkanie gumowa łódź typu Zodiak.

- Ahoj, „Czerwony Październik”! - zawołał głos w ciemności.

Ryan z trudnością rozpoznawał szary romboidalny kształt łodzi. Ciągnął się za nią wąski kilwater piany z przyczepnego silnika.

- Czy mogę odpowiedzieć, kapitanie Borodin? - zapytał Ryan.

Borodin skinął głową.

- Tu Ryan. Mamy na pokładzie dwóch rannych. Jeden w ciężkim stanie. Potrzebujemy natychmiast lekarza i zespołu operacyjnego. Czy rozumieście?

- Dwóch rannych i potrzebujecie lekarza, rozumiem. - Ryanowi zdawało się, że widzi człowieka trzymającego coś przy twarzy. Słyszał też jakby słabe trzeszczenie radia. Z

powodu wiatru dźwięki były niewyraźne. - Załatwione, „Październik”. Lekarz w drodze.

„Dallas” i „Pogy” też mają medyków na pokładzie. Chcecie ich?

- Jak najprędzej! - odparł bez namysłu Ryan.

- W porządku. Idźcie cztery kilometry za „Pogy” i bądźcie w pogotowiu. - Zodiak popłynął do przodu, zmienił kurs i zniknął w ciemnościach.

- Dzięki Bogu za to - westchnął Ryan.

- Ty wierzysz... w Boga? - zapytał Borodin.

- Jasne. - Ryan wiedział, że nie powinien okazywać zdziwienia. - Do cholery, trzeba w coś wierzyć.

- A to dlaczego, komandorze Ryan? - Borodin obserwował „Pogy” przez potężną lornetkę.

Ryan zastanowił się nad odpowiedzią.

- Bo jeśli nie wierzysz, to całe życie nie ma sensu. Znaczyłoby to, że Sartre i Camus i reszta tych facetów ma rację, że wszystko jest chaosem, a życie nie ma sensu. Nie chcę w to wierzyć. Jeżeli nie dość dobrze się wytłumaczyłem, to znam kilku księży, którzy zrobią to lepiej ode mnie.

Borodin nie odpowiedział. Wydał rozkaz przez mikrofon i zmienili kurs o kilka stopni w prawo.

USS „Dallas”

Osiemset metrów z tyłu Mancuso spoglądał przez nocną lornetkę ze wzmacniaczem obrazu. Obok stał Mannion, wysiłając oczy, żeby cokolwiek zobaczyć.

- Boże święty - wyszeptał Mancuso.

- Miał pan rację, kapitanie - powiedział Mannion, trzęsąc się w samym tylko mundurze. - Sam nie mogę uwierzyć własnym oczom. Łączność z zodiakiem. - Podał

kapitanowi przenośną radiostację używaną przy cumowaniu.

- Słyszycie mnie?

- Tu Mancuso.

- Gdy nasz przyjaciel stanie, proszę wysłać do nich dziesięciu ludzi, w tym waszego sanitariusza. Zgłaszają dwóch rannych, którym potrzebna jest pomoc lekarska. Wyślij dobrych ludzi, kapitanie. Trzeba im pomóc prowadzić okręt. Tylko wybierzcie takich, którzy trzymają gębę na kłódkę.

- Przyjąłem. Dziesięciu ludzi, w tym sanitariusz. Koniec. - Mancuso poczekał, aż ponton weźmie kurs na „Pogy”. - Chcesz popłynąć, Pat?

- Jasne jak słońce, kapitanie. A pan? - zapytał Mannion.

- Wydaje mi się, że przez jeden dzień, a nawet trochę dłużej, Chambers poradzi sobie z „Dallas”. Jak ci się zdaje?

Na brzegu oficer marynarki porozumiewał się przez telefon z Norfolk. Posterunek straży przybrzeżnej był pełen ludzi, prawie samych oficerów. Telefon umieszczono w plastikowej budce, tak żeby można było się porozumiewać z dowództwem floty przy zachowaniu wymogów poufności. Przybyli dwie godziny temu i niedługo z powrotem wyjadą. Nic nie powinno zbyt odbiegać od normalności. Na zewnątrz stał admirał i paru kapitanów. Przyglądali się przez lunety ciemnym zarysom okrętów w świetle gwiazd. Byli poważni jak na mszy w kościele.

Cherry Point, Karolina Północna

Komandor Ed Noyes, chirurg lotnictwa, odpoczywał w pokoju lekarskim szpitala marynarki na lotnisku US Marine Corps w Cherry Point, w Karolinie Północnej. Musiał

dyżurować jeszcze przez trzy następne noce, jeżeli chciał wziąć cztery dni wolne na święta.

Noc mijała spokojnie. Ale właśnie zaczynały się kłopoty.

- Doktorze?

Podniósł wzrok i zobaczył kapitana marines z odznakami żandarmerii. Poznali się już wcześniej. Żandarmeria wojskowa przywoziła mu sporo rannych z wypadków. Noyes odłożył

„New England Journal of Medicine

- Cześć, Jerry. Coś nowego?

- Panie doktorze, kazano mi przekazać panu, że ma pan przygotować wszystko, co jest potrzebne do przeprowadzenia operacji w warunkach polowych. Za dwie minuty zabieram pana na lotnisko.

- Po co? Jaki rodzaj operacji? - Noyes wstał.

- Tego nie wiem, powiedzieli mi tylko, że ma pan polecieć gdzieś, sam. Rozkazy pochodzą z samej góry. To wszystko, co wiem.

- Co mnie to obchodzi! Jerry, przecież muszę wiedzieć, jaka to operacja, żeby zabrać odpowiednie rzeczy.

- Niech więc pan zabierze wszystko. Mam pana załadować na śmigłowiec.

Noyes zaklął i ruszył do izby przyjęć. Czekają tam jeszcze dwóch marines. Podał im cztery sterylne zasobniki z przygotowanymi tacami narzędzi. Po zastanowieniu zabrał jeszcze różnorodne lekarstwa, w tym dwie jednostki osocza. Kapitan pomógł mu założyć płaszcz i wyszli do oczekującego jeepa. Pięć minut później zatrzymali się obok *Sea Stalliona*. Łopaty wirników już się obracały.

- Co się dzieje? - zapytał Noyes siedzącego w środku pułkownika wywiadu.

Zastanawiał się jednocześnie, gdzie jest dowódca maszyny.

- Lecimy nad cieśninę - wyjaśnił pułkownik. - Zejdzie pan na okręt podwodny, który ma rannych na pokładzie. Na miejscu będzie do pomocy dwóch sanitariuszy. Nic więcej nie wiem.

Musiało mu to wystarczyć. Nie było się nad czym zastanawiać. *Stallion* wystartował

natychmiast. Noyesowi często zdarzało się latać śmigłowcami. Sam jako pilot miał na koncie dwieście godzin na śmigłowcach i trzysta na samolotach. Był lekarzem, który stosunkowo późno odkrył, że latanie jest równie atrakcyjnym zajęciem, jak medycyna. Korzystał z każdej nadarzającej się okazji, często lecząc dzieci pilotów w zamian za miejsce na tylnym siedzeniu w fantomie F-4. Zauważył, że *Sea Stallion* nie nabiera wysokości. Lecieli nisko prostym kursem.

Zatoka Pamlico

„Pogy” zatrzymał się mniej więcej w chwili, gdy śmigłowiec wystartował z Cherry Point. „Październik” znów zmienił kurs w prawo i zatrzymał się równolegle do „Pogy”. Za nimi „Dallas”. Po minucie do burty „Dallas” przybił zodiak, po czym popłynął w stronę

„Czerwonego Października”, prawie nabierając wody pod obciążeniem dodatkowych pasażerów.

- Ahoj, „Czerwony Październik”!

Tym razem odpowiedział Borodin. Po angielsku mówił z akcentem, ale zrozumiale.

- Kto na pokładzie?

- Tu Bart Mancuso, dowódca USS „Dallas”. Mam ze sobą sanitariusza i kilku ludzi z załogi. Proszę o pozwolenie wejścia na pokład.

Ryan zobaczył grymas starpoma. Po raz pierwszy Borodin musiał naprawdę stawić czoło wydarzeniom i musiałby nie być człowiekiem, żeby poradzić sobie z tym bez wewnętrznej walki.

- Zgoda jest... tak.

Zodiak dobił do burty na wysokości kiosku. Marynarz z liną przeskoczył na pokład, żeby umocować ponton, z którego wysiadło dziesięciu ludzi. Jeden wspiął się do kiosku.

- Panie kapitanie, jestem Bart Mancuso. Jak słyszałem, ma pan rannych po wypadku na pokładzie?

- Tak - skinał głową Borodin. - Kapitana i brytyjskiego oficera. Zostali postrzeleni.

- Postrzeleni? - Mancuso nie krył zaskoczenia.

- Będziemy się o to martwić później - wtrącił Ryan. - Niech pana lekarz zabierze się jak najszybciej do roboty, zgoda?

- Jasne. Gdzie jest włącz?

Borodin powiedział coś do mikrofonu i po chwili na pokładzie u podstawy kiosku pojawił się krąg światła.

- Nie mamy lekarza, tylko sanitariusza z uprawnieniami. Jest bardzo dobry, a za kilka minut będzie tu człowiek z „Pogy”. A przy okazji, kim pan jest?

- To szpieg - wyjaśnił z widoczną ironią Borodin.

- Jack Ryan.

- A pan?

- Kapitan drugiej rangi Wasyl Borodin. Jestem... pierwszym oficerem, dobrze mówię?

Proszę do środka, panie kapitanie. Proszę mi wybaczyć, ale wszyscy jesteśmy bardzo zmęczeni.

- Nie tylko wy. - W kiosku było mało miejsca. Mancuso usiadł okrakiem na zrębnicy.

- Muszę przyznać, panie kapitanie, że zdrowo się namęczyliśmy, idąc za wami. Trzeba wam pogratulować zawodowej sprawności.

Komplement nie wywołał u Borodina zamierzonej reakcji.

- Byliście w stanie nas śledzić? W jaki sposób?

- Wziąłem ze sobą naszego hydroakustyka, może się pan mu przyjrzeć.

- Co mamy dalej robić?

- Rozkazy z brzegu mówią, żeby przyjąć na pokład lekarza i zanurzyć się. Później mamy czekać na rozkaz do wyruszenia. Może dzień, może dwa. Wydaje mi się, że wszystkim nam przyda się odpoczynek. Potem weźmiemy was w jakieś przyjemne, bezpieczne miejsce.

Zamierzam osobiście zaprosić wszystkich na obiad do takiej włoskiej restauracji, jakiej jeszcze nigdy nie widzieliście. - Mancuso uśmiechnął się. - Macie w Rosji włoską kuchnię?

- Nie, a jeśli jest pan przyzwyczajony do dobrej kuchni, to może się panu nie spodobać na „*Krasnom Oktiabrie*” .

- Może da się coś na to poradzić. Ilu macie ludzi na pokładzie?

- Dwunastu. Dziesięciu Rosjan, jeden Anglik i jeden szpieg. - Tu Borodin spojrzał na Ryana z uśmiechem.

- W porządku. - Mancuso sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął radiostację. - Tu Mancuso.

- Melduję się, panie kapitanie - odpowiedział Chambers.

- Przygotujcie trochę żywności dla naszych przyjaciół. Sześć posiłków dla dwudziestu pięciu ludzi. Przyślijcie też kucharza. Wally, chciałbym tym ludziom pokazać naprawdę przyzwoite żarcie. Postaraj się.

- Tak jest, kapitanie. Bez odbioru.

- Mam doskonałych kucharzy na pokładzie, kapitanie. Szkoda, że nie spotkaliśmy się tydzień temu. Mieliśmy lasagne, takie jak moja *mamma* kiedyś robiła. Brakowało tylko chianti.

- Oni tu mają wódkę - zauważył Ryan.

- Tylko dla szpiegów - odparł Borodin. Dwie godziny po strzelaniu Ryan dostał

silnych dreszczy i Borodin wydał mu wódkę z zapasów lekarza. - Podobno bardzo rozpieszczacie ludzi w czasie rejsów.

- Możliwe - zgodził się Mancuso. - Ale jeden rejs to sześćdziesiąt do siedemdziesięciu dni w morzu. To raczej sporo, prawda?

- Może zejdziemy na dół? - zaproponował Ryan.

Nie było sprzeciwu. Zaczynało się robić zimno.

Borodin, Ryan i Mancuso zeszli do środka i zobaczyli, że tak jak poprzednio, Amerykanie stoją po jednej stronie centrali, a Rosjanie po drugiej. Lody przełamał Mancuso.

- Kapitanie Borodin, oto człowiek, który pana wykrył. Chodź no tu, Jones.

- Nie było to wcale takie proste, panie kapitanie - powiedział Jones. - Czy mogę zabrać się do pracy? Mogę zobaczyć wasz sonar?

- Bugajew. - Borodin wskazał ręką na pokładowego elektronika. Kapitan porucznik poprowadził za sobą sonarzystę.

- Zbieranina - mruknął do siebie Jones, przyjrzawszy się wyposażeniu.

Panele miały szczeliny wentylacyjne do odprowadzania ciepła. Czy to możliwe, żeby używali tradycyjnych lamp, zastanawiał się. Wyciągnął z kieszeni śrubokręt, żeby się upewnić.

- Mówi pan po angielsku?

- Tak, trochę.

- Czy może mi pan pokazać schematy tego wszystkiego?

Bugajew zamrugał. Nigdy żaden marynarz o to nie pytał. Tylko raz jeden z miczmanów. Zdjął teczkę ze schematami z półki.

Jones dopasowywał oznaczenia na urządzeniach z odpowiednimi fragmentami schematów. Rozkładając diagramy, z ulgą dostrzegł, że omy są omami na całym świecie.

Zaczął wodzić palcem po schemacie, a następnie zdjął osłonę urządzenia, żeby zajrzeć do środka.

- Zbieranina, megazłom! - Jones był na tyle wstrząśnięty, że zaczął mówić żargonem.

- Przepraszam, ale co to znaczy „megazłom”?

- Och, to ja przepraszam. To takie wyrażenie, którego używamy w marynarce. Nie wiem, jak to wyrazić po rosyjsku. Przepraszam. - Jones przełknął uśmiech i wsadził nos w schematy. - To zdaje się jest aparat niskiej mocy i wysokiej częstotliwości? Uzywacie go do wyszukiwania min i innych takich?

Teraz Bugajew był zaskoczony.

- Byliście szkoleni w obsłudze radzieckiego sprzętu?

- Nie, sir, ale wiele o nim słyszałem. - Czy to nie jest oczywiste, zastanawiał się Jones.

- Widać, że to urządzenie wysokiej częstotliwości, ale nie pobiera dużo prądu. A więc do czego innego może służyć? Prawdopodobnie do wykrywania min, do pracy pod lodem i do dokowania, prawda?

- Zgadza się.

- Czy macie „gertrudę”?

- „Gertrudę”?

- Taki telefon dla okrętów podwodnych. - Czy ci ludzie naprawdę nic nie wiedzą, dziwił się Jones.

- A, owszem, jest w centrali, ale uszkodzony.

- Aha. - Jones zatopił się w schematach. - Wydaje mi się, że można tu dołączyć modulator i zrobić wam całkiem porządną „gertrudę”. Może się przydać. Myśli pan, że wasz kapitan by się zgodził?

- Zapytam. - Bugajew miał nadzieję, że Jones pozostanie na miejscu, ale gdy wchodził

do centrali, Amerykanin szedł o krok za nim. Bugajew wyjaśnił Borodinowi, o co chodzi, a Jones tymczasem rozmawiał z Mancusem.

- Mają tu stary aparat, który przypomina dawne „gertrudy” w szkole sonarowej.

Mamy na składzie zapasowy modulator i chyba mógłbym podłączyć go bez większego wysiłku w dwadzieścia minut - powiedział Jones.

- Kapitanie Borodin, zgadza się pan? - zapytał Mancuso.

Borodin poczuł się tak, jakby popychano go zbyt szybko do przodu, nawet jeśli propozycja była

całkiem rozsądna.

- Dobrze, niech wasz człowiek to zrobi.

- Jak długo tu posiedzimy, panie kapitanie? - zapytał Jones.

- Dzień albo dwa, a bo co?

- Coś mi się zdaje, że nie za dużo wygod na tym okręcie, panie kapitanie. A może by dorzucić jeszcze telewizor i wideo? Przynajmniej będą mieli na co popatrzeć. Niech trochę poznają Stany Zjednoczone.

Mancuso roześmiał się. Przede wszystkim chciał dowiedzieć się możliwie jak najwięcej o samym okręcie, ale czasu starczy i na to, a propozycja Jonesa mogła pomóc rozładować napięcie. Z drugiej strony, nie chciał doprowadzić do buntu u siebie na pokładzie.

- Dobrze, weźcie telewizor z mesy oficerskiej.

- Tak jest, panie kapitanie.

Kilka minut później zodiak dostarczył sanitariusza z „Pogy” i Jones popłynął z powrotem na „Dallas”.

W centrali stopniowo nawiązywały się rozmowy. Dwóch Rosjan próbowało dogadać się z Mannionem.

- Kapitanie Borodin, mam rozkaz zabrać z centrali coś, co pozwoli zidentyfikować...

to znaczy, coś, co pochodzi z waszego okrętu. - Mancuso wskazał ręką. - Czy mogę zabrać ten głębościomierz? Jeden z moich ludzi może zainstalować inny na jego miejsce. -

Wskaźnik, jak zauważył, miał numer seryjny.

- W jakim celu?

- Nie mam pojęcia, ale takie otrzymałem rozkazy.

- Proszę - odpowiedział Borodin.

Mancuso kazał bosmanowi zdjąć przyrząd. Ten wyciągnął z kieszeni klucz i odkręcił nakrętkę przytrzymującą wskaźnik i tarczę.

- Nasze są mniejsze, kapitanie, ale tylko trochę. Chyba znajdę zapasowy. Mogę go założyć i wpisać oznaczenia. - Mancuso podał mu swoje radio. - Porozum się z „Dallas” i powiedz Jonesowi, żeby to

przywiózł.

- Tak jest, kapitanie. - Podoficer założył igłę na miejsce, a tarczę zabrał.

Sea Stallion nie próbował lądować, choć pilot miał na to ochotę. Pokład był

wystarczająco szeroki. Ale śmigłowiec tylko zawisł nisko nad pokładem raketowym i doktor zeskoczył w ramiona marynarzy. Zaraz za nim rzucono na dół sprzęt lekarski. Pułkownik został w maszynie i zatrzasnął drzwi. Śmigłowiec powoli zawrócił i odleciał z powrotem na południowy zachód, podnosząc potężnymi śmigłami bryzgi wody.

- Czy to było to, co mi się wydaje? - zapytał pierwszy pilot przez telefon pokładowy.

- Chyba wszystko na odwrót. Zawsze myślałem, że rakiety na okrętach podwodnych znajdują się między mostkiem a rufą. A ten miał je na dziobie, prawda? To znaczy, wydaje mi się, że ster wystawał za kioskiem - zawile odpowiedział drugi pilot.

- To był radziecki okręt! - powiedział pierwszy.

- Co takiego!? - Było za późno, żeby się przyjrzeć, ulecieli już trzy kilometry. - Ale ci ludzie na pokładzie, to nie byli Rosjanie.

- Cholera jasna! - zaklął w zadumie major.

I w dodatku musi to wszystko zatrzymać dla siebie. Pułkownik z wywiadu dywizji powiedział bardzo wyraźnie: „Nic nie widzieliście, nic nie słyszeliście, nie macie o niczym pojęcia i do ciężkiej cholery nigdy nic nikomu nie mówcie!”

- Jestem doktor Noyes. - Nigdy jeszcze nie był na okręcie podwodnym, a rozejrzawszy się dookoła, zobaczył, że pomieszczenie pełne jest przyrządów z napisami w obcym języku. -

Co to za okręt?

- „*Krasnyj Oktiabr*” - powiedział Borodin, stając obok Mancuso. Na czapce miał błyszczącą czerwoną gwiazdę.

- Co tu się, do cholery, dzieje? - zapytał Noyes.

- Doktorze - Ryan wziął go pod ramię - ma pan dwóch pacjentów na rufie. Może by się pan nimi zajął?

Noyes ruszył za nim na rufę do izby chorych.

- Co się tu dzieje? - kontynuował trochę spokojniej.

- Rosjanie właśnie stracili okręt podwodny - wyjaśnił Ryan - który teraz należy do nas.

Ale jeśli pan to komukolwiek powie...

- Rozumiem, co pan mówi, ale nie wierzę w to.

- Nie musi pan wierzyć. W czym się pan specjalizuje?

- Chirurgia klatki piersiowej.

- To świetnie - Ryan skreślił do izby chorych - bo ma pan tu rannego z postrzałem, który bardzo pana potrzebuje.

Williams leżał półnagi na stole. Marynarz przyniósł właśnie całe narzędzie sprzętu lekarskiego i położył wszystko na biurku Pietrowa. Apteczka „Października” zaopatrzona była w mrożone osocze i dwaj sanitariusze przyłączyli już rannemu porucznikowi dwie jednostki. Dren z klatki piersiowej połączony był z butlą próżniową.

- Ma w klatce piersiowej dziewięćmilimetrową kulę - powiedział jeden z sanitariuszy, przedstawivszy się wraz z kolegą lekarzowi. - Powiedziano nam, że od dziesięciu godzin ma założony dren do opłucnej. Z głową nie jest tak dobrze, jak się wydaje.

Prawa spojówka trochę zbrązowiła, ale mogło być gorzej. Klatka piersiowa jest w złym stanie, panie komandorze. Niech pan lepiej sam osłucha.

- Serce? - Noyes sięgnął do torby po stetoskop.

- Sto dziesięć na minutę, nieregularnie. Ciśnienie osiemdziesiąt na czterdzieści.

Noyes przesuwiał stetoskopem po piersiach Williamsa, marszcząc czoło.

- Serce przemieszczone. Odma opłucnej z nadciśnieniem. Jest tam chyba kwarta płynu i z samego osłuchania wynika, że grozi obrzęk płuc. - Noyes odwrócił się do Ryana. - Proszę wyjść. Muszę otworzyć klatkę piersiową.

- Proszę go uratować, doktorze. To dobry człowiek.

- A kto nie jest dobry? - zauważył Noyes zdejmując kurtkę. - Zabieramy się do mycia, panowie.

Ryan zastanawiał się, czy modlitwa może pomóc. Noyes mówił i zachowywał się jak chirurg. Pozostaje mieć nadzieję, że sobie poradzi. Poszedł do kajuty kapitana. Ramius spał

po zażyciu środków uśmierzających. Noga przestała krwawić.

Najwidoczniej jeden z sanitariuszy opatrzył go od nowa. Lekarz może zająć się nim później. Ryan

wrócił do centrali.

Borodin miał wrażenie, że stracił kontrolę nad biegiem wydarzeń i choć wcale mu się to nie podobało, przyjął to też z pewną ulgą. Dwa tygodnie nieustannego napięcia plus nieoczekiwana zmiana planów wstrząsnęła nim bardziej, niż się spodziewał. Sytuacja nie była łatwa. Amerykanie zachowywali się uprzejmie, ale byli tak cholernie dominujący!

Przynajmniej nic nie grozi oficerom „Października”.

Dwadzieścia minut później wrócił zodiak. Dwaj marynarze weszli na górę, żeby wyładować około stu kilogramów mrożonej żywności, a później pomogli Jonesowi przenieść sprzęt elektroniczny. Ułożenie wszystkiego zajęło kilkanaście minut i marynarze, którzy wnieśli żywność na dziób, wrócili do głębi poruszeni widokiem dwóch sztywnych ciał na pokładzie i jednego zamrożonego na kość w chłodni. Nie było jeszcze kiedy zająć się zabitymi.

- Mam wszystko, panie kapitanie - zameldował Jones. Podał szefowi tarczę wskaźnika głębokości.

- Co to jest to? - zapytał Borodin.

- Panie kapitanie, mam modulator, żeby zbudować „gertrudę” - wyjaśnił Jones, pokazując małe pudełko. - A to mały kolorowy telewizor, magnetowid i parę filmów. Nasz kapitan pomyślał, że może będziecie chcieli odprężyć się i trochę nas przy okazji poznać.

- Filmy? - zapytał Borodin. - Takie kinowe?

- Jasne - potwierdził Mancuso. - Co przywiozłeś, Jones?

- Po kolei, panie kapitanie: E.T., Gwiezdne wojny, Big Jake i Hondo. Najwyraźniej Jones dokładnie rozważył, jaką Amerykę powinno się pokazać na początek Rosjanom.

- Bardzo mi przykro, panie kapitanie, ale mój marynarz ma ograniczony gust -

stwierdził Mancuso.

Borodin był w stanie zgodzić się nawet na „Pancernik Potiomkin”. Zmęczenie naprawdę zbijało go z nóg. Obładowany żywnością kuk pośpieszył na rufę.

- Kawa będzie za kilka minut, panie kapitanie - zameldował po drodze Borodinowi.

- Chciałbym dostać coś do jedzenia. Od wczoraj nic nie jedliśmy - powiedział

Borodin.

- Dawać kolację! - zawołał Mancuso za kucharzem.

- Tak jest, panie kapitanie. Niech się tylko połapię w kuchni.

Mannion spojrział na zegarek.

- Zostało dwadzieścia minut, panie kapitanie.

- Mamy już wszystko, co trzeba na pokładzie?

- Tak jest.

Jones ominął sterowanie impulsów we wzmacniaczu sonaru i podłączył modulator.

Poszło łatwiej, niż oczekiwał. Z „Dallas” zabrał także mikrofon i podłączył go przed uruchomieniem. Trzeba było poczekać, aż rozgrzeją się lampy. Od czasu, gdy przestał

naprawiać telewizory w warsztacie u ojca, a było to dawno temu, Jonesowi nie zdarzyło się widzieć naraz takiej ilości lamp.

- „Dallas”, tu Jones, odbieracie.

- Tak jest. - Głos był zniekształcony jak w radiostacji taksówki.

- Dziękuję, koniec. - Jones wyłączył się. - Działa. Całkiem łatwo poszło, prawda?

Zwykły marynarz, do diabła! I do tego wcale nie zna radzieckiego wyposażenia, pomyślał oficer elektroniki z „Października”. Nie przyszło mu do głowy, że hydrolokator stanowił prawie dokładną kopię przestarzałego amerykańskiego systemu UKF.

- Od jak dawna jesteś operatorem sonaru?

- Trzy i pół roku, od kiedy wyleciałem z uczelni.

- Nauczyłeś się tego wszystkiego w trzy i pół roku? - zapytał z niedowierzaniem oficer.

Jones wzruszył ramionami.

- A cóż to takiego? Bawiłem się radiami i elektroniką od dziecięcych lat. Czy mogę puścić trochę muzyki?

Jones postanowił bardzo się starać. Miał tylko jedną taśmę rosyjskiego kompozytora, suitę z Dziadka do orzechów, i zabrał ją ze sobą razem z czterema taśmami Bacha. Lubił

śłuchać muzyki, czytając schematy. Młody operator sonaru był zachwycony. Od trzech lat tylko słyszał o radzieckich stacjach hydrolokacji, a teraz miał przed sobą wszystkie schematy i całe wyposażenie okrętu, a przede wszystkim czas, żeby się w tym połapać. Bugajew patrzył

zdumiony na palce Jonesa, tańczące po obwodach w takt muzyki Czajkowskiego.

- Pora ruszać, panie kapitanie - powiedział Mannion w sterowni.

- Doskonale. Za pańskim pozwoleniem, panie kapitanie, pomogę przy zaworach.

Wszystkie luki i otwory są... zamknięte. - Mancuso zauważył, że radziecki okręt ma taki sam układ sygnalizacji, jak okręty amerykańskie.

Mancuso jeszcze raz rozważył sytuację. Butler i jego młodszy oficerowie zajmowali się już atomowym „czajnikiem” na rufie. Sytuacja wyglądała całkiem dobrze. Teraz mogli obawiać się tylko tego, że oficerowie „Października” zmienią plany. „Dallas” będzie ich miał

przez cały czas pod obserwacją sonarową. Jeśliby „Czerwony Październik” ruszył z miejsca, to „Dallas” ma przewagę co najmniej dziesięciu węzłów i zdąży zablokować kanał.

- Na moje oko, panie kapitanie, jesteśmy gotowi do zanurzenia - powiedział Mancuso.

Borodin skinął głową i włączył alarm zanurzeniowy. Taki sam brzęczyk, jak na amerykańskich okrętach. Mancuso, Mannion i radziecki oficer pracowali razem przy skomplikowanym systemie sterowania zanurzeniem. „Czerwony Październik” powoli szedł w dół. W pięć minut później leżał na dnie, z warstwą dwudziestu metrów wody nad kioskiem.

Biały Dom

O trzeciej nad ranem Pelt dzwonił do ambasady radzieckiej.

- Aleks, tu mówi Jeffrey Pelt.

- Jak się pan miewa, doktorze Pelt? Muszę podziękować w imieniu mojego kraju i swoim własnym za wysiłek przy ratowaniu naszego marynarza. Kilka minut temu poinformowano mnie, że odzyskał przytomność i że rokowania są coraz lepsze.

- Tak, sam się dopiero co o tym dowiedziałem. Jak się nazywa ten marynarz?

Pelt zastanawiał się, czy obudził Arbatowa. Sądząc po głosie, raczej nie.

- Andriej Katyskin. Jest kucharzem, pochodzi z Leningradu.

- Bardzo się cieszę, Aleks. Właśnie mnie poinformowano, że USS „Pigeon” uratował

prawie całą załogę innego radzieckiego okrętu u wybrzeży Karoliny. Jego nazwa brzmi prawdopodobnie „Czerwony Październik”. To lepsza część wiadomości. Gorsza część jest taka, że okręt eksplodował i zatonął, zanim można było wszystkich ewakuować. Większość oficerów i dwóch naszych ludzi zginęła.

- Kiedy to się stało?

- Wczoraj wczesnie rano. Przepraszam za opóźnienie, ale „Pigeon” miał kłopoty z radiem, mówią, że wskutek eksplozji podwodnej. Wiesz, jak to bywa w tych sprawach.

- Istotnie - przyznał Arbatow. Pelt podziwiał opanowanie rozmówcy. W jego głosie nie dało się wyczuć nawet śladu ironii. - Gdzie się teraz znajdują?

- „Pigeon” płynie do Charleston w Karolinie Południowej. Stamtąd wyślemy załogę samolotem prosto do Waszyngtonu.

- A okręt podwodny eksplodował? Czy to jest pewne?

- Tak, ktoś z załogi potwierdził, że mieli poważne kłopoty z reaktorem. To czysty przypadek, że akurat w pobliżu był „Pigeon”. Płynął do wybrzeży Wirginii, żeby odszukać ten drugi okręt, który straciliście. Musicie chyba trochę popracować nad swoją flotą - rzucił

Pelt.

- Przekażę te wiadomości do Moskwy, panie doktorze - sucho odpowiedział Arbatow.

- Czy może mi pan powiedzieć, co się stało?

- Nawet więcej. Okręt z pojazdem do badań głębin morskich płynie właśnie na miejsce katastrofy. Jeśli chcecie, niech wasza marynarka wyśle kogoś samolotem do Norfolk, a przekona się na własne oczy. Zgadza się pan?

- Mówi pan, że straciliście dwóch ludzi? - Zaskoczony propozycją Arbatow chciał mieć więcej czasu do namysłu.

- Tak, z ekipy ratowniczej. Ale wydobyliśmy ze środka około stu ludzi - powiedział

łagodnie Pelt. - To chyba sporo.

- Oczywiście, doktorze Pelt. Muszę telegrafować do Moskwy po instrukcje.

Porozumiem się później z panem. Jest pan w biurze?

- Tak jest, będziemy w kontakcie. - Odłożył słuchawkę i spojrzał na prezydenta. -

Byłem przekonujący, szefie?

- Popracuj trochę nad szczerością głosu, Jeff. - Prezydent siedział na skórzanym krześle w szlafroku narzuconym na pidżamę. - Chwyć?

- Chwyć. Bardzo będą chcieli potwierdzić zniszczenie okrętu. Problem w tym, czy uda się ich zmylić?

- Foster wydaje się o tym przekonany. Historia brzmi dosyć prawdopodobnie.

- Hm, tak. W każdym razie mamy okręt, prawda? - stwierdził Pelt.

- Ano tak. Wygląda na to, że informacja o agencji GRU była albo fałszywa, albo wypchnęli go razem z innymi. Bardzo bym chciał poznać tego kapitana Ramiusa. Masz pojęcie? Straszyć ludzi awarią reaktora? Nic dziwnego, że wszyscy potulnie zeszli z okrętu!

Pentagon

Skip Tyler siedział w gabinecie szefa sztabu marynarki wojennej, próbując się odprężyć. Stanowisko straży przybrzeżnej w zatoce wyposażone było w czułą kamerę telewizyjną. Nagraną taśmę dostarczono śmigłowcem do Cherry Point, a stamtąd myśliwcem fantom do Andrews. Teraz znajdowała się w rękach kuriera, którego samochód właśnie podjechał do głównej bramy Pentagonu.

- Mam przesyłkę do rąk własnych admirała Foster - zameldował po kilku minutach podporucznik. Sekretarka Foster wskazała mu ręką drzwi.

- Dzień dobry, panie admirale! To dla pana - rzekł oficer, podając Fosterowi zapakowaną kasetę.

- Dziękuję, możecie się odmeldować.

Foster włożył kasetę do przygotowanego odtwarzacza stojącego na biurowym telewizorze. Po kilku sekundach pojawił się obraz.

Tyler stanął za szefem sztabu, patrząc na wyostrzający się obraz.

- Zgadza się.

- Zgadza się - przyznał Foster.

Obraz trudno było określić inaczej niż kiepski. Kamera wyłowiła tylko kształt, ponieważ wzmacniała równomiernie cały obraz, co zamazywało szczegóły. Ale widać było wystarczająco wiele: ogromny okręt rakietowy z kioskiem o wiele bardziej przesuniętym do tyłu niż na jednostkach krajów zachodnich. „Dallas” i „Pogy” wydawały się przy nim małe.

Przez następne piętnaście minut patrzyli bez słowa na ekran. Gdyby nie drgająca kamera, obraz byłby wyraźny jak plansza kontrolna.

- Można powiedzieć - stwierdził Foster, gdy skończyła się taśma - że dostaliśmy radziecki rakietowy okręt podwodny.

- Na to wygląda. - Tyler uśmiechnął się.

- Skip, zdaje się, że starałeś się o przydział na *Los Angeles*?

- Tak jest.

- Mamy wobec ciebie wielki dług, komandorze. Niedawno sprawdziłem przepisy.

Oficer ranny w czasie pełnienia obowiązków służbowych nie musi odchodzić z czynnej służby, jeśli nie jest w oczywisty sposób niezdolny do pełnienia obowiązków. Zostałeś ranny, wracając z okrętu, czyli moim zdaniem jak najbardziej w czasie służby. Zdarzali się już kapitanowie bez nóg. Pójdę z tym osobiście do prezydenta, chłopcze. Czeka cię co najmniej rok pracy nad powrotem do formy, ale jeśli nadal chcesz dowodzić, to z Bożą pomocą, załatwię ci to.

Tyler usiadł. Oznaczało to dopasowywanie nowej nogi, a już od kilku miesięcy się do tego przymierzał, no i kilka tygodni, żeby się do niej przyzwyczaić. Później rok, jeśli nie dłużej, na to, żeby się od początku nauczyć wszystkiego, co będzie potrzebne na morzu...

Pokręcił głową.

- Dziękuję, panie admirale. Nawet nie zdaje pan sobie sprawy, co to dla mnie oznacza, ale nie. To już przeszłość. Mam nowe życie i nowe obowiązki. Nie chcę zajmować miejsca komuś innemu. Wie pan co? Pozwoli mi pan rzucić okiem na ten okręt i będziemy kwita.

- To mogę ci zagwarantować.

Foster miał nadzieję, że Tyler odmówi, był tego prawie pewien. Choć, z drugiej strony, szkoda, pomyślał. Byłby dobrym kandydatem na dowódcę, gdyby nie ta noga. No cóż, nikt nie twierdzi, że świat jest sprawiedliwy.

„Czerwony Październik”

- Wygląda na to, że radzicie sobie nie najgorzej - stwierdził Ryan. - Czy nie zrobi wam różnicy, jeśli się gdzieś kropnę?

- Kropnę? - zapytał Borodin.

- Prześpię się.

- Ach, może pan zająć kabinę doktora Pietrowa, naprzeciw izby chorych.

Po drodze Ryan zajrzał do kajuty Borodina i wziął butelkę wódki, która też wybrała wolność. Była nijaka w smaku, ale w miarę gładko przechodziła przez gardło. Prycza Pietrowa nie była ani dostatecznie długa, ani przesadnie miękka, ale Ryan nie zwracał na to uwagi. Pociągnął spory łyk i nie zdejmując wybrudzonego munduru, położył się na koi. Po pięciu minutach już spał.

USS „Sea Cliff”

Porucznikowi Svenowi Johnsenowi wydawało się, że system regeneracji powietrza nie pracuje zbyt dobrze. Gdyby przeziębienie potrwało kilka dni dłużej, prawdopodobnie wcale by tego nie zauważył. „Sea Cliff” zszedł już na trzy tysiące metrów i przeglądem mogli się zająć dopiero po wynurzeniu. Nie było to nic groźnego, bowiem sterowanie zespołami regeneracji ma tyle zapasowych obwodów co na promie kosmicznym. Po prostu zwykła niedogodność.

- Nigdy jeszcze nie byłem na takiej głębokości - zagadnął towarzysko kapitan Igor Kaganowicz. Dostarczenie go na pokład okazało się skomplikowanym zadaniem. Wymagało przelotu śmigłowcem *Helix* z „Kijowa” na „Tarawę”, następnie *Sea Kingiem* marynarki amerykańskiej do Norfolk. Stamtąd kolejny śmigłowiec zabrał go na USS „Austin”, duży okręt desantowy płynący z prędkością dwudziestu węzłów w kierunku 33°N 75°W. „Austin”

miał na rufie rodzaj krytej ładowni służącej zazwyczaj jednostkom desantowym. Owego dnia znajdowała się tam trzyosobowa łódź podwodna „Sea Cliff”, dostarczona drogą lotniczą z Woods Hole w Massachusetts.

- Trudno się tak od razu przyzwyczaić - zgodził się Johnsen - ale jak się nad tym zastanowić, to sto pięćdziesiąt metrów czy trzy tysiące nie stanowi różnicy. Przebicie kadłuba załatwia wszystko równie szybko, z tym tylko, że na tej głębokości nie będzie już co zbierać.

- Niezła gadka, szefie - powiedział mechanik pokładowy, starszy mat, Jesse Overton. -

Na sonarze bez zmian?

- Tak, Jess.

Pracowali razem od dwóch lat. „Sea Cliff” to ich wspólny dom, mała, mocna łódź

podwodna, używana głównie do zadań oceanograficznych, a także do wymiany lub naprawy czujników SOSUS. Na trzyosobowej łodzi trudno wymagać koszarowej dyscypliny. Overton nie był ani zbyt wykształcony, ani specjalnie wymowny, przynajmniej jeśli chodzi o maniery.

Jednak manewrował łodzią w niezrównany sposób i Johnsen z przyjemnością zostawił mu ten obowiązek. Sam musiał zająć się aktualną misją.

- System regeneracji powietrza wymaga przeglądu - zauważył Johnsen.

- Właśnie, filtry prawie gotowe do wymiany. Chciałem to zrobić w przyszłym tygodniu. Niby można było dziś rano, ale pomyślałem, że ważniejszy jest rezerwowy układ sterowania.

- Trudno się z tobą nie zgodzić. Jak ci idzie?

- Jak z dziewczyną.

Uśmiech Overtona odbił się w grubej szybie dużego bulaja przed fotelem sternika. Z powodu niezgrabnego kształtu, łódź była słabo sterowna. Sternik miał czasami wrażenie, że „Sea Cliff” wie, co chce zrobić, tylko nie wie jak.

- Jaki obszar wchodzi w grę?

- Raczej duży. „Pigeon” twierdzi, że wybuch porzucił szczątki okrętu na wszystkie strony.

- Wyobrażam sobie. Pięć kilometrów do dna, a po drodze prąd.

- O ile się nie mylę, panie kapitanie, okręt nazywał się „Czerwony Październik”?

Mówił pan, że to okręt torpedowy klasy *Victor*?

- Tak się u was określa jego klasę? - powiedział Kaganowicz.

- A u was? - zapytał Johnsen, ale nie otrzymał odpowiedzi. Cóż to takiego, dziwił się po cichu. Dlaczego nazwa klasy okrętów podwodnych jest taką tajemnicą?

- Włączam sonar kierunkowy. - Johnsen uruchomił kilka systemów i „Sea Cliff”

rozpoczął wysyłanie dźwięków wysokiej częstotliwości z umieszczonego pod stępką nadajnika. - Jest dno. - Żółty ekran ukazywał kontury dna na białą.

- Nic tam nie sterczy, panie kapitanie? - zapytał Overton.

- Tym razem nie, Jess.

Rok temu pracowali o kilka kilometrów od tego miejsca i prawie nadziali się na statek typu *Liberty* zatopiony mniej więcej w 1942 roku przez niemieckiego U-Boota. Kadłub oparł

się na potężnym głazie i sterczał do góry. Zderzenie skończyłoby się tragicznie. Od tego czasu stali się o wiele bardziej ostrożni.

- Mam punktowe sygnały zwrotne. Dokładnie przed nami, rozłożone jak wachlarz. Do dna sto pięćdziesiąt metrów.

- Dobra.

- Hm, jest coś dużego w jednym kawałku, długości około dziesięciu metrów, średnica około trzech, kierunek godzina jedenasta, dwieście pięćdziesiąt metrów. Od tego zaczniemy.

- Idę w lewo, włączam światła.

Rozbłysło kilka potężnych reflektorów, otaczając łódź poświatą. Woda pochłaniała światło, tak że widzieli nie dalej niż na dziesięć metrów.

- Tam jest dno, dokładnie, tak jak pan mówił, panie Johnsen. - Overton przerwał

zanurzenie i sprawdził pływalność. Prawie zerowa, w porządku. - Przy takim prądzie, szybko nam wsiądą akumulatory.

- Jaka jest siła prądu?

- Półtora węzła, może jakieś dwa, zależy od kształtu dna. Jak w zeszłym roku. Na moje oko możemy manewrować przez godzinę, góra półtorej.

Johnsen przytaknął. Oceanografowie nadal nie rozumieli, skąd bierze się ten denny prąd, który od czasu do czasu całkiem przypadkowo zmienia kierunek. Dziwne. Ocean jest pełen dziwnych rzeczy. Dlatego Johnsen postanowił skończyć oceanografię, żeby choć niektóre z nich wyjaśnić. Oceanografia i pływanie na głębokości pięciu kilometrów pod powierzchnią oceanu to coś znacznie więcej niż tylko zarabianie na życie, przynajmniej dla Johnsen.

- Coś błyszczy na dnie, dokładnie przed nami. Mam to chwycić?

- Jeśli dasz radę.

„Sea Cliff” był wyposażony w trzy monitory telewizyjne pokazujące obraz prosto przed dziobem oraz na skos od niego w prawo i w lewo. Jednak na monitorach niczego jeszcze nie widzieli.

- Zaczynam. - Overton położył prawą rękę na konsoli sterowniczej wysięgnika.

Operował manipulatorem po mistrzowsku.

- Widzisz, co to takiego? - zapytał Johnsen, regulując monitory.

- Jakiś przyrząd. Może pan wyłączyć reflektor numer jeden? Oślepiam mnie.

- Wyłączam jedynekę. - Johnsen nachylił się do przodu i wyłączył reflektor. Ponieważ oświetlał on przestrzeń przed kamerą dziobową, ekran monitora natychmiast ściemniał.

- Dobra, malutka, tylko teraz nie ruszaj się... - Lewa ręka maszynisty sterowała napędem kierunkowym łodzi, a prawa manipulatorem. Mechanik uśmiechnął się do siebie w szybie bulaja. Teraz nikt poza nim nie widział, gdzie sięga manipulator. Poruszył gwałtownie prawą ręką.

- Mam! - powiedział.

Manipulator trzymał tarczę wskaźnika głębokości. Przed opuszczeniem „Austin”

płetwonurek podczepił ją do kadłuba łodzi.

- Może pan znowu włączyć światło.

Johnsen włączył reflektor, a Overton pokazał swoją zdobycz kamerze dziobowej.

- Co to takiego, szefie?

- Wygląda jak wskaźnik głębokości, ale my takich nie używamy - stwierdził Johnsen.

- Poznaje pan co to takiego, kapitanie?

- Da - powiedział natychmiast Kaganowicz. Głęboko westchnął, starając się sprawiać wrażenie wstrząśniętego. - To nasz wskaźnik. Nie widzę numerów, ale to z pewnością radzieckie urządzenie.

- Włóż to do koszyka, Jess - polecił Johnsen.

- Tak jest. - Manewrując manipulatorem, Johnsen umieścił tarczę w pojemniku na dziobie i złożył ramię manipulatora. - Podnosi się muł z dna. Zbierzmy próbki.

Gdy „Sea Cliff” zbliżył się do dna, strugi ze śrub napędowych wzburzyły denny pokład mułu. Overton zwiększył moc, żeby wrócić na wysokość pięciu metrów.

- Tak lepiej. Widzi pan, jaki prąd, panie Johnsen? Dobre dwa węzły. Długo tu nie posiedzimy. - Prąd dosyć prędko przenosił chmurę pyłu z lewej strony. - Gdzie ten duży przedmiot?

- Prosto przed nami, jakieś sto metrów. Może sprawdzimy, co to takiego?

- Dobrze. Idę do przodu. Coś leży na dnie, wygląda jak rzeźniczy nóż. Weźmiemy go?

- Nie, idziemy dalej.

- Tak jest, jaka odległość?

- Sześćdziesiąt metrów. Powinien być zaraz widoczny. Dwaj oficerowie zobaczyli to coś na ekranie w tej samej chwili, co Overton. Początkowo tylko kontur, który rozpląnął się jak poświata, ale po chwili stał się wyraźniejszy.

Overton odezwał się pierwszy:

- Cholera!

Walec o długości około dziesięciu metrów. Zbliżyli się od końca i zobaczyli cztery mniejsze stożki sterczące ze środka na mniej więcej dwadzieścia centymetrów.

- To jest rakietka, pieprzona ruska rakietka atomowa!

- Zatrzymaj, Jess.

Tak jest. - Overton dał lekko wstecz.

- Mówił pan, że okręt był klasy *Victor* - zwrócił się Johnsen do Rosjanina.

- Pomyliłem się. - Usta Kaganowicza zadrgały.

- Przyjrzyjmy się temu, Jess.

„Sea Cliff” podszedł z boku do korpusu rakiety. Napis cyrylicą trudno było wziąć za coś innego, choć z tej odległości nie rozpoznawali dokładnie cyfr. Nowy skarb dla Daveya Jonesa, rakietka SS-N-20 *Seahawk* z ośmioma głowicami samosterującymi o mocy pięciuset kiloton każda.

Kaganowicz dokładnie zapisał oznakowania na korpusie. Bezpośrednio przed odlotem z „Kijowa” otrzymał informację o rakietach *Seahawk*. Jako oficer radzieckiego wywiadu więcej wiedział o amerykańskim uzbrojeniu niż o radzieckim.

Jak dobrze się złożyło, pomyślał. Amerykanie pozwolili mu płynąć w jednym z najbardziej nowoczesnych okrętów badawczych, którego układ wnętrza już zdołał

zapamiętać, i sami wykonali zleczone mu zadanie. „Czerwony Październik” zatonął. Należało tylko dostarczyć tę informację admirałowi Stralbo na „Kirowie” i flota mogła płynąć do domu.

- Jess, ustal pozycję i oznacz tę zabawkę.

- Tak jest. - Overton nacisnął przycisk, zwalniając sonarowy przekaźnik reagujący tylko na zakodowane amerykańskie sygnały hydroakustyczne. Dzięki temu będą mogli odnaleźć raketę. Wrócą później z ciężkim dźwiękiem, założą linę na raketę i wydostaną ją na powierzchnię.

- Ta rakietka jest własnością Związku Radzieckiego - stwierdził Kaganowicz. -

Znajduje się na... pod międzynarodowymi wodami. Należy do nas.

- To przyjdź pan i weź ją sobie w cholere - warknął mechanik.

To prawdopodobnie przebrany oficer, pomyślał Kaganowicz.

- Wrócimy po nią - powiedział Johnsen.

- Nigdy nie będziecie w stanie jej podnieść. Jest za ciężka - oponował Kaganowicz.

- Na pewno ma pan rację. - Johnsen uśmiechnął się.

Kaganowicz pozwolił Amerykanom na to małe zwycięstwo. Mogło być gorzej. O

wiele gorzej.

- Czy będziemy kontynuować poszukiwania dalszych szczątków?

- Nie, uważam, że musimy wracać - zdecydował Johnsen.

- Ależ polecono panu...

- Polecono mi, kapitanie Kaganowicz, poszukiwać szczątków torpedowego okrętu podwodnego klasy *Victor*. Znaleźliśmy natomiast cmentarzysko okrętu rakietowego. Pan nas okłamał, panie kapitanie, i tu kończy się nasza współpraca z panem. Ma pan to, czego pan chciał. Później sami wrócimy po to, na co my będziemy mieli ochotę. - Johnsen pociągnął za znajdujący się nad głową uchwyt zwalniający żelazny balast. Sztaba metalu opadła na dno.

Dało im to pięćset kilogramów dodatkowej wyporności. Teraz, nawet jeśli by chcieli, nie mogli zostać przy dnie.

- Do domu, Jess.

- Tak jest, kapitanie.

Powrót na powierzchnię przebiegał w milczeniu.

USS „Austin”

Godzinę później Kaganowicz wspiął się na mostek i poprosił o zgodę na wysłanie wiadomości na „Kirowa”. Gdyby nie wcześniejsze uzgodnienia, dowódca „Austina” chętnie by odmówił. Informacja o tym, jaki to okręt naprawdę zatonał, rozeszła się szybko. Radziecki oficer przekazał serię kodowych słów, wśród nich numer seryjny wskaźnika głębokości.

Odbiór informacji natychmiast potwierdzono.

Overton i Johnsen patrzyli, jak Rosjanin, niosąc ze sobą tarczę wskaźnika, wsiada do śmigłowca.

- Szefie, nie spodobał mi się ten człowiek. *Kepten Kaganowicz*. Nazwisko jak czkawka u jąkały. Aleśmy mu podłożyli, nie?

- Ja z tobą, Jess, w karty już grać nie będę.

„Czerwony Październik”

Po sześciu godzinach snu Ryana obudziła muzyka, która wydała mu się znajoma.

Przez minutę leżał na koi, próbując sobie przypomnieć melodię, następnie wcisnął buty na nogi i ruszył do mesy oficerskiej.

To był E.T. Ryan wszedł akurat w momencie, gdy z ekranu trzynastocalowego telewizora, który stał na drugim końcu stołu, znikają już końcowe napisy. Byli tam prawie wszyscy Rosjanie i trzech Amerykanów. Rosjanie dziwnie tarli oczy. Jack nalał sobie kubek kawy i usiadł.

- Podobało się wam?

- Doskonały film - oznajmił Borodin.

- Daliśmy go już drugi raz - szepnął z uśmiechem porucznik Mannion.

Jeden z Rosjan zaczął mówić szybko w ojczystym języku. Borodin tłumaczył.

- Pyta, czy wszystkie amerykańskie dzieci zachowują się tak... Bugajew, jak jest *swobodno*?

- Niezależnie - przetłumaczył niezupełnie trafnie Bugajew.

Ryan zaczął się śmiać.

- Ja nigdy taki nie byłem, ale film kręcono w Kalifornii, gdzie ludzie są trochę stuknięci. W rzeczywistości żadne dzieci się tak nie zachowują. Przynajmniej ja nigdy takich nie widziałem, a sam mam dwoje. Choć, z drugiej strony, staramy się dawać naszym dzieciom o wiele więcej swobody, niż robią to rodzice w Związku Radzieckim.

Borodin przetłumaczył na rosyjski. Potem znowu na angielski pytanie Rosjanina.

- A więc nie wszystkie dzieci są takimi chuliganami?

- Niektóre są. Ameryka nie jest szczytem doskonałości, panowie. Robimy dużo błędów. - Ryan postanowił mówić możliwie prawdę.

Borodin znów przetłumaczył. Nie wszyscy wydawali się przekonani.

- Mówiłem im, że to film dla dzieci i nie można go brać zbyt poważnie. To prawda?

- Tak jest - powiedział Mancuso, który właśnie wszedł do mesy. - To bajka dla dzieci, ale oglądałem ją pięć razy. Witam wśród nas, Ryan.

- Dziękuję, panie kapitanie. Rozumiem, że panuje pan nad sytuacją?

- Owszem. Wygląda na to, że wszyscy potrzebujemy trochę się rozluźnić. Muszę dać Jonesowi jeszcze jedną pochwałę. To był naprawdę doskonały pomysł z tym telewizorem. Na sprawy poważne czasu jest dosyć.

Wszedł Noyes.

- Jak Williams? - zapytał Ryan.

- Wyjdzie z tego. - Noyes napełnił kubek. - Operowałem go przez trzy i pół godziny.

Rana głowy była powierzchowna. Krwawiła mocno, ale tak to jest z postrzałami głowy. Rana klatki piersiowej to już nie zabawa. Kula przeszła tuż obok przedsionka. Kapitanie Borodin, kto udzielił mu pierwszej pomocy?

Starpom wskazał jednego z oficerów.

- Nie zna angielskiego.

- Niech pan mu powie, że Williams zawdzięcza mu życie. Uratowało go założenie drenu do opłucnej. Bez tego już by nie żył.

- Jest pan pewien, że przeżyje? - dopytywał się Ryan.

- Oczywiście, że przeżyje. To mój zawód. Przez pewien czas będzie w złym stanie i wolałbym go umieścić w porządnym szpitalu, ale panujemy nad sytuacją.

- A kapitan Ramius? - zapytał Borodin.

- Wszystko w porządku. Jeszcze śpi. Zszyłem go dokładnie. Niech pan tego tam zapyta, gdzie się nauczył udzielania pierwszej pomocy.

Borodin przetłumaczył.

- Powiedział, że lubi czytać książki medyczne.

- Ile ma lat?

- Dwadzieścia cztery.

- Niech pan mu powie, że jeśli chce studiować medycynę, to powiem mu, od czego trzeba zacząć. Jeśli już teraz wie, co kiedy należy zrobić, może równie dobrze zarabiać tym na życie.

Młodemu oficerowi pochwała sprawiła sporą przyjemność. Zapytał, ile zarabia w Ameryce lekarz.

- Jestem w armii, więc nie zarabiam zbyt wiele. Cztery tysiące dolarów miesięcznie, razem z dodatkiem za loty. W cywilu mógłbym dostać o wiele więcej.

- W Związku Radzieckim - stwierdził Borodin - lekarz zarabia tyle, co robotnik w fabryce.

- Może dlatego wasza służba zdrowia jest na tak kiepskim poziomie - zauważył

Noyes.

- Kiedy kapitan będzie w stanie objąć dowodzenie? - zapytał Borodin.

- Chcę go przetrzymać w kabinie cały dzień - powiedział Noyes. - Nie chcę, żeby znów zaczął krwawić. Jutro może spróbować chodzić. Ale ostrożnie, bez forsowania rannej nogi. Wyjdzie z tego, panowie. Trochę osłabiony wskutek utraty krwi, ale szybko dojdzie do siebie. - Noyes mówił takim tonem, jakby omawiał fundamentalne prawa fizyki.

- Bardzo panu dziękujemy, doktorze - powiedział Borodin.

Noyes wzruszył ramionami.

- Za to mi płacą. A teraz czy ja mogę zadać pytanie? Co się tu, do cholery, dzieje?

Borodin roześmiał się, tłumacząc pytanie swoim rodakom.

- Mamy zostać obywatelami Stanów Zjednoczonych.

- I przywieźliście ze sobą okręt podwodny? Cholera ciężka. W pierwszej chwili myślałem, że to jakaś... sam nie wiem co, coś dużego. Co za historia! Ale chyba i tak nie będę mógł jej nikomu opowiedzieć.

- Zgadza się, panie doktorze - potwierdził Ryan.

- Szkoda - mruknął Noyes, wracając do izby chorych.

Moskwa

- A więc, panie admirale, czy zadanie zostało wykonane? - zapytał Narmonow.

- Tak jest, towarzyszu sekretarzu generalny - skinął głową Gorszkow, przyglądając się twarzom wokół stołu w podziemnym centrum dowodzenia. Obecni byli wszyscy ze ścisłego grona, także dowódcy armii i szef KGB. - Amerykanie umożliwili oficerowi wywiadu floty admirała Stralbo, kapitanowi Kaganowiczowi, obejrzenie wraku z pokładu jednej z łodzi głębinowych. Załoga wydobyła fragment wraku, tarczę wskaźnika głębokości. Tego rodzaju przedmioty mają numery fabryczne i numer ten został natychmiast przekazany do Moskwy. Z

całą pewnością chodzi o „Czerwony Październik”. Kaganowicz widział również rakietę, którą wybuch wyrzucił z okrętu. To bez wątpienia *Seahawk*. „Czerwony Październik” jest martwy.

Nasze zadanie zostało wykonane.

- Tylko przez przypadek, towarzyszu admirale, nie w sposób zaplanowany - zwrócił

uwagę Michaił Aleksandrow. - Waszej flocie nie udało się ani zlokalizować, ani zniszczyć okrętu. Wydaje mi się, że towarzysz Gierasimow ma dla nas trochę informacji.

Nikołaj Gierasimow był nowym szefem KGB. Przekazał już swój raport kierownictwu partyjnemu i niecierpliwie czekał na moment, gdy będzie mógł uraczyć nim także te wyniosłe papugi w mundurach. Chciał przyjrzeć się ich reakcji. KGB miał z nimi rachunki do wyrównania. Gierasimow streścił raport otrzymany od agenta o pseudonimie Kasjusz.

- Niemożliwe! - wysapał Gorszkow.

- Być może - uprzejmie zgodził się Gierasimow. - Istnieje duże prawdopodobieństwo, że mamy do czynienia z przypadkiem dezinformacji. Nasi agenci sprawdzają to teraz. Należy jednak wziąć pod uwagę niektóre interesujące aspekty, potwierdzające tę hipotezę. Jeżeli pozwolicie, towarzyszu admirale, chciałbym je teraz przedstawić.

- Po pierwsze, dlaczego Amerykanie dopuszczają naszego człowieka na pokład jednej ze swych najnowszych jednostek badawczych? Po drugie, dlaczego w ogóle współdziałają z nami, ratując rozbitka z „Politowskiego” i informując nas o tym? Natychmiast dopuszczają nas do niego. Dlaczego? Dlaczego nie zatrzymali go, wykorzystali i nie pozbyli się go? Przez sentyment? Nie sądzę. Po trzecie, w tym samym czasie, gdy uratowali tego człowieka, ich jednostki morskie i powietrzne rażąco agresywnie nękały naszą flotę. I nagle spokój, a w dzień później aż przestępowali z nogi na nogę, żeby tylko włączyć się do naszej operacji

„poszukiwawczo-ratowniczej”.

- To dlatego, że Stralbo rozważnie postanowił nie odpowiadać na ich prowokacje -

wtrącił Gorszkow.

Gierasimow znów uprzejmie skinął głową.

- Zapewne. Admirał Stralbo postąpił tak, jak mu dyktowały okoliczności. Żołnierzowi w mundurze nie przychodzi łatwo odłożyć na bok własną dumę. Jednakże wydaje mi się, że być może właśnie wtedy Amerykanie dostali tę informację, którą Kasjusz przekazał nam.

Zaczęli obawiać się naszej reakcji, gdybyśmy uznali, że cała sprawa została zmontowana przez CIA. Obecnie już wiemy, że różne wywiady imperialistycznych krajów zainteresowały się naszą aktywnością na oceanie. W ciągu ostatnich dwóch dni sami przeprowadziliśmy kilka szybkich operacji sprawdzających. Okazuje się - Gierasimow zajrzał w notatki - że w stoczni marynarki w Polarnym jest dwudziestu dziewięciu polskich inżynierów, przede wszystkim na stanowiskach kontroli jakości i nadzoru. Stwierdzono, że kontrola ich korespondencji i kontaktów jest bardzo nieuszczelna, oraz że kapitan Ramius nie płynął, tak jak groził w liście do towarzysza Padorina, do portu w Nowym Jorku. Jego okręt został zatopiony o tysiąc kilometrów dalej na południe.

- To po prostu zwykła dezinformacja ze strony Ramiusa - zaoponował Gorszkow. -

Ramius zarówno nas prowokował, jak i wprowadzał w błąd. Z tego powodu zablokowaliśmy jednostkami naszej floty wszystkie amerykańskie porty.

- Mimo to nie znaleźliście go - zauważył spokojnie Aleksandrow. - Proszę kontynuować, towarzyszu Gierasimow.

- Gdziekolwiek by płynął - mówił dalej Gierasimow - znajdował się ponad pięćset kilometrów od najbliższych portów, a przecież mógł spokojnie dopłynąć do każdego z nich.

W rzeczywistości, jak sami stwierdziliście, towarzyszu admirale, w pierwszym swoim sprawozdaniu, był on w stanie dotrzeć do wybrzeży Ameryki w siedem dni od wypłynięcia z portu.

- W tym celu, jak to szczegółowo wyjaśniłem, musiałby poruszać się z maksymalną szybkością. Dowódcy okrętów raketowych nie lubią tego robić - odpowiedział Gorszkow.

- Biorąc pod uwagę historię „Politowskiego” - stwierdził Aleksandrow - to całkiem zrozumiałe. Ale można by sądzić, że zdrajca *rodiny* będzie uciekać jak złodziej.

- Prosto w zastawioną pułapkę - odpowiedział Gorszkow.

- Która się nie udała - skomentował Narmonow.

- Nie twierdzę, że ta historia jest prawdziwa, a nawet nie sądzę, żeby w tym akurat punkcie była prawdopodobna - powiedział Gierasimow obojętnym i chłodnym tonem - ale mamy sporo niezależnych od siebie danych, które przemawiają na jej korzyść i czuję się zmuszony

zalecić

przeprowadzenie

przez

Komitety

Bezpieczeństwa

Publicznego

szczegółowego śledztwa, które umożliwi zbadanie wszystkich aspektów tej sprawy.

- Bezpieczeństwo w portach jest sprawą marynarki i wywiadu wojskowego -

powiedział Gorszkow.

- Już nie. - Narmonow oznajmił decyzję podjętą dwie godziny wcześniej. - KGB

przeprowadzi śledztwo w tej pożałowania godnej sprawie, idąc dwoma śladami. Jedna grupa zbada informacje pochodzące od agenta w Waszyngtonie. Druga działać będzie przy założeniu, że list od kapitana Ramiusa jest autentyczny. Jeśli doszło do zdradzieckiego spisku, to tylko dlatego, że zgodnie z aktualnymi regulaminami i stosowaną praktyką, kapitan okrętu sam dobiera sobie oficerów. Komitet Bezpieczeństwa Publicznego przedstawi nam opinię o celowości kontynuowania tej praktyki, o stopniu, w jakim kapitanowie okrętów mają wpływ na awanse swoich oficerów i o kontroli partii nad marynarką wojenną. Powinniśmy zacząć od ułatwiania oficerom przenoszenia się z jednego okrętu na drugi. Jeśli oficer pozostaje zbyt długo w jednym miejscu, może zapomnieć, komu przede wszystkim winien jest lojalność.

- To, co sugerujecie, zniszczy moją flotę! - Gorszkow uderzył pięścią w stół i to był

błąd.

- Flotę narodu, towarzyszu admiralu - poprawił go Aleksandrow. - Flotę partii.

Gorszkow domyślił się źródeł tej decyzji. Narmonow nadal cieszył się poparciem Aleksandrowa. Wzmacniało to sekretarza generalnego, ale jednocześnie osłabiała pozycje innych osób siedzących przy tym stole. Których?

Umysł Padorina również buntował się przeciw propozycjom KGB. Co ci zasrani szpiegdy wiedząc marynarce? Albo partia? Sami skorumpowani oportuniści, co udowodnił

Andropow. Teraz Biuro Polityczne pozwala temu gnojkwowi Gierasimowowi atakować wojsko, które broni narodu przed imperializmem, które uratowało go przed kliką Andropowa i zawsze wiernie służyło partii. Ale wszystko się przecież zgadza, pomyślał. Tak jak Chruszczow pozbył się Żukowa, człowieka, który umożliwił mu objęcie władzy po załatwieniu Berii, tak samo te łobuzy będą teraz

wykorzystywać KGB przeciwko ludziom w mundurach, którzy ich właśnie chronili...

- Jeśli chodzi o was, towarzyszu Padorin - mówił dalej Aleksandrow.

- Słucham, towarzyszu sekretarzu. - Padorin wydawał się być na straconej pozycji.

Główny Zarząd Polityczny był ostateczną instancją, która podjęła decyzję o nominacji Ramiusa. Jeśli Ramiusa uznają za zdrajcę, to Padorin jest winien poważnego zaniedbania.

Jeśli natomiast Ramius okaże się tylko niewinną ofiarą, to będzie to znaczyło, że Padorin razem z Gorszkowem dali się sprowokować do nierozważnej akcji.

Narmonow przejął pałeczkę od Aleksandrowa.

- Towarzyszu admirale, uważamy, że zastosowane przez was na okręcie podwodnym

„Czerwony Październik” tajne środki bezpieczeństwa nie zawiodły. To znaczy, o ile kapitan Ramius nie jest niewinny i nie wysadził swojego okrętu razem z własnymi oficerami i Amerykanami, którzy niewątpliwie usiłowali go ukraść. W każdym razie, biorąc pod uwagę wyniki badania szczątków wydobytych przez KGB z wraku, wszystko wskazuje na to, że okręt nie dostał się w ręce wroga.

Padorin zamrugał kilka razy. Serce biło mu szybko i czuł lekki ból z lewej strony pod mostkiem. Czyżby mu darowano? Dlaczego? Zrozumiał dopiero po kilku sekundach. Bądź co bądź, jest oficerem politycznym. Jeśli partia chce odzyskać kontrolę polityczną nad flotą, a raczej wzmocnić to, czego jeszcze nie straciła, to Biuro Polityczne nie może sobie pozwolić na pozbycie się swojego przedstawiciela w naczelnym dowództwie. W ten sposób stanie się ich podwładnym, szczególnie Aleksandrowa. Padorin doszedł do wniosku, że można z tym żyć.

Teraz pozycja Gorszkowa stała się bardzo niepewna. Padorin był pewien, że niedługo radziecka marynarka otrzyma nowego dowódcę, znacznie mniejszego kalibru niż Gorszkow, którego pozycja uniemożliwi mu prowadzenie własnej polityki bez zgody Biura Politycznego.

Gorszkow stał się zbyt wielki, zbyt potężny, a partyjni przywódcy nie chcą w naczelnym dowództwie człowieka posiadającego zbyt wielki osobisty prestiż.

Uratowałem głowę, pomyślał Padorin, zaskoczony, że błysnęła mu szczęśliwa gwiazda.

- Towarzysz Gierasimow - kontynuował Narmonow - ściśle współdziałając z pionem kontroli partyjnej waszego zarządu, dokona przeglądu stosowanych środków bezpieczeństwa i przedstawi propozycje ulepszeń.

Czyli że teraz ma być szpiegiem KGB w sztabie floty? No cóż, uratował głowę, stanowisko, dację, a za dwa lata czeka go emerytura. To niska cena. Padorin był więcej niż zadowolony.

Dzień szesnasty

Wschodnie Wybrzeże

USS „Pigeon” zacumował w swoim doku w Charleston o czwartej rano. Radzieccy marynarze, zakwaterowani w mesie załogi, okazali się łatwym łupem dla gospodarzy.

Pomimo że radzieccy oficerowie bardzo się starali ograniczyć kontakty między swymi podopiecznymi a Amerykanami, przychodziło im to z trudnością. Mówiąc najprościej, nie byli w stanie przeciwstawić się głosowi natury. „Pigeon” karmił przybyszów najlepszym jedzeniem, jakie było na pokładzie, a do toalety trzeba było chodzić na rufę. W drodze tam i z powrotem, załoga „Czerwonego Października” stykała się z marynarzami amerykańskimi.

Część z nich to mówiący po rosyjsku oficerowie przebrani za marynarzy, a inni - wyszukani w armii rusycyści, których dostarczono śmigłowcem w chwili, gdy na pokład wchodziła ostatnia grupa radzieckich marynarzy. Fakt, że na pokładzie wrogiego okrętu spotkali ludzi, którzy odnosili się do nich przyjaźnie i mówili po rosyjsku, przewyciężył opory młodych marynarzy. To, co mówili, skrycie nagrywano w celu późniejszego zbadania w Waszyngtonie. Gdy Pietrow i trzech młodszy oficerowie zorientowali się, o co chodzi, zaczęli eskortować marynarzy do toalety grupami, jak troskliwi rodzice. Nie uchronili ich jednak przed oficerem wywiadu w mundurze bosmana, który gwarantował azyl każdemu, kto zechce pozostać w Stanach Zjednoczonych. Wystarczyło dziesięć minut, żeby wiadomość ta rozeszła się wśród Rosjan.

Gdy nadeszła pora posiłku dla marynarzy amerykańskich, okazało się, że radzieccy oficerowie prawie nic nie jedzą, tak pochłaniało ich nadzorowanie stołów w mesie. Ku zaskoczeniu dowództwa okrętu, odrzucili kilkakrotnie ponawiane zaproszenie do mesy oficerskiej.

„Pigeon” cumował bardzo powoli. Nie było powodów do pośpiechu. Z chwilą, kiedy położono trap, orkiestra na nabrzeżu zaczęła grać radzieckie i amerykańskie melodie dla podkreślenia współpracy dwóch narodów i udanej misji ratunkowej. Biorąc pod uwagę porę dnia, Rosjanie spodziewali się, że przybędą bez hałasu. Ale bardzo się pomylili. Kiedy pierwszy radziecki oficer znalazł się w połowie trapu, nagle oślepiło go pół setki telewizyjnych jupiterów i przytłoczyły pytania wykrzykiwane przez reporterów, których wyciągnięto z łóżek na spotkanie okrętu ratowniczego. Każdy z nich miał nadzieję zdobyć coś, co ożywi poranne przedświąteczne programy. Rosjanie nigdy nie zetknęli się z zachodnią telewizją. Zderzenie dwóch kultur doprowadziło do pełnego chaosu. Dziennikarze wyławiali z tłumu oficerów i zatrzymywali ich, ku konsternacji próbujących utrzymać porządek marines. Wszyscy oficerowie udawali, że nie znają angielskiego, ale przekonali się szybko, że przewidujący reporterzy przywieźli profesora filologii rosyjskiej z University of South Carolina w Columbii. Pietrow, stojąc przed tuzinem kamer, zaczął się gubić w politycznych ogólnikach. Miał nadzieję, że to, co wygląda jak zły sen, okaże się tylko przemijającym, nocnym koszmarem. Dobrą godzinę zajęło umieszczenie wszystkich Rosjan w trzech wynajętych w tym celu autobusach i wysłanie ich na lotnisko. Po drodze jechały za nimi samochody wypełnione ekipami reporterów

nadal wykrzykujących niezrozumiałe pytania i błyskających lampami. Na lotnisku wszystko się powtórzyło. Lotnictwo przysłało po Rosjan transportowiec VC-135, ale zanim udało się im do niego wejść, musieli przedrzeć się przez istne morze dziennikarskich głów. Iwanow utkwiał przy specjalście języków słowiańskich, mówiącym po rosyjsku z okropnym akcentem. Załadunek zajął

godziny.

Kilkunastu oficerów amerykańskich usadzało Rosjan w fotelach, rozdawało papierosy i trunki. Zanim jeszcze samolot specjalny wzniósł się na trzy tysiące metrów, wszyscy bawili się doskonale. Jeden z opiekunów wyjaśniał marynarzom przez głośnik, że po przewiezieniu do Waszyngtonu zostaną poddani badaniom lekarskim. Następnego dnia Związek Radziecki przyśle po nich samolot, ale gospodarze mają nadzieję, że ich pobyt uda się przedłużyć o dzień lub dwa, tak aby marynarze „Października” mogli w pełni zapoznać się z amerykańską gościnnością. Załoga samolotu prześcigała się w uprzejmościach, objaśniając pasażerom wszystko, co widać na trasie przelotu, podając nazwę każdego miasta, wsi, między stanowej autostrady i postoju ciężarówek przy drodze. Mówiono o tym, jak bardzo wszyscy Amerykanie pragną pokojowego i przyjaznego współżycia ze Związkiem Radzieckim, wyrażano w imieniu Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych podziw dla odwagi radzieckich marynarzy oraz składano kondolencje z powodu śmierci oficerów, którzy nie wahali się zostać do końca na pokładzie. Wszystko razem było arcydziełem hipokryzji, obliczonym na przytłoczenie Rosjan. Stopniowo zaczynało to przynosić efekty.

Zbliżając się do bazy Andrews, samolot leciał nisko nad przedmieściami Waszyngtonu. Tłumacz wyjaśniał, że lecą nad zwyczajnymi osiedlami domów, w których mieszkają zwykli urzędnicy i robotnicy. Na lotnisku oczekiwały znowu trzy autobusy, które zamiast okrążyć Waszyngton obwodnicą, pojechały przez środek miasta. Oficerowie amerykańscy w każdym autobusie przepaszali za korki uliczne, wyjaśniając pasażerom, że prawie każda rodzina w Ameryce ma samochód, czasami dwa lub trzy, a ludzie korzystają z komunikacji miejskiej tylko dla uniknięcia niewygód związanych z posługiwaniem się własnym pojazdem. Niewygód, myśleli w zdumieniu radzieccy marynarze. Oficerowie polityczni mogą później próbować wmawiać im, że wszystko to od początku do końca kłamstwo, ale przecież po szosach jeździły tysiące samochodów. Tego nie dałoby się sfabrykować w kilka godzin. Jadąc przez południowo-wschodnią część miasta zwrócili uwagę, że również wielu Murzynów miało samochody. Było ich tyle, że brakowało wolnych miejsc do parkowania! Autobus jechał dalej przez Mall, a tłumacze wyrażali nadzieję, że marynarzom wolno będzie zwiedzić muzea. W Muzeum Aeronautyki, mówili, można zobaczyć skałę przywiezioną przez astronautów z Księżyca... W parku Mali widać było tysiące spacerowiczów. Gdy autobusy skręciły na północ do Bethesdy przez bogatszą część północno-zachodniego Waszyngtonu, marynarze z ożywieniem wymieniali między sobą u wagi.

W Bethesdzie czekali dziennikarze, prowadzący na żywo transmisję dla wszystkich trzech głównych sieci telewizyjnych, oraz przyjaźnie uśmiechnięci lekarze i sanitariusze marynarki, którzy poprowadzili ich do szpitala na badania lekarskie.

Dziesięciu urzędników z ambasady radzieckiej próbowało zapanować nad grupą, ale nie mogli się przecież skarżyć na okazaną im obywatelom, w duchu odprężenia, troskliwość.

Sprowadzono lekarzy z Walter Reed i innych rządowych klinik, żeby przeprowadzić szybkie i dokładne badanie lekarskie ze szczególnym uwzględnieniem skażenia promieniotwórczego. Po drodze każdy marynarz trafiał również do oficera marynarki Stanów Zjednoczonych, który uprzejmie pytał go, czy chce zostać w Stanach Zjednoczonych.

Informowano go, że o swojej decyzji będzie musiał osobiście powiadomić przedstawiciela ambasady radzieckiej, ale azyl otrzyma. Ku wściekłości radzieckich urzędników, czterech ludzi podjęło taką decyzję, ale jeden wycofał się po konfrontacji z attache morskim ambasady. Amerykanie przezornie nagrywali każdą rozmowę, tak żeby móc później zdementować wszelkie oskarżenia o zastraszenie.

Po zakończeniu badań lekarskich, gdy okazało się szczęśliwie, że poziom skażenia jest nieznaczny, marynarzy nakarmiono i położono spać.

Waszyngton

- Dzień dobry, panie ambasadorze - powiedział prezydent.

Arbatow zwrócił uwagę, że i tym razem u boku swojego szefa za dużym zabytkowym biurkiem stał doktor Pelt. Spotkanie nie zapowiadało się przyjemnie.

- Panie prezydencie, jestem tu po to, aby zaprotestować przeciwko próbie porwania naszych marynarzy przez rząd Stanów Zjednoczonych.

- Panie ambasadorze - odpowiedział ostro prezydent - dla mnie, jako byłego prokuratora okręgowego, porwanie jest podłym i obmierzłym przestępstwem. Nikt nie będzie oskarżać o coś takiego rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki, a już na pewno nie w tym miejscu! Nigdy nie porywaliśmy, nie porywamy i nigdy nie będziemy porywać ludzi. Czy jest to dla pana jasne? Ponadto, Aleks, ci ludzie żyją tylko dlatego, że zostali przez nas uratowani.

Straciliśmy z tego powodu dwóch dzielnych oficerów. Mógłbyś spróbować wyrazić przynajmniej formalną wdzięczność za nasz wysiłek przy ratowaniu waszych ludzi, może wykonać jakiś gest sympatii wobec Amerykanów, którzy stracili z tego powodu życie.

- Mój rząd docenia heroiczny wysiłek waszych dwóch oficerów i w imieniu całego narodu radzieckiego pragnie wyrazić swoją wdzięczność za uratowanie naszych marynarzy.

Ale pomimo tego, podejmowane są próby nakłonienia tych marynarzy do zdrady swojej ojczyzny.

- Panie ambasadorze, gdy w zeszłym roku wasz trawler uratował załogę naszego samolotu patrolowego, oficerowie armii radzieckiej proponowali kobiety, pieniądze i inne rzeczy w zamian za informacje lub zgodę pozostania we Władywostoku. Czy się mylę?

Proszę mi nie mówić, że nic pan o tym nie wie. Taka gra toczy się nie od dziś. Byliśmy na tyle wdzięczni za samo uratowanie tych ludzi, że nawet nie protestowaliśmy przeciwko tego rodzaju praktykom. Wszyscy, rzecz jasna, wrócili i dalej wykonują swoje obowiązki. Nadal pozostajemy wdzięczni za humanitarne zainteresowanie życiem przeciętnych obywateli naszego kraju. Każdy z waszych marynarzy i oficerów został poinformowany, że jeśli chce, może zostać w Ameryce. Do niczego ich nie zmuszano. Każdy, kto postanowił zostać, musiał

spotkać się z przedstawicielem waszej ambasady, który miał dzięki temu dobrą okazję wyjaśnienia mu, że podjął błędną decyzję. Nie ma w tym nic nieuczciwego, panie ambasadorze. Nie proponowaliśmy kobiet ani pieniędzy. Nie kupujemy ludzi i nigdy, z całą pewnością, nie porywamy ludzi. Porywaczy sam wsadzałem do więzienia. Raz nawet doprowadziłem do egzekucji. Niech pan sobie nigdy więcej nie pozwala na takie oskarżenia -

zakończył podniosłe prezydent.

- Mój rząd kategorycznie domaga się odesłania wszystkich naszych marynarzy do ojczyzny - nalegał Arbatow.

- Panie ambasadorze, każdy człowiek w Stanach Zjednoczonych, niezależnie od narodowości i sposobu przybycia do kraju, ma prawo do pełnej ochrony prawnej. Nasze sądy wielokrotnie podejmowały decyzje w tego rodzaju sprawach i zgodnie z obowiązującym u nas prawem nikt nie może być do czegokolwiek zmuszany wbrew swej woli i bez przestrzegania określonej procedury prawnej. Temat uważam za wyczerpany. A teraz chciałbym zadać panu pytanie. Co robił rakietowy okręt podwodny pięćset pięćdziesiąt kilometrów od amerykańskich wybrzeży?

- Rakietowy, panie prezydencie?

Pelt podniósł z biurka prezydenta i podał Arbatowowi fotografię zrobioną z taśmy nakręconej przez „Sea Cliff”. Ukazywała odpalaną spod wody raketę balistyczną typu SS-N-20.

- Okręt nazywa się... nazywał się „Czerwony Październik” - powiedział Pelt. - Po eksplozji zatonął pięćset pięćdziesiąt kilometrów od wybrzeży Karoliny Południowej. A przecież zawarliśmy porozumienie mówiące, że raketowe okręty podwodne naszych państw nie będą się zbliżać do wybrzeży Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego na odległość mniejszą niż dziewięćset kilometrów. Dlatego domagamy się wyjaśnienia, co radziecki okręt robił u wybrzeży Karoliny. Niech mi pan nie próbuje wmówić, że ta raketa na zdjęciu to fałszerstwo. Nawet jeśli byśmy chcieli zrobić coś równie głupiego, to nie było na to czasu. To wasza raketa, panie ambasadorze, a okręt miał na pokładzie jeszcze dziewiętnaście takich samych. - Pelt celowo podał błędną liczbę. - Dlatego rząd Stanów Zjednoczonych domaga się od rządu Związku Radzieckiego odpowiedzi na pytanie, skąd się tam wziął ten okręt, łamiąc tym samym istniejące uzgodnienia, i to w sytuacji, gdy tyle waszych okrętów znajduje się bardzo blisko wybrzeży Ameryki.

- To musi być ten zaginiony okręt - wyjaśnił Arbatow.

- Panie ambasadorze - spokojnie powiedział prezydent. - Okręt zaginął dopiero w czwartek, czyli w siedem dni po pańskim zawiadomieniu o tym fakcie. Krótko mówiąc, pańskie wyjaśnienia z ostatniego piątku nie są zgodne z faktami, które zostały przez nas stwierdzone.

- Jakie oskarżenie pan tu wysuwa? - obruszył się Arbatow.

- Ależ żadnego - spokojnie powiedział prezydent. - Jeśli Związek Radziecki uznaje, że nasze uzgodnienia straciły ważność, to tym samym tracą one ważność. Wydaje mi się, że rozważaliśmy taką możliwość już w zeszłym tygodniu. Jeszcze dziś nasz naród dowie się o zaistniałych faktach. Zna pan Amerykę na tyle, aby wyobrazić sobie reakcje opinii publicznej.

Domagam się wyjaśnień. Tymczasem nie widzę żadnych powodów uzasadniających przebywanie waszych okrętów w pobliżu amerykańskich wybrzeży. „Operacja ratunkowa”

zakończyła się pomyślnie i dalsza obecność radzieckiej floty może być uznana tylko za prowokację. Dobrze by było, gdyby pan i pana rząd zastanowił się nad tym, co radzą mi zrobić moi doradcy wojskowi, lub jeśli pan woli, co w podobnej sytuacji wasi eksperci doradzaliby sekretarzowi generalnemu Narmonowowi. Domagam się wyjaśnień. W

przeciwnym wypadku mogę dojść tylko do jednego wniosku, nawet jeśli bym tego nie chciał.

Proszę przekazać tę wiadomość swoim władzom. Proszę je również zawiadomić, że skoro niektórzy wasi marynarze postanowili pozostać w Ameryce, prawdopodobnie już niedługo dowiemy się, co się naprawdę stało. Do widzenia.

Z gabinetu prezydenta Arbatow skierował się na lewo, do zachodniego wejścia do Białego Domu. Wartownik marines przytrzymał mu uprzejmie drzwi, a kierowca czekającego na zewnątrz cadillaca ambasady pomógł mu wsiąść do środka. Kierowca był szefem sekcji politycznej waszyngtońskiej rezydentury KGB.

- A więc? - zapytał. Sprawdził, czy ma wolny wyjazd i skręcił w lewo na Pennsylvania Avenue.

- A więc spotkanie wyglądało dokładnie tak, jak się spodziewałem i teraz możemy mieć zupełną pewność co do powodów, dla których porywają naszych ludzi - odpowiedział

Arbatow.

- A jakie są te powody? - zapytał kierowca.

Starał się nie okazywać irytacji. Jeszcze kilka lat temu ten partyjny najemnik nie ośmieliłby się w ten sposób rozmawiać z wyższym oficerem KGB. Po śmierci towarzysza Andropowa Komitet Bezpieczeństwa Publicznego haniebnie podupadł. Ale już niedługo wszystko wróci do normy.

- Prezydent oskarżył nas, że wysłaliśmy okręt podwodny do wybrzeży Ameryki specjalnie po to, aby złamać tajne porozumienia z 1979 roku. Zatrzymują naszych ludzi po to, aby ich przesłuchiwać, zrobić im pranie mózgow i wyciągnąć, jakie było zadanie okrętu. Ile CIA potrzebuje na to czasu? Dzień? Dwa? - Arbatow ze złością potrząsnął głową. - Nawet już teraz mogą to wiedzieć. Wystarczy trochę narkotyków, może kobieta, żeby rozwiązać język.

Prezydent powiedział jeszcze, że możemy domyślać się, co proponują mu jego doradcy.

Nietrudno się domyślać co! Zarzucą nam, że ćwiczyliśmy przygotowanie do nuklearnego ataku z zaskoczenia, być może nawet że próbowaliśmy wykonać taki atak! Tak, jakbyśmy nie pracowali ciężko nad utrzymaniem pokojowego współistnienia! Podejrzliwi głupcy. Potężnie się wystraszyli, a przez to są jeszcze bardziej wściekli.

- Czy można mieć do nich pretensje? - zapytał kierowca, który cały czas chłonał słowa rozmówcy, analizował je, porównywał fakty, a przede wszystkim przygotowywał zarys własnego niezależnego raportu dla centrali w Moskwie.

- Powiedział jeszcze, że nie ma już żadnych powodów uzasadniających obecność naszej floty u ich wybrzeży.

- W jaki sposób to powiedział? Czy jak żądanie?

- Spokojnie. Spokojniej, niż się spodziewałem. To mnie niepokoi. Najwyraźniej coś przygotowuje. Potrząsanie szabelką wywołuje hałas, ale wyciąganie jej z pochwy odbywa się po cichu. Prezydent domaga się wyjaśnienia całej historii. Co ja mam mu powiedzieć? Co się właściwie działo?

- Obawiam się, że tego nigdy się nie dowiemy. - Jednak wyższy oficer KGB znał całą tę nieprawdopodobną historię. Nie pojmował, w jaki sposób marynarka i GRU mogły dopuścić się tak niewyobrażalnego błędu. Informacje przekazane przez Kasjusza były nie mniej szalone. Ten kierowca osobiście zawiózł meldunek do Moskwy. Czy to możliwe, że zarówno Związek Radziecki, jak i Stany Zjednoczone padły ofiarą intrygi jakiegoś trzeciego państwa? Operacja wymknęła się z rąk i Amerykanie próbują się dowiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny i jak wszystko zostało przeprowadzone. Po to, żeby móc tak zrobić samemu?

To akurat miało sens, ale reszta? Jechał powoli w gęstniejącym ruchu ulicznym. Skrzywił się.

Z Moskwy otrzymał rozkaz, żeby możliwie jak najszybciej dowiedzieć się, czy cała operacja nie została zmontowana przez CIA. Ale to mało prawdopodobne. CIA musiałaby wykazać się niezwykle kunsztem w zatajaniu swoich działań. Czy tak ogromną operację można w ogóle utrzymać w tajemnicy? Prawdopodobnie nie. Jednak mimo to, on i jego współpracownicy przez najbliższych kilka tygodni będą pracować nad ujawnieniem wszystkich możliwych szczegółów, ustaleniem tego, co mówiono w Langley i jakie rozkazy przekazywano agentom.

Inne sekcje KGB będą robić to samo na całym świecie. Jeśli CIA dotarła do dowództwa Floty Północnej, KGB na pewno się o tym dowie. Tego można być pewnym. Nieomal sobie życzył, żeby tak było. Za niepowodzenie odpowiadać będzie GRU i w ten sposób KGB odzyska to, co utraciła kilka lat temu. Jeśli właściwie odczytuje dochodzące sygnały, to Biuro Polityczne daje przewagę KGB nad GRU i armią, zlecając centrali w Moskwie przeprowadzenie własnego dochodzenia. Niezależnie od tego, co uda się ustalić, KGB tylko na tym skorzysta i wyprzedzi wywiad wojskowy. Tak czy inaczej, organizacja, dla której pracuje, odkryje, co się stało. A jeśli okaże się to niewygodne dla rywali, tym lepiej...

Gdy za radzieckim ambasadorem zamknęły się drzwi, doktor Pelt otworzył boczne drzwi do gabinetu prezydenckiego, przez które wszedł sędzia Moore.

- Panie prezydencie, już dawno mi się nie zdarzało chować w szafach.

- Myśli pan, że się uda? - zapytał Pelt.

- Jestem o tym przekonany. - Moore zasiadł wygodnie w skórzanym fotelu.

- Czy nie wydaje się to panu jednak trochę chwiejne? - zapytał Pelt. - To operacja o ogromnym zasięgu.

- Na tym polega cały urok, panie doktorze, że nie prowadzimy w ogóle żadnej operacji, ale robią to za nas Rosjanie. Rzecz jasna, wysyłamy sporo ludzi do Europy Wschodniej, żeby trochę powęszyli. Podobnie agenci sir Basila. Francuzi i Izrael już tam są, ponieważ zapytaliśmy ich, co się dzieje z zaginionym raketowym okrętem podwodnym.

KGB szybko się o tym dowie i zacznie się zastanawiać, dlaczego cztery główne wywiady zachodnie zadają te same pytania, zamiast zamknąć się w skorupie, jak można by było oczekiwać, gdyby to była nasza operacja. Rosjanie stoją przed poważnym dylematem -

kontynuował Moore. - Muszą się zdecydować na jedną z dwóch równie mało atrakcyjnych wersji wydarzeń. Mogą przyjąć, że jeden z obdarzonych najwyższym zaufaniem oficerów dopuścił się zdrady na niespotykaną skalę. Widzieliście nasze dane o kapitanie Ramiusie.

Wynika z nich, że to radziecka wersja superskauta, prawdziwy radziecki człowiek. Trzeba jeszcze dodać, że tego rodzaju zdrada wymagałaby współdziałania całej grupy wyższych oficerów. Utrata tancerki baletowej czy agenta KGB to jedno, ale utrata syna członka Biura Politycznego, oficera z niemal trzydziestoletnią nienaganną służbą, to zupełnie coś innego.

Ponadto kapitan marynarki ma wiele przywilejów. To tak, jakby przedsiębiorczy chłopak, który dorobił się milionów w Nowym Jorku, rzucił wszystko i uciekał do Moskwy. Oni w to po prostu nie będą chcieli uwierzyć. Z drugiej strony, mogą uwierzyć w historię podrzuconą im za pośrednictwem Hendersona. Jest równie mało atrakcyjna, ale wspiera ją spora ilość drugorzędnych danych, szczególnie nasze wysiłki zachęcające marynarzy do pozostania w Stanach. Widzieliście, jak ich to rozwścieczyło. Z ich punktu widzenia jest to złamanie zasad uczciwego postępowania. Wersję Hendersona wydaje się potwierdzać również gwałtowna reakcja prezydenta na odkrycie, że to był okręt raketowy.

- To na co się zdecydują? - zapytał prezydent.

- Jest to problem przede wszystkim psychologiczny, panie prezydencie, a z radziecką psychologią bardzo słabo sobie radzimy. Mając do wyboru zdradę dziesięciu oficerów lub obcą intrygę, moim zdaniem wybiorą tę drugą możliwość. Przyjęcie wersji ucieczki zmusiłoby ich do zastanowienia się nad swoimi dogmatami. A kto to lubi? - Tu Moore z patosem wznosił ręce. - Druga wersja oznacza, że ich system bezpieczeństwa został

naruszony z zewnątrz. Ale łatwiej uznać się za pokonanego, niż dostrzec sprzeczności tkwiące w samym systemie władzy. Dodatkowo możemy mieć pewność, że śledztwo będzie prowadzone przez KGB.

- Dlaczego? - zapytał Pelt, którego wciągnęła opowieść Moore'a.

- Zarówno w przypadku zdrady, jak i penetracji systemu dowodzenia marynarki przez obcy wywiad, odpowiedzialność spada na GRU. Bezpieczeństwo armii i marynarki należy do nich, szczególnie po

osłabieniu KGB wskutek odejścia naszego przyjaciela Andropowa. W

Związku Radzieckim nie ma takiej możliwości, żeby jakaś organizacja wywiadu prowadziła sama wobec siebie dochodzenie. Tak więc KGB będzie teraz rozkładało rywala na atomy. Z

punktu widzenia KGB penetracja przez obcy wywiad jest o wiele bardziej atrakcyjna, bo wymaga większych działań. Jeśli potwierdzą informacje Hendersona i przekonają wszystkich o ich prawdziwości, a zrobią tak z całą pewnością, to ogromnie umocnią swoją pozycję.

- Potwierdzą informacje Hendersona?

- Oczywiście! W wywiadzie, jeśli szuka się czegoś dostatecznie długo i wytrwale, to zawsze się znajduje. Ramiusowi zawdzięczamy znacznie więcej, niż sobie z tego zdajemy sprawę. Taka okazja trafia się tylko raz na jedno pokolenie. Po prostu nie możemy przegrać.

- Ale KGB wyjdzie z tego ogromnie wzmocnione - zauważył Pelt. - Uważa pan, że to dobrze?

Moore wzruszył ramionami.

- Do czegoś takiego i tak by doszło. Wysładzenie z siodła i prawdopodobnie zamordowanie Andropowa przysporzyło siłom zbrojnym zbyt wielkiego prestiżu, porównywalnego z tym po sprawie Berii w latach pięćdziesiątych. W Związku Radzieckim polityczna kontrola armii odgrywa taką samą rolę jak u nas, a nawet większą. To, że KGB

będzie mogło rozłożyć cały system dowodzenia armią na czynniki pierwsze, daje nam bardzo dużo. Wzrost prestiżu KGB był tak czy owak nieunikniony, więc tym lepiej, że da się coś na tym skorzystać. Zostało jeszcze do załatwienia kilka spraw.

- Na przykład? - zapytał prezydent.

- Za jakiś miesiąc Henderson powinien przekazać informację, że nasz okręt śledził

„Czerwony Październik” od samej Islandii.

- Ale po co? - zaproponował Pelt. - W ten sposób dowiedzą się, że kłamaliśmy, a nasze zaniepokojenie obecnością rakiet nuklearnych na pokładzie okrętu będzie czystą obłudą.

- Niezupełnie, doktorze - powiedział Moore. - Pojawienie się ich okrętu przy naszych wybrzeżach to oczywiście naruszenie porozumienia. Dopiero przesłuchując załogę, możemy próbować dowiedzieć się, dlaczego okręt pojawił się w zastrzeżonym obszarze. Co prawda informacje, które możemy uzyskać od załogi, nie są dla nas wiele warte. Rosjanie zakładają, że w tej sprawie nie byliśmy z nimi całkiem szczerzy. Fakt, że przez cały czas śledziliśmy ich okręt i mogliśmy go zatopić, tylko potwierdzi ich wyobrażenia o naszej dwulicowości.

Powiadomimy ich również, że „Dallas” śledził na sonarach przebieg awarii reaktora. Wyjaśni to, dlaczego mieliśmy tak blisko okręt ratunkowy. Wiedzą lub też mają poważne podejrzenia, że coś ukrywamy. Ujawnienie tych informacji zmyli ich co do tego, co naprawdę ukrywamy.

Prawdopodobnie przeprowadzą operację wywiadowczą na dużą skalę, aby wyświetlić wszelkie nasze działania. Jedyni ludzie w CIA, którzy wiedzą, co się naprawdę dzieje, to Ritter, Greer i ja. Nasi agenci dostali polecenie zdobycia informacji na temat przebiegu wydarzeń i tylko tyle mogłoby przedostać się do Rosjan.

- A co z Hendersonem? Ilu naszych ludzi wie o okręcie podwodnym? - zapytał

prezydent.

- Jeśli Henderson powie choć słowo, podpisze tym samym na siebie wyrok śmierci.

KGB nie patyczkuje się z agentami, którzy pracują na dwie strony i nie uwierzy, że podrzuciliśmy mu bez jego wiedzy fałszywe informacje. On sam dobrze sobie z tego zdaje sprawę, a my cały czas mamy go na oku. Kto u nas wie o okręcie podwodnym? Może ze sto osób. Liczba ta prawdopodobnie nieco wzrośnie. Ale należy pamiętać, że Rosjanie wiedzą, iż niedaleko brzegów Ameryki zatoniły dwa ich okręty. Jeśli jakiś sprzęt z takich okrętów pojawi się w laboratoriach badawczych, będą myśleć, że został wydobyty z dna oceanu.

Specjalnie w tym celu zamierzamy uruchomić „Glomar Explorera”. Gdybyśmy tego nie zrobili, mogliby zacząć coś podejrzewać. Wcześniej lub później i tak połapią się we wszystkim, ale do tego czasu kadłub „Października” znajdzie się na dnie oceanu.

- Czyli że nie da się utrzymać tajemnicy na zawsze?

- „Na zawsze” to bardzo długi czas. Trzeba brać pod uwagę różne możliwości. Przez najbliższy rok, póki liczba wtajemniczonych nie jest wielka, nie powinno być powodów do obaw. Z czasem jednak liczba informacji pozwalających odtworzyć przebieg wydarzeń będzie rosła. Z drugiej strony, wcale nie jest pewne, czy KGB zechce ujawnić prawdę, nawet jeśli ją z czasem zdoła ustalić. Gdyby sprawę odkryło GRU, z pewnością zameldowałoby gdzie należy, powodując przy okazji niesłychany chaos wśród radzieckich organizacji wywiadowczych. - Moore wyciągnął ze skórzanego futerału cygaro. - Tak jak mówiłem, Ramius niesłychanie ułatwił nam zadanie na kilku poziomach jednocześnie. A urok sytuacji polega na tym, że właściwie nie musimy się przesadnie angażować. Rosjanie wszystko zrobią za nas, szukając czegoś, co nie istnieje.

- A co z oficerami z „Października”?

- Zajmiemy się nimi, panie prezydencie. Wiemy, jak się do tego zabrać i rzadko słysząc skargi na gościnność CIA. Kilka miesięcy zajmą przesłuchania, a jednocześnie będziemy przystosowywać ich do życia w Ameryce. Dostaną nowe nazwiska, wykształcenie, jeśli będzie trzeba, przejdą także operacje plastyczne, zapewnimy im zabezpieczenie finansowe na resztę życia, choć na pewno będą chcieli pracować. Większość uciekinierów chce pracować. Myślę, że marynarka znajdzie dla nich jakieś zajęcie, na przykład płatnych konsultantów do spraw działań podwodnych, czy coś w tym rodzaju.

- Chcę się z nimi spotkać - rzucił prezydent.
- Można to oczywiście zorganizować, panie prezydencie, ale musimy zachować pełną dyskrecję - ostrzegł Moore.
- Camp David powinno być wystarczająco bezpiecznym miejscem. Jest jeszcze Ryan, panie sędzio. Życzyłbym sobie, aby się o niego szczególnie zatroszczono.
- Jasna sprawa, panie prezydencie. Już teraz bardzo o niego dbamy. Ma u nas wielką przyszłość.

Tiuratom, ZSRR

Powodu, dla którego „Czerwony Październik” otrzymał rozkaz zanurzenia na długo przed świtem, należało szukać na orbicie okołoziemskiej, na wysokości ośmiuset kilometrów.

„Albatros 8”, przypominający rozmiarami duży autobus, został wysłany na orbitę jedenaście miesięcy temu z kosmodromu w Tiuratom. Ten potężny satelita służył przede wszystkim do zwiadu morskiego.

O 11.31 czasu lokalnego „Albatros 8” przeleciał nad zatoką Pamlico.

Zaprogramowano go do wykrywania źródeł ciepła w zasięgu widzialności. Systemy optyczne przeszukiwały horyzont w poszukiwaniu obiektów o zakodowanych cechach termicznych.

Satelita przeleciał następnie nad jednostkami floty amerykańskiej, a „New Jersey” rozpoczął

zakłócanie odbieranych przez satelitę sygnałów. Tego rodzaju systemy zakłócające stanowią jedno z najnowszych osiągnięć amerykańskiej elektroniki wojskowej. Gdy „Albatros 8”

przelatywał nad biegunem, paraboliczna antena na jego dziobie odebrała sygnał nośny z satelity łączności „Iskra”.

Po nawiązaniu łączności cały bank danych „Albatrosa” został przekazany laserową wiązką na „Iskrę”, a stamtąd natychmiast na Ziemię do Tiuratom. Sygnał odebrała także piętnastometrowej średnicy paraboliczna antena w zachodniej części Chin, obsługiwana wspólnie przez amerykańską Agencję Bezpieczeństwa Narodowego i przez Chińczyków, którzy otrzymane dane używali do sobie tylko znanych celów. Za pośrednictwem własnego satelity Amerykanie przekazali przechwycony sygnał do centrali agencji w Fort Meade w Maryland. Dwie ekipy specjalistów, w odległości dziewięciu tysięcy kilometrów od siebie, rozpoczęły analizę danych.

- Czyste niebo - jęknął jeden z operatorów w Tiuratom.

- Dopiero teraz!

- Cieszcie się, póki jest z czego, towarzyszu. - Jego kolega przy sąsiedniej konsoli śledził dane z geostacjonarnego satelity nad półkulą zachodnią. Znajomość pogody nad terytorium nieprzyjaciela ma ogromne znaczenie strategiczne. - Do ich wybrzeży zbliża się następny zimny front. Mają teraz taką zimę, jak u nas. Chyba ją polubią.

- Nasi ludzie na morzu z pewnością jej nie lubią. - Operator otrząsnął się na samą myśl, że mógłby się teraz znajdować gdzieś na oceanie, w samym środku potężnego sztormu.

W zeszłym roku wybrał się w lecie na rejs po Morzu Czarnym i dostał takiego ataku choroby morskiej, że jeszcze długo będzie o tym pamiętać. - A to? Co to takiego? Towarzyszu pułkowniku!

- Słucham? - Nadzorujący zmianę pułkownik już po chwili znalazł się obok nich.

- Proszę tu spojrzeć, towarzyszu pułkowniku. To zatoka Pamlico, na środkowym wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. - Operator wskazał na ekran monitora. Termiczny obraz wody na ekranie był czarny, ale po wyregulowaniu zmienił się na zielony z dwoma białymi kreskami, większą i mniejszą.

Ta większa rozdzieliła się jeszcze na dwie mniejsze. Obraz przedstawiał powierzchnię morza, której część była cieplejsza o pół stopnia, niż być powinna. Wyglądało na to, że coś w tym miejscu podgrzewa wodę.

- Może promieniowanie słoneczne? - zapytał pułkownik.

- Nie, towarzyszu pułkowniku. Czyste niebo powoduje równomierny rozkład ciepła na całej powierzchni - odpowiedział spokojnie operator. - To są dwa lub trzy okręty podwodne na głębokości trzydziestu metrów pod powierzchnią.

- Jesteście pewni?

Operator nacisnął przełącznik i na ekranie pojawił się obraz radarowy, który odtwarzał

jedynie nieregularne kształty wierzchołków fal.

- Na powierzchni wody nie ma niczego, co wydzielaloby ciepło, towarzyszu pułkowniku. Zatem musi się coś znajdować pod powierzchnią wody. Nie jest to okres parzenia się wielorybów. To atomowe okręty podwodne. Wygląda na to, że pojawienie się naszej floty na tyle wystraszyło Amerykanów, że postanowili przechować własne okręty rakietowe w bezpiecznych miejscach. Najbliższa ich baza znajduje się kilkaset kilometrów dalej na południe. To może być jednostka klasy *Ohio* w eskorcie okrętów torpedowych, tak jak u nas.

- Jeśli tak, to niedługo powinni wypłynąć, bo naszą flotę już odwołują.

- Szkoda. Dobrze by było wejść mu na ogon. To rzadka okazja, towarzyszu pułkowniku.

- Istotnie. Gratuluję dobrej roboty.

Dziesięć minut później dane przekazano do Moskwy.

Naczelne Dowództwo Marynarki, Moskwa

- Wykorzystamy tę okazję, towarzyszu - powiedział Gorszkow. - Wycofujemy właśnie flotę. Pozostawimy więc kilka okrętów podwodnych dla prowadzenia zwiadu elektronicznego. W tym rozgardiaszu czegoś Amerykanie nie dopilnują.

- Bardzo prawdopodobne - powiedział szef sztabu.

- *Ohio* chyba pójdzie na południe do bazy w Charleston albo w Kings Bay. Albo na północ do Norfolk. W pobliżu Norfolk mamy „Konowałowa”, a pod Charleston

„Szablikowa”. Niech zostaną na stanowiskach jeszcze przez kilka dni. Trzeba czymś się wykazać, żeby politycy zobaczyli, że mamy prawdziwą marynarkę. Siedzenie okrętu typu *Ohio* to już będzie coś.

- Rozkazy zostaną wysłane za kwadrans.

Szef sztabu uznał, że pomysł jest dobry. Raport Biura Politycznego, który dostał od Gorszkowa, wcale mu się nie spodobał, choć z drugiej strony, jeśli Siergiej jest na wylocie, to on tym samym znalazł się na dobrej pozycji, żeby zająć jego miejsce...

USS „New Jersey”

Parę minut wcześniej Eaton otrzymał hasło „Red Rocket”, oznaczające, że Moskwa przekazała właśnie drogą satelitarną rozkaz operacyjny dla swojej floty. Rosjanie mają kłopoty, pomyślał dowódca zgrupowania okrętów. Otaczały ich trzy grupy uderzeniowe lotniskowców „Kennedy”, „America” i „Nimitz”, pod dowództwem Josha Paintera.

Sprawność bojową jego własnej grupy zwiększała obecność „Tarawy”. Eaton miał Rosjan w zasięgu wzroku. Skierował lornetkę na „Kirowa”.

- Panie komandorze, proszę ogłosić alarm dla grupy.

- Tak jest. - Oficer operacyjny grupy podniósł do ust mikrofon radiostacji taktycznej. -

„Blue Boys”, tu „Blue King”. Żółte Światło. Żółte Światło. Wykonać. Bez odbioru.

Eaton poczekał kilka sekund, aż umilkną dzwonki alarmowe na „New Jersey”. Załoga rozbiegła się na stanowiska bojowe.

- Odległość od „Kirowa”?

- Trzydzieści trzy tysiące dziewięćset metrów, panie komandorze. Co kilka minut sprawdzamy laserem. Jesteśmy gotowi - zameldował oficer operacyjny. - Główne baterie nadal są załadowane. Namiary aktualizowane są co pół minuty.

Zadzwoił telefon obok fotela.

- Eaton.

- Wszystkie stanowiska obsadzone i w pełnej gotowości, panie komandorze -

zameldował kapitan pancernika. Eaton spojrział na stoper.

- Dobra robotą kapitanie. Załoga jest rzeczywiście dobrze wyszkolona.

W centrali kierowania ogniem na „New Jersey” ekrany ukazywały dokładną odległość od mostka „Kirowa”. Głównym celem jest zawsze okręt flagowy przeciwnika. W tym przypadku nie było tylko wiadomo, ile „Kirow” może wytrzymać i czy szybciej zatopi go artyleria, czy rakiety *Tomahawk*. Zasadniczą sprawą, jak tłumaczył już od kilku dni oficer artylerii, jest unieszkodliwienie „Kirowa”, zanim włączą się samoloty. „New Jersey” nigdy jeszcze sam nie zatopił żadnego okrętu. Czekał na to już czterdzieści lat.

- Zmieniają kurs - powiedział oficer operacyjny grupy.

- Tak, zobaczymy, o ile.

W chwili otrzymania sygnału grupa „Kirowa” szła zachodnim kursem. Teraz wszystkie okręty w formacji rozpoczęły jednocześnie zwrot na prawą burtę i wyrównały kurs na czterdzieści.

Eaton schował lornetkę do futerału.

- Idą do domu. Trzeba zawiadomić Waszyngton, ale ludzie niech tymczasem pozostaną na stanowiskach.

Rosjanie tak się śpieszyli, żeby zabrać swoich ludzi z Ameryki, że przeszli samych siebie. Z regularnej linii odwołano *Ila-62* Aerofłotu i wysłano z Moskwy prosto do Waszyngtonu. Wylądował o świcie. Czterosilnikowy samolot, stanowiący prawie dokładną kopię brytyjskich VC-10, podkołował na najdalsze stanowisko serwisowe i zatankował. Poza grupą pasażerów, którzy nawet nie wysiedli, żeby wyprostować nogi, miał na pokładzie drugą załogę, by natychmiast wyruszyć w drogę powrotną. Dwa autobusy lotniskowe musiały zrobić dobre trzy kilometry od terminalu. Siedzący w środku marynarze z „Czerwonego Października” oglądali ośnieżony krajobraz, wiedząc, że to już ostatnie spojrzenie na Amerykę. Wyrwani z łóżek w Bethesdzie godzinę temu i dostarczeni autokarami na lotnisko, milczeli. Tym razem nie niepokoiili ich dziennikarze.

Przy wsiadaniu do samolotu, czterech oficerów, dziewięciu miczmanów i pozostałą część załogi oddzielono od siebie. Każdą grupę ulokowano osobno. Każdy oficer i miczman dostał osobnego śledczego z KGB i przesłuchania zaczęły się, zanim samolot zdążył

wystartować. Gdy *Il* wspiał się na swój pułap kursowy, większość załogi zaczęła po cichu żałować, że nie przyłączyli się do tamtych, zdrajców ojczyzny. Przesłuchania były wyjątkowo mało przyjemne.

- Czy Ramius zachowywał się dziwnie? - wypytywał Pietrowa major KGB.

- Skądże - odparł szybko i zdecydowanie lekarz. - Czy wiecie, że na okręcie dokonano sabotażu? Mamy szczęście, że uszliśmy z życiem!

- Sabotażu? W jaki sposób?

- System reaktora. Nie znam się na tym, bo nie jestem inżynierem, ale to ja wykryłem przecieki. Indywidualne dozymetry wykazywały skażenie promieniotwórcze, a czujniki siłowni nic. Nie tylko zmaistrowano coś przy reaktorze, ale także uszkodzono czujniki skażenia. Widziałem na własne oczy. Główny mechanik Mielechin musiał je naprawiać, żeby wykryć przeciek. Świadow może o tym dokładniej opowiedzieć, bo był przy tym.

Przez cały czas oficer KGB pilnie notował.

- A co robił wasz okręt tak blisko amerykańskich wybrzeży?

- Jak to, co robił? Nie wiecie, jakie mieliśmy rozkazy?

- Jak brzmiały wasze rozkazy, towarzyszu doktorze? - zapytał oficer KGB, patrząc Pietrowowi prosto w oczy.

Doktor wyjaśnił.

- Sam widziałem. Potem rozkazy wywieszono jak zwykle na tablicy i wszyscy mogli je zobaczyć - dodał na zakończenie.

- Kto się pod tym podpisał?
- Admirał Korow, a kto inny?
- Czy nie wydały się wam trochę dziwne? - dopytywał się ze złością major.
- A czy wy kwestionujecie wasze rozkazy? - odparł z godnością Pietrow. - Bo mnie się to nie zdarza.
- Co się stało z waszym oficerem politycznym?

W drugiej kabine Iwanow opisywał, jak „Czerwony Październik” został wykryty przez amerykańskie i angielskie okręty.

- Ale kapitan Ramius genialnie się im wymknął! Ucieklibyśmy, gdyby nie ta cholerna awaria reaktora. Musicie dojść, kto to zrobił, towarzyszu kapitanie. Zdrajca powinien wisieć!
- A jakie były ostatnie słowa kapitana? - Oficer KGB nie ulegał łatwo sentymentom.
- Rozkazał roztoczyć ścisłą opiekę nad naszymi ludźmi, nie pozwolić im na żadne kontakty z Amerykanami i powiedział, że Amerykanie nigdy nie dostaną okrętu w swoje ręce.
- Oczy Iwanowa wypełniły się łzami na myśl, że stracił i kapitana, i okręt. Jako syn partyjnego członka Akademii Nauk należał do uprzywilejowanej grupy i zdawał sobie z tego sprawę. - Towarzysze, musicie odnaleźć tego łobuza, który to wszystko zrobił.
- To było bardzo sprytne - spowiadał się kilka metrów dalej Swiadow. - Towarzysz Mielechin, który dopiero za trzecim razem zdołał odnaleźć przeciek, poprzysiągł zemstę temu, kto to zrobił. Sam widziałem - mówił dalej niepomny, że tak naprawdę, to wcale nie widział uszkodzenia. Objął wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, narysował nawet schemat uszkodzenia. - Nie wiem nic o ostatniej fazie, bo dopiero szedłem objąć wachtę.

Mielechin, Sulin i Bugajew pracowali razem przez kilka godzin, próbując uruchomić napęd pomocniczy. - Potrzęsnał głową. - Chciałem im pomóc, ale kapitan Ramius nie pozwolił.

Próbowałem jeszcze raz, nawet łamiąc rozkazy, ale powstrzymał mnie towarzysz Pietrow.

W dwie godziny później, już nad Atlantykiem, członkowie ekipy KGB zebrali się w tyle kabiny dla porównania notatek.

- Jeśli kapitan grał, to musi być pioruńsko dobrym aktorem - podsumował prowadzący grupę pułkownik. - Dowodził bez zarzutu. Rozkazy operacyjne najzupełniej normalnie ogłoszono i wywieszono...
- Ale kto z nich był w stanie odróżnić podpis Korowa? Od Korowa nic się już nie dowiemy - powiedział jeden z majorów. Ku powszechnemu rozczarowaniu, dowódca Floty Północnej zmarł z powodu wylewu do mózgu w dwie godziny po rozpoczęciu przesłuchań na Łubiance. - Nie ma żadnych dowodów, że rozkaz był sfałszowany. Przecież nie mamy tajnej bazy okrętów podwodnych

na Kubie? A co ze śmiercią zampolita?

- Lekarz jest pewien, że to wypadek - odparł drugi major.

- Kapitan myślał, że oficer polityczny tylko uderzył się w głowę, ale w rzeczywistości okazało się, że złamał kark. W takim przypadku powinni jednak, moim zdaniem, zażądać nowych instrukcji.

- Obowiązywała ich cisza radiowa - powiedział pułkownik.

- Sprawdzalem. Całkiem normalna rzecz na okrętach rakietowych. Czy ten kapitan Ramius był szkolony w walce wręcz? Czy mógł zamordować zampolita?

- Nie można tego wykluczyć - powiedział w zamyśleniu major, który przesłuchiwał

Pietrowa. - Nie szkolono go w tym kierunku, ale to przecież nic trudnego.

Pułkownik nie miał zdania.

- Czy przesłuchania załogi wskazują na to, że podejrzewano próbę ucieczki? -

Wszyscy pokręcili przecząco głowami. - Czy poza tym na okręcie utrzymywano normalny porządek operacyjny?

- Tak jest, towarzyszu pułkowniku - odezwał się młody kapitan. - Ocalały oficer nawigacyjny Iwanow twierdzi, że ten cały Ramius

bezbłędnie przeprowadził

dwunastogodzinną operację wymknięcia się imperialistycznym okrętom nawodnym i podwodnym. Dokładnie w zgodzie z regulaminem walki. Nawet mu nie sugerowałem, że istnieje podejrzenie o zdradę. Na razie. - Wiadomo było, że marynarze posiedzą na Łubiance tak długo, aż w głowach nie zostanie im najmniejszy szczegół.

- Doskonale - powiedział pułkownik. - Dotychczas nie mamy żadnych danych sugerujących spisek oficerów na okręcie? Tak przypuszczałem. Towarzysze, do czasu powrotu do Moskwy proszę prowadzić przesłuchania w miarę łagodnie. Niech podejrzani trochę się odprężą.

Atmosfera w samolocie stawała się stopniowo trochę lżejsza. Podano kanapki i wódkę dla rozwiązania języków i zachęcenia do nawiązywania bardziej koleżeńskich stosunków z oficerami KGB, którym podawano do picia wodę. Marynarze zdawali sobie sprawę, że przez pewien czas posiedzą w więzieniu i przyjęli to ze spokojem, który w oczach człowieka Zachodu byłby niezrozumiałym fatalizmem. Tygodniami KGB będzie pracować nad rekonstrukcją każdego wydarzenia na okręcie od chwili, gdy rzucono w Polarnym ostatnią cumę, do momentu, gdy ostatni marynarz przeszedł do „Mystica”. Ekipy agentów pracowały już na całym świecie sprawdzając, czy przebieg wydarzeń na „Czerwonym Październiku” nie był skutkiem intrygi CIA lub jakiejś innej służby wywiadowczej. KGB z pewnością znajdzie odpowiedź, ale pułkownik prowadzący sprawę powoli nabierał przekonania, że nie od przesłuchiwanym marynarzy dowie się prawdy.

„Czerwony Październik”

Ramius podtrzymywany przez Noyesa przeszedł pięć metrów z izby chorych do mesy oficerskiej. Pacjent nie wyglądał najlepiej, ale głównie dlatego, że tak jak wszyscy na pokładzie potrzebował kąpieli i był nieogolony. Borodin i Mancuso pomogli mu zasiąść na stałym miejscu u szczytu stołu.

- Jak się pan miewa, Ryan?

- Dziękuję, nie najgorzej, panie kapitanie. - Ryan uśmiechnął się znad filiżanki kawy.

Poczuł się znacznie lepiej kilka godzin wcześniej, gdy mógł zostawić prowadzenie okrętu ludziom, którzy się na tym naprawdę znali. Czekał co prawda niecierpliwie na chwilę, gdy zejdzie z pokładu, ale po raz pierwszy od dwóch tygodni nie czuł ściskającego za gardło prerażenia ani choroby morskiej. - A jak pana noga?

- Boli. Na przyszłość będę unikać strzelaniny. Nie mówiłem jeszcze, że zawdzięczam panu życie, podobnie jak my wszyscy.

- Wszyscy byliśmy tak samo zagrożeni - odparł z zakłopotaniem Ryan.

- Dzień dobry, panie kapitanie! - Do mesy wszedł kucharz.

- Czy zje pan śniadanie?

- Tak, jestem wściekle głodny.

- Świetnie! Jedno marynarskie śniadanie po naszymu! Zaparzę panu świeżą kawę. -

kuk znikł za drzwiami. Po chwili pojawił się znowu z kawą i nakryciem dla Ramiusa. -

Śniadanie będzie za dziesięć minut, panie kapitanie.

Ramius nalał sobie kawy. Na spodku leżała mała torebka.

- Co to takiego?

- *Coffee mate* - uśmiechnął się Mancuso - śmietanka do kawy, panie kapitanie.

Ramius rozdarł opakowanie, zajrzał podejrzliwie do środka, po czym wsypał zawartość do filiżanki.

- Kiedy wypływamy?

- Jutro - odpowiedział Mancuso. - „Dallas” wychodził co pewien czas na peryskopową i odbierał rozkazy operacyjne, które następnie przekazywano przez hydrotelefon na

„Czerwony Październik”. - Parę godzin temu dowiedzieliśmy się, że flota radziecka wzięła kurs na północny wschód. O zachodzie będzie pewno wiadomo, czy wracają do domu. Nasi mają ich cały czas na oku.

- Dokąd płyniemy? - zapytał Ramius.

- Czy w liście napisał pan, dokąd płyniecie? - zapytał Ryan. - Jak pan to dokładnie sformułował?

- Wiecie o liście? Ale skąd?

- Wiemy... to znaczy, ja wiem, ale nic więcej nie mogę powiedzieć, panie kapitanie.

- Napisałem wujkowi Jurze: płyniemy do Nowego Jorku, żeby podarować ten okręt prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

- Ale nie kierowaliście się do Nowego Jorku - zaproponował Mancuso.

- Oczywiście, że nie. Chciałem wejść do Norfolk. Dlaczego płynąć do cywilnego portu, jeśli tuż obok jest baza marynarki wojennej? Uważacie, że powinienem powiedzieć Padorinowi prawdę? - Ramius potrząsnął głową. - Dlaczego? Wasze wybrzeże jest takie rozległe.

„*Drogi admirał Padorin! Płynę do Nowego Jorku*”. Nic dziwnego, że się tak wściekli, pomyślał Ryan.

- Idziemy do Norfolk, czy do Charleston? - zapytał Ramius.

- Prawdopodobnie do Norfolk - powiedział Mancuso.

- Nie wiedział pan, że wysłali za panem całą flotę? - wtrącił żywo Ryan. - Po co było w ogóle wysłać taki list?

- Żeby wszyscy się dowiedzieli - odpowiedział Ramius. - Nie spodziewałem się, że ktokolwiek będzie w stanie nas wykryć. Tym mnie zaskoczyliście.

Amerykański kapitan starał się ukryć uśmiech.

- Wykryliśmy was przy wybrzeżach Islandii. Mieliście więcej szczęścia, niż sobie wyobrażacie. Gdybym płynął z Anglii zgodnie z planem, byłbym o dwadzieścia osiem kilometrów bliżej brzegu i miałbym was cały czas na haczyku. Przykro mi, kapitanie, ale nasza hydrolokacja i operatorzy sonarów są bardzo dobrzy. Pozna pan później człowieka, który pierwszy was namierzył. Pracuje teraz z Bugajewem.

- *Starszina* - powiedział Borodin.

- Nawet nie oficer? - zdziwił się Ramius.

- Nie, po prostu doskonały operator - powiedział zaskoczony Mancuso. Dlaczego oficer miałby pełnić służbę przy sonarze?

Wrócił kucharz. To, co miało być standardowym śniadaniem marynarskim, składało się z dwóch jajek na szyncie, porcji zapiekanki z mięsa i warzyw, czterech grzanek i porcji galaretki jabłkowej.

- Proszę powiedzieć, jeśli będzie pan chciał coś jeszcze, panie kapitanie - powiedział kucharz.

- To ma być normalne śniadanie? - zapytał Ramius Mancuso.

- Nie ma w nim nic nienormalnego. Osobiście wolałbym naleśniki z masłem i cukrem.

Amerykanie lubią duże śniadania.

Ramius już jadł. Po dwóch dniach bez regularnych posiłków i po dużej utracie krwi jego żołądek gwałtownie domagał się jedzenia.

- Powiedz, Ryan - zapytał Borodin, zapalając papierosa - co nas może najbardziej zaskoczyć w Ameryce?

- Sklepy spożywcze. - Jack wskazał na talerz kapitana.

- Sklepy spożywcze? - zapytał Mancuso.

- Czekaając na „Invincible’a”, czytałem raport CIA o ludziach, którzy przechodzą na naszą stronę. - Ryan wolał nie używać słowa „uciekiniery”, bo nie byłoby to sprawiedliwe wobec tych ludzi. - Wszystko wskazuje na to, że najbardziej zaskakującą rzeczą dla was jest spacer po supermarkecie.

- Opowiedz coś o supermarketach - zażądał Borodin.

- Supermarket to budynek wielkością przypominający boisko piłki nożnej, no, może trochę mniejszy. Wchodzisz do środka i bierzesz wózek na zakupy. Świeże owoce, warzywa... stopniowo przechodzisz między półkami od działu do działu. Robię to od dziecka.

- Świeże owoce i warzywa? Teraz? W zimie?

- A cóż to takiego zima? - powiedział Mancuso. - Może są trochę droższe, ale i zimą wszystko jest świeże. Bardzo nam tego brakuje na okręcie. Zapasy świeżych warzyw i mleka starczą tylko mniej więcej na tydzień.

- A mięso? - zapytał Ramius.

- Co tylko sobie zażyczysz - odpowiedział Ryan. - Wołowina, wieprzowina, baranina, indyki, kurczaki. Amerykańskie farmy są bardzo wydajne. Stany Zjednoczone same się żywią i zostaje jeszcze mnóstwo dla innych. Wiecie, że Związek Radziecki kupuje od nas zboże.

Musimy płacić rolnikom nie za to, że produkują, ale za uprawy w rozsądnych ilościach.

Czterej Rosjanie patrzyli na niego z powątpiewaniem.

- I co jeszcze? - zapytał Borodin.

- Co może was zaskoczyć? Prawie każdy ma samochód. Większość ludzi mieszka we własnych domach. Jeśli ma się pieniądze, można kupić prawie wszystko, na co ma się ochotę.

Przeciętna rodzina w Ameryce zarabia miesięcznie około tysiąca siedmiuset dolarów, a każdy z tu obecnych oficerów jeszcze więcej. U nas w kraju, jeśli ma się trochę oleju w głowie, a każdy z was go ma, i nie boi się pracy, można żyć całkiem wygodnie. Przekonacie się, że CIA troskliwie się wami zaopiekuje. Nie chcemy, żeby ktokolwiek skarżył się na naszą gościnność.

- A co będzie z moimi ludźmi? - zapytał Ramius.

- Nie potrafię dokładnie powiedzieć, panie kapitanie, gdyż nigdy osobiście nie brałem w tym udziału. Prawdopodobnie zostaniecie umieszczeni w bezpiecznym miejscu, żeby się odprężyć i odpocząć. Ludzie z CIA i z marynarki będą się chcieli od was dowiedzieć wielu rzeczy. Nie dziwi was to chyba? Wspominałem o tym już wcześniej. Za rok będziecie robili to, na co wam przyjdzie ochota.

- A jeśli ktoś będzie miał ochotę popływać z nami, zapraszam na pokład - dodał

Mancuso.

Ryan zastanowił się, ile w tym prawdy. Marynarka nie chciałaby dopuścić żadnego z tych ludzi na okręt klasy 688. Zdobyte w ten sposób informacje pozwoliłyby bowiem któremuś z nich na powrót do ojczyzny, bez ryzyka utraty życia na miejscu.

- W jaki sposób tak życzliwie usposobiony do ludzi człowiek może zostać szpiegiem?

- zapytał Borodin.

- Nie jestem szpiegiem, szanowny panie - po raz kolejny wyjaśnił Ryan, choć zdawał

sobie sprawę, że nie może mieć do nich pretensji, że mu nie wierzą. - Po studiach poznałem pewnego faceta. Wspominał o mnie swojemu przyjacielowi, który pracuje w CIA, admirałowi Jamesowi Greerowi. Kilka lat temu zaproszono mnie do grupy pracowników naukowych, utworzonej dla weryfikacji pewnych danych CIA. W tamtych czasach zajmowałem się przede wszystkim pisaniem

książek z historii marynarki wojennej. W Langley, gdzie spędziłem dwa letnie miesiące, przygotowałem opracowanie o terroryzmie międzynarodowym. Spodobało się to Greerowi i dwa lata później zaproponował mi stałą pracę. Zgodziłem się, i to był błąd -

powiedział Ryan, wcale tak nie myśląc. A może jednak to był błąd? - Rok temu przeniesiono mnie do Londynu, gdzie razem z ekspertami brytyjskiej Secret Service analizuję dane wywiadowcze. Po prostu siedzę za biurkiem i próbuję zrozumieć sens informacji dostarczanych przez agentów. Zostałem wplątany w całą tę historię, ponieważ domyśliłem się, co pan zamierza, kapitanie Ramius.

- A pana ojciec był szpiegiem? - dopytywał się wciąż pełen wątpliwości Borodin.

- Nie, mój stary był oficerem policji w Baltimore. Dziesięć lat temu zginął razem z matką w katastrofie lotniczej.

- A pan, kapitanie Mancuso, co pana pchnęło do marynarki?

- Chciałem zostać marynarzem jeszcze jako mały chłopiec. Mój ojciec jest fryzjerem.

Zdecydowałem się na okręty podwodne, ponieważ wydawało mi się to ciekawe.

Ryan po raz pierwszy uczestniczył w tego rodzaju spotkaniu ludzi z różnych kultur, którzy próbują znaleźć wspólny język.

Obie strony wyciągały ręce, szukały podobieństw charakterów i doświadczeń życiowych, tworzących podstawy porozumienia. Było to nie tylko interesujące, lecz także poruszało go do głębi. Szczególnie Rosjanie byli w trudnej sytuacji. Spalili przecież za sobą wszystkie mosty. Odrzucili cały świat, w którym wyrosli, spodziewając się, że znajdą lepszy.

Ryan miał nadzieję, że droga od komunizmu do wolności okaże się dla nich możliwie łatwa i bezbolesna. W ciągu ostatnich dwóch dni zdał sobie stopniowo sprawę, ile odwagi wymagała od nich decyzja ucieczki. Tamten uzbrojony człowiek w przedziale raketowym to nic w porównaniu z odwagą, jakiej wymaga odrzucenie całego dotychczasowego życia. Adaptacja do tego, co ludzie typu Ryana tak mało doceniali, nie będzie łatwa dla Rosjan, którzy przecież ryzykowali życie, żeby się tu dostać. Właśnie tacy ludzie zbudowali amerykański mit i teraz potrzeba takich ludzi, żeby go podtrzymać. Dziwne tylko, że muszą oni przychodzić właśnie ze Związku Radzieckiego. A może wcale nie tak dziwne, pomyślał Ryan, słuchając toczącej się cały czas rozmowy.

Dzień siedemnasty

NIEDZIELA, 19 GRUDNIA

„Czerwony Październik”

- Jeszcze osiem godzin - wyszeptał do siebie Ryan.

Tak mu przynajmniej powiedziano. Ośmiogodzinny skok do Norfolk. Na własne życzenie znów siedział przy sterach. Była to jedyna rzecz, jaką potrafił, a coś robić musiał. Na

„Październiku” nadal brakowało rąk do pracy. Prawie wszyscy Amerykanie pomagali w przedziale reaktora na rufie oraz w maszynowni. Poza nim, w centrali znajdowali się tylko Mancuso i Ramius. Bugajew i Jones obsługiwali sprzęt hydroakustyczny w sąsiednim pomieszczeniu, a lekarz i sanitariusze nadal opiekowali się Williamsem w izbie chorych.

Kucharz krążył z kanapkami i kawą, na którą Ryan krzywił się dlatego, że miał jeszcze w pamięci tę u Greera.

Ramius przysiadł na poręczy otaczającej podstawę peryskopu. Noga już nie krwawiła, ale musiało go boleć bardziej, niż okazywał, gdyż pozwolił Mancuso kontrolować przyrządy i zajmować się nawigacją.

- Ster zero - rozkazał Mancuso.

- Ster zero. - Ryan obrócił koło w prawo do pozycji centralnej, zerkając na wskaźnik wychylenia steru. - Jest ster zero, kurs sto dwadzieścia.

Mancuso zmarszczył czoło nad mapą, niezadowolony, że musi tak po kawaleryjsku pilotować ogromny okręt podwodny.

- Na tym obszarze trzeba bardzo uważać. Południowy prąd przybrzeżny tworzy piaszczyste progi, co wymaga pogłębiania toru co kilka miesięcy. Ostatnie sztormy nie poprawiły sytuacji.

Mancuso znów spojrział w peryskop.

- Mówiono mi, że to niebezpieczny obszar - powiedział Ramius.

- Cmentarzysko Atlantyku - potwierdził Mancuso. - Wzdłuż tych wybrzeży zatoneło mnóstwo statków. Pogoda i prądy są tu fatalne. Podobno dało to nieźle w kość Niemcom w czasie wojny. Na tych mapach tego nie oznaczono, ale na dnie leżą setki wraków. - Wrócił do mapy. - W każdym razie przejdziemy w bezpiecznej odległości od tego miejsca i skrócimy na północ dopiero gdzieś tu. - Narysował linię na mapie.

- To wasze wody - zauważył Ramius.

Trzy okręty podwodne płynęły w luźnym szyku. „Dallas” prowadził ich w morze,

„Pogy” szedł za „Październikiem”. Płynęli z pokładami prawie przykrytymi wodą i z nieobsadzonymi pomostami manewrowymi. Nawigację wzrokową prowadzono tylko przez peryskop. Wszystkie radary były wyłączone, żaden z trzech okrętów nie wytwarzał

najmniejszych sygnałów elektronicznych. Ryan przelotnie rzucił okiem na mapę. Wyszli już z zatoki, ale mapa wskazywała liczne mielizny jeszcze przez kilka kilometrów.

„Czerwony Październik” nie używał „gąsienicy”. Okazało się, że napęd jest prawie dokładnie taki, jak przewidywał Skip Tyler. W tunelach znajdowały się dwa zespoły turbin: pojedynczy mniej więcej w jednej trzeciej długości kadłuba oraz potrójny za śródokręciem.

Mancuso ze swoimi mechanikami dokładnie obejrzał cały mechanizm i był pełen podziwu dla tego urządzenia.

Ramiusowi trudno było z kolei uwierzyć, że został wykryty wkrótce po wypłynięciu.

Mancuso zawołał w końcu Jonesa, żeby pokazał na swojej prywatnej mapie przybliżony kurs

„Czerwonego Października” wzdłuż wybrzeży Islandii. Obliczenia Jonesa odbiegały o kilka kilometrów od danych z dziennika okrętowego, były jednak na tyle dokładne, że wykluczały przypadkową zbieżność.

- Wasz sonar jest chyba lepszy, niż się spodziewaliśmy - mruknął Ramius stojący o kilka metrów od stanowiska Ryana.

- Jest wyjątkowo dobry - rzekł Mancuso, pozwalając sobie na przechwałkę. - A co ważniejsze, jest jeszcze Jones, najlepszy sonarzysta, jakiego kiedykolwiek miałem.

- Taki młody i taki sprytny.

- Nie on jeden jest taki - dodał z uśmiechem Mancuso. - Rzecz jasna, nigdy nie ma tylu, ilu trzeba, ale wszyscy nasi marynarze to ochotnicy. Wiedzą, na co się decydują.

Jesteśmy wybredni przy selekcji ludzi, a później szkolimy ich do upadłego.

- Centrala, tu sonar - odezwał się głos Jonesa - „Dallas” się zanurza, panie kapitanie.

- Doskonale. - Mancuso zapalił papierosa i podszedł do telefonu pokładowego.

Nacisnął klawisz do siłowni. - Powiedz Mannionowi, że jest potrzebny na przedzie.

Zanurzenie za kilka minut. - Odwiesił słuchawkę i wrócił do mapy.

- Czyli że służą dłużej niż trzy lata? - zapytał Ramius.

- No jasne. Inaczej przecież odchodziliby zaraz po zakończeniu pełnego szkolenia, no nie?

Dlaczego marynarka radziecka nie potrafi przyciągnąć i zatrzymać takich ludzi, myślał Ramius. Doskonale znał odpowiedź na to pytanie. Amerykańscy marynarze dostają porządne jedzenie, sporo przestrzeni mieszkalnej, przyzwoite pobory i są obdarzani zaufaniem. O to wszystko walczył przez dwadzieścia lat.

- Czy mam zająć się zaworami? - zapytał, wchodząc Mannion.

- Tak, Pat. Zanurzamy się za dwie, trzy minuty. Po drodze do pulpitu zaworów sterowania balastami Mannion rzucił okiem na mapę.

Ramius przykuśtykał do stołu.

- Mówi się u nas, że wasi oficerowie dobierani są z burżuazji, żeby nadzorować zwykłych marynarzy pochodzących z proletariatu.

Mannion przesunął rękoma po manetkach zaworów balastowych. Było ich niemało.

Poprzedniego dnia spędził dwie godziny na poznawaniu tego skomplikowanego systemu.

- Tak, kapitanie. Nasi oficerowie należą do klasy rządzącej. Wystarczy spojrzeć na mnie. - powiedział ze śmiertelną powagą.

Skóra Manniona przypominała barwę paloną kawę, a akcent pochodził prosto z południowego Bronksu.

- Ale ty jesteś Murzynem - zaproponował Ramius, nie chwytając żartu.

- Jasne, jesteśmy jak arka Noego. - Mancuso przywarł do okularów peryskopu. -

Włoski kapitan, czarny nawigator i zwariowany sonarzysta.

- Słyszałem wszystko. - Jones wolał zawołać niż korzystać z interkomu. - Wiadomość na „gertrudzie” z „Dallas”. Wygląda na to, że wszystko w porządku. Czekają na nas.

Tymczasem to już ostatnia wiadomość przez „gertrudę”.

- Centrala, zrozumiałem. Wyszliśmy na głęboką wodę. Możemy się zanurzać, kiedy pan rozkaże, kapitanie Ramius - powiedział Mancuso.

- Towarzyszu Mannion, otwórzcie odpowietrzniki balastów - polecił Ramius.

„Październik” dotąd nie wynurzył się całkowicie i przez cały czas gotów był do zejścia pod wodę.

- Tak jest. - Porucznik przerzucił górny rząd przełączników hydraulicznego sterowania.

Ryan zmrużył oczy. Dźwięk przypominał spuszczenie wody w milionie toalet jednocześnie.

- Stery pięć stopni w dół, Ryan - powiedział Ramius.

- Rozkaz, stery pięć stopni w dół. - Ryan pchnął do przodu drążek sterów. - Stery są pięć stopni w dół.

- Powoli się zanurzamy - stwierdził Mannion, obserwując ręcznie namalowaną zastępczą tarczę głębokościomierza. - Ale kolos!

- Ogrom - potwierdził Mancuso.

Wskazówka przekroczyła dwadzieścia metrów.

- Stery zero - polecił Ramius.

- Stery zero. - Ryan przyciągnął do siebie ster głębokości. Trzeba było trzydziestu sekund, żeby okręt wyrównał trym. Wydawało się, że bardzo wolno reaguje na stery. Ryan zawsze myślał, że okręty podwodne reagują równie szybko jak samoloty.

- Zmniejsz trochę balast, Pat - powiedział Mancuso - tak, żeby szedł równo przy sterach na minus jeden.

- Uhm. - Mannion zmarszczył brwi, sprawdzając głębokość. Główne zbiorniki balastowe były już pełne wody i czynność poziomowania należało wykonywać za pomocą znacznie mniejszych balastów trymowych. Dokładne wyrównanie zajęło mu pięć minut.

- Bardzo przepraszam, ale on jest po prostu zbyt wielki, żeby można to było zrobić prędzej - powiedział zawstydzony.

Pomimo że sprawność Manniona zrobiła na Ramiusie duże wrażenie, był zbyt zaniepokojony, żeby to okazać. Spodziewał się, że amerykański kapitan będzie potrzebował

znacznie więcej czasu na samodzielne wykonanie manewru. Tak sprawnie wykonane trymowanie nieznanego okrętu za pierwszym podejściem...

- Dobra, teraz ruszamy na północ - powiedział Mannion. Byli już trzy kilometry od ostatniej naniesionej na mapie mielizny.

- Proponuję nowy kurs osiem, panie kapitanie.

- Ryan, ster lewo dziesięć - rozkazał Ramius. - Kurs osiem.

- Rozkaz, ster lewo dziesięć - odpowiedział Ryan, obserwując na przemian wskaźnik położenia steru i repetytor żyroskopu - wchodzę na osiem.

- Ostrożnie, Ryan - uprzedził go Ramius. - Okręt obraca się powoli, ale gdy już wejdzie w zwrot,

musisz zaprzecć...

- Skontrolować - poprawił go uprzejmie Mancuso.

- Tak jest, skontrolować sterem, żeby wejść na zamierzony kurs.

- Tak jest.

- Panie kapitanie, czy ma pan problemy ze sterem? - zapytał Mancuso. - Idąc za wami, odniosłem wrażenie, że wasz promień skrętu był raczej spory.

- Przy „gąsienicy” promień jest duży. Strumień z tuneli silnie uderza w ster, który zaczyna wibrować. Przy pierwszych próbach doszło nawet do uszkodzenia steru. Jest to spowodowane... jakby to powiedzieć... spotkaniem się wylotów tuneli „gąsienicy”.

- Czy wpływa to na manewrowanie na śrubach? - zapytał Mannion.

- Nie, tylko przy „gąsienicy”.

Mancuso nie był zachwycony. Ale to w gruncie rzeczy nieistotne. Plan był prosty i jasny. Trzy jednostki popłyną jednym skokiem do Norfolk. Dwa amerykańskie okręty torpedowe będą poruszać się skokami z prędkością trzydziestu węzłów, sprawdzając, czy droga jest wolna, podczas gdy „Październik” popłynie ze stałą prędkością dwudziestu węzłów.

Ryan zaczął zmniejszać wychylenie steru, w miarę jak dziób zmieniał położenie.

Czekał zbyt długo. Pomimo że skontrolował pięć stopni w prawo, dziób przeszedł przez linię planowanego kursu i repetytor żyrokompasu tykał oskarżycielsko co trzy stopnie, zanim zatrzymał się na kursie zero-zero-jeden. Powrót na właściwy kurs zajął dodatkowe dwie minuty.

- Bardzo przepraszam. Jest kurs zero-osiem - zameldował w końcu.

Ramius okazał wyrozumiałość.

- Szybko się pan uczy. Być może pewnego dnia zostanie pan prawdziwym marynarzem.

- Dziękuję, nie skorzystam! Pływając tu z wami, zobaczyłem, że musicie się zdrowo napracować na każdego centa.

- Nie podobają się panu okręty podwodne? - zapytał z rozbawieniem.

- Nie ma gdzie pobiegać.

- Fakt. Panie kapitanie, jeśli mnie pan już nie potrzebuje, to przejdę na rufę. W

maszynowni jest bardzo mała obsada - powiedział Mannion.

Ramius skinął głową. Zastanawiał się, czy nawigator rzeczywiście należy do klasy rządzącej.

„W.K. Konowałow”

Tupolew kierował się znowu na zachód. Rozkaz dla floty nakazywał, aby wszyscy, prócz niego i jeszcze jednej *Alfy* wracali z prędkością dwudziestu węzłów do kraju. Tupolew miał płynąć na zachód przez dwie i pół godziny. Teraz znajdował się na odwrotnym kursie niż cała eskadra i robił pięć węzłów, czyli maksimum tego, co może osiągnąć *Alfa* bez nadmiernego hałasu. Jego okręt miał zgubić się w zamieszaniu. A więc jakiś *Ohio* płynie do Norfolk albo raczej do Charleston. W każdym razie Tupolew miał po cichu krążyć i obserwować. „Czerwony Październik” został zniszczony. Tyle wiedział z rozkazu operacyjnego. Pokręcił głową. Jak Marko mógł coś takiego zrobić? Cokolwiek to było, za zdradę zapłacił życiem.

Pentagon

- Czułbym się lepiej, gdybyśmy mieli trochę większą osłonę lotniczą - powiedział admirał Foster, opierając się o ścianę.

- Zgadzam się, ale nie możemy też nadmiernie rzucać się w oczy, prawda? - zapytał generał Harris.

Dwójka P-3B z pozoru wykonując zadanie ćwiczebne, sprawdzała akurat trasę od Hatteras do Virginia Capes. Większość pozostałych *Orionów* była dalej nad morzem. Flota radziecka znajdowała się już w odległości siedemset dwudziestu kilometrów od wybrzeży.

Trzy grupy nawodne połączyły się i zostały otoczone pierścieniem radzieckich okrętów podwodnych. „Kennedy”, „America” i „Nimitz”, płynęły w odległości dziewięciuset kilometrów na wschód, a „New Jersey” pozostawał w tyle. Przez całą drogę powrotną Rosjanie będą obserwowani. Grupy uderzeniowe lotniskowców mają ich eskortować aż do Islandii, zachowując przyzwoitą odległość i stale utrzymując patrole samolotów na granicy zasięgu radarów radzieckich. Rosjanie powinni wiedzieć, że Stany Zjednoczone czuwają cały czas. Samoloty z Islandii będą im towarzyszyć przez pozostałą część drogi.

HMS „Invincible” nie brał już udziału w działaniach i znajdował się w połowie drogi do kraju. Amerykańskie okręty podwodne wracały do rutynowych patroli. Meldowano, że wszystkie okręty radzieckie odeszły już od wybrzeży, choć dane miały charakter tymczasowy.

Cała eskadra poruszała się w luźnym szyku i wytwarzała tyle hałasu, że patrolowe *Oriony* miały kłopoty z ich śledzeniem. Brakowało też pław sonarowych. W ogólnej ocenie szefa pionu operacyjno-szkoleniowego operacja zbliżała się do końca.

- Wybiera się pan do Norfolk, panie admirale? - zapytał Harris.

- Chciałem spotkać się z dowódcą obszaru Atlantyku na omówienie zakończonych działań - powiedział Foster.

- Rozumiem, panie admirale - odrzekł Harris.

USS „New Jersey”

Robili dwanaście węzłów, mając przy każdej burcie tankujący niszczyciel. Komandor Eaton był w pomieszczeniu operacyjnym. Wszystko się skończyło i panował szczęśliwie spokój. Rosjanie znajdowali się o sto osiemdziesiąt kilometrów w przodzie, w zasięgu rakiet *Tomahawk*, ale grubo poza zasięgiem pozostałej broni. Ogólnie biorąc, Eaton miał powody do zadowolenia. Jego eskadra sprawnie współpracowała z „Tarawą”, która kierowała się teraz na południe, do Mayport na Florydzie. Może niedługo się spotkają. Od dawna się już nie zdarzyło, żeby lotniskowiec trafił pod komendę dowódcy pancernika. Utrzymywali grupę

„Kirowa” pod stałym nadzorem. Eaton nie miał wątpliwości, że gdyby doszło do walki, poradziłby sobie z wujkiem Iwanem. Co ważniejsze, pewien był, że Iwan też o tym wie.

Teraz czekali tylko na rozkaz powrotu do Norfolk. Jak miło będzie znaleźć się w domu na święta. Ludzie na pewno sobie na to zasłużyli. Większość załogi służyła już od dawna i prawie każdy miał rodzinę.

„Czerwony Październik”

Ping.

Jones zaznaczył czas na kartce i zameldował

- Panie kapitanie, dostaliśmy właśnie jeden impuls od „Pogy”.

„Pogy” znajdował się obecnie osiemnaście kilometrów przed „Czerwonym Październikiem” i „Dallas”. Plan przewidywał, że po wysunięciu się do przodu, okręt prowadzi przez dziesięć minut nasłuch i pojedynczym impulsem aktywnego sonaru sygnalizuje, że w promieniu osiemnastu kilometrów od niego nie ma obcych okrętów. Po sygnale „Pogy” miał dryfować, żeby to sprawdzić, a w tym czasie „Dallas”, znajdujący się o tysiąc osiemset metrów na wschód od „Czerwonego Października”, ruszał pełną prędkością do przodu, żeby zająć pozycję o osiemnaście kilometrów przed „Pogy”.

Jones eksperymentował z radzieckim sonarem. System aktywny był, jego zdaniem, dość dobry, ale o pasywnych systemach wolał nie myśleć. Gdy „Czerwony Październik” leżał

w zatoce Pamlico, nie można było za ich pomocą namierzyć nawet stojących obok okrętów amerykańskich. Wówczas panowała na nich cisza, reaktory napędzały tylko prądnice, a odległość nie wynosiła więcej niż tysiąc osiemset metrów. Jonesa bardzo rozczarowało to, że nie był w stanie ich namierzyć.

Towarzyszający mu Bugajew zdawał się być w miarę przyjaźnie usposobiony.

Początkowo zachowywał się trochę sztywno. Tak, jakby to on był panem, a ja niewolnikiem,

pomyślał Jones. Zmienił front dopiero, gdy zobaczył, jak się do niego odnosi Mancuso. Jones był zdziwiony. Z tego, co wiedział o komunizmie, spodziewał się, że wszyscy są tam mniej więcej równi. No tak, ale to wyczytał w „*Kapitale*” Marksa, na zajęciach z nauk politycznych. Znacznie więcej można się dowiedzieć, patrząc na osiągnięcia komunizmu.

Przeważnie sam szmelc. Marynarze nie mają nawet własnej mesy. Tego jeszcze nie było, żeby jeść posiłki na koi!

Zamiast pójść spać, Jones spędził godzinę na zwiedzaniu okrętu. Przyłączył się do niego Mannion. Zaczęli od pomieszczeń załogi. Osobiste schowki na rzeczy nie miały zamków. Prawdopodobnie dlatego, żeby mogli w nich grzebać oficerowie. Obaj również do nich zajrzeli, ale nie znaleźli tam nic ciekawego. Nawet zdjęcia pornograficzne były do niczego. Kretyńskie pozy, a kobiety, no cóż... Jones wychował się w Kalifornii. To wszystko na śmieci. Jones bez trudności zrozumiał, dlaczego Rosjanie chcieli uciec.

Znacznie ciekawsze były rakiety. Otworzyli z Mannionem luk kontrolny, żeby zobaczyć wnętrze rakiety. Robiło znacznie lepsze wrażenie niż pomieszczenia załogi. Trochę za dużo luźnych drutów, ale prawdopodobnie ułatwiało to sprawdzanie.

Rakieta wydawała się ogromna. A więc to tym w nas dranie celują, pomyślał. Ciekaw był, czy marynarka zatrzyma sobie kilka sztuk. Jeśli trzeba będzie kiedyś machnąć parę na wujka Iwana, to równie dobrze można użyć jego własnych. Głupi pomysł, uznał w końcu.

Wcale nie chciał, żeby to żelastwo kiedykolwiek latało w powietrzu. Jedno jest pewne, że wszystko, co się znajduje na tej balii, zostanie zdemontowane, zbadane, rozebrane na czynniki pierwsze, i znów przebadane. I że on sam jest najlepszym w całej marynarce ekspertem od sonarów radzieckich.

Może będzie mógł wziąć udział w pracach badawczych... Dlatego warto byłoby nawet zostać w marynarce o kilka miesięcy dłużej. Jones zapalił papierosa.

- Może się pan poczęstuje moim, panie poruczniku? - wyciągnął paczkę do oficera elektroniki.

- Dziękuję, Jones. Byliście na studiach? - Bugajew poczęstował się amerykańskim papierosem, na którego od dawna miał ochotę, ale był zbyt dumny, żeby samemu poprosić.

Stopniowo docierało do niego, że ten marynarz jest mu równy pod względem wykształcenia. Mimo że Jones nie kończył akademii wojskowych, potrafił jednak obsługiwać i konserwować sprzęt hydrolokacji równie dobrze, jak każdy oficer.

- Melduję, że byłem. - Jones dobrze wiedział, że nigdy nie zawadzi zwracać się regulaminowo do oficerów, szczególnie do głupich. - W Kalifornijskim Instytucie Technicznym. Zrobiłem pięć semestrów ze średnią ocen pięć. Ale nie skończyłem.

- Dlaczego przerwaliście?

- No cóż, panie poruczniku, musi pan wiedzieć, że ten instytut to, jakby to powiedzieć, wesołe miejsce. Zrobiłem mały kawał jednemu z profesorów. Używał lamp stroboskopowych do ultraszybkiej fotografii. Podłączyłem do obwodu mały przełącznik, żeby sterować oświetleniem w laboratorium ze stroboskopu. Nastąpiło, niestety, zwarcie i doszło do niewielkiego pożaru. - Pomiął milczeniem fakt, że spłonęło całe laboratorium, a w nim wyniki trzech miesięcy eksperymentów i sprzęt wartości piętnastu tysięcy dolarów. - Uznali, że posunąłem się za daleko.

- Co studiowałeś?

- Miałem robić magisterium z elektrotechniki ze specjalnością cybernetyka. Zabrakło mi tylko trzech semestrów. Ale zrobię studia, potem magisterium, następnie doktorat i jako cywil wrócę do pracy w marynarce.

- Dlaczego jesteś operatorem sonaru? - zapytał Bugajew, siadając na krześle.

Nigdy jeszcze nie rozmawiał w ten sposób ze zwykłymi marynarzami.

- Melduję, że to fajna zabawa! Gdy coś się dzieje, manewry czy śledzenie innego okrętu podwodnego, ja jestem kapitanem. Dowódca tylko reaguje na otrzymywane ode mnie informacje.

- Lubisz swojego dowódcę?

- Jasna sprawa! Najlepszy ze wszystkich, a miałem już trzech. To równy gość. Jeśli się robi swoją robotę, to o nic się nie czepia. Jak się ma coś do powiedzenia, zawsze można się z nim dogadać.

- Mówisz, że wrócisz na uczelnię. Ale jak za nią zapłacisz? U nas mówią, że tylko synowie klasy rządzącej idą na uniwersytet.

- To bzdura. W Kalifornii, żeby pójść na studia, wystarczy mieć trochę oleju w głowie. Na przykład ja oszczędzam pieniądze, bo na okręcie nie ma na co wydawać, a i marynarka też trochę dopłaci. Mam już tyle, że wystarczy mi na ukończenie studiów. A pan gdzie studiował?

- Chodziłem do wyższej szkoły marynarki. Coś jak wasze Annapolis. Chciałbym jeszcze zrobić doktorat z elektroniki - Bugajew wypowiedział swoje własne marzenie.

- Żadna sprawa. Powiem panu, od czego zacząć. Jeśli nada się pan do tego instytutu, to powiem panu, z kim trzeba pogadać. Spodoba się panu w Kalifornii. Żyć, nie umierać.

- I chciałbym popracować na prawdziwym komputerze - ciągnął Bugajew marzycielskim tonem.

- To niech pan go sobie kupi - doradził wesoło Jones.

- Kupić komputer?

- Jasne, na „Dallas” mamy mnóstwo małych komputerów Apple. Przyzwoity system kosztuje jakieś

dwa tysiące dolarów. O wiele mniej niż samochód.

- Komputer za dwa tysiące dolarów? - spytał Bugajew podejrzewając, że Jones sobie z niego żartuje.

- Albo mniej. Za trzy tysiące można mieć naprawdę porządny zestaw. Jakby tak powiedział pan tym w Apple, kim pan jest, to dadzą panu komputer za darmo. Albo da go panu marynarka. Jeśli nie chce pan Apple'a, to jest jeszcze Commodore, TRS-80, Atari. Co pan zechce. Zależy do czego chce go pan używać. Tylko jedna firma Apple sprzedała ponad milion sztuk. Są to niewielkie komputery, ale za to prawdziwe.

- Nigdy nie słyszałem o tych... Apple?

- Tak, Apple. Tę firmę założyło dwóch facetów, gdy byłem jeszcze w szkole podstawowej. I od tego czasu, tak jak mówiłem, sprzedali milion lub coś koło tego i mają mnóstwo forsy. Ja sam nie mam komputera, za mało miejsca na okręcie, ale mój brat ma własnego IBM-PC. Nie wierzy mi pan, prawda?

- Człowiek pracy ma własny komputer? Trudno w to uwierzyć. - Bugajew zgasił

papierosa. Amerykański tytoń jest trochę za delikatny, pomyślał.

- To niech pan zapyta kogoś innego. Jak powiedziałem, na „Dallas” jest kilka Apple dla załogi. Do prowadzenia ognia nawigacji i sonaru są oczywiście inne. Tych Apple używamy do gier. Nie będzie się pan mógł od nich oderwać. Najlepsza zabawa to Choplifter.

Służą też do innych rzeczy, takich jak programy edukacyjne. Słowo daję, panie poruczniku, może pan wejść do każdego dużego sklepu i kupić komputer. Zobacz pan.

- W jaki sposób używacie komputera do sonarów?

- To trochę skomplikowane... i prawdopodobnie musiałbym zapytać kapitana o zgodę.

- Jones przypomniał sobie, że ten człowiek jest jeszcze do pewnego stopnia wrogiem.

„W.K. Konowałow”

Alfa dryfowała powoli na granicy szelfu kontynentalnego, mniej więcej o dziewięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Norfolk. Tupolew nakazał

zmniejszenie mocy reaktora do około pięciu procent, tak żeby można było zasilać jedynie główne obwody elektryczne, przez co na okręcie zapadła prawie zupełna cisza. Rozkazy przekazywano z ust do ust. Zakazano nawet gotowania potraw, bo to oznaczałoby przesuwanie metalowych kotłów po

metalowych kratownicach. Do zmiany rozkazów załoga ma żywić się tylko kanapkami z serem. Nieliczne rozmowy prowadzono wyłącznie szeptem.

Najłżejszy hałas zwracał natychmiast uwagę kapitana, a każdy wiedział, co to oznacza.

Stacja SOSUS

Quentin sprawdzał dane napływające kanałem cyfrowym od dwóch *Orionów*. Okręt raketowy USS „Georgia” z uszkodzoną turbiną kieruje się do Norfolk w eskorcie okrętów torpedowych. Admirał powiedział, że osłaniali „Georgię” ze względu na radziecką aktywność wzdłuż wybrzeży. Chodziło o to, żeby wprowadzić okręt do stoczni, naprawić uszkodzenia i wysłać w morze jak najszybciej. „Georgia” uzbrojona jest w dwadzieścia cztery rakiety *Trident*, znaczącą część całego arsenału nuklearnego Stanów Zjednoczonych. Teraz, gdy Rosjanie odpłynęli, naprawa okrętu będzie zadaniem priorytetowym. Okręt można już było bezpiecznie wprowadzać do portu. Dowództwo chciało jednak, żeby *Oriony* sprawdziły, czy w zamieszanym nie pozostały gdzieś radzieckie okręty podwodne.

Jeden z P-3B krążył na wysokości trzystu metrów, około pięćdziesięciu kilometrów na południowy wschód od Norfolk. Urządzenie obserwacji w podczerwieni nie wykazywało na powierzchni żadnego śladu cieplnego. Aparatura nie wykrywała też żadnych zmian pola magnetycznego, mimo że w pewnym momencie samolot przeleciał w odległości stu metrów od pozycji *Alfy*. Kadłub „Konowałowa” wykonany był z niemagnetycznego stopu tytanu. Również pława sonarowa zrzucona trzynaście kilometrów od pozycji okrętu nie wykryła szumów reaktora. Dane przekazywano bez przerwy do Norfolk, gdzie ludzie Quentina wprowadzali je do komputera. Problem w tym, że nie można było doliczyć się wszystkich radzieckich okrętów podwodnych.

To możliwe, pomyślał komandor Quentin. Niektóre okręty skorzystały z okazji, żeby wymknąć się z wcześniej określonych przez nas pozycji. Istnieje możliwość, że wciąż znajduje się tu jedna czy dwie jednostki, nie ma jednak na to żadnych dowodów. Ciekawe, co szykuje Dowództwo Obszaru Atlantyku. Admirał wydawał się z czegoś niezwykle zadowolony, prawie w euforii. Z tego, co wiedział Quentin, operację przeciw flocie radzieckiej przeprowadzono bardzo sprawnie, no i jest *Alfa* zatopiona niedaleko brzegu.

Ciekawe, kiedy uruchomią „Glomar Explorera”, żeby ją podniósł? Zastanawiał się, czy uda mu się obejrzeć wrak. Taka okazja!

Obecnej operacji nikt nie traktował zbyt poważnie. Nic dziwnego. Jeśli „Georgia”

rzeczywiście idzie z uszkodzonym silnikiem, będzie się posuwać powoli. A płynący powoli okręt klasy *Ohio* robi nie więcej hałasu niż młoda wielorybica, która chce zachować dziewictwo. A jeśli Dowództwo Floty Atlantyku tak się o niego martwi, to nie powinno zostawiać patrolowania oceanu dwóm *Orionom* pilotowanym przez rezerwistów. Quentin podniósł słuchawkę i połączył się z wydziałem operacyjnym dowództwa, by zameldować, że nadal nie obserwuje się żadnych śladów obecności nieprzyjaciela.

„Czerwony Październik”

Ryan spojrzął na zegarek. Minęło już pięć godzin. Cały czas trzeba siedzieć na jednym fotelu. Pobieżne spojrzenie na mapę wystarczyło mu, by zauważyć, że osiem godzin to nieco zbyt optymistyczna ocena czasu albo źle zrozumiał kapitana. „Czerwony Październik”

posuwał się wzdłuż granicy szelfu i niedługo miał kierować się na zachód w stronę Virginia Capes. Wszystko mogło potrwać jeszcze cztery godziny. W każdym razie nieprędko. Ramius i Mancuso wydawali się solidnie zmęczeni. Wszyscy byli zmęczeni. Najbardziej chyba ludzie w siłowni. Albo kucharz. Przez cały czas dostarczał wszystkim kawy i kanapek. Szczególnie Rosjanie wydawali się głodni.

USS „Dallas” i USS „Pogy”

„Dallas” przemknął obok „Pogy” z prędkością trzydziestu dwóch węzłów w kolejnym skoku do przodu, zostawiając „Październik” o kilka kilometrów za rufą. Komandor Wally Chambers, który pełnił teraz służbę w centrali, nie lubił płynąć na oślep przez trzydzieści pięć minut, mimo wiadomości z „Pogy”, że wszystko jest w porządku.

„Pogy” zarejestrował przejście „Dallas” i zawrócił, żeby swymi czujnikami hydrolokacyjnymi namierzyć „Czerwony Październik”.

- Hałasuje przy dwudziestu węzłach bardziej niż „Dallas” przy trzydziestu - odezwał się do swoich ludzi szef przedziału sonarowego.

„W.K. Konowałow”

- Szumy na południu - zameldował miczman.

- Jakie szumy? - Tupolew już od kilku godzin obrzydzał życie sonarzystom.

- Jeszcze nie można powiedzieć, towarzyszu kapitanie. W każdym razie kurs jest stały.

Idzie w naszą stronę.

Tupolew wrócił do centrali. Nakazał dalszą redukcję mocy reaktora. Pomyślał

przelotnie o całkowitym wygaszeniu stosu, ponowne uruchomienie wymagałoby jednak czasu, a nie wiadomo, w jakiej odległości znajduje się kontakt. Kapitan wypalił trzy papierosy i dopiero wtedy wrócił do sonarzystów. Po co niepotrzebnie denerwować miczmana, który jest jego najlepszym operatorem sonaru.

- Jedna śruba, towarzyszu kapitanie, prawdopodobnie amerykański okręt klasy *Los Angeles*, prędkość trzydzieści pięć. Kurs zmienił się tylko o dwa stopnie w ciągu piętnastu minut. Przejdzie niedaleko od nas i... jeden moment. - Wyłączył silniki. Czterdziestoletni miczman przycisnął słuchawki do uszu. Usłyszał, jak odgłosy kawitacji maleją, ustają i kontakt rozpływa się w szumach tła. - Zatrzymał się, żeby posłuchać, towarzyszu kapitanie.

- Nie usłyszysz nas - zauważył z uśmiechem Tupolew.

- Skok i zatrzymanie. Czy słyszą coś jeszcze? Może coś eskortuje?

Miczman znów wsłuchał się w dźwięki w słuchawkach i trochę inaczej ustawił

przrzędy.

- Może... słyszą sporo szumów z powierzchni i nie... zaraz. Coś chyba jest. Kurs obiektu sto siedemdziesiąt jeden, a ten drugi... sto siedemdziesiąt pięć. Bardzo cichy, towarzyszu kapitanie, pojedynczy impuls aktywnego sonaru.

- A więc jednak. - Tupolew oparł się o grodziec. - Dobra robota. Teraz trzeba cierpliwie poczekać.

USS „Dallas”

Szef Laval stwierdził, że obszar jest czysty. Czułe hydrofony BQQ-5 niczego nie wykryły, nawet mimo użycia systemu SAPS. Chambers manewrował tak, żeby pojedynczy impuls sonaru trafił prosto do „Pogy”, który przekaże sygnał dalej na „Czerwony Październik”. Szlak czysty na odcinku dalszych osiemnastu kilometrów. „Pogy” rozpędził się do trzydziestu węzłów, a za nim ruszył najnowszy atomowy okręt rakietowy Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

„W. K. Konowałow”

- Jeszcze dwa okręty. Jeden z jedną śrubą i jeden chyba z dwoma. Słaba słyszalność.

Jednostka z jedną śrubą płynie o wiele szybciej. Towarzyszu kapitanie, czy Amerykanie mają okręty z dwoma śrubami?

- Tak, tak mi się zdaje. - Tupolew sam się nad tym zastanawiał.

Różnica w charakterystyce dźwiękowej nie jest taka wyraźna. Niedługo będzie wiadomo.

„Konowałow” skradał się sto pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią, robiąc dwa węzły. Cokolwiek to jest, idzie prosto na nas. Dam w końcu nauczkę tym imperialistom, pomyślał.

„Czerwony Październik”

- Czy ktoś mógłby mnie na chwilę zastąpić przy sterze? - zapytał Ryan.

- Chce pan rozprostować kości? - zapytał, podchodząc Mancuso.

- Między innymi. Spróbuję się dowlec do toalety. Kawa pompuje mi nerki.

- Zastąpię pana.

Kapitan „Dallas” zajął miejsce Ryana. Jack ruszył w stronę rufy do najbliższej toalety.

Dwie minuty później czuł się o wiele lepiej. Wróciwszy do sterowni, zrobił kilka przysiadów dla przywrócenia krążenia w nogach i spojrzał pobieżnie na mapę nawigacyjną.

Amerykańskie wybrzeże oznakowane cyrylicą robiło dziwne, prawie złowieszcze wrażenie.

- Dziękuję, panie komandorze.

- Drobiazg - rzekł Mancuso, wstając.

- Widać, że nie jest pan marynarzem, Ryan. - Ramius obserwował go dotychczas w milczeniu.

- Nigdy nie twierdziłem, że nim jestem, panie kapitanie - odparł uprzejmie Ryan. - Jak daleko do Norfolk?

- Najwyżej jakieś cztery godziny - powiedział Mancuso.

- Chodzi o to, żeby przypląć po ciemku. Przygotowali coś, żeby nas wprowadzić niezauważenie, ale nie wiem co.

- Z zatoki wypłynęliśmy za dnia - stwierdził Ryan. - Czy wtedy ktoś nie mógł nas zauważyć?
 - Nikogo nie widziałem, ale jeśli ktoś nawet tam był, zobaczyłby tylko trzy pozbawione oznaczeń kioski okrętowe.
 - Wypłynęliśmy w czasie dnia, żeby skorzystać z „okienka” w radzieckiej obserwacji satelitarnej.
- Ryan zapalił kolejnego papierosa. Żona nie byłaby tym zachwycona, ale przez cały czas pobytu na okręcie podwodnym był niespokojny. Na stanowisku stersygnalisty nie miał nic do roboty i mógł tylko wpatrywać się tępo w przyrządy. Utrzymanie poziomu okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał, a jedyny ostry zakręt, jaki wykonał, uzmysłowił mu, jak łatwo okręt zmienia kurs w dowolnym kierunku. Ponad trzydzieści tysięcy ton stali, pomyślał.

USS „Pogy” i „Czerwony Październik”

„Pogy” przepłynął z hałasem obok „Dallas”, przez dwadzieścia minut trzymał

prędkość trzydziestu węzłów i zatrzymał się o dwadzieścia kilometrów dalej. Od

„Konowałowa”, którego załoga ledwo ważyła się oddychać, dzieliło go pięć i pół kilometra.

Sonar na „Pogy” nie miał co prawda nowego systemu przetwarzania sygnałów SAPS/BC-10, ale poza tym był nie mniej nowoczesny niż ten na „Dallas”. Nie sposób jednak usłyszeć kogoś, kto nie wydaje żadnych dźwięków, a „Konowałów” milczał.

„Czerwony Październik” minął „Dallas” o piętnastej, po otrzymaniu ostatniego sygnału, że droga wolna. Załoga była zmęczona i spodziewała się przybycia do Norfolk w dwie godziny po zachodzie słońca. Ryan rozmyślał o tym, jak długo będzie leciał do Londynu. Obawiał się, że CIA zażąda szczegółowego sprawozdania. Mancuso i marynarze z

„Dallas” zastanawiali się, czy zdołają zobaczyć się z rodzinami, ale zbytnio na to nie liczyli.

„W. K. Konowałów”

- Wydaje mi się, że to coś dużego. Jeśli utrzyma kurs, znajdzie się o pięć kilometrów od nas.

- *Ohio*, tak jak mówiła Moskwa - skomentował Tupolew.

- Odgłos jakby miał dwie śruby, towarzyszu kapitanie - powiedział miczman.

- Przecież wiesz, że *Ohio* ma jedną śrubę.

- Tak jest, panie kapitanie. W każdym razie, znajdziemy się koło niego za dwadzieścia minut. Drugi okręt torpedowy robi ponad trzydzieści węzłów. Jeśli utrzymają ten sposób poruszania się, przejdą piętnaście kilometrów za nami.

- A drugi Amerykanin?

- Kilka kilometrów w stronę morza, dryfuje powoli, tak jak my. Nie mam dokładnej odległości. Mógłbym go namierzyć aktywnym sonarem, ale to...

- Zdaję sobie sprawę z konsekwencji - burknął Tupolew. Wrócił do centrali. -

Zawiadomcie maszynownię, żeby byli w gotowości. Czy cała załoga jest na stanowiskach bojowych?

- Tak jest, towarzyszu kapitanie - odpowiedział starpom.

- Mamy wyraźny zamiar ogniowy na amerykański okręt torpedowy, ten który się zbliża. Przy tej szybkości to nic trudnego. Drugi możemy zlokalizować w kilka sekund.

- Zawsze coś nowego - zauważył z uśmiechem Tupolew.

- Widzicie, co możemy zrobić w sprzyjających okolicznościach?

- A co zrobimy?

- Gdy duża jednostka przejdzie, zbliżymy się i walniemy go w zad. Oni już się pobawili. Teraz pora na nas. Niech maszynownia zwiększy moc. Niedługo będziemy potrzebować całej mocy.

- Będzie hałas, towarzyszu kapitanie - ostrzegł starpom.

- Fakt, ale nie mamy wyboru. Dziesięć procent mocy. *Ohio* prawdopodobnie nie usłyszy, podobnie jak ten bliższy okręt torpedowy.

USS „Pogy”

- Skąd się to wzięło? - Szef sonaru podregulował przyrządy. - Centrala, tu sonar, mam kontakt. Kurs dwieście trzydzieści.

- Tu centrala, zrozumiałem - odpowiedział natychmiast komandor Wood. - Możesz ustalić, co to takiego?

- Nie, kapitanie. Przed chwilą niczego tu nie było. Odgłosy bardzo słabe, reaktor i szumy pary. Nie mogę ustalić charakterystyki... - Nastawił odbiór na maksimum. - To nie nasz. Wydaje mi się, że to *Alfa*.

- Ale numer! Zawiadam natychmiast „Dallas”.

Sonarzysta spróbował, ale „Dallas”, robiąc trzydzieści dwa węzły, nie usłyszał pięciu szybkich impulsów. „Czerwony Październik” był teraz w odległości piętnastu kilometrów.

„Czerwony Październik”

Jones gwałtownie zamknął oczy.

- Niech pan zawiadomi kapitana, że słyszę kilka impulsów.

- Kilka?

- Więcej niż jeden, ale nie wiem dokładnie, ile.

USS „Pogy”

Komandor Wood podjął decyzję. Początkowo próbowali zwrócić uwagę „Dallas”

kierunkowymi sygnałami małej mocy, żeby zmniejszyć niebezpieczeństwo ujawnienia własnej pozycji.

Ale „Dallas” nie usłyszał.

- Pełna moc, sonar. Wal w „Dallas” pełną mocą.

- Tak jest. - Operator przełączył na pełną moc. Po kilku sekundach system był gotów do wysłania kilkusetwatowej wiązki energii.

Ping-ping-ping-ping-ping!

USS „Dallas”

- Uwaga! - wykrzyknął szef Laval. - Centrala, tu sonar, sygnał niebezpieczeństwa od

„Pogy”!

- Motory stop! - rozkazał Chambers. - Cisza na okręcie.

- Motory stop. - Porucznik Goodman powtórzył rozkaz po sekundzie.

Na rufie wachta zmniejszyła pobór pary, powodując wzrost temperatury reaktora.

Pozwoliło to na swobodną ucieczkę neutronów ze stosu, gwałtownie spowalniając reakcję rozszczepiania.

- Gdy prędkość spadnie do czterech węzłów, pójdziemy jedną trzecią - powiedział

Chambers oficerowi wachtowemu i poszedł do sonaru. - Francuzik, potrzebuję natychmiast danych.

- Idziemy jeszcze za szybko - odpowiedział Laval.

„Czerwony Październik”

- Kapitanie Ramius, sądzę, że powinniśmy zwolnić - powiedział możliwie beznamiętnym głosem Mancuso.

- Sygnał się nie powtórzył - zaproponował Ramius.

Drugi sygnał kierunkowy nie trafił na nich, a „Dallas” nie przekazał sygnału o niebezpieczeństwie, ponieważ szedł jeszcze zbyt szybko, żeby zlokalizować „Czerwony Październik” i nadać wiadomość.

USS „Pogy”

- W porządku kapitanie, „Dallas” zatrzymał silniki.

Wood zagryzł dolną wargę.

- Dobra, trzeba znaleźć drania. Przeszukać sektory, pełną mocą. Załoga na stanowiska bojowe.

Dwie sekundy później zabrzmiał alarm. „Pogy” już wcześniej szedł w podwyższonej gotowości, dlatego w ciągu czterdziestu sekund wszystkie stanowiska były obsadzone.

Komandor porucznik Tom Reynolds zajął się namiarami do prowadzenia ognia. Jego podwładni, oficerowie i podoficerowie, czekali na dane, które przetworzyłby specjalny komputer Mk-117.

Antena sonaru na dziobie „Pogy” uderzała w wodę wiązkami energii dźwiękowej. Po piętnastu sekundach pierwsze odbite sygnały pojawiły się na ekranie Palmera.

- Centrala, tu sonar, jest kontakt, kurs dwieście trzydzieści cztery, odległość sześć kilometrów. Sądząc po pracy reaktora, jest to prawdopodobnie okręt klasy *Alfa* - zameldował.

- Dajcie mi namiar ogniowy - powiedział niecierpliwie Wood.

- Tak jest.

Reynolds przyglądał się strumieniowi danych, które przyjmował komputer. Obok grupa oficerów ręcznie obliczała i nanosiła pozycje na stole nawigacyjnym. Komputer komputerem, ale system rezerwowo trzeba mieć.

Dane przebiegały po ekranie. Cztery luki torpedowe „Pogy” zawierały dwie rakiety *Harpoon* przeciw okrętom nawodnym i dwie torpedy Mk-48. W tej chwili mogły być przydatne tylko torpedy. Były to najpotężniejsze torpedy marynarki, sterowane przewodowe, ale zdolne do samonaprowadzania, o prędkości ponad pięćdziesiąt węzłów, z pięćsetkilogramowymi głowicami bojowymi.

- Mamy namiary dla obu torped, kapitanie. Czas biegu cztery minuty trzydzieści pięć sekund.

- Sonar, przerwać impulsy - powiedział Wood.

- Tak jest. Namierzanie przerwane. - Palmer wyłączył systemy aktywne. - Kąt podniesienia celu jest bliski zera, niemal na naszej głębokości.

- Doskonale, sonar. Pilnuj go. - Wood miał już ustaloną pozycję celu. Dalsze namiary mogły jedynie ułatwić przeciwnikowi ustalenie pozycji.

USS „Dallas”

- „Pogy” namierzał kogoś. Dostali odbicie, kurs sto dziewięćdziesiąt jeden lub coś koło tego - zameldował Laval. - Jest tam jakiś okręt. Nie wiem, jaki. Odczytuję szumy maszynowni i pary, ale za słabe dla identyfikacji obiektu.

USS „Pogy”

- „Październik” nadal płynie - zameldował Palmer.

- Idąc tym kursem, wejdzie między nas a cel - rzekł Reynolds podnosząc głowę znad wykresów.

- Pięknie. Jedna trzecia naprzód, ster lewo dwadzieścia. - Nie czekając na wykonanie rozkazów, Wood przeszedł do pomieszczenia hydrolokacji. - Szefie, włącz aktywny i bądź

gotów dać impuls na okręt rakietowy.

- Tak jest. - Palmer zajął się przełącznikami. - Gotów.

- Wal mocno w sam środek. Tym razem nie chcę spudłować. Wood obserwował

przesuwanie się wskaźnika kierunku na pulpicie sonaru. „Pogy” obracał się prędko, ale nie dość prędko, by „Czerwony Październik” (tylko on i Reynolds wiedzieli, że to radziecki okręt, choć załoga gubiła się w domysłach) odebrał impuls ostrzegawczy.

- Gotów.

- Spróbuj teraz!

Palmer nacisnął przycisk emisji wiązki.

Ping-ping-ping-ping-ping!

„Czerwony Październik”

- Kapitanie! - wykrzyknął Jones - sygnał niebezpieczeństwa!

Nie czekając na Ramiusa, Mancuso skoczył do telegrafu maszynowego. Przerzucił rączkę na „Stop”. Później spojrzął na Ramiusa. - Przepraszam.

- W porządku - odpowiedział Ramius znad mapy z widocznym niezadowoleniem.

Zadzwoił telefon. Ramius odebrał, przez kilka chwil mówił po rosyjsku, po czym odłożył słuchawkę.

- Powiedziałem im, że mamy problem, ale nie wiemy, co się dzieje.

- W rzeczy samej. - Mancuso podszedł do radzieckiego kapitana.

Odgłosy silników milkły, choć jak na gust Mancuso, za wolno. „Październik” był może cichy, jak na standardy radzieckie, ale jemu wydawał się zbyt hałaśliwy.

- Niech się pan dowie, czy pański sonarzysta da radę coś namierzyć - zaproponował Ramius.

- Tak jest. - Mancuso przeszedł kilka kroków w stronę rufy. - Jones, zorientuj się, co to takiego.

- Tak jest, ale na tym sprzęcie nie będzie to takie proste. - Jones już ustawił czujniki anten w stronę dwóch eskortujących ich okrętów torpedowych. Dopasował słuchawki i zaczął manipulować pokrętłami wzmacniaczy. Ani procesorów sygnałów, ani analizatora, przetworniki też prawie nic nie warte. Ale nie ma się co podniecać. W odróżnieniu od sterowanych komputerowo systemów,

radzieckie szumonamierniki

sterowało się

elektromechanicznie. Powoli i ostrożnie zaczął zmieniać zespoły kierunkowych namierników w kopule sonaru na dziobie. Zamknął oczy i prawą ręką bawił się pudełkiem papierosów. Nie zauważył, że Bugajew usiadł obok i też słucha.

USS „Dallas”

- Coś wiemy, sonar? - zapytał Chambers.

- Mam kierunek i nic więcej. „Pogy” obmacał go dokładnie, ale nasz przyjaciel zaraz później uruchomił silniki i znikł mi z pola widzenia. „Pogy” miał z niego wyraźne odbicie.

Prawdopodobnie jest bardzo blisko.

Chambers został pierwszym oficerem przed czterema miesiącami. Był inteligentnym, doświadczonym oficerem i miał duże szanse otrzymać samodzielne dowództwo. Miał jednak tylko trzydzieści trzy lata i po dłuższej przerwie służył na okrętach podwodnych dopiero czwarty miesiąc. Wcześniej wykładał o reaktorach jądrowych w Idaho. Za opryskliwością, którą wyrobił sobie u Mancusa określenie „nadzorca pokładowy”, skrywało się znacznie więcej niepewności, niż byłby skłonny przyznać. Teraz chodziło o jego karierę. Dokładnie zdawał sobie sprawę, jak ważne stoi przed nim zadanie. Cała jego przyszłość zależy od decyzji, które teraz będzie podejmować.

- Czy możesz go zlokalizować jednym impulsem?

Sonarzysta zastanowił się chwilę.

- Nie wystarczy to do kierowania ogniem, ale zawsze coś nam da.

- Spróbuj.

- Tak jest. - Laval skupił się na chwilę nad pulpitem, uruchamiając aktywne systemy namierzania.

„W.K. Konowałow”

Tupolew zamrugał oczami. Zbyt szybko zaczął działać. Powinien zaczekać, aż przejdą obok, ale wtedy sam musiałby się ruszyć. Teraz tamte trzy okręty trwały w bezruchu.

Wszystkie cztery jednostki poruszały się z prędkością minimalną, potrzebną dla utrzymania zanurzenia.

Radziecka *Alfa* skierowana była na południowy wschód, a wszystkie cztery okręty tworzyły mniej więcej trapez, szerszą podstawą skierowany w stronę morza. „Pogy” i

„Dallas” znajdowały się na północ, a „Czerwony Październik” na południowy wschód od „Konowałowa”.

„Czerwony Październik”

- Ktoś stuknął go pojedynczym impulsem - powiedział cicho Jones. - Kurs mniej więcej północno-wschodni, ale brak dostatecznych szumów dla uzyskania namiaru. Jeśli miałbym się zakładać, powiedziałbym, że jest całkiem blisko.

- Skąd to wiesz? - zapytał Mancuso.

- Odebrałem impuls kierunkowy, tylko jeden, prawdopodobnie dla ustalenia odległości. Pochodził z BQQ-5. Następnie usłyszałem echo odbite od celu. Jest kilka sposobów wyliczenia tego dokładnie, ale stawiam okrągłą sumkę, że jest między naszym okrętem a chłopakami, nieco na zachód. Wiem, że to trochę niepewne, ale nie mam nic lepszego.

- Odległość trzydzieści kilometrów, może mniej - dorzucił Bugajew.

- To też jest trochę niepewne, ale na początek może być. Nie za wiele danych. Przykro mi, kapitanie. Staramy się, jak możemy - powiedział Jones.

Mancuso skinął głową i wrócił do centrali.

- Co jest grane? - zapytał Ryan.

Drażek sterów głębokości był przesunięty do przodu do oporu dla utrzymania głębokości. Ryan nie zorientował się jeszcze w znaczeniu tego, co się wokół niego działo.

- Gdzieś w pobliżu znajduje się okręt podwodny nieprzyjaciela.

- Jakie mamy dane? - zapytał Jack.

- Nie za wiele tego. Jest kontakt na północnym zachodzie, odległość nieznana, ale prawdopodobnie niewielka. Nie ma wątpliwości, że to nie nasza jednostka. Według tych z Norfolk obszar ten jest czysty. Pozostaje więc tylko jedna możliwość. Dryfujemy?

- Dryfujemy - potwierdził Ramius, podnosząc słuchawkę. Wydał kilka rozkazów.

Silniki poruszały okręt z prędkością niewiele większą od dwóch węzłów, ledwie pozwalającą zachować sterowność i niewystarczającą dla utrzymania głębokości. Przy niewielkiej pływalności

dotadniej „Październik” dryfował w górę z prędkością metra na minutę, mimo ustawienia sterów głębokości.

USS „Dallas”

- Wracajmy na południe. Nie podoba mi się, że *Alfa* jest bliżej naszego przyjaciela niż my. Kurs sto osiemdziesiąt pięć, trzy czwarte naprzód - postanowił w końcu Chambers.

- Rozumiem - powiedział Goodman. - Sternik, ster prawo piętnaście, nowy kurs sto osiemdziesiąt pięć. Dwie trzecie naprzód.

- Ster prawo piętnaście. - Stersygnalista obrócił koło.

- Jest prawo piętnaście, wchodzę na kurs sto osiemdziesiąt pięć.

Cztery wyrzutnie torpedowe „Dallas” były załadowane trzema torpedami Mk-48 i jedną torpedą pozoracyjną, kosztowną zabawką udającą okręt podwodny. Jedna z torped była wycelowana w *Alfę*, ale dane namiaru nie były pewne. Sama musiałaby szukać celu. Dwie torpedy „Pogy” były wycelowane prawie idealnie.

Problem polegał na tym, że ani jeden, ani drugi okręt nie miał prawa strzelać. Oba działały zgodnie z ustalonymi zasadami, które zezwalały na odpalenie torped tylko w obronie własnej. „Czerwony Październik” mógł być chroniony jedynie podstępem i zastraszeniem.

Pytanie brzmiało, czy *Alfa* wie, na jaki okręt raketowy się natknęła?

„W.K. Konowałow”

- Sterować na *Ohio* - rozkazał Tupolew. - Zwiększyć prędkość do trzech węzłów.

Musimy być cierpliwi, towarzysze. Teraz, gdy Amerykanie wiedzą już, gdzie jesteśmy, nie będą nas więcej namierzać. Po cichu przeniesiemy się gdzie indziej.

Brązowa śruba „Konowałowa” zaczęła obracać się nieco prędzej. Wyłączając niektóre drugorzędne systemy elektryczne, mechanicy potrafili podnieść prędkość, nie zwiększając mocy reaktora.

USS „Pogy”

Na „Pogy”, najbliższym z trzech okrętów, echo zaczęło się rozpląwać, zmniejszając nieco wartość namiarów kierunkowych. Komandor Wood nie mógł się zdecydować na ponowny namiar aktywnym sonarem, ale w końcu postanowił tego nie robić. Jeśli użyje aktywnych sonarów, znajdzie się w takim samym położeniu, jak policjant szukający włamywacza w ciemnym budynku za pomocą ręcznej latarki. Impulsy sonaru powiedzą więcej jego przeciwnikowi niż jemu samemu. W takich przypadkach zazwyczaj używa się biernych systemów namierzających. Palmer zameldował, że „Dallas” przechodzi wzdłuż lewej burty. Zarówno Wood, jak i Chambers postanowili nie korzystać z hydrofonów dla nawiązania łączności. Nie mogli sobie teraz pozwolić na żadne hałasy.

„Czerwony Październik”

Czaili się tak już od pół godziny. Ryan nie ruszał się ze stanowiska i palił jednego papierosa za drugim. Próbował zachować spokój, ale czuł, że poca mu się palce. Nie do takiej walki go szkolono. Uwięziony w stalowym cygarze nic nie widział ani nie słyszał. Gdzieś tam czaił się radziecki okręt podwodny. Domyślał się, jakie może mieć rozkazy. Jeśli jego kapitan zda sobie sprawę, kogo ma przed sobą, to... co wtedy? Obaj kapitanowie, pomyślał, są zdumiewająco spokojni.

- Czy wasze okręty mogą nas osłonić? - zapytał Ramius.

- Strzelać do radzieckiego okrętu? - Mancuso pokręcił głową. - Tylko jeśli przeciwnik strzeli pierwszy. Nasz przypadek nie mieści się w istniejących przepisach.

- Co takiego? - Ryan był zaskoczony.

- A może chciałby pan rozpocząć wojnę? - zapytał Mancuso z rozbawieniem. - Do tego właśnie dochodzi, gdy okręty wojenne dwóch państw zaczynają do siebie strzelać.

Musimy się z tego jakoś sprytnie wywinąć. Rozumie pan?

- Spokojnie, panie Ryan - powiedział Ramius. - To dla nas nic nowego. Okręty torpedowe starają się nas wykryć, a my próbujemy się im wymknąć. Niech mi pan powie, kapitanie Mancuso, z jakiej odległości usłyszeliście nas przy wybrzeżach Islandii?

- Nie sprawdzałem dokładnie waszej mapy, panie kapitanie - odparł w zamyśleniu Mancuso. - Mogło być ze trzydzieści sześć kilometrów.

- Robiliśmy wtedy trzynaście węzłów, a szumy rosą szybciej niż prędkość. Sądzę, że możemy ruszać na wschód, powoli, bez ujawniania się. Używając „gąsienicy”, będziemy posuwać się z prędkością sześciu węzłów. Radzieckie sonary, jak wiecie, nie są tak skuteczne jak amerykańskie. Zgadza się pan ze mną, panie kapitanie?

- To pański okręt, panie kapitanie - skinął głową Mancuso.

- Proponuję tylko kierunek północno-wschodni, w ciągu mniej więcej godziny znajdziemy się wtedy za osłoną naszych okrętów torpedowych.

- Zgoda. - Ramius dokuśtykał do pulpitu sterowania, włączył otwieranie włazów kanałów i wrócił do telefonu. Wydał rozkazy. W ciągu minuty uruchomiono silniki

„gąsienicy” i prędkość zaczęła powoli wzrastać.

- Ster prawo dziesięć, Ryan - poleciał Ramius - i poluzować na sterach głębokości.

- Ster prawo dziesięć, puszczam stery głębokości. - Ryan spełniał rozkazy zadowolony, że ma jakieś zajęcie.

- Ryan, proszę kurs czterdzieści - odezwał się Mancuso znad stołu nawigacyjnego.

- Kurs czterdzieści, przechodzę przez trzysta pięćdziesiąt. - Ze stanowiska stersygnalisty słyszał wodę szumiącą w kanale na lewej burcie. Mniej więcej co minutę rozlegał się dziwny łomot, trwający trzy lub cztery sekundy. Wskaźnik prędkości na pulpicie Ryana przekroczył cztery węzły.

- Pan się boi, Ryan? - Ramius uśmiechnął się.

Jack zaklął w myśli. Głos mu trochę zadrżał.

- Jestem też trochę zmęczony.

- Wiem, że to dla pana trudne. Dobrze sobie pan radzi, jak na nowicjusza, który nie ma żadnego przygotowania. Spóźnimy się do Norfolk, ale na pewno tam dotrzemy. Był pan kiedyś na okręcie rakietowym, kapitanie Mancuso?

- Jasne, że byłem. Ryan, niech się pan rozluźni. To, co się teraz dzieje, to chleb powszedni dla okrętów rakietowych. Ktoś nas szuka, a my znikamy.

Amerykański dowódca podniósł wzrok znad mapy. Zastanawiał się, czy nie oznaczyć dokładniej ich kursu, ale postanowił tego nie robić. Bardzo interesująca mapa wybrzeża.

Oznaczono na niej na przykład rejony odpalania rakiet. Mając takie dane, wywiad floty oszaleje z radości.

„Czerwony Październik” posuwał się na północny wschód z prędkością sześciu węzłów. „Konowałow” szedł na południowy wschód, robiąc trzy węzły. „Pogy” kierował się na południe przy dwóch węzłach, a „Dallas” także na południe przy piętnastu. Wszystkie cztery okręty znajdowały się teraz w kole o promieniu jedenastu kilometrów, a ich kursy zbiegały się mniej więcej w jednym punkcie.

„W.K. Konowałow”

Tupolew bawił się doskonale. Z nieznanego powodu Amerykanie poszli na klasyczną rozgrywkę, której się nie spodziewał. Postąpiliby znacznie sprytniej, pomyślał, gdyby jeden z okrętów torpedowych podszedł możliwie jak najbliżej i zaangażował go, pozwalając tym samym przemknąć się okrętowi rakietowemu z drugą jednostką eskorty. No cóż, na morzu nic nie zdarza się dwa razy. Pociągnął łyk herbaty i wybrał sobie kanapkę.

Miczman sonarzysta zarejestrował dziwny dźwięk, który po kilku sekundach znikł.

Początkowo pomyślał, że to jakiś odległy ruch sejsmiczny.

„Czerwony Październik”

Wskutek dodatniego trymu „Czerwony Październik” podnosił się do góry. Ryan przestawił więc stery głębokości o pięć stopni w dół, żeby wrócić na sto metrów. Usłyszał, że kapitanowie rozmawiają o braku termokliny w wodach. Mancuso wyjaśniał, że w tym rejonie zjawisko to nie należy do rzadkości, szczególnie po większych sztormach. Obaj zgodzili się, że jest to wyjątkowo niepomyślna okoliczność. Taka granica termiczna między głębszymi warstwami oceanu a wodami powierzchniowymi znacznie ułatwiłaby ucieczkę.

Jones stał w rufowych drzwiach centrali, masując uszy. Radzieckie słuchawki nie należą do najwygodniejszych.

- Panie kapitanie, jakiś szum na północy, pojawia się i zanika. Nie mam na niego namiaru kierunkowego.

- Czyj okręt? - zapytał Mancuso.

- Trudno powiedzieć. Aktywny sonar nie jest taki zły, ale za to pasywny do niczego.

Nie jesteśmy całkiem ślepi, ale niewiele nam brakuje.

- Trudno. Jeśli coś usłyszysz, daj znać.

- Rozumiem, panie kapitanie. Jest tu może trochę kawy? Porucznik Bugajew o nią prosi.

- Każę kucharzowi przynieść.

- Tak jest. - Jones wrócił do pracy.

„W.K. Konowałow”

- Towarzyszu kapitanie, mam namiar, ale nie wiem, co to takiego - zameldował przez telefon miczman.

Tupolew przyszedł do pomieszczenia sonaru, żując kanapkę. Rosjanom rzadko zdarzało się namierzyć *Ohio*, w sumie może ze trzy razy, i zawsze śledzony okręt wymykał

się im w ciągu kilku minut, tak że nikt nie znał dokładnej charakterystyki dźwiękowej jednostek tej klasy.

Miczman podał kapitanowi wolną parę słuchawek.

- Może to potrwać kilka minut. Sygnał pojawia się i niknie.

Mimo że woda wzdłuż amerykańskich wybrzeży była prawie izotermiczna, nie stwarzała idealnych warunków hydroakustycznych. Prądy lokalne i pływy tworzą ruchome ściany, które kanalizują i odbijają energię dźwiękową w sposób niemal przypadkowy.

Tupolew usiadł i słuchał cierpliwie. Sygnał pojawił się znów dopiero po pięciu minutach.

- Teraz, towarzyszu kapitanie - rzucił miczman.

Dowódca zbladł.

- Kurs?

- Sygnał jest zbyt słaby i zbyt krótki, żeby zdobyć namiar z większą dokładnością niż plus minus trzy stopnie, to znaczy od stu trzydziestu sześciu do stu czterdziestu dwóch.

Tupolew rzucił słuchawki na stół i poszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Wziął za ramię oficera

politycznego i pociągnął go szybko do mesy.

- To „Czerwony Październik”!

- Niemożliwe! Dowództwo Floty twierdzi, że widziano wrak zniszczonego okrętu -

potrzęsął kategorię głową zampolit.

- Zostaliśmy wyprowadzeni w pole. „Gąsienica” ma niepowtarzalną charakterystykę dźwiękową. Przejęli go Amerykanie i jest teraz tuż obok nas. Musimy go zniszczyć!

- Nie! Musimy połączyć się z Moskwą i zażądać instrukcji.

Zampolit to dobry komunista, pomyślał Tupolew, ale służył dotychczas tylko na jednostkach nawodnych i podwodniakiem nie jest.

- Towarzyszu oficerze polityczny, wynurzenie zajmie kilkanaście minut, przekazanie informacji do Moskwy mniej więcej od dziesięciu do piętnastu, potem pół godziny, zanim Moskwa w ogóle odpowie, a pewnie jeszcze zażądamy potwierdzenia! W sumie godzina?

Dwie? Trzy? W tym czasie „Czerwony Październik” zniknie. Nasze pierwotne rozkazy nadal zachowują ważność i nie ma czasu na kontaktowanie się z Moskwą.

- A jeśli się mylicie?

- Nie myślę się! - wysyczał kapitan. - Pozyskanie kontaktu zapiszę w dzienniku pokładowym wraz z moimi zaleceniami. Jeśli uniemożliwicie ich realizację, również to zapiszę w dzienniku. Mam rację i to wasza głowa poleci, nie moja. Decydujcie!

- Jesteście pewni?

- Jestem pewien!

- Dobrze - poddał się zampolit. - Jak to zrobicie?

- Tak szybko, jak się da, żeby Amerykanie nie mieli okazji zniszczyć nas. Idźcie na swoje stanowisko.

Obaj mężczyźni wrócili do centrali. Wyrzutnie dziobowe okrętu były załadowane sterowanymi przewodowe torpedami wzór C o kalibrze 533mm. Wystarczyło tylko podać im namiar celu.

- Sonar, przeszukiwanie w kierunku dziobu wszystkimi systemami aktywnymi! -

rozkazał kapitan.

Miczman nacisnął klawisz.

„Czerwony Październik”

- Uch! - Jones gwałtownie odwrócił się do tyłu. - Kapitanie, zostaliśmy uderzeni wiązką sonaru. Lewa burta, śródokręcie, może trochę do przodu. To nie nasi.

USS „Pogy”

- Centrala, tu sonar, *Alfa* namierzyła okręt rakietowy. Kurs do *Alfy* dziewięćdziesiąt dwa.

- Dwie trzecie naprzód - rozkazał natychmiast Wood.

- Rozkaz, dwie trzecie naprzód.

Silniki „Pogy” zagrały pełną mocą, a śruba napędowa zaczęła młócić czarną wodę.

„W.K. Konowałow”

- Odległość siedem kilometrów sześćset metrów. Kąt podniesienia zero - zameldował miczman.

A więc to za tym okrętem wysłano ich na polowanie, pomyślał. Podłączył słuchawki do obwodu pozwalającego mu na bezpośrednie porozumiewanie się z kapitanem i oficerem kierowania ogniem.

Strzelanie torpedowe nadzorował starpom. Szybko wprowadził dane do komputera.

Był to prosty problem geometrii celu.

- Mamy namiar dla torped jeden i dwa.

- Przygotować do odpalenia.
- Rury aparatów torpedowych zatopione. - Starpom osobiście przerzucił manetki, sięgając przez ramię podoficera. - Zewnętrzne pokrywy aparatów otwarte.
- Sprawdzić namiar ogniowy! - rozkazał Tupolew.

USS „Pogy”

Operator sonaru na „Pogy” był jedyną osobą, która usłyszała krótko trwający szum.

- Centrala, tu sonar, *Alfa* zatopiła właśnie wyrzutnie torped. Kurs kątowy sto siedemdziesiąt dziewięć.

„W.K. Konowałow”

- Namiar sprawdzony, towarzyszu kapitanie - zameldował starpom.
- Torpedy jeden i dwa, pal!
- Pierwsza poszła... druga poszła. - „Konowałow” dwukrotnie zadrgał, gdy sprężone powietrze wypchnęło z rur wyrzutni elektrycznie napędzane torpedy.

„Czerwony Październik”

Pierwszy usłyszał je Jones.

- Szybkie obroty śrub z lewej burty! - powiedział głośno i wyraźnie. - Torpedy idą z lewej burty!
- *Liewo rulja!* - automatycznie rzucił Ramius.
- Co takiego? - zapytał Ryan.

- Ster na lewo, na lewo! - Ramius uderzył pięścią w poręcz.
- Na lewo, do końca, szybko! - wtórował Mancuso.
- Jest, ster lewo na burt. - Ryan obrócił koło do oporu i przytrzymał. Ramius przesuwał rączkę telegrafu, żeby zwiększyć prędkość.

USS „Pogy”

- Dwie torpedy w wodzie - powiedział Palmer. - Namiar zmienia się z prawa na lewo.

Powtarzam, namiar kątowy obu torped szybko się zmienia z prawa na lewo. Idą w kierunku okrętu rakietowego.

USS „Dallas”

Na „Dallas” również usłyszano torpedy. Chambers nakazał zwiększenie prędkości i zwrot na lewo. Gdy torpedy były już w wodzie, nie mógł wiele zrobić. Postępował zgodnie z przyjętą we flocie amerykańskiej zasadą: dawać drapaka i to jak najszybciej.

„Czerwony Październik”

- Jaki kurs? - zapytał Ryan.
- Jones, podaj namiar! - krzyknął Mancuso.
- Trzysta dwadzieścia. Idą dwie! - natychmiast odpowiedział Jones pracując pokrętłami, żeby potwierdzić namiar.

Nie było czasu na pomyłki.

- Ster trzysta dwadzieścia - rozkazał Ramius. - Jeśli możemy obracać się tak prędko.

Piękne dzięki, pomyślał ze złością Ryan, patrząc jak żyroskopas tyka, przechodząc przez trzysta pięćdziesiąt siedem. Ster był mocno skręcony, a po gwałtownym wzroście mocy napędu „gąsienicy”, poczuł na kole drganie steru.

- Dwie torpedy zbliżają się na kursie trzysta dwadzieścia, powtarzam, kurs jest stały - zameldował Jones, udając spokój.

- Zaczyna się.

USS „Pogy”

Mapa taktyczna ukazywała „Październik”, *Alfę* i dwie torpedy. „Pogy” znajdował się o siedem kilometrów na północ od miejsca wydarzeń.

- Czy możemy strzelać? - zapytał pierwszy oficer.

- Do *Alfy*? - Wood zdecydowanie potrząsnął głową. - Nie możemy, cholera. Chociaż teraz niczego by to nie zmieniło.

„W.K. Konowałow”

Dwie torpedy typu C sunęły z prędkością czterdziestu jeden węzłów, dość wolno, jak na taką odległość, ale po to właśnie, żeby można je było łatwiej naprowadzać przy pomocy systemów sonarowych „Konowałowa”. Zaprogramowany czas pływnięcia wynosił sześć minut, z czego upłynęła już jedna.

- Jest kurs trzysta dwadzieścia, panie kapitanie - powiedział Ryan, wpatrując się w repetytor żyroskopasu, jakby mogło to mu w czymś pomóc. Pogratulował sobie, że do toalety poszedł godzinę temu.

- Ryan, w dół, maksymalnie w dół na sterach.

- Ster do oporu. - Ryan odepchnął ster aż do odbijacza.

Był przerażony, ale jeszcze bardziej bał się, że coś spaskudzi. Musiał z konieczności założyć, że obaj dowódcy wiedzą, co robią. Nie miał wyboru. Cóż, jedno wie na pewno, że naprowadzane torpedy można zmylić. Sygnały hydroakustyczne da się rozmyć, szczególnie gdy okręt znajduje się w pobliżu dna lub powierzchni wody, gdzie impulsy się załamują. Jeśli

„Październik” zanurzy się bardziej, może zniknąć w sferze cienia przy dnie, założywszy, że robi to na czas.

„W.K. Konowałow”

- Zmienił się namiar celu, towarzyszu kapitanie - zameldował miczman. - Cel jest teraz mniejszy.

Tupolew chwilę pomyślał. Znał całą radziecką taktykę walki, wiedział także, że sporą jej część napisał Ramius. Doszedł do wniosku, że Marko będzie robić to, czego uczył ich wszystkich. Wykona zwrot w stronę idących torped, żeby zmniejszyć przekrój poprzeczny celu i zejść do dna, żeby zgubić się wśród pomieszanych fal dźwiękowych.

- Cel będzie próbował schować się w dennym paśmie zniekształceń. Zachowajcie czujność.

- Tak jest, towarzyszu kapitanie. Czy zdąży na czas osiągnąć dno? - zapytał starpom.

Tupolew przemyślał charakterystyki manewrowości „Października”.

- Nie, w tak krótkim czasie nie da rady zejść tak głęboko. Mamy go!

Przykro mi, stary przyjacielu, ale nie mam wyboru, pomyślał.

„Czerwony Październik”

- W porządku, przechodzę przez trzysta czterdzieści pięć, wyrównuję ster - powiedział

Ryan.

Mancuso teraz milczał. Ramius posługiwał się manewrem, za którym on osobiście nie przepadał. Zwracał się w kierunku płynących torped. Daje to minimalny przekrój celu, ale znacznie ułatwia

przeciwnikowi obliczenie geometrii przechwycenia. Przypuszczalnie Ramius wie, do czego są zdolne radzieckie torpedy, pocieszał się Mancuso.

„Czerwony Październik”

Ryan kulił się za każdym razem, gdy wiązka sonaru uderzała w podwójny kadłub okrętu.

- Nie możecie tego zagłuszyć, czy coś z tym zrobić? - zażądał.

- Cierpliwości, panie Ryan - powiedział Ramius. Nigdy jeszcze nie strzelano do niego uzbrojonymi torpedami, ale postępowanie w takiej sytuacji ćwiczył setki razy. - Najpierw niech nabierze pewności, że już nas ma.

- Macie torpedy pozoracyjne? - zapytał Mancuso.

- Cztery, w dziobowym przedziale torpedowym, ale nie mamy obsługi.

Obaj kapitanowie zachowywali zimną krew, jak zauważył Ryan, próbując zobaczyć coś poza swym wewnętrznym światem strachu. Ani jeden, ani drugi nie chce niczego po sobie pokazać. Ale byli do tego odpowiednio wyszkoleni.

- Kapitanie! - zawołał Jones. - Dwie torpedy, kurs stały trzysta dwadzieścia. Właśnie się uzbroiły. Powtarzam, torpedy są już uzbrojone. Cholera! Dźwięk przypomina nasze czterdziestki ósemki. Kapitanie, jak nasze torpedy Mk-48.

Ramius czekał na tę chwilę.

- Zgadza się. pięć lat temu ukradliśmy wasze sonary torpedowe, ale nie daliśmy rady ukraść napędu. Bugajew!

W kabynie hydrolokacji Bugajew siedział przy włączonych, tuż po wystrzeleniu torped akustycznych, urządzeniach zagłuszających. Teraz zaczął delikatnie zgrywać impulsy zagłuszające z impulsami zbliżających się torped, tak by zgadzały się co do częstotliwości fali nośnej i współczynnika powtórzenia impulsów. Zgranie czasu musi być bardzo dokładne.

Wysyłając lekko zmienione odbicia, tworzył cele - widma. Niewiele i dość blisko, ale być może zdoła zmylić kierujących ogniem operatorów na *Alfie*. Ostrożnie naciskał spust wibratora, przerzucając amerykański papieros z kącika do kącika ust.

„W.K. Konowałow”

- Cholera! Zagłusza nas. - Zauważywszy pojawienie się dwóch nowych impulsów, miczman zaczął zdradzać pierwsze ślady podniecenia. Słabnący impuls od prawdziwego celu mieszał się teraz z dwoma nowymi, jednym blisko od północy i drugim nieco dalej od południa. - Towarzyszu kapitanie, cel stosuje radzieckie urządzenia zagłuszające.

- Widzisz? - Tupolew zwrócił się do zampolita. - Teraz ostrożnie - nakazał pierwszemu oficerowi.

„Czerwony Październik”

- Ryan, ostro do góry na sterach! - krzyknął Ramius.

- Ostro do góry. - Ryan odchylił się do tyłu, przyciągając sterownicę do brzucha. Miał nadzieję, że Ramius wie, co robi.

- Jones, podaj namiar i odległość.

- Rozumiem. - Zagłuszanie pokazywane także było na głównych ekranach. - Dwie torpedy, kurs trzysta dwadzieścia. Odległość do pierwszej kilometr osiemset metrów, do drugiej dwa kilometry trzysta metrów. Torpeda numer jeden idzie trochę w dół. - Może Bugajew nie jest w końcu taki głupi, pomyślał Jones. Ale szły na nich właśnie dwie torpedy...

USS „Pogy”

Kapitan „Pogy” był wściekły. Te cholerne zasady taktyczne uniemożliwiały mu zrobienie tego, co należy, z wyjątkiem może...

- Sonar, namierz tego skurwysyna i walnij go pełną mocą! BQQ-5 na „Pogy” zaczął

wysyłać rytmiczne fale energii promieni, uderzając w *Alfę*. „Pogy” nie mogła strzelać, ale Rosjanie mogli o tym nie wiedzieć. Może wiązka sonaru zakłóci ich sonar ogniowy.

„Czerwony Październik”

- Jedna z torped idzie na namiar własny. Nie wiem, która. - Jones zdjął słuchawkę z jednego ucha, gotów zedrzeć w każdej chwili drugą. Hydrolokator naprowadzania jednej z torped przejął obserwację celu. Niedobrze. Jeśli te zabawki są takie jak nasze czterdziestki ósemki... Jones wiedział, że takie torpedy rzadko pudłują. Gdy jedna z nich przechodziła pod

„Czerwonym Październikiem”, usłyszał efekt Dopplera. Jedna przeszła dołem. Druga się zbliża, przedział między impulsami maleje - wyciągnął rękę i poklepał Bugajewa po ramieniu. Może rzeczywiście jest pokładowym geniuszem, jak twierdzą Rosjanie.

„W.K. Konowałow”

Druga torpeda typu C pruća wodę z prędkością czterdziestu jeden węzłów, co dawało w sumie prędkość zbliżania się do celu około pięćdziesięciu pięciu węzłów. Obwód naprowadzania i decyzji jest w tych torpedach wyjątkowo złożony. Nie mogąc odtworzyć skomputeryzowanego systemu naprowadzania amerykańskich torped Mk-48, sonary celownicze torped radzieckich przekazują przewodem dane do okrętu, z którego zostały wystrzelone. Do naprowadzania pierwszy oficer mógł użyć informacji z sonaru okrętu torpedowego. Pierwsza torpeda została oszukana pozorowanymi celami, które system zagłuszania wytwarzał na częstotliwości odbioru. Przy drugiej starpom używał dziobowych sonarów niższej częstotliwości. Teraz wiedział, że pierwsza torpeda przeszła dołem. Oznacza to, że celem jest impuls środkowy. Miczman zmienił szybko częstotliwość impulsów, co na chwilę, zanim zagłuszanie nie dostosowało się do zmiany, oczyściło obraz sonarowy.

Chłodno i ze znajomością rzeczy, starpom skierował drugą torpedę na cel środkowy. Biegła prosto i bezbłędnie.

Głowica z dwustu pięćdziesięcioma kilogramami materiału wybuchowego uderzyła z pełną mocą w kadłub za śródokręciem, a przed centralą dowodzenia. Milisekundę później wybuchła.

„Czerwony Październik”

Siła eksplozji wyrzuciła Ryana z fotela, tak że uderzył głową o pokład. Na chwilę stracił przytomność, ale zaraz się pozbierał. Dzwoniło mu w uszach. Było ciemno. Siła wybuchu spowodowała zwarcia w niektórych tablicach rozdzielczych i dopiero po kilku sekundach rozblęły czerwone światła bojowe. Z tyłu Jones zdążył w porę zderzyć słuchawki z głowy, ale Bugajewowi, który do ostatniej chwili próbował oszukać torpedę, nie starczyło na to czasu. Kompletnie ogłuszony wiał się teraz z bólu na pokładzie. Miał pęknięty jeden bębenek. W maszynowni ludzie szybko podnosili się na nogi. Światła cały czas się paliły i pierwszą czynnością Mielechina było sprawdzenie pulpitu stanu systemów pokładowych.

Torpeda rozerwała się na zewnętrznym kadłubie zbudowanym z lekkiej stali. Pod spodem znajdował się wypełniony wodą zbiornik balastowy, labirynt przegród i korytarzy o szerokości dwóch metrów. Za zbiornikiem umieszczono butle sprężonego powietrza, dalej baterię akumulatorów, a pod nią znajdował się wewnętrzny sztywny kadłub „Października”.

Torpeda uderzyła w środek stalowej płyty kadłuba zewnętrznego, z dala od złącz spawanych.

Siła wybuchu wyrwała czterometrową dziurę w zewnętrznym płaszczu, zniszczyła zbiornik balastowy i przedziurawiła kilka butli sprężonego powietrza. W końcu uszkodziła trzydzieści potężnych akumulatorów niklowo-kadmowych. Nie bez powodu radzieccy inżynierowie umieścili akumulatory w takim miejscu. Wiedzieli, że przez to będzie do nich trudny dostęp, trudności z ładowaniem, że będą także narażone na działanie morskiej wody. Ale zdecydowano się na to, chcąc stworzyć z nich dodatkową osłonę kadłuba. „Czerwony Październik” uratował się dzięki tym akumulatorom. Gdyby nie one, siła wybuchu poszłaby w kadłub sztywny, a tak pochłoneły ją warstwy ochronne, które nie mają swoich odpowiedników wśród okrętów zachodnich. Na spawie wewnętrznego kadłuba nastąpiło pęknięcie i do przedziału radiowego zaczęła się wdzierać woda, tryskając fontanną jak z ciśnieniowego zaworu. Jednak poza tym kadłub wytrzymał.

W sterowni Ryan wrócił już na swoje miejsce i próbował zorientować się, czy jeszcze pracują jego przyrządy. Słyszał, że do sąsiedniego przedziału w przodzie dostaje się woda.

Nie miał pojęcia, co robić. Wiedział, że nie pora na panikę, choć każdym nerwem chciał się wyrwać z tego okrętu.

- Co mam robić?

- Jest pan tu jeszcze? - zapytał Mancuso. W czerwonym świetle jego twarz wyglądała niesamowicie.

- Nie, do cholery, jestem już na tamym świecie. Co mam robić?

- Ramius? - Mancuso zobaczył, że kapitan trzyma latarkę wyjętą ze schowka w grodzi rufowej.

- W dół, schodzimy na samo dno. - Ramius podniósł słuchawkę, połączył się z maszynownią i nakazał wyłączenie silników. Mielechin zdążył już wcześniej wydać rozkazy.

Ryan pchnął stery do przodu. Tym cholernym okrętem z wywaloną dziurą, każą ci jeszcze schodzić w

dół, pomyślał.

„W.K. Konowałow”

- Porządne trafienie, towarzyszu kapitanie - zameldował miczman. - Silniki nieprzyjaciela przestały pracować. Słyszę skrzypienie kadłuba, cel zmienia głębokość. -

Wysłał kilka nowych impulsów, ale niczego się nie dowiedział. Wtórne fale eksplozji biegły w wodzie tam i z powrotem. Utworzyły się miliardy pęcherzyków powietrza, tworząc wokół

celu martwą strefę. Impulsy aktywnego sonaru odbijały się od niej, a możliwości systemów biernych gwałtownie spadły wskutek powtarzających się odbić dźwięków. Wiedział tylko, że jedna torpeda z całą pewnością uderzyła w cel, prawdopodobnie ta druga z wystrzelonych.

Miał duże doświadczenie w ocenie odbieranych szumów i większość wydarzeń zidentyfikował prawidłowo.

USS „Dallas”

- Jeden zero dla czarnych charakterów - powiedział sonarzysta.

„Dallas” szedł zbyt szybko, by móc w pełni wykorzystać swoje hydrolokatory, ale trudno było nie usłyszeć wybuchu. Poprzez kadłub odgłos eksplozji dotarł do całej załogi.

W centrali bojowej Chambers naniósł na mapę swoją pozycję w odległości prawie czterech kilometrów od „Czerwonego Października”. Pozostali patrzyli na przyrzędy bez emocji. Na trafionym okręcie było dziesięciu ich kolegów, a nieprzyjaciel znajdował się po drugiej stronie dźwiękowej ściany.

- Zwolnić do jednej trzeciej - polecił Chambers.

- Jest jedna trzecia naprzód - odpowiedział oficer wachtowy.

- Sonar, macie coś? - zapytał Chambers.

- Próbujemy coś złapać. - Laval wysiłał się, żeby wyłowić jakiś sens z tego, co słyszał.

Po kilku minutach prędkość „Dallas” spadła do dziesięciu węzłów. - Centrala, tu sonar, trafienie pojedyncze okrętu rakietowego. Nie słyszę silników... ale nie ma też odgłosów rozpadania się kadłuba. Powtarzam, brak odgłosów rozpadania się kadłuba.

- Słyszysz *Alfę*?

- Nie, sir, za dużo bałaganu w wodzie.

Twarz pierwszego wykrzywił grymas. Jesteś oficerem, powiedział sobie, płacą ci za myślenie. Po pierwsze, co się stało? Po drugie, co robić? Przemyśl to, a później działaj.

- Odległość do celu?

- Jakies dziewięć kilometrów - powiedział porucznik Goodman, odczytując ostatni namiar z komputera sterowania ogniem. - Powinien być po drugiej stronie martwej strefy.

- Zejść na sto osiemdziesiąt metrów. - Oficer wachtowy przekazał rozkaz stersygnaliście. Chambers zastanowił się nad sytuacją i wiedział, co robić. Wolałby, żeby obok byli Mancuso i Mannion. Na „Dallas” kapitan, nawigator i on byli razem swego rodzaju pokładowym komitetem taktycznym. Chciałby porozmawiać z doświadczonymi kolegami, ale przy nim nie było nikogo.

- Uwaga. Schodzimy w dół. Zniekształcenia spowodowane eksplozją pozostaną mniej więcej stałe. Jeśli się w ogóle przemieszczą, to tylko do góry. Czyli idziemy w dół. Najpierw musimy zlokalizować nasz okręt rakietowy. Jest tu tylko dwieście siedemdziesiąt metrów, więc powinien leżeć na dnie z żywą załogą. Gdziekolwiek jest, i tak musimy wejść między niego a *Alfę*. - Pomyślał, że jeśli *Alfa* wtedy wystrzeli, to on zatopi drania i do diabła z zasadami walki. Trzeba było zmylić Rosjan. Ale jak? I gdzie jest „Czerwony Październik”?

„Czerwony Październik”

Zanurzali się zbyt szybko. Eksplozja przebiła również zbiornik trymowy, powodując szybszą utratę pływalności, niż się spodziewano.

Przeciek w przedziale radiowym był groźny, ale Mielechin zauważył go na przyrządach i zareagował natychmiast. Każdy przedział miał własną pompę elektryczną.

Pompa przedziału radiowego, wzmocniona pompą główną strefową, którą również uruchomił, dawała sobie od biedy radę z napływem wody. Radiostacje uległy zniszczeniu, ale nie planowali nadawania żadnych depeesz.

- Jedziemy do góry. Ster prawo na burt - rzucił Ryanowi Ramius.

- Ster prawo na burt i w górę - potwierdził Ryan. - Uderzymy w dno?

- Niech pan stara się tego uniknąć - odpowiedział Mancuso. - Mogłoby to zwiększyć przeciek.

- Wspaniale - odwarknął Ryan.

Prędkość zanurzenia zaczęła maleć, okręt zaczął zawracać na wschód poniżej martwej strefy. Ramius chciał przy jej pomocy oddzielić się od *Alfy*. Może się jednak uda wyjść z tego cało, pomyślał Mancuso. Jeśli tak, to będzie się musiał dokładniej przyjrzeć planom tego okrętu.

USS „Dallas”

- Sonar, daj dwa słabe impulsy na okręt rakietowy. Nie chcę, żeby kto inny to słyszał.

- Tak jest. - Laval odpowiednio ustawił przyrządy i wysłał sygnały. - W porządku centrala, tu sonar, mam go. Kurs dwieście trzy, odległość kilometr osiemset metrów. Nie leży, powtarzam, nie leży na dnie, sir.

- Ster lewo piętnaście, kurs dwieście trzy - rozkazał Chambers.

- Rozkaz, ster lewo piętnaście - odkrzyknął stersygnalista.

- Nowy kurs dwieście trzy. Jest, ster lewo piętnaście.

- Francuzik, melduj, co z „Czerwonym Październikiem”.

- Mam... chyba szum pomp... i lekko się przesuwają, kurs jest teraz dwieście jeden.

Widzę go na biernych systemach.

- Thompson, wykreśl jego kurs. Poruczniku Goodman, torpeda pozoracyjna nadal gotowa do odpalenia?

- Tak jest - odpowiedział oficer torpedowy.

„W.K. Konowałow”

- Zatopiliśmy go? – spytał zampolit.

- Prawdopodobnie - odparł Tupolew, sam się nad tym zastanawiając. - Musimy podejść bliżej, żeby się upewnić. Mała naprzód.

- Mała naprzód.

USS „Pogy”

„Pogy” znajdował się teraz w odległości kilometra ośmiuset metrów od

„Konowałowa” i nadal bezlitośnie bombardował go wiązką sonaru.

- Zmienia pozycję. Mam go na pasywnych - zameldował szef sonaru, Palmer.

- Bardzo dobrze, wyłączyć systemy aktywne - polecił Wood.

- Tak jest. Namiar aktywny przerwany.

- Mamy namiar ogniowy?

- Dokładnie w celu - odpowiedział Reynolds. - Czas przebiegu torped wynosi minutę i osiemnaście sekund. Obie wyrzutnie gotowe.

- Jedna trzecia naprzód.

- Jest jedna trzecia naprzód.

„Pogy” zwolnił. Dowódca zastanawiał się, jaką tu znaleźć wymówkę dla oddania strzału.

„Czerwony Październik”

- Kapitanie, namierzył nas nasz sonar od północnego wschodu. Mała moc. Muszą być blisko.

- Myślisz, że zdołasz połączyć się „gertrudą”?

- Tak jest!

- Panie kapitanie - powiedział Mancuso - proszę o zezwolenie na łączność z moim okrętem.

- Zezwalam.

- Jones, spróbuj teraz.

- Rozkaz. Francuzik, tu Jones. Jak mnie słyszysz? - Jones z niezadowoleniem spojrział na milczący głośnik. - Francuzik, odpowiadaj!

USS „Dallas”

- Centrala, tu sonar, mam Jonesa na „gertrudzie”.

Chambers podniósł słuchawkę „gertrudy” w centrali.

- Jones, tu Chambers, co u was?

- Wally, tu Bart - odezwał się Mancuso, przejmując słuchawkę od Jonesa. -

Dostaliśmy jedną torpedę w śródkręcie, ale trzymamy się. Czy możecie poprowadzić pozorację?

- Tak jest! Rozpoczynam natychmiast. - Chambers odłożył słuchawkę. - Goodman, zatop wyrzutnię z torpedą pozoracyjną. Pójdziemy za nią i jeśli *Alfa* do niej strzeli, zatopimy ją. Ustawicie program na bieg prosty przez dwa kilometry, a później skręt na południe.

- Gotowe, pokrywy otwarte.

- Pal!

- Poszła!

Torpeda przez dwie minuty szła prosto z prędkością dwudziestu węzłów, żeby oddalić się od „Dallas”, następnie zwolniła. W części dziobowej zamiast ładunku wybuchowego miała potężny sonar, odtwarzający z taśmy magnetofonowej nagrane dźwięki okrętu klasy 688. Co cztery minuty przełączał się on z pracy głośnej na cichą. „Dallas” sunął kilometr za swoją torpedą, o kilkadziesiąt metrów niżej jej osi ruchu.

„Konowałow” ostrożnie zbliżał się do ściany pęcherzyków powietrza.

- Strzel tylko w pozorator, draniu - powiedział cicho Chambers.

Usłyszała to załoga w centrali. Wszyscy myśleli tak samo.

„Czerwony Październik”

Ramius uznał, że od *Alfy* oddziela ich teraz martwa strefa. Nakazał uruchomienie silników i „Czerwony Październik” wziął kurs na północ.

„W.K. Konowałow”

- Ster lewo dziesięć - rozkazał cicho Tupolew. - Obejdziemy martwą strefę od północy i sprawdzimy, czy tamten jeszcze pływa. Najpierw musimy wyjść poza szumy.

- Nadał nic - zameldował miczman. - Ani uderzenia o dno, ani szumów rozpadania się kadłuba... Nowy namiar, kurs sto siedemdziesiąt... Inny dźwięk, towarzyszu kapitanie, jedna śruba... prawdopodobnie jednostka amerykańska.

- Jaki kierunek?

- Chyba na południe. Tak, na południe... Dźwięk się zmienia. To Amerykanie.

- Amerykański okręt prowadzi pozorację. Zignorujemy go.

- Zignorujemy? - zapytał zampolit.

- Towarzyszu, gdybyście dostali torpedę, płynąc na północ, to czy zawrócilibyście wtedy na południe? No tak, wy byście zawrócili, ale nie Marko. To zbyt oczywiste.

Amerykanin pozoruje, żeby nas odwieść od „Października”. Niezbyt sprytnie. Marko zrobiłby to lepiej. I na pewno poszedłby na północ, znam jego sposób myślenia, i właśnie tam teraz idzie, może na północny wschód. Nie pozorowaliby, gdybyśmy go zatopili. Teraz wiemy, że żyje, pomimo trafienia. Znajdziemy go i skończymy robotę - powiedział spokojnie Tupolew w pełni zaprzątnięty polowaniem na „Czerwony Październik”. Przypominał sobie wszystko, czego go nauczono. Teraz udowodni, że to on jest nowym mistrzem. Sumienie miał czyste.

Zdązał ku swemu przeznaczeniu.

- Ale Amerykanie...

- Nie będą strzelać - powiedział kapitan z cienkim uśmiechem. - Jeśli mogliby strzelać, to ten na północy dawno by już nas zatopił. Nie mogą strzelać bez zezwolenia.

Muszą o nie prosić, tak jak i my, ale my już je otrzymaliśmy i na tym polega nasza przewaga.

Jesteśmy teraz w tym miejscu, gdzie dostał torpedę, i gdy wyjdziemy ze strefy zakłóceń, znów go znajdziemy. Wtedy będzie nasz.

„Czerwony Październik”

Nie mogli użyć „gąsienicy”, gdyż torpeda uszkodziła jedną burtę. „Październik”

płynął z prędkością sześciu węzłów, a śruby napędowe robiły o wiele więcej hałasu niż

„gąsienica”. Przypominało to normalne ćwiczenia ochrony okrętu raketowego. Tyle że na ćwiczeniach zawsze zakłada się, że okręty torpedowe eskorty mogą strzelać dla odstraszenia nieprzyjaciela...

- Ster lewo na burt, idziemy kontrkursem - rozkazał Ramius.

- Co? - Mancuso był zaskoczony.

- Niech się pan zastanowi, Mancuso - powiedział Ramius, sprawdzając kątem oka, czy Ryan wykonuje polecenie. Ryan robił, co kazano, choć nie rozumiał, dlaczego.

- Niech się pan zastanowi, Mancuso - powtórzył Ramius. - Co się dzieje? Moskwa rozkazuje pozostać w tyle okrętowi torpedowemu, prawdopodobnie jednostce klasy Politowski, czyli u was *Alfie*. Znam tych kapitanów. Wszyscy młodzi i... jak się to mówi, agresywni? Tak, agresywni. Pewnie wie, że nie zatonęliśmy. Jeśli tak, będzie szedł za nami. I dlatego wrócimy po śladach jak lis i pozwolimy mu przejść obok.

Ryan nie musiał nawet patrzeć, by wiedzieć, że Mancuso nie jest tym zachwycony.

- Nie możemy strzelać, wasi ludzie też nie mogą strzelać. Nie możemy także mu uciec, bo jest od nas szybszy. Nie możemy się też ukryć, bo ma lepszy sonar. Pójdzie na wschód, wykorzysta swoją szybkość, żeby nas obejść, i sonar, żeby nas zlokalizować.

Największą szansę ucieczki mamy, idąc na zachód. Tego nie będą się spodziewali.

Mancuso nie wyrażał entuzjazmu, ale musiał przyznać, że plan jest sprytny. Zbyt sprytny. Spojrzał na mapę nawigacyjną. Nie on tu dowodzi.

USS „Dallas”

- Ten drań przeszedł tuż obok. Albo zignorował pozorację albo po prostu nie usłyszał.

Mamy go na trawersie, niedługo będziemy za jego śrubą - zameldował Laval.

- To by było na tyle, jeśli chodzi o sprytnie pomysły - zaklął Chambers po cichu. - Ster prawo piętnaście. Idziemy za nim.

USS „Pogy”

„Pogy” znajdował się teraz w odległości kilometra ośmiuset metrów na lewo od rufy Alfę. Miał na sonarze „Dallas” i zauważył, że tamten zmienił kurs. Komandor Wood po prostu nie wiedział, co dalej robić. Najłatwiej byłoby strzelać, ale nie wchodziło to w rachubę.

Zastanowił się nad odpaleniem torped na własną odpowiedzialność. Instynkt domagał się, żeby nie czekać dłużej. Ta *Alfa* poluje na Amerykanów... Nie może się poddać jednak głosowi instynktu. Najpierw obowiązek.

Nie ma nic gorszego niż nadmiar pewności siebie, pomyślał z goryczą. Z góry przyjęto, że nikogo nie napotkają, a jeśli nawet, to okręty torpedowe zdążą ostrzec

„Październik” grubo wcześniej. Nauczka na przyszłość, ale Wood wołał teraz o tym nie myśleć.

„W.K. Konowałow”

- Jest kontakt - powiedział miczman do mikrofonu. - Od dziobu, prawie dokładnie od dziobu. Idzie bardzo wolno na śrubach. Namiar czterdzieści cztery, odległość nieznana.

- Czy to „Czerwony Październik”? - zapytał Tupolew.

- Trudno powiedzieć, towarzyszu kapitanie. Może to być Amerykanin. Idzie chyba w naszą stronę.

- Cholera! - Tupolew rozejrzał się po centrali. Czyżby minęli „Czerwony Październik”? A może jednak już go zatopili?

USS „Dallas”

- Czy on wie, że tu jesteśmy, Francuziku? - Chambers znów był w sonarze.

- Niemożliwe - odparł Laval, potrząsając głową. - Jesteśmy dokładnie za nim.

Chwileczkę... - Operator zmarszczył brwi. - Drugi namiar, po drugiej stronie *Alfy*. To musi być nasz okręt. Boże! On chyba idzie w naszą stronę. Na śrubach, a nie na tym czymś dziwnym.

- Odległość do *Alfy*?

- Niecałe trzy kilometry.

- Dwie trzecie naprzód! Ster lewo dziesięć! - rozkazał Chambers. - Francuziku, namierzaj, ale używaj sonaru podłodowego. Może nie będzie wiedział, co to takiego. Niech myśli, że to my jesteśmy „Październikiem”.

- Tak jest!

„W.K. Konowałow”

- Impulsy wysokiej częstotliwości od rufy! - zawołał miczman. - Nie przypomina amerykańskich sonarów, towarzyszu kapitanie.

Tupolew nagle poczuł się zagubiony. Czy ci od strony morza to Amerykanie? Druga jednostka po lewej z pewnością jest amerykańska. A więc ten to „Październik”. Marko nadal jest lisem. Zaległ cicho, pozwolił im przejść obok, żeby móc potem do nich strzelać!

- Cała naprzód, ster lewo na burt!

„Czerwony Październik”

- Jest namiar! - krzyknął Jones. - Prosto przed nami. Chwilę... To *Alfa*! Jest blisko!

Chyba zawraca. Ktoś go namierza od drugiej strony. Boże, jest tuż obok. Kapitanie, *Alfa* to już nie jeden sygnał, mam osobny sygnał ze śruby i osobny z maszynowni.

- Panie kapitanie - powiedział Mancuso.

Dwaj dowódcy spojrzeli na siebie i zrozumieli się bez słów. Ramius skinął głową.

- Podać odległość.

- Jones, namierz drania aktywnym! - Mancuso pobiegł na rufę.

- Rozumiem. - Systemy były pod napięciem. Jones wysłał jeden impuls dla ustalenia odległości. - Odległość kilometr trzysta metrów. Idzie równo na naszej głębokości.

- Mancuso, niech pana człowiek podaje nam odległość i namiar! - Ramius gwałtownie przerzucił manetkę telegrafu maszynowego.

- Dobra, Jones, kierujesz ogniem. Trzymaj go na muszce.

„W.K. Konowałow”

- Jeden aktywny impuls z prawej, odległość nieznana, kurs czterdzieści. Namierzył nas obiekt od zewnętrznej - powiedział miczman.

- Podaj odległość - rozkazał Tupolew.

- Schodzi z wiązki, towarzyszu kapitanie. Ginie za rufą. - Jeden z nich to „Czerwony Październik”, ale który? Czy może zaryzykować i strzelić do amerykańskiego okrętu? Nie!

- Namiar na cel od dziobu?

- Nie najlepszy - odpowiedział starpom. - Manewruje i zwiększa prędkość.

Miczman skoncentrował się na celu od zachodu.

- Towarzyszu kapitanie, kontakt przed nami nie jest, powtarzam, nie jest okrętem radzieckim. To Amerykanin.

- Ale który?! - wrzasnął Tupolew.

-

Zachodni

i

północno-zachodni

to

Amerykanie.

Cel

na

wschodzie

niezidentyfikowany.

- Trzymać ster lewo na burt!

- Rozkaz, lewo na burt - odpowiedział stersygnalista, skręcając koło.

- Cel jest za nami. Musimy go namierzyć i odpalić po wykonaniu obrotu. Cholera, idziemy zbyt szybko. Zwolnić do jednej trzeciej.

„Konowałow” był zazwyczaj bardzo zwrotny, ale zmniejszenie mocy spowodowało, że śruba zadziałała jak hamulec, spowalniając manewr. Mimo to jednak, Tupolew postępował

prawidłowo. Musiał skierować aparaty torpedowe w kierunku celu i prędko zredukować szybkość, żeby otrzymać z sonaru dokładny namiar ogniowy.

„Czerwony Październik”

- W porządku, *Alfa* kontynuuje zwrot, teraz przechodzi od prawej na lewą stronę...

szumy napędowe maleją. Zmniejsza moc - powiedział Jones, obserwując ekran. Umysł

pracował mu pełną parą, obliczając kurs, prędkość i odległość. - Odległość kilometr sto metrów. Nadal zawraca. Robimy po mojemu?

- Chyba tak.

Jones ustawił aktywny sonar na automatyczne generowanie impulsów.

- Muszę zobaczyć, co mu da ten zwrot. Jeśli jest sprytny, odbije na południe w bezpieczną strefę.

- To módl się, żeby nie był sprytny - wtrącił Mancuso z korytarza. - Tak trzymać!

- Tak trzymać - powtórzył Ryan, zastanawiając się, czy zatopi ich następna torpeda.

- Nadal zawraca. Jesteśmy teraz na jego lewej burcie, może lewo na dziobie. - Jones podniósł wzrok. - Robi pełen zwrot. Już nas namierza.

„Czerwony Październik” przyspieszył do osiemnastu węzłów.

„W.K. Konowałow”

- Mam go - powiedział miczman. - Odległość kilometr. Namiar czterdzieści pięć. Kąt zero.

- Przygotować torpedy - rozkazał Tupolew pierwszemu oficerowi.

- Musimy strzelać prosto do przodu. Idziemy zbyt szybko - zauważył starpom.

Przygotowywał wyrzutnie, jak mógł najszybciej. Okręty zbliżały się teraz do siebie z prędkością czterdziestu węzłów. - Gotów na razie aparat piąty! Wyrzutnia zatopiona, pokrywa otwarta. Gotów!

- Pal!

- Piąta poszła. - Starpom nacisnął kciukiem na spust.

„Czerwony Październik”

- Odległość około kilometra, szybkie obroty śrub przed dziobem! Jedna torpeda w wodzie przed nami. Wali prosto w nas!

- Zostaw ją, trzymaj na *Alfę*!

- Tak jest. Kurs kątowy *Alfy* jest dwieście dwadzieścia pięć, wyrównuje. Musimy pójść trochę w lewo.

- Ryan, pięć stopni w lewo, kurs dwieście dwadzieścia pięć.

- Ster w lewo pięć, wchodzę na dwieście dwadzieścia pięć.

- Torpeda zbliża się szybko - powiedział Jones.

- W cholere z nią! Trzymaj *Alfę*.

- Rozumiem... Namiar nadal dwieście dwadzieścia pięć. Taki sam jak torpedy.

Sumaryczna prędkość okrętów powodowała, że odległość między nimi gwałtownie malała. Torpeda zbliżała się jeszcze prędzej. Miała wbudowany bezpiecznik, który nie pozwala na uzbrojenie się torpedy, zanim nie znajdzie się w odległości od pięciuset metrów do kilometra od macierzystego okrętu. W przeciwnym razie mogłaby go rozerwać. Jeśli

„Październik” zbliży się odpowiednio prędko do *Alfy*, będzie bezpieczny.

Prędkość „Czerwonego Października” wynosiła teraz ponad dwieście węzłów.

- Odległość do *Alfy* siedemset metrów, kurs dwieście dwadzieścia pięć. Torpeda jest blisko, jeszcze tylko kilka sekund. - Jones skurczył się patrząc na ekran.

Bumm!

Torpeda uderzyła „Czerwony Październik” dokładnie w środek półkulistego dziobu.

Bezpiecznik działałby jeszcze następne sto metrów. Uderzenie przełamało torpedę na trzy części, które rozpędzony okręt raketowy odtrącił na boki.

- Niewypał! - roześmiał się Jones. - Dzięki ci, Boże! Kurs kątowy celu nadal dwieście dwadzieścia pięć, odległość sześćset pięćdziesiąt metrów.

„W.K. Konowałow”

- Nie wybuchła? - zdziwił się Tupolew.

- Bezpieczniki! - zaklął starpom. Miał za mało czasu, żeby je ustawić.
 - Gdzie jest cel?
 - Kurs czterdzieści pięć, towarzyszu kapitanie. Namiar jest stały - odpowiedział miczman - odległość prędko maleje.
- Tupolew zbladł.
- Ster lewo na burt, cała naprzód!

„Czerwony Październik”

- Obraca się, obraca się w prawo - powiedział Jones. - Obecny namiar dwieście trzydzieści. Cel się rozszerza. Trzeba dać trochę w prawo.
 - Ryan, daj pięć stopni w prawo.
 - Ster jest pięć stopni w prawo - odpowiedział Jack.
 - Nie, ster dziesięć stopni w prawo - zmienił rozkaz Ramius, który z ołówkiem i kartką nanosił na mapę pozycje. On znał *Alfę*.
 - Ster dziesięć stopni w prawo - potwierdził Ryan.
- Silne zbliżenie, odległość poniżej czterystu metrów, kurs dwieście dwadzieścia pięć do środka celu. Cel poszerza się w prawo i w lewo, jeszcze bardziej w lewo - meldował prędko Jones. - Odległość... trzysta metrów. Kąt wzniesienia zero, jesteśmy na poziomie celu. Odległość dwieście pięćdziesiąt, kurs dwieście dwadzieścia pięć środka celu. Nie przejdziemy obok, kapitanie.
- Zaraz go trzaśniemy! - zawołał Mancuso.
- Tupolew powinien był zmienić głębokość. Zamiast tego wołał jednak polegać na prędkości i manewrowości *Alfy*, zapominając, że Ramius znał je doskonale.
- Kontakt rozciąga się szeroko w obie strony, natychmiastowy impuls zwrotny!

- Trzymać się, uderzamy!

Ramius zapomniał o sygnale ostrzegawczym. Uruchomił go dopiero na kilka sekund przed uderzeniem.

„Czerwony Październik” staranował „Konowałowa” nieco za śródkręciem pod kątem trzydziestu stopni. Siła wstrząsu przełamała wykonany z tytanu wewnętrzny kadłub *Alfy* i zgięła dziób „Października”, tak jakby to była puszka po piwie.

Ryan nie trzymał się mocno. Rzuciło nim do przodu i uderzył twarzą w pulpit. Na rufie Williams wypadł z koi, jak z procy, ale zanim uderzył głową o pokład, Noyes zdążył go złapać.

Hydrolokatory Jonesa zostały zniszczone. Okręt podskoczył i przewalił się przez wierzch *Alfy*, zgrzytając kilem po jej pokładzie, a siła bezwładności wyrzuciła go w przód i do góry.

„W.K. Konowałow”

Na „Konowałowie” wszystkie grodzie wodoszczelne były pozamykane. Nic to jednak nie dało. Dwa przedziały zostały natychmiast zalane wodą, a w chwilę później, wskutek odkształcenia kadłuba puściła grodz między centralą dowodzenia a tylnymi pomieszczeniami.

W ostatniej chwili Tupolew zdążył jeszcze zobaczyć kurtynę białej piany od prawej burty. *Alfa* popychana przez kil „Czerwonego Października” przetoczyła się na lewą burtę. Po kilku sekundach odwróciła się dnem do góry.

Ludzie i przedmioty przetaczali się wewnątrz jak kości do gry. Połowa załogi już tonęła. „Konowałow” oderwał się od „Czerwonego Października” w chwili, gdy jego zatopione przedziały pociągnęły go rufą do dna. Ostatnim gestem oficera politycznego było zwolnienie boi sygnalizacyjnej, nic to jednak nie dało, gdyż okręt był odwrócony i linka boi zaplątała się o kiosk.

Grób „Konowałowa” znaczyła tylko chmura pęcherzyków powietrza.

„Czerwony Październik”

- Żyjemy jeszcze? - Twarz Ryana obficie krwawiła.

- Do góry, do góry na sterach! - krzyknął Ramius.

- Jest do góry. - Ryan pociągnął do siebie drążek lewą ręką, prawą trzymając się za pokancerowaną twarz.

- Meldować uszkodzenia - powiedział po rosyjsku Ramius.

- System reaktora nieuszkodzony - natychmiast odpowiedział Mielechin. - Pulpit kontroli uszkodzeń wskazuje wodę, chyba w przedziale torpedowym. Wpompowałem tam powietrze pod ciśnieniem i uruchomiłem pompy. Proponuję wynurzyć się dla oceny uszkodzeń.

- *Da!* - Ramius dokuśtykał do zaworów powietrznych i rozpoczął szasowanie balastów.

USS „Dallas”

- Boże! - wykrzyknął operator sonaru. - Ktoś kogoś staranował. Mam idące w dół

odgłosy przełamywania się kadłuba i trzaski z kadłuba, idące do góry. Nie wiadomo, który jest który. Oba silniki milczą.

- Awaryjne wynurzenie na peryskopową! - rozkazał Chambers.

„Czerwony Październik”

O godzinie 16.54 czasu lokalnego „Czerwony Październik” po raz pierwszy wynurzył

się na powierzchnię Oceanu Atlantyckiego o osiemdziesiąt sześć kilometrów na południowy wschód od Norfolk. Wokół nie było innych okrętów.

- Sonar zniszczony, kapitanie. - Jones pokręcił gałkami na pulpitych. - Pogruchotany.

Koniec. Jest tylko kilka prymitywnych hydrofonów bocznych. Nic nie działa, nawet

„gertruda”.

- Chodź na przód, Jones. Dobra robota.

Jones wziął z paczki ostatniego papierosa.

- Już idę, ale ma pan moje słowo, że w lecie kończę z marynarką.

Za Jonesem poszedł Bugajew, ogłuszony jeszcze i oszołomiony od wybuchu torpedy.

„Październik” tkwił spokojnie na powierzchni z zanurzonym dziobem i dwudziestostopniowym przechyłem w lewo od zatopionych balastów.

USS „Dallas”

- I co wy na to? - zapytał Chambers. Podniósł mikrofon.

- Tu komandor Chambers. Zatopili *Alfę*! Nasi są bezpieczni. Wynurzamy się. Drużyna ratunkowa i przeciwpożarowa przygotować się!

„Czerwony Październik”

- Nic się panu nie stało, komandorze Ryan? - Jones ostrożnie odchylił mu głowę. -

Wygląda na to, że rozbił pan twarzą trochę szkła.

- Będę się martwić, dopiero jak przestanie krwawić - powiedział oszołomiony Ryan.

- Pewnie tak. - Jones przetarł skaleczenia swoją chustką do nosa. - Ale mam nadzieję, że za kierownicą samochodu sprawuje się pan grzeczniej.

- Kapitanie Ramius, proszę o zezwolenie wejścia na mostek i nawiązania łączności z moim okrętem - powiedział Mancuso.

- Niech pan idzie, możemy potrzebować pomocy przy uszkodzeniach.

Mancuso włożył kurtkę i sprawdził, czy mała radiostacja portowa nadal jest tam, gdzie ją włożył. Po trzydziestu sekundach był już na kiosku. Gdy lustrował horyzont, wynurzył się

„Dallas”. Niebo nigdy jeszcze nie wyglądało tak pięknie. Z odległości czterystu metrów nie mógł rozpoznać twarzy, ale wiedział, że jest tam Chambers.

- „Dallas”, tu Mancuso.

- Kapitanie, tu Chambers. Nic się wam nie stało?

- Nie! Ale przyda się trochę ludzi do pomocy. Dziób jest pogięty i dostaliśmy torpedą w śródokręcie.

- Widzę. Spójrz w dół.

- Boże!

Postrzępiona dziura do połowy wystawała nad linię wody, a okręt był silnie pochylony na dziób. Mancuso nie mógł uwierzyć, że w ogóle trzymają się na powierzchni, ale nie było czasu na takie rozważania.

- Podejdź bliżej, Wally, i wyrzuć tratwę.

- Już się robi. Ogniowa i ratownicza gotowe... A oto i nasz drugi przyjaciel -

powiedział Chambers.

„Pogy” wynurzył się w odległości trzystu metrów dokładnie przed „Czerwonym Październikiem”.

- „Pogy” twierdzi, że obszar jest czysty. Poza nami nie ma nikogo. Skąd ja to znam? -

Chambers roześmiał się niewesoło.

- Może ściągniemy pomoc przez radio?

- Nie, najpierw zobaczmy, czy sobie sami z tym nie poradzimy.

„Dallas” zbliżył się do „Października” i w ciągu kilku minut znalazł się w odległości sześćdziesięciu metrów od jego lewej burty. Dziesięciu ludzi wysłanych na tratwie walczyło z falami. Dotychczas tylko kilku marynarzy na pokładzie „Dallas” wiedziało, co się dzieje.

Teraz przestało być to tajemnicą. Mancuso widział, jak na pokładzie jego marynarze rozmawiają i pokazują sobie radziecki okręt. Było o czym rozprawiać.

Uszkodzenia okazały się mniejsze, niż się spodziewali. Przedział torpedowy nie został

zatopiony, uszkodzony przez wstrząs czujnik dawał zły odczyt. Przednie zbiorniki balastowe zostały na stałe zalane, ale okręt był tak wielki, a zbiorniki tak wewnętrznie podzielone, że dziób zanurzył się tylko o dwa metry. Niewygodny okazał się tylko lewy przechył. W ciągu dwóch godzin załatano przeciek w przedziale radiowym, a po dłuższej dyskusji Ramius, Mancuso i Mielechin postanowili, że mogą iść w zanurzeniu, jeśli popłyną powoli i nie zejną poniżej trzydziestu metrów. Do Norfolk na pewno nie dotrą o czasie.

Dzień osiemnasty

PONIEDZIAŁEK, 20 GRUDNIA

„Czerwony Październik”

Ryan znów znalazł się na pomoście manewrowym kiosku dzięki Ramiusowi, który uznał, że Amerykanin sobie na to zasłużył. W zamian pomógł kapitanowi wejść po drabince.

Towarzyszył im także Mancuso. Centralę dowodzenia obsługiwała teraz amerykańska załoga, a obsadę siłowni zwiększono do stanu przypominającego normalną wachtę. Nie zlikwidowano całkowicie przecieku w przedziale radiowym, ale znajdował się on teraz powyżej linii wody. Cały przedział wypompowano i przechył „Października” zmalował do piętnastu stopni. Dziób pozostał zanurzony, co zostało częściowo wyrównane przez opróżnienie nieuszkodzonych balastów. Z powodu uszkodzenia dziobu, fala dziobowa była nieregularna, choć przy bezksiężycowym, zachmurzonym niebie ledwo było ją widać.

„Dallas” i „Pogy” szły w zanurzeniu gdzieś za rufą, węsząc w poszukiwaniu dalszych możliwych niespodzianek. Zbliżali się do przyładek Henry i Charles.

Straż wybrzeża zamknęła przejście dla normalnego ruchu, gdyż, jak brzmiała oficjalna wersja, zbliżała się do niego „pływająca bomba”, czyli zbiornikowiec gazów ciekłych, zdążający do terminalu w Cove Point w Maryland. Ryan był ciekaw, jak udało się marynarce przekonać kapitana tankowca do pozorowania kłopotów z silnikiem i opóźnienia się w stosunku do harmonogramu. Ich opóźnienie wynosiło sześć godzin. Marynarka musiała się już poważnie niepokoić, a gdy się w końcu wynurzyli czterdzieści minut temu, od razu zauważył ich krążący *Orion*.

Mrugały do nich zielone i czerwone światła boi tańczących w wejściu do przesmyku.

Ryan dostrzegł już oświetlony most nad zatoką Chesapeake, ale brak tam było świateł

jadących samochodów. Prawdopodobnie CIA upozorowała wypadek, żeby zamknąć przejazd.

Może ciężarówka pełna jajek albo cysterna z benzyną. W każdym razie coś artystycznie obmyślnego.

- Nie był pan jeszcze w Ameryce? - zagadnął Ryan dla podtrzymania konwersacji.

- Nie, w ogóle w żadnym kraju na Zachodzie. Tylko raz na Kubie, wiele lat temu.

Ryan spojrzał na północ i południe. Odniósł wrażenie, że już minęli przyładki.

- A więc, kapitanie Ramius, witamy w domu. Od siebie dodam, że bardzo się cieszę, że się pan tu znalazł.

- A jeszcze bardziej, że pan sam wrócił - zauważył Ramius.

Ryan roześmiał się głośno.

- Z całą pewnością, z całą pewnością. Jeszcze raz dziękuję za wpuszczenie mnie na mostek.

- Zasłużył pan sobie na to, Ryan.

- Na imię mam Jack.

- Skrót od Johna, prawda? - zapytał Ramius. - John to tak jak Iwan?

- Tak mi się zdaje. - Ryan nie rozumiał, dlaczego Ramius szeroko się uśmiechnął.

- Zbliża się holownik - zauważył Mancuso.

Amerykański kapitan miał doskonały wzrok. Ryan dostrzegł holownik przez lornetkę dopiero po minucie. Był tylko cieniem, odrobinę ciemniejszym niż noc, odległym od nich mniej więcej o dwa kilometry.

- „Sceptre”, tu holownik „Paducah”, czy mnie słyszysz? Odbiór.

Mancuso wyjął radiostację portową z kieszeni.

- „Paducah”, tu „Sceptre”. Dzień dobry - mówił z angielskim akcentem.

- Ustawcie się za rufą i idźcie za mną.

- Zrozumiałem, „Paducah”. Koniec.

HMS „Sceptre” był angielskim torpedowym okrętem podwodnym. Czyli że musi być daleko stąd, pomyślał Ryan. Patroluje Falklandy czy wykonuje jakieś inne rutynowe zadanie z dala od bazy, tak że jego przybycie do Norfolk może być uznane za w miarę naturalne i nie rzucające się w oczy. Najwyraźniej przewidziano i taką możliwość, że pojawienie się dziwnego okrętu podwodnego zwróci uwagę jakiegoś agenta.

Holownik podszedł na kilkaset metrów, zawrócił i poprowadził ich z prędkością pięciu węzłów. Zapalił tylko jedno czerwone światło ostrzegawcze.

- Obyśmy się tylko nie nadziali na jakieś jednostki cywilne - powiedział Mancuso.

- Mówił pan, że wejście do portu jest zamknięte - powiedział Ramius.

- Ale zawsze może tam zabłądzić jakaś żaglówka. Ruch cywilny ma otwartą trasę przez port marynarki aż do Dismal Swamp Canal, a na radarze prawie ich nie widać. Ciągłe się tam kręcą.

- To szaleństwo.

- To wolny kraj, panie kapitanie - powiedział miękko Ryan. - Zanim pan zrozumie, co to naprawdę znaczy, minie trochę czasu. Tego słowa często się nadużywa, ale z czasem zobaczy pan, jak rozsądna była pana decyzja.

- Czy pan tu mieszka, kapitanie Mancuso? - zapytał Ramius.

- Tak, Norfolk to port macierzysty mojej eskadry. Mam dom w Virginia Beach, trochę dalej w tę stronę. Ale prawdopodobnie nieprędko go zobaczę. Z pewnością wyślą nas natychmiast znów na morze. Nie mają wyjścia. Czyli że znów nie będę w domu na święta.

Normalna rzecz.

- Ma pan rodzinę?

- Tak, kapitanie. Żonę i dwóch synów. Michael ma osiem, a Dominic cztery lata.

Przyzwyczajili się, że taty nigdy nie ma w domu.

- A pan, Ryan?

- Syna i córkę. Mam nadzieję, że zdążę na święta do domu. Przykro mi, panie komandorze, ale kiedy byliśmy pod wodą, miałem co do tego wątpliwości. Gdy wszystko się uspokoi, chciałbym was wszystkich zaprosić na specjalny obiad.

- Słony rachunek. - rzekł z uśmiechem Mancuso.

- CIA płaci.

- A co CIA z nami teraz zrobi? - zapytał Ramius.

- Jak już panu mówiłem, kapitanie, za rok będzie pan żył swoim własnym życiem, gdzie tylko się panu spodoba, i robił cokolwiek pan zechce.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu. Jesteśmy dumni z naszej gościnności i jeśli kiedykolwiek przeniosą mnie z Londynu, pan i pańscy ludzie zawsze będziecie mile widziani u mnie w domu.

- Holownik skręca w lewo - pokazał Mancuso. Rozmowa zaczynała stawać się zbyt sentymentalna, jak na jego gust.

- Proszę wydać rozkaz, kapitanie - powiedział Ramius. W końcu to przecież port rodzinny Amerykanina.

- Ster lewo pięć! - powiedział Mancuso do mikrofonu.

- Rozkaz, ster lewo pięć - potwierdził sygnalista.

- Zrozumiałem.

„Paducah” skręcił w główny kanał obok „Saratogi”, nad którym zawisał potężny dźwig, i skierował się w stronę długiej na kilometr linii nabrzeży Stoczni Marynarki Wojennej w Norfolk. Na całkowicie pustym kanale był tylko „Październik” i holownik. Ryan zastanawiał się, czy „Paducah” obsadzony jest przez samych admirałów. Wszystko było możliwe.

Norfolk, Wirginia

Dwadzieścia minut później byli u celu. Dok numer 8-10, wielkie betonowe pudło, miał ponad dwieście pięćdziesiąt metrów długości, więcej nawet niż trzeba. Przykryty był

stalowym dachem, tak żeby z satelitów szpiegowskich nie było widać, czy stoi pusty, czy nie.

Zbudowano go specjalnie do obsługi raketowych okrętów podwodnych klasy *Ohio*.

Znajdował się w najtajniejszej części bazy i nawet nie wchodząc do środka, żeby się tylko do niego zbliżyć, trzeba było pokonać kilka uzbrojonych posterunków marines.

- Maszyny stop - rozkazał Mancuso.

- Maszyny stop.

Przez kilka minut redukowali szybkość i po dalszych dwustu metrach „Czerwony Październik” zatrzymał się zupełnie. „Paducah” zatoczył łuk na prawo, żeby popchnąć okręt dalej. Obaj dowódcy woleliby wchodzić do doku o własnych siłach, ale zniszczony dziób utrudniał manewrowanie. Dieslowski holownik potrzebował pięciu minut na odpowiednie ustawienie dziobu w stronę wypełnionego wodą doku. Ramius osobiście wydawał komendy do maszynowni, po raz ostatni na swoim okręcie. „Czerwony Październik” ruszył do przodu, rozcinając czarną wodę i niknąc pod szerokim dachem. Mancuso wezwał swoich ludzi na pokład do zamocowania cum, rzuconych przez marynarzy z nabrzeża. Okręt zatrzymał się dokładnie pośrodku doku. Bramę, którą wpłynęli, już zamykano i zakrywano brezentowym fartuchem wielkości grotzągla klipra. Dopiero wtedy zabłyśły światła pod sufitem. Grupa około trzydziestu oficerów zaczęła nagle wiwatować jak kibice na meczu futbolowym.

Brakowało tylko orkiestry powitalnej.

- Wyłączyć silniki - polecił po rosyjsku Ramius załodze w maszynowni i z odrobiną smutku w głosie

przeszedł na angielski. - A więc dotarliśmy.

Ruszyła w ich stronę suwnica, zatrzymała się, podniosła trap, przeniosła go do przodu i ostrożnie opuściła na pokład raketowy przed kioskiem. Ledwo położono trap, a już weszło, a raczej wbiegło po nim dwóch oficerów ze złoceniami na rękawach prawie po łokcie. Ryan rozpoznał pierwszego z nich. Dan Foster.

Po dojściu do końca trapu szef sztabu marynarki zasalutował w stronę drzewca flagowego na rufie i spojrzał do góry na kiosk.

- Kapitanie, proszę o pozwolenie wejścia na pokład.

- Udzielam...

- ...zgody - odpowiedział Mancuso.

- Udzielam zgody - głośno powiedział Ramius.

Foster wskoczył na pokład i zaczął wspinać się po zewnętrznej drabince na kiosk. Nie przyszło mu to łatwo, gdyż okręt miał znaczny lewy przechył. Gdy dotarł na pomost, ciężko dyszał.

- Kapitanie Ramius, jestem Dan Foster. - Mancuso pomógł mu przejść przez zrębnicę.

W środku zrobiło się ciasno. Amerykański admirał i radziecki kapitan podali sobie ręce, później Foster przywitał się z Mancusem. Ryan był ostatni w kolejce.

- Wygląda na to, że trochę musisz podczyścić mundur, Ryan. Twarz też.

- Tak, wiem, mieliśmy ostatnio trochę kłopotów.

- Właśnie widzę. Co się stało?

Ryan nie czekał, aż Mancuso zacznie opowiadać. Zszedł na dół, nie prosząc nawet o pozwolenie. Nie należał do nich. W sterowni wszyscy byli uśmiechnięci, ale cisi, tak jakby obawiali się, że magiczna chwila zaraz się ulotni. Dla Ryana już to nastąpiło. Rozejrzał się za luką pokładową i wyszedł na zewnątrz, zabierając ze sobą wszystkie swoje rzeczy.

Ruszył trapem pod prąd wchodzących na pokład. Wydawało się, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Dwóch sanitariuszy niosło nosze i Ryan postanowił zaczekać, aż będą wracać z Williamsem. Brytyjski oficer niewiele wiedział o tym, co się tymczasem wydarzyło, gdyż odzyskał przytomność dopiero trzy godziny temu. Czekając, Ryan zapalił ostatniego rosyjskiego papierosa. Ze środka wyniesiono nosze z przywiązany Williamsem. Obok szli Noyes i sanitariusze z „Dallas” i „Pogy”.

- Jak się czujesz? - zapytał Ryan, idąc obok noszy w stronę ambulansu.

- Żyję - powiedział Williams słabym głosem. - A ty?

- Przede wszystkim czuję pod stopami twardey beton. Dzięki ci za to, Boże!

- A on niedługo będzie czuł szpitalne łóżko. Miło było pana poznać, Ryan -

powiedział Noyes wesoło. - Ruszajcie się. - Sanitariusze załadowali nosze do zaparkowanego zaraz za szerokimi drzwiami ambulansu. W minutę później już go nie było.

- Czy komandor Ryan to pan? - zapytał, salutując sierżant marines.

- Tak - odparł Ryan, oddając honory.

- Czeka na pana samochód. Proszę za mną.

- Niech pan prowadzi, sierżancie.

Samochód, szary Chevrolet marynarki, zabrał go prosto do Bazy Lotnictwa Morskiego w Norfolk. Tu Ryan wsiadł do śmigłowca. Był już tak zmęczony, że nie zwróciłby nawet uwagi, gdyby posadzono go w saniach zaprzężonych w renifery. W ciągu trzydziestu pięciu minut lotu siedział samotnie z tyłu, patrząc w przestrzeń. W Andrews czekał drugi samochód, który zabrał go prosto do Langley.

Siedziba CIA

Gdy Ryan wchodził do biura Greera, była już czwarta rano. Oprócz admirała byli tam także Moore i Ritter. Greer podał mu coś do picia. Nie kawę. Bourbona Wild Turkey. Trzej dyrektorzy uściskali mu po kolei rękę.

- Siadaj, chłopie - powiedział Moore.
- Doskonała robota. - Greer uśmiechnął się.
- Dziękuję. - Ryan pociągnął ze szklanki. - Co dalej?
- Teraz posłuchamy twojego sprawozdania.
- Nic z tego. Teraz zabieram się do domu.

Greer z uśmiechem w oczach wyciągnął z kieszeni płaszcza kopertę i rzucił Ryanowi na kolana.

- Masz rezerwację na siódmą pięć rano z Dulles. Pierwszy lot do Londynu. I rzeczywiście powinieneś się umyć, przebrać i zabrać tę Barbie.

Ryan opróżnił do końca szklankę. Od dużej porcji alkoholu zaszklity mu się oczy, ale udało mu się nie zakrztusić.

- Wygląda na to, że mundur dużo przeszedł - zauważył Ritter.
- Jego zawartość też. - Jack sięgnął za pazuchę i wyciągnął pistolet. - Ta zabawka również się napracowała.
- Agent GRU? A więc nie zszedł z resztą załogi? - zapytał Moore.
- Wiedzieliście o nim! Wiedzieliście i nic mi nie powiedzieliście?
- Uspokój się, chłopcze - powiedział Moore. - Spóźniliśmy się o pół godziny. Zwykły pech, ale poradziłeś sobie. Tylko to się liczy.

Ryan był zbyt zmęczony, żeby się kłócić, zbyt zmęczony na cokolwiek. Greer wyciągnął magnetofon i żółty notatnik pełen pytań.

- Williams, brytyjski oficer jest w ciężkim stanie - powiedział Ryan dwie godziny później, kończąc opowiadanie. - Lekarz mówi, że wyjdzie z tego. Okręt już nigdy nie będzie pływać. Dziób cały rozbity, a torpeda zrobiła całkiem sporą dziurę w kadłubie. Nasze informacje o *Typhoonie* okazały się prawdziwe. Rosjanie na szczęście zbudowali go solidnie.

Ale na *Alfie* mogli zostać jacyś ludzie...

- Trudno - powiedział Moore.

Ryan skinął powoli głową.

- Myślałem o tym. Nie jestem pewien, czy mi się to podoba. Zostawiać ludzi na taką śmierć...

- Nam też się to nie podoba - powiedział sędzia Moore.

- Nam też, ale jeśliby ktokolwiek z tego okrętu uratował się, to cały nasz, cały twój wysiłek ostatnich dni poszedłby na marne. Chcesz tego?

- I tak szansa jest jedna na tysiąc - powiedział Greer.

- Nie wiem - powiedział Ryan, kończąc trzecią już szklankę. Spodziewał się, że Moore nie będzie zainteresowany sprawdzaniem, czy *Alfa* zdradza objawy życia. Ale zaskoczył go Greer. Wygląda na to, że stary marynarz zapomniał o żeglarskich zasadach. A może po prostu to efekt służby dla CIA. A sam Ryan? - Po prostu nie wiem.

- To wojna, Jack - przypomniał Ritter bardziej uprzejmie niż zwykle - prawdziwa wojna. Zrobiłeś dobrą robotę.

- W czasie wojny robi się dobrą robotę, żeby wrócić bez szwanku do domu -

powiedział Ryan. - I to właśnie, panowie, zamierzam za chwilę uczynić.

- Twoje rzeczy są w łazience. - Greer spojrzał na zegarek.

- Zdasz się jeszcze ogolić, jeśli chcesz.

- Aha, byłbym zapomniał. - Ryan sięgnął pod koszulę i wy dobył klucz. Podał go Greerowi. - Wygląda niepozornie, prawda? A można nim zabić pięćdziesiąt milionów ludzi.

„*Nazywam się Ozymandias, król królów. Patrzcie na moje dzieła mocarze i drzyjcie*” . -

Ruszył do łazienki, wiedząc, że jeśli cytuje Shelleya, to musi być pijany.

Obserwowali go, gdy wychodził. Greer wyłączył magnetofon i patrzył na klucz, który wręczył mu Ryan.

- Nadal chcecie go zabrać na spotkanie z prezydentem?

- Nie, to nie byłby dobry pomysł - powiedział Moore. - Nieźle rozbiła go cała ta historia, choć trudno mieć do człowieka pretensję. Wsadź go w ten samolot, James. Jutro albo pojutrze wyślemy do

Londynu ekipę, żeby skończyć przesłuchanie.

- Zrobi się. - Greer zajrzał do szklanki, którą właśnie opróżnił. - Wczesnie dziś zaczynamy, co?

Moore osuszył swoją szklankę. Chyba trochę za wczesnie. Ale dzień jest całkiem udany, choć słońce jeszcze nie wzeszło.

- Chodźmy, Bob. Mamy nową robotę.

Stocznia Marynarki Wojennej w Norfolk

Przed świtem Mancuso i jego ludzie wsiedli na „Paducah”, który dostarczył ich z powrotem na „Dallas”. Torpedowy okręt podwodny klasy 688 natychmiast wypłynął i zanim wzeszło słońce, znowu był w zanurzeniu. „Pogy”, który w ogóle nie wchodził do portu, miał

dokończyć patrol, bez sanitariusza na pokładzie. Oba okręty otrzymały rozkazy pozostania na morzu jeszcze trzydzieści dni, aby w tym czasie załogi zapomniały o wszystkim, co widziały, słyszały lub o czym myślały.

„Czerwony Październik” strzeżony przez dwudziestu uzbrojonych marines tkwił

samotnie w doku, z którego stopniowo wypompowywano wodę. Wybrana grupa inżynierów i techników od razu zabrała się do oględzin okrętu. Przede wszystkim zabrano księgę szyfrów i maszynę szyfrującą. Jeszcze przed dwunastą znalazły się one w centrali Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Meade.

Ramius, jego oficerowie oraz ich rzeczy osobiste przewieziono autobusem na to samo lotnisko, z którego korzystał Ryan. W godzinę później zjawili się w należącym do CIA domu wśród łagodnych wzgórz na południe od Charlottesville w Wirginii i natychmiast położyli się do łóżek. Tylko dwaj z nich oglądali jeszcze programy telewizji kablowej, zdziwieni obrazami życia w Stanach Zjednoczonych.

Międzynarodowy port lotniczy Dullesa

Ryan nie zdążył zobaczyć świtu. Wszedł na pokład boeinga 747 linii TWA, który wystartował z Dullesa zgodnie z rozkładem pięć po siódmej. Niebo było zachmurzone. Kiedy samolot przebił się przez chmury, Jack Ryan zrobił coś, co jeszcze nigdy mu się nie zdarzyło.

Po raz pierwszy w życiu zasnął w samolocie.

KONIEC